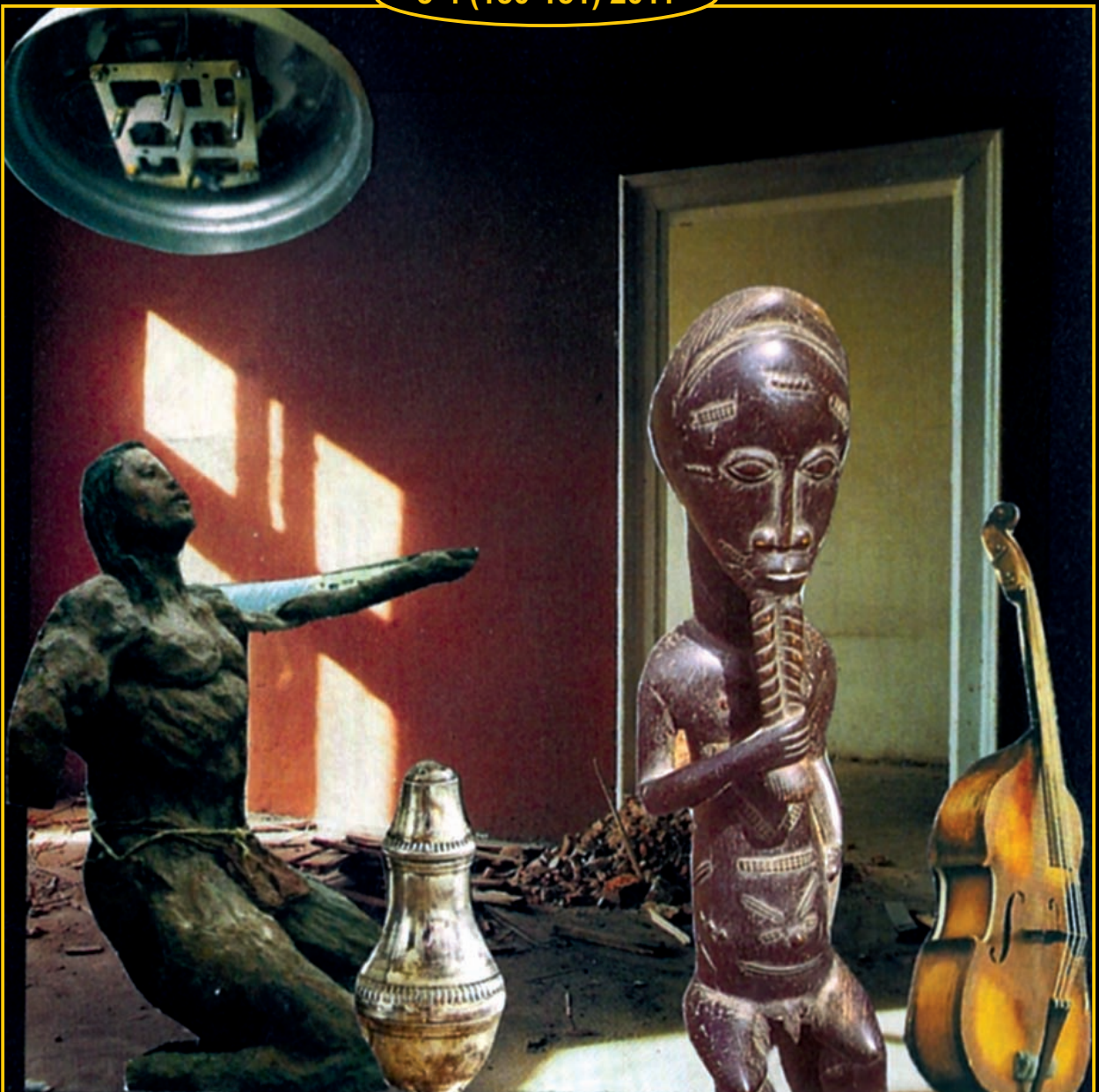


# ZDANIE

„Trzech na jednego”  
z ADAMEM ROTFELDEM

W numerze m.in.: Stanisław BURKOT, Adam KOMOROWSKI, Hieronim KUBIAK,  
Krzysztof KWAŚNIEWSKI, Krzysztof MROZIEWICZ, Marian STĘPIEŃ, Jan WASZKIEWICZ,  
Jan WIDACKI, Jacek WOJCIECHOWSKI, Marek ZAGAJEWSKI

3-4 (150-151) 2011





Grzegorz Sobota (także okładka)

## AGNIESZKA LISAK

### Rubikon

Któregoś dnia  
i moje kości zostaną rzucone  
pomiędzy kości bliskich

czas przyjdzie przekroczyć Rubikon  
paląc za sobą mosty tej ziemi  
na którą nie będzie powrotu.

Stanę się książką  
stojącą na półce  
może czasem czyjaś wyobraźnia  
ożywi mnie na chwilę.

I już nikt nie będzie pamiętać  
jak żyłam  
a żyłam otoczona własnymi wierszami  
nic innego nie miałam w życiu  
bohaterowie moich zwrotek  
śnili mi się po nocach.

Pośród sterty szarych dni  
odnajdywałam złote liście  
i rzucałam je pod nogi  
by szelestem zabijały ciszę  
co zalegała w moim życiu.

# ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

3–4 (150–151) 2011

## OD REDAKTORA

Pismo, które ukazuje się dwa razy do roku, choć nominalnie jest kwartalnikiem, nie może uczestniczyć w wyścigu newsów. Ale także nam zdarza się nawiązać do wydarzeń ledwo minionych, jak choćby ostatnie wybory, czego potwierdzeniem jest tekst Marka Zagajewskiego. W kręgu zainteresowania autorów tego numeru znalazły się również inne tematy i wydarzenia: bieda i wykluczenie społeczne, samorządność, liberalizm, stosunki polsko-żydowskie, „białe plamy”, nowości rosyjskiej prozy, jubileusze pisarzy, a także rasizm, faszyzm i ksenofobia w polskim wydaniu. Ten ostatni problem nabrał szczególnej wymowy i aktualności po z hukiem obchodzonym Święcie Niepodległości. Od lat przyzwyczailiśmy się, że juwenalia urządzają studenci na krótko przed sesją.

Od jakiegoś czasu jednak ludyczne pochody żaków-przebierańców nie są już atrakcją w wielkich miastach, gdyż uwagę opinii publicznej i mediów skupiają na sobie pochody patriotów, którzy miłość do ojczyzny wyrażają za pomocą kastetów oraz maczet i dla niepoznaki w kominiarkach. Można i tak, tylko rodzi się pytanie, czego te narodowe juwenalia à rebour są zapowiedzią bądź znakiem.

Zapewne przyjdzie nam do tego tematu nieraz powrócić, gdyż sprawa nie jest błaża, a na razie polecam na deser – jak zwykle – nasze firmowe danie, czyli „Trzech na jednego” z Adamem Rotfeldem. Kolejna niezwykła biografia, którą napisało życie, będące udziałem Polaków w XX wieku.

EDWARD CHUDZIŃSKI

„Trzech na jednego” ADAM DANIEL ROTFELD ŚWIAT OKAZAŁ SIĘ INNY NIZ MYŚLELIŚMY	3	82	Krzysztof Mroziewicz PRAWDOPODOBNIENIE NAJGORSZY PREZYDENT AMERYKI PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ
Marek Zagajewski DEMOKRACJA BEZ LUDU	19	92	Adam Komorowski PASAZEROWIE KONIA TROJAŃSKIEGO (medytacje baumanowskie)
Piotr Biegasiewicz LIBERALIZM W POLSCE PO 1989 ROKU	30	97	Krzysztof Kwaśniewski „BIAŁE PLAMY” – FUNKCJONOWANIE SPOŁECZNE METAFORY
Andrzej Banaś PERTURBACJE Z IMPLEMENTACJĄ <i>RATIO LEGIS</i>	33	103	Stanisław Burkot RÓŻEWICZ W PODRÓŻY
Konferencja „Kuźnicy” O UBÓSTWIE I WYKLUCZENIU W POLSCE	37	109	Marian Stepien BIOGRAFIA CZESŁAWA MIŁOSZA
Hieronim Kubiak BIEDA I WYKLUCZENIE SPOŁECZNE	38	112	Agnieszka Lisak WIERSZE
Jan Widacki CZY BIEDA GENERUJE PRZESTĘPCZOŚĆ?	45	114	LUDWIGA WITTGENSTEINA <i>DZIENNIKI SEKRETNE</i> (dokończenie)
Henryk Mieczysław Kula WIEDZA O GRUDNIU 1970	48	118	Jacek Wojciechowski AKTUALIA ROSYJSKIEJ PROZY (cz. II)
Jan Waszkiewicz SAMORZĄDNA RZECZPOSPOLITA	56	122	ANDRZEJ URBAŃCZYK: MARZYCIEL, REFORMATOR, DZIAŁACZ LEWICY (opr. Jan Güntner)
Anna Tatar RASIZM, NEOFASZYZM I KSENOFOBIA PO POLSKU	61	125	Rafał Skąpski NA MARGINESIE RAPORTU <i>PROJEKT DLA POLSKI...</i>
Aleksander B. Skotnicki, Krystyna Rożnowska <i>ODDAŁEM ŻYCIE ZA ŻYCIE</i> (wojenne dramaty prof. Juliana Aleksandrowicza)	66	127	Andrzej Kurz NASZA WCZESNA MŁODOŚĆ
Marian Stepien O „DIALOGU POLSKO-ŻYDOWSKIM W AMERYCE”	69	128	Zuzanna Komornicka WIEDZA PANI K. I PANI G.
Jerzy S. Łątka OSEŁKA MASŁA	76	129	Tomasz Goban-Klas ZBAWICIELE MEDIÓW (tragifarsa)
Julian Kawalec ZAL	81	131	Sceptyk ZNOWU KRAŻY WIDMO





Fot. Grzegorz Kozakiewicz

# trzech na jednego

JEDEN:  
ADAM DANIEL ROTFELD  
TRZECH:  
EDWARD CHUDZIŃSKI  
ADAM KOMOROWSKI  
FILIP RATKOWSKI

# ŚWIAT OKAZAŁ SIĘ INNY NIŻ MYŚLELIŚMY

**EDWARD CHUDZIŃSKI:** Jest Pan Profesor osobą publiczną i sporo rzeczy już o Panu napisano. Jednak chcielibyśmy w Pańskiej biografii i poglądach odnaleźć wątki, które jakoś umykały rozmówcom. I tak na przykład o dom rodzinny pytano Pana wielokrotnie, ale w gruncie rzeczy nie wiemy, jaki to był dom? W jakim języku mówiło się w tym domu?

**ADAM DANIEL ROTFELD:** Mówiło się po polsku, ale... I tu pozwólcie panowie na dygresję. Otóż kiedy byłem jeszcze w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, spotkałem na ulicy pewnego pana, który podszedł do mnie, przywitał się i wymienił nazwisko – Uziębło. Spytałem, czy krewny generała? – Tak – odparł – to był mój ojciec... Niedawno, po latach zadzwonił do mnie i przypomniał się raz jeszcze. – Jestem filatelistą – powiedział. – Co roku na giełdę filatelistyczną w Warszawie przyjeżdża przewodniczący stowarzyszenia filatelistów ze Lwowa. Dzwonił do mnie i powiedział, że ma cztery koperty zaadresowane przez Pańskiego ojca.

Zafrapowało mnie to, bo nie miałem nigdy w rękach tekstu pisanego ręką ojca, więc pojechaliśmy razem na tę giełdę. Kupiłem cztery koperty z nagłówkiem kancelarii mojego ojca i rzeczywiście zaadresowane były tym samym, ładnym, kaligraficznym pismem. Nie wiem, czy są to autografy ojca. Koperty były adresowane do sądów we Lwowie, Brzeżanach, Przemyślanach i Łuc-

ku. Listy nie zachowały się – tylko koperty. Może były w istocie adresowane przez kancelistę czy sekretarkę. Ale jest w tym coś paradoksalnego...

Znikają ludzie, domy, miasta. Przepadają rzeczy trwałe i wartościowe, nawet geograficzne realia zmieniają się, a trwają przedmioty ulotne – absolutnie pozbawione znaczenia. Oto zachował się ulotny ślad, że był taki człowiek, że była społeczność, że była jakaś kancelaria.... Przecież papier, w dodatku koperta, czyli opakowanie może zostać wyrzucone na śmietnik, może spłonąć. Tego, że w domu rozmawiano na co dzień po polsku nie zachowałem w pamięci, dowiedziałem się o tym od siostry. Alicja starsza ode mnie o 11 lat opowiadała, że gdy rodzice chcieli, żebyśmy jako dzieci nie wiedzieli o czym rozmawiają, przechodzili na niemiecki. W końcu ojciec był prawnikiem ze szkoły CK monarchii, studiował w Wiedniu. O polskiej tradycji domu świadczy też, jak sądzę, moje pierwsze imię Adam.

**FILIP RATKOWSKI:** A Daniel to ukraiński Danyto? Imię pewnego zakonnika?

**ROTFELD:** To fakt, że mnich, który zabrał mnie z domu i opiekował się mną, miał zakonne imię Daniel, ale oba imiona nadali mi rodzice. Drugie imię było zapewne nawiązaniem do biblijnej tradycji. Tak też zostałem ochrzczony. Dodam, że w wyniku starań, nie moich zresztą, tylko innego chłopca uratowanego w klaszto-

rze, ojciec Daniel został zaliczony do grona Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata. W ubiegłym roku, gdy z polską delegacją odwiedziłem Jerozolimę w związku z konferencją dotyczącą współpracy Unii Europejskiej z Izraelem, po raz pierwszy po 68 latach spotkałem tego chłopca. To zresztą historia zadziwiająca. Jako pięcioletek przyjechał z Palestyny na wakacje do Lwowa, do babci i tu zastała go wojna. Nie znając w ogóle języka polskiego ani ukraińskiego, przetrwał w klasztorze tych kilka lat i to on właśnie przekazał mi kopię decyzji Instytutu Yad Vashem w tej sprawie.

Także archimandryta, a zarazem przeor klasztoru bł. p. Klemens Szeptycki uzyskał taki tytuł. Zmarł w stalinowskim więzieniu w 1951 roku i jako męczennik został przez papieża Jana Pawła II wyniesiony na ołtarze. Jego brat Andrzej Szeptycki, metropolita lwowski do tej pory nie został beatyfikowany, chociaż proces beatyfikacyjny toczy się z przerwami już ponad 50 lat (rozpoczął się w 1958 roku). Na opory napotyka również przyznanie mu tytułu Sprawiedliwego wśród Narodów Świata przez Instytut Yad Vashem w Jerozolimie. Tymczasem, bez jego wiedzy i wyraźnego polecenia taka działalność klasztorów unickich nie byłaby możliwa. Wiem z całą pewnością, że wszystkie klasztory, z wyjątkiem jednego, którego przeor miał *notabene* na imię Rafael, podporządkowały się tym wskazaniom.

**ADAM KOMOROWSKI: Wspominał Pan kiedyś, że w niewielkich w końcu Przemyślanach było trzy-nastu adwokatów...**

ROTFELD: Było ich siedemnastu! Musiały być tam dostateczna ilość spraw i sporów, skoro wszyscy mogli się utrzymać ze swoich usług. Kiedyś, gdy „Polityka” opublikowała fragment moich wspomnień, pewna pani z Bydgoszczy przysłała mi kserokopię rocznika adwokatury polskiej z 1938 roku. Wtedy ich wszystkich policzyłem i skorygowałem swoje błędne wyobrażenia...

**CHUDZIŃSKI: Kiedy pytałem o język, jakim mówiło się w domu, to chciałem przy okazji dowiedzieć się, jaki język był językiem pierwszym, w którym zaczął Pan nazywać świat i jaka w istocie była tożsamość Pana rodziny w tej wielokulturowej i wielonarodowej społeczności kresowego powiatowego miasteczka...**

ROTFELD: Z domu rodzinnego wyszedłem, gdy miałem trzy i pół roku. Z natury rzeczy to utrudnia mi określenie tego klimatu. Na odwrocie zdjęć, które moja siostra odnalazła przypadkiem, znajdowały się uwagi w języku polskim i niemieckim. Z tymi zdjęciami było tak. Tuż po wkroczeniu Rosjan, gdy siostra wróciła z lasu do rodzinnych Przemyślan, ktoś wskazał jej wioskę, z której chłopci – gdy nasi rodzice zostali zamordowani – wynosili z naszego domu różne rzeczy. Alicja odwiedziła tych gospodarzy. Powiedziała, że zależy jej tylko na pamiątkach. Odzyskała rytualny kielich, jeden talerz z dedykacją i album ze zdjęciami, który należał do mieszkającego w sąsiedztwie zaprzyjaźnionego lekarza. Nie wykluczam, że był krewnym mojej matki. Też padł ofiarą hitlerowców i ukraińskich policjantów. W albumie była też kartka pocztowa adresowana do niego z Belgii, napisana po niemiecku. Zapewne po to, by niemiecka cenzura jej nie zatrzymała. W Galicji – pod austriackim zaborem – osoby wykształcone posługiwały się swobodnie dwoma językami – polskim i niemieckim.

**CHUDZIŃSKI: I miał Pan językowe kłopoty?**

ROTFELD: W klasztorze najpierw mówiłem po polsku – dodając słowa ukraińskie. Po kilku tygodniach mówiłem już po ukraińsku. Języka drukowanego nauczyłem się na katechizmie i modlitewnikach pisanych w języku staro-cerkiewno-słowiańskim. Pierwszą polską książką, jaką częściowo przynajmniej przeczytałem w klasztorze, był *Książe i żebrak*. Pamiętam, że przy piecu siedział starszy chłopiec i czytał książkę na głos, a ja starałem się śledzić litery, zaglądając do książki od odwrotnej strony stołu.

**RATKOWSKI: Liczną grupę dzieci tam przechowywano?**

ROTFELD: Było nas osiemnastu – do dwudziestu. Te liczby zresztą się zmieniały w różnych momentach – jedne dzieci przyjmowano, inne przenoszono do innych zgromadzeń zakonnych. Klasztor należał do reguły studytów. Był założony w XIII wieku przez zakonników przybyłych z Belgii. Bezsprzecznie należy do najpiękniejszych klasztorów, jakie widziałem. Leży w dolinie, wśród lasów. Zbudowany jest na kształt fortecy – z murami obronnymi i otworami strzelniczymi, a wokół była fosa z mostkiem prowadzącym do głównej bramy. Na zewnątrz klasztoru był przed wojną budynek sierocińca, który prowadzili zakonnicy. W czasie wojny zdecydowano, że należy przenieść dzieci do środka – do wnętrza klasztornych zabudowań. Spaliśmy na parterze – w dużej sali. Cele zakonników były piętro wyżej. Podobną działalność prowadził w niedalekim Jaktorowie klasztor żeński. Tam przebywały dziewczynki.

**KOMOROWSKI: Co było istotą duchowości tego zakonu? Jak była jego misja?**

ROTFELD: Nie chciałem w tej sprawie wypowiadać się autorytatywnie. Jako dziecko wiedziałem na ten temat niewiele. Po latach przeczytałem, że była to reguła podobna do bazylianów. Zakon studytów – zlikwidowany przez Austriaków po I zaborze odrodził się na regule na nowo sformułowanej przez obu braci Szeptyckich. Studyci – podobnie jak nasi salezjanie – pełnili rolę oświatową i stanowili ośrodki kultury wśród niepiśmiennego wówczas chłopstwa Galicji Wschodniej.

**KOMOROWSKI: A tworzenie ikon też mają w regule?**

ROTFELD: Mają własnych *ikonopisców* – malarzy ikon. Od obecnego przeora Wenedykta otrzymałem dwie ikony – Matki Boskiej Uniowskiej i bł. Klemensa – przeora wyniesionego na ołtarze. Warto wiedzieć, że ikony są wykonywane według kanonu i w pewnym sensie kopia jest również oryginałem.

**CHUDZIŃSKI: Po kilku latach ponownie przychodził Rosjanie...**

ROTFELD: Front przetoczył się nad nami czy też obok. Z początku niewiele się zmieniło. Wtedy właściwie ich nawet nie zobaczyłem. Chodziłem już do szkoły. Pewnego dnia przyjechał samochód – kino objazdowe. Było to pierwsze moje zetknięcie z nową władzą. Jak panowie wiedzą, kino w propagandzie radzieckiej odgrywało rolę specjalną. Lenin określił je jako najpopularniejszą ze wszystkich form artystycznej działalności. W największej sali wiejskiej szkoły w Uniowie zawieszono prześcieradło jako ekran, a całą wyświetlającą machinę – rzutnik i generator – znajdowała się na samochodzie ciężarowym, z którego rzucał obraz przez okno do wnętrza. Wtedy Ukraiń-



cy z UPA, z którymi zresztą mój klasztor sympatyzował, wrzucili do środka – do sali pełnej dzieci – kilka granatów! Pamiętam po dziś dzień, że wyświetlany był film *Tęcza*...

**KOMOROWSKI: Według powieści Wandy Wasilewskiej.**

**ROTFELD:** Dokładnie. Chodziło o to, by filmem, który był na wsi niezwykle atrakcją – pozyskać młodzież. Stąd zamach... Można sobie wyobrazić, co się w tej klasie działo! Kilka ofiar śmiertelnych, wielu rannych... Kilka dni później przyjechali żołnierze NKWD. Wielu chłopów zabrano na Sybir. Widziałem, jak ich wywożono... Potem przychodziły od zesłańców listy. Na prośbę rodzin i pod ich dyktando pisałem odpowiedzi. W większości mieszkańcy Uniowa nie umieli pisać ani czytać.

**RATKOWSKI: Jakie były losy Pana siostry?**

**ROTFELD:** Najgorszy czas wojny przeżyła w lesie. Zaczniemy od tego, że mój ojciec był w Przemyslanach osobą znaną. Przewodniczył Radzie Adwokackiej, miał pewien autorytet. W pierwszych tygodniach po wejściu Niemców ludzi się, że uda się przetrwać. Wkrótce jednak zaczęły się „akcje”. Czasami wieczorami wpadali do ojca żydowscy policjanci i informowali, że nad ranem planowana jest taka „akcja”. Jedną z nich zachowałem w pamięci.

Nasz dom z werandą stał przy głównej ulicy miasta. Przed wojną była to ulica Mickiewicza, po wojnie – Lenina i Pierwszego Maja. Dziś ulica nazywa się Halicka. Za domem był sad i w sadzie na wzniesieniu stał dom dziadków, do którego wchodziło się szerokimi schodami prowadzonymi wprost do kuchni. Front tego domu od ulicy wyglądał okazale. W kuchni była specjalna blacha, która miała chronić podłogę przed węglem wypadającym z pieca. Po wejściu Niemców dziadkowie wykopali pod kuchnią schron z przemyślnym wejściem. Było ono pod blachą ze schodkami do podziemnego pomieszczenia, w którym wszyscy – rodzina była dość liczna – mogliśmy się schować w razie niebezpieczeństwa. Zaprzyjaźniona gospodyni – Ukrainka rzucała w ostatniej chwili na tę blachę sporą porcję drewna. Niemcy, którzy wpadali do domów, sprawdzali podłogi kłując je specjalnymi długimi metalowymi prętami i nad słuchiwali odgłosów. Jednak najwyraźniej nie mogli na nasz schowek natrafić, szczególnie że znajdował się on pod piecem. Słyszałem ich kroki i głosy. Dorośli obiecywali mi na ucho złote góry, bylebym nie płakał...

Pewnego dnia, wcześniej uprzedzeni, bieглиśmy gęsiego przez sad. Mama trzymała mnie za rękę, ale rozwiązała mi się sznurówka. Zatrzymałem się na moment i już za chwilę byłem przedostatni. Skręciłem na schody. Ostaniam szła stara ciotka... Na głównej ulicy pojawiła się grupa ukraińskich policjantów. Dziś myślę, że byli pijani, krzyczeli, jeden z nich wystrzelił w naszym kierunku – ciotka upadła na schody. Z ust ciekła jej krew... Zgarnięto mnie w pośpiechu. Po chwili byliśmy w naszym schronie. Na szczęście żaden z policjantów nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, co się z nami stało. Poszli dalej. Zabicie człowieka było wtedy równie mało istotne, jak dziś zabicie wrony! Po kilku godzinach wyczekiwania przyszli Niemcy. Przeszukali cały dom – obstukali podłogi metalowymi prętami. Schron znów okazał się bezpieczny.

**KOMOROWSKI: Napatrzył się Pan w dzieciństwie na śmierć!**

**ROTFELD:** Każdą z tych śmierci pamiętam. Dziś, gdy trwa dyskusja wokół książki Jana Grossa *Złote żniwa* nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ten, kto nie doświadczył czasu wojny, nie jest w stanie zrozumieć, że obowiązywały wtedy inne reguły zachowań. W tamtych czasach wyznaczniki moralne były różne od dzisiejszych. I to nie tylko dlatego, że cena ludzkiego życia była postrzegana inaczej. Była też straszna bieda, która dla dzisiejszego człowieka jest trudna do wyobrażenia.

**KOMOROWSKI: Ubranie to była rzecz niezwykle cenna.**

**ROTFELD:** Pamiętam ciała zabitych ludzi – przez Niemców, Rosjan, banderowców – wszystkie były bez butów! To co najwartościowsze, czego nie można było sobie w domu samemu wyprodukować – zabierano i to bez względu na rozmiar tych butów. Zawsze komuś się mogły przydać. Tak było w czasie wojny i bezpośrednio po jej zakończeniu.

**RATKOWSKI: Pamięta Pan moment, w którym oddano Pana do klasztoru?**

**ROTFELD:** Wszystko, co w moim życiu wydarzyło się istotnego – obojętnie, pozytywnego czy negatywnego – było w pewnym sensie sprawą przypadku. W tej sprawie przypadek polegał na tym, że do klasztoru oddano z mojej rodziny dzieci starsze. Nikomu do głowy nie przyszłoby wysłać trzypięcioletniego chłopca do klasztoru. Przebywały tam dzieci z reguły w wieku szkolnym – siedmioletnie i starsze. Kilku chłopców wysłanych z mojej dalszej rodziny nie odnalazło się w dość spartańskich warunkach. Ostatecznie po kilku dniach – było to na przełomie listopada-grudnia 1941 roku – woźnica z klasztoru odwiózł ich do naszego domu. Pamiętam: wszyscy byli zebrani w salonie – na parterze. Ojciec Daniel, który przy drzwiach wyjściowych żegnał się z moim ojcem, powiedział nagle: – A może pan mecenas odda swojego syna pod opiekę klasztoru? Zaczęło się gwałtowne poszukiwanie zimowych ubrań. Wsadzono mnie na wóz, który czekał na podwórzu. Na koźle obok woźnicy usiadł o. Daniel. Niezbyt wyraźnie przypominam sobie, jak zatrzymała nas na rogatkach miasta jakaś wachta, ale nie sprawdzali, kto leży pod burką w saniach.

I oto dwa lata temu pojechałem do Lwowa ze swoim przyjacielem – reżyserem Januszem Majewskim, który pisał scenariusz do filmu *Mała matura*, oparty własnym dzieciństwem. Namówiłem go, byśmy zaczęli o Uniów i Przemysły. W klasztorze w Uniowie podejmował nas przeor, a z racji jakiejś uroczystości było tam wielu hierarchów i wiernych... Nagle podchodzi do mnie jakiś czerstwo wyglądający starszy pan i powiada: – Pan mnie zapewne nie pamięta. To było tak dawno. Miałem wtedy 15-16 lat. Byłem woźnicą i jechałem z Przemysła do klasztoru z ojcem Danyłą...

**RATKOWSKI: Jak rozumiem, Pańska siostra została z ojcem?**

**ROTFELD:** Tak. Ojciec na przełomie 1941 i 1942 roku doszedł do wniosku, że zbliża się totalna zagłada. Zorganizował z innymi osobami w lesie obóz przetrwania dla tych, którzy zdecydowali się z rodzinami wyjść z getta. W ten sposób uratowało się kilkanaście osób. Wśród nich znalazł się Kleinmann – jak sam o sobie

pisze – „ostatni klezmer z Galicji”. Wstąpił do wojska i został dyrygentem orkiestry i chóru Centralnego Zespołu Pieśni i Tańca Wojska Polskiego. Znany jest jako Leopold Kozłowski. W książce Jacka Cygana opartej na wspomnieniach Poldka znalazła się też wzmianka o moich rodzicach.

Moja siostra Alina, która po przyjeździe Rosjan wyszła z lasu w jednej sukience, zatrudniła się w miejscowej fabryce spirytusu. Miała 17 lat. Początkowo była pomocnicą laboranta, potem w wieczorowym technikum chemicznym zdobyła kwalifikacje i została laborantką. I to ona właśnie w jakimś momencie odnalazła mnie w klasztorze, powiedziała, co się wydarzyło, jakie jest moje prawdziwe nazwisko...

Siostra wyszła zamaż za księgowego z fabryki, sympatycznego człowieka, z pochodzenia Jakuta, st. sierżanta, który po powrocie z frontu otrzymał przydział do pracy we lwowskim zjednoczeniu produkcji spirytusu („Spiri-Trust”). Skierowano go do Przemyślan. Kontrola stwierdziła, że w fabryce są „przecieki” – spirytus wypływa. Aresztowali wtedy większość pracowników, którzy pełnili funkcje kierownicze. W tym księgowego. Choć to nie oni spirytus wnosili, a raczej ci, którzy mieli bezpośredni kontakt z produkcją. Inna rzecz, że obyczaj „wsadzania do kryminału” był w Kraju Rad dość powszechny. Pamiętam na przykład dyrektora szkoły, do której chodziłem. Nazywał się Petrenko. Skazano go na 25 lat na tej podstawie, że ktoś doniósł, jakoby był w ukraińskiej policji podczas niemieckiej okupacji. Do mnie dobrze się odnosił i jeszcze dziś widzę jego twarz...

Po aresztowaniu męża sytuacja mojej siostry, która właśnie wtedy urodziła dziecko stała się jeszcze trudniejsza. Miała krowę, którą – jak kilku innym pracownikom – pozwolono trzymać w przyfabrycznej stajni. Chodziłem tam codziennie. Po wydojeniu przynosiłem do domu garnek mleka. Pewnego razu zjawiłem się w fabryce latem, kiedy była przerwa w produkcji. Robotnicy czyścili ogromną, wysoką na dwa piętra cysternę po spirytusie wyrabianym z ziemniaków. Resztki spirytusu zostały na dnie. Robotnicy zaproponowali mi, żebym zszedł do cysterny po specjalnych schodkach i przyniósł trochę spirytusu w puszcze po rybnej konserwie. Zgodziłem się chętnie, byłem nawet dumny, że potraktowali mnie jak dorosłego. Zszedłem na dno, nabrałem spirytusu i wyniosłem na górę. W uznaniu za mój wyczyn zaproponowali, bym się z nimi napił. Podali mi jako zakąskę świeży ogórek z solą. Miałem wtedy 10 lat. Znów potraktowali mnie jak mężczyznę. Do dziś pamiętam: szedłem do domu i pilnowałem, by garnka nie rozbić i mleka nie wylać. Ale wszystko się pode mną chwiało. Na schodach domu postawiłem garnek i straciłem przytomność. I tak raz na zawsze wyzbyłem się nadmiernego pociągu do mocnego alkoholu.

**CHUDZIŃSKI: Może Pan napisać kolejną książkę. Tym razem pod tytułem *Jak zostałem abstynentem!***

ROTFELD: Abstynentem nie jestem, ale rzeczywiście za wódką nie przepadam. Niezależnie od zatrucia organizmu we wczesnym wieku, nabrałem niechęci do mocnych alkoholi ze względu na to, co się wokół mnie działo. Przekraczało to zdrowy rozsądek. Ludzie pili na umór. Inna rzecz, że zarobki były tak niskie, że pensja miesięczna starczała akurat na jeden bochenek chleba na czarnym rynku. Nas ratowała ta krowa. Mie-

liśmy też świniaka i hodowaliśmy króliki. Inni tego nie mieli – musieli kraść. I kradli.

**RATKOWSKI: Ale w końcu siostra znalazła się w Polsce?**

ROTFELD: Po Październiku 1956 roku była nowa fala repatriacji. To, że setki tysięcy Polaków mogło wtedy wrócić do Polski, było zasługą Gomulki i Rapackiego, którzy w tej sprawie postawili się i uzyskali zgodę Rosjan na wyjazd osób, które miały poczucie przynależności do narodu polskiego. W jednym z ostatnich pociągów wróciła w 1959 roku moja siostra z dziesięcioletnią już córką, Leną. Wcześniej musiałem wystać im zaproszenie. Byłem już wtedy na studiach. Miałem problem, jak sobie z tym wszystkim poradzić. Ostatecznie udało się znaleźć kobietę w Krakowie przy ul. Lea (wtedy Dzierżyńskiego). U tej pani Alina zamieszkała jako opiekunka. Potem dostała pracę w Krakowskiej Fabryce Aparatury Pomiarowej. Zmarła nagle na raka mózgu. Było to w sierpniu 1965 roku. Szykowałem się do urlopu. Moja siostrzenica miała zainteresowania i zdolności artystyczne. Udało się dzięki życzliwości pani Haliny Kenarowej umieścić ją w Liceum Sztuk Plastycznych w Zakopanem. Po maturze, która przypadła na czas marcowych wydarzeń, zdecydowała się wyjechać do Szwecji, gdzie skończyła studia plastyczne. Czuje się tam u siebie, ale podtrzymuje żywe kontakty z kenarowcami.

**RATKOWSKI: W życiorysach dostępnych np. w internecie czytamy, że w 1951 roku upomniwała się o Pana polska ambasada i doszło do repatriacji. Intryguje nas, jakie było tło tego wydarzenia, bo przecież za tym musiały stać jakieś osoby...**

ROTFELD: Zaczniemy od tego, że w 1946 roku Rosjanie podjęli decyzję o likwidacji Cerkwi greckokatolickiej. W rok później nastąpiło rozwiązanie klasztoru. Dzieci były zimą 1947 roku przewiezione konnymi wozami do domu dziecka w Złoczowie. Po trzech dniach poczułem się nieswojo. Wszystko było inne od tego, do czego przywykłem. Zamiast modlitwy – rano i wieczór były capstrzyki, na których po rosyjsku śpiewano jakieś pieśni – z czasem uświadomiłem sobie, że był to hymn Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej *Naprzód, młodzieży świata...* Cały ten świat jawił mi się jako absurdalny. Postanowiłem uciec. Przyłączyło się do mnie dwóch chłopców. We trójkę ze Złoczowa ruszyliśmy do oddalonego o 60 km Uniowa, do klasztoru. Nie miałem butów. Wziąłem na drogę kilka par kapci z materiału wołokowego, z którego wyciskano walonki. Odmroziłem sobie nogi, ale jakoś dobrnąłem na miejsce. Pamiętam pustą, zaśnieżoną drogę, po której co pewien czas przejeżdżały wojskowe ciężarówki. Wtedy chowaliśmy się do rowów. Byliśmy przekonani, że to pogoń za nami. Nikt nas jednak nie gonił i tylko przez całą tę drogę towarzyszył nam dźwięk „śpiewających” drgających na wietrze drutów telegraficznych. Jeszcze dziś mam w uszach tę melodię. W Uniowie zakonnicy przyjęli nas bardzo ciepło i serdecznie. Chodzili już w ubraniach cywilnych – klasztor był w stanie likwidacji. W rok później siostra zabrała mnie do Przemyślan. Dobiałem końca 1948 rok. Wkrótce Alinę z mężem przenieśli do innej fabryki spirytusu, do Włodzimierzca na Wołyniu, gdzie po pewnym czasie dotarło do mnie pismo z polskiej ambasady. Wyjechałem w ramach akcji poszukiwania polskich dzieci zagubionych





Fot. Grzegorz Kozakiewicz

po wojnie na dawnych polskich Kresach włączonych do ZSRR.

**KOMOROWSKI: A kto poruszył ambasadę?**

ROTFELD: Ambasadę powiadomiło mieszkające w Krakowie małżeństwo – dwoje przyjaciół mojej rodziny, państwo Ebnerowie, którzy wiedzieli, że na czas wojny zostałem umieszczony w klasztorze. Ludwik Ebner przed wojną był w Stryju znaczącą postacią. W ramach repatriacji powojennej trafił do Krakowa, znalazł pracę na AGH. Jego żona wspominała moją matkę i jakąś ich wspólną działalność charytatywną...

**CHUDZIŃSKI: Pan znalazł się w Polsce wcześniej, w 1951 roku i trafił do Krakowa. Jak dziecko z sierocińca odnalazło się w krakowskim Liceum im. Augusta Witkowskiego?**

ROTFELD: Repatriowane dzieci były kolejnymi transportami dowożone do Dusznik-Zdroju. Tam odbierały je rodziny. Z 3 tysięcy dzieci, które trafiły do Dusznik zostało czworo, po które nikt się nie zgłosił. Byłem jednym z tej czwórki.

Wcześniej nie miałem pojęcia, że Kraków w ogóle istnieje! Moje rodzinne Przemyślany były metropolią w stosunku do Włodzimierzca, gdzie ludzie chodzili w łapciach. Na Wołyniu bieda była jeszcze większa niż na Podolu. Do Lwowa pojechałem raz, na jeden dzień, z kierowcą z fabryki spirytusu. Miasto zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Do Krakowa dotarłem w lipcu. Po kilku dniach pojechaliśmy zbiorowo z Domu Dziecka przy ul. Augustańskiej Bocznej 1 do Zakopanego, do willi Modrzejów, gdzie też znajdował się Dom Dziecka, którego wychowankowie na lato jeździli do Krakowa. A my – do Zakopanego. Dla obu stron

była to atrakcja. Po powrocie z wakacji trafiłem z przydziału do V Liceum TPD im. Augusta Witkowskiego. Zresztą wtedy wszystko było z przydziału. Dyrektorem była pani Bronisława Berger, dobra matematyczka, ale niestety nie najlepszy pedagog. Po roku zdarzył się jakiś incydent. Uderzyła jednego z uczniów. Pamiętam, ukazał się wtedy na łamach „Dziennika Polskiego” felieton pt. *Krewki pedagog*, który stał się końcem jej dyrektorskiej kariery. Była dobrą nauczycielką matematyki, znalazła pracę w I Liceum im. Nowodworskiego, a na jej miejsce przyszedł Stanisław Potoczek, bardzo przyzwyczajony, sympatyczny i życzliwy dla ludzi pedagog.

**KOMOROWSKI: To senatorska rodzina z Nowego Sącza.**

ROTFELD: Dyrektor Potoczek miał ambicje teatralne. I choć Liceum Witkowskiego miało profil matematyczno-fizyczny, po krótkim czasie stworzył szkolny teatr, a do takiego antytalentu matematycznego jak ja odnosił się z wyrozumiałością i sympatią. W pierwszych tygodniach klasa mnie wyśmiewała, mówiłem źle po polsku. Pamiętam jak dziś, na lekcji historii opowiadałem o rozdrobnieniu dzielnicowym i w pewnej chwili, ku rozbawieniu kolegów powiedziałem, że Krzywousty podzielił Polskę między „królików”. Z kolei na lekcji fizyki padło pytanie, kto wynalazł radio. W sposób naturalny i zgodny z tym, czego mnie nauczono w radzieckiej szkole podstawowej stwierdziłem, że Popow. Na to pani profesor: – Popow, owszem, wymyślił skrzynkę do radia, ale samo radio – jednak Marconi!

Moją wychowawczynią była pani Maria Korosadowicz. Uczyła niemieckiego i geografii. Pewnego

razu poprosiła, żeby skontaktował się z nią mój wychowawca z Domu Dziecka. Był to czas, kiedy w naszym Domu Dziecka nastąpił dyrektor, który miał ambicje makarenkowskie. Jego żona była kierownikiem pedagogicznym, a młodszymi dziećmi zajmowali się starsi wychowankowie. Mój „opiekun” nazywał się Rudolf Żelazko. Byłem wtedy w ósmej klasie, a Rudolf – w dziesiątej. Kiedy pokazał się u pani Korosadowicz – była zaskoczona. Okazało się, że to jej uczeń, tyle że w Technikum Kinotechnicznym, gdzie też uczyła! Od tego czasu już nigdy nikogo w moich sprawach nie wzywała do szkoły.

W szkole po roku zostałem wybrany na przewodniczącego samorządu klasowego, potem awansowałem do samorządu szkolnego. W tamtych czasach było w szkole kilka organizacji, do których wszyscy należeli obowiązkowo: do Ligi Ochrony Przyrody, do PTTK, do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i oczywiście – do ZMP. Pewnego razu – był to marzec 1954 roku – delegowano mnie na dzielnicową konferencję sprawozdawczo-wyborczą. Zebranie było nudne i trwało do późnej nocy. Kiedy obliczano głosy, siedzieliśmy na schodach gdzieś do dwunastej czy pierwszej i każdy opowiadał jakieś dowcipy. Opowiedziałem coś tam durnego, ale politycznie ryzykownego. Ktoś natychmiast doniósł. Od razu na tej konferencji – w trybie nagłym – usunięto mnie z ZMP. Byłem na rok przed maturą, powstał poważny problem. Na szczęście moja klasa i dyrektor Potoczek stanęli za mną murem. Myślę, że nie bez wpływu dyrektora zostałem – jako jedyny ze szkoły – wydelegowany na uczestnika Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów, który odbywał się w Warszawie latem 1955 roku. Pojechałem do Warszawy. Co ważniejsze – ubiegałem się wtedy o przyjęcie na wyższą uczelnię i mogłem napisać, że byłem uczestnikiem ŚFMiS. Sprawa ZMP była w ten sposób zatarta.

**CHUDZIŃSKI: Jak Pan sobie wybrał Szkołę Główną Służby Zagranicznej? Dostanie się tam nie było chyba proste?**

ROTFELD: Właściwie tej uczelni sobie nie wybierałem. Pierwotnie chciałem dostać się na studia za granicą – w jednym z krajów demokracji ludowej. Wykombinowałem sobie, że skoro nie mam rodziny i żadnego zaplecza finansowego, to takie studia zapewnią mi pełne utrzymanie. Niestety, nie zostałem na te studia zakwalifikowany.

Wszystko to działo się jeszcze w trakcie roku szkolnego. Pewnego dnia wywołano mnie z klasy i zaproszono do gabinetu dyrektora. Okazało się, że przyjechała do naszego liceum dwójka asystentów ze Szkoły Głównej Służby Zagranicznej, którzy poszukiwali kandydatów na Wydział Dyplomatyczno-Konsularny. Na rozmowę z nimi dyrektor Potoczek wytypował mnie. Byłem potwornie speszony i niepewny siebie, bo jedyne co z tej rozmowy w dyrektorskim gabinecie pamiętam, to tylko sporą dziurę w spodniach na kolanie. Starałem się ją ukryć zakładając nogę na nogę. Sądziłem, że dziura w moich spodniach będzie kompromitacją dla szkoły i dla mnie. Rozmowy nie pamiętam. Osoby z dyplomem Przodownika Pracy i Nauki przyjmowano bez egzaminu na wszystkie kierunki, w tym do SGSZ. Ja takiego dyplomu nie miałem. Stopnie na świadectwie miałem lepsze niż na to zasługiwałem, ale gorsze niż były potrzebne, aby uzyskać taki dyplom.

**KOMOROWSKI: Czy to znaczy, że tacy ludzie jak Józef Klasa czy Biernacki dostali się tam z dyplomami przodowników?**

ROTFELD: Nie wiem. Nie wykluczam, że mieli takie dyplomy. Byli ode mnie starsi i rozpoczynali studia wcześniej. Zapewne były wtedy inne zasady. Rozpoczynałem studia w czasach „odwilży”. Na uczelni obok normalnej młodzieży były osoby oddelegowane przez różne instytucje – partię, służby mundurowe, związki zawodowe czy ZMP. Miała to być szkoła kształcąca swego rodzaju nową elitę. Eufemistycznie powiem, że byłaby to elita *sui generis*, czyli swoista, swego rodzaju. Pamiętam, jak na egzaminie z historii siedzący obok mnie kandydat, o kilka lat starszy ode mnie, właśnie taki oddelegowany – pokazał mi wylosowane pytanie „Przyczyny wojny krymskiej”. Zacząłem pisać mu na karteczce: „Formalnie przyczyną wojny było żądanie Rosji skierowane do Turcji, a dotyczące zwrotu kluczów do stajenki betlejemskiej...”. Ciągu dalszego już napisać nie zdążyłem, ponieważ wezwano delikwenta do odpowiedzi, który na wstępie przeczytał tych kilka słów i na tym jego wypowiedź mogła się skończyć. Wtedy jeden z egzaminatorów, profesor Aleksy Deruga, historyk stosunków międzynarodowych zerknął do jego akt i dodał: – Tak towarzyszu, formalnie tak było, ale faktycznie chodziło o... – i dokończył za niego odpowiedź. Przypuszczam, że sam sobie wystawił ocenę pozytywną.

Byli w tej szkole ludzie bardzo różni. Moi przyjaciele Sławomir Dąbrowa, Jurek Nowak, Andrzej Towpik pochodzili ze zwykłych szkół, wielu było z rodzin nauczycielskich. Sławek Dąbrowa był właśnie takim „przodownikiem”, z nauczycielskiej rodziny, zawsze świetnie przygotowany. Po ukończeniu studiów razem stanęliśmy przed komisją egzaminacyjną, gdy ubiegaliśmy się o przyjęcie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Wszystkie pytania były kierowane do Dąbrowy. Siedziałem trochę zdezorientowany, jak statysta. W pewnej chwili zadano Dąbrowie pytanie: „Jakie obywatelstwo mają mieszkańcy Watykanu?” Sławek odpowiedział, że mają obywatelstwo Stolicy Apostolskiej. Jeden z członków wieloosobowej komisji stwierdził, że to jest odpowiedź błędna i skierował to samo pytanie do mnie. Odpowiedziałem, że odpowiedź jest według mnie poprawna: mieszkańcy Watykanu mają obywatelstwo Stolicy Apostolskiej. Wtedy dyrektor kadr MSZ – jeśli mnie pamięć nie myli, nazywał się Puta – powiedział do mnie: – Po co wyście tu przyszli? Ubiegacie się o przyjęcie do MSZ, a nie umiecie odpowiedzieć na proste pytanie? To was dyskwalifikuje! Dąbrowa, który na egzaminie był moim konkurentem, spontanicznie zareagował: – Mój kolega odpowiedział tak samo jak ja! To nieco stropiło przewodniczącego, cała komisja poczuła się zażenowana powstałą sytuacją. Zaczęto zadawać mi inne pytania. Obaj z Dąbrową zdaliśmy celująco. Z tym, że jego przyjęto, mnie – nie.

**CHUDZIŃSKI: Dlaczego akurat Pan miał zamkniętą drogę do kariery dyplomatycznej?**

ROTFELD: Po Październiku w wyższych gremiach partyjnych przyjęto, jak sądzę, założenie, że w społeczeństwie jest zły odbiór ludzi „niewłaściwego pochodzenia” w MSZ i w innych resortach. Nie eliminowano wszystkich. Jeśli ktoś miał ojca ministra, wiceministra czy wysokiego funkcjonariusza partyjnego, to jakoś

te ograniczenia były omijane. Ja byłem człowiekiem znikąd.

Kiedy moi koledzy dostali zatrudnienie, zgłosiłem się do kierownika wydziału szkolenia w MSZ z pytaniem, czy wie, jaka jest moja sytuacja. Był to człowiek sympatyczny i przyzwolity. Pytam o co chodzi, a ten spojrział na mnie jak na idiotę: – Liczyłem na to, że pan jest bardziej inteligentny. Dla pana pracy w MSZ nie ma.

Rozmowa odbywała się na czwartym piętrze. Zmarłony schodziłem na parter. Spotkałem profesora Stefana Boratyńskiego, autora wydanej po Październiku pierwszej polskiej książki naukowej o dyplomacji wielkich mocarstw w okresie II wojny światowej. Zapytał mnie, czemu jestem taki ponury. Opowiedziałem, co przed chwilą usłyszałem i dodałem: – Właściwie nie wiem, co mam ze sobą zrobić. – Niech pan machnie ręką! Proszę się zgłosić do mnie na Warecką – do Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, coś dla pana znajdziemy. Na początku dostałem prace zleczone – robiłem kweryndę przedwojennej „Warszawskiej Gazety Narodowej” (po zakazie zmieniła tytuł na „Warszawski Dziennik Narodowy”) i „Gazety Polskiej” – od listopada 1918 do września 1939 roku. Robiłem krótkie notki o artykułach dotyczących polityki międzynarodowej. Za każdą fiszkę dostawałem 14 złotych. To już było coś! Dzięki tej pracy poznałem polską politykę okresu międzywojennego lepiej niż gdybym przeczytał wiele mądrych książek. Czytałem te gazety zachłannie – od deski do deski. Otwierały mi oczy na inny – na zawsze zaginiony świat.

Wkrótce utworzyła się możliwość etatu. W Instytucie przepracowałem ponad 30 lat...

**KOMOROWSKI: Jak wyglądały Pańskie sprawy mieszkaniowe w Warszawie? To wówczas był problem.**

ROTFELD: Najpierw trzymałem się przez 2-3 miesiące akademika. Na dłuższą metę okazało się to niemożliwe. Potem jeden z profesorów wyjeżdżał na stypendium zagraniczne i pozwolił mi u siebie mieszkać nieodpłatnie. Był taki rok, kiedy sześciokrotnie zmieniałem mieszkanie – zawsze ktoś gdzieś wyjeżdżał i pojawiała się nowa szansa na czasowe rozwiązanie moich mieszkaniowych kłopotów. W końcu napisałem w tej sprawie list do prezydenta miasta stołecznego Warszawy, Janusza Zarzyckiego. Otrzymałem przydział kawalerki – 23 metry kwadratowe. Nie posiadałem się z radości. Był to jeden z najszcześniejszych dni w moim życiu...

Nie wiedziałem wówczas, że będę kiedykolwiek miał jeszcze z Zarzyckim kontakt. Zaczęło się od tego, że byłem współzałożycielem Studenckiego Stowarzyszenia Przyjaciół ONZ w Polsce. Pod koniec studiów razem ze Sławkiem Dąbrową wzięliśmy udział w międzynarodowym konkursie na pracę dotyczącą ONZ. Pierwszej nagrody nie przyznano. Obaj dostaliśmy *ex aequo* nagrody drugie. Dla Sławka był to wyjazd na seminarium do Danii, dla mnie – do Pembrock Dock w Walii. Tak się złożyło, że w tym czasie otrzymałem list od pewnej pani z Wrocławia, która napisała mi, że mam daleką rodzinę w Londynie – profesora, który przed wojną wykładał na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Był to wybitny polski neurolog, założyciel Polskiego Towarzystwa Neurologicznego. Właśnie

wtedy, gdy otrzymałem zawiadomienie o nagrodzie – w „Tygodniku Powszechnym” ukazał o nim obszerny artykuł pt. *Polski neurolog rzeźbiarzem*.

Napisałem do niego list z pytaniem, czy przypadkiem wie coś o mojej rodzinie. Poprosiłem, aby niezależnie od tego, wie czy nie wie – odpowiedział, abym miał pewność, że mój list do niego dotarł. Po kilku tygodniach dostałem sympatyczną odpowiedź, która zaczynała się od słów: „Drogi Danielu! Mam na imię Kuba, skończyłem 73 lata i należę do pokolenia, które ma zwyczaj odpowiadać na listy niezależnie od tego, czy nadawca mnie specjalnie o to prosi...”. Napisał, że chętnie by się ze mną spotkał, gdyby losy sprowadziły mnie do Wielkiej Brytanii. Prosił, bym koniecznie do niego zadzwonił.

Po wylądowaniu na lotnisku Heathrow zadzwoniłem. Nikt nie odbierał telefonu. Po paru godzinach ponowiłem próbę. Odezwał się kobiecy głos z twardym niemieckim akcentem. Spytałem, czy pani mówi po niemiecku? Odpowiedziała, że tak, ale profesora nie ma. Jest konsultantem w dużym szpitalu w Walii. Wyraziłem żal i napisałem z Pembrock Dock kartkę. Umówiliśmy się, że wracając z seminarium zatrzymam się na stacji miasteczka, w którym był szpital. Mieliliśmy się spotkać na dworcu. Uzgodniliśmy, że będę trzymał w ręku polski tygodnik „Polityka”, a on będzie miał parasol i płaszcz przewieszony przez rękę. Wszystko jak w klasycznym filmie szpiegowskim. Na stacji okazało się, że jestem jedynym podróżnym, który tam wysiadł, a on jedynym witającym, który czekał na peronie! Po drodze do szpitala opowiedział mi, że pani, która odebrała telefon, to osoba w podeszłym wieku, emigrantka z Niemiec jeszcze z 1936 roku, która nigdy dobrze nie nauczyła się mówić po angielsku. – Zostawiam jej klucze, gdy wyjeżdżam, aby podlewała kwiatki. Po rozmowie z tobą zadzwoniła: – Był do pana telefon od jakiegoś młodego człowieka z Warszawy. Był zmarłony, że pana nie ma, ale jak dowiedziałam się, że nazywa się Rotszyld, to pomyślałam, że choć z Warszawy, to na pewno da sobie radę!

Profesor polecił mnie swojej siostrze – Gieni, która mieszkała z synem w Londynie. Zatrzymałem się u nich. Bruno wykładał na Wydziale Architektury i był w tym czasie naczelnym urbanistą Londynu. Nazywał się Schlaffenberg. Jego ojciec był przed wojną zawodowym oficerem i zginął w Starobielsku. Bruno razem z matką został wywieziony ze Lwowa do Azji Środkowej. Zgłosił się do armii Andersa. Po komisji lekarskiej powiedziano mu, że to nie jest armia żydowska, tylko polska! Za dużo Żydów się zgłasza... W tym momencie jakiś oficer zapytał: – Czy pan jest synem majora Schlaffenberga? Panowie, trzeba go przyjąć! – zdecydował. Trafił więc do wojska, był ciężko ranny pod Monte Cassino. Po wojnie Anglicy dali mu stypendium na studia. W ten sposób architekturę, którą zaczął we Lwowie, skończył w Rzymie. Poznał tam żonę, która przed wojną też studiowała architekturę, tyle że w Warszawie. Należała do Akademickiego Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej „Życie”. Jej serdecznym przyjacielem w tych czasach był Janusz Zarzycki, późniejszy prezydent Warszawy...

Z Brunem, jego żoną Ireną i matką Eugenią utrzymywałem do ostatnich ich dni bliski i serdeczny kontakt. Matka Bruna była z domu Rothfeld, ale więzy



pokrewieństwa były na tyle dalekie, że – jak piszą historycy – ginęły w pomroce dziejów i zaprzestaliśmy ich ustalania.

**CHUDZIŃSKI: A Pańska znajomość języków? Jest pan poliglotą!**

ROTFELD: Nie przesadzałbym. Nie jestem. Co więcej – nie mam szczególnych uzdolnień językowych. Niektóre języki poznałem przez zbieg okoliczności. Podstawy rosyjskiego wyniosłem ze znajomości staro-cerkiewno-słowiańskiego, który poznałem w klasztorze. Niemieckiego uczyła mnie w szkole pani Maria Korosadowicz, a potem kontynuowałem naukę na studiach. Zacząłem się nawet uczyć początków arabskiego, traktując to jako hobby, ale po paru miesiącach porzuciłem. Popełniłem błąd: nie uczyłem się wtedy angielskiego. Już w Studenckim Stowarzyszeniu Przyjaciół ONZ przekonałem się, że bez angielskiego w dzisiejszym świecie trudno się obracać. Nauczyłem się angielskiego na Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Słuchałem wystąpień w oryginale i w symultanicznym tłumaczeniu, trochę się oswoiłem z językiem konferencyjnym. Kiedy znalazłem się w Sztokholmskim Instytucie Badań nad Pokojem (SIPRI), musiałem się posługiwać tym językiem na co dzień – był to jedyny język roboczy. W tym języku występowałem, prowadziłem wykłady, publikowałem. Dziś łatwiej mi mówić po angielsku niż po niemiecku.

Po ukraińsku swobodnie czytam, ale wywierał mi. Gdy zostałem osobistym przedstawicielem przewodniczącego KBWE do spraw rozwiązania konfliktu w Nadniedrze, odwiedzałem kolejno stolice, które były zainteresowane tym problemem. Byłem w Pradze, Bukareszcie, Moskwie. W Kijowie rozmawiałem z ówczesnym prezydentem Ukrainy, Leonidem Krawczukiem. Poprosił, abym w obecności prasy kilka początkowych zdań powiedział po ukraińsku. Dodał, że po wyjściu dziennikarzy możemy przejść na rosyjski. Obiecałem, że spróbuję, ale musi pan prezydent pamiętać, że mój ukraiński jest na poziomie zasobu słów niespełna 10-letniego chłopca. Ostatecznie robiłem wrażenie, że rozmawiamy po ukraińsku. Z językiem jest trochę tak, jak z pływaniem czy jazdą na rowerze: To, czego nauczymy się w dzieciństwie, dość szybko – po kilku dniach czy tygodniach – wraca. U mnie z rowerem jest jako tako, z pływaniem gorzej, bo w dzieciństwie nie nauczyłem się pływać.

**CHUDZIŃSKI: Wróćmy do PISM-u. Spędził Pan tam wiele lat, ale nie możemy ominąć wydarzeń marca 1968 roku.**

ROTFELD: O początkach swej pracy w Instytucie opowiedziałem. Trafiłem do PISM w rok po zwolnieniu z funkcji dyrektora wybitnego socjologa, prof. Juliana Hochfelda, przedwojennego działacza socjalistycznego. Na jego miejsce partia delegowała Ostapa Dłuskiego. Na miejsce prof. Remigiusza Bierzanka, który był naczelnym redaktorem miesięcznika „Sprawy Międzynarodowe” – mianowany został Adam Kruczkowski, syn pisarza Leona Kruczkowskiego. Znalaliśmy się z Adamem, ponieważ był pierwszym przewodniczącym Studenckiego Stowarzyszenia Przyjaciół ONZ. Był ambitny, miał możnych protektorów. Robił karierę polityczną. Powierzył mi codzienne obowiązki związane z prowadzeniem pisma i redakcji wydawnictw PISM. Powołano też wówczas Komitet Koordyna-

cyjny Badań Niemcoznawczych. Zostałem sekretarzem KKBN, potem był Komitet Koordynacyjny Badań nad Bezpieczeństwem Europejskim, w którego skład wchodziły dyrektorzy instytutów z państw bloku wschodniego – ZSRR, NRD, Czechosłowacji i Polski. Adam był sekretarzem polskiej grupy. Wkrótce mnie przekazał również tę funkcję.

**RATKOWSKI: I przyjął Pan rolę wielbłąda?**

ROTFELD: Lubiłem to. Odpowiadała mi praca rektora. Problem polegał na tym, że na studia i naukę po prostu nie starczało czasu. Miałem w końcu w Instytucie sześć różnych funkcji. Uczestniczyłem w seminariach doktoranckich prof. Stanisława E. Nahlika – najpierw w Toruniu, a potem w Krakowie – z zakresu prawa międzynarodowego. I wtedy nastąpił 1968 rok. Adam przystąpił do moczarskiej frakcji „młodoturków”. Znakiem rozpoznawczym tej frakcji była walka z „syjonizmem”. Już w kwietniu 1968 roku Adam został wiceministrem spraw zagranicznych. Zanim do tego doszło, bodaj 21 marca, odbyło się w PISM zebranie. W przeddzień Adam poprosił mnie do swego gabinetu i powiedział: – Toczy się w Polsce walka polityczna. Powinieneś zająć wyraźne stanowisko. Musisz się samookreślić. Nie możesz siedzieć okrzakiem na barykadzie. – Była to ówczesna frazeologia, w codziennym użyciu prasy, radia, TV. Zapytałem, o co mu chodzi. Odpowiedział: – Są ludzie, którzy sabotują politykę partii, prowadzą działalność rewizjonistyczną. Chciałbym, żebyś jutro wystąpił na zebraniu i ich potępił! – Kogo? – No, na przykład takiego Zygmunta Baumana, czy Leszka Kołakowskiego. – Mówię: – Znam te nazwiska, czytałem, ale tych ludzi osobiście nigdy nie spotkałem. Nie mogę nagle zacząć ich potępiać. – Na to Kruczkowski stwierdził: – Jak uważasz. Pamiętaj, uprzedziłem cię.

No i odbyło się zebranie. Wstawali pracownicy – jeden po drugim. Każdy coś tam potępiał... Był na przykład w Instytucie wybitny znawca Bliskiego Wschodu dr Marek Thee. Na marginesie: z tym nazwiskiem Thee miał ciągle kłopoty, bo ludzie odbierali to jako jedną literę „T”. Pisał więc artykuły pod pseudonimem Marek Gdański. Przed wojną był młodzieżowym działaczem komunistycznym w Gdańsku. Został przez Niemców przymusowo wysiedlony do Palestyny. Po wojnie został polskim konsulem na Bliskim Wschodzie. Doprowadził do pierwszego tłumaczenia *Pana Tadeusza* na hebrajski. W dodatku wydał tom w wersji dwujęzycznej – po hebrajsku i po polsku z myślą o żołnierzach polskich, aby tam mieli kontakt z narodową epopeją. Jego współpracownicy skrytykowali na zebraniu to, że opublikował na łamach organu teoretycznego PZPR „Nowe Drogi” „syjonistyczny” artykuł pt. *Konflikt arabsko-izraelski*. Bez znaczenia było to, że Marek Thee był zdeklarowanym antysyjonistą, a jego poglądy były szeroko znane i na tyle wyraziste, że miał wielu przyjaciół wśród Arabów i wrogów w Izraelu. Wszystkie książki, które w Polsce opublikował, były antysyjonistyczne. Otóż na zebraniu w PISM podliczono mu, że w artykule w „Nowych Drogach” 13 razy użył słowa „wojna”, 10 razy „konflikt”, a tylko 9 razy słowa „agresja”. Słowa „wojna” i „konflikt” – wywodził jeden z mówców – mają charakter neutralny. Stąd oczywisty wniosek, że Thee unikał potępienia Izraela. Potępiał go tylko w 30 procentach! Była też na tym zebraniu supozycja, że Thee nie jest prawdziwym Polakiem, bo ma żonę Czeszkę! Dodam, że osoby,

które tak gorliwie potępiały Marka na zebraniu – deklarywały w kontaktach z Thee swoje uznanie i podziw dla jego wiedzy i życiowej postawy...

**RATKOWSKI: To nie był wtedy przypadek osobniony...**

ROTFELD: Zebranie trwało wiele godzin, bodaj do 2. lub 3. nad ranem. Jedni potępiali, innych krytykowano i usuwano. Postanowiłem, że nie zabiorę głosu. Kiedy jednak zostałem wywołany, powiedziałem, że zajmuję się naukowo problemem samookreślenia narodów. Na ten temat przygotowywałem doktorat. W procesie samostanowienia – stwierdziłem – małe znaczenie mają werbalne deklaracje. Liczą się czyny i działalność. Jeśli naród chce uzyskać niepodległość, to wyraża swą wolę w sposób czynny. Marek Thee dowodził swojej lewicowości, kiedy go za to wsadzano przed wojną do więzienia. Nie liczył się z tym, że kiedykolwiek komuniści w Polsce obejmą władzę. To co słyszę i widzę, jest teatrem absurdu. Mówię to tylko dlatego, że muszę się codziennie golić i do końca życia nie mógłbym spojrzeć sobie w oczy w lustrze, gdybym nie powiedział, co myślę. Sądzę, że wielu na tej sali myśli podobnie. Na zakończenie stwierdziłem, że nie czuję się najlepiej i muszę wyjść.

Na drugi dzień poprosiłem o urlop. Po kilku dniach zostałem zaproszony przez zastępcę dyrektora, który napisał sześć krótkich pism (wystukał je osobiście na maszynie, bo widać wstydził się dyktować je sekretarce), że zwalnia mnie ze wszystkich sześciu funkcji. Wyszedłem z gabinetu dyrektora załamany. W rozmowie, która poprzedziła wręczenie zwolnień, dowiedziałem się, że zostaję zwolniony za brak zaangażowania.

Koniec końców, paradoksalnie, efekt był pozytywny. Miałem teraz czas, by zająć się doktoratem. Współpracownikiem profesora Nahlika na UJ był Gwidon Rysiak, który w mojej sprawie okazał wiele bezinteresownej życzliwości. W ciągu pół roku ukończyłem pisanie pracy. Obroniłem doktorat na Wydziale Prawa UJ w Krakowie. Recenzentami byli profesorowie: Krzysztof Skubiszewski, Konstanty Grzybowski i Franciszek Ryszka. Wspólnie ze mną obronił wówczas pracę doktorską Andrzej Towpik i Halina Okularczyk, których monografie na podstawie rozprawy doktorskiej ukazały się drukiem. Obie zachowują wartość po dziś dzień – choć od czasu ich publikacji minęło ponad 40 lat. Wspominam o tym, ponieważ klimat i pewna etyka pracy naukowej, którą przenieśli z okresu międzywojennego profesorowie tej miary co Bierzanek, Nahlik i Ryszka nie pozostała bez wpływu na kształtowanie badaczy nowej generacji.

**RATKOWSKI: Doktorat był jakby pewnego rodzaju podsumowaniem Pańskiej wizji świata opartej o ówczesne realia. Ten świat się teraz niestetycha nie zmienił.**

ROTFELD: Mój doktorat zamykał pewien etap w moim życiu, ale nie był podsumowaniem wizji świata, w którym żyłem. Wszystko, o czym dotychczas mówiliśmy, to w gruncie rzeczy anegdota i drobiazgi. Teraz, jak rozumiem, chcą panowie, byśmy dotknęli rzeczy istotnych. Pyta pan o różnicę percepcji, oglądu rzeczywistości poprzez okno zastonięte czarną kotarą i okno otwarte na świat! To prawda, że świat okazał się inny niż myśleliśmy wcześniej. Nie „zupełnie odmienny”, ale „niezupełnie taki sam”.

Na szczęście moje studia przypadły na okres po Październiku. W Polsce dzisiaj wiele osób nie rozumie, jak bardzo Październik '56 zmienił postrzeganie świata. Minęły pokolenia. Październik zmienił nasze widzenie świata o tyle, że wtedy był w Polsce głód wiedzy – swego rodzaju „odłożony popyt na prawdę”. W związku z tym profesorowie i studenci łapczywie sięgali po rzeczy wartościowe, prawdziwe i w czasach stalinowskich zakazane i niedostępne. Dziś w księgarni szuka się wartościowych książek w ogromnym śmietniku rzeczy łatwo dostępnych. Wtedy tego śmietnika nie było. Wydawnictwo dostawało zgodę na wydanie książki Jean-Paula'a Sartre'a albo Ericha Fromma. Musiało usilnie o to zabiegać, ale wieść o takiej pozycji rozchodziła się natychmiast niezwykle szeroko. Biegło się do księgarni, wystawało w kolejkach, czytało z wypiekami... Ten, kto nie dostał, wypożyczał na 1-2 noce.

**RATKOWSKI: Ale z drugiej strony dostępne były przecież pozycje, powiedzmy, „niecenzuralne”. Sam w Bibliotece UW odnalazłem, zresztą w katalogu Pańskiej Szkoły Głównej Służby Zagranicznej, Wydrożenie nacji Wynnyczenki, którego radziecka encyklopedia określała jako burżuazyjnego nacjonalistę i politycznego awanturnika, i skazywała tym samym na nieistnienie!**

ROTFELD: Owszem, były takie instytucje i księgozbiory, w których nagle można było odkryć „owoc zakazany”. Były jednak pewne ideologiczne filary, które wyznaczały granicę. Stanowiły one swoisty zbiór zasad myślenia. Jeśli ktoś przyjmował, że lewicowa postawa zakłada przyjęcie zasady determinizmu historycznego, to jej odrzucenie nie było proste i łatwe.

Nie bez kozery wspominałem o roli przypadku w moim życiu i w ogóle o przypadku w dziejach kraju czy świata. Uważam na przykład, że gdyby Michaił Gorbaczow nie został w 1985 r. sekretarzem generalnym KPZR, to system ten zapewne upadłby, ale o trzydzieści lat później i w sposób krwawy. Tak się nie stało i w tym wyraża się osobista, wielka zasługa Gorbaczowa jako postaci historycznej. Skądinąd uważam, że jest to człowiek dość ograniczony w sensie intelektualnym, który sądził, a nawet nadal tak sądzi, że system można było utrzymać, a Związek Radziecki zachować. A mimo to pięć lat jego rządów miało znaczenie dobroczynne. Jego siłą była słabość charakteru i brak zdecydowania. Wejdzie na trwałe do historii, bo nie odważył się użyć siły dla utrzymania władzy.

Politykom, mężom stanu i intelektualistom bipolarny podział świata ogromnie ułatwiał rozumienie, wyjaśnianie i porządkowanie rzeczywistości. Było wiadomo, gdzie kapitalizm, gdzie socjalizm – gdzie czarne, a gdzie białe. Byli dwaj hegemoni – Waszyngton i Moskwa – z odpowiednimi instytucjami, które ułatwiały kontrolę nad światem. Każda informacja o spotkaniu radziecko-amerykańskim była wydarzeniem obserwowanym z zapartym tchem. Nikt nie wiedział, jakie będą tego efekty. Dziś, gdy się spotyka prezydent Obama z prezydentem Miedwiediewem, nie budzi to sensacji – mało kogo to interesuje. Jest to postrzegane jako jedno z wielu podobnych spotkań. W Rosji ten dychotomiczny obraz i sposób myślenia nadal się utrzymuje. Myślą tam, że jak się spotyka Miedwiediew i Obama, to zapadają wówczas ważne decyzje. Nie zapadają. Dlaczego? Bo Stany Zjednoczone

i Rosja nie są tymi samymi globalnymi mocarstwami, co przed laty. Rosja jest mocarstwem regionalnym z bronią jądrową. Stany też bardzo straciły na znaczeniu. Są nadal globalnym mocarstwem. Zachowują status „niezbędnego mocarstwa”, gdyż można sobie wyobrazić świat bez wpływu wielu innych mocarstw, ale bez Ameryki nie można...

**RATKOWSKI: Co więcej, wszyscy mają wobec Ameryki wyraziste oczekiwania, jak na przykład w sprawie Libii. Zgłaszają pretensje, gdy USA się angażują i jeszcze większe, gdy się nie chcą angażować!**

ROTFELD: W Rosji sytuacja jest jeszcze bardziej złożona. Nie dość, że nie ma już ZSRR, to jeszcze pozycja Rosji się radykalnie zmieniła. Wielu wpływowych Rosjan nie zdaje sobie z tego sprawy. Nie wiedzą i nie chcą tego wiedzieć. Są oczywiście w rosyjskich elitach ludzie, którzy sobie z tego zdają sprawę i wywierają nacisk na Putina i Miedwiediewa, by przynajmniej „między nami” mówiło się prawdę i podejmowało decyzje nie na podstawie pobożnych życzeń, ale realiów. Ale to nie wystarcza. Wielu ludzi w Rosji uważa, że ZSRR był inna formuła istnienia imperium Romanowów, a dzisiejsza sytuacja – to inna forma kontynuacji ZSRR. Tak nie jest. Zdaniem „wiecznie wczorajszych” celem Rosji powinno być przywrócenie jej dawnej pozycji. Jednak żadne państwo nie odzyskało pozycji w wyniku deklaracji. Językiem polityki jest działanie oraz potencjały innowacyjny, gospodarczy, technologiczny i wojskowy. Jest niezliczona liczba czynników, które decydują o tym, czy państwo ma znaczenie i jaką rolę odgrywa na arenie międzynarodowej. Rosja ma nadal znaczenie z trzech różnych powodów: ze względu na broń jądrową, choć ta broń jest dziś mniej istotna, bo mało użyteczna; po drugie, ma największe zasoby ropy i gazu na świecie, co paradoksalnie poważnie hamuje jej rozwój – bo nie wymusza głębokich i prawdziwych reform; w efekcie Rosja staje się zapleczem surowcowym dla znacznej części świata. Po trzecie wreszcie, Rosja ma olbrzymie terytorium, które staje się teraz wartością samą w sobie – z uwagi na przeludnienie świata. Ma też największe zasoby wody pitnej i wielu innych surowców i minerałów. Największe słabości Rosji to demografia – zmniejszająca się gwałtownie liczba ludności – strukturalne zacofanie i anachroniczny sposób zarządzania.

**RATKOWSKI: Miliony Chińczyków już z tego wyciągają konsekwencje!**

ROTFELD: Ale w Rosji uważa się, że oto wyłania się nowa grupa państw, które będą światem rządzić: Brazylia, Rosja, Indie, Chiny (BRIC), a ostatnio dołączyła Afryka Południowa. Powiem wyraźnie – zanim ta grupa ukształtowała się, już przestała mieć znaczenie i odgrywać rolę. Państwa te poszukują swej roli i miejsca. Dziś większą rolę odgrywa w świecie Turcja, która do grupy BRIC nie jest zaliczana.

**CHUDZIŃSKI: I wiedzę o tym zdobywał Pan niejako namacalnie, bezpośrednio, bo w latach 1974-1980 uczestniczył w pracy takiej międzynarodowej instytucji jak KBWE, a potem w Międzynarodowym Instytucie Badań nad Pokojem (SIPRI) w Sztokholmie, którym kierował Pan przeszło dziesięć lat.**

ROTFELD: Mój kontakt z tym światem prawdziwym, a nie książkowym, zaczął się dosyć późno.

Większość moich kolegów robiła po studiach kariery dyplomatyczne lub w handlu zagranicznym. Wtedy zajmowałem się głównie redagowaniem, pisaniem, wydawaniem książek, a niekiedy przekładami dokumentów. Tak się złożyło, że byłem bodaj pierwszym, który przetłumaczył dokumenty z posiedzeń Wielkiej Trójki w Teheranie, Jałcie i Poczdamie na język polski. Rosjanie opublikowali swoją wersję protokołów w odpowiedzi na amerykańską dokumentację. Każda delegacja prowadziła własne zapiski. Poznanie – z rosyjskiej perspektywy – przebiegu tych spotkań miało swoją wartość.

Rosyjskim partnerem „Spraw Międzynarodowych” był periodyk „Międzynarodnaja Żyzn”, nieoficjalny organ radzieckiego MSZ. Naczelnym redaktorem tego miesięcznika formalnie był Andriej Gromyko, który w tym piśmie występował pod pseudonimem A. Sowietow, natomiast jego zastępcą, w istocie faktycznym redaktorem naczelnym był dwumetrowy książę z Osetii Szałwa Parsadanowicz Sanakojew. Zapalił się do mojego pomysłu, by uzyskać zgodę MSZ na publikację archiwalnych dokumentów i przesyłać je nam do tłumaczenia i równoległej publikacji protokołów z kolejnych posiedzeń konferencji w Teheranie, Jałcie i Poczdamie. Dzięki temu uzyskałem wgląd w to, jak toczyły się rokowania Wielkiej Trójki. Oczywiście była to rosyjska perspektywa – to, jak oni rozumieli i na żywo notowali wypowiedzi szefów trzech mocarstw.

W Instytucie Spraw Międzynarodowych znalazło zatrudnienie wiele osób, które z różnych powodów nie były akceptowane przez MSZ. Współpracował z PISM-em na przykład Stanisław Zabięto, przed wojną naczelnik Wydziału Wschodniego w MSZ, przez pewien czas był też radcą ambasady polskiej w Moskwie. Nie ominęły go w 1948 roku stalinowskie represje – był na krótko aresztowany, a po Październiku podjął współpracę z Instytutem. Wydał w tych latach ważną książkę pt. *Sprawa polska w czasie II wojny światowej w pamiętnikach i wspomnieniach*. W latach 60. namówiłem go, aby recenzował kolejne tomy zbioru *Sowietskaja wnieszniaja politika (Radziecka polityka zagraniczna). Dokumenty*. Teksty dotyczyły okresu międzywojennego. Zabięto z bliska tę politykę śledził. Jego recenzje były regularnie publikowane na łamach „Spraw Międzynarodowych” i choć minęło już 50 lat, nadal warte są lektury. Był to czas, kiedy nie miałem żadnego kontaktu z praktyką. Po roku 1968 nie mogłem również pełnić w PISM funkcji decyzyjnych ani redakcyjnych. Byłem zadowolony, że mogę w ogóle pracować. Znalazłem się na marginesie, ale miałem nieporównanie więcej czasu dla siebie. W pewnym momencie zastanawiałem się nad zmianą zawodu.

**KOMOROWSKI: Jak to było możliwe? Przecież zaczęła się kolejna odnowa...**

ROTFELD: Pewnego razu, w 1973 roku wezwał mnie na rozmowę wiceminister spraw zagranicznych Jan Bisztyga. Byłem zaskoczony, bo od kilku lat nikt z pełniących funkcje kierownicze ze mną nie rozmawiał. Minister zapytał, czy mógłbym sporządzić ekspertyzę na temat perspektyw Polski po zapoczątkowaniu polityki otwarcia na Zachód, czyli po dojściu Gierka do władzy. Pytanie brzmiało: co Polska zyska na polityce otwarcia wobec Zachodu, a co straci? Powiedziałem, że mam istotne wątpliwości, czy sprostałbym tak



sformułowanemu zadaniu. Nie wyczuwam już tego, co się w polityce dzieje, nie uczestniczę w żadnych poważnych dyskusjach, nie jestem dopuszczany nawet na odczyty zagranicznych gości, którzy regularnie przyjeżdżali do PISM. Jestem w sytuacji krytyka muzycznego, który ma pisać recenzje z koncertów, na których nie może być. Przez pewien czas jeszcze w jego uszach brzmi muzyka słyszana wcześniej. Ale minęły lata i już nie jestem w stanie złapać tonu tej muzyki. – Umówmy się – powiedział Bisztyga – ja wyjaśnię pańską sprawę, a pan przygotuje rzetelną ocenę i prognozę. To musi być jednak napisane naprawdę uczciwie.

**CHUDZIŃSKI: Pojawiło się zapotrzebowanie na prawdę...**

ROTFELD: Zdałem sobie sprawę, że najwyraźniej ci, którzy codziennie muszą podejmować decyzje, nie mają czasu na własne przemyślenia ani szansy na bezstronne spojrzenie całościowe. Wziąłem kartkę A4, położyłem w poziomie, podzieliłem na pół, wytypowałem dziesięć problemów wewnętrznych i zewnętrznych, z jakimi Polska jest konfrontowana. Przy każdej sprawie wypunktowałem pozytyw i negatyw. Na przykład polityka otwarcia wobec Niemiec: ponawiany był wówczas postulat, by Polska wyraziła zgodę na wyjazdy do RFN osób, które poczuwają się do przynależności do narodu niemieckiego. Pozytywna odpowiedź byłaby świadectwem respektowania praw człowieka i przejawem polityki liberalizmu. Równocześnie trzeba liczyć się z faktem, że gotowość do wyjazdu zadeklaruje wiele osób ze względów ekonomicznych – osób o najwyższych kwalifikacjach. Warto zatem zastanowić się, czy nie dojrzał czas, by nie zmuszać ludzi do wyrzekania się polskości za cenę zgody na wyjazd i zdecydować się na szersze otwarcie – przecież wszyscy z kraju nie wyjadą. Inny przykład: Polska jest krajem tranzytowym. Stwarza to możliwość czerpania określonych zysków za tranzyt, ale wymaga też wielkich nakładów inwestycyjnych w infrastrukturę – drogi kolejowe i trasy dla szybkiego transportu kołowego. Przede wszystkim wymaga odejścia od fikcyjnych niskich opłat pobieranych od naszych sojuszników.

**RATKOWSKI: Co się wyjaśniło w Pana sprawie?**

ROTFELD: Po dwóch tygodniach pojawiłem się u Bisztygi z tym materiałem. Wyjaśniał moją sprawę: – Są na pana donosy, ale tego jest dużo na każdego. Na mnie też. Najgorsze jest jednak to – a są to dwie zgodne relacje – że pan obraził naszych funkcjonariuszy na służbie! Rozmawiali z panem ludzie z MSW, a pan nie tylko odmówił wszelkiej współpracy, ale porównał Polskę do obozu koncentracyjnego, a funkcjonariuszy naszych służb do strażników w tym obozie.

Spojrzałem na niego zdumiony: – Czy pan uważa mnie za człowieka inteligentnego? Czy sądzi pan, że gdybym tak myślał, to znalazłbym sobie powierników w pracownikach MSW? W tym momencie uświadomiłem sobie, jak mogły powstać takie raporty. Przed siedmiu laty namawiali mnie do współpracy, a ja na różne sposoby próbowałem wyjaśnić, dlaczego do takiej współpracy się nie nadaję – nie mam psychicznych predyspozycji. Powiedziałem wówczas: – Gdybym chciał obrać sobie taką drogę życiową, to zgłosiłbym się sam. Rozwiązałoby to moje problemy mieszkaniowe. Ale to nie wchodziło i nie wchodzi w rachubę.

Powiedziałem, że rozumiem potrzeby państwa; każdy kraj potrzebuje policji, strażników w więzieniach i służb specjalnych. Nie nadaję się do żadnej z tych kategorii. Jest to wykluczone. Na to oni: – My od pana niczego nie oczekujemy. Oceniamy, że jest pan osobą, która do czegoś w życiu dojdzie i pańscy koledzy, znajomi czy przyjaciele za granicą też do czegoś dojdą. Za 15, 20 lat się odezwiemy, bo niewykluczone, że taki kontakt może być dla Polski pożyteczny.

**CHUDZIŃSKI: Nie pomylili się co do Pana przyszłości...**

ROTFELD: – Nie mam żadnych przyjaciół za granicą – powiedziałem. Na to oni otworzyli teczkę i pokazali mi fotokopie życzeń na Nowy Rok i Wielkanoc, które otrzymałem z zagranicy. Zachnąłem się: – Panowie, jeśli wy czytacie cudzą korespondencję, to nie mamy o czym rozmawiać! Wstałem od stolika. Podszedłem do kelnera, zapłaciłem za swoją herbatę i wyszedłem. Wiceminister wysłuchał tego i powiedział, że zrobi ze swej strony, co się da...

**KOMOROWSKI: I co załatwił?**

ROTFELD: Tak się złożyło, że rok wcześniej zdjęto Józefa Cyrankiewicza z funkcji przewodniczącego Rady Państwa i powierzono mu dekoracyjną funkcję przewodniczącego Polskiego Komitetu Pokoju. Jego współpracowniczką w tym Komitecie, pani Elżbieta Kolankowska poprosiła mnie o napisanie projektu pierwszego przemówienia dla Cyrankiewicza w nowej roli. Po namowach zgodziłem się. Była to dla mnie okazja, aby poznać osobę ze szczytów władzy i zapytać, jak to się stało, że on – przedwojenny działacz socjalistyczny – pełnił najwyższe godności w czasie stalinowskim. Po kilku dniach wręczyłem mu tekst przemówienia, z którego zresztą nie skorzystał. Spytał mnie potem, jak mi się jego własne przemówienie podobało. Odpowiedziałem, że jeszcze raz dowiódł, że jest znakomitym mówcą. On na to: – Pańskie było lepsze, ale gdybym je wygłosił, to na osobach, które siedziały w pierwszym rzędzie – a był tam Edward Gierek, Piotr Jaroszewicz i Henryk Jabłoński – mogło wywołać wrażenie, że „Cyrankiewicz jeszcze nie zrezygnował. Chce pokazać, że nie powiedział ostatniego słowa”. Tymczasem moje życie polityczne się zakończyło, chcę mieć nadal dostęp do Biuletynu Specjalnego i paszport dyplomatyczny oraz możliwość wyjazdów. – Wkrótce Cyrankiewicz wstawił moje nazwisko w skład delegacji, która miała wyjechać do Moskwy na Kongres Budowniczych Pokoju. Był to listopad 1973 roku. Polska delegacja liczyła około 400 osób. Kongres zgromadził blisko 5 tysięcy delegatów. Była czołówka ówczesnych publicystów: Rakowski, Wojna, Górnicki, Stefanowicz... Dostałem wtedy paszport ważny na 5 dni – tylko do ZSRR – z prawem jednorazowego wyjazdu. Jak gdyby w obawie, że mógłbym tam zostać...

**RATKOWSKI: Na jednym wyjeździe chyba się nie skończyło...**

ROTFELD: Niedługo potem zostałem włączony do delegacji na rokowania w Genewie, których zadaniem było uzgodnienie Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Konferencja opierała się w swej pracy na tzw. Błękitnej Księdze (Blue-Book) przyjętej przez ministrów spraw zagranicznych w Helsinkach. Mandat obejmował praktycznie wszystkie obszary życia – politykę i gospodarkę,

sprawy wojskowe i kulturę. Najwięcej uwagi państwa przywiązywały do wynegocjowania zasad, którymi będą się kierować we wzajemnych stosunkach. Wśród tych zasad i norm kluczowe i nowe były postulaty dotyczące swobód indywidualnych, w tym kontakty między ludźmi, informacja, kultura i oświata. Wszystkie sprawy podzielono na kilka rozdziałów. Nazwano je „koszykami”. Najwięcej kontrowersji było wokół „przepływu ludzi, informacji, idei” („koszyk trzeci”). Zajmowałem się tą właśnie problematyką. W tej mierze nikt wtedy nie miał doświadczenia, nie było ekspertów. Były to sprawy zupełnie nowe – jako przedmiot negocjacji.

Na początku lat 60. – jeszcze w czasach Rapackiego – wspólnie z kolegami w PISM (Andrzejem Towpikiem i Włodzimierzem Wieczorkiem) przygotowaliśmy raport na temat bezpieczeństwa europejskiego. Opracowań takich było dużo więcej. Rosjanie w 1954 roku – po śmierci Stalina – wysunęli koncepcję zwołania Konferencji Bezpieczeństwa w Europie. Była to próba zablokowania wejścia RFN do NATO. Francja wysunęła wtedy projekt Europejskiej Wspólnoty Obronnej, którą zresztą francuski parlament odrzucił. Niemcy zostały przyjęte do NATO. W odpowiedzi 14 maja 1955 roku powołano Układ Warszawski.

W naszej ekspertyzie dla Rapackiego sugerowaliśmy, by nawiązać do starej koncepcji z 1954 roku i zaproponować zwołanie innej konferencji, która mogłaby zapoczątkować proces porządkowania europejskich spraw. W 1964 roku Adam Rapacki wystąpił w ONZ. Poparł radziecką propozycję zwołania europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy i dodał: – Oczywiście z udziałem Stanów Zjednoczonych i ZSRR. To krótkie sformułowanie oznaczało, że Polska opowiada się za udziałem Stanów Zjednoczonych w rozwiązywaniu problemów europejskich. Rosjanie początkowo chcieli, by konferencja była bez Amerykanów. Rapacki natomiast powiedział oficjalnie, że pozycja USA jest w Europie równoprawna do tej, jaką ma ZSRR. Po dłuższym czasie, już po normalizacji stosunków ZSRR i Polski z Niemcami Zachodnimi, droga do ogólnoeuropejskiej konferencji została otwarta. Śledziłem ten proces z pozycji analityka. Miałem świadomość, że „sprawa niemiecka” będzie mogła być rozwiązana w ramach procesu europejskiego.

**CHUDZIŃSKI: No i wreszcie mógł Pan konfrontować swoje wyobrażenia z realiami.**

ROTFELD: Moje pierwsze dyplomatyczne doświadczenie było dość szokujące. Przed wejściem na salę obrad, gdzie miało być kolejne posiedzenie dotyczące „trzeciego koszyka”, była przy oknie wnęka ze stolikiem – tam zorganizowano *ad hoc* wewnętrzne konsultacje delegacji państw Układu Warszawskiego. ZSRR reprezentowali Supagin (był równocześnie dyrektorem generalnym bodaj GosKoncerta) i Możajew (pracował w UNESCO). Poinformowali, że Polska zgłosi dziś propozycję dotyczącą kontaktów międzyludzkich. Wręczyli mi tzw. *non-paper* – cztery linijki napisane po rosyjsku jako propozycję, którą miałbym zgłosić wspólnie z Bułgarami. Nikt nigdy mi nie powiedział, jak przebiegają takie wielostronne konsultacje. Miałem jednak świadomość, że jeśli się zgodzę na taką rolę, będzie to precedens. Popatrzyłem na otrzymaną

kartkę i powiedziałem: – Propozycja interesująca, ale nie mogę jej zgłosić bez zgody Warszawy. Do zgłoszenia jakichkolwiek tekstów muszę mieć odpowiednią instrukcję.

– Jaką instrukcję? – Powtórzyłem: – Nie mam prawa zgłaszać żadnych propozycji bez zgody Warszawy. – A kiedy ta zgoda będzie? – Jest poniedziałek. Wcześniej niż do końca tygodnia nie otrzymam odpowiedzi. – Na to Supagin: – W takim razie zgłosi projekt Bułgaria, bo propozycja miała być polsko-bułgarska. – O tym, że dostałem od was taką propozycję, też muszę poinformować Warszawę. Zrobiłem siedem kopii i rozdałem wszystkim uczestnikom spotkania. Przedtem kartkę widzieli tylko Rosjanie i ja. W tym momencie zobaczyłem w oczach Rumuna wsparcie, Węgier patrzył z życzliwym zainteresowaniem, a Niemiec z NRD, Bułgarzy i Czesi demonstrowali dezaprobatę.

**KOMOROWSKI: Stawiał Pan w dyplomacji pierwsze kroki...**

ROTFELD: Pomyślałem wtedy: niedługo trwała ta moja dyplomatyczna kariera. A tyle osób angażowało się w to, abym mógł wyjechać... Wszedłem na salę. Usiadłem na miejscu z napisem „Pologne”. Po chwili podszedł do mnie młody asystent z radzieckiej delegacji z informacją, że szef delegacji Anatolij Kowalow, wiceminister spraw zagranicznych uważa, że należy poczekać na decyzję Warszawy. Taki był początek...

Następnego dnia dowiedziałem się, że z upoważnienia grupy NATO problemami kontaktów między ludźmi zajmuje się przedstawiciel Wielkiej Brytanii, Michael Alexander. Umówiliśmy się na lunch w podgenewskiej wiosce, po drodze na lotnisko. Alexander spytał: – Masz jakąś propozycję? Odpowiadam: – Nie mam, ale Rosjanie mają. – Pokazałem mu Spojrzał na kartkę i zaczął się śmiać. Też się uśmiechnąłem i zaproponowałem: – Napiszmy razem krótki tekst. Jeśli będzie to propozycja polsko-brytyjska, nikt nie będzie oponować, bo uznają, że zostało to uzgodnione na najwyższym szczeblu. Przygotowaliśmy taki tekst – niecałe trzy wiersze. Dostałem zgodę szefa delegacji i Warszawy. Był do przyjęcia dla wszystkich, Były to pierwsze trzy wiersze uzgodnione w ramach Aktu Końcowego KBWE!

Tak się zaczęła moja praca negocjatora. Gdybym był zawodowym dyplomata, zapewne tak nie zachowałbym się. Wiedziałbym, jaki jest tryb i procedury postępowania w takich sytuacjach.

Ciąg dalszy tej historii był następujący. Wiele lat później, kiedy już byłem dyrektorem Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem (SIPRI), moja amerykańska sekretarka zasygnalizowała, że dzwonił Alexander. Wkrótce przyszedł e-mail. Nadawca przypomniał, żeśmy się przed laty spotkali w Genewie. Michael został ambasadorem Wielkiej Brytanii w Moskwie i przy ONZ. Królowa nadała mu tytuł szlachecki. Sir Alexander informował, że pisze książkę poświęconą KBWE i chciałby, abyśmy napisali ją wspólnie. Z braku czasu nie przystałem na ten pomysł. Po jego śmierci, przed dwoma laty zadzwonił Richard Davy, kiedyś naczelny redaktor dziennika „Times”. Powiedział, że Alexander w testamencie jemu powierzył zadanie, by skończył tę książkę, a gdy będzie miał wątpliwości, to sugerował, by się kontaktował ze mną...



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

**CHUDZIŃSKI: I tu nasuwa się ważne pytanie: jaki był w istocie zakres zwasalizowania Polski w sferze polityki zagranicznej?**

ROTFELD: Odpowiedzią na to pytanie jest mój rozdział w książce pt. *European Détente: A Reappraisal*, która ukazała się pod auspicjami Chatham House – Królewskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych w Londynie w 1992 roku. Jej redaktorem był wspomniany Richard Davy. Chciał, żebym napisał, jak lata odprężenia w polityce międzynarodowej wyglądały z polskiego punktu widzenia. Podjąłem próbę takiej analizy i oceny, która miała dać odpowiedź na pytanie: Polska była krajem suwerennym czy niesuwerennym, o ograniczonej suwerenności czy totalnie satelickim? Doszedłem do wniosku, że w zależności od okresu historycznego Polska prowadziła zróżnicowaną politykę zagraniczną. W pierwszym okresie Rosjanie narzucili nie tylko ustrój, ale także własną ekipę, która tę politykę realizowała. Na ten temat napisano tomy.

Polecam dwie prace wydane w Moskwie. Przed kilkoma tygodniami ukazała się książka wiceprzewodniczącego Stowarzyszenia „Memoriał” Nikity Pietrowa pt. *Według scenariusza Stalina. Rola organów NKWD – MBP ZSRR w sowietyzacji państw Europy Środkowej i Wschodniej 1945-1953* (Moskwa 2011). Jak w żadnej innej monografii uzyskaliśmy dzięki autorowi udokumentowany wgląd, jak służby specjalne Berii kształtowały nowe państwo całkowicie zależne od Moskwy. Inną bezcenną publikacją w tym względzie jest zbiór dokumentów pt. *ZSRR – Polska. Mechanizmy podpo-*

*rządkowania 1944-1949 (SSSR – Polska. Mechanizmy podczinienia)*, która ukazała się w Moskwie w połowie lat 90. (1995).

W latach 1944/45 całkowicie arbitralnie i na zasadzie ręcznego sterowania, terroru i strachu odbywało się kształtowanie państwa wasalnego. W tym pierwszym etapie Stalin nie miał jeszcze ostatecznie wykrystalizowanej koncepcji, jak będzie wyglądała zależność państw satelickich od Rosji. Co więcej, po roku czy dwóch okazało się, że w obozie władzy pojawiły się różne frakcje, a Gomułka miał ambicje pójścia „polską drogą do socjalizmu”. Zaangażował się też jako wicepremier w integrację ziem zachodnich i północnych. Często nie zdajemy sobie sprawy, że – niezależnie od swego charakteru autokraty i niezrozumienia czasów, potrzeb i wyzwań, przed jakimi stała Polska po wojnie – wniósł ważny wkład w umocnienie polskiej granicy zachodniej. Na temat granicy wschodniej w ogóle nie było dyskusji. W głównym zarysie została ona wytyczona w Pakcie Mołotow-Ribbentrop i po inwazji radzieckiej 17 września 1939 roku. Natomiast ziem zachodnich Polska nie otrzymałaby bez woli Stalina, który nie tyle chciał silnej Polski, co dążył do osłabienia Niemiec powojennych. Gdyby Polska – choćby najbardziej demokratyczna – była wówczas częścią „Zachodu”, to Anglia i USA nigdy nie zgodziłyby się na oderwanie od Niemiec tak dużej części terytorium. Zachód chciał Niemcy wzmacniać. Jego przywódcy uważali, że w sposób nieuchronny zbliża się konfrontacja i starcie ze Związkiem Radzieckim. Churchill i Truman



do końca starali się storpedować wstępną formułę z sierpnia 1944 roku co do przebiegu naszej granicy zachodniej. Racje polityczne i sprawiedliwość były po naszej stronie. Cena tego nabytku terytorialnego była ogromna.

**RATKOWSKI: Ale była to cena i tak już zapłacono w ogromnej części!**

ROTFELD: Była to cena krwi i utraty ziem na wschodzie. Zasługi Gomułki w tym względzie nie są dziś należycie docenione. Jako wicepremier do spraw zagospodarowania „Ziem Odzyskanych” miał odwagę bronić przed Rosjanami gospodarki i wywożonego mienia, a zarazem tworzył warunki do zasiedlenia tych ziem przez Polaków. W późniejszych latach, gdy dowiedział się, że Rosjanie w tajemnicy rozmawiają z Niemcami i że toczy się niejawną dialog, do którego prowadzenia Chruszczow oddelegował swego zięcia, a zarazem naczelnego redaktora „Izwestij” – Adzubeja – Gomułka doszedł do wniosku, że szykuje się nowe Rapallo! Oczywiście nowe Rapallo nie było możliwe, ale Gomułka uważał, że zbliżenie niemiecko-rosyjskie odbędzie się polskim kosztem. Gdy dowiedział się, że Egon Bahr pojechał do Moskwy z poufną misją zawarcia porozumienia *O wyrzeczeniu się użycia siły*, a tylko jeden z 10 punktów jego planu miał dotyczyć potwierdzenia granicy na Odrze i Nysie – to postanowił działać. 17 maja 1969 roku wygłosił w Warszawie pamiętne przemówienie, w którym wyraził gotowość rozmów z RFN bez warunków wstępnych.

Cyrankiewicz mówił o Gomułce, że to „siermiężny Piłsudski”. Opowiadał mi, że spytał Gomułkę tego dnia rano, czy kontaktował się z Rosjanami. Nieco zacietrzewiony Gomułka – według Cyrankiewicza – zareagował gwałtownie: – A oni się ze mną kontaktowali, kiedy negocjowali z Bahrem? – Ostatecznie Gomułka i Cyrankiewicz skorzystali z pośrednictwa Michała Hofmana, redaktora naczelnego Polskiej Agencji Prasowej, który przesłał tekst Gomułki do agencji TASS z prośbą, by przekazali dalej. Formalnie rzecz biorąc, Rosjanie otrzymali tekst „przed jego wygłoszeniem”.

Gomułka nie chciał, aby polityczną i prawną podstawą granicy było porozumienie Niemiec z Rosją, a nie z Polską. Przemówienie na Żeraniu było punktem wyjścia do negocjacji polsko-niemieckich, które skończyły się praktycznie w lipcu 1970 roku. Teraz z kolei Gomułka wykazał pewną powściągliwość i mądrość polityczną. Uznał, że Polska nie powinna zawierać porozumienia przed Rosjanami. Ostatecznie Rosja podpisała swój układ 12 sierpnia, a Polska – po uzgodnieniu jeszcze kilku towarzyszących dokumentów – podpisała układ 7 grudnia 1970 roku. Paradoks czy też grymas historii sprawił, że największy życiowy sukces Gomułki zbiegł się z jego upadkiem. Człowiek, który jesienią 1956 roku miał poparcie całego narodu – odchodził w niestawie w tydzień po podpisaniu Układu. Przyczyną nie była polityka zagraniczna, ale sytuacja wewnętrzna w kraju.

**CHUDZIŃSKI: To dowodzi, że w polityce zagranicznej pole manewru było raz większe, raz mniejsze.**

ROTFELD: Zależność od Rosji była wieloraka na różnych etapach powojennej historii: całkowita w pierwszych dwóch latach, ale mniejsza w latach 1947-1948, kiedy kilku polskich polityków łudziło się, że

można będzie skorzystać z „planu Marshalla”, co stworzyłoby dla Polski jakościowo nową sytuację. Jednak po kryzysie jugostowiańskim i zerwaniu Josipa-Broz Tity ze Stalinem, pełnia władzy znalazła się w rękach Bieruta, całkowicie od Rosjan zależnego, wspieranego w kraju przez Bermana i Minca. Wszyscy oni odegrali bardzo negatywną rolę. Historycy twierdzą, że doradcą Bieruta był jakiś rosyjski pułkownik z NKWD, z którym w podejmowaniu decyzji Bierut się nie rozstawał. Polityka Gomułki była całkiem inna.

Po odwołaniu Gomułki z funkcji sekretarza generalnego KC PPR, Stalin przekonywał go, by pozostał w kierownictwie PZPR. Jednak Gomułka w liście odręcznie napisanym do Stalina stwierdził, że jego autorytet w partii został poderwany do tego stopnia, że nie może i nie chce pozostać w tym gronie. Gomułka był człowiekiem o silnym charakterze. Ogromnie apodyktyczny, uparty i arbitralny. Popełniał wiele błędów, ale odwaga i niezłomność w latach 40. zapewniły mu po Październiku ogromne społeczne uznanie i poparcie, jakim nie cieszył się żaden przywódca.

**KOMOROWSKI: Co się zmieniło po Październiku?**

ROTFELD: Przełomem był XX Zjazd KPZR – z marca 1956 roku. W kilka miesięcy później doszło do czerwcowego buntu i powstania robotników w Poznaniu. Oczekiwania społeczne w Polsce były ogromne. Zachód, a szczególnie socjaldemokracja europejska życzliwie reagowały na polskie zmiany. Dobrze przyjęty był nowy szef dyplomacji – socjalista Adam Rapacki – znany i szanowany na Zachodzie. Rapacki zaczął delikatną grę. Nie chciał przekraczać pewnych granic, ale w sprawach dla Polski ważnych starał się prowadzić politykę w miarę samodzielnie. Fakt, że Polska brała na siebie główny ciężar werbalnej konfrontacji z Niemcami Zachodnimi był dla ZSRR wygodny. Była to gwarancja, że zależność Polski od Rosji pozostanie niezmienna. W sprawie granicy zachodniej Polska nie miała alternatywy. Moskwa była jedynym gwarantem tej granicy. Rapackiemu i Gomułce wydawało się oczywiste, że granica na Odrze i Nysie może być utrzymana tylko wtedy, kiedy Niemcy są podzielone.

Innymi słowy, Polska była niejako skazana na politykę utrwalania *status quo* i utrzymania podziału Niemiec. To trwało dość długo. „Plan Rapackiego”, wysunięty w 1957 i 1958 roku, a rozwinięty w roku 1962, formalnie dotyczył utworzenia w Europie Środkowej strefy bezatomowej. Obejmowałaby ona terytoria obu państw niemieckich, Czechosłowacji i Polski. Miał jednak ten plan drugie dno. Interesujące jest to, że opinia publiczna ani eksperci nie wydobywali tego, co było istotą tej inicjatywy. Również obecne podręczniki historii i opracowania nie dostrzegają, że sprawa dezatomizacji tego obszaru była jedynie rakieta nośną – wehikułem.

Gomułka, Rapacki i jego otoczenie – Przemysław Ogrodziński, Manfred Lachs – nie byli ludźmi naiwnymi. Przeciwnie, reprezentowali wysoki profesjonalizm i kierowali się racją stanu tak, jak ją wtedy rozumieli. Szukali formuły, która pozwoliłaby – jak mówią Anglicy – „zjeść ciastko i zachować je”. Rapacki nie miał wątpliwości, że Stany Zjednoczone nie zgodzą się na utworzenie strefy bezatomowej w Europie. Jednak sama debata na temat statusu Europy Środkowej obejmującej RFN,

NRD oraz Polskę i Czechosłowację stwarzała nowe pole manewru – płaszczyznę politycznej gry, zgodnie z którą państwa Europy Środkowej nie byłyby zależne wyłącznie od Moskwy, ale uzyskiwałyby swoisty międzynarodowy status. Oznaczało to, że jeśli dojdzie do rozmów, to Niemcy Zachodnie w jakiejś pośredniej formie uznają NRD. Innymi słowy, projekt strefy bezatomowej miał utrwalić podział Niemiec oraz ustanowić w Europie obszar poddany międzynarodowej kontroli z udziałem Stanów Zjednoczonych i innych mocarstw zachodnich.

**RATKOWSKI: Co zatem było najistotniejsze w Planie Rapackiego?**

ROTFELD: Kluczowym słowem i głównym postulatem było „utrwalenie terytorialno-politycznego *status quo*”. Oznaczało to utrwalenie granic ustalonych po II wojnie światowej oraz przemian ustrojowych. Myśl Rapackiego poprzedzała w pewnym sensie koncepcję Egona Bahra, którą w 1963 roku przedstawił on w swoim przemówieniu wygłoszonym w świątyni ewangelickiej w Tutzing w Bawarii. Istotą koncepcji Bahra była *ewolucja poprzez zbliżenie*. Bahr postulował: by doprowadzić do przewyższenia podziału, trzeba najpierw uznać realia, czyli akceptować *status quo*. „Nie możemy zjednoczyć Niemiec bez zbliżenia z NRD i zbliżenia z Europą Środkową”. Z kolei praktyczna realizacja koncepcji Gomułki i Rapackiego zakładała, że po zawarciu porozumień z Niemcami spełnione będą inne polskie postulaty: uznanie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej; uznanie *de facto* NRD; uznanie układu monachijskiego za nieważny od samego początku oraz wyrzeczenie się broni jądrowej przez RFN i zaakceptowanie specjalnego statusu Berlina Zachodniego. We wszystkich tych sprawach w latach 1970-74 zostały zawarte porozumienia. Układy te otwierały drogę do Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy, która odegrała wówczas fundamentalną rolę w Europie Wschodniej – zapoczątkowała proces przemian wewnętrznych. Kraje Europy Środkowej i Wschodniej przyjęły zobowiązania o charakterze wielostronnym, które z jednej strony umożliwiły stopniowe odzyskiwanie niezależności, a z drugiej – w wyniku zmian wewnętrznych – sprzyjały kształtowaniu się demokratycznej opozycji, legitymizowały jej działalność i stwarzały swoisty dla niej zewnętrzny parasol ochronny.

**CHUDZIŃSKI: Jak Polska te szanse wykorzystała?**

ROTFELD: Akt Końcowy KBWE z Helsinek miał być dla Moskwy namiastką traktatu pokojowego z Niemcami. Równocześnie zobowiązania te otwierały dla społeczeństwa Polski i innych państw naszego regionu możliwości otwarcia na Zachód – nie tylko utrwały *status quo*, ale były zapowiedzią zmiany. W istocie był to proces, którego normy i zasady odpowiadały na pytanie: *how to manage the change*, czyli jak zarządzać zmianami – jak zapewnić to, że zmiany nie wymkną się spod kontroli. Bezpieczeństwo europejskie wymagało takich ram oraz idei organizującej, które określałyby kierunki zmiany i respektowanie uzgodnionych zasad.

Językiem polityki jest działanie. Kiedy mówimy o roli Gomułki w utrwaleniu polskiej obecności na ziemiach zachodnich i północnych, to nie wolno zapomnieć o tym, że na długo przed konferencją w Helsinkach gotowość otwarcia wobec Niemiec zasygnalizowali

polscy biskupi swoim orędziem: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Gomułka nie chciał, by główną siłą i partnerem w rozmowach z Niemcami był Kościół. Reagował w typowy dla siebie sposób – napastliwy, obraźliwy i histeryczny. Cały 1966 rok upłynął pod znakiem rywalizacji, czy Polacy będą obchodzić *Tysiąclecie* – jak to głosił Gomułka, czy *Millenium* – jak to ujmował kardynał Wyszyński...

**CHUDZIŃSKI: Istotą mądrej polityki zagranicznej i chyba każdej polityki w ogóle jest reagowanie na zmiany, umiejętność dostosowania się do zmieniającego się świata – tego, który Pan nazywa „światem niepewnym”.**

ROTFELD: Wielkimi politykami i mężami stanu są przywódcy, którzy nie tylko reagują, ale kreują – są nie tyle reaktywni, co kreatywni. Od 1989 roku główną kategorią w polityce, słowem-kluczem nie jest *status quo*, jak to było w czasie zimnej wojny, ale *zmiana*. Prawdziwa polityka zagraniczna nie może być tylko dostosowywaniem się do zmian. Musi je wyprzedzać i nimi sterować. Zmiany mogą przecież potoczyć się w różnych kierunkach. Ewenementem jest to, że zmiany w naszym regionie miały przebieg pokojowy i w zasadzie bezkrwawy. Ale przecież mogło zdarzyć się inaczej. Dowodem choćby wojna na Bałkanach czy niewygaszone konflikty na Kaukazie Północnym.

Bezpieczeństwo dla wielu polityków jest tożsame ze stabilnością. Z kolei stabilność często mylą ze stagnacją. Sytuacja w krajach arabskich była w oczach tych polityków bardzo stabilna. Nie zrozumieli w porę, że w całym świecie arabskim podskórnie narasta wybuch. Inaczej było w naszej części świata. Gorbaczow miał odwagę powiedzieć, że król jest nagi i zmiana jest konieczna – czas na *perestrojkę*. Nie chciał jednak zmieniać systemu. Jego ambicją i celem było ten system ulepszyć, ale uruchomił proces, który prowadził do zmiany znacznie głębszej.

Jelcyn był zaprzeczeniem Gorbaczowa. Uważał, że ten system wyczerpał swoje siły motoryczne i wymaga radykalnego zerwania z komunistyczną przeszłością. Dziś świat i Rosja stoją przed innymi wyzwaniami. Jeśli mamy uniknąć globalnego kryzysu, to stoimy wobec konieczności wyprzedzenia zmian. O całym systemie światowym nie decydują dziś zmiany między państwami, lecz te, które zachodzą wewnątrz państw. Stany Zjednoczone są słabsze nie dlatego, że przegrywają jakieś wojny, bo przecież militarnie są w stanie z każdym wojnę wygrać. Są one słabsze wewnętrznie. Huragan Katrina uświadomił Amerykanom, że USA są nadal potężne, ale nie są już wszechpotężne. Rosja nie dlatego jest słabsza, że ma za mały potencjał broni jądrowej, ale dlatego, że jej system wewnętrzny, sposób zarządzania społeczeństwem i gospodarka nie nadążają za potrzebami wewnętrznymi i za innymi krajami. Polska nie dlatego jest dziś silniejsza, że ma potężną armię, bo przecież nie ma – ale polska gospodarka okazała się bardziej elastyczna niż w innych państwach Unii i niż wielu przypuszczało. Sprawia to, że Polska liczy się w Europie i na świecie bardziej niż miało to miejsce w przeszłości. O naszej pozycji stanowią dziś mądre sojusze – Unia i NATO – oraz przyspieszony rozwój. Wypadamy dobrze – nie tylko na tle innych państw naszego regionu, ale w skali ogólnoeuropejskiej.

Powtarzam: sprawy wewnętrzne mocniej dziś wpływają na stosunki międzynarodowe niż odwrotnie. Wielu ekspertów i polityków nie uwzględnia tego w swoich prognozach dotyczących przyszłości świata. Chiny stały się światowym mocarstwem nie tyle dzięki potencjałowi militarnemu, który nadal ustępuje potencjałowi rakietowo-jądrowemu Rosji, ani dlatego, że mają wielkomocarstwowe ambicje, ale dlatego, że ich gospodarka odnotowuje od wielu lat rocznie dziesięcioprocentowy wzrost. To samo dotyczy Brazylii i Indii. Państwa te ani oddzielnie, ani łącznie nie zdobyły do tej pory tej pozycji, jaką ciągle zajmują Stany Zjednoczone. Trzeba pamiętać jednak, że o ich przyszłości zadecyduje ich rozwój wewnętrzny. Dotyczy to również Unii Europejskiej. Jeśli Unia nie zdoła rozwiązać kryzysu w Grecji, to nie można wykluczyć, że rozpocznie się powolny proces dezintegracji i marginalizacji Europy. Doświadczenia 60 lat i fakt, że Unia wykazała nadspodziewanie wielką elastyczność na wszystkich etapach swojego rozwoju budzą nadzieję i optymizm. Unia jest w istocie w skali świata jakościowo zupełnie nowym doświadczeniem – jest to zwierzę polityczne, którego w historii jeszcze nie było. Jednak nic nie jest przesądzone ani dane raz na zawsze.

**CHUDZIŃSKI: To jakie perspektywy ma Unia Europejska? I co nam jeszcze zgotuje XXI wiek w sensie globalnym?**

ROTFELD: Fakt, że Unia funkcjonuje, jest swoistym cudem. Nikt nie wyobrażał sobie, że jest możliwa wspólna waluta bez wspólnej polityki fiskalnej. W Unii Europejskiej to jakoś funkcjonowało. To nie znaczy, że taki fenomen jest trwały i będzie funkcjonować w przyszłości. Mówię o tym w kontekście polityki zagranicznej. Narzuca się pytanie, czy jest możliwa wspólna polityka zagraniczna i bezpieczeństwo, jeśli państwa unijne w obu tych obszarach nadal utrzymują własne polityki narodowe? Wspólna polityka zagraniczna wymaga poczucia wspólnoty opartej na nowej europejskiej tożsamości. Otwarte pozostaje pytanie: czy Europa dojrzała do tego typu wspólnotowego myślenia? W tej mierze czynnikiem rozstrzygającym może okazać się sytuacja kryzysowa i wspólne zagrożenie. Musimy być innowacyjni i kreatywni, by reagować w sposób skuteczny i adekwatny do nowych rodzących się niebezpieczeństw.

Główną sprzeczność współczesnego świata upatruję w trudności harmonijnego ułożenia stosunków między narodami i państwami – z jednej strony oraz społeczeństwami i społecznościami międzynarodową – z drugiej. Sprzeczności i napięcia między tymi fundamentalnymi kategoriami: organizacją narodo-państwową a otwartym społeczeństwem i społecznością międzynarodową zapewne określą przyszłość świata.

Świat zmienia się znacznie szybciej niż nasza zdolność percepcji i przetrwania tych zmian. Nie uświadamiamy sobie do końca, jak rewolucyjne znaczenie dla polityki zagranicznej mają niewyobrażalnie duże możliwości równoczesnego przenoszenia informacji do miliardów odbiorców. Warto pamiętać, że kluczowa dla rozwoju gatunku *homo sapiens* była i pozostaje zdolność do niegenetycznego przekazywania informacji. Powszechny dostęp do tych informacji zmienia sposoby podejmowania decyzji i „odczarowuje” swoisty urok władzy, która od czasów faraonów dysponowała

monopolem informacyjnym. Polityka przestała być wyłączną domeną dyplomatów i zawodowych polityków. Państwo straciło monopol i kontrolę nad procesem kształtowania stosunków między narodami. Tworzą się nowe sieci społecznościowe i społeczności informatyczne. Procesowi integracji towarzyszy nie tylko fragmentaryzacja, ale atomizacja społeczeństw. Są to procesy nie tylko ważne, ale groźne. Ich skutków nie jesteśmy w stanie do końca przewidzieć.

Źródłem zagrożeń są dziś w większej mierze państwa słabe i upadłe niż wielkie mocarstwa. Obszary niekontrolowanej biedy są większym zagrożeniem niż silne potęgi militarne. Ogniska zapalne we współczesnym świecie są często wynikiem działania jednostek i pozarządowych struktur, które wymykają się spod kontroli, a nie – jak to było w przeszłości – zorganizowane i silne agresywne państwa. Niekonwencjonalne zagrożenia wymagają niekonwencjonalnych odpowiedzi.

**RATKOWSKI: Ślepotą naszych polityków i naszych mediów jest czasami zawstydzająca. Żadna gazeta nie zauważyła moim zdaniem najważniejszego wydarzenia w czasie wizyty Obamy w Polsce, a mianowicie obecności na spotkaniu prezydentów także Janukowycza. To niemal demonstracja niezależności Kijowa od Moskwy.**

ROTFELD: Dotknął pan ważnej kwestii, mianowicie nie tyle tabloidyżacji, co infantylizacji prasy i politycznych komentatorów. Jest to zjawisko bardziej niepokojące niż tabloidyżacja. Infantylicyzacja wyraża się w połączeniu niskiego poziomu profesjonalizmu z brakiem odpowiedzialności. Jeden z publicystów na łamach poważnej gazety pisze, że Polska popełniła błąd w czasie drugiej wojny światowej, bo zamiast Hitlerowi – udzieliła poparcia Stalinowi. Gdyby bowiem Hitler zwyciężył z naszym poparciem, to przyjmowalibyśmy wspólnie defiladę na Placu Czerwonym... Inny z kolei dowodzi, że wartość Powstania Warszawskiego polega na tym, że... powstrzymało pochód Stalina na Zachód. Zapewne nie wie, że taki właśnie był ton antypolskiej propagandy Stalina, który tym argumentem uzasadniał powstrzymanie ofensywy na prawym brzegu Wiśły.

Można powiedzieć, że myślenie ma przyszłość, ale głupota jest bezgraniczna. Środki masowego przekazu, a zwłaszcza internet otworzyły tamę, którą wyznaczało kiedyś poczucie odpowiedzialności autora i redaktora. Anonimowość komentarzy w internecie w połączeniu z nieograniczonym dostępem do informacji dawniej tajnych oraz wrażliwych danych sprawiają, że ta forma komunikowania się urasta do rangi nowego źródła zagrożeń...

**CHUDZIŃSKI: Jeszcze, Panie Profesorze, niejedną brednię przeczytamy i usłyszymy. Na to chyba nie ma rady. My ze swej strony pięknie dziękujemy za to, że przyjechał Pan specjalnie do Krakowa, aby z nami porozmawiać.**

**Rozmawiali:  
EDWARD CHUDZIŃSKI  
ADAM KOMOROWSKI  
FILIP RATKOWSKI**

Kraków, 22 czerwca 2011 r.



MAREK ZAGAJEWSKI

# DEMOKRACJA BEZ LUDU

Zdrowie demokracji, każdego typu i każdego stopnia, zależy od jednego drobnego szczegółu technicznego, a mianowicie: procedury wyborczej. Cała reszta, to sprawy drugorzędne. Jeśli system wyborów działa skutecznie, jeśli dostosowuje się do wymogów rzeczywistości, to wszystko jest w porządku, natomiast jeśli tego nie robi, to demokracja zaczyna się walić, chociażby cała reszta działała bez zarzutu.

*José Ortega y Gasset<sup>1</sup>*

## Ziarna protestu

Sejm został zdobyty przez lud, tym razem Palikotowy, który wywalczył swoją dziesięć władzy. Co prawda 40 posłów, w tym 23 raczej mniejszych niż większych przedsiębiorców, nie stanowi zbyt wielkiej siły, ale stanowi znakomity punkt startu. Nie oznacza to rzecz jasna końca walki o władzę, ale na początek uchwycenie przez Ruch Palikota solidnego przyczółka. Pojawienie się w Sejmie ekipy „sztukmistrza z Lublina”, złożonej na dodatek w większości z głęboko wierzących katolików i jej niewątpliwy sukces wyborczy wywołał całkowicie zrozumiałe powszechne oburzenie rodzimych elit, skoro przedustanowiony porządek polityczny takiego tworu nie przewidywał. Tymczasem Janusz Palikot, korzystając z nowoczesnych środków komunikacji interpersonalnej praktycznie w ciągu roku *ex nihilo* w internecie powołał do życia społeczny ruch o ambicjach politycznych w proteście przeciwko zaprzeczającej swemu mianu demokracji parlamentarnej *made in Poland*.

O tym, że dla Ruchu Palikota najważniejsza jest realna władza pokazuje chociażby świadoma rezygnacja z walki o Senat, sławetną „izbę zadumy” i miejsce dwuznacznych rozgrywek i legislacyjnych kombinacji rządowych. A że sprawa jest poważna, zdaje się świadczyć natychmiastowe pojawienie się na „scenie politycznej” nieznanego bliżej z lewicowych poglądów Aleksandra Kwaśniewskiego w znanej od wielu lat roli zarządcy lewicowej przestrzeni publicznej.

Ruch Palikota przedstawia sobą szereg atrakcji jako mieszczański, raczej w wersji drobnej, ruch protestu społecznego o charakterze liberalnym, czego istniejące dotąd w naszym kraju partie polityczne nie są w stanie zapewnić. W tym sensie jest to wyrosły ze swego rodzaju wewnątrz systemowego buntu reformistyczny ruch oparty na akceptacji gospodarki kapitalistycznej i demokracji parlamentarnej, z których należy usunąć „wypaczenia” i nadać im cywilizowany charakter.

Zebrani w wypełnionym po brzegi klubie Reduta Banku Polskiego na Bielanach w Warszawie zwolenni-

cy Palikota po ogłoszeniu prognozowanych tuż po zakończeniu wyborów znakomitego dla nich wstępnego wyniku z entuzjazmem powtarzali za swoim przywódcą rotę przysięgi: „My, ludzie Ruchu Palikota, zobowiązujemy się być wierni idei nowoczesnego państwa, państwa świeckiego, społecznego, obywatelskiego i przyjaznego. Tej nadziei nie zawiedziemy”. Można się domyślać, że uczestnicy tego wydarzenia poczuli na sali powiew wolności i świeżości. Ważne i ciekawe będzie przełożenie tych ogólnych haseł na konkretne reformy naszego systemu politycznego, który w tej postaci jest nie do utrzymania jeśli zważyć, jak ograniczona jest identyfikacja Polaków z państwem. Mimo upływu ponad dwudziestu lat od pierwszych półdemokratycznych wyborów i wprowadzenia wielu zmian, dla bardzo wielu obywateli bojkot wyborczy jest jedyną formą wyrażania stosunku do polityki. Bez demokratyzacji naszego parlamentaryzmu nie jest możliwy rozwój społeczeństwa obywatelskiego, którego stan znajduje się obecnie w dolnej strefie stanów niskich.

W tym kontekście przypomina się stara uwaga młodego Marksa z *Manifestu Partii Komunistycznej*, który nader stanowczo zarzucał ówczesnym „prawdziwym” socjalistom niemieckim uprawianie przez nich krytyki liberalnego ruchu politycznego zamiast wspólnej walki przeciw feudałom i absolutnej władzy monarszej o „nowoczesne społeczeństwo burżuazyjne”. Należy wyjaśnić, że terminu „kapitalizm” Marks nie używał także wtedy, kiedy on już się upowszechnił, posługując się przywołaną formułą „nowoczesnego społeczeństwa burżuazyjnego”. Późniejszy autor *Kapitału* uważał za głęboko niestuszne rzucenie przez socjalistów „tradycyjnej klątwy na liberalizm, na państwo parlamentarne, na burżuazyjną konkurencję, burżuazyjną wolność prasy, burżuazyjne prawo, burżuazyjną wolność i równość”<sup>2</sup>.

Jak widać, Marks terminy „liberalny” i „burżuazyjny” używał zamiennie i z sympatią opowiadając się jednoznacznie za poparciem burżuazyjnego ruchu protestu, którego sukcesy mogły jedynie przynieść korzyści „masom ludowym”. Jako najbliższe zadanie rewolucyjnych przemian w ówczesnych Niemczech połowy XIX wieku widział on ukształtowanie „nowoczesnego społeczeństwa burżuazyjnego”, w którym występują stosunkowo wysokie materialne warunki życiowe i liberalna konstytucja polityczna. Dalszy bieg zdarzeń wykazał, że ruch liberalny bez socjalistów radzi sobie zupełnie nieźle, odwrotnie do ruchu socjalistycznego, który odrzucając liberalny punkt odniesienia wpadał zwykle w pułapkę sławetnych „błędów i wypaczeń” kończąc wykołajaniem na manowcach procesu historycznego. Polska po dziesięcioleciach panowania kapitalizmu państwowego pod

<sup>1</sup> J. Ortega y Gasset, *Bunt mas i inne pisma socjologiczne*, przeł. P. Niklewicz i H. Woźniakowski, Warszawa 1982, s. 192.

<sup>2</sup> K. Marks i F. Engels, *Manifest Partii Komunistycznej*, MED, t. 4, wyd. drugie poprawione, Warszawa 1986, s. 673-674.

szylde PRL, w warunkach państwa wyjątkowego zdaje się mieć przed sobą, z zachowaniem wszelkich proporcji, podobne zadania wymagające połączenia liberalnych i lewicowych ruchów protestu społecznego. Wiąże się z tym pewne ryzyko, bowiem jeśli tylko liberalom udawało się przetrwać owo spotkanie, co nie zawsze się udawało, to w dalszej kolejności mieli wielkie szanse na całkowite wchłonięcie ruchu socjalistycznego w swoje szeregi.

Wracając do Palikota należy podkreślić, że podstawę swej działalności politycznej upatrywał on w ruchach protestu społecznego. W tej kwestii ważnym punktem odniesienia stało się dla niego emocjonalnie rozbudzone „pokolenie JP II”, które z religijnym zapałem młodości artykułowało, także w sporze z hierarchicznym układem wspólnoty katolików, antyinstytucjonalny i antyklerykalny rys poglądów i działań Karola Wojtyły w połączeniu z protestem wobec niesprawiedliwości współczesnego świata. Efektem tego spotkania było powołanie przez Palikota w kwietniu 2005 roku, pod wpływem dominikana o. Macieja Zięby i Romana Kluski, konserwatywno-katolicko-liberalnego tygodnika „Ozon”, który jednak zakończył swój burzliwy żywot już w lipcu 2006, gdy systematyczny spadek sprzedaży doprowadził głównego właściciela do utraty blisko 20 mln zł. W morzu powstałych problemów kluczowymi okazały się jednak brak czytelnika, który wyszedł na jaw, gdy ostatecznie okazało się, że „pokolenie JP II” jest zręcznie medialnie skonstruowaną efemerydą, oraz niełatwy styk świata mediów z wpływami biskupów i *Opus Dei*.

Po tych doświadczeniach i kilku latach działalności parlamentarnej Palikot zwrócił się w stronę świeckich ruchów protestu w bliskich mu sferach edukacji, kultury i obyczajowości, które w naturalny sposób łączyły się z kwestiami deklerykalizacji życia społecznego. W ramach realizacji programu szeroko pojętych wolności i praw obywatelskich ruchy protestu toczyły swe boje w kwestiach legalizacji związków partnerskich, liberalizacji ustawy aborcyjnej, refundowania zabiegów *in vitro* czy legalizacji marihuany. Na tym tle rodzi się konkretny program kształtowania świeckiego państwa, który jak na XXI w. trudno uznać za radykalny także dlatego, że dotyczy znajdującego się w środku Europy kraju.

Kiedy w lubelskiej izbie zatrzymań sierżant policji dwukrotnie zgwałcił nietrzeźwą studentkę, a jego koledzy i przełożeni stanęli w obronie podejrzanego, Palikot ostro zareagował przeciwko łamaniu prawa i sprawiedliwości. Minęły już cztery lata od jego słynnej konferencji prasowej, na której z silikonowym penisem w rozmiarze XL w jednej dłoni i pistoletem w drugiej protestował przeciwko nadużyciom władzy przez funkcjonariuszy policji.

Wedle Palikota i jego zwolenników niezbędne są radykalne zmiany, aby doprowadzić do uformowania praworządnego i sprawiedliwego państwa, które jest możliwe tylko w świeckim kształcie. W tym celu konieczne jest ograniczenie nie tylko przywilejów Kościoła katolickiego, ale także biurokracji we wszelkich postaciach, którą starał się okiełznać, zresztą z marnym skutkiem, kierując pracami sejmowej Komisji Nadzwyczajnej Przyjazne Państwo. Dominującą siłą napędową politycznej aktywności buntownika Palikota zdaje się być jednak głównie duch anarchii o naturalnie antyinstytucjonalnym charakterze wyrażający się w ostrej krytyce politycznych wpływów Kościoła, opresyjnego charakteru państwa i zachowań jego funkcjonariuszy oraz antyobywatelskie-

go restrykcyjnego ustawodawstwa, zwłaszcza w sferze gospodarki. Po niepowodzeniach w realizacji reformatorskich zapędów poprzez medialny nacisk czy poselskie działania, z legitymacją partii rządzącej w garści Palikot doszedł do słusznego wniosku, że jedyna droga do „naprawy państwa” wiedzie przez zbudowanie szerokiego wolnościowego ruchu protestu społecznego i wdarcie się na jego barkach na parlamentarne salony.

### Protest ulicy

Od rozpoczęcia okupacji Puerto del Sol 15 maja, obok protestu społecznego praktykowanego z zachowaniem demokratycznych procedur, pojawił się radykalny ruch spontanicznego protestu placów i ulic. Ten pokojowy ruch na terenie wolnej przestrzeni publicznej nie posiadając wyraźnych struktur instytucjonalnych, ani też uprawomocnionego przywództwa stara się działać w ramach obowiązującego prawa. Tym samym powstała sytuacja polityczna zarysowała opozycję między protestem demokratycznego salonu a protestem zrewoltowanej ulicy, chociaż obydwa jej członcy mają komplementarny wobec siebie charakter.

Okupacja Wall Street zaczęła się 17 września od demonstracji zorganizowanej przez kanadyjski dwumiesięcznik „AdBusters” o profilu antykapitalistycznym i alterglobalistycznym o nakładzie 120 tys. egzemplarzy, od demonstracji przeciwko biedzie, bezrobociu, bezdomności, zadłużeniu, kolosalnemu rozwarstwieniu społecznemu i niebywale wysokim zarobkom bankierów sprawców kryzysu oraz władzy korporacji i najbogatszych.

Protestujący określają się jako Ruch 99 procent zwykłych Amerykanów wykorzystywanych przez jeden procent bogaczy. „Nie jestem w 1 procencie, nie stać mnie na lobbystę!” – to jedno z najczęstszych haseł demonstrantów. Okazało się, że jeden procent Amerykanów posiada 40 procent majątku, gdy 99 procent ludności ma w swym władaniu pozostałe 60 procent. W latach 2002-2007 dochody jednego procenta najbogatszych rosły średnio o 10 procent rocznie, gdy dochody reszty 99 procent o 1,3 procent rocznie. Tę ponurą statystykę zamyka informacja, że 400 najbogatszych Amerykanów według „Forbesa”, posiada więcej majątku niż 200 milionów Amerykanów (60 procent ludności).

Według bardziej precyzyjnych obliczeń socjologa Williama Domhoffa, który zbadał statystyki majątku finansowego (wartość majątku netto każdego obywatela minus wartość nieruchomości), jeden procent najbogatszych Amerykanów posiada 42 procent majątku (przed 25 laty jeden procent posiadał 33 procent), gdy najbiedniejsze 80 procent ludności ma tylko siedem procent majątku.

Na gorszą niż w republikach bananowych redystrybucję bogactwa w Stanach Zjednoczonych wskazuje kolejne zestawienie, według którego średnie dochody jednego procenta najbogatszych gospodarstw wzrosły w latach 1979-2007 czterokrotnie (z pół miliona do prawie dwóch milionów), gdy dochody górnych 20 procent niewiele wzrosły, a pozostałych rodzin prawie się nie zmieniły.

Kolejne dane wskazują, że górny jeden procent ma do spłaty zaledwie pięć procent całego długu, a dolne 90 procent ludności jest obciążone aż 73 procentami. I kolejna, ważna dla sytuacji życiowej Amerykanów, przeprowadzona przez Institute for Policy Studies analiza stanu posiadania papierów wartościowych, akcji,

obligacji i jednostek uczestnictwa w funduszach powierniczych – 50,9 procent ma w ręku jeden procent najbogatszych, a biedniejsza połowa ludności zaledwie pół procenta wszystkich walorów.

I na koniec warto spojrzeć na ciekawą statystykę zarobków. Na przykład gdy w 1980 roku prezes jednego z największych amerykańskich przedsiębiorstw zarabiał średnio czterdzieści dwa razy tyle co przeciętny pracownik, to w 2001 roku jego zarobek wzrósł pięćset trzydzieści jeden razy. Takie były efekty polityki płacowej, wedle której w latach 1980-2001 cztery piąte wszystkich podwyżek dotyczyło najbogatszego jednego procenta.

Przytoczone statystyki ukazują mnogość znaczeń i punktów odniesienia, które ufundowały nowe zupełnie kategorie służące do opisu amerykańskiego społeczeństwa o olbrzymim ładunku emocjonalnym i politycznym. Nie powinno dziwić, że demonstrantów na Wall Street poparli między innymi oryginalny myśliciel marksowskiej proweniencji, Sławoj Żiżek, sławny reżyser, Michel More i wybitna aktorka Susan Sarandon, z której ust przy tej okazji padła wypowiedź o USA, że „między bogatymi a biednymi w tym kraju jest przepaść”. Rzuciła także pod adresem bankierów sarkastyczną opinię: – „Gdybym ja w swojej firmie popełniała takie błędy i niszczyła ludziom przyszłość, raczej nie dostalabym premii”.

Joseph Stiglitz, laureat Nagrody Nobla z ekonomii (2001), przyznając rację demonstrantom krytykującym bezrobocie i bezdomność stwierdził, że w obecnym systemie „nie zdołamy zbudować sprawiedliwego społeczeństwa”, ponieważ „uspołeczniliśmy straty i sprywatyzowaliśmy zyski. Jego zdaniem, „to nie jest kapitalizm, to nie jest gospodarka wolnorynkowa, lecz wypaczona ekonomia”.

Demonstrantów odwiedził także Jeffrey Sachs z Uniwersytetu Columbia, były doradca polskiego rządu w okresie transformacji, który w swoim wystąpieniu nawiązał do ich głównych haseł mówiąc, że w procesie globalizacji „garstka ludzi na szczycie piramidy robi majątek, podczas gdy bardzo wielu ludzi nie znajduje żadnego oparcia w nowej światowej gospodarce”. Przypomniat, że dzieje się dokładnie na odwrót niż domaga się większość Amerykanów, którzy słusznie powiedzieli: „opodatkujcie bogatych, skończcie wojny, wzmocnijcie zabezpieczenia socjalne”.

Ikona alterglobalizmu, kanadyjska aktywistka Naomi Klein przestrzegała demonstrantów przed zakusami jednego procenta bogaczy, którzy dążą do prywatyzacji edukacji, obciążenia usług publicznych i pozbycia się ostatnich barier dla władzy korporacji. Jej zdaniem nie ma już bogatych państw, a jest jedynie wielu bogatych ludzi, którzy wzbogacili się rabując majątek publiczny i eksploatując zasoby naturalne na całym świecie. System wyrwał się spod kontroli i stał się głęboko niesprawiedliwy.

Decydujące wsparcie otrzymali demonstranci od związków zawodowych, które do nich dołączyły po zorganizowaniu własnych marszów w reakcji na rozbicie zgromadzenia przez policję, gdy 2 października demonstrujący ruszyli przez most Brooklyński w proteście przeciwko nadużywaniu wobec nich przemocy i brutalnym aresztowaniom.

Przestało już dziwić kogokolwiek, że prezydent Obama, lider wiodący w skali światowej gospodarki wolnorynkowej przedstawia w Kongresie starannie opracowany konkretny program walki z bezrobociem.

Oto kilka cytatów z gazety demonstrantów: „Albo jesteś buntownikiem, albo niewolnikiem”, „Nie musimy akceptować świata narzuconego nam przez banki, polityków i policję”. „Jeśli nie pozbędziesz się jednego procenta, oni zabiją ciebie. Więc albo powstaniesz i zmienisz korporacyjne państwo w świat zdrowy psychicznie, albo poprowadzą cię za kark do destrukcji”.

Na ulotkach można przeczytać: „Chcemy ekonomicznej i społecznej sprawiedliwości, dlatego protestujemy w imieniu praw 99 procent – dopominamy się o nasze najbardziej podstawowe prawa obywatelskie”. Jeden z aktywistów ruchu wyraził szokującą opinię: „Musimy rozpocząć jakiś antykapitalistyczny projekt jak spółdzielnie, związki zawodowe, partycypacyjne budżety miejskie, coś, do czego Ameryka nie jest przyzwyczajona: demokrację”. Chodzi tu zatem także o demokratyzację systemu wyborczego przez zmianę sposobu finansowania i prowadzenia kampanii wyborczych w taki sposób, aby przełamać monopole politycznych elit oligarchicznych i zwiększenie udziału zwykłych Amerykanów w sprawowaniu władzy na funkcjach wybieralnych zwłaszcza w Kongresie federalnym i jego stanowych odpowiednikach.

Najdalej idącym postulatem jest żądanie przebudowy systemu politycznego poprzez rozwinięcie demokracji bezpośredniej i jej otwarcie na obywatelskie inicjatywy i liderów lokalnych grup aktywności społecznej. Tego rodzaju postulaty wypływają z radykalnej krytyki demokracji przedstawicielskiej, gdyż „zablokowała” reprezentatywność władz, które przestają odpowiadać oczekiwaniom rządzonych, ponieważ rządy zostały zdominowane przez partiokrację i podporządkowane „rynkom”.

Niemiało wypowiedzi okupujących ukazuje różnicowany charakter protestu od krytyki rozlicznych wad kapitalizmu, mniejszego czy zasadniczego kalibru, po radykalne odrzucenie kapitalistycznego systemu bez wyraźnego artykułowania rewolucyjnego charakteru żądanych przemian. Ten proces kształtowania świadomości zbuntowanych Amerykanów ma ciągły charakter i daleki jest od wyczerpania swej dynamiki.

Ten skrótowy opis amerykańskiej rewolwy, która rozlała się po całym kraju, nie może abstrahować od wcześniejszej okupacji Puerto del Sol, która na głównym placu Madrytu toczy się z przerwami od 15 maja. Stamtąd pochodzi dziewięciopunktowy Manifest Ruchu 15 Maja, który zamyka rewolucyjne wezwanie: „Potrzebna jest Rewolucja Etyczna. Uznaliśmy kapitał za wartość nadrzędną nad ludzkim życiem. Czas wreszcie, aby to kapitał służył ludziom. Jesteśmy ludźmi, nie towarami. Nasze życie to nie tylko to, co kupujemy, dlaczego kupujemy i od kogo kupujemy. W związku z wszystkim powyżej, jestem oburzony. Jestem przekonany, że mogę to zmienić. Jestem przekonany, że mogę pomóc. Wiem, że razem możemy. Chodź z nami. To Twoje prawo”. Stąd pochodzi nazwa Ruchu Oburzonych i Marszu Oburzonych, który dociera 15 października między innymi do Brukseli i Warszawy.

W ten sposób doszło do powołania w Polsce Porozumienia 15 października z inicjatywy uczniów Wielokulturowego Liceum Humanistycznego w Warszawie jako wyraz solidarności z ruchem „oburzonych” w Hiszpanii. Warszawscy licealiści zorganizowali tego dnia stosunkowo skromny marsz w stolicy. Wcześniej, po wszechstronnych konsultacjach środowisko oburzonych sformułowało listę 21 postulatów jako rozwinięcie madryckiego manifestu pod kątem polskich warunków – w celu



przedstawienia ich naszym władzom. W marszu brało udział środowisko „Krytyki Politycznej”, przedstawiciele OPZZ oraz obserwatorzy z Ruchu Palikota i SLD.

Godne odnotowania jest to, że przygotowania do warszawskiego Marszu Oburzonych toczyły się równoległe z naszą kampanią wyborczą do parlamentu, co oznaczało zdecydowany dystans animatorów Porozumienia 15 października wobec demokratycznych procedur. Od tej kwestii zaczyna się ważki komentarz na ich stronie internetowej: „Za nami kolejne wybory. Chyba większość z nas nie ma złudzeń, że przyniosą one jakieś gruntowne zmiany”. Ich zdaniem, „demokratycznie” wybrani politycy tak samo jak przez ostatnie 20 lat nie będą realizowali wyborczej obietnicy „stworzenia rajy w Polsce” i trzeba im powiedzieć – dość, jak w hiszpańskim haśle *bastá*. Nie chcą też polityków mówiących o Polsce jako o „zielonej wyspie” skoro brakuje miejsc pracy, a ludzie zarabiają coraz mniej i na gorszych warunkach.

„Nie chcemy kolejnych polityków mówiących, że zależy im na rozwoju społeczeństwa, bo widzimy, że oni naszemu społeczeństwu ograniczają prawo do bezpłatnych studiów, powszechnej, bezpłatnej opieki zdrowotnej. Bo widzimy, jak kolejne rządy prywatyzują kolejne zakłady, podnoszą podatki. Zbyt długo im wierzyliśmy, że chcą zmieniać rzeczywistość. Teraz jesteśmy oburzeni. Bo wiemy, że każde rządy nie słuchają głosu społeczeństwa, że działają na naszą niekorzyść. Jesteśmy oburzeni kłamstwami i ignorancją płynącą z parlamentu. Jesteśmy oburzeni obecną sytuacją w Polsce. Potrafimy obejść się bez polityków, bo to nie my potrzebujemy ich do życia, lecz oni nas. Oburzamy się”. Ten tekst jest wyrazem ważnego stanowiska w kwestii stosunku Ruchu Oburzonych do demokracji parlamentarnej. Zwraca uwagę odejście jego autorów od często niezwykle radykalnej jej krytyki i głoszenie jawnego bojkotu polityki, polityków oraz demokratycznych instytucji i procedur. Powstaje tutaj swoista konstrukcja ideologiczna streszczająca się w odrzuceniu gospodarki kapitalistycznej i demokracji parlamentarnej, przy równoczesnym formułowaniu pod adresem państwa społecznych, a zwłaszcza politycznych postulatów.

Dotyczy to także haseł, takich jak na przykład „Kapitalizm, to się leczy” czy „Nie płacimy za wasz kryzys”. Skoro oburzeni zamierzają się pozbyć polityków, to będą zmuszeni sami ich zastąpić bądź też zachowają status ruchu politycznego protestu, który wypracuje mechanizmy egzekwowania od swoich apolitycznych urzędników zatrudnionych w sferze państwowych instytucji, poprzez swego rodzaju „akcje bezpośrednie”, realizację swoich żądań i wizji ładu społecznego. Demokryzacja demokracji ma szansę stać się kluczowym polem politycznych działań nowych ruchów protestu. Innymi słowy: „Nie protestujesz, nie istniejesz”. „Protestuję, więc jestem”. Takie czasy.

### Ordynacja proporcjonalna?

Doceniając w pełni wagę opinii Ortegi y Gasseta w kwestii znaczenia procedury wyborczej w demokracji, należy krytycznie przyjrzeć się osobiowości jej funkcjonowania, co ułatwia zrozumienie naglącej potrzeby zmiany ordynacji wyborczej artykułowanej już blisko dwadzieścia lat przez Ruch Obywatelski na rzecz Jednomandatowych Okręgów Wyborczych. W tym celu warto

zobaczyć, jak działa w praktyce konstytucyjnie obowiązująca w naszym kraju w wyborach do Sejmu ordynacja proporcjonalna i odstąpić zawarty w niej immanentnie mechanizm dyskryminacji małych partii politycznych i premiowania dużych.

W ostatnich wyborach uzyskane przez Ruch Palikota w zaokrągleniu około dziesięć procent głosów wyborców dało 40 posłów, przy automatycznej stracie 6 mandatów (wedle reguły proporcjonalności winno być 46 posłów). Podobnie zostały potraktowane PSL, otrzymując 28, i SLD 27 mandatów za nieco ponad osiem procent głosów, chociaż proporcjonalnie powinny mieć po 37 posłów (strata w sumie 19 mandatów).

Tymczasem Platforma Obywatelska ze swoimi prawie czterdziestoma procentami zdobytych głosów zdobyła aż 207 mandatów, uzyskując premię 23 posłów, chociaż wedle znanej proporcji należało się jej jedynie 184 foteli sejmowych. Skorzystało też Prawo i Sprawiedliwość uzyskując z około trzydziestoma procentami oddanych głosów 157 mandatów zamiast proporcjonalnie należnych 138, inkasując zarazem premię w wysokości 19 miejsc w ławach poselskich. Ten „fundusz premiowy” powstał oczywiście z głosów zabranych w trakcie stosownych przeliczeń z kont małych partii – Ruchu Palikota, PSL, SLD oraz przegranych komitetów wyborczych, które zgrabnie zasiliły zasoby kadrowe swoich przeciwników ulokowanych na pozycjach sejmowych rekinów. Dysydencką partię Polska Jest Najważniejsza, los w postaci ordynacji potraktował ze szczególną złośliwością, ponieważ osiągnięty wynik poniżej progu wyborczego spowodował automatyczne przeniesienie zdobytych przez nią 315 393 głosów (ponad 2 proc.) do spółki PO z pochodnie porzuconą macierzystą PiS jako mniejszym udziałowcem.

Okazało się zatem, że wbrew pozorom ordynacja proporcjonalna ma wewnątrz sprzeczny charakter, ponieważ oparta jest w widoczny sposób na zasadzie dysproporcjonalności. Brak adekwatnej proporcjonalności czy reprezentatywności w sensie odpowiedniej liczby oddanych głosów wyborców do uzyskanych mandatów stanowi nieusuwalną wadę ordynacji proporcjonalnej. Demokracja ma na to tylko jeden dobry sposób – jednomandatowe okręgi wyborcze, gdzie zwycięzca bierze wszystko, ale tylko tak długo dopóki dysponuje poparciem obywateli, które jak wiadomo „na pstrym koniu jeździ”.

### Hybryda demokracji

Dnia 9 października 2011 roku po raz pierwszy w naszym kraju odbyły się wybory do Senatu według większościowej ordynacji w okręgach jednomandatowych, przy zachowaniu w wyborach do Sejmu biogonowo przeciwstawnej ordynacji proporcjonalnej. Brak zgodności między tymi ordynacjami dobrze odzwierciedla sprzeczności naszej demokracji parlamentarnej. To oznacza, że jeśli nic się nie zmieni, to przez najbliższe lata polskie społeczeństwo będzie z konieczności pod rządami hybrydowej demokracji.

Wprowadzenie większościowej ordynacji w wyborach do Senatu zostało wymuszone przez postępujący kryzys demokracji w Polsce. Równocześnie często umyka z pola widzenia, że działający od 1993 roku Ruch Obywatelski na rzecz Jednomandatowych Okręgów Wyborczych zorganizował protesty społeczne przeciwko ordynacji proporcjonalnej, domagając się konsekwentnie

wprowadzenia jednomandatowych okręgów w wyborach do Sejmu, a nie Senatu czy samorządów terytorialnych.

Wolno zatem twierdzić, że po zastosowaniu w latach ubiegłych większościowej ordynacji w wyborach do części władz samorządowych nasze elity władzy zdecydowały się na jej wprowadzenie w wyborach do Senatu zamiast do Sejmu. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że ten klasyczny unik zastosowano w pełni świadomie, aby nie tylko zyskać na czasie, ale także poprzez poddanie wyborów w okręgach jednomandatowych swoistemu testowi na drugorzędym w hierarchii władzy państwowej senackim polu, by umożliwić jej przeciwnikom kompromitację większościowej procedury wyborczej.

Pierwsze komentarze wskazują, że operacja przebiegła nadzwyczaj pomyślnie, ponieważ partie polityczne odniosły drugoczące zwycięstwo nad tzw. niezależnymi kandydatami, którzy w zamierzeniach reformatorów mieli nader skutecznie z nimi konkurować. Ale jednak partyjni kandydaci na senatorów z dużych partii (PO i PiS), poza nielicznymi wyjątkami, odnieśli drugoczące zwycięstwo, znacznie większe niż w Sejmie. Taki wynik zdecydowanie poprawił samopoczucie najszybszych elit władzy, które opuściło zagrożenie związane z wprowadzeniem ordynacji większościowej w wyborach do Senatu, a w przyszłości zapewne i do Sejmu.

Tymczasem powstała ciekawa sytuacja, ponieważ pomyślny wynik testu nie doprowadził na razie do zastosowania jego rezultatów. Politycy oraz ich komentatorzy w konkluzjach oceny wyborów nawet nie wspominają o potrzebie wprowadzenia jednomandatowych okręgów wyborczych, chociaż dla dużych partii, jak należy sądzić, jest ona niezwykle korzystna. Nie pada nawet standardowe pytanie: „Gdzie jest Stokłosa?”, którym przeciwnicy większościowej ordynacji straszili jako swoistym *memento* zapewniając, że właśnie takich kandydatów – lokalnych, łamiących prawo, skorumpowanych biznesmenów – preferuje ta procedura wyborcza. A tu cisza, warto spróbować to wyjaśnić.

### Casus Stokłosa

Zgodny chór polityków, politologów i dziennikarzy latami starał się mówić ludziom dobrej woli, że wybierany w trybie większościowym Senat tylko dziwnym zrządzeniem losu nie składał się z samych „Stokłosów”, chociaż senackie okręgi wyborcze były w tym czasie dwu- i więcej mandatowe, i z tak licznym gronem wyborców, że łączenie ich z większością ordynacją było wręcz absurdalne. Natomiast wybory do Sejmu wedle tej ordynacji już na pewno musiałyby przebiegać wyłącznie wedle zarysowanego scenariusza. Ta ogłupiająca nagonka zakończyła się gwałtownie opublikowaniem 24 sierpnia 2011 r. oświadczenia senatora: „Nie startuję w wyborach, etap polityki w moim życiu mam już za sobą”.

Po raz ostatni nasilenie „antystokłosowej” kampanii medialnej wiązało się z udziałem naszego bohatera w wyborach uzupełniających do Senatu 6 lutego 2011 r. w pilskim okręgu, kiedy mimo ciążyących na nim, ale bez prawomocnych wyroków 21 prokuratorskich zarzutów dotyczących w większości przestępstwa gospodarczej, w tym także korumpowania urzędników w Ministerstwie Finansów i sędziego Sądu Administracyjnego, oraz bezprawnego więzienia i bicia swoich pracowników, zdobył mandat senatora. Dało mu to sposobność do „chowa-

nia się” za tym mandatem, z czego wedle oficjalnych komunikatów korzystał stosunkowo często utrudniając prowadzenie procesu sądowego. Podobnie postępował ścigany za przestępstwa gospodarcze senator Aleksander Gawronik, uchylając się od 1993 roku przed wymiarem sprawiedliwości do roku 1997, kiedy przegrał kolejne wybory. Zdumiewa, że zaledwie dwa przykłady senatorów mających w różnych zakresach i odmiennych okolicznościach problemy z przestrzeganiem prawa, miałyby w sposób niepodważalny dowodzić, że w przyszłości ordynacja większościowa ułatwi dostanie się do Sejmu ludziom bogatym, a na dodatek nieuczciwym, przy równoczesnym przemilczaniu podpadających pod tę charakterystykę dziesiątków posłów i posłanek.

Należy przypomnieć, że wybory uzupełniające mają z reguły bardzo niską frekwencję – tym razem 6,31 proc. obywateli uprawnionych do głosowania. Na Stokłosę głosowało 15 tys. wyborców, czyli dwa razy więcej niż liczy cała załoga jego firm mieszczących się na obszarze okręgu wyborczego. Prezes Stokłosa jak wielu innych żądał od swoich pracowników, by na niego głosowali, ponieważ „daje pracę”. W jego pakiecie wyborczym znalazło się 1,5 mln złotych rocznie na cztery miejscowe kluby: dwa siatkarskie, koszykarski i żużlowy (Drawa z Krzyża Wielkopolskiego, Radwan Lubasz, MKS z Czarnkowa i Speedway Polonia Piła), a także mniejsze kwoty na kolonie dla biednych dzieci, żywność dla domów dziecka, hospicjów i najuboższych rodzin oraz na kilkaset wyprawek dla pierwszoklasistów. Łączny koszt „kierunki wyborczej” został oszacowany na ponad 2 mln złotych rocznie, a jej „skosmowanie” zależało od wyboru prezesa.

Ostateczne zakończenie kadencji i przejście Stokłosa na polityczną emeryturę oznacza formalne uchylene jego wyborczych zobowiązań, ale należy przypomnieć, że jako kandydat niezależny wielokrotnie zdobywał mandat senatora (lata: 1989, 1991, 1993, 1997 i 2001) przegrywając wybory dopiero w roku 2005.

W kampanii wyborczej zderzyły się zatem obietnice wyborcze Stokłosa ze stawianymi mu przez przedstawicieli PO, SLD i PSL oraz media zarzutami kryminalnymi, a mimo to Stokłosa jako niezależny kandydat zwyciężył. Odrzucenie przez wyborców partyjnych kandydatów, w tym partii rządzących było zatem swego rodzaju protestem obywateli, którzy zostali zmuszeni do szukania pomocy u niezależnego kandydata na senatora. Konkluzje zatem nie są jednoznaczne, bowiem wbrew reżimowej propagandzie przypadek Stokłosa może świadczyć pośrednio zarówno za jak i przeciw wprowadzeniu ordynacji większościowej w wyborach do Sejmu. Jednak systematyczne wykorzystywanie biografii politycznej Stokłosa jako argumentu na rzecz tezy, że procedury wyborcze oparte na jednomandatowych okręgach wyborczych stanowią zagrożenie dla demokracji jest prymitywnym nadużyciem. Na dodatek w 2005 roku przegrał on senackie współzawodnictwo, a w 2007 roku w ogóle nie wziął w nim udziału. Na tym zapewne nie koniec nieuczciwych polemik i sporów.

### Senat 2011 a procedury wyborcze

Wbrew wielu nadziejom i oczekiwaniom, że wybory do Senatu według ordynacji większościowej umożliwią wprowadzenie do parlamentu wielu niezwiązanych z partiami „niezależnych” polityków, zakończyły się niezwykłym „upartyjniem” izby wyższej. PO posiada

63 senatorów, PiS – 31, PSL – dwóch, a zaledwie czterech jest „niezależnych”. Nie ulega wątpliwości, że o wyniku wyborów zdecydował partyjny sztyld, chociaż popularność kandydata wśród mieszkańców okręgu wyborczego, jego osobowość, wizerunek, opinia wyborców, a także ocena poglądów i dotychczasowej działalności politycznej miały określone znaczenie. Jednak mechanizm wyborczy o większościowym charakterze w jednomandatowych okręgach wyborczych, jak żadna inna procedura wyborcza umożliwia głosowanie raczej na ludzi niż na partyjne sztyldy, bez zaznaczenia, a więc i faworyzowania czy wykluczania partyjności kandydatów. Nie są to zatem wybory bezpartyjnych kandydatów, ani też nie powinny one mieć antypartyjnego charakteru, natomiast procedury wyborcze związane z zastosowaniem jednomandatowych okręgów mają stwarzać najlepsze warunki, aby wyborca mógł w największym stopniu skoncentrować swoją uwagę na osobowych walorach kandydata i na tej podstawie podjąć trafną decyzję.

Niestety, zastosowana u nas ordynacja większościowa w jednomandatowych okręgach wyborczych w wyborach do Senatu RP dowodzi, że we wszystkich zasadniczych punktach jest ona całkowicie sprzeczna ze spotykanymi w światowym życiu politycznym regulacjami prawnymi i praktykami wyborczymi, np. w szczególności w Wielkiej Brytanii, Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. Wbrew oczekiwaniom nasze wybory do Senatu miały z definicji partyjny charakter, ponieważ kandydaci występowali w barwach na przykład partyjnego Komitetu Wyborczego Platforma Obywatelska RP, chociaż mogli też kandydować pod bezpartyjną nazwą, na przykład Komitet Wyborczy Wyborców Marka Borowskiego, KW Wyborców Wspólnoty Samorządowej Dolina Sanu czy KW Wyborców Bezpartyjni.pl, nie mylić z KW Wyborców Bezpartyjni do Senatu.

W krajach o utrwalonej tradycji demokratycznej, w jednomandatowych okręgach wyborczych, chociaż kampanie często mają partyjny charakter, na oficjalnych plakatach i kartach do głosowania nie podaje się partyjnej przynależności kandydata – ta strona jego politycznego wizerunku nie musi być tak silnie eksponowana jak to ma miejsce w naszych warunkach. Oczywiście, że praktycznie wielu mieszkańców okręgu wie, do jakiej partii należy kandydat, czy jest bezpartyjny, ale wyborcy łatwiej się od tej wiedzy dystansować. Kolejna kwestia wiąże się z naszą specyfiką narodową i dotyczy około dwudziestu osób bezpartyjnych kandydujących z partyjnego komitetu wyborczego bądź jako „niezależni” kandydaci na senatora, posiadających partyjną rekomendację, a w przypadku Marka Borowskiego nawet równoczesne poparcie PO i SLD. Jak zatem widać, kampania wyborcza do Senatu także toczy się wedle ustawy i praktycznie wokół partii i „partyjności”. W tym kontekście należy odnotować, że aż w trzydziestu trzech okręgach wyborczych do Senatu nie został zgłoszony kandydat z własnego komitetu wyborczego, co zdaje się gwarantować jego „niezależność”.

Kolejna kwestia dotyczy korzystania z biernego prawa wyborczego, zgodnie z którym zgłoszenie kandydatury do Senatu mogło się odbywać wyłącznie za pośrednictwem liczącego piętnaście osób komitetu wyborczego z listą 2 tys. podpisów osób udzielających poparcia kandydatowi. Można tę procedurę ocenić jako prawny mechanizm ograniczający biernie prawo wyborcze.

W klasycznej tradycji demokratycznej kandydat zgłasza się sam przynosząc listę 10-15 podpisów rekomendujących go osób i wpłaca kaucję (w Wielkiej Brytanii 500 funtów, a w Kanadzie 1 tys. kanadyjskich dolarów), która przepada, jeśli kandydat nie uzyska na przykład trzech procent głosów. W ten sposób praktycznie każdy obywatel ma tam realny dostęp do indywidualnego kandydowania, o jakim nasz obywatel może co najwyżej pomarzyć. Ale i tak mimo wszystkie ułatwienia nie kandyduje tam w jednomandatowych okręgach średnio więcej niż pięć osób, podobnie jak u nas w wyborach wójtów, burmistrzów i prezydentów miast.

Niezwykle poważnym problemem jest wielkość okręgów wyborczych, na co z reguły nie zwraca się w dyskusjach uwagi, chociaż wydaje się zrozumiałe, że aby kandydat był dobrze znany swoim okręgu, nie może być on zbyt licznie zamieszkały. W Wielkiej Brytanii utarło się, że jednomandatowy okręg wyborczy obejmuje 60-80 tys. mieszkańców, co umożliwia w dłuższym okresie bezpośredni kontakt kandydata, a później polityka nie tylko z każdym własnym wyborcą, ale wręcz z każdym obywatelem ze swojego terenu. Tymczasem w ostatnich wyborach do Senatu te zasady zostały całkowicie odrzucone – senatorom przypisano okręgi liczące od ponad dwustu tys. do ponad pięciuset tysięcy osób uprawnionych do głosowania. W tych warunkach jedynie sztyld partyjny lub inny o podobnym charakterze znak firmowy jako swego rodzaju identyfikator umożliwia rozpoznanie kandydata, który ma nikłe szanse na rzetelny osobisty kontakt z wyborcą. Tego typu regulacja prawna zdaje się, podobnie jak poprzednia dotycząca trybu zgłaszania kandydatur, podpadać pod zarzut *de facto* ograniczania biernego prawa wyborczego.

To z konieczności skrótkowe porównanie naszych regulacji prawnych procedury wyborczej do Senatu z regułami funkcjonowania mechanizmów wyborczych w krajach rozwiniętej demokracji krajach dowodzi, że uznawanie naszych wyborów jako zgodnych z ordynacją właściwą dla jednomandatowych okręgów wyborczych jest całkowicie nieuprawnione. Równie dobrze można określić wybory prezydenta naszego państwa jako odbywające się w trybie jednomandatowych okręgów wyborczych i byłoby to tak samo prawdziwe jak traktowanie wyborów do Senatu jako zgodnych z procedurami jednomandatowych okręgów wyborczych. Krytyka procedury wyborów senatorów w jednomandatowych okręgach wyborczych jest zatem nieuzasadniona bezzasadna i bezpodstawna, ponieważ takowe w naszym prawie wyborczym istnieją tylko z nazwy. A to trzeba ocenić jako swego rodzaju manipulację odsuwającą kolejny raz obywateli od bezpośredniego udziału w demokratycznych mechanizmach sprawowania władzy. Jak widać, przynajmniej dla części naszych elit politycznych demokracja bez ludu jest stosunkowo łatwym do urzeczywistnienia ideałem sprawowania władzy.

#### **Ordynacja większościowa a proporcjonalna**

Demokracja obywatelska polega na swobodnym wyborze przez społeczeństwo władz publicznych. W tym celu społeczeństwo obywatelskie posługuje się ordynacją wyborczą zapewniającą wolne wybory swoich przedstawicieli do parlamentu. Wolność wyborów do najwyższego organu władzy państwowej daje się opisać za pomocą zasady „każdy wybiera każdego”, ponieważ



każdy obywatel może wybrać każdego obywatela, który zdecyduje się kandydować, z uwzględnieniem pewnych ograniczeń formalnych takich jak okręg wyborczy, wiek czy niekaralność. Wolne wybory zapewnia większościowa ordynacja wyborcza, która umożliwia wyłonienie w jednomandatowych okręgach wyborczych, o stosunkowo niewielkiej liczbie mieszkańców, dobrze znanych wyborcom swoich przedstawicieli spośród kandydatów zgłaszanych praktycznie bez ograniczeń przez obywateli, organizacje społeczne czy partie polityczne.

Ten skróty opis oparty jest na brytyjskim systemie wyborczym nazywanym *First-Past-The-Post* („pierwszy na mecie”), wedle którego do Izby Gmin kandydować może każdy obywatel, którego zgłoszenie poprze swoimi podpisami dziesięciu wyborców z jego okręgu liczącego zwykle około 80 tysięcy uprawnionych do głosowania. Ponadto kandydat wplaca 500 funtów kaucji, które zostaną mu zwrócone po uzyskaniu nie mniej niż 3 proc. głosów. Wygrywa ten kandydat, który otrzymał najwięcej głosów (nie ma drugiej tury), karty liczone w aulach, halach i salach gimnastycznych z udziałem widzów i mediów – jako wyniki wyborów ogłaszane są zwykle po kilku godzinach. Jeśli nie ma konieczności powoływania rządu koalicyjnego, jak zdarzyło się ostatnio po raz pierwszy od niepamiętnych czasów w Zjednoczonym Królestwie, noc wyborcza kończy się ogłoszeniem składu nowego rządu i tradycyjną wizytą przyszłego premiera u królowej brytyjskiej. Nietrudno zauważyć, że ten klasyczny system ordynacji większościowej nie występuje w naszym kraju w żadnej postaci, nie jest znany nawet w szczątkowej formie.

Proporcjonalna ordynacja w wielomandatowych okręgach wyborczych jest przeciwstawna wolnym wyborom większościowym w okręgach jednomandatowych. Mechanizm funkcjonowania proporcjonalnej ordynacji wyborczej daje się zawrzeć w formule „niewielu wybiera nielicznych spośród już wybranych”, ponieważ niezbyt wielu wyborców głosuje na kandydatów już wybranych przez partyjną kastę przywódczą i „odgórnie” umieszczonych na listach ich komitetów wyborczych w porządku hierarchicznym.

W tej kwestii „The Economist” w lipcu 1988 roku pomieścił esej Karla R. Poppera, w którym krytycznie ocenił system wyborczy reprezentacji proporcjonalnej. Jego zdaniem zasada reprezentacji proporcjonalnej powoduje, że „kandydat zabiega o wybór wyłącznie jako przedstawiciel partii, niezależnie od sformułowań konstytucji. Jego wybór jest wyborem głównie, jeśli nie wyłącznie pewnej partii, do której kandydat należy. Jego zatem podstawowa lojalność dotyczy partii i ideologii partyjnej, nie zaś ludzi (z wyjątkiem może przywódców partyjnych)<sup>3</sup>. W efekcie poseł jest „moralnie związany z partią, gdyż został wybrany do parlamentu jako jej reprezentant”, a gdy jego sumienie nie pozwala mu zaakceptować polityki jego partii, powinien nie tylko z niej wystąpić, ale także opuścić parlament. Wadą dyskwalifikującą, wedle Poppera, systemu wyborczej reprezentacji proporcjonalnej jest to, że „odziera posła z odpowiedzialności osobistej. Czyni zeń maszynę do głosowania, a nie myślącego i czującego człowieka”. Jego zdaniem, w polityce nie ma ważniejszej kwestii od tego, aby upra-

wiała ją „jednostki zdolne do własnego sądu i przygotowane do ponoszenia osobistej odpowiedzialności”<sup>4</sup>, co ordynacja proporcjonalna wręcz uniemożliwia.

Mimo wpisania kilkunastu, a nawet więcej osób na poszczególne listy wyborcze do Sejmu, w praktyce wybory proporcjonalne tracą swój wolnościowy charakter, ponieważ ograniczają się do zaledwie 2-3 wytypowanych osób, które na podstawie suwerennych decyzji politycznych elit „obsadziły” tzw. miejsca mandatowe, czyli zwykle trzy pierwsze pozycje na konkretnej liście kandydatów. W efekcie tej manipulacji wybory proporcjonalne faktycznie dotyczą nielicznej i przed właściwym głosowaniem już „wybranej” wąskiej grupy kandydatów. Dlatego nader skromny udział stosunkowo niewielkich grup zwolenników konkretnych partii i ugrupowań politycznych w wyborach na „swoich” kandydatów jest całkowicie naturalny.

Niska frekwencja i mała aktywność obywateli w wyborach parlamentarnych według proporcjonalnej ordynacji wyborczej jest zatem nieuchronnym skutkiem jej stosowania, gdyż w społecznej skali tak naprawdę „nie ma kto na kogo głosować”. Rytualne narzekania na niską frekwencję wyborczą w ustach autorów i zwolenników proporcjonalnej ordynacji, a więc bezpośrednich sprawców bierności społeczeństwa w czasie wyborczym brzmią fałszem.

*I last but not least*, proporcjonalna ordynacja wyborcza jest tak skomplikowana, że nawet wielokrotny udział politycznie zaangażowanych obywateli w wyborach przeprowadzanych według tych zasad nie spowodował u wyborców zrozumienia reguł jej funkcjonowania. Akt głosowania ogranicza się zwykle do rytualnego zachowania przy urnie wyborczej. Cała ta sytuacja wyraźnie lokuje nasze życie polityczne na antypodach wolnych wyborów demokratycznego społeczeństwa i jest znakiem jego politycznego ubezwłasnowolnienia.

### Korupcja a ordynacja

Obecnie praktykowana w wyborach parlamentarnych w Polsce proporcjonalna ordynacja wyborcza w okręgach wielomandatowych została wypracowana w ramach ustalonej „pod Okrągłym Stołem” koncepcji politycznej. Osiągnięte porozumienie doprowadziło do ukształtowania państwa *quasi*-demokratycznego o parafeudalnym charakterze w formie elekcyjnej „monarchii konstytucyjnej”, opartej na funkcjonariuszach służb mundurowych (w tym Kościoła), cywilnych (w tym kadry akademickiej), aparacie partyjnym oraz ludziach wielkiego biznesu i mediów.

W tej koncepcji państwa jakkolwiek pojmowane wolne wybory nie dają się umieścić, ponieważ ich obecność sprzyja żywiołowym tendencjom kształtowania się życia politycznego, które w języku reżimowej propagandy określane są dosadnie jako „anarchia”. Formuła „każdy wybiera każdego” ma dobrą opozycyjną tradycję chociażby z czasów Peerelu, jeśli przypomnieć, że już w 1979 roku Komitet Porozumienia na Rzecz Samostanowienia Narodu zbierał podpisy pod apelem o przeprowadzenie wolnych wyborów. Ów apel, jak należy rozumieć, z nader ważkich powodów, do dzisiaj nie został zrealizowany.

Zasadniczą przeszkodą uniemożliwiającą sprawne wprowadzenie w naszym kraju wolnych wyborów jest kwestia, używając modnego narzecza środowisk bizne-

<sup>3</sup> Cyt za: K. Popper, *O demokracji*, w: Lazarowicz R., Przystawa J., (red), *Otwarta księga. O jednomandatowe okręgi wyborcze*, Wrocław 1999, s. 11.

<sup>4</sup> Ibidem.

sowych, „ograniczoneści zasobów”, czyli materialnych korzyści związanych ze sprawowaniem władzy państwowej. Ujmując sprawę najprościej jak to możliwe, należy przyjąć, że jeśli poseł Kowalski zapewni sobie na korzystnych warunkach dostęp do atrakcyjnego wynagrodzenia, dochodowych „interesów”, luksusowych mieszkań, samochodów, gruntów, kamienic czy jakichkolwiek innych dóbr materialnych, a także rozmaitych intratnych posad, to nie uczyni tego ewentualny poseł Nowak. Ukształtowała się także wieloletnia praktyka powoływania do życia licznych funduszy „partyjnych”, finansowanych z dobrowolnych wpłat od dochodów „aktywu” jako swego rodzaju odpisów, które stanowią znaczący procent różnych wynagrodzeń – rozmaitych diet, płac czy premii i nagród „swoich” zatrudnionych w całym szeregu instytucji, agencji i spółek.

Warto do tego dodać korzyści płynące ze wspierania zaprzyjaźnionych przedsiębiorców przy rozlicznych sprawach „biznesowych” w urzędach, którzy wiedzą, jak się za to odwdziaczyć Panu Posłowi i jego Partii. W ten sposób powstaje interesująca sieć wzajemnych powiązań i zobowiązań parlamentarzystów z szeroko pojętym światem biznesu z jednej strony oraz administracji państwowej i samorządowej różnych szczebli z drugiej. Naturalną konsekwencją tego stanu jest ciągły przyrost dochodów i majątków wielu posłów czy senatorów, co uwidacznia obszerna lista milionerów w gronie zasiadających na Wiejskiej wybrańców Narodu. Być może nawet istnieje pewien subtelny, aczkolwiek z trudem uchwytny dla niewprawnego obserwatora związek między przyrostem średniej bogactwa na głowę parlamentarzysty a rosnącą pauperyzacją naszego społeczeństwa, czyli przyrostem biedy na głowę mieszkańca naszej ojczyzny.

### Polityka jako biznes

Nad splótem skomplikowanych interesów i osobistych karier panuje znana nam dobrze „kierownicza rola”, w przeszłości „partii”, a współcześnie akcji, bloku, frontu, koalicji, konfederacji, kongresu, obozu, porozumienia, ruchu, sojuszu, stronnictwa, unii, wspólnoty, zjednoczenia, a nawet platformy, co w praktyce wychodzi na to samo. Nie dziwi, że po trudnym okresie „Rzeczypospolitej Drugiej i Pół” unika się terminu „partia” w nazwie ugrupowania politycznego, która jako swego rodzaju imię własne, pełni zarazem funkcję logo firmy.

W tej sytuacji spór, a nawet swego rodzaju konkurencja między Kowalskim a Nowakiem w zabiegach o zdobycie fotela parlamentarzysty, zwłaszcza wówczas, gdy należą oni do różnych ugrupowań politycznych, jest nieuchronna. I w tej nader skromnej postaci można mówić o częściowo „wolnych” wyborach w bardzo ograniczonym zakresie, do czego świetnie nadaje się ordynacja proporcjonalna i w tym celu została powołana do życia. Jeśli Kowalski jest „nasz”, a Nowak „wasz”, to liderzy partyni znajdą sposób, aby uzgodnić swoje często rozbieżne interesy, ale zawsze postarają się wspólnymi siłami nie dopuścić do władzy „niczyjego” trzeciego pretendenta.

Podobno Leonid Breżniew, udzielając kiedyś wywiadu zachodniemu dziennikarzowi stwierdził *off the record*, że mimo jego wysokiej oceny demokracji w zachodnim stylu, nie zostanie ona wprowadzona w ZSRR gdyż posiada zasadniczą wadę – nigdy nie wiadomo, kto zostanie wybrany do władz. Wypowiedź ta, jeśli jest

prawdziwa, urzeka swą trafnością i prostotą, bowiem znakomicie streszcza problem demokratycznych wyborów, ponieważ zawsze trzeba wiedzieć, kto będzie rządził państwem. Demokracja z natury rzeczy wprowadza element niepewności, który jednak dzięki stosownej ordynacji wyborczej, w tym przypadku proporcjonalnej, można skutecznie zminimalizować.

„Demokracja proporcjonalna” zakłada istnienie wielu partii politycznych, co fachowo określa się mianem pluralizmu. Kierowniczą rolę w strukturach władzy państwowej i samorządowej spełniają partie i na nich należy skoncentrować uwagę jako na głównych podmiotach życia politycznego. Ta oczywista konkluzja rodzi jednak proste pytanie dotyczące zasad funkcjonowania partii politycznych w naszym kraju, jeśli zważyć, że ich aktywność koncentruje się na wszelkiego rodzaju akcjach wyborczych. W tym czasie przyszli parlamentarzyści zabiegają o eksponowane miejsca na partyjnych listach wyborczych, a w przypadku zwycięstwa wstępują do określonych klubów parlamentarnych, czyli frakcji partyjnych. Zresztą już sama nazwa „klub” ma posmak pewnej elitarności i przyjemnie kojarzy się z działalnością zamkniętego kręgu pewnej starannie dobranej grupy osób, czym u nas zajmują się właśnie partie polityczne.

Ten sposób funkcjonowania partii oznacza jednak, że są one w pierwszej kolejności działającymi w permanencji „komitetami wyborczymi” służącymi do zdobywania władzy i stanowisk w wyborach do różnych „ciał” i instytucji państwowych, zwłaszcza do parlamentu. Skoro podstawowym zadaniem komitetu wyborczego jest uzyskanie jak największego funduszu wyborczego i zwycięstwo wyborcze, to troska o kształt ideowy i programowy ugrupowania politycznego, czyli partii, przesuwa się na dalszy plan, a z czasem wręcz zanika. W efekcie pod szyldem partii rozkwita „komitet wyborczy”, czyli swego rodzaju ogólnokrajowa machina wyborcza, w której kierownictwo partyjne faktycznie pełni funkcję właścicielskie i zarządcze wobec traktowanego jako swego rodzaju przedsiębiorstwo pojmowanego jak najszerzej funduszu wyborczego i partyjnego.

W tym sensie kosztem życia politycznego ukształtował się swoisty biznes polityczny, który wprowadził do partii swoiście pojmowaną, dostosowaną do sfery polityki przedsiębiorczość, z nieuchronną korupcją włącznie. Polityka, której treścią były zawsze partyjne spory ideowe i programowe polegające na konfrontacji rozmaitych interesów, metod analizy problemów społecznych i ich rozwiązywania stała się stopniowo narzędziem swoistego biznesu. Jej celem jest ekonomiczny sukces partii w powiększaniu określonych „zasobów” ludzkich i materialnych, przez posiadanie „udziałów” w rządzie, szerzej – w państwie. Ta mało odkrywcza strategia, jak napisze publicysta, sprowadza się do tego, aby wszędzie, gdzie tylko jest to możliwe mieć „swoich ludzi” i to na liczących się, co nie zawsze znaczy eksponowanych stanowiskach.

Wolno zatem sądzić, że chociaż w naszych warunkach największe ugrupowania polityczne nie sprawdzają się jako partie polityczne, to radzą sobie zupełnie dobrze jako komitety wyborcze oraz biura karier zawodowych i swoiste podmioty gospodarcze w sensie osobliwego typu spółdzielni czy spółek z o.o., jednak z zasady nieodpowiedzialnością nieograniczoną. Poprzez uczestnictwo w strukturach władzy „partie” uzyskały szerokie

pole do prowadzenia na pierwszy rzut oka niewidocznej, szczególnego rodzaju działalności gospodarczej o profilu doradczo-usługowym, bez posiadania własnego majątku, ale z potężnym kapitałem politycznym, którym jest wpływ na podejmowanie kluczowych decyzji w państwie czy samorządzie. Z tego punktu widzenia grupa osób prowadząca działalność polityczną faktycznie zachowuje się jak podmiot parający się nastawioną na uzyskiwanie własnych dochodów działalnością gospodarczą, a nazwa ugrupowania politycznego jako „logo firmy” pełni funkcję swego rodzaju „regonu”.

Dochody ugrupowania politycznego dają się opisać za pomocą standardowych określeń obejmujących majątek wspólny, będący zarówno w użytkowaniu jak i posiadaniu przywódczych elit, gdy jego pochodzenie związane jest z okresem sprawowania władzy. Także pełnienie rozmaitych funkcji administracyjnych i politycznych poszczególnych członków grup politycznych oraz ich najbliższych owocuje zwykle stosownymi dochodami o nadzwyczajnym charakterze, podlegającymi swoistemu opodatkowaniu wewnętrznemu. Szczególnie korzystne jest organizowanie intratnych interesów oraz nowych firm i przedsięwzięć gospodarczych z udziałem starannie dobranych osób na ustalonym polu gospodarczym, na przykład w celu wygrywania „ustawionych” przetargów czy operacji prywatyzacyjnych. Traktowanie przez nasze elity polityki na sposób biznesowy oznacza zatem, że poszczególni politycy i działacze, rozliczne ugrupowania i instytucje polityczne zachowują się jak podmioty nastawione w pierwszej kolejności na prowadzenie działalności gospodarczej.

### System quasi-partyjny

Po latach miłościwie nam panującej „demokracji proporcjonalnej” okazało się, że w nikłym stopniu sprzyja ona kształtowaniu partyjnej infrastruktury życia społecznego w dziedzinie edukacji, kultury czy sportu. „Proporcjonalna” ordynacja wyborcza na naszym rodzimym gruncie wymusza tak daleko idącą redukcję partii do „komitetów wyborczych”, że w praktyce w Polsce partii politycznych w ścisłym tego słowa znaczeniu po prostu nie ma. Wystarczy jako punkt odniesienia dla naszej powojennej rzeczywistości przyjąć PPS czy PSL Mikołajczyka, by sobie uświadomić, że tego typu partii o szerokim profilu działalności społecznej obecnie nie tylko nie ma, ale i w najbliższej przyszłości nie będzie.

Słabości życia partyjnego dobrze ilustruje między innymi sytuacja SLD, który w okresie swoich rządów zdecydował się na przeprowadzenie czysto formalnej „weryfikacji” członków, ograniczonej do ponownego wypełnienia ankiety personalnej potwierdzającej przynależność do organizacji. W efekcie partia z około stu pięćdziesięciu tysięcy członkiń i członków straciła około jedną trzecią. Zaś PiS liczące wkrótce po zawiązaniu w 2001 roku grubo poniżej stu członków, czyli tyle co średniej klasy krajowy komitet wyborczy, przystąpiło niejako „z marszu” do swoich pierwszych wyborów parlamentarnych, a po zdobyciu niemal pół setki mandatów poselskich, stało się jednym z czołowych opozycyjnych klubów parlamentarnych.

Chociaż tych przykładów nie należy sprowadzać do wspólnego mianownika, to jednak zdają się one dowodzić, że w naszym kraju na poziomie politycznym organizują się grupy interesów i komitety wyborcze, a nie

partie w ścisłym sensie tego słowa. W tej perspektywie nieco zaskakuje brak rzetelnych analiz dotyczących partii, liczebności ich członków, struktury społecznej i organizacyjnej, charakteru władz, lokalizacji itp., co zdaje się świadczyć o sporej bezradności uczonych i zarazem skupieniu się badaczy na bardziej dochodowej wąsko rozumianej problematyce wyborczej.

Przyjęcie poglądu, że nasze ugrupowania polityczne nie posiadają faktycznego statusu partii politycznych nie powinno prowadzić do pomniejszenia ich znaczenia. Wręcz przeciwnie, poprzez nader aktywne uczestnictwo w rozmaitych strukturach władzy państwowej i samorządowej na różnych ich poziomach, owe grupy polityczne, a zwłaszcza ich elity kierownicze odgrywają pierwszorzędą rolę w podejmowaniu pod politycznym szyldem kluczowych decyzji kadrowych, merytorycznych i finansowych, chociaż w istocie prowadzą swoistą działalność gospodarczą.

Pochylając się nad konkretnymi działaniami naszych *quasi*-partii zwraca uwagę fakt, że w wielu kluczowych kwestiach zajmują tak dalece jednolite stanowisko, że jest ono równoznaczne z odrzuceniem pluralizmu politycznego. Wiadomo już, że w zasadniczej sprawie ustrojowej, dotyczącej ordynacji wyborczej wszystkie ugrupowania polityczne mimo różnych deklaracji w praktyce popierają „proporcjonalną” ordynację wyborczą. Analogiczną zgodę powszechną naszych elit politycznych należy odnotować w sprawie udziału w wojnie w Iraku i Afganistanie. Ciekawe, że w tych kluczowych kwestiach polityka rządów i parlamentu jest całkowicie sprzeczna z odczuciami opinii publicznej. Dominująca większość społeczeństwa polskiego domaga się zarówno wprowadzenia ordynacji większościowej w wyborach do Sejmu, jak i wycofania polskich wojsk z Afganistanu. Na dodatek, żadna z parlamentarnych sił politycznych nie zażądała przeprowadzenia stosownego dochodzenia w kompromitującej sprawie lądowania w Polsce domniemyanych terrorystów Al-Kaidy oraz podejrzeń o ich torturowanie na terenie naszego kraju przez oficerów CIA.

Jednolita polityka nader odmiennych ugrupowań jest nie tylko zaprzeczeniem pluralizmu politycznego, ale także oznacza odrzucenie podziału na władzę i opozycję, skoro „partia” zajmuje to samo stanowisko niezależnie od tego czy rządzi, czy znajduje się w opozycji. Gdy partie prowadzą zasadniczo tę samą politykę, to jeśli odrzucić powierzchowne różnice należy uznać, że należą one faktycznie do tego samego klanu władzy.

Swego czasu przemysłowiec John Ford zauważył, że każdy Amerykanin może kupić samochód jaki tylko mu się spodoba, wszakże pod warunkiem, że będzie to czarny ford. I tak miały się rzeczy, aż zaczęła się nowa epoka wolności konsumenckiej, którą świetnie ilustruje w zupełnie innej branży swoboda wyboru między coca-colą a pepsi-colą. Ten postęp nie oszałamia, jednak jest niewątpliwym, chociaż wyraźnie ograniczonym.

### „Państwo opiekuńcze dla bogatych”

Polityka dochodowa i system podatkowy oraz związane z nimi rozwarstwienie społeczne są prowadzone w naszym kraju tym samym zgodnym rytmem ciągłości kolejno rządzących ekip politycznych z bardzo odmiennych na pozór ugrupowań, zawsze z poparciem zmieniającej się opozycji.



Zgodnie z datowanym na 20 listopada 2008 raportem Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) w Polsce mamy największe rozwarstwienie płacowe w całej Unii Europejskiej. Wynika to z porównania przeciętnych zarobków netto 10 proc. najlepiej i 10 proc. najgorzej zarabiających pracowników, które wykazało, że w Polsce płaca najlepiej wynagradzanych była czternastokrotnie wyższa od najniższej płacy. Najwyższa płaca w Wielkiej Brytanii była dziesięciokrotnie wyższa od najniższej, w Niemczech zróżnicowanie dochodów wynosiło siedem i pół do jednego. Na Węgrzech najwyższa płaca była siedmiokrotnie wyższa od najniższej, na Słowacji sześć razy, w Czechach pięć i pół raza, a najbogatsze grupy w Danii i Szwecji przewyższały swoimi zarobkami najuboższą pięciokrotnie. Ponadto w Polsce wynagrodzenia prezesów firm rosną ponad dwa razy szybciej niż średnie płace ogółu zatrudnionych.

Podobne efekty przyniosła ostatnia obniżka podatków, która pracownikowi zarabiającemu tysiąc pięćset zł miesięcznie zwiększyła zasobność portfela o dwieście zł rocznie, gdy pracownikowi zarabiającemu dziesięć tysięcy zł miesięcznie roczne dochody wzrosły o osiem tysięcy dwieście złotych, czyli czterdzieści jeden razy. Ta obniżka podatków w widoczny sposób pogłębiła społeczne zróżnicowanie, podobnie jak obniżka składki rentowej, która pozostawiła w kieszeniach podatników kolejne miliardy.

Bez względu na to, która partia sprawuje władzę, w polityce naszego państwa widoczna jest trwała tendencja do wzrostu dochodów lepiej sytuowanych klas i warstw społecznych w znacznie większej skali, niż w bogatszych od nas krajach europejskich. Jest ona ekonomicznie bezzasadna, stanowi rezultat świadomej polityki interwencjonizmu państwowego polegającego na realizacji w praktyce niejawnej doktryny „państwa opiekuńczego” dla uprzywilejowanych i bogatych warstw społecznych. Podobną funkcję pełni zgodne wstrzymywanie przez kolejne ekipy rządzące włączenia do systemu podatkowego produkcji rolnej oraz działalności gospodarczej Kościołów i związków wyznaniowych.

Należy zaznaczyć, że wzrost nierówności w dochodach społeczeństw jest rezultatem wspólnie realizowanej przez rządy czołowych państw kapitalistycznych ze Stanami Zjednoczonymi na czele globalnej polityki gospodarczej konsekwentnie zmierzającej do przekształcenia świata w konglomerat „opiekuńczych państw” dla bogaczy. Na tym tle, jeśli tylko odwrócić tabelę europejskich nierówności społecznych, wówczas Polska zajmie eksponowane miejsce w ścisłej czołówce, lecz w tej konkurencji nagrodą nie będą order i medale, ale raczej gwizdy publiczności.

### Jedna Władza

Sedno sprawy jednak tkwi nie w tym, czy nasze państwo jest, wyrażając się metaforycznie, dla biednych czy dla bogatych, lecz w bezwzględnie prowadzonej polityce niekorzystnej dla gorzej sytuowanych grup społecznych przez każdą sprawującą władzę „opcję polityczną” i opozycję. Tym samym zasada pluralizmu politycznego, fundament demokracji i wolności, w naszym państwie podlega silnemu ograniczeniu. Brak autentycznych partii politycznych z liczną rzeszą działaczy, członków, aktywistów, zwolenników, doradców i kadrowego aparatu,

którzy wedle określonych wartości i zasad ideowych oraz założeń programowych nadają ton życiu politycznemu i społecznemu uniemożliwiają pluralizm.

W efekcie w miejsce „żywych” partii politycznych pojawiają się mające swoją wagę „atrapy” zachowujące wszelkie pozory realnie działających partyjnych bytów społecznych. Z braku autentycznych podmiotów politycznych słabe kadrowo, organizacyjnie i merytorycznie „partie” stopniowo budowały polityczną siłę dzięki swoistemu zespoleniu w jeden ogólnopartyjny organizm, którego poszczególne ugrupowania – PO, PiS, SLD, PSL i pomniejsze – stały się częściami składowymi. Ta osobliwa formacja polityczna musiała powstać jako realny instrument sprawowania władzy także dzięki umiejętnemu wzmacnianiu żywiołowych protestów społecznych.

Jedna „zbiornica” (nowego typu), z dużej litery Partia jest jak niewolna od synów marnotrawnych i banitów, konfliktów i walk bratobójczych Wielka Rodzina, zawsze jednak zgodna i zjednoczona przy podejmowaniu kluczowych decyzji, od których zależy jej byt i funkcjonowanie. Centralne i lokalne „partyjne” porozumienia, sojusze i koalicje, wielokrotne zmiany barw partyjnych pokazują absolutną dowolność w tworzeniu wszelkich możliwych układów „każdego z każdym” w jedynie szlachetnym celu utrzymania władzy we wszelkich postaciach. Wszak świat polityki to jedna Wielka Rodzina. Centrum tej rozbudowanej struktury politycznej stanowi oczywiście państwo z jego rządem i licznymi, często zaskakującymi rozgałęzieniami. Półtora wieku wcześniej Alexis de Tocqueville wyraził cenną myśl, że „nie ma takiego okrucieństwa ani takiej niegodziwości, której nie popętniłby skądinąd łagodny i liberalny rząd, kiedy zabraknie mu pieniędzy”. Jak trafnie wskazał klasyk demokracji, władza zawsze zapewni godziwy dochód i zabezpieczenie bytu swoim utrzymaniom.

Zadaniem powstałej żywiołowo na bazie Państwa i Partii wielobarwnej „partii władzy” stało się ogarnięcie całokształtu życia społecznego oraz zapewnienie pustych miejsc na politycznej mapie kraju. I tak brak autentycznej partii chrześcijańskiej demokracji, na powołanie której przez Tadeusza Mazowieckiego bardzo liczył Jan Paweł II, wymusił przejęcie jej funkcji przez Kościół, który zajął jako „zamiennik” partii chadeckiej znaczące miejsce, obok Państwa i Partii, w kluczowej trójcy „partii władzy”. Zastępcze „upartyjnienie” Kościoła (z braku chadecji), z nieodłącznym ideowym antyklerykalizmem, uruchomiło dynamiczny proces stopniowego nadawania Partii i Państwu charakteru wyznaniowego przez wzajemne przenikanie i zlewanie w całościową strukturę społeczno-polityczną.

Podobnie – brak w partiach własnych, silnych aparatów ideologicznych i propagandowych podniósł do rangi „partii politycznej” czołowe media publiczne i prywatne. Ich merytoryczne zróżnicowanie i wielość właścicieli nie przeszkodziła w prowadzeniu wspólnej polityki programowej i uzyskaniu silnej pozycji ośrodka władzy pełniącego zastępczo z wielkim zaangażowaniem funkcję rządzącej partii politycznej. Powstał osobliwy mechanizm, w którym media wiernie służąc „partii władzy” w jej ramach dzielnie wypełniają własną polityczną misję z wielką dbałością o swoje dochody.

„Partia władzy” układa się zatem w sprawnie zorganizowany system polityczny, zbudowany na fundamentach Państwa i Partii z wiodącą rolą Kościoła i mediów.

Wśród jej udziałowców nie brakuje politycznych reprezentacji biznesu, jego kadr zarządzających i aparatów związkowych, które tocząc między sobą widoczne spory i kontrowersje kiepsko skrywają przed opinią publiczną rzeczywiste ścisłe współdziałanie dla zabezpieczenia wzajemnych interesów. Podstawowym zadaniem „partii władzy” jest zapewnienie jej „udziałowcom” ekonomicznych korzyści usuwanie nieuchronnie pojawiających się zagrożeń podstaw ich „dobrobytu”.

### Polityczny „holding”

Celem i sensem uprawiania polityki jako biznesu jest zatem uzyskiwanie dodatkowych korzyści – dóbr materialnych i pieniędzy – związanych z udziałem w sprawowaniu władzy, które wielokrotnie przekraczają należne dochody. Staje się to możliwe dzięki współdziałaniu osób, grup czy instytucji, nie wyłączając mafii, prowadzących masowe praktyki korupcyjne związane z nadużywaniem władzy. Tak powstaje szczególnego rodzaju polityczna Organizacja o gospodarczym charakterze, którą wygodnie jest nazywać „holdingiem”, żeby wskazać na fundamentalne i bezpośrednie odniesienie polityki do jej ekonomicznych podstaw. Z drugiej strony, ten nietypowy „holding” staje się opoką szeroko i specyficznie pojmowanej „partii władzy”, dla której korzyści materialne i uzyskiwane dzięki politycznym zabiegom źródła utrzymania odgrywają pierwszorzędne znaczenie. Udziałowcy „holdingu” i szerzej „partii władzy” jako beneficjenci tego stanu rzeczy mają zatem czego bronić i łatwo swojej skóry nie oddadzą.

Bogata sieć wzajemnych powiązań i zobowiązań polityków z szeroko pojętym światem biznesu oraz administracji państwowej i samorządowej różnych szczebli, w której ugrupowania polityczne, a zwłaszcza ich liderzy tworzą szczególnego typu „holding” sprawujący rzeczywistą władzę w całym kraju. Wskazany „holding” działa jak klasyczny podmiot gospodarczy nastawiony na powiększanie zasobów i dochodów, ale jego części składowe nie są łatwe do opisanie. Jądro „holdingu” stanowią bez wątpienia szeroko pojęte struktury państwa z jego budżetem i majątkiem, obejmujące rząd oraz jego rozliczne agendy centralne i terenowe, parlament, urząd prezydenta, samorządy terytorialne, instytucje władzy państwowej, także liczne ugrupowania polityczne. Wszystkie części składowe jak w prawdziwym holdingu konkurują między sobą o jak największe zdobycze majątkowe, a działające w nim osoby o uzyskanie osobistych korzyści w maksymalnej skali.

W dalszej perspektywie zwycięża jednak zawsze troska o wspólny interes, czego dobrą ilustracją jest zgodne przeprowadzenie przez zintegrowane elity polityczne powiatowej reformy samorządowej zapewniającej obfitość całkowicie zbędnych, ale intratnych posad oraz rozległe możliwości korzystania z apanaży władzy. Siłę „holdingu” najlepiej rozpoznaje się po sposobie jego funkcjonowania, gdy bez względu na krytyczny stan gospodarki, nikłe zasoby kasy państwowej oraz mizernie społeczeństwa z całą konsekwencją bezustannie rozwija się kadrowo, dochodowo, materialnie.

### „Partia władzy – partia protestu”

Brak w naszym kraju partii w ścisłym sensie ułatwił ugrupowaniom politycznym i strukturom władzy zorganizowanie wokół siebie „holdingu”, który stał się trzonem

szeroko pojętej „partii władzy” podejmującej rzeczywiste decyzje odziane w szaty rozmaitego typu państwowych aktów prawnych. W efekcie spory między rządem a opozycją mają nader ograniczone znaczenie i to jedynie w krótkiej perspektywie czasowej, a ich spektakularny charakter obliczony jest na doraźny użytek publiczny. W kluczowych kwestiach szeroko pojęty „holding” czyli „partia władzy”, by wyrazić się językiem publicystycznym „ma się dobrze”, a kierując się własnym, wspólnym interesem zabiega przede wszystkim o zapewnienie sobie stabilnych warunków funkcjonowania i długiej perspektywy rozwojowej.

„Partia władzy” musiała zrodzić naturalną przeciwwagę w postaci „partii protestu”, w której przy stałej aktywności Ruchu Obywatelskiego na rzecz Jednomandatowych Okręgów Wyborczych, ostatnio wysunęły się na czoło Polska Partia Pracy Bogusława Ziętka oraz Nowa Prawica Janusza Korwina-Mikke. Na obrzeżach „partii protestu” działają ważne formacje ideowe jak krakowska „Kuźnica” z półrocznikiem „Zdanie”, warszawska „Krytyka Polityczna” czy środowisko „Le Monde Diplomatique”. W sumie w „partii protestu” wyraża się społeczeństwo obywatelskie, w którym żywiołowo powstały, zróżnicowane pod względem radykalizmu rozmaite inicjatywy autentycznego ruchu sprzeciwu społecznego wobec rządzących Polską elit władzy, mechanizmów ich kształtowania i masowych praktyk korupcyjnych.

Warto zauważyć, że Ruch Obywatelski na rzecz Jednomandatowych Okręgów Wyborczych domagając się wprowadzenia większościowej ordynacji w wyborach do Sejmu w największym stopniu zagraża funkcjonowaniu „holdingu”. Radykalizm postulatu wolnych wyborów w praktyce prowadzi do uruchomienia mechanizmu szerokiej wymiany elit politycznych i powstania rzeczywistych partii, które mogą spowodować upadek „partii władzy”.

Do „partii protestu”, zgodnie z jej rozproszonym i żywiołowym charakterem, można włączyć także rozliczne komitety protestacyjne, które zainicjował w 2002 roku Komitet Protestacyjny Stoczni Szczecińskiej Porta Holding S.A. Należy tu odnotować także liczne antyreżimowe inicjatywy medialne czy ugrupowania polityczne o anty-systemowym charakterze, w tym także ruchy antyklerykalne zmierzające wyraźnie do zakwestionowania „partii władzy”. Ich wspólnym mianownikiem jest występowanie jako opozycji odrzucającej niedemokratyczne metody sprawowania władzy i porzucenie przez nią żyjących w biedzie obywateli.

W kontekście obecnego kryzysu prywatnych finansów, który przekształcił się w kryzys finansów publicznych, należy oczekiwać kolejnego ataku elit władzy i pieniądza na płace, emerytury i usługi publiczne. Taka polityka będzie wzmacniać nastroje sprzyjające nasileniu protestów społecznych, których uczestnicy w coraz większym stopniu będą sobie uświadamiać, że muszą porzucić rolę petentów władzy i uwolnić się z politycznego ubezwłasnowolnienia, doprowadzając do wolnych wyborów na podstawie większościowej ordynacji. Drogę wyjścia z aktualnego kryzysu demokracji należy zatem upatrywać w uporczywym przekonywaniu do słuszności poglądu głoszącego, że społeczeństwo demokratyczne nie tylko samo potrafi się rządzić, ale także umie naprawiać własne państwo.

PIOTR BIEGASIEWICZ

# LIBERALIZM W POLSCE PO 1989 ROKU

1 stycznia 1989 r. zaczęła obowiązywać ustawa z dnia 23 grudnia 1988 r. o działalności gospodarczej opracowana według projektu ministra przemysłu Mieczysława Wilczka i premiera Mieczysława Rakowskiego. Została ona uchwalona przez Sejm PRL IX kadencji i wprowadziła w Polsce kapitalizm. Można zatem stwierdzić, że Polska w 1989 r. zaczęła długi marsz, którego celem stał się powrót do normalności. Normalności postrzeganej na początku lat '90 bardzo różnie przez współzrządzące siły polityczne, choć najczęściej definiowanej jako „tak jak na Zachodzie”<sup>1</sup>.

W tym czasie liberalizm w Polsce przeżywał swoją *la belle époque*. W 1989 r. oficjalnie zarejestrowano jako stowarzyszenie Unię Polityki Realnej – partię Janusza Korwina-Mikke. Rok później, tj. w 1990 r. Kongres Liberalistów w Gdańsku reprezentujący „liberalizm pragmatyczny” stał się partią polityczną – Kongresem Liberalno-Demokratycznym.

Był to, jak trafnie ujął Jan Szczepański w tytule swojego artykułu, *Czas i miejsce dla liberalistów*<sup>2</sup>. Jednakże liberalizm w Polsce po 1989 r. nie zdobył poparcia z uwagi na brak klasy średniej, a także słabość swojego programu. Należy zatem zastanowić się, jakie propozycje wysunęli polscy liberaliści, by stworzyć klasę średnią, naturalny elektorat partii o obliczu liberalnym i by wpisała się ona na trwałe w strukturę polskiego społeczeństwa? Na uwagę w kontekście postawionego pytania zasługuje fakt, że liberalizm, jako komunizm *a rebours*, czyli program negatywny zasad obowiązujących u schyłku realnego socjalizmu, zdobył sobie efemeryczny krąg zwolenników<sup>3</sup>.

Polscy liberaliści po 1989 r. dostrzegali, że istnienie zjawiska klasy średniej świadczy o stabilizacji systemu ekonomicznego. Skupili się zatem na stworzeniu klasy średniej. Można postawić hipotezę, że środkiem do tego celu mogło być uwłaszczenie własności – program prywatyzacji. Poniżej omówię i poddam ocenie te

programy liberalistów w Polsce po 1989 r., które stawiały sobie *explicite* za cel wykreowanie klasy średniej. Będą to: Program powszechnej prywatyzacji skonkretyzowany w ustawie o NFI i ich prywatyzacji z 30 IV 1993 r. autorstwa posłów KLD Janusza Lewandowskiego i Jana Szomburga, a także program masowej prywatyzacji Lecha i Longina Mażewskich, reprezentantów opcji konserwatywnej KLD. Pominę przedstawienie koncepcji prywatyzacji UPR z uwagi na fakt, że jej celem było odciążenie państwa i poprawa jakości funkcjonowania gospodarki<sup>4</sup>. Wystrzegając się inżynierii społecznej partia J. Korwina-Mikke nie wypracowała projektu kreacji klasy średniej.

Powszechna prywatyzacja według Lewandowskiego i Szomburga była odgórnym przekształceniem amorficznej własności państwowej w zdecentralizowany system indywidualnych i dobrowolnie przekazywanych uprawnień w stosunku do istniejącego majątku produkcyjnego<sup>5</sup>. Wg Lewandowskiego i Szomburga skutkami przeniesienia uprawnień własnościowych na szerokie rzesze społeczeństwa nie było jedynie radykalne odpaństwowienie gospodarki i rewolucja społeczna mająca rozproszyć własność, ale również upowszechnienie własności prywatnej, stworzenie gospodarki rynkowej oraz wykreowanie ludzi „specjalizujących się we własności” – przedstawicieli klasy średniej.

Parcelacja mienia państwowego miała spowodować, że w każdym polskim domu powstałoby uprawnienie majątkowe, „które niebawem będzie można wypróbować na giełdzie”<sup>6</sup>. Efektem przemysłów Lewandowskiego i Szomburga był pomysł objęcia reprivatyzacją wszystkich osób fizycznych powyżej 18. roku życia będących obywatelami polskimi – otrzymaliby oni imienne bony majątkowe o nominale wynoszącym według obliczeń liberalistów 2 mln zł (dzisiejsze 200 zł). Mogłyby one zostać wykorzystane tylko w jednym celu: jako uprawnienie do objęcia akcji o ekwiwa-

<sup>1</sup> D. Gawin, *Wstęp* [w:] P. Śpiewak, *Spór o Polskę 1989-1999*, Warszawa 2000, s. 24.

<sup>2</sup> J. Szczepański, *Czas i miejsce dla liberalistów*. „Polityka” 8 VII 1989, nr 27 (1679), s. 15.

<sup>3</sup> J. Szacki, *Liberalizm po komunizmie*, Kraków 1994, s. 91.

<sup>4</sup> *Program Gospodarczy Unii Polityki Realnej z 11 XII 1990 r.*, b.m.w.

<sup>5</sup> J. Lewandowski i J. Szomburg, *Własność jako próg reformy gospodarczej*. *Ekonomiczna alternatywa*, „Przegląd Polityczny” 1991, nr 14, s. 25.

<sup>6</sup> Tamże.



lentnej wartości. Posiadacz bonu mógłby sam wybrać moment, w którym pojawia się na giełdzie w roli potencjalnego akcjonariusza, znając ustalony harmonogram reprivatyzacji z terminami wprowadzenia poszczególnych przedsiębiorstw na giełdę.

Oprócz emisji akcji zwykłych (na okaziciela) zakładano emisję akcji uprzywilejowanych danego zakładu pracy, adresowanych do jego załogi. Miałyby one przejąć te akcje za bony lub kupować je z bonifikatą, zapewniając sobie w ten sposób odpowiednią siłę głosu na zebraniu akcjonariuszy.

Jednakże około 1991 r. gdańszczanie zaczęli odchodzić od programu powszechnej prywatyzacji. Zmiana myślenia nastąpiła w Programie cetniewskim, *Polska: ku demokratycznemu kapitalizmowi* (19 V 1991 r.). Ich polityka stała się bardziej „racjonalna i pragmatyczna”<sup>7</sup>, co *de facto* oznaczało odejście od programu powszechnej prywatyzacji. Teraz drogą ku szybkiemu wzrostowi warstwy średniej stało się upowszechnienie własności poprzez „stworzenie warunków dla uczciwego bogacenia się dzięki przedsiębiorczości i pracowitości”<sup>8</sup>. Środkiem do osiągnięcia tych celów miało być przede wszystkim otwieranie Polski dla zagranicznego kapitału<sup>9</sup>, który powinien uczestniczyć w „przemianach ogólnokrajowej struktury własności i jej dostosowywaniu do wymogów rynku światowego”<sup>10</sup>.

Jednocześnie sam program powszechnej prywatyzacji przestał być najważniejszym projektem ideowym Kongresu, gdyż sukces gospodarczy zaczęto definiować następująco: „silny pieniądz, przyszościowo zorientowana polityka przemysłowa i rolna”<sup>11</sup>. W manifeście *Tożsamość Kongresu Liberalno-Demokratycznego* gdańscy liberałowie stwierdzili, iż muszą stać się „partią polskiej prawicy w nurcie konserwatywnym odwołującą się do republikańskiej tradycji naszej państwowości”<sup>12</sup>. Sama prywatyzacja w tym czasie stawała się już tylko sposobem: „sprzedaży dużych przedsiębiorstw państwowych w ręce inwestora z uwzględnieniem zobowiązań finansowych z jego strony”<sup>13</sup>.

Prawną postać uzyskała koncepcja Janusza Lewandowskiego i Jana Szomburga w ustawie z dnia 30 IV 1993 r. o narodowych funduszach inwestycyjnych i ich prywatyzacji. Ustawa ta zakładała przekształcenie około 5 procent przedsiębiorstw państwowych w spółki prawa handlowego i przekazanie ich akcji narodowym funduszom inwestycyjnym. Wspomniana ustawa miała na celu przekazanie akcji skomercjalizowanych przedsiębiorstw dwóm typom funduszy:

1. fundusz inwestycyjny powszechny;
2. fundusz inwestycyjny rekompensacyjny.

Narodowe fundusze inwestycyjne zgodnie z literą ustawy były spółkami Skarbu Państwa, których celem miało stać się zarządzanie sprywatyzowanymi firmami państwowymi. Same akcje tychże przedsiębiorstw podlegały następującemu podziałowi:

1. 60 proc. akcji miało trafić do różnych NFI, jednakże jeden NFI obejmował pakiet kontrolny w ilości 33 proc. akcji, a resztę, 27 proc. akcji otrzymywał każdy NFI po równo, nadto 15 proc. z owych akcji było zarezerwowane dla firmy zarządzającej danym NFI jako wynagrodzenie za jej pracę;

2. 15 proc. akcji trafiało nieodpłatnie do pracowników spółek;

3. 25 proc. akcji zachowywał Skarb Państwa na zasilenie systemu ubezpieczeń społecznych lub jako fundusz rekompensaty dla pracowników sfery budżetowej lub emerytów i rencistów.

Poddając ocenie powyższy podział akcji należy zwrócić uwagę na uwłaszczenie NFI i ich zarządów przy rozproszeniu reszty akcjonariuszy. To one bowiem stały się rzeczywistym właścicielem komercjalizowanych przedsiębiorstw. Ponadto postawiono w zbyt komfortowej sytuacji pracowników prywatyzowanej firmy – mogli oni uczestniczyć zarówno w prywatyzacji swojego przedsiębiorstwa, jaki i poprzez Powszechne świadectwo udziałowe będące ekwiwalentem jednej akcji w każdym NFI. Samo PSU kosztowało 10 proc. przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia ogłoszonego przez GUS, a orientacyjną wycenę akcji uzyskanych przez jednego obywatela szacowano na ok. 20 tysięcy złotych (tj. 20 zł)<sup>14</sup>.

Wśród wysuniętych propozycji uwłaszczenia na uwagę zasługuje tzw. Rekompensacyjne świadectwo udziałowe, które miało być rozdawane za darmo pośród osób, które w II półroczu 1991 r. nie dostały waloryzacji swoich świadczeń lub płac od rządu.

Podsumowując program powszechnej prywatyzacji należy podkreślić, że w momencie skonkretyzowania w ustawie o NFI i ich prywatyzacji zarzucił on całkowicie ideę stworzenia klasy średniej. Jego celem stało się uwłaszczenie przedsiębiorstw państwowych, poprawienie ich sytuacji na rynku, a także rekompensata braku podwyżek w sferze budżetowej. Największą słabością programu był ograniczony zasięg prywatyzacji, objęto nią jedynie 10 proc. ówczesnych przedsiębiorstw państwowych, co nawet przy masowym uczestnictwie obywateli nie mogło dostarczyć im kapitału potrzebnego do stworzenia własnych biznesów.

Propozycja Lewandowskiego i Szomburga nie została jednogłośnie przyjęta przez KLD. Część gdańskich liberałów zauważyła mankamenty Programu powszechnej prywatyzacji. Przywódcami opozycji w szeregach KLD byli bracia Lech i Longin Mażewscy, którzy z uwagi na brak akceptacji dla ich programu prywatyzacji odeszli z KLD i dołączyli do Partii Konserwatywnej Aleksandra Halla. Mażewscy jeszcze jako członkowie KLD zaproponowali podczas obrad Zarządu Głównego Kongresu (17 VI 1992) projekt komercjalizacji przedsiębiorstw, konkurencyjny w stosunku do przyjętego wówczas programu Lewandowskiego i Szomburga. Głównymi założeniami masowej i powszechnej prywatyzacji Mażewskich były:

1. system bonów kredytowych;
2. regionalizacja uprawnień prywatyzacyjnych;
3. regionalizacja giełd;
4. wykorzystanie NFI do celów prywatyzacji.<sup>15</sup>

Autorzy koncepcji bonem kredytowym nawiązywali do pomysłu Lecha Wałęsy, tzw. „100 milionów

<sup>7</sup> *Program cetniewski. Polska: ku demokratycznemu kapitalizmowi*, [w:] D. Tusk (red.), *Idee gdańskiego Liberalizmu*, Gdańsk 1998, s. 256.

<sup>8</sup> Tamże, s. 257.

<sup>9</sup> Tamże.

<sup>10</sup> Tamże.

<sup>11</sup> Tamże.

<sup>12</sup> *Tożsamość Kongresu Liberalno-Demokratycznego*, [w:] D. Tusk (red.), tamże, s. 277.

<sup>13</sup> *Uchwała programowa Kongresu Liberalno-Demokratycznego*, [w:] D. Tusk (red.), tamże, s. 297.

<sup>14</sup> J. Thieme, *Rzeczpospolita inwestorów*. „Wprost”, nr 3-4/1991, s. 24.

<sup>15</sup> L. Mażewski, *Masowa i powszechna prywatyzacja*, Gdańsk 1993, s. 32.

dla każdego". Otóż wg Wałęsy każdy dorosły obywatel miał uzyskać uprawnienie do otrzymania pożyczki o równowartości 10 tysięcy USD, którą należało spłacić w ciągu 20 lat. Jednakże przez pierwsze 10 lat nie byłaby ona oprocentowana. Od 11 roku oprocentowanie wynosiłoby 10 proc. w skali roku. Spłacając zatem kredyt wcześniej obywatel mógł liczyć na mniejsze koszty inwestycji. W koncepcji Wałęsy, do której nawiązali bracia Mażewscy, otrzymaną sumę można było przeznaczyć na spłatę długów, wykup własności państwowej, komunalnej, a także zakup akcji komercjalizowanych przedsiębiorstw<sup>16</sup>. Cały proces prywatyzacji zgodnie z omawianą koncepcją powinien stać się domeną poszczególnych zespołów liczących po kilka ówczesnych województw, do których miało trafiać 20 proc. wpływów z komercjalizacji przedsiębiorstw.

Prywatyzacja zgodnie z koncepcją opcji konserwatywnej KLD powinna dokonać się wraz z reprivatyzacją poprzez bony reprivatyzacyjne, a także zwroty w naturze tam, gdzie jest to możliwe. Dysponentem majątku miał być Narodowy Fundusz Reprivatyzacyjny posiadający kompetencje wymiany bonów reprivatyzacyjnych na akcje komercjalizowanych przedsiębiorstw (na szczeblu centralnym) lub składniki majątkowe (na szczeblu lokalnym). Kolejnym punktem programu braci Mażewskich był podział na giełdę centralną i jej odpowiedniki regionalne. Umożliwiłoby to dostęp do rynków kapitałowych mniejszych i mniej znanych prywatyzowanych przedsiębiorstw państwowych i firm prywatnych, dla których złagodzone by niektóre warunki dopuszczenia do rynków takie jak czasokres działania i wielkość. Natomiast na poziomie centralnym musiałyby one podlegać wszystkim restrykcjom.

Program opcji konserwatywnej KLD zakładał również modyfikację zasad powstawania i funkcjonowania NFI. W wyniku tych zmian NFI stałyby się spółkami akcyjnymi Skarbu Państwa i firm menedżerskich. Obywatele mogliby lokować bony kredytowe w wybranym funduszu, co wymusiłoby konkurencję między nimi o inwestorów. Autorzy koncepcji twierdzili, że rezultatem masowego kredytu będzie powstanie klasy średniej. Dzięki niej wg Mażewskich przekształcanie Polski następowałoby nie w wyniku działań administracji, ale dzięki siłom żywotnie zainteresowanym obroną i pogłębianiem „demokratycznego kapitalizmu”. Uważali oni, że „rewolucja własności doprowadzi do tego, że interes indywidualny złączy się z interesem wspólnym”<sup>17</sup>.

Reasumując: program opcji konserwatywnej KLD zakładał powszechność, mimo nacisku na partycypację w nim jedynie najaktywniejszych jednostek – osób potrafiących pomnożyć uzyskany kapitał i zwrócić go po maksymalnie 20 latach. Nadto nie stawiał pracowników ani menedżerów prywatyzowanych przedsiębiorstw w uprzywilejowanej pozycji. Można zatem przyznać rację autorom koncepcji, że miała ona na celu stworzenie klasy średniej poprzez zastosowanie regionalnych instrumentów znajdujących się jak najbliżej obywatela. Na uwagę zasługuje również połączenie prywatyzacji wraz z reprivatyzacją, którą Lewandowski i Szomburg pominieli całkowitym milczeniem.

Prezentacja liberalnych projektów prywatyzacji w Polsce po 1989 r. stawiających sobie za cel kreację klasy średniej pozwala odpowiedzieć na postawione na wstępie pytanie. Projekty liberałów zdają się potwierdzać następującą tezę: uważali oni zgodnie, że najlepszym sposobem stworzenia klasy średniej, zawężonej następnie jedynie do przedsiębiorców, i jej utrwalenia w strukturze polskiego społeczeństwa będzie dostarczenie kapitału obywatelom. Ci wykorzystają go do inwestycji nie tylko we własne gospodarstwo domowe, ale także do budowy lub wzmocnienia własnych firm.

Projekt prywatyzacyjny Lewandowskiego i Szomburga poniósł absolutną klęskę – uwłaszczono w nim nie Polaków ale NFI, firmy nimi zarządzające i pracowników komercjalizowanych przedsiębiorstw. Koncepcja braci Mażewskich była zdecydowanie lepszym rozwiązaniem. Miała ona bowiem potencjalnie objąć wszystkich Polaków zapewniając im dopływ kapitału w formie preferencyjnej pożyczki. Nie było to rozdawnictwo pieniędzy, bowiem po stronie pożyczkobiorcy powstawał dług, który po maksymalnie 20 latach należało zwrócić. Koncepcja masowej i powszechnej prywatyzacji kładła więc nacisk na przedsiębiorczość i odpowiedzialność, *condicto sine non qua* nie tylko kapitalizmu, ale również klasy średniej.

Rezultaty polskiej prywatyzacji były znacznie skromniejsze, niż oczekiwania liberałów. W wyniku realizacji programu powszechnej prywatyzacji obywatele uzyskiwali bon o wartości dzisiejszych 20 zł, który w żaden sposób nie mógł im pomóc w rozpoczęciu działalności gospodarczej lub zapewnić jej znaczącego doinwestowania. Powszechne świadectwo udziałowe często sprzedawano po chwili od zakupu w tym samym banku, gdzie je uzyskano. Do dziś nie uwłaszczono większości obywateli. Użytkowanie wieczyste, własność spółdzielcza i komunalna, to tylko niektóre przykłady obszarów, których prywatyzację zaprzepaszczono.

Rozwój klasy średniej nastąpił bez elit politycznych, również tych proveniencji liberalnej zainteresowanych bieżącymi zyskami z komercjalizacji przedsiębiorstw. Dokonał się pośród małego biznesu – handlu, usług, drobnej wytwórczości. Dzisiejsi drobni przedsiębiorcy założyli swoje firmy dzięki wspomnianej na wstępie ustawie gospodarczej M. Rakowskiego i M. Wilczka, a rozwinęli je bez dopływu kapitału z prywatyzowanych przedsiębiorstw.

Sama prywatyzacja utrwaliła podział Polaków na klasę beneficjentów zmian, i tych, którzy musieli dojść do swojej pozycji własnymi siłami. Potencjał niezadowolenia stał się pożywką dla partii zainteresowanych uzyskaniem dostępu do władzy.

Błąd autorów przedstawionych koncepcji można upatrywać w chęci ukształtowania polskiego społeczeństwa zgodnego z ich wolą. Liberałowie, pominiawszy eksponentów z UPR, próbowali wykreować nową klasę społeczną. Przyjęta przez nich strategia była błędna; zamiast ograniczać udział państwa w procesie przebudowy gospodarki i społeczeństwa, prowadzili aktywną politykę gospodarczą i społeczną. Nie mogli tym samym zmniejszać obciążeń dla klasy średniej. W oczach liberałów owe obciążenia gwarantowały środki na jej rozwój. W rzeczywistości klasa średnia w Polsce rodziła się poza działaniami liberałów.

PIOTR BIEGASIEWICZ

<sup>16</sup> L. i L. Mażewscy, *Prywatyzacja na kredyt*. „Dziennik Bałtycki”, nr 42/1992, s. 19.

<sup>17</sup> L. Mażewski, *Masowa i powszechna prywatyzacja*, Gdańsk 1993, s. 32 – 33.

ANDRZEJ BANAŚ

# PERTURBACJE Z IMPLEMENTACJĄ RATIO LEGIS

W czasach burzliwej młodości (sławny październik roku 1956) zdarzyło mi się uczestniczyć w wiecu. Głównym mówcą był szalenie radykalny rewolucjonista, student ostatniego roku renomowanej i zasłużonej uczelni. Słuchaliśmy płomiennego mówcy długo i z przejęciem.

W pewnym momencie stojący obok mnie kolega i rówieśnik wyrzucił z siebie narastające od długiej chwili emocje mówiąc zduszonym szeptem: „Jezu, jaki on jest mądry, nic z tego nie rozumiem”. Starszy od nas nieco uczestnik zgromadzenia wytłumaczył rzecz krótko:

„I właśnie o to chodzi”.

Zrozumienie tego komentarza zajęło mi ładnych parę lat, po których upływie okrzyki o: „destrukcyjnych socjalnie rezultatach demokracji zdegenerowanej *de facto* do *sui generis* modelu autokratycznego” wspominać mogłem z uśmiechem. Później przyszło się człowiekowi oswoić z różnego rodzaju popisami „językoznawców” typu: „poprawność frazeologiczna jest istotą semantycznego zharmonizowania frazeologizmu z kontekstem”, choć pobłażliwy uśmiech błędnie, kiedy ów zawodowy żargon teoretyków przenikać zaczyna do mediów i za ich sprawą podchwytywany jest ochocho przez polityków.

Okazuje się, że w każdej dziedzinie życia i jedni i drudzy to fachowcy całą gębą. To jeszcze pół biedy. Prawdziwy kłopot zaczyna się w miejscu, w którym rzecz dosięga prawa. PRAWA pisanego, czytanego, interpretowanego i stosowanego, i kiedy, niestety nader często, hermetyczny (przepraszam !!!) żargon prawników, używany jest jako zasłona dla bełkotliwych wyjaśnień spraw i rzeczy, które, z uwagi na oczywistość, wyjaśnień nie wymagają. Wszak *Clara non sunt interpretanda*.

Pozwoliłem sobie na zapożyczenie, więc niechaj wybaczone mi będzie przytoczenie paru ozdobnych elementów opinii Urzędu Zamówień Publicznych, które przy użyciu prawniczych paremii próbują kiepskiej lub zgoła chybionej treści przydać intelektualnej wagi. Bywa, *de facto*, że osiąga się w ten sposób skutek odwrotny od zamierzonego, *eo ipso* lepiej może tego unikać lub używać rozważniej.

*Ab initio* więc, odnosząc się do tytułu, powinienem ogłosić wyraźnie i stanowczo, że nie zamierzam kom-

plementować implementacji, *ipso se* (to wyjęty z pewnej opinii ozdobnik z błędem) dalej będzie krytycznie i już całkiem serio, na co pozwolę *se* powodowany troską o losy systemu.

Mowa będzie, rzecz jasna, o wdrażaniu wspólnotowych, europejskich przepisów do polskiego porządku prawnego, a także o funkcjonowaniu polskiego systemu zamówień publicznych intensywnie przez Urząd wspomaganego przez kolejne nowelizacje, które trudno już zliczyć. Gotują się kolejne. Kolaż (*collage*) jako artystyczną technikę formowania kompozycji z różnych tworzyw i materiałów naklejanych na papier trzeba pozostawić plastynom. Wyklejanki w stanowieniu prawa lepiej unikać.

Nie ma sporu co do samego obowiązku wdrażania prawa, przezywanego od dawna implementacją, idzie natomiast o jego zgodność z rzeczywistością zawartością przeszczepianych na polski grunt (może transplantowanych?!) rygorów. Inaczej rzecz się ma, jeśli przyrzeć się skutkom.

Porzucając więc językowe igraszki wydaje się rozsądnym pomysłem, jeśli wstępna diagnoza ma być rzetelna, przyjąć jako jej podstawę najlepszy z możliwych materiałów badawczy – witrynę, okno wystawowe systemu i stan „pacjenta” ocenić przyglądając się uważnie kilku wybranym punktom wystawy. Być może, gwoli zachowania bezstronności, wyboru trzeba by dokonać losowo, ale można też uznać za trafny wybór prostszy. Patrzymy na to, co się rzuca w oczy, przykuwa uwagę, kształtuje wizerunek.

Aby rysowany właśnie obrazek spełniał wymogi realizmu przyjrzymy się uważnie trzem fragmentom wystawy. Po prawdzie będzie on jednak bliższy impresjonizmu, bowiem na całość kompozycji składać się będą plamy i plamki, z których część (a to nie koniec) stanowią tacińskie cudęńka cytowane wyżej.

Zacząć wypada od zawieszanej na honorowym miejscu na portalu UZP relacji z lipcowej, poświęconej zamówieniom publicznym debaty w Kancelarii Prezesa RM, w której, jak czytamy, obok pana premiera i przedstawicieli rządu udział wzięli zamawiający, wykonawcy oraz eksperci.

Dowiadujemy się, że pozytywnie oceniono przepisy zamówieniowej ustawy, że poprawiać należy praktykę



udzielania i realizacji zamówień, zaś ocenione pozytywnie przepisy będą (ewentualnie) korygowane w zależności od kompromisu, który wypracowywany będzie podczas kolejnych debat. Jeśli, w co powątpiewam, poprawnie zrozumiałem, dobre lub bardzo dobre prawo będzie się zmieniać w imię doskonalenia praktyki jego stosowania, zaś kierunek zmian wytyczą kolejne debaty i wypracowany w ich trakcie kompromis.

Odrzuciwszy język laurki ku czci autorów informacji (UZP) stwierdzić nam trzeba z niejakim zdumieniem, iż zamierza się debatować nad poprawianiem, za pomocą kompromisu, dobrego przecież, głównego źródła przychodów wielu przedsiębiorców, które jest jednocześnie środkiem sprawnej realizacji zadań państwa.

Jedynym kompromisem, jaki w tej sytuacji przychodzi mi do głowy jest ten, do którego mogłoby dojść pomiędzy uczestnikami debaty wystawiającymi przepisom prawa i systemowi pozytywną cenzurkę a reprezentowanymi przez najlepiej wielką liczbą „użytkowników” tego prawa, zarówno po stronie zamawiających jak i ubiegających się o publiczne zamówienia. Byłoby to zapewne kompromis trudny, jeśli nie niemożliwy, bowiem gdziekolwiek się ruszyć i kogokolwiek zapytać, po obu zainteresowanych stronach słyszy się krytyczne głosy dotyczące zarówno litery jak i praktyki zamówieniowego prawa. Co się tyczy litery, dodatkowym problemem jest bezpośredni wpływ na praktykę mnożących się z oszałamiającą częstotliwością opinii, wytycznych, rekomendacji, zaleceń i komunikatów. O ich spójności lepiej zamilczeć.

Sądzę, że warto byłoby skonfrontować dobre samopoczucie uczestników debaty z zamówieniową rzeczywistością, zaś stosunkowo łatwym i prostym w użyciu instrumentem badawczym byłby sondaż o maksymalnie szerokim zasięgu, adresowany do zamawiających, wykonawców i niezależnych znawców przedmiotu, publicystów, autorów komentarzy, szkoleniowców nazywanych ongiś trenerami, organizacji zrzeszających wykonawców. Wynik byłby z wszelką pewnością daleki od urzędowego optymizmu, co nie zmienia faktu, że odpowiedzi na sensowny zestaw pytań stworzyłyby wreszcie prawdziwy, choć pewnie bolesny obraz sytuacji i szansę na odpowiedź zasadniczą; brnąć dalej tającą fasadę mocno podniszczonej budowli czy podporządkować się rozporządzeniu z roku 2002 w sprawie zasad techniki prawodawczej i rzecz całą zbudować od nowa zmieniając także sferę instytucjonalną. Przypomnijmy: „§ 84. Jeżeli zmiany wprowadzane w ustawie miałyby być liczne albo miałyby naruszać konstrukcję lub spójność ustawy albo gdy ustawa była już poprzednio wielokrotnie nowelizowana, opracowuje się projekt nowej ustawy”.

Mam nadzieję, że zapowiadane kolejne debaty ten temat podejmą. Być może uda się przy okazji wyjaśnić zawartą w informacji o debacie nader śmiałą, godną Johna M. Keynesa tezę prezesa UZP, który podobno: „podkreślił, że zamówienia publiczne zapewniły bezpieczne przejście polskiej gospodarki przez światowy kryzys gospodarczy”. Proponowałbym tego rodzaju diagnozy zarezerwować dla specjalistów od makroekonomii, którzy orientując się w zasadach interwencjonizmu potrafią dostrzec różnicę pomiędzy zamówieniami publicznymi i robotami publicznymi. Gdyby zaś miało się okazać, że Polsce potrzebny jest jakiś *New Deal*,

wolałbym, żeby jego autorem był specjalista w randze profesora. Nie musi być noblistą.

Prezes był uprzejmy podkreślić jeszcze parę rzeczy, w tym wzrost konkurencyjności wśród ubiegających się o zamówienia owocujący korzystnym procesem racjonalizacji wydatków publicznych, konsekwentną politykę Urzędu zapewniającą niedyskryminujący dostęp wykonawców do zamówień publicznych, wspieranie MSP, wspieranie innowacyjności, elektronizacji, promocję zamówień zrównoważonych oraz mnóstwa innych strategii, dla których realizacji zamówienia publiczne są niezawodnym instrumentem.

Niezależnie od podkreślania prezes również „zwracał uwagę” na skalę zamówień i ich rolę dla budżetu RP. Dawał też wyraz trosce o praktyczną stronę zasady wzajemnych korzyści i zachęcał do szerszego dialogu między zamawiającymi a wykonawcami, czemu podobno służyć mają wytyczne i rekomendacje UZP promujące efektywne udzielanie zamówień i uwzględniające inne niż cena kryteria oceny ofert.

Czytając tę informację ma się wrażenie, że za sprawą pętli czasu znaleźliśmy się w połowie lat siedemdziesiątych minionego wieku i uczestniczymy, jak nazywał to kiedyś znany satyryk, w Akademii Ku Czci Niech Żyje. W jej trakcie w kółko się podkreśla, zaznacza, zwraca uwagę, zapowiada różne działania, wspiera i pokrzykuje gromko, że jest dobrze, a będzie jeszcze lepiej. Na wszelki jednak wypadek, gdyby przyszło komuś do głowy wyrażać wątpliwości lub kwestionować sielankowy obrazek namalowany przez uczestników debaty znajdujemy pod koniec informacji stanowiącą rodzaj bezpiecznika puentę, którą warto zacytować *in extenso*: „Podkreślono, iż oceny zamówień publicznych w Polsce nie można dokonywać poprzez pryzmat pojedynczych postępowań o udzielenie zamówienia publicznego”.

Fakt, że znowu coś podkreślono nie zabrania wszakże zapytać, jaka liczba pojedynczych postępowań skłoniłaby debatowiczów do powrotu do rzeczywistości. Nie znam odpowiedzi, ale potraktowałem jako pomyślny sygnał fragmencik, w którym zaznaczono (!!!), że konieczne jest wzmocnienie nadzoru nad wykonywaniem inwestycji publicznych oraz dokonywaniem ich właściwego odbioru. Gdyby przy okazji niejako udało się wzmocnić nadzór nad stanowieniem i wykonywaniem zamówieniowego prawa, szczęście byłoby blisko i liczba pojedynczych przypadków byłaby wydatnie mniejsza. Nie od rzeczy byłoby też spojrzeć na pojedyncze przypadki z punktu widzenia ich mierzonej w złotychkach wartości.

Mam nadzieję, że zapowiadane kolejne spotkania (debaty?), o których czytamy, że „będą miały na celu wypracowanie praktycznych rozwiązań, prowadzących do udoskonalenia systemu zamówień publicznych, szczególnie w kontekście dużych projektów infrastrukturalnych” zdołają odejść od akademickiej (nie mylić z akademicką) tonacji i zastąpią ją chłodną i rzeczową analizą praktyki udzielania zamówień, bez prób usprawiedliwiania lub bagatelizowania całkiem długiej listy nieszczęść nazywanych wygodnie „pojedynczymi postępowaniami”. Ilu, u diabła, kłap potrzeba żeby dostrzec, że mamy do czynienia ze zjawiskiem, przyczynowo-skutkowym ciągiem zdarzeń, w którym systematycznie psute prawo połączone z kiepską praktyką stymulowaną równie kiepskimi interpretacjami przynosi

owoce w postaci nieobecnych autostrad, stadionów, błyskawicznych pociągów.

Całą tę uroczą laurkę sprytnie nazwaną informacją dałoby się być może oglądać w kategoriach czarnego humoru, gdyby nie wieńczyła jej czystej wody perełka: „Prowadzona przez Urząd konsekwentna polityka, zmierzająca do zapewnienia niedyskryminującego dostępu wykonawców do zamówień publicznych, dała wymierny efekt – dziś 80% procedur, według których udziela się zamówień publicznych to procedury otwarte (z 66% w roku 2007)”.

Brak jakichkolwiek wyjaśnień, na czym owa konsekwentna polityka polega, pozwala tu na dość swobodną interpretację. Moja jest następująca:

- Dla zapewnienia niedyskryminacyjnego dostępu do zamówień wystarcza poprawne stosowanie obowiązującego prawa. Wskazywanie wzrostu procentowego udziału procedur otwartych jako sukcesu w walce o uczciwą konkurencję jest elementarnym błędem logicznym, bowiem znikąd nie wynika, że procedury otwarte same z siebie chronią w pełni przed dyskryminacyjnymi chwytami. Równie bzdurna jest teza, że pozostałe przewidziane prawem procedury są siedliskiem wszelkiego, zagrażającego uczciwej konkurencji zła.

- Skoro mowa o polityce, na domiar złego konsekwentnej, warto zapytać o narzędzia używane dla jej prowadzenia. Każde z trzech jako tako możliwych budzi zakłopotanie. Pierwszym jest kształtowanie prawa, które za sprawą zabiegów nowelizacyjno-implementacyjnych nie zasługuje na pochlebne recenzje. Z drugim i trzecim instrumentem jest jeszcze gorzej – idzie tu o czynności kontrolne oraz związane z nimi duchem interpretacje wyrażane za pomocą obficie emitowanych opinii prawnych, wytycznych, zaleceń, rekomendacji. Już ich legalność może budzić wątpliwości, zaś moc sprawcza, siła oddziaływania na długi szereg podmiotów, w tym w pierwszej kolejności organów kontrolnych jest wysoce niepokojąca.

- Absurdalne (i konsekwentne) przekształcanie zakazu dzielenia zamówień w nakaz ich sumowania wedle różnych „tożsamości” i „jednolitości” faworyzujące wielkich wykonawców mocno dyskryminuje MSP, które podobno się wspiera.

Tyle o debacie.

Kolejnym godnym uwagi elementem obrazu jest Komunikat Prezesa Urzędu w sprawie stosowania kryterium ceny przy udzielaniu zamówień publicznych na roboty drogowe oraz odrzucania oferty z najniższą ceną. Przypomina się w Komunikacie art. 91 ust.2 Prawa zamówień publicznych uznając (słusznie), że medialna wrzawa wokół kryteriów wyboru oferty osiągnęła poziom wymuszający urzędowy komentarz.

Przypomnieć warto choćby po to, żeby zauważyć, że postępowania z jedynym, cenowym kryterium zdominowały polski system zamówień tak dalece, że procedury otwarte zapewniające ponoć pełnię uczciwej konkurencji, brak cienia choćby dyskryminacyjnych praktyk, sprowadzone zostały do rangi zapytania o cenę obudowanego szeregiem papierowych wymogów. Nie zmienia tego faktu zawarte w Komunikacie prawdziwe skądinąd lecz bezzasadnie odniesione tylko do robót budowlanych stwierdzenie, iż „zamawiający opisując przedmiot zamówienia zwykle precyzyjnie określa termin wykonania zamówienia, warunki gwarancji, parametry techniczne i jakościowe”.

Dalej jest już mniej prawdziwie. Teza, że opisanie przedmiotu z precyzyjnym określeniem wytuszczonych wyżej elementów może czynić stosowanie innych niż cena kryteriów bezprzedmiotowym, „albowiem kwestie te są bezwzględnie wymagane od każdego z wykonawców przystępującego do przetargu”, musi być uznana za absurdalną.

Ujmijmy rzecz prosto – zaprzeczają się w ten sposób samej, wynikającej zresztą z cytowanego tu obok zakresu wymogów, idei przyświecającej stosowaniu obok warunków także kryteriów. Gołym okiem widoczne jest niezrozumienie różnicy. Jeśli nie jest się w stanie pojąć, że ten sam wymóg (rygor) może funkcjonować jako warunek albo jako kryterium lub w obu tych rolach jednocześnie, nie powinno się zabierać głosu w sprawach wyboru najkorzystniejszej oferty kluczowych. Nie wnosi też nic nowego do sprawy informacja, że „część przedstawicieli branży budowlanej” uznała, że przy zastosowaniu wspomnianych wyżej warunków stosowanie wyłącznego, cenowego kryterium jest właściwe. Warto byłoby posłuchać argumentów tych przedstawicieli przypominając im wcześniej, że tutaj właśnie jest miejsce na mocne wejście ze stosowaniem szeroko rozumianych warunków i kryteriów związanych z ochroną środowiska, energooszczędnością i zrównoważonym rozwojem.

Lektura wspólnotowych dokumentów nie pozostawia tu pola dla wątpliwości. Skoro mowa o robotach, trzeba także pamiętać, że owe warunki i kryteria mogą dotyczyć nie tylko samego przedmiotu zamówienia, samego rezultatu robót lecz również sposobu jego osiągnięcia lub prośbiej, procesu realizacji. Określanie w Komunikacie sięgania po pozacenowe kryteria jako zabiegu często bezprzedmiotowego jest więc pełnym i wysoce szkodliwym nieporozumieniem, zaś polski „demon ceny” niesie z sobą problem dodatkowy – rażąco niską cenę. Nie da się odgadnąć przyczyny, dla której tak właśnie nazwano zjawisko, które art. 55 dyrektywy klasycznej (2004/18/WE) określa jako *offre anormalement basse* (fr.) lub *abnormally low tender* (ang.), co się przekłada prosto jako oferta anormalnie niska. Polski pomysł jest dla mnie rażąco nietrafny i pojawia się pytanie, czy wniosek, który podobno w kwietniu b.r. skierowano do KE, domagający się zdefiniowania kłopotliwego pojęcia, dotyczył rażenia ceną czy anormalności oferty.

Interesujący jest w tej sprawie komentarz do francuskiego Kodeksu zamówień publicznych, który oceniam jako dość mocny lecz równocześnie przekonujący:

„Oferta złożona przez przedsiębiorstwo może być uznana za anormalnie niską lub drapieżną, jeżeli jej cena, w celu wyeliminowania innych ofert, nie odpowiada ekonomicznej rzeczywistości. Wybór takiej oferty może się okazać szkodliwy (fatalny, zgubny) dla publicznego nabywcy; przedsiębiorstwo może stać się (znaleźć się) wobec niemożności wykonania kontraktu, albo domagać się, przy pomocy wybiegu prawnego, znacznego podniesienia ceny”.

To prawda, że to tylko komentarz, aliści interesujący jest ten jego fragment, który każe się przyrzeć ekonomicznym realiom. W ich świetle żadne orzeczenia, wyroki lub opinie nie są w stanie usprawiedliwić wydarzeń związanych z autostradą A2. Tutaj bowiem zderzenie z rzeczywistością okazało się brutalne odslaniając parę

słabości systemu oraz, co gorsza, słabości naszych zamawiających w obliczu wielkich i odpowiedzialnych kontraktów.

Znalazło się szybko kilku uzdrowicieli, z których na szczególne wyróżnienie zasługuje pewien prezes budowlanej firmy. Zaproszony przez znanego sportowego dziennikarza na rozmowę w sprawie kłopotów ze Stadionem Narodowym był uprzejmy zabrać głos również na temat rzeczonej autostrady i błysnął cudowną receptą. Otóż wedle niego w wielu krajach (których nie wymieniał) stosuje się bardzo prostą regułę – odrzuca się automatycznie oferty z najniższą i najwyższą ceną. Obaj panowie zgodzili się ochoczo, że to znakomity pomysł. Zapomnieli odpowiedzieć sobie na pytanie, co należy zrobić, kiedy otrzyma się jedną lub dwie oferty i zachwyceni sobą i uśmiechnięci zakończyli ten żalosny pokaz ignorancji.

Szczęśliwie się składa, że wbrew opowieściom, iż nic złego się nie dzieje, pojawił się projekt nowelizacji autorstwa komisji Przyjazne Państwo, który ocenić trzeba jako szansę wyjścia z impasu. Oto fragment uzasadnienia, który wydaje się mówić wszystko:

„Stosowanie przez zamawiającego ceny jako podstawowego kryterium oceny oferty przedstawionej w postępowaniu o udzielenie zamówienia publicznego, gdy jednocześnie pomija się albo minimalizuje inne kryteria oceny, takie jak w szczególności jakość wykonania przedmiotu zamówienia, funkcjonalność, parametry techniczne, rękojmia i gwarancje, czy termin wykonania zamówienia, eliminuje często z rynku oferty, które przy niewiele wyższej cenie charakteryzują się jednocześnie zdecydowanie wyższą jakością. Gdy cena jest kryterium wyłącznym albo decydującym bardzo często mamy w ofertach do czynienia ze znacznym zaniżaniem ich wartości, a niekiedy nawet z przypadkami nieuczciwej konkurencji i stosowaniem cen rażąco niskich, dumpingowych”.

Tym optymistycznym akcentem zakończmy rażący problem cenowy w nadziei, że demon ceny zniknie z polskiej sceny zamówieniowej, mimo że utrwalony tradycją cieszy się niesłabnącym uznaniem organów kontrolnych i komentowany jest dość mętnie przez UZP.

Pora na wystawy fragment trzeci.

Jestem z racji zajęcia stałym czytelnikiem portalu UZP, zaś ze szczególną uwagą obserwuję *Opinie prawne*. Dywagacje w sprawie ich legalności pozbawione są sensu. Warto tylko odnotować, że ich rezultaty różnią się co do mocy od komentarzy lub opinii pojawiających się w wielu publikacjach prasowych i książkowych, skąd wynika, że na autorach portalu ciążyć powinna większa nieco odpowiedzialność za słowo.

Przed kilkunastu dniami trafiłem na opinię dotyczącą art.6a ustawy Prawo zamówień publicznych, który jak powszechnie wiadomo pozwala przy udzielaniu zamówień w częściach, przy pewnych ograniczeniach, stosować przepisy właściwe dla wartości części zamówienia, w sytuacji kiedy owe części są przedmiotem odrębnego postępowania, a nie wówczas kiedy w konkretnym postępowaniu dopuszczono składanie ofert częściowych.

Zanim przejdziemy do rzeczy, przypomnijmy inny fragment cytowanego już rozporządzenia z r.2002 w sprawie zasad techniki prawodawczej: „§ 23. 3. Jeżeli od któregoś z elementów przepisu szczegółowego przewiduje się wyjątki lub któryś z elementów tego

przepisu wymaga uściślenia, przepis formułujący wyjątki lub uściślenia zamieszcza się bezpośrednio po danym przepisie szczegółowym”. Z niezrozumiałych powodów komentowany przepis znalazł się pośród tych, które określają „przedmiot regulacji”, zaś jego właściwe miejsce to przepisy Rozdziału 2, Działu II regulujące „przygotowanie postępowania”. Wówczas znalazłby się w art.32 i zgodnie ze zdrowym rozsądkiem oraz regułami wynikającymi z rozporządzenia byłby to jego ust.4a.

Wtedy też tekst przepisu, co być może pozwoliłoby na uniknięcie nieporozumień, zaczynałby się od „niemniej” lub „jednakże” (w dyrektywie „toutefois”), zaś cała reszta zachowałaby brzmienie dotychczasowe.

Art.32 ust.4a.

„Jednakże, w przypadku zamówień udzielanych w częściach, do udzielenia zamówienia na daną część zamawiający może stosować przepisy właściwe dla wartości tej części zamówienia, jeżeli jej wartość mniejsza niż wyrażona w złotych równoważi kwoty 80.000 euro dla dostaw i usług oraz 1.000.000 euro dla robót budowlanych, pod warunkiem, że łączna wartość tych części wynosi nie więcej niż 20 % wartości zamówienia”.

Wydawać się może, że rzecz jest oczywista. W tym miejscu jednak stajemy wobec problemu takich części zamówień, których wartość nie przekracza 14.000 euro. Przepis bardzo wyraźnie odsyła nas w takiej sytuacji do art.4, który w p.8 zwalnia nas z obowiązku stosowania ustawy, jednakże opinia UZP przedstawia w tej sprawie pogląd odmienny i sięgając po ciężką artylerię w postaci: „*Lege non distinguente*, nie jest zakazany sam podział jednego zamówienia na części, ale jest zakazany taki podział, który bez uzasadnionej przyczyny zmierza do uniknięcia stosowania przez zamawiającego przepisów ustawy Pzp”. Opisujący przypadek pokazuje czarno na białym, że tutaj akurat prawo odróżnia, zaś cały ten wytrych poprzedza pokrętny wywód sprowadzający się do stwierdzenia, że „złagodzenie przepisów” stanowi prawo zamawiającego, a nie obowiązek. Jeżeli więc zamawiający uprawniony do sięgnięcia po łagodniejszą, mniej biurokratyzowaną formułę nie zechce z tej możliwości skorzystać, wolno mu przy prostej niewielkiej transakcji wyprodukować górę nikomu niepotrzebnych papierów. Poszukiwanie w tym *ratio legis* wydaje się zabiegiem daremnym, chyba że dostrzeżemy w tej zabawie w paremie kolejną próbę wymuszania na siłę sumowania zamówień. Jeśli nawet gramatyczna wykładnia nie wiedzie do celu, może rozsądnie będzie popróbować celowościowej, skąd wynika, że sterty biurokratycznej makulatury podnoszą tylko koszty, a pożytek z nich żaden. Miłośnikom łacińskich zabawek proponuję zapamiętać po polsku zasadę, że jeśli prawo rozróżnia to *nec nostrum non distinguere*.

Podsumujmy debatę, komunikat i opinię. Wniosek nie jest radosny – ten system wymaga podjęcia w trybie pilnym radykalnych działań naprawczych. Kolejne nowelizacje mogą mieć charakter interwencyjny, naprawiać ujawniające się wady, ale pora chyba najwyższa napisać rzecz na nowo implementując rozważnie i z sensem. Przysłaniana implementacją interpretacyjną demolka sięgnęła tak daleko, że trzeba nam *ab ovo*.

ANDRZEJ BANAŚ



# O POLSKIM UBÓSTWIE I WYKLUCZENIU

Drukowane na stronach 38-47 dwa teksty – Hieronima Kubiaka oraz Jana Widackiego – zostały przygotowane na konferencję, jaka odbyła się w marcu 2011 r. pod patronatem prof. zw. dr. hab. Jacka Majchrowskiego, prezydenta Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa. Zainspirowały ją debaty prowadzone od wielu lat w Stowarzyszeniu „Kuźnica”, a merytorycznie i organizacyjnie wspierały Krakowska Akademia im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego oraz Instytut Socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Konferencja w całości była poświęcona analizie polskiej biedy w świetle Europejskiego Roku Walki z Ubóstwem i Wykluczeniem Społecznym. O proklamowaniu roku 2010 rokiem walki z ubóstwem i wykluczeniem społecznym zdecydowała Komisja Europejska na podstawie agendy na lata 2005-2010. Symboliczny dokument rozpoczynający działania UE podpisali w Madrycie (w czasie prezydencji Hiszpanii) Jose Manuel Barroso oraz Jose Louise Zapatero. Program szczegółowy, ustalający priorytety i wytyczne zarówno dla instytucji UE, jak i wszystkich państw członkowskich zawarto w *Strategicznym dokumencie ramowym*, zatwierdzonym w Brukseli 1 grudnia 2008 r.

Inspirowane na jego podstawie przedsięwzięcia, zgodnie z hasłem przewodnim *Nie dla ubóstwa!* miały zwrócić uwagę władzom państwowym, obywatelom oraz opinii publicznej na przyczyny, zakres i konsekwencje współczesnej biedy, zwłaszcza w krajach wysoko rozwiniętych. Miały stać się także integralnym składnikiem procesu stymulującego wychodzenie z kryzysu. 29 krajów (27 państw członkowskich plus Norwegia i Islandia) zobowiązano do opracowania programów szczegółowych. Ich realizację na poziomie Unii koordynował specjalnie w tym celu utworzony Komitet Konsultacyjny, dysponujący budżetem w wysokości 17 milionów euro.

W Polsce kilka kwestii szczegółowych zawartych w *Strategicznym dokumencie ramowym* UE pozostawało w merytorycznym związku z dwoma raportami przygotowanymi przez Zespół Doradców Strategicznych Prezesa Rady Ministrów, kierowany przez Michała Boniego. Pierwszy z nich, pt. *Polska 2030*, opublikowano 17 czerwca 2009 r. Drugi, *Polska 2030 – trzecia fala nowoczesności. Wyzwania rozwojowe. Rynek pracy a rozwój polskiej i europejskiej / światowej gospodarki*, 12 kwietnia 2011 r. Oba te dokumenty w szczególny sposób uzupełnił raport trzeci *Młodzi 2011* (vide Michał Boni i Krystyna Szafrańskie [red.], Kancelaria Prezesa Rady Ministrów, Warszawa 2011, stron 425).

Poza wyraźnym określeniem kierunków rozwoju gospodarki i modernizacji kraju, pierwsze raporty koncentrowały się na czynnikach warunkujących poprawę jakości życia (w tym wzroście PKB *per capita* i zmniejszenie nierówności regionalnych oraz społecznych). Raport trzeci, wsparty rzetelnymi badaniami socjologicznymi skupił się głównie na: ewolucji systemów wartości młodych Polaków, zmianach demograficznych, stanie systemów edukacyjnych, warunkach pracy, bezrobociu i problemach zdrowotnych. Na tej podstawie formuluje się 35 rekomendacji zmierzających do poprawy sytuacji ludzi młodych, w tym także w zakresie powiązania programów kształcenia ze zmieniającymi się potrzebami dynamicznego rynku pracy,

doradztwa zawodowego, zmian w Kodeksie Pracy (wprowadzających m. in. elementy stabilności do zatrudnienia sezonowego, równego traktowania kobiet i mężczyzn oraz dostosowania zasad zatrudnienia do zmiennych cykli życia młodych rodzin).

Aby w pełni dotrzeć do najważniejszych aspektów polskiego syndromu biedy i wykluczeń społecznych, do grona panelistów uczestniczących w krakowskiej konferencji zaproszono zarówno socjologów, jak i polityków społecznych, a także prawników i ekonomistów reprezentujących sobą kapitał intelektualny i dorobek naukowy trzech środowisk: warszawskiego, łódzkiego i krakowskiego. Byli wśród nich profesorowie **Krzysztof Frysztacki** (kierujący w IS UJ Zakładem Socjologii Stosowanej i Pracy Socjalnej; w grudniu 2010 r. powołany do Rady Narodowego Centrum Nauki), **Stanisława Golinowska** (od prawie dwudziestu lat prowadzi systematyczne badania nad ubóstwem i wykluczeniem społecznym w Polsce, publikowane w serii *Polska bieda*; związana z Instytutem Pracy i Spraw Socjalnych w Warszawie oraz Instytutem Zdrowia Publicznego Collegium Medium UJ. Ekspert m. in. ONZ i UNDP ds. społecznych regionu Europy Środkowej i Wschodniej), **Hieronim E. Kubiak** (kierownik Katedry Socjologii Władzy w Krakowskiej Akademii im. AFM; organizator i uczestnik międzynarodowych badań porównawczych m. in. nad procesami migracyjnymi oraz programami partii politycznych), **Jacek Maria Majchrowski** (kieruje Katedrą Historii Polskiej Myśli Politycznej w ramach Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych UJ, sędzia i zastępca przewodniczącego Trybunału Stanu RP; autor artykułów i książek cenionych w środowiskach naukowych, publikowanych w kraju i za granicą, koncentrujący się zwłaszcza na problematyce szeroko pojętej politologii, prawa i historii), **Wojciech Olejniczak** (doktor nauk ekonomicznych, członek Komisji Rolnictwa i Rozwoju Wsi oraz Komisji Regionalnego w Parlamencie Europejskim), **Andrzej Marian Świątkowski** (kierownik Katedry Prawa Pracy i Polityki Społecznej UJ, członek Komitetu Praw Społecznych Rady Europy oraz sędzia *ad hoc* Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu), **Elżbieta Tarnowska** (socjolog związany z Instytutem Filozofii i Socjologii PAN, w ostatnich kilkunastu latach koncentrująca się na badaniu różnych aspektów ubóstwa i wykluczenia społecznego; autorka, współautorka i redaktor ponad 30 książek), **Jan Widacki** (prawnik, w Krakowskiej Akademii im. AFM kieruje Instytutem Wymiaru Sprawiedliwości na Wydziale Prawa; wiceminister Spraw Wewnętrznych RP, ambasador na Litwie, poseł na Sejm RP, publicysta, adwokat), oraz **Wielisława Warzywoda-Kruszyńska** (socjolog, w Uniwersytecie Łódzkim kieruje Katedrą Socjologii Stosowanej i Pracy Socjalnej, specjalizuje się w badaniu problematyki biedy, zwłaszcza w wielkich miastach; autorka wielu publikacji liczących się w środowiskach naukowych w kraju i za granicą, wielokrotnie nagradzana za wyniki swych badań).

Wszystkie referaty przygotowane na marcową konferencję zostaną opublikowane jeszcze w bieżącym roku w monografii przygotowanej do druku przez Oficynę Wydawniczą AFM. **H.K.**

HIERONIM KUBIAK

# BIEDA I WYKLUCZENIA SPOŁECZNE

## PROLEGOMENA

### Istota problemu

Fenomen biedy i jej skutków należy do kategorii zjawisk analizowanych od tysiącleci. A jednak nadal nie rozstrzygnięto sporu o status ontologiczny biedy i, w konsekwencji, o możliwość jej trwałej eliminacji z życia społeczności ludzkich, zarówno ze względów etycznych, jak i wywołanego przez biedę zagrożenia dla stabilności systemów politycznych.

W kwestii pierwszej w centrum uwagi znajdują się dwa pytania. Po pierwsze o to, czy bieda jest chorobą endemiczną wszystkich systemów społecznych, czy, przeciwnie, trwa tylko dlatego, że elity władzy godzą się na jej trwanie, chroniąc w ten sposób interesy reprezentowanych przez siebie kategorii społecznych. Inaczej i prościej: czy podział na biednych i bogatych wynika przede wszystkim z nierównego wyposażenia genetycznego (nie tylko jednostek, lecz także całych ras ludzkich), czy faktu, że choć rodzimy się równi, to jednak nie mamy tych samych szans spełnienia swego człowieczego losu. Jedni – jednostki i zbiorowości – zdobywają w procesie socjalizacji przewagę nad innymi, ponieważ akt ich społecznych narodzin spełnia się nie w abstrakcyjnie pojętej przestrzeni równych szans, lecz w określonym segmencie historycznie wytworzonych i wzajemnie się warunkujących struktur (społecznych, politycznych, rynkowych, religijnych), o niejednakowych zasobach (dziedzicznych i/lub wytwarzanych synchronicznie), odmiennych systemach wartości i stylach życia. Inni nie mają takich możliwości i skazani są na podporządkowanie się silniejszym. Po drugie, jeśli nawet bieda nie jest generowana przez niejednakowe wyposażenie genetyczne i uwarunkowania strukturalne, to czy jednak o jej powstaniu i trwaniu – poza przypadkami chorobowymi i niepełnosprawnością – nie decydują i tak w ostatecznym rachunku przyczyny zależne od indywidualnej determinacji (woli, wysiłku), koniecznej do wyrwania się z kręgu samoodtworzającej się biedy, w tym przez rozumne wykorzystanie każdej szansy pomnażania kapitału ludzkiego.

W kwestii drugiej, kontrowersje koncentrują się głównie wokół dylematu zawartego w pragmatycznym pytaniu: co pociąga za sobą mniejsze koszty – systemowa eliminacja przyczyn biedy (przez rewolucyjną zmianę podstaw systemu ekonomicznego, politycznego i społecznego) czy stopniowe ograniczanie (poprzez interwencjonizm państwowy, politykę społeczną i oświatową, pracę socjalną i pomoc społeczną) jej skutków, w tym wykluczeń?

### Zjawiska i ich nazwy

Aby uniknąć możliwych nieporozumień dodajmy od razu, iż bieda i wykluczenia społeczne, choć wielora-

ko ze sobą powiązane, nie są synonimami. Bieda powodowana jest i wyraża się najczęściej poprzez niedobór (także dziedziczny!) środków materialnych, natomiast podstawową przesłanką wykluczeń są uprzedzenia (stereotypy i stygmaty) utrwalone w świadomości społecznej (rasowe, etniczne, narodowe, religijne, seksualne, a także warunkujące postawy wobec chorych czy upośledzonych) i determinowany przez nie wrogi (często także agresywny) stosunek do „obcych”, czy po prostu „innych”. Ta problematyka była wcześniej analizowana m. in. w ramach studiów nad upośledzeniem społecznym (deprywacją społeczną), obywatelskością i ekskluzywnością społeczną. Obywatelskość widziana z tej perspektywy to poczucie „bycia członkiem społeczności” lojalnym wobec cywilizacji stanowiącej „wspólne dobro”. Lojalności to z kolei emanacja wolności człowieka „wyposażonego w uprawnienia i chronionego przez prawo” (T. H. Marshall, *Right to Welfare and Other Essays*, London 1981, s. 87 i 96, cyt. za Tomaszem Kaźmierczakiem, *Upośledzenie społeczne*, Encyklopedia socjologii, *Suplement*, Oficyna Naukowa, Warszawa 2005, s. 369).

Jednak nie znaczy to wcale, iż bieda i wykluczenia są od siebie niezależne. Przeciwnie, bieda rodzi wykluczenia. Zależność ta może być opisana w sposób analogiczny jak to uczynił Gunnar Myrdal, starając się już w końcu lat 30. dwudziestego wieku dotrzeć do czynników warunkujących *The Negro Problem* w warunkach amerykańskiej demokracji (*An American Dilemma. The Negro Problem and Modern Democracy*, Harper & Row, Publisher, New York and Evanston, 1962; Twentieth Anniversary Edition). Myrdal uważał, iż wiele zjawisk społecznych – pozornie od siebie niezależnych – łączy w istocie wieloczynnikowy syndrom „dynamicznej przyczynowości”, nazwany przez niego *the principle of cumulation*. O związkach pomiędzy uprzedzeniami białych i ich działaniami dyskryminującymi ówczesnych Afro-Amerykanów oraz czynnikami determinującymi położenie tych ostatnich w społeczeństwie amerykańskim pisał tak: „White prejudice and discrimination keep the Negro low in standards of living, health, education, manners and morals. This, in its turn, gives support to white prejudice” (op. cit., s. 75). Dla Myrdala zasada kumulujących się zależności nie jest jednak tożsama z teorią *vicious circle*. Dlaczego? Ponieważ wiedza i wola oraz zbudowana na ich podstawie polityka społeczna może powodować mobilność wykraczającą poza granice  *błędnego koła*, i to połączoną zarówno z awansem, jak i z pogłębiającą się degradacją w ramach istniejącej struktury społecznej (op. cit., s. 75., przypis b).

W warunkach polskich analogiczny splot dynamicznej przyczynowości występował pomiędzy chłopami pańszczyźnianymi i szlachtą. Jak pisał Charles Louis de Montesquieu jeszcze w połowie XVIII w., „szczyt niewolnictwa i przesadna wolność zdają się walczyć o to, które szybciej zniszczy Polskę: szlachta może wszystko, na co ma ochotę; ciało narodu tkwi w niewolnictwie” (cytat za Dariuszem Łukaszewiczem, *Rola i niedola*, „Polityka”, nr 26, 21.06-28.06 2011, s. 54). Jaki był tego efekt? Analogiczny do stanu opisywanego współcześnie jako „wycyzona bezradność”. Michał Bobrzyński w *Dziejach Polski w zarysie* pisze następująco o mechanizmie jej wytwarzania się: „chłop, utraciwszy poczucie swej człowieczej godności, utracił oczywiście wszelką inicjatywę i przedsiębiorczość i stał się martwą masą, której żadne już choćby najdrastyczniejsze środki nie zdołały z odętwienia poruszyć” (wyd. czwarte uzupełnione, tom II, Nakładem Gebethnera i Wolfa, Warszawa-Kraków-Lublin-Łódź-Paryż-Poznań-Wilno-Zakopane 1927, s. 228).

Fenomen biedy jest opisywany we wszystkich językach świata, a zwłaszcza należących do rodziny indoeuropejskich, przez wiele nazw i związków frazeologicznych bliskich znaczeniowo. W języku polskim wyraz „bieda” jest najczęściej zastępowany przez słowo „ubóstwo”. Tak dzieje się zwłaszcza w piśmiennictwie naukowym, gdzie zarówno denotacje, jak i konotacje obu tych nazw są praktycznie nierozróżnialne. Oto dowód wzięty ze *Słownika języka polskiego PWN* (Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1981). W tomie I na s. 159 bieda zdefiniowana jest jako „brak wystarczających środków materialnych do zaspokajania potrzeb; niedostatek, ubóstwo”, oraz, w rozumieniu metaforycznym, jako „trudna, przykra sytuacja; nieszczęście, kłopoty, tarapaty”. Natomiast pole semantyczne ubóstwa opisano (tom IV, s. 571) jako „brak dostatecznych środków do życia: bieda, niedostatek, i w ujęciu przenośnym jako mała ilość albo liczba czegoś, brak różnorodności, obfitości czegoś; niski poziom czegoś, ograniczenie”.

W języku angielskim sens słów „bieda” oraz „ubóstwo” najpełniej oddaje wyraz *poverty* (wyrazy bliskoznaczne: *want, need, indigence*), pochodzący od łacińskich *paupertas* i *pauper*. *Poverty* to tyle co „bycie biednym, brak środków na zaspokojenie potrzeb materialnych”, lub szerzej (głównie w języku potocznym) „brak czegoś koniecznego lub pożądanego; niedostatek” (zob. *The American Heritage Dictionary of the English Language*, Houghton Mifflin Company, Boston, Massachusetts, 1979, s. 1027). W słowniku wydanym przez Fundację Kościuszkowską *poverty* to po prostu „ubóstwo” (*The Kościuszko Foundation Dictionary. English-Polish – Polish-English*, New York, NY., 1975, s. 731).

Współczesne polskie nauki społeczne, a zwłaszcza socjologia, najczęściej posługują się terminem „ubóstwo”, odwołując się do nazwy „bieda” tylko w przypadkach szczególnych. I tak, np. Maria Jarosz pisze: „Najogólniej rzecz ujmując, pojęcie ubóstwa odnosi się do sytuacji socjalno-bytowej osób, rodzin lub grup, które w określonym społeczeństwie, w określonych warunkach społecznych i historycznych, przy określonych umownych wskaźnikach potrzeb obiektywnie znajdując się (bądź mają poczucie, że się znajdują) w sytuacji niedoboru dóbr materialnych lub socjalnych. Z socjologicznego punktu widzenia ubóstwo dotyka ludzi, których sytuacja wskazuje na niezaspokojenie

większości podstawowych potrzeb życiowych (jedzenie, ubranie, mieszkanie, zdrowie, bezpieczeństwo), a także potrzeb ponadpodstawowych (kultura, oświata, wypoczynek)” (zob. M. Jarosz hasło *Ubóstwo*, Encyklopedia socjologii, op. cit., tom 4, s. 268). Jednak i w tej dyscyplinie jeszcze w latach siedemdziesiątych termin „ubóstwo” często ustępował miejsca nazwie „niedostatek”. Tyle że w niektórych pracach z tamtych lat oznaczała ona nie ubóstwo w ogóle, co skrajną biedę (por. L. Frąckiewicz, *Strefy niedostatku*, Warszawa 1983).

Przykładem szczególnym, w którym użyty zostaje dodatkowo termin „bieda”, jest np. empiryczna analiza struktury ubóstwa, zmierzająca do rzetelnego opisu elementów składowych „syndromu biedy”, w tym powodujących kumulację „czynników składających się na zjawisko ubóstwa” oraz warunkujących proces „dziedziczenia biedy” (starej i nowej) „w określonych typach rodzin”. Badania tego typu obejmują m. in. „system dystansów międzyludzkich związanych z sytuacją materialną, wykształceniem i pozycją społeczną” (M. Jarosz, op. cit., s. 270; zob. także *Ubóstwo 1990-1995*; Bibliografie Głównej Biblioteki Pracy i Zabezpieczenia Społecznego, Warszawa 1995 oraz *Ubóstwo 1996-1997*, Bibliografie Głównej Biblioteki Pracy i Zabezpieczenia Społecznego, Warszawa 1998).

#### Pierwsze próby przezwyciężenia biedy

Koncepcje całkowitego wyeliminowania lub przynajmniej istotnego ograniczenia zasięgu biedy zawarte są m. in. w: 1) pismach starożytnych filozofów, 2) księgach kładących podwaliny religii powszechnych, 3) doktrynach socjalistycznych oraz 4) programach *sozialstaat* i *welfare state*.

Najstarszą z wizji filozoficznych, bo powstałą przed prawie 25 wiekami jest koncepcja Mengzi (Meng-cy, właśc. Men-Ke lub Mencjusz) zaliczanego do najwybitniejszych kontynuatorów Konfucjusza i założyciela konfucjańskiej szkoły *zu-cia*. Spośród stanowisk religijnych na szczególną uwagę, zwłaszcza ze względu na ich późniejszy wpływ na rozwoju cywilizacji europejskiej, zasługują księgi Starego i Nowego Testamentu. Różne wersje socjalizmu (zwłaszcza utopijnego i naukowego) zrodziły się w XIX w., głównie pod wpływem nadciągającej rewolucji przemysłowej. Podobne podłoże, choć interpretowane z perspektywy odmiennego systemu wartości, miała niemiecka wersja państwa społecznego i późniejsze koncepcje (brytyjskie i skandynawskie) państwa dobrobytu lub inaczej: państwa opiekuńczego.

#### Mistrz Meng i jego tradycje.

Mengzi (Mencjusz) przekonania swoje oparł na konfucjańskiej wizji natury ludzkiej (*xing*). W rozwiniętej postaci przedstawił je w traktacie (najprawdopodobniej napisanym razem z uczniami) zatytułowanym *Mengzi* (*Mistrz Meng*).

Widziana z tej perspektywy natura ludzka charakteryzuje się przyrodzoną dobrocią. Każdy z ludzi dysponuje z tego powodu czterema dobrymi zarodkami (*siduan*). Jeśli będą właściwie nadzorowane, doprowadzą każdego do czterech podstawowych cnót konstytuujących człowieczeństwo: współczucia dla innych (*ceyin*), wstydu z racji złych uczynków własnych (*xiuwu*), skromności i uступliwości (*cirang*) oraz poczucia słuszności i niesłuszności (*shifei*). Cnoty te generują jeszcze inne ważne cechy człowieka. Pierwsza stanowi załączek humanitar-



ności (*ren*). Druga – prawości (*yi*). Trzecia – właściwego zachowania (*li*) i wreszcie czwarta – mądrości (*zhi*). Zatem, sama natura, choć dobra, nie tworzy jeszcze człowieczeństwa. Powstaje ono tylko w wyniku ludzkiego samodoskonalenia się. Ludzie stają się moralni tylko wtedy, gdy chcą. Ponadto, wg Mencjusza, wszyscy ludzie mają dostatecznie duże zasoby duchowe, by pogłębić świadomość samych siebie i na tej podstawie wzmocnić więzi z innymi. Tak więc, niezależnie od ograniczeń biologicznych i środowiskowych, człowiek zawsze dysponuje możliwościami, aby poprawić i powiększyć swą szlachetność, którą obdarowało go niebo. Jeśli ludzie będą w pełni realizować potencjał, jakim dysponują, to zrozumieją swą naturę, a rozumiejąc naturę – poznają Niebo.

Ludzie tak wyposażeni – i z natury, i w wyniku osobistej troski o predyspozycje przekazane im przez naturę – wchodzi w stosunki władzy z panującymi. Nie jest to jednak tylko zależność polegająca na podporządkowaniu wymuszonym siłą. Panujący ma obowiązki wobec poddanych wynikające z dwu konfucjańskich cnót: humanitarności i sprawiedliwości. Jeśli sprawujący władzę cechuje się ponadto odwagą moralną – może te cnoty doskonalić. Natomiast „jeśli ktoś podporządkowuje sobie ludzi siłą, wtedy lud nie poddaje mu się sercem, lecz dlatego, że nie ma dość siły, aby mu się przeciwstawić. Lecz jeśli ktoś podporządkowuje sobie ludzi cnotą, wtedy w sercach ludzi jest dość radości i poddają mu się szczerze” (cytat za *Wielką Encyklopedią Powszechną*, tom 17, Wydawnictwo PWN, Warszawa 2003, s. 255).

Z powyższego dyskursu Mencjusz wyprowadza dwie podstawowe konkluzje. Obie stanowią nie tylko motyw przewodni jego doktryny politycznej, lecz również trwałą właściwość późniejszych wersji populizmu.

Według pierwszej, lud – a to przecież dziś znaczy *the common people*: ludzie zwykli, przeciętni, pospolici – jest ważniejszy od panującego i państwa, a państwo jest ważniejsze od króla. Dlatego też, jeśli panujący nie działa zgodnie z przypisanymi mu prawami i do tego jeszcze postępuje w sposób niegodny, powinien być krytykowany przez lud. I jeśli nie spełni warunków koniecznych do rehabilitacji, powinien być władzy pozbawiony. W wielu przypadkach zmiana mandatu czy nawet rewolucja są nie tylko moralnie uzasadnione, lecz nawet wyrażają moralny imperatyw. Niebo i ludzie pozostają ze sobą w stałej syntonii: „Niebo widzi tak, jak ludzie widzą i słyszy to co ludzie słyszą” (cytat za *The New Encyclopedia Britannica 15th ed.*, vol. 12, Encyclopedia Britannica, Inc., Chicago 1992, s. 656).

Druga konkluzja Mencjusza wyznacza strategię reform społecznych. Reforma musi zacząć się od „zmiany sposobu rozumienia zysku, interesu własnego, bogactwa i władzy”. Aby jednak ten typ zmian spełnił związane z nim oczekiwania, „należy je połączyć z dyskursem moralnym, położyć nacisk na prawość, interes publiczny, dobro i opiekę społeczną”. Innymi słowy, wynikała stąd także wskazówka dla sprawujących władzę, aby nauczyli się patrzeć „poza wąską linię horyzontu wyznaczoną przez ich pałace, nawiązali i podtrzymywali wspólnotową więź ze swymi ministrami urzędnikami i pozornie tylko niezróżnicowanymi masami” (*The New Encyclopedia Britannica*, op. cit., s. 656).

Ergo, Mencjuszowska tradycja kładzie podwaliny pod wielokrotnie później przywoływany paradygmat różnych ruchów społecznych, a zwłaszcza populistycznych:

bieda jest bezpośrednią konsekwencją błędnej koncepcji człowieka i budowanych na jej podstawie systemów (politycznych i ekonomicznych). I skoro tak, to może i powinna być wyeliminowana. A jakimi cechami, także zgodnie z tą tradycją, powinna charakteryzować się władza, aby mogła skutecznie znosić podstawy biedy? Abraham Lincoln w głośnym przemówieniu wygłoszonym w roku 1863 podczas uroczystości otwarcia cmentarza na byłym polu bitwy w Gettysburgu (znanym powszechnie jako *The Gettysburg Address*) określi ją tak: *government of the people, by the people, for the people*.

### Inspiracje Starego i Nowego Testamentu

Stary Testament w *Księdze Rodzaju* uznaje bogactwo, ale jednocześnie zaleca nieobojętność wobec ubóstwa. To pierwsze, w postaci ziemi, jest darem Boga dla całej ludzkości. Ów dar miał zapewnić wszystkim ludziom odpowiednie środki utrzymania. Dlatego wyrzeczenie się dóbr materialnych, jako sprzeczne z planem Bożym, nie może być uważane za wartość *per se*. Ubóstwo powstaje natomiast wbrew woli Bożej, jako skutek wytworzonych przez ludzi „niesprawiedliwych nierówności” i, w efekcie, trudnych warunków życia części rodzaju ludzkiego. Z tych też przyczyn Bóg opowiada się po stronie ubogich i wzywa swych wyznawców do poszukiwania środków zapobiegających biedzie. Należy do nich, co wynika jednoznacznie z Pięcioksięgu, przede wszystkim – traktowana jako „święty obowiązek” – międzyludzka solidarność. W *Księdze Powtórzonego Prawa* Bóg dodaje, że ubogich „nie zabraknie w tym kraju” i dlatego „Ja nakazuję: otwórzcie szczerze rękę swojemu bratu uciśnionemu lub ubogiemu w tej ziemi” (Pwt, 15,11).

Ubóstwo samo w sobie rodzi pewien szczególny przywilej. Człowiek ubogi może bowiem postużyć się swoim ubóstwem jako środkiem umożliwiającym mu „duchowy wzrost” i, tym samym, potwierdzić swój wybór przez Boga. W życiu doczesnym ubodzy, choć mają różne potrzeby, to jednak są z zasady łagodni, pokorni i „pokładaj nadzieję w Bogu”, i to spośród nich, jak głosili prorocy, narodzi się oczekiwany Mesjasz. I im Bóg pozwoli się odrodzić.

Obowiązki wobec ubogich wyznaczone zostały również dla izraelskich struktur władzy, a zwłaszcza królów. W życiu doczesnym ich zadaniem jest przede wszystkim reprezentować Boga „jako obrońcę ubogich” (por. *Encyklopedia chrześcijaństwa. Historia i współczesność. 2000 lat nadziei*. JEDNOŚĆ, Katowice 2001, s. 738).

Nowy Testament odnosi się do ubóstwa i ubogich pod wieloma względami analogicznie jak księgi Starego Testamentu. Zakłada w punkcie wyjścia, iż ubóstwo i ubodzy będą istnieć zawsze. Zatem do nich powinna najpierw zwracać się miłość innych chrześcijan i ona jest również – wcześniej i teraz – „naczelnym kryterium działalności Kościoła” (*Encyklopedia chrześcijaństwa*, op. cit., s. 738). Jezus „przyszedł na świat jako ubogi (...) jest Mesjaszem ubogich” i przynosi im „dobra nowinę”, troszcząc się o wszystkich potrzebujących „zarówno duchowej, jak i materialnej pomocy”. Ci, którzy „mają ducha ubogich” oraz „żyją w pełnym zawierzeniu Bożej opatrności, wychodzącej naprzeciw wszelkim ludzkim potrzebom” wiedzą, że „w ten sposób nadchodzi królestwo Boże” (*Encyklopedia chrześcijaństwa*, op. cit., s. 738).

Inaczej niż Stary Testament odnosi się jednak Nowy Testament do kwestii porzucania bogactwa i praktyki do-

browolnego ubóstwa. Zgoda na „ewangeliczne ubóstwo” oraz „dzielenie się posiadanyimi dobrami” prowadzi do zbiorów dóbr materialnych na rzecz ubogich i rozbudowanej działalności charytatywnej (np. przez Wspólnoty św. Pawła) oraz, poczynając od średniowiecza, do rozbudowy wspólnot zakonnych (np. franciszkanów i innych zakonów żebraczych) i jednocześnie dodatkowo wolontariatu. Aby służyć ubogim, odwołując się do stylu Chrystusowej pokory i wyrzeczeń, a także dążąc do sprawiedliwego podziału zasobów ziemi, rozwija się „Kościoł ubogich” (por. *Encyklopedia chrześcijaństwa*, op. cit., s. 739). Ponadto szczegółowe kwestie społeczne, w tym zwłaszcza wynikające ze stosunku pracy, a także związanych ze sprawiedliwym podziałem jej efektów we współczesnych społeczeństwach, starają się, poczynając zwłaszcza od *Rerum novarum* Leona XIII z 1891 r., rozwiązywać kolejne encykliki papieskie oraz konstytucja soborowa *Gaudium et spes* (z grudnia 1967 r.)

Do najważniejszych encyklik tworzących w sumie podstawy katolickiej nauki społecznej należą: *Populorum progressio* (1967 r.) Pawła VI (stwierdzająca m. in. że koncepcja rozwoju powinna mieć charakter integralny, skierowany „na promocję każdego człowieka i całego człowieka”), *Sollicitudo rei socialis* (1987 r.) Jana Pawła II (deklarująca wprost, że „Nauka społeczna Kościoła nie jest jakąś »trzecią drogą« między liberalnym kapitalizmem i marksistowskim kolektywizmem” lecz stanowi „kategorię niezależną”, opierającą się na dokładnym sformułowaniu „wyników pogłębionej refleksji nad złożoną rzeczywistością ludzkiej egzystencji w społeczeństwie i w kontekście międzynarodowym, przeprowadzonej w świetle wiary i tradycji kościelnej”; fragment 41), *Centessimus annus* (1991 r.) Jana Pawła II (przestrzegającą, po upadku komunizmu, przed ryzykiem zdominowania myśli społecznej i praktyki politycznej przez radykalną ideologię liberalną, „dla której człowiek i jego dobro muszą się podporządkować prawom wolnego rynku, co sprzyja interesom wąskich grup społecznych i rodzi nową niesprawiedliwość”; cyt. z *Encyklopedii chrześcijaństwa*, op. cit., s. 337-338).

Z tej samej tradycji wywodzi się, ale przyjmuje sobie tylko właściwe rozwiązania teologia wyzwolenia. Jej bezpośrednią inspiracją była z jednej strony, metoda analizy zawarta w *Gaudium et spes*, konstytucji Soboru Watykańskiego II, i z drugiej – utrzymujący się wysoki poziom ubóstwa w państwach Ameryki Łacińskiej oraz rodzące się na tym podłożu ostre konflikty społeczne. Metoda ta znajduje punkt wyjścia we współczesnej teologii (rozumianej jako „poszukiwanie o charakterze eklezyjalnym, jako poszukiwanie o charakterze krytycznym, poszukiwanie sensu słowa Bożego”; zob. *Encyklopedia chrześcijaństwa*, op. cit., s. 732), ale nie ogranicza się tylko do interpretacji zasad, lecz wychodzi także od analizy rzeczywistości.

Zainspirowana postulatami metodologicznymi Soboru Watykańskiego II, konferencja biskupów Ameryki Łacińskiej obradująca w Medellin w 1968 r. przeprowadziła krytyczną analizę problemów społecznych krajów tego regionu oraz sposobu rozumienia teologii. Uznała, iż kraje Ameryki Łacińskiej są uzależnione od gospodarki i interesów politycznych USA, co w efekcie powoduje ich eksploatację, zacofanie gospodarcze i wysoki poziom ubóstwa (także skrajnego). Konferencja nie

ograniczyła się jednak tylko do socjologicznej analizy rzeczywistości, lecz zapoczątkowała także „nową – pod względem przedmiotu zainteresowania i metod badawczych – wizję teologii”. Jej założenia uporządkował i przedstawił Peruwiańczyk, filozof i teolog, późniejszy dominikanin Gustavo Gutierrez (urodzony w 1928 r. w Limie, mieszkający obecnie w Paryżu) w głośnym dziele zatytułowanym *Apuntes para una teologia de la liberación* wyd. w 1969 r. (polskie tłum. *Teologia wyzwolenia. Historia, polityka i zbawienie*. Warszawa, PAX, 1976 r.).

Wcześniej przez lata Gutierrez pracował wśród ubogich. Znał więc ich położenie z autopsji. Nieobce były mu również ruchy protestu przeciwko ubóstwu i poniżeniu. Szukał więc odpowiedzi na pytanie o relacje pomiędzy wiarą ludzi a ich położeniem w strukturze społecznej. Sądził początkowo, że znajdzie tę odpowiedź w teologii rozwoju. Po zapoznaniu się z konstytucją Soboru Watykańskiego II i atmosferą konferencji w Medellin doszedł do wniosku, iż rozwiązanie problemów Ameryki Łacińskiej wymaga nowego paradygmatu, a mianowicie zaangażowania na rzecz „wyzwolenia integralnego” przekraczającego granice nieludzkiego błędnego koła poniżenia i wyzysku. Dążąc do wyzwolenia nie można wychodzić od abstrakcyjnych twierdzeń, lecz konkretnego położenia społecznego jednostek i zbiorowości oraz uczestnictwa w ich działaniach, w tym, być może, także działalności wyzwolenczej. Celem ostatecznym wyzwolenia, konstytuowanego przez: 1) dążenie poniżonych do uwolnienia się od ekonomicznej, społecznej i politycznej dominacji obcych oraz klasy bogatych, 2) nowe rozumienie historii, wg którego człowiek sam ponosi odpowiedzialność za swój los oraz 3) „rozwijanie wszystkich wymiarów człowieka” prowadzące do prawdziwej wolności, a przez nią „do stworzenia nowego człowieka i jakościowo nowego społeczeństwa” – jest nowe rozumienie tego, co się wokół dzieje. Polityczną implikacją wyzwolenia w rozumieniu Gutierrez jest niezgoda na kapitalizm, ponieważ jest on sprzeczny z duchem Ewangelii. Wyzwolenie umożliwia ponadto otwarte podejście do źródeł biblijnych, „które inspirują obecność i działanie człowieka w historii (...) Chrystus czyni człowieka naprawdę wolnym, to znaczy umożliwia człowiekowi życie w jedności z nim”, a ono jest podstawą „wszelkiego ludzkiego braterstwa” (*Teologia wyzwolenia*, op. cit., s. 45-46). W innych partiach tego tekstu autor jeszcze wielokrotnie podkreśla, iż dynamizm historii dowodzi, że trzeba walczyć „przeciwko wszystkiemu, co depersonalizuje człowieka – jak nierówność społeczna, nędza, wyzysk”. Ta walka ma swe źródło „w zbawczym dziele Chrystusa” (por. „[http://pl.wikipedia.org/wiki/Gustavo Guti%C3%A9rrez](http://pl.wikipedia.org/wiki/Gustavo_Guti%C3%A9rrez)”).

Tak więc punktem krytycznym dla Gutierrez nie jest już tylko doktryna teologiczna, lecz także „praktyka historyczna wspólnot chrześcijańskich” oraz analityczna refleksja nad „życiem Kościoła i społeczeństwa w oparciu o Ewangelię”. Zatem teologia, przyjmując położenie ubogich za punkt wyjścia, powinna się skupić na działalności Kościoła prowadzącej do wyzwolenia społeczeństw ludzkich spod presji systemów rodzących nierówność, a nie tylko na duszpasterstwie liturgicznym i katechetycznym. Powinna, bowiem „Ubodzy, jak grupa społeczna, są kluczem do rozumienia słowa Bożego, są centralnym przedmiotem ewangelicznej działalności wyzwolenczej, oraz wiary, która jej towarzyszy” (*Encyklopedia chrześcijaństwa*, op. cit., s. 723).

Przesłanie teologii wyzwolenia spotkało się z negatywną opinią Jana Pawła II (w 1979 r. w trakcie pielgrzymki do Meksyku; zob. Jan Paweł II, *Do robotników w Sao Paulo* [w:] *Dokumenty nauki społecznej Kościoła*, cz. 2, Rzym–Lublin 1987 r. oraz Jan Paweł II, *Orędzie do wszystkich robotników Ameryki Środkowej*, [w:] *Dokumenty nauki społecznej Kościoła*, cz. 2, Rzym–Lublin 1987), a także krytyką watykańskiej Kongregacji ds. Doktryny Wiary. Po pierwsze dlatego, że za podstawą wyróżnienia ubogich i działalności wyzwoleniczej przyjmowała ona raczej analizę socjologiczną „o inspiracjach marksistowskich”, a nie – jak powinna – słowo Boże. Po drugie dlatego, iż ważność słowa Bożego teologia wyzwolenia zdawała się uzależniać od jego zgodności z wyborami i decyzjami podjętymi w oparciu o analizy społeczne (zob. dwa dokumenty Kongregacji: *Libertatis nuntius* z 1984 r. oraz *Libertatis conscientia* z 1986 r.).

Współczesne stanowisko Kościoła wobec ubóstwa i zakres działań koniecznych by je znieść (lub przynajmniej ograniczyć) określa katolicka nauka społeczna (*disciplina socialis catholica*). Nazwa ta, dziś powszechnie przyjęta, pojawia się po raz pierwszy w encyklice Piusa XI *Quadragesimo anno* z 1931 r. i znaczy tyle co „zespół twierdzeń i zasad, w świetle których można i należy poszukiwać rozwiązań praktycznych zagadnień współżycia społecznego oraz działalności politycznej i gospodarczej” (ks. Tadeusz Borutka, o. Jan Mazur OSPPE, ks. Andrzej Zwoliński, *Katolicka nauka społeczna*, Paulinianum, Częstochowa – Jasna Góra 1999, s.11. Zob. także Czesław Skrzyszewski, *Katolicka nauka społeczna*, ODiSS, Warszawa 1985).

Nadrzędnym wobec „rozwiązań praktycznych” jest „dobro wspólne”, bowiem „dobro każdego pozostaje w sposób konieczny w relacji z dobrem wspólnym”, przez które należy rozumieć „sumę warunków życia społecznego, jakie bądź zrzeczeniom, bądź poszczególnym członkom społeczeństwa pozwalają osiągnąć pełnię i łatwiej własną doskonałość” (Sobór Watykański II, konstytucja *Gaudium et spes*, 26; cyt. za *Katechizm Kościoła Katolickiego*. Pallottinum, Częstochowa 1994, s. 442). Opiera się ona na: 1) „poszanowaniu osoby ludzkiej jako takiej. W imię dobra wspólnego władze publiczne są zobowiązane do poszanowania podstawowych i niezbywalnych praw osoby ludzkiej” (op. cit., s. 442), 2) dążeniu do dobrobytu i rozwoju społeczności. „Rozwój jest syntezą wszystkich obowiązków społecznych”. Wybór, w imię dobra wspólnego, „między różnymi partykularnymi interesami” należy do władzy. „Powinna ona jednak zapewnić każdemu to, czego potrzebuje on do prowadzenia życia prawdziwie ludzkiego: wyżywienie, odzież, opiekę zdrowotną, pracę, wychowanie i kulturę, odpowiednią informację, prawo do założenia rodziny” (op. cit., s. 443), 3) „pokoju”, który oznacza tu „trwałość i bezpieczeństwo sprawiedliwego porządku”. Jego zapewnienie, „przy użyciu godziwych środków”, należy do obowiązków władzy (op. cit., s. 443).

Wreszcie, „dobro wspólne” i właściwe „sprawowanie władzy” łączy „sprawiedliwość społeczna. Społeczeństwo zapewni sprawiedliwość społeczną” jeśli „urzeczywistnia warunki pozwalające zrzeczeniom oraz każdemu z osobna na osiągnięcie tego, co im się należy odpowiednio do ich natury i powołania” (op. cit., *Katechizm Kościoła Katolickiego*, art. trzeci, s. 445).

Zatem państwo ujmowane z perspektywy katolickiej nauki społecznej, powinno: 1) harmonizować sprzeczne interesy i łagodzić konflikty, bo tylko ta droga prowadzi do „nadrzędnego dobra wspólnego”, 2) kierować się zasadą „solidarności” (nie tylko pomiędzy jednostkami, lecz także całościami składającymi się na strukturę społeczną oraz innymi podmiotami zbiorowymi życia publicznego) m.in w ponoszeniu kosztów koniecznych reform społecznych, 3) działać jako „instytucja pomocnicza”, konieczna dopiero wtedy, gdy siły i wola podmiotów sfery publicznej okażą się niewystarczające, 4) wspierać bezpośrednio „uczestnictwo obywateli” w działaniach wszystkich podmiotów życia publicznego.

### Doktryny socjalistyczne

Powstanie doktryn socjalistycznych poprzedziły XVI-wieczne renesansowe utopie, przeciwstawiające nowym konfliktom społecznym wizję społeczeństwa egalitarnego, wolnego od nierówności, wyzysku i, tym samym, ubóstwa (vide *Utopia* Thomasa Morusa i *Miasto słońca* Tommaso Campanelli). Wiek XVII i XVIII dodał do tych wizji obraz idealnego społeczeństwa agrarnego (*The Law of Freedom in a Platform* Gerra Winstanleya), sprawiedliwego ustroju generowanego przez rozumną naturę ludzką (egalitarystyczny program demokracji mieszczańskiej Gabriela Bonnota de Mably'ego) oraz ideały symbolizujące Wielką Rewolucję Francuską (propagowane w piśmiennictwie Francisa Noella Babeufa, Claude'a Henriego Saint Simona, Charlesa Fouriera, Roberta Owena, Jeana Josepha L. Blanca, Pierre'a Josepha Proudhona, Louisa Auguste'a Blanquiego)

Choć doktryny te, zwłaszcza poczynając od lat dwudziestych XIX w. występowały w wielu wersjach, to jednak miały zasadniczo cztery punkty wspólne. Po pierwsze, wszystkie wyrosły w opozycji wobec rodzącej się formacji kapitalistycznej. Po drugie, ubóstwo traktowały jako zło. Po trzecie, genezę tego zła wyjaśniały przez wskazanie na skutki wadliwie zorganizowanego życia gospodarczego i społecznego. Wreszcie po czwarte, głosiły, że skoro podmiotem sprawczym ubóstwa są zasady i wartości, z których wynikają stosunki społeczne, to przez zmianę owych zasad i inny wybór wartości ubóstwo może być zniesione (całkowicie, lub przynajmniej w jego najbardziej drastycznych przejawach). Różni natomiast te doktryny – zwłaszcza socjalizm utopijny i socjalizm naukowy – przede wszystkim wizją dróg prowadzących do trwałego uwolnienia ludzkości od ubóstwa.

Podczas gdy pierwsza orientacja postugiwała się głównie wizjami i rozwiązaniami częściowymi odwołującymi się do świadomości (indywidualnej i zbiorowej), druga, stworzona m.in. przez Karola Marksa i Fryderyka Engelsa, miała opisać i uzasadnić ustrój alternatywny wobec kapitalizmu oraz wskazać drogi do niego prowadzące. Odwoływała się do generalizacji wypracowanych z analizy istniejących społeczeństw kapitalistycznych i na tej podstawie głosiła, że procesem historycznym ludzkości rządzą nieuchronne prawa historii. Na mocy tych praw socjalizm / komunizm oparty na społecznej własności środków produkcji nieuchronnie nastąpi po formacji kapitalistycznej. Do zmiany, w imię dobra ogólnego ludzkości, doprowadzi proletariát – nowa klasa społeczna powstała w warunkach kapitalizmu i nieodzowna w typowych dla kapitalizmu stosunkach gospodarczych. Jej siła polega także



na tym, że posiada wykształconą samoświadomość i umiejętność zbiorowego działania, a w razie potrzeby, kierowana przez własną partię polityczną, nie zawaha się przed złamaniem obowiązujących praw – nawet jeśli dla zdobycia władzy będzie trzeba sięgnąć po środki siły. Stanie się tak, ponieważ ten nowy demiurg nie ma nic do stracenia, a wszystko do zyskania. Ponieważ w wyniku rewolucji proletariackiej zniszczona zostanie własność środków produkcji, a duże majątki ulegną nacjonalizacji, wyeliminowana będzie ostatecznie także podstawa wyzysku i biedy wywołanej przez wyzysk.

Paradoks dziejów polega na tym, że żadna z krańcowych wersji społecznego wyzwolenia prostych ludzi (inaczej: ludu lub kategorii społecznych zagrożonych deprawacją i biedą) nie przyniosła trwałych rozwiązań i nie była w stanie wykupić weksli, które wystawiała mobilizując masy społeczne do protestu, a w krańcowych sytuacjach nawet do walki zbrojnej. Populistyczne ruchy, szlachetne kiedyś w swych intencjach, dziś są jedynie bezradną manifestacją sprzeciwu wobec rzeczywistości społecznej. Co więcej, formy walki politycznej stosowane kiedyś wyłącznie przez środowiska lewicowe, zostały współcześnie przejęte także przez konserwatywne środowiska prawicowe.

W przypadku populizmu o lewicowych inklinacjach można je opisać jako masowe dążenia do zmian przerywających proces deprawacji i wykluczenia społecznego, pozbawione jednak dającej się obronić po krytycznej analizie alternatywnej wizji gospodarki i społeczeństw zorganizowanych w racjonalnie działające państwa, w ramach skutecznych struktur transpaństwowych. W przypadku populizmu prawicowego są to demonstracje w imię haseł nie znajdujących żadnego uzasadnienia merytorycznego, głoszących, iż proces dziejowy ludzkości został już dopełniony, zatem wszystko co teraz pozostało do zrobienia zawiera się w obronie wszelkimi dostępnymi środkami istniejącego *status quo* przed myślącymi inaczej.

Ma więc rację Guy Hermet gdy twierdzi, iż współcześnie termin populizm staje się co raz mniej ostry. Jeśli niedawno jeszcze dało się jego sens sprowadzić do antyelitarnego i zarazem protestacyjnego, „przejściowego zakłócenia polityki”, lub jeszcze inaczej: krótkotrwałego, lecz „chronicznie powracającego zakłócenia ustroju przedstawicielskiego” pod wpływem „kryzysów politycznych lub gospodarczych”, to dziś staje się on „najczęściej używanym narzędziem zwykłej gry politycznej” prowadzonej zarówno przez „podlegaczy antysystemowych”, jak i aktorów „reprezentujących panujący ustrój polityczny” (zob. Guy Hermet, *Przemiany populizmu*, (w:) Jean-Michel i Anna Pacześniak (red.) *Populizm w Europie. Defekt i przejaw demokracji?* Oficyna Naukowa, Warszawa 2010, s. 35).

Więcej szczęścia miały koncepcje ewolucyjne, zakładające, iż jedyna szansa dla trwałego zmniejszenia biedy czy nawet stopniowego jej wyeliminowania zawiera się w rozumnym połączeniu wolnorynkowej gospodarki z racjonalnym interwencjonizmem państwa. Pierwszy z tych dwu elementów, wolny rynek zwiększa prawdopodobieństwo rozwoju gospodarczego. Drugi – wprowadza uniwersalny system wartości i zbudowanych na jego podstawie praw podstawowych, generujących realizację polityki społecznej inwestującej w kapitał ludzki, a także gwarantujących pomoc społeczną i opiekę społeczną

wszystkim, którzy nie z własnego wyboru znaleźli się poniżej społecznie akceptowanych standardów.

### Programy *sozialstaat* oraz *welfare state*

Pomiędzy pojęciami „socialstaat” oraz „welfare state”, choć obie te nazwy złożone powstały w odmiennych kulturach politycznych, z odmiennych powodów i w różnym czasie historycznym, istnieje związek merytoryczny. W obu przypadkach chodziło bowiem o takie rozbudowanie funkcji socjalnych / opiekuńczych państwa, aby było ono w stanie skutecznie powstrzymać proces nasilania się ubóstwa i radykalizacji nastrojów społecznych w dotkniętych nim klasach i warstwach społecznych (jak wtedy nazywano, powiązane z sobą różnymi typami więzi, zbiorowości tworzące w sumie strukturę społeczną).

Założki państwa spełniające także funkcje socjalne powstały w Niemczech, w wyniku procesu zapoczątkowanego przez Otto von Bismarcka w latach siedemdziesiątych-osiemdziesiątych XIX w., wtedy już pierwszego kanclerza Rzeszy. Bismarck, zaniepokojony krachami na giełdach (np. w 1873 r. na giełdzie wiedeńskiej), konfliktami społecznymi rodzącymi się pod wpływem żywiołowego rozwoju przemysłu (w 1860 r. 3/5 ludności krajów niemieckich pracowało w rolnictwie, a już w 1882 r. wskaźnik ten zmniejszył się do 2/5, a w 1895 spadł nawet do 1/5), gwałtownie nasilającymi się migracjami (wewnętrzными i zewnętrznymi) oraz, *the last, but not least*, szybkim rozwojem partii lewicowych (powstałego w 1863 r. Powszechnego Niemieckiego Związku Robotników, zwanego także „partią lassalczyków” oraz istniejącej od 1869 r. Socjaldemokratycznej Partii Robotników, w języku potocznym nazywanego „partią eisenachczyków”) i ich rosnącymi wpływami zwłaszcza w środowiskach robotniczych (których liczebność w latach 1850-1882 zwiększyła się z 0.8 mln. do 6.8 mln.), postanawia przeciwstawić się procesom radykalizacji społecznej. Pragnie ustawowo (w 1878 r.) zakazać rozpowszechniania ideologii socjalistycznej, ale jednocześnie przeciwstawić się żądaniom Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD) (powstałej w 1890 r., po zmianie nazwy utworzonej w Gotha w 1875 r. Socjalistycznej Partii Robotników Niemiec, łączącej istniejące wcześniej PNZR i SPR; zob. Władysław Michalski, *Socjaldemokratyczna Partia Niemiec*, [w:] *Partie Socjaldemokratyczne Europy. Zarys encyklopedyczny*, Książka i Wiedza, Warszawa 1982, s. 257-313). SPD postulowało skrócenie czasu pracy, wprowadzenie zakazu zatrudniania dzieci, zrównanie zarobków kobiet i mężczyzn oraz ustanowienie niedziel i świąt dniami wolnymi od pracy). Pod presją istniejących okoliczności, kanclerz decyduje się na ustanowienie własnego ustawodawstwa socjalnego. Chce, aby w roli rzecznika interesów pracujących występowało państwo, a nie partie polityczne czy ruchy społeczne. Oczywiście, jeśli rządzący uznają owe interesy za uzasadnione.

Przygotowanie pierwszej ustawy o ubezpieczeniach robotników płatnych z środków pracodawców, zleca ministrowi spraw wewnętrznych Karolowi Henrykowi Bötticherowi. Projekt zostaje w 1881 r. odrzucony przez parlament, choć wsparła go nowopowstała partia katolicka (Zentrumpartei, 1870), a także protestanckie środowiska konserwatywne i rzecznicy tzw. *kathedersozialismus* (m. in. pastora Adolfa Cockera).

Sytuacja zasadniczo zmienia się po przyjęciu w 1882 r. ustawy o obowiązkowym ubezpieczeniu

na wypadek choroby i, następnie, w 1884 r. – o ubezpieczeniu od nieszczęśliwych wypadków, a w 1889 r. – ubezpieczeniu na wypadek niezdolności do pracy. W 1890 r. z kompletem ustaw rozszerzających uprawnień socjalne pracowników występuje sam cesarz Wilhelm II. Są to m.in. ustawy zakazujące pracy w święta, ograniczające długość dnia pracy dla kobiet oraz regulujące warunki zatrudnienia młodzieży niepełnoletniej. Z inicjatywy władz podjęto ponadto przygotowania do berlińskiej międzynarodowej konferencji w sprawie warunków pracy robotników. W ten sposób, przez kolejne dziesięciolecia i z różnych powodów tworzą się podstawy niemieckiego państwa socjalnego (*sozialstaat*), które po II wojnie światowej, a zwłaszcza po zjednoczeniu RFN i NRD stanie się – niezależnie od pierwotnych intencji Bismarcka – dobrem *per se* niemieckich pracowników, silnie utrwalonym w ich świadomości.

Niemiecki *Sozialstaat*, poprzez politykę społeczną i inspirowane nią ustawodawstwo widziany jest w roli rzecznika sprawiedliwości społecznej, zmniejszającego ustawowo nieuzasadnione różnice społeczne oraz gwarantującego bezpieczeństwo socjalne. Podporządkowana tym celom polityka społeczna obciąża jednak skarb państwa na tyle, że próby demontażu obowiązującego od lat ustawodawstwa socjalnego podjęli nawet niemieccy kanclerze o socjaldemokratycznym rodowodzie (zob. program *Agenda 2010*; por. Veronika Ziegelmeier, *Państwo socjalne w Niemczech* [w:] Katrin Kraus, Thomas Geisen, Krzysztof Piątek, red., *Państwo socjalne w Europie. Historia – Rozwój – Perspektywy*. Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2005, s. 85 – 121).

Anglosaska wersja państwa opiekuńczego, znana jako *the welfare state*, zrodziła się w Wielkiej Brytanii w czasie II wojny światowej i w dużym stopniu pod presją ciężaru tej wojny. Odbudowa kraju pojmowana jako troska o wspólne dobro wszystkich Brytyjczyków, wymagała również specjalnego ustawodawstwa wspierającego szanse równego startu także tych obywateli, którym groził spadek do zakłętą kręgu samoodtworzącej się biedy. Instytucją broniącą przed ubóstwem i degradacją miało stać się państwo. Zarys brytyjskiej wersji państwa opiekuńczego został przedstawiony w 1942 r. przez Williama Beveridge'a w jego głośnym raporcie zatytułowanym *Social Insurance and Allied Services*. W ciągu 12 miesięcy wydrukowano i rozprowadzono 256 tys. egzemplarzy pełnej wersji raportu, 369 tys. w wersji skróconej. Nakład amerykański wynosił 40 tys. Raport upowszechniano ponadto przez radio, na filmach dokumentalnych oraz publicznych zgromadzeniach. Przetłumaczono na hiszpański, portugalski i niemiecki, a ponadto wydano zgodę na opublikowanie w całości w Argentynie, Brazylii, Meksyku oraz Szwajcarii. Skrócone wersje raportu wydano we Włoszech i w Chinach.

Odbiór Raportu Beveridge'a najlepiej ilustruje rozpowszechniona wtedy opinia: „*it was an eloquent cry to end poverty, disease, and unemployment and purported to supply the means of doing so* (to było wymowne wyzwanie aby skończyć z biedą, chorobami oraz bezrobociem, a zarazem apel o gromadzenia środków umożliwiających realizację tego wyzwania”); zob. Paula Gregg, *The Welfare State*. George G. Harrer & CO. LTD, London, Toronto, Wellington, Sydney 1967, s. 19 oraz Janet Beveridge, *Beveridge and His Plan*, Holder and Staughton, 1954).

Uzupełniającego wyjaśnienia wymaga jeszcze pole semantyczne słowa *welfare*, użytego w nazwie złożonej *welfare-state*. Wg Anthony Giddensa, „w swoim pierwotnym znaczeniu angielski termin »welfare« nie jest pojęciem z zakresu ekonomii, ale psychologii, i oznacza »dobre samopoczucie«. Same świadczenia czy przywileje nigdy go nie zapewnią” (Anthony Giddens, *Trzecia droga. Odnowa socjaldemokracji*, Książka i Wiedza, Warszawa 1999, s. 104). Zatem określa ono nie tylko stan zaspokojenie potrzeb materialnych, mieszkaniowych, edukacyjnych i zdrowotnych, ale również poziom podmiotowości obywateli w systemie politycznym państwa. Im w większym stopniu obywatele występują w roli suwerena, tym szerzej funkcje opiekuńcze państwa przejmowane są przez społeczeństwo. I to ono samo, z upływem czasu, staje się „opiekuńcze” (ibidem, s. 104).

Jaką politykę społeczną miała realizować Wielka Brytania wg tego raportu? Wg książki M. Penelope Hall wydanej po raz pierwszy w 1952 r., a więc ponad pół wieku temu, taką, która jednocześnie: 1) wychodzi na przeciw podstawowych potrzeb (rodzin znajdujących się w ubóstwie, ubezpieczeń i pomocy socjalnej, rozwoju systemu ochrony zdrowia, mieszkaniowych oraz planowania miejskiego), 2) indywidualizuje pomoc socjalną (w zakresie przeciwdziałania biedzie, porad udzielanych obywatelom, rozwiązywania problemów rodzin zagrożonych patologią i patologicznych), 3) rozbudowuje służby i świadczenia społeczne zorientowane na potrzeby dzieci i ludzi młodych (matek i małych dzieci, ochroną zdrowia dzieci w wieku szkolnym, pomoc dla dzieci upośledzonych oraz pozbawionych domowej opieki, pośrednictwo pracy dla młodzieży i ochroną młodych pracowników oraz na inne specyficzne potrzeby ludzi młodych), 4) otacza opieką ludzi starszych i trwale upośledzonych, w tym chorych psychicznie oraz 5) bierze pod uwagę służby socjalne działające na rzecz wspólnot lokalnych (tworząc m.in ośrodki środowiskowe, koordynujące wszystkie służby socjalne działające w danej społeczności lokalnej (zob. M. Penelope Hall, *Social Services of Modern England*, Routledge & Kegan Paul LTD, London 1965. Książka ta należy do klasycznych traktatów poświęconych implementacji raportu Beveridge'a. Od 1952 r. do 1965 r. miała sześć wydań; por. Thomas Schaff, *Polityka społeczna w Wielkiej Brytanii: od ustawy o ubogich do „trzeciej drogi”* [w:] K. Kraus, Th. Geisen, K Piątek, *Państwo socjalne w Europie...*, op. cit., s. 59-84).

Jeszcze innym od niemieckiego oraz brytyjskiego modelu państwa opiekuńczego jest sprawdzający się do dziś model szwedzki, nazywany także skandynawskim. Jego *differentia specifica* zawarta jest przede wszystkim w warstwie aksjologicznej, wywodzącej się z programów partii socjaldemokratycznych oraz w pragmatycznym przekonaniu, iż koszty polityki społecznej (w tym pomocy społecznej i pracy socjalnej) muszą być rozłożone – w imię wspólnego dobra – proporcjonalnie do dochodów i zasobów majątkowych podatników. Nawet wtedy, gdy nie wszyscy płatnicy wysokich podatków się na to godzą. Ponadto Skandynawowie stosunkowo wcześniej i konsekwentnie podjęli działania zorientowane nie tylko na pomoc bezpośrednią, związaną z potrzebami istniejącymi *hic et nunc*, ale także na inwestycje w kapitał ludzki, stwarzający szanse skutecznego przetrwania kręgu samoodtworzącej się biedy.

**HIERONIM KUBIAK**

JAN WIDACKI

# CZY BIEDA GENERUJE PRZESTĘPCZOŚĆ?

Od kiedy tylko zaczęto zastanawiać się nad przyczynami przestępczości, od razu jako jedną z nich wymieniano biedę. Tak na przykład św. Tomasz Morus w swej *Prawdziwie złotej książezce o najlepszym ustroju Rzeczypospolitej i o nowej wyspie Utopii* (wydanej w 1516 roku) twierdził, że główną przyczyną przestępstw jest „rażąca dysproporcja pomiędzy bogactwem nielicznych a biedą znacznie liczniejszych”. Tak więc z jednej strony bieda, a z drugiej pokusa zrodzona z oglądania warunków życia bogatych była jego zdaniem najistotniejszą przyczyną przestępstw. Ale przestępstwa popełniali nie tylko ubodzy. Morus to tłumaczył tak, że przyczyną przestępstw obok nędzy jest też ułomność natury ludzkiej.

Podobnie jak Morus, Andrzej Frycz Modrzewski (1503-1572) widział przyczyny przestępstw tak we właściwościach jednostek, jak i w warunkach, w których one żyją. Wśród tych warunków zewnętrznych, do jakich zaliczył także upadek obyczajów i zły przykład, istotną rolę odgrywały według niego nędza i ubóstwo. Pisał Modrzewski upominając bogatą szlachtę wyzyskującą poddanych: „czemuż więc ludziom z gardła wydzierasz? Czemuż ich do ubóstwa przywozisz? Czemu popychasz do kradzieży lub do innych przestępstw?”

W dobie Oświecenia twierdzono, że jedną z przyczyn przestępczości jest niski poziom oświaty i ciemnota. Zwracano przy tym uwagę, że ten niski poziom oświaty i ciemnota idą w parze z ubóstwem.

W dobie pozytywizmu, czasie narodzin współczesnej nauki – kryminologii, przedstawiciele tzw. szkoły francuskiej, w szczególności Aleksander Lacassange (1834-1924), a także Gabriel Tarde (1843-1904) wierząc się obserwacją i wynikami badań uważali, że przestępczość jest zdeterminowana głównie przez czynniki społeczne. Jednym z tych czynników była dla nich niewątpliwie nędza. Dość przypomnieć, że Lacassange o wpływie czynników społecznych na przestępczość przekonał się, gdy jako lekarz wojskowy w koloniach północnej Afryki poznał dzielnice nędzy i zbrodni Algieru i Tunisu. Gabriel Tarde uważał, że przestępcami najczęściej zostają ludzie, którzy na skutek zaniedbań wychowawczych spowodowanych sytuacją rodzinną (biedą i idącą z nią w parze demoralizacją) nie przeszli właściwej edukacji moralnej, przeciwnie – nauczyli się zachowań i zasad nieakceptowanych w społeczeństwie.

W drugiej połowie XIX wieku pojawiają się pierwsze prace empiryczne badające wpływ czynnika eko-

nomicznego na przestępczość. Stało się to możliwe na skutek prowadzenia od trzeciej dekady XIX wieku przez większość państw zachodniej Europy statystyk kryminalnych. W roku 1855 Niemiec Joseph Fletscher analizował przestępczość i koniunkturę gospodarczą, badając współzależność tych zjawisk. Ustalił, że między cenami żywności a liczbą przestępstw istnieje uchwytne statystyczny związek. Do podobnych wniosków doszedł po swoich badaniach Anglik H. Kitton („lata o największej liczbie przestępstw były latami tanimi”, pamiętać jednak trzeba, że w tym czasie zdecydowana większość mieszkańców żyła na wsi, a tania żywność oznaczała biedę wsi). Do identycznych wniosków doszedł też inny badacz niemiecki Georg von Mayr.

Do roli głównego czynnika determinującego przestępczość problemy ekonomiczne urosły w teorii marksistowskiej. Dla Marksa i Engelsa przestępczość była konsekwencją klasowej, antagonistycznej struktury społeczeństwa, której bezpośrednim skutkiem był wyzysk, a skutkiem wyzysku nędza. Nędza zaś była dla Marksa i Engelsa główną i najważniejszą przyczyną przestępstw i wszelkiej patologii społecznej.

Wilhelm Bonger, holenderski kryminolog o orientacji marksistowskiej, autor książki *Przestępczość a warunki ekonomiczne* wydanej w 1905 roku w Amsterdamie i tłumaczonej na wiele języków twierdził, że przyczyną przestępstw, obok nędzy, jest także chciwość typowa dla nastawionego na zysk społeczeństwa kapitalistycznego.

Również polscy socjologowie-marksści jak Ludwik Krzywicki (1859-1941) twierdzili, że nędza jest główną przyczyną przestępczości (obok złych warunków nadmiernej pracy).

Spośród polskich kryminologów-pozytywistów Juliusz Makarewicz (1872-1955) analizując statystyki c.k. monarchii badał związek czynników ekonomicznych i przestępczości. Wedle jego ustaleń, liczba przestępstw jest stosunkowo stała (Makarewicz badał statystyki ze względnie stabilnego okresu życia Austro-Węgier). W latach złej koniunktury gospodarczej wzrastała liczba przestępstw przeciwko mieniu, malała zaś liczba przestępstw przeciwko obyczajności. W latach dobrej koniunktury malała liczba przestępstw przeciwko mieniu, wzrastała liczba przestępstw przeciwko obyczajności. Na marginesie zauważyć wypada, że Makarewicz nie wykroczył ponad samo zestawienie liczb bezwzględnych, natomiast uzyskanych wyników nie weryfikował badając statystyczną istotność wykazanych różnic liczby przestępstw.



We współczesnej kryminologii nie szuka się już na ogół bezpośrednich zależności między warunkami ekonomicznymi a przestępczością, ale uznając złożoność procesów i zjawisk społecznych wskazuje się na istotność nędzy jako czynnika w różnym stopniu i pośrednio przyczyniającego się do przestępczości. Ubóstwo, nędza idzie na ogół w parze z niskim poziomem wykształcenia. Nędza jest przyczyną lub co najmniej katalizatorem rozmaitych zachowań dewiacyjnych. Sprzyja patologii społecznej, a ta sprzyja zejściu na drogę przestępstwa. Przyjęto założenie, że do popełnienia przestępstwa dochodzi wówczas, gdy nastąpi swoista konfiguracja własności osobniczych jednostki – późniejszego sprawcy, czynników społecznych, w jakich jednostka ta wzrastała i wychowywała się i w jakich funkcjonuje oraz sytuacji lub warunków sprzyjających popełnieniu przestępstwa.

Zdarza się, że psychopatologiczne cechy jednostki, w szczególności zaburzenia osobowości, jeśli natrafiają na korzystne warunki środowiskowe, zwłaszcza rodzinne, mogą zostać zneutralizowane lub skierowane na działania prospołeczne. Gdy jednak jednostka o tych samych cechach osobowości (np. aspołecznej) wychowywać się będzie w rodzinie patologicznej, cechy te nie zostaną ani zneutralizowane, ani skierowane na aktywność społecznie użyteczną. Taka jednostka ma wszelkie szanse, by stać się przestępcą.

Nędza niewątpliwie sprzyja anomii, tak jak rozumiał ją Robert Merton. Wedle tego autora, jednostka uznaje za własne zdeterminowane kulturowo cele, ale nie uznaje norm określających wyznaczone przez społeczeństwo i przez nie akceptowane drogi realizacji tych celów. Jednostka ze środowisk najuboższych z reguły akceptuje kulturowo zdeterminowane cele, a więc styl życia i standard klas średnich. Ten standard prezentowany jest jej w filmach, reklamie, na wystawach sklepowych. Nie mając – z uwagi na ubóstwo – możliwości osiągnięcia tych celów w drodze społecznie akceptowanej, jednostka wybiera czasem drogę do tych celów „na skróty” – przez przestępstwo czy prostytucję. Brak możliwości zrealizowania celów tak nachalnie nieraz wskazywanych rodzi też frustrację, która skutkować może uciekaniem w alkohol lub narkotyki, co ułatwia w sposób zasadniczy dojście do przestępstwa.

Badacze orientacji neopsychoanalitycznej powiedzieliby w tym miejscu, że sfrustrowane potrzeby mogą być, podobnie jak kompleksy niższości, odreagowywane w drodze przestępstwa (por. F. Alexander, W. Healy, R. Lindner). Tak więc ubóstwo, ewidentnie sprzyjające frustracji czy kompleksowi niższości także w koncepcji psychoanalitycznej odgrywa rolę istotnego, choć pośredniego czynnika sprzyjającego zejściu na drogę przestępczą.

Szkoła chicagowska w kryminologii (R.E. Park, E. Burgess, R. McKenzie, R. Shaw, H.D. McKay) budując mapy przestępczości nakładane na koncentryczny model miasta, wskazując na czynniki kulturowe skorelowane z przestępczością typową dla poszczególnych miejskich stref zwracała m.in. uwagę na poziom i styl życia mieszkańców. Ubóstwo było tu niewątpliwie jednym z czynników generujących przestępczość i to przestępczość określonego rodzaju. Inny kryminolog amerykański, Albert K. Cohen również uważał że u nieletnich z klas najuboższych rodzi się świadomość

istnienia różnic klasowych oraz świadomość przynależności do najniższej, najuboższej klasy społecznej, której członkowie mają obiektywnie ograniczone możliwości osiągania różnych celów. Tymczasem cały system edukacji, środki masowego przekazu, szczególnie telewizja, ale także film i reklama głoszą ideały klasy średniej, propagują jej styl i poziom życia oferując dobra, które dla młodych ludzi z klas najniższych i najuboższych są nieosiągalne. Jedną z reakcji na uświadomienie sobie faktu nierówności i niemożności zdobycia prezentowanych dóbr i osiągnięcia takiego poziomu życia, jest zerwanie z tradycyjnymi wartościami i próba osiągnięcia dóbr zarezerwowanych dla klas średnich, przez przestępstwo.

Ubóstwo i świadomość, że osiągnięcie pożądanego poziomu życia jest niemożliwe ułatwia racjonalizację (neutralizację) czynu przestępczego poprzez tzw. „zaprzeczenie krzywdy”, „zaprzeczenie ofiary” czy „zaprzeczenie odpowiedzialności”, o jakich mowa w teorii neutralizacji Davida Matzy i Greshema Sykesa. W tym pierwszym przypadku sprawca zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że jego czyn jest przestępstwem, ale jednocześnie uważa, że czyniąc za pomocą przestępstwa zadość jakiejś swojej potrzebie, nie powoduje poważnych strat dla innych osób, bo np. ofiara przestępstwa jest bogata i nie odczuje straty, albo że nie ma jednej konkretnej ofiary (np. przy kradzieży w supermarkecie). W przypadku „zaprzeczenia odpowiedzialności” sprawca również zdaje sobie sprawę, że popełnia przestępstwo, „rozgrzesza” się jednak z niego uważając, że jego trudna sytuacja życiowa stwarza sytuacje na podobieństwo stanu wyższej konieczności w prawie karnym, a ta, jak wiadomo, w pełni zwalnia z odpowiedzialności za przestępstwo. Podobnie ubóstwo sprzyjać może kolejnej formie neutralizacji (racjonalizacji) przestępczego działania, jaką jest „powoływanie się na wyższe racje”. W takiej sytuacji, sprawca swoje przestępstwo rozgrzesza krzywdą swojej klasy społecznej, nierównomiernym rozkładem bogactwa, wobec którego jego czyn jest swoistym aktem sprawiedliwości społecznej. Takie motywacje bywają wzmocniane w czasie rewolucji hasłem „grab zagrabione”.

Bieda może być też czynnikiem utrudniającym racjonalne zaangażowanie się w działalność konformistyczną, taką jak udział w klubach sportowych, stowarzyszeniach. Innymi słowy ubóstwo może ograniczać zaangażowanie jednostki w życie społeczne. To osłabienie pozytywnego zaangażowania jednostki w życie społeczne osłabia jej związek ze społeczeństwem, a tym samym osłabia kontrolę społeczną nad jednostką. Tymczasem kontrola społeczna, tak jak ujmują ją David Matza, Walter Reckless czy Travis Hirshi powstrzymuje jednostkę przed popełnianiem przestępstw. Przystępstwo pojawia się tam, gdzie kontrola społeczna nie działa.

Tak więc tradycyjna kryminologia, zarówno w podejściu pozytywistycznym, marksistowskim, jak i pragmatycznym dostrzega oczywisty, czasem bezpośredni, częściej pośredni związek ubóstwa z przestępczością.

Jednak od dawna kryminolodzy sygnalizowali, że obok przestępstw popełnianych przez ludzi z najniższych (i najuboższych) warstw społecznych, popełniają je także ludzie z warstw zamożnych. W latach 30. XX wieku amerykański kryminolog Edwin Sutherland zwrócił uwagę, że przestępstwa popełniają nie tylko lu-

dzie z niskich klas społecznych – w dzielnicach biedy czy na przedmieściach. Przepięstwa są też popełniane w biurach i urzędach państwowych wielkich firm. Ich sprawcami są ludzie o wysokiej pozycji społecznej i zawodowej. Sutherland nazwał je przestępstwami popełnionymi przez ludzi w białych kołnierzykach (*whit-collar-crime*), a ich sprawców nazwał „przestępcami w białych kołnierzykach” (*whit-collar criminals*). Zdaniem Sutherlanda o większości tych przestępstw nie wiemy, bowiem z jednej strony aparat ścigania nastawiony jest przede wszystkim na ściganie pospolitej przestępczości, w której sprawcami są ludzie o niskim statusie społecznym. Z drugiej zaś strony, zdaniem Sutherlanda, przestępcy w białych kołnierzykach z racji swej pozycji społecznej mają większe możliwości ukrycia swych przestępstw i uniknięcia odpowiedzialności.

Intuicje dawnych pisarzy i kryminologów wskazywały, a współczesne badania empiryczne zdają się to potwierdzać, że bezpośrednią przyczyną przestępstw przeciwko mieniu częściej nawet niż bieda jest po prostu chciwość. Tak np. współczesne badania japońskie (K. Hoshino, A. Uchiyama, E. Hoshi) wśród motywów kradzieży dokonywanych przez nieletnich ustaliły, że ponad 65 procent sprawców kradnie z chciwości, 25 proc. dla przyjemności a tylko 0,5 proc. z ubóstwa.

Rozwijająca się od końca lat 60. XX wieku kryminologia antynaturalistyczna w różnych swych odmianach zwraca uwagę na rzecz zdawałoby się oczywistą, ale w dotychczasowych rozważaniach nie braną pod uwagę. Otóż o tym, co jest, a co nie jest przestępstwem decyduje przecież prawo karne. Kształt tego ostatniego jest wyrazem woli tych, którzy mają wpływ na kształtowanie prawa (por. np. G.B. Vold, R. Quinney). Społeczeństwo nie jest jednolite, składa się z różnych segmentów wyznających różne wartości, ale przede wszystkim mające różne interesy. Te interesy mogą ze sobą pozostawać w konflikcie, który jest przyczyną konfliktu grup. Jedna z antagonistycznych grup (segmentów) mająca większy wpływ na ustawodawcę, znajduje ze strony państwa pomoc w postaci stanowienia odpowiedniego prawa, chroniącego jej interesy. Tak więc zachowania niebezpieczne dla interesów tej dominującej grupy stają się przestępstwami. Prawo karne nie zabezpiecza żadnych uniwersalnych wartości, tylko interesy klasy (grupy) uprzywilejowanej, rządzącej. Ta klasa uprzywilejowana nie tylko ma możliwość chronienia swoich interesów zakazami prawa karnego i tym samym decydowania o tym, co jest, a co nie jest przestępstwem, ale ma możliwość oddziaływania na pozostałe segmenty społeczeństwa – korzystając z różnych form społecznego komunikowania (media, edukacja) przekonuje, że prawo karne chroni uniwersalne wartości, a więc chroni interesy wszystkich grup (segmentów) społecznych.

Wywołuje to fałszywą świadomość u ludzi z segmentu upośledzonego niemającego żadnego wpływu na kształt prawa, wiarę, że tak jest naprawdę. Tak zdaniem Richarda Quinneya kształtuje się społeczna rzeczywistość przestępstwa. Składa się na nią formułowanie zakazów w obronie jakiegoś segmentu społeczeństwa, rozwijanie wzorów zachowania w stosunku do tak zdefiniowanych przestępstw, na koniec społeczne konstrukty pojęć „przestępstwa” i „przestępczość”.

Austin Turk w swej teorii kryminalizacji idzie jeszcze dalej. Przepięstwo to nie żaden byt zdetermino-

wany biologicznie, psychologicznie czy środowiskowo, jak tego chciała tradycyjna kryminologia. „Przepięstwo” czy „przestępca” to nazwy nadane przez innych. Grupa dominująca powołuje struktury władzy, tworzy prawo i zakazuje pewnych zachowań nazywając je przestępstwami. Ona dysponuje też aparatem egzekucji prawa. Grupa podporządkowana może to prawo zaakceptować lub odrzucić. Nie ma jednak możliwości jego tworzenia, zmieniania, interpretowania ani egzekwowania. Prawo karne zabezpiecza też część interesów grupy podporządkowanej (np. dając prawno-karną ochronę życia czy zdrowia jej członków), ale czyni to niejako przy okazji, bowiem pewien zakres interesów różnych grup jest tożsamy.

W konsekwencji tego, będzie wywodzić kryminologia radykalna (T. Bernard, I. Taylor, P. Walton, J. Young), że klasa panująca (grupa dominująca, segment uprzywilejowany) ma wpływ na kształt prawa karnego i zabezpiecza nim swoje interesy, cały wysiłek prawa karnego, a później aparatu ścigania i wymiaru sprawiedliwości koncentruje się na tzw. przestępstwach pospolitych, których ofiarami padają przedstawiciele wszystkich klas, jednak sprawcami są najczęściej przedstawiciele klas najniższych, najuboższych. Natomiast nie są spenalizowane, a zatem ścigane czyny i zachowania naprawdę szkodliwe i niebezpieczne dla ludzkości. Nieporównanie bardziej szkodliwe i bardziej niebezpieczne niż cała przestępczość pospolita, na której koncentruje się prawo karne, aparat ścigania i wymiaru sprawiedliwości, i uwaga społeczna. Takimi czynami i zachowaniami są imperializm wywołujący wojny, rasizm, seksizm, łamanie praw człowieka, dominacja ekonomiczna, wyzysk pracowników czy niszczenie środowiska naturalnego.

Takie naprawdę groźne dla ludzkości zjawiska, za którymi kryją się przecież działania i decyzje, przeważnie nie są w ogóle spenalizowane, a jeśli nawet w jakimś zakresie są, to albo nie są ścigane, albo ścigane jedynie selektywnie. Zatem prawdziwym złem jest niesprawiedliwość leżąca u podstaw społeczeństwa kapitalistycznego, która przekłada się na proces gwałtowny i na stosowanie prawa.

W tym ujęciu, rozwiązanie problemu przestępczości wymaga zbudowania społeczeństwa konsensualnego, bez antagonistycznych segmentów (klas, grup), likwidacji lub co najmniej złagodzenia nierówności społecznych i ekonomicznych, w szczególności likwidacji stref ubóstwa, awans klasy najuboższej do klasy średniej, zmniejszenie rozpiętości bogactwa. Idący w parze z edukacją i rosnącym zapotrzebowaniem na pracowników coraz bardziej wykwalifikowanych proces przechodzenia klasy robotniczej do klasy średniej jest widoczny w najbardziej rozwiniętych krajach świata, a do pewnego stopnia także w Polsce. Gorzej ze zmniejszaniem rozpiętości bogactwa – tu akurat zdaje się widoczna jest tendencja odwrotna. Poza tym rodzi się pytanie co wtedy, gdy okaże się, że na skutek rozwoju techniki, w szczególności w wyniku rozwoju komputeryzacji zacznie maleć zapotrzebowanie nawet na wykwalifikowanych pracowników i okaże się, że procent „ludzi zbędnych” będzie rósł? Jaki będzie to miało wpływ na przestępczość?

HENRYK MIECZYŚLAW KULA

**Jeżeli wbija się ludziom do głowy te same prawdy, pokolenie po pokoleniu, to w końcu ludzie w nie uwierzą. Dlatego znaczna część społeczeństwa myśli, że nie ma, nie może być nic poza aktualnie oficjalnie głoszoną wiedzą o Grudniu.**

# WIEDZA O GRUDNIU 1970

Niepokój historyka, badacza historii najnowszej powoduje artykułowana przez część władarzy polityki polskiej tzw. koncepcja „polityki historycznej”, która, jak wtajemniczonym wiadomo, nie jest wynalazkiem naszych czasów. W praktyce posługiwanie się tą formą instrumentalizowania przeszłości w celu oddziaływania na społeczeństwo poprzez wybiórczy stosunek do niektórych zjawisk historycznych przypomina minioną epokę. W tamtej rzeczywistości priorytet w badaniach i głoszeniu prawd o najbliższej przeszłości i nie tylko, miała prawomyślność pozostająca w służbie „słusznej” ideologii, a dzisiaj coraz częściej zastępuje ją „słuszna bieżąca polityka”.

Żyjemy aktualnie w odmiennych czasach, istnieje swoboda wypowiedzi, lecz w praktyce politycznej najmniej widziana jest problematyka obejmująca aspekty historyczne i sposób ich interpretacji, hołubione przez aktualnie rządzących. Pozostawienie politykom bezkrytycznego wpływu na tworzenie ocen i poglądów na nieodległą przeszłość to instrumentalizacja historii. Powoduje ona przejawy ignorancji historycznej głównie w sprawach historii nieodległej, spotykanej w wystąpieniach polityków oraz w środkach masowej informacji – czasami sposób tej „ignorancji” jest przerażający.

Dobitnym przykładem wspomnianego traktowania wydarzeń historycznych jest upowszechniana na użytek społeczeństwa wiedza o grudniu 1970 r. Czuję się upoważniony do tak ostrego sformułowania, bowiem problemowi poświęciłem przeszło ćwierć wieku badań. Mimo różnorodnych wysiłków zmierzających do upowszechnienia zasługujących na uwagę zobiek-

tywizowanych ustaleń odnoszących się do problematyki grudnia w formie publikacji, prezentowane fakty i oceny zawarte w opracowaniach odmienne od oficjalnie głoszonych poszczególnych epizodów grudnia oraz rzeczywistości grudniowej jako całości nie znajdują należytego rezonansu społecznego. W propagandzie państwowej nadal konsekwentnie powielana jest dowolność interpretacji faktów i ocen odnoszących się do problematyki grudniowej, mieszcząca się w uznawanej w przeszłości i obecnie konwencji politycznej.

W publikatorach na ogół nie spotyka się merytorycznej polemiki z ocenami i faktami odmiennymi od oficjalnie głoszonych. Z reguły każdy, bez konsekwencji spotkania się z krytyczną oceną, może pisać na temat grudnia 1970 roku co uważa za stosowne, jeżeli mieści się to w „poprawnej” konwencji. W świetle wyrażonych obiekcji wydaje się niepozabawione merytorycznego uzasadnienia pytanie: czy po dwóch dekadach wywalczonej swobody wypowiedzi, a także swobody badań minionej rzeczywistości dojrzeliliśmy już do sytuacji, aby na historyczne zjawisko grudnia 1970 roku, spojrzeć nie przez pryzmat ukształtowanego przez prawie czterdzieści lat stereotypu, lecz kierując się obfitością dostępnych źródeł zaprezentować społeczeństwu zobiektywizowaną, zbliżoną do rzeczywistości genezę grudnia, przebieg i jego następstwa?

Jako analityk i badacz problemu zauważam, iż każde z wymienionych w pytaniu zagadnień we współczesnej prezentacji grudniowej problematyki obarczone jest brakiem historycznego obiektywizmu i naukowo uzasadnionej konkluzji. Ogólnie dostępna wiedza, będąca



w znacznym stopniu rezultatem poszukiwań odpowiedzi na braki obiektywizmu źródłowego wskazuje, iż w wielu przypadkach czynniki, które w przeszłości powodowały utrudnienie dochodzenia do zobiektywizowanej prawdy o polskim grudniu 1970 roku nadal z powodzeniem funkcjonują, tylko w nieco zmienionej postaci.

W dążeniu do zbliżenia społeczeństwu ówczesnej rzeczywistości i z nią związanej zobiektywizowanej wiedzy o grudniu, w badaniach swoich kieruję się i kierowałem maksymą, iż „przy dochodzeniu do prawdy nie wystarczą same fakty – niezbędne jest jednocześnie ustalenie związków przyczynowo-skutkowych, ich poznanie i zrozumienie, a ponadto na uwagę zasługują prawidłowości rządzące postępowaniem ludzi, motywacje (możliwie rzeczywiste) „bohaterów”, czyli osób zaangażowanych w rozwiązywanie problemów”. Bowiem same fakty, bez poznania sprężyn działania, jakie spowodowały ich zaistnienie, to posługiwanie się półprawdami, dlatego w badaniach obowiązkowo należy zwracać uwagę także na zmysłowo niedostrzegalne elementy składowe poszczególnych faktów.

Wobec powszechnie uprawianej z różnych pozycji mistyfikacji grudniowej rzeczywistości politycznej w rozważaniach nieodzowną wydaje się potrzeba racjonalnego spojrzenia na problematykę grudnia 1970 roku na tle rzeczywistych realiów epoki i panującego w PRL systemu politycznego. W kontekście powyższego wywodu istotna jest odpowiedź badaczy na pytanie czy grudzień był wyjątkowym epizodem politycznym, czy stanowił swoiste ogniwo wydarzeń pojawiających się z reguły w związku z każdorazową zmianą ekipy władzy w PRL, tym razem jednak przy zastosowaniu bardziej wyrafinowanych metod, ze względu na charyzmatyczne właściwości odsuwane od władzy przywódcy?

Dotychczasowe sposoby przedstawiania ówczesnego stanu praworządności z natury wypaczają rzeczywisty obraz w PRL końca lat 60. Wbrew dowolnie stosowanym interpretacjom, w państwie tym obowiązywał legalizm prawno-administracyjny, który pociągał za sobą formalną odpowiedzialność za decyzje i ich skutki. Mimo różnych obiekcji, obowiązywała prawna hierarchia odpowiedzialności państwowej i administracyjnej, której decydent mógł być w każdej chwili poddany. Hierarchię kompetencji określała konstytucja regulująca uprawnienia Sejmu, Rady Państwa, Rady Ministrów. Najbardziej jednoznacznie stan podległości decyzyjnej odzwierciedlały sobą resorty siłowe. Tutaj stosunki służbowe i proces decyzyjny był wyrazisty; każdy znał swoje miejsce w „szyku”. Tłumaczenie, że polityk z „najwyższej pułki” mógł wydać polecenie natychmiast wiążące do działań typu użycie broni, użycie sił milicyjnych czy wojska, bez formalno-prawnego procesu decyzyjnego jest ignorancją głoszącego lub zwykłym nadużyciem!

Występująca w ówczesnej rzeczywistości praktyka przyoblekania w procedury prawno-administracyjne decyzji Biura Politycznego, a w niektórych sytuacjach politycznych decyzji sekretarzy określonych szczebli hierarchii partyjnej nie upoważniała realizatorów tych poleceń czy postanowień gremiów partyjnych do stosowania praktyki omijania obowiązujących procedur formalno-prawnych, bądź ich ignorowania. Tego rodzaju wykonawstwo mogło nastąpić jedynie w warunkach, kiedy wykonawca liczył się z faktem z góry założonego braku odpowiedzialności za następstwa wynikające z realiza-

cji wydawanych decyzji. Znamienitym przykładem takiego rozumienia „odpowiedzialności” był uprawiany proces decyzyjny na szczeblach centralnych MON i MSW – realizowany w toku wydarzeń w grudniu 1970 roku.

Wydarzenia grudniowe obrosły w legendę, a na skutek jej umacniania w świadomości społeczeństwa przez kolejne ekipy władzy osiągnęły właściwość „stereotypu grudnia”. Niektórzy piszący na temat grudnia 1970 roku określają go mianem zrywu społecznego, a nawet promują do „powstania grudniowego” czy „buntu robotniczego”. Czyni się to w sytuacji, gdy wiedza głoszona przez określone osoby bądź środowiska jest jednostronnie autoryzowana i bezkrytycznie prezentowana z pozycji ideologicznych lub politycznych. Tym sposobem promujący tego rodzaju oceny grudnia – wbrew wyznawanym założeniom ideologicznym – kierują się marksistowską tezą, iż główną siłą sprawczą historii są masy, a w przypadku grudnia 1970 r. „żywiotowo występująca w proteście klasa robotnicza” (stoczniovcy).

Gdy chodzi o czynniki sprawcze wydarzeń grudniowych w miejscach zają i na szczeblu centralnym, kierując się wiedzą wynikającą z dokumentów służb specjalnych rzeczywiście można wnioskować, że mieliśmy do czynienia „wyłącznie z swoistym żywiotem”. Bowiem służby te nie zidentyfikowały w tym czasie w żadnym z miejsc liczących się sił politycznych, które inspirowałyby lub kierowały w którymś z ośrodków „wzburzonymi masami robotniczymi”, jedynie odnotowywano, nawet z przesadą, wyłaniane w różnych okolicznościach komitety strajkowe, którym nie przypisywano w tym czasie ingerencji „obcego” czynnika politycznego.

Zastosowany w propagandzie zabieg socjotechniczny, polegający na kreowaniu klasy robotniczej (stoczniovców) do roli decydującego czynnika sprawczego wydarzeń w grudniu 1970 roku, z powodzeniem wykorzystany został do legitymizacji zwycięskiej, pogrudniowej ekipy władzy. Skutecznie wmontowany w opracowany oficjalny scenariusz grudnia zabieg kreujący robotników, do dziś zastępuje racjonalne dociekania nad rzeczywistą genezą tych wydarzeń, oceną sił sprawczych, a także przebiegiem neuralgicznych epizodów w Gdańsku, Gdyni, Elblągu i Szczecinie – włącznie, a także przez pewien okres z bezkrytyczną oceną zaangażowania jednostek operacyjnych WP do pacyfikacji miast i tłumów ulicznych.

Wiara w utrwalone tą drogą „prawdy” stała się tak silna, iż wszelkie próby naukowego podważania przyjętych za oczywiste „prawd” stają się czymś podejrzanym, jak nie próbą dezawuowania pewnych „świętości”. Jedną z metod stosowanych w obronie stereotypu grudnia wobec autorów twierdzeń innych niż oficjalne jest posługiwanie się „biczem” w postaci odbieranej pejoratywnie „spiskowej teorii dziejów”. Tą drogą ośmieszania bądź negowania innej niż geneza oparta na „masowym proteście niezadowolonia”!

Oczywistością jest, że w opisach rzeczywistości historycznej od najodleglejszych czasów nie kwestionuje się występowania zjawiska spisku politycznego, wykorzystywanego do obalania władców bądź ekip rządzących. Ale jednak w kwestii grudnia stosowanie wspomnianego „bicza” uniemożliwia wszelkie próby odmiennego spojrzenia na genezę wydarzeń grudniowych, np. jako sprowokowanego przez elity partyjne spisku politycznego, które – wykorzystując istniejące

niezadowolenie społeczne – posłużyły się sterowanymi protestami w zakładach pracy i na ulicach miast w celu zmiany ekipy władzy?

Dwie dekady po zmianie systemu politycznego w Polsce obserwujemy zadziwiające zjawisko polegające na tym, że niektóre kłamstwa i przeinaczenia dotyczące grudnia interpretowane są nadal w oficjalnej propagandzie w duchu apologetów ówczesnego reżimu. Takim sposobowi interpretacji rzeczywistości towarzyszy bezprzykładne tolerowanie przyjętych ówczesnie „ustaleń ideologicznych i politycznych”! Z powodzeniem w tym zakresie realizuje się powiedzenie: „Prawda, która może spowodować zgorznienie, nie powinna być głoszona, nawet za cenę wyrzeczenia się jej”. Mimo oczywistych dowodów znajdujących się w dostępnej aktualnie dokumentacji grudnia, piszący z reguły jakby bali się przyznać, że uczestnicy zająć w zakładach czy na ulicach, byli manipulowani, co przecież nie umniejsza ich intencji i negatywnego stosunku do ówczesnej rzeczywistości i w szerokim rozumieniu do władzy. Nawet prokuratura, przygotowując swój akt oskarżenia w sprawie Grudnia 1970 roku przyjęła *a priori* podstawowe ustalenia komisji Biura Politycznego KC PZPR, gdy chodzi o genezę zająć i wskazanych w nich głównych winowajców.

Natomiast, jak dostrzegam w oparciu o kwerendę akt sądowych, po opracowaniu i wniesieniu aktu oskarżenia, sporządzonego w oparciu o wątpliwą, jakości i wiarygodności dokumenty oraz podobnej, jakości zeznania. Zasoby akt sądowych były sukcesywnie uzupełniane o odtajnione istotne dokumenty z zasobów MSW i MON. Materiały te, które w swojej masie nigdy nie miały być dostępne i powodują odmienne od przyjętego przez prokuraturę spojrzenia i oceny niektórych epizodów dotyczących istotnych zdarzeń i problemów „Grudnia 70”, jak również stopnia zaangażowania oraz odpowiedzialności określonych instytucji i osób.

Mimo stosunkowo dość długiego czasu dostępności do wspomnianych dokumentów trudno dostrzec, aby zajmujący się problematyką grudniową w różnych formach czynili starania w kierunku odważnej weryfikacji rażąco sprzecznych faktów i ocen, mających miejsce w dotychczasowych prezentacjach wydarzeń grudniowych, czy też w akcie oskarżenia! Obserwując sygnalizowane zjawisko odnosi się wrażenie, iż niektórzy piszący na temat grudnia stają wobec dylematu wynikającego z bieżącej oceny politycznej: „mówić czy nie mówić?”, chcąc uniknąć konfliktu wynikającego z nieprawomyślności w stosunku do obecnie realizowanej „polityki historycznej i wizji martyrologicznej”, która stała się czynnikiem akcentowanej oceny tego rodzaju zjawisk z przeszłości.

Obecnie, podobnie jak w przeszłości, wprost nieprzyzwoitym staje się wszelka próba twierdzenia lub udowadniania, że grudzień i jemu podobne wydarzenia w PRL były najczęściej przygotowywane, a następnie sterowane.

Jakoś tak się dzieje, że w miejsce podejmowania merytorycznej polemiki z autorami twierdzeń odmiennych od oficjalnie głoszonych, adwersarzy pakuje się do ideologicznej klatki lub, co dzisiaj stało się jeszcze skuteczniejszą metodą, zbywa się „milczeniem” ukazując się na rynku ich publikacje.

Jedną z powszechnie praktykowanych słabości rozważań nad problematyką grudnia są nagminnie spoty-

kane praktyki naginania do koniunkturalnych potrzeb zarówno genezy oraz wrywanych z kontekstu niektórych grudniowych faktów. Autorzy publikowanych opracowań z reguły nie zauważają faktu, iż etapem wstępnym do „rozgrywki grudniowej” było totalne rozbitcie w 1968 roku środowisk opozycji politycznej i sterroryzowanie środowisk inteligentkich, opiniotwórczych, przez środowisko moczarskie. Że kampania ta wykorzystana została w znacznym stopniu do dokonania oczyszczenia przedpola politycznego dla przyszłych wydarzeń grudniowych w kraju, w stolicy i na Wybrzeżu.

„Spiskowa teoria dziejów” poddawana w przeszłości negatywnej obróbce propagandowej, umocniła w społeczeństwie i wśród elit intelektualnych pejoratywny stereotyp, szczególnie gdy chodzi o wydarzenia z historii najnowszej krajów rządzonych przez siły opierające się na koncepcji ideologicznej „ludu” („mas”), traktowanych jako czynnik sprawczy dziejów.

Od prawie czterdziestu lat zabierający głos na temat grudnia unikają wiązania jego genezy z walką o władzę, o zmianę pokolenia przywódców ówczesnego państwa. Sprawia to wrażenie jakby czyniono ten unik w obawie przed posądzeniem, iż uznani zostaną za zwolenników tzw. „spiskowej teorii dziejów”. Natomiast w interpretacjach i dyskusjach obserwuje się trwanie przy pejoratywnie kojarzonemu pojęciu „teorii spiskowej”, które w minionym systemie miało służyć tym, którzy odeszli. Nie bez przyczyny zjawisko to utrzymuje się nadal, bowiem ukształtowany pejoratywny stosunek do tej „teorii”, z powodzeniem jest eksploatowany w interesie aktualnych sił politycznych uprawiających między innymi „politykę martyrologiczną” grudnia.

Bez obawy o posądzenie o *obsesję spiskową* – w oparciu o dostępne materiały źródłowe, w swoich ustaleniach usiłuję wyłamywać się i próbować zadawać kłam twierdzeniu, jakoby *u podstaw grudnia 1970 roku – pierwotnym czynnikiem było niezadowolenie społeczne, a zmiana ekipy władzy stanowiła jedynie efekt wtórny!*

Rozważając problem genezy grudnia nie sposób nie spojrzeć na to zjawisko polityczne w kontekście rzeczywistych właściwości ustrojowych ówczesnego państwa. Niekwestionowaną oczywistością jest, że ówczesna PRL-owska rzeczywistość charakteryzowała się właściwościami systemu autorytarnego, sprawowanego przez siłę polityczną, jaką była Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Jedynie jej organa były władne uprawiać politykę kadrową. Będąc państwem satelitarnym, w zakresie stanowienia personalnej władzy centralnej, wszelkie zmiany na niewralgicznych funkcjach z natury powinny były uzyskać przyzwolenie hegemonu.

W istniejących realiach, zmiana lidera na szczeblu centralnym, drogą wyboru demokratycznego, w oparciu o ustanowione regulacje w partii, bez wstępnych uzgodnień z hegemonem miała nikłe szanse. Dlatego też, jak potwierdza praktyka, w państwie tego typu, *odsunięcie od władzy lidera, miało jedynie szansę realizacji w oparciu zakulisowe uzgodnienia, czyli przez spisek polityczny kontrolowany, polegający na doprowadzeniu do „detronizacji” lidera lub jego fizycznego odsunięcia, względnie obu łącznie.*

System polityczny w PRL, a w nim dobór kadr kierowniczych, charakteryzował się swoistym paternalizmem – wybrany lider (zwany przywódcą) miał tendencję do „namaszczenia” kandydata na swoje miejsce

po dłuższym okresie sprawowania władzy, najczęściej w chwili utraty sił witalnych. Tymczasem życie biegnie, wyrastały w otoczeniu lidera ambitne politycznie jednostki i nie widząc dla siebie rychłych szans, zaczynały nieformalnie organizować się w celu odsunięcia lidera i członków jego ekipy. Ponieważ warunki polityczne z reguły nie pozwalały na dokonanie „zmiany warty” innymi drogami, uciekano się do bardziej podstępnych i brutalnych form, do mającego odwieczną tradycję *spisku politycznego*.

*Przy okazji rozważań należałoby zwrócić uwagę na swoistą, dostrzegalną prawidłowość w PRL-owskiej tradycji politycznej, bowiem ukształtował się tu specyficzny sposób odsuwania od władzy, niemający swego odpowiednika w innych demokracjach. Polegał on na tym, że grupa dążąca do przejęcia władzy posługiwała się masami wyprowadzanymi na ulice miast, których zachowania każdorazowo posłużyły za legitymację ekipie przejmującej władzę. Organizatorami tego rodzaju spisku politycznego z reguły byli ludzie z świecznika, „bliscy” przywódcy. Zaś ostrość zaburzeń w dużej mierze uzasadniała potrzebę skompromitowania odchodzących od władzy. Gdy chodzi o grudzień, to siła negatywnych zdarzeń musiała być na miarę potrzeby dyskredytacji charyzmy Gomułki, a taką było zmasowane użycie sił milicyjnych i wojska oraz przelana krew!*

Gdy chodzi o propagandowo demonizowaną w tamtych dniach rolę Władysława Gomułki jako ówczesnego I sekretarza KC PZPR, to podobnie jak i jego następcę, nikt dotychczas nie odważył się określić dyktatorem. Z tytułu wykonywanej funkcji w państwie byli oni poddani formalnie legalizmowi prawno-administracyjnemu. Funkcja sekretarza nie miała charakteru wodzowskiego czy dyktatorskiego – określano go przywódcą z tytułu autorytetu politycznego i moralnego. Stał on na czele dobranej przez siebie, „kolektywnego organu kierowania partią”. Dysponował uprawnieniem osobistego wydawania w określonych sytuacjach poleceń członkom władz państwowych, w stosunku do osób dezygnowanych przez partię. W każdym przypadku, mieli oni obowiązek decyzje te przyoblekać w ramy formalno-prawne, a nie realizować je w sposób oparty na „ślepych posłuszeństwie”.

Niedopuszczalnym było pomijanie niezbędnych procedur przy w prowadzaniu w życie ustaleń partyjnych, czy nawet poleceń. Dlatego nie do przyjęcia są tłumaczenia po grudniu niektórych ówczesnych decydentów, że wykonywali polecenia, czy też podobna interpretacja zawarta w oskarżeniu w odniesieniu do winnych sprawstwa tragedii w grudniu 1970 roku. Między innymi w tym kontekście wątpliwy wydaje się w oparciu o ówczesne realia zarzut oskarżający W. Gomułkę o *podjęcie bezprawnej decyzji zezwalającej na użycie broni palnej przez pododdziały MO i wojsko oraz użycie wojska do działań pacyfikacyjnych*. Wyrażenie jednoosobowo przez pierwszego sekretarza tzw. *zgody politycznej, nie uprawniało realizatorów do jej natychmiastowego wprowadzania w życie, bez nadania tym działaniom procedur formalno-prawnych przez kompetentne organa państwa i wzięcia na siebie odpowiedzialności przez wykonawców za skutki realizacji!*

Prezentowane w niniejszym materiale oceny stanowią odbicie wiedzy uzyskanej przez autora podczas wieloletnich badań ukierunkowanych na poszukiwanie

źródeł umożliwiających ustalenie zobiektywizowanej, rzeczywistej, genezy grudnia 1970 roku i niezafałszowanego wizerunku wydarzeń tego jakże złożonego zjawiska politycznego i społecznego.

Poszczególne okresy rozległego czasu badań (1982-2005) dostarczały autorowi „odkryć”, skłaniających często do kontrowersyjnych, nowych ocen i wniosków.

\* \* \*

Upowszechniony w społeczeństwie scenariusz grudnia skonstruowany na użytek propagandowy, na zlecenie gierkowskiego Biura Politycznego KC PZPR, w którym zaprezentowana została geneza oraz przebieg wydarzeń, od momentu zetknięcia się z nim skłania uważnego badacza do wniosku, iż ustalenia w nim zawarte są zbyt oczywiste, aby były prawdziwe. Wyraźnie dostrzegalna tu socjotechnika *prostego następstwa* w ocenie zjawisk i ludzi, podpowiada, iż mamy do czynienia z manipulacją przesłankami przyczyn i odpowiedzialności określonych osób. Wszystko to, sprytnie uzupełnione *technikami semantycznymi* służącymi tworzeniu czarnego wizerunku zaprezentowanych „sprawców” jako odpowiedzialnych za zaistnienie całego łańcucha zdarzeń – ma uwalniać od podejrzeń wszystkich, którzy w następstwie wydarzeń znaleźli się na szczytach władzy.

W miarę dostępu do nowych materiałów źródłowych, wcześniej chronionych różnymi sposobami, w tym cenzurą, „tajemnicą państwową” czy „wojskową”, zaczynał wyłaniać się coraz bardziej niespójny oficjalny obraz wydarzeń. Pojawiały się istotne nieścisłości i ukazywały się nowe niedostrzegalne dotychczas fakty. Z uzyskiwanej nowej wiedzy i faktów – jak w układance z puzzli – tworzył się zaskakująco odmienny obraz grudnia w stosunku do „oficjalnego” i podtrzymywanego w relacjach oraz publikacjach udostępnianych społeczeństwu. Także przez korzystających z wolności słowa i publicznie wspominających tamte czasy uczestników z kręgów ówczesnej władzy, których „rewelacje” dotychczas nie spotkały się z publiczną polemiką.

Zanim podjąłem się badania złożonej problematyki grudnia, wstępnie określiłem sobie zespół roboczych pytań, które ukierunkowały mnie na poszukiwanie dostępnych źródeł. Pierwsza wersja ustaleń, stanowiąca odbicie stanu uzyskanej wiedzy w rezultacie udostępnianych badaczom materiałów o wydarzeniach grudniowych, znalazła wyraz w książce opublikowanej w 1990 roku z Tadeuszem Górskim *Gdańsk, Gdynia, Elbląg 70 w dokumentach urzędowych*. Dalsze prace badawcze, już w zmienionych warunkach politycznych, postanowiłem ukierunkować na pozyskanie materiałów źródłowych pozwalających na udzielenie odpowiedzi na następujące robocze pytania:

– Czy oficjalnie prezentowana geneza wydarzeń jest prawdziwa, czy nie przesłania czegoś, co było pierwotne i stanowiło cel łańcucha zdarzeń, jakie nastąpiły w dniach grudniowych?

– Gdzie znajdowało się i w czym wyrażało źródło inspiracji ukształtowanych nastrojów społecznych w zakładach o szczególnym charakterze: w Gdańsku, Gdyni i Szczecinie?

– Dlaczego w Gdańsku i Gdyni wykluczony został przez władze jakikolwiek dialog polityczny z reprezentacjami zakładów czy zgromadzonych tłumów, tam



gdzie powstawały ku temu okoliczności, lecz pacyfikowano je siłą, aresztami itp.?

– Czy tragiczne w swoich skutkach wydarzenia związane z podpaleniami, rabunkami sklepów, walk z pododdziałami MO oraz użycia broni przez siły porządkowe były reakcją zgodną z procedurami sił porządkowych, czy też po części nosiły znamiona prowokacji?

– Kto dostarczał informacje dla ośrodków kierowniczych w stolicy i w miejscach zajęć, w oparciu o które podejmowano decyzje o zmasowanym użyciu sił MO i MON oraz środków pozostających do ich dyspozycji?

– Czym kierowano się angażując do działań ulicznych i pacyfikacyjnych miast tak znaczną liczbę jednostek operacyjnych WP, wraz z ciężkim sprzętem bojowym, w warunkach pełnej gotowości bojowej, gdy w tym czasie w kraju nie były w pełni wykorzystane siły Wojsk Obrony Wewnętrznej?

– Aktualna sytuacja w „aktywie centralnym” KC PZPR, kto czym zajmował się w dniach wydarzeń?

– Rzeczywista rola Władysława Gomułki w procesie decyzyjnym w poszczególnych dniach wydarzeń?

– Kto rzeczywiście formalnie decydował oraz kierował działaniami milicyjno-wojskowymi w ośrodkach zajęć?

– Gdzie terytorialnie ulokowany był początek „operacji” i ewentualna rola przypisana poszczególnym ośrodkom?

– Dlaczego w dokumentacji kolejnych komisji BP KC PZPR marginalizowano problem Gdyni 15 XII 1970 r. oraz wydarzenia w Szczecinie?

– Jakie czynniki umożliwiały zaprogramowanie i z dużą dozą konsekwencji realizowanie „operacji grudnia 1970”?

W miarę poszukiwania odpowiedzi na powyższe i zbliżone do nich pytania, coraz wyraźniej ujawniał się podskórny nurt wydarzeń, a wraz z poznawanymi nowymi faktami, stawał się on coraz bardziej oczywisty.

W dotychczasowych rozważaniach na temat grudnia 1970 r., a także w akcie oskarżenia, marginalizowany jest udział i zaangażowanie służb specjalnych (SB), których rutynową właściwością jest wykonywanie zadań w sposób nierzucający się w oczy, a najczęściej drogą do osiągnięcia celu bywa prowokacja realizowana przez zaangażowanych w jej strukturach ludzi. Jak należy sądzić, niedostateczna znajomość organizacji i zasad funkcjonowania tych służb, brak niezbędnego dostępu do źródeł były powodem, że w opracowaniach najczęściej pomijana jest rola służb specjalnych i bezpośredni ich udział? Natomiast *autorzy z reguły koncentrują uwagę na zaangażowaniu sił liniowych MO oraz pododdziałów wojska, jako dostrzegalnych zmysłowo czynników uczestniczących w zmaganiach z tłumem i manifestującymi pracownikami. Logika takiego kojarzenia faktów jest zgoła połowiczna. Obejmuje dostrzegalne zmysłowo elementy zjawiska bez usiłowania ustalenia innych sprężyn działania, które nadawały charakter opisywanym faktom.*

W miarę odchodzenia od wyłącznego zewnętrznego oglądu wydarzeń i przystępowania do poszukiwania czynników inspiracji wydarzeń wyłaniała się rzeczywista rola struktur służb specjalnych w przygotowaniu i sterowaniu tzw. protestem społecznym, który *post factum* stał się uzasadnieniem genezy wydarzeń oraz legitymizacją dla zmiany ekipy władzy.

Nie zawsze zwraca się uwagę, iż wersja oficjalnej genezy i przebiegu wydarzeń powstawała w kilku etapach. Pierwszą oficjalną wersję legendy grudnia zapoczątkował pośpiesznie zmontowany raport zespołu pod przewodnictwem Jana Szydłaka, przygotowany na lutowe 1971 r. posiedzenie VIII Plenum KC PZPR. Został on na plenum przyjęty chłodno i spotkał się z druzgocącą krytyką ze strony gen. Grzegorza Korczyńskiego, jak również z rzeczową negatywną oceną zawartą w liście Władysława Gomułki skierowanym do członków KC PZPR. W rezultacie krytycznych uwag w odniesieniu do treści zawartych w raporcie Szydłaka oraz podczas dyskusji na plenum, na wniosek Edwarda Gierka podjęto uchwałę o utajnieniu tej części plenum.

Nowe kierownictwo partii i rządu miało świadomość faktu, że najbardziej budząca kontrowersje kwestia – odpowiedzialności za użycie broni i jego skutki – na plenum i w raporcie nie znalazła satysfakcjonującego wyjaśnienia. Zbliżał się VI Zjazd PZPR i spodziewano się pytań o tamte tragiczne dni. W tych okolicznościach Biuro Polityczne KC PZPR zdecydowało o powołaniu komisji: *dla zbadania niektórych kwestii szczegółowych związanych z wydarzeniami grudniowymi 1970 r.* pod przewodnictwem Władysława Kruczka. Opracowany przez tę komisję materiał miał dostarczyć wyjaśnień dotyczących przebiegu wydarzeń. Jak wynika z jego treści, skoncentrowano się głównie na przygotowaniu przekonywującego uzasadnienia dla dokonywanych zmian, których ukoronowaniem miał być zjazd.

Od maja do września komisja przeprowadziła 25 rozmów, ponadto uzyskano liczne relacje osób uczestniczących w procesie decyzyjnym. Wymownym faktem świadczącym o rzeczywistym zainteresowaniu komisji, jest pominięcie przesłuchania W. Gomułki podczas prowadzonego dochodzenia. Natomiast osobistości, jak gen. W. Jaruzelski i F. Szlachcic, którzy bezpośrednio uczestniczyli w procesie decyzyjnym nie składali wyjaśnień, lecz ich rola przed komisją sprowadzona została do funkcji oceniającej „głównych winowajców”.

Raport komisji Kruczka był gotów w listopadzie 1971 r. W faktografii i uzasadnieniach osłaniał on osoby, które w nowych warunkach znalazły się na kierowniczych stanowiskach w państwie. Szczególnie łaskawie formułowano w nim oceny dotyczące MSW i MON. Raport ten nie został doręczony członkom KC PZPR, zrobiono odblaski i doręczono je jedynie członkom Biura Politycznego KC. Natomiast na plenum poprzedzającym zjazd wyłożono raport w odrębnej salce, do wglądu zainteresowanych tym materiałem członków KC PZPR. Na akt tego rodzaju arogancji mogła pozwolić sobie elita pogrudniowa, bowiem już nie przewidywano udziału w zjeździe oponentów, którzy znaleźli się na placówkach poza krajem lub pozostawali w izolacji politycznej. W zasadzie dopiero jesienią 1980 r. dostęp do zawartości raportu Kruczka uzyskały osoby trzecie.

Dorobek pracy obu komisji Biura Politycznego stanowił duży zespół dokumentów, głównie duplikatów i kserokopii, po części spreparowanych i przygotowanych dla potrzeb komisji, które prawie w całości znalazły się w zasobach akt sądowych, stanowiących w znacznym stopniu podstawę dla sporządzenia aktu oskarżenia.

Przemiany 1980 i 1981 roku wniosły element „odwilży” – w sprawie grudnia 1970 r. pojawiły się liczne publikacje będące dotąd poza oficjalnym obiegiem oraz nowe

opracowania. Za sprawą aktywu „Solidarności” przystąpiono do gromadzenia dokumentacji, w tym rozlicznych relacji z tego okresu. Po stanie wojennym znaczna część udokumentowanych wspomnień znalazła się poza krajem i wydana została w książce *Grudzień 1970* przez Wydawnictwo Editions Spotkania w Paryżu.

Fala publikacji, jakie pojawiły się w okresie „odwilży” na temat grudnia 1970 r., w których ujawniano rozliczne nieścisłości i przekłamania występujące w oficjalnej wersji powodowała konieczność ustosunkowania się do generalnych problemów przez ówczesną ekipę władzy, w obronie osobistego prestiżu.

\* \* \*

W 1982 r. władze stanu wojennego i kolejne, prezentujące ciągłość personalną ekipy rządzącej z rodowodem grudniowym, na czele z gen W. Jaruzelskim, podjęły próbę zastosowania mechanizmu obronnego polegającego na kontrolowanym utrwalaniu dotychczas funkcjonującego stereotypu grudnia. Zamierzeniu temu miało służyć zainicjowane powołanie komisji KC PZPR *dla wyjaśnienia przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych w dziejach Polski Ludowej* pod przewodnictwem prof. Hieronima Kubiaka. Sądząc po rezultatach prac tej komisji chodziło nie tyle o merytoryczne wyjaśnienie istoty kryzysów, ile przy pomocy naukowych autorytetów powołanych do prac w komisji, o potwierdzenie generalnych „ustaleń” komisji Kruczyńskiego, wraz z obowiązującą *genezą grudnia* i „niekwestionowanymi winowajcami”. *W ten sposób miała zostać obroniona legenda grudnia hołubiąca robotników i osłaniająca rzeczywistych sprawców tragedii.*

O wartości dokumentów udostępnionych komisji profesora Kubiaka, na których pracowali jej członkowie, i co na ich podstawie mogli ustalić, świadczy całkowity brak dostępu do oryginalnych dokumentów MSW i MON, z których poznano by przynajmniej kryptonim operacyjny „Jesień 70” – uważny czytelnik nie znajdzie go w opracowaniach szczegółowych tejże komisji!

Po 1989 r. zdjęto „knebel” ze spraw dotyczących grudnia 1970 r. Pojawiła się kolejna fala publikacji książkowych i artykułów, w których autorzy starali się upowszechnić posiadaną wiedzę publikując różne, w tym także bezcenne często dokumenty i informacje. Wszyscy jednak nie wychodzili poza ustalenia powszechnie uznawanej, oficjalnej wykładni grudnia. W tym czasie ukazało się także kilkanaście opracowań, których wspólną cechą jest podtrzymywanie „prawd” ustalonych przez zwycięską ekipę E. Gierka i propagandę jej następców.

Z reguły dotychczasowe dociekania w publikacjach odnoszą się do zjawisk występujących na powierzchni wydarzeń, często ich autorzy odwołują się do błędnych lub nietrafnych mechanizmów sprawczych. Gdy chodzi o pojawiające się wątpliwości, przeważnie sygnalizowane są one nieśmiało, zdawkowo. Przyczynę tego niezrozumiałego zjawiska w odniesieniu do przeszłości można by upatrywać w niedostatku dostępu do bazy źródłowej, ale już dzisiaj jest to rodzaj niewybaczalnej doraźnej obawy przed posądzeniem o nielojalność polityczną!

W niektórych ocenach wychodzi się z błędnych założenia, że pomiędzy ośrodkami decyzyjnymi i operacyjnymi nie prowadzono pisemnej korespondencji i z tego powodu brak śladów decyzji. Twierdzenie takie

nie jest w pełni zasadne, bowiem bieżącym źródłem porozumiewania się na odległość był telefon, przekazywane tą drogą informacje, polecenia i rozkazy często znajdowały swoje odzwierciedlenie w dziennikach bojowych prowadzonych na szczeblach kierowania w MSW i dowodzenia jednostkami wojskowymi. Bezcenny materiał źródłowy dla ustalenia niektórych decyzji, chociaż często subiektywny, ukazujący rzeczywiste zaangażowanie niektórych osób oraz bieżących ocen, stanowi teczka przeszło 200 stron tekstu, należąca do grupy odtajnionych dokumentów MSW, zawierająca „stenoqramy” nasłuchu rozmów telefonicznych z Gdańskiem i w Warszawie, prowadzonych od 14 grudnia przez centralę telefoniczną MSW.

Jak rygorystycznie traktowano zadanie niszczenia akt po grudniu, świadczy przykład jednej z jednostek w Trójmieście, gdzie likwidację dokumentów wykonywała powołana w tym celu komisja. Po zakończeniu jej prac powołano drugą, celem sprawdzenia dokładności wykonania polecenia. Efektem tego rodzaju działań „czyszczących” było ukrycie oryginalnych dokumentów. Np. w Sztapie Generalnym WP nastąpił bezprecedensowy w sytuacji wojska fakt bezkarnego wyniesienia z kancelarii tajnej, przez jej pracownika, znacznej liczby dokumentów z gryfem „ściśle tajne” i „tajne”, dotyczących procesu decyzyjnego w grudniu 1970 r. Po latach dokumenty odnalezione u niego, dołączone do akt sądowych grudnia stanowią bezcenny materiał źródłowy, który przeznaczony był do zniszczenia.

Aktualnie znaczna część oryginałów dokumentów KW MO w Gdańsku znajduje się w zasobach przekazanych do IPN w Gdańsku. Zasadniczą trudność stanowi fakt, iż rozrzucone są w różnych roboczych teczkach pionów SB i przekopanie się przez nie stanowi dylemat badacza. Najcenniejszy zbiór materiałów na temat grudnia 1970 r. stanowi zespół akt sądowych skompletowanych w związku z procesem oskarżonych o sprawstwo urzędowe.

Pomocne w prowadzeniu badań mogłyby być znajdujące się w aktach sądowych protokoły, notatki przesłuchań w prokuraturze. Jednak znaczna ich część nie spełnia oczekiwań badacza, bowiem z reguły zeznający zastaniają się brakiem pamięci lub konfabulują. Natomiast w odniesieniu do istotnych zagadnień – przesłuchujący nie byli zbyt wymagający i dociekliwi. Generalnie kadra jednostek Pomorskiego Okręgu Wojskowego, zgodnie z przyjętym scenariuszem, w zeznaniach unikała wszelkiego wzmiankowania działalności służbowej i rozkazodawczej gen. Chochy i gen. Antosa, odwołując się do tzw. „wiodącej” roli decyzyjnej gen. G. Korczyńskiego oraz w Gdyni dowódcy Marynarki wojennej. Ponadto wyolbrzymiano rolę gen. Rzepkowskiego w kwestiach dotyczących funkcjonowania wojska w Gdyni, co w świetle aktualnie dostępnych dzisiaj dzienników bojowych dyskwalifikuje wiele ich twierdzeń.

Cennym nabytkiem wśród dokumentów zgrupowanych w aktach sądowych jest zbiór 41 dokumentów odnalezionych przez policję u sierżanta, byłego pracownika kancelarii Sztapu Generalnego. Bezcenne okazały się znajdujące się w zawartości tego znaleziska dzienniki bojowe Grupy Operacyjnej Sztapu Generalnego dowodzonej przez gen. Chochę w Gdańsku i dziennik bojowy Grupy Operacyjnej POW „Gdynia” prowadzony przez grupę operacyjną gen. Antosa.

Istotne znaczenie dla pracy badawczej powinny mieć licznie publikowane wspomnienia i pamiętniki byłych działaczy partyjnych i państwowych. Słabością tego rodzaju publicystyki pamiętnikarskiej jest fakt, że żadne ze wspomnień ludzi ze świącznika nie spotkało się z publiczną merytoryczną polemiką, mimo że przekazywane w nich fakty i oceny, w konfrontacji ze znaną wiedzą można by określić jako świadomie konstruowaną konfabulację.

W odniesieniu do istoty grudnia, historycy w publikacjach formułują „bardzo ostrożne” sądy i opinie. Wyrazem takiego stosunku są spotykane w opracowaniach stwierdzenia w rodzaju: *Słowo „spisek” niedobrze się kojarzy. Osoby zaangażowane w tamte działania wolałyby raczej mówić o udanej próbie rozwiązania poważnego kryzysu politycznego. Niezależnie jednak od tego, jak nazwiemy te wszystkie działania, trzeba powiedzieć, że w grudniu 1970 roku obok wielkiego wybuchu społecznego niezadowolenia, miała także miejsce jakaś gra polityczna, która doprowadziła do wymiany znacznej części partyjnego i państwowego kierownictwa. W innym opracowaniu pojawiają się autorskie wątpliwości: *Dziś jednak ciągle jeszcze nie udaje się autorytatywnie stwierdzić, czy rzeczywiście jakieś siły polityczne w grudniu 1970 roku chciały robotniczymi rękami doprowadzić do wymiany kierowniczej elity i w tym celu przygotowały starannie polityczną, czy może raczej policyjną, prowokację?* Kolejny autor serwuje czytelnikowi w swoich wywodach następującą próbę oceny grudnia: *Wyjątkowy splot nieprawdziwych informacji na tle działań MSW i MON od 8 grudnia nasuwa nieodparcie przypuszczenie o zamierzonych działaniach w celu skompromitowania i odsunięcia od władzy ówczesnego I sekretarza KC PZPR.* Piszący tego rodzaju wywody ze znanych im tylko powodów nie zauważają istnienia w tym czasie kręgu osób spiskujących z Moczarem oraz wywierających przemożny wpływ na rozwój wydarzeń do 16 grudnia. Podobnie jak w następnych dniach przeorientowania się części tych działaczy w kierunku Gierka.*

Zawartość aktualnie dostępnych materiałów źródłowych i konfrontacja dotychczasowych ustaleń w opracowaniach autorskich, dodatkowo oczekują odpowiedzi na zasadnicze pytanie: Czy grudzień i jego konsekwencje, to rezultat ówczesnej kultury politycznej związanej z mechanizmem przejmowania władzy, czy jak to twierdzą niektórzy, żywiołowy zryw społeczny spowodowany stanem nastrojów i podwyżką cen?

Rzeczywistość nigdy nie jest czarno-biała, dotychczasowe ustalenia skłaniają do wniosku, iż u podstaw wydarzeń grudniowych spoczywało dążenie grupy polityków skupionych przy Moczarze do zmiany aktualnej ekipy władzy. Punkt wyjścia dla realizacji niniejszej koncepcji stanowił stan znacznego niezadowolenia części społeczeństwa, który dodatkowo i gwałtownie wzmocnić powinny obawy środowisk robotniczych w sytuacji ogłoszenia przewidywanej tzw. regulacji cen. W tych realiach moment ogłoszenia podwyżki cen przyjęto jako godzinę „O” dla wcześniej zaprogramowanych zabiegów mających na celu spowodowanie wyjścia grupy stoczniowców na ulice Gdańska. Następnie, przy udziale pozostających do dyspozycji inicjatorów wydarzeń w rodzaju organów bezpieczeństwa, sił milicyjnych i wojska, przejście do konfliktu z tłumami ulicznymi. Zewnętrzni obserwatorzy – Rosjanie oceniając

znamienny tydzień trwającego konfliktu pisali: *Sytuacja w Polsce rozwijała się tak, jakby ktoś dolewał oliwy do ognia i wskazywał, jak i gdzie należy atakować, jakie wysuwać hasła, a nie było nikogo, kto by to przerwał.*

Celną diagnozę przedstawionej społeczności wersji grudnia zaprezentował W. Gomułka w liście do członków Plenum, pisząc: *Ocenę grudnia skonstruowano na przywarach Gomułki, Kliszki i Jaszczuka, a na Wybrzeżu Gdańskim dodatkowo obwiniono Kociołka i Korczyńskiego. Bez tych negatywnych aktorów legnie w gruzach cała koncepcja, która posłużyła do rozprawy ze starą ekipą, a nie do wyjaśnienia przyczyn i ustalenia wniosków.*

Jak już wcześniej sygnalizowano, od początku badań w konstrukcji oficjalnego scenariusza grudnia można było dostrzec zauważalne luki. Znaczna część faktografii o istotnym znaczeniu odbiegała od wiedzy uzyskiwanej w oparciu o inne dokumenty i relacje. Zestawianie stwierdzanych nieścisłości z biegiem czasu stawało się na tyle rażące, iż kwalifikowało konstrukcję oficjalnej genezy do miana nieuczciwej manipulacji faktografią scenariusza. Aby uwiarygodnić tak ostre twierdzenie, a ponadto by ono nie zostało uznane jako głos słowne, pozwałam sobie przytoczyć kilka oczywistych obiegowych faktów mijających się z realną rzeczywistością, które w prezentowanej wersji miały służyć oskarżeniu „głównych winowajców” bądź kamuflować ówczesną rzeczywistość. Do nich między innymi można zaliczyć:

– Twierdzenie, że podwyżkę inicjował oraz przygotowywał Gomułka i Jaszczuk, pomijając wiodącą rolę w przygotowaniu tej operacji Radę Ministrów i osobie wicepremiera Jagielskiego.

– Z. Kliszko i Loga Sowiński wyjechali do Gdańska 14 grudnia na polecenie Gomułki, gdy wiadomym było, iż Gomułka o ich wyjeździe dowiedział się dopiero w następnym dniu.

– Gen. Grzegorza Korczyńskiego do Gdańska wysłał Gomułka bez uzgodnienia z jego przełożonym, ministrem obrony narodowej. Od początku gen. Korczyński wyjaśniał, że wyjechał do Gdańska na telefoniczne polecenie Moczara i Jaruzelskiego oraz za wiedzą premiera Cyrankiewicza – z kuriozalnym zadaniem „towarzyszenia członkom BP, Kliszce i Lodze Sowińskiemu”.

– Wojskiem w Trójmieście dowodził gen. Korczyński. Natomiast z dokumentacji MON wynika jednoznacznie, iż działaniami wojska w Trójmieście na mocy upoważnienia ministra i osobistych uprawnień kierował przybyły pod pozorem „pomocy planistycznej” rzekomemu sztabowi gen Korczyńskiego, szef Sztabu Generalnego, gen. Chocha, realizując swe zadania przy udziale szefa Sztabu POW, gen. Antosa.

– W Gdańsku funkcjonował „sztab lokalny” dowodzony przez gen Korczyńskiego, w którym decyzje podejmował Kliszko, Loga Sowiński i Kociołek. Termin „sztab lokalny” pojawił się dopiero po wydarzeniach, natomiast powołany przez W. Gomułkę „ośrodek polityczno-operacyjny” nigdy nawet się nie zebrał.

– Gomułka „wydał rozkaz” strzelania do manifestujących robotników. Wówczas, gdy w oparciu o przedstawioną sytuację i w odpowiedzi na sugestię przedstawicieli MSW wyraził on akceptację słowną w rodzaju „zgody politycznej”, na użycie broni palnej przez MO w krytycznych sytuacjach, zwracając uwagę, iż powinno to mieć miejsce w oparciu o regulację użycia broni, jakimi dysponuje MSW.



– W. Gomułka polecił skierować 16 DP do Gdańska w celu zaprowadzenia porządku przy pomocy wojska. W rzeczywistości Cyrankiewicz rano powiadomił Gomułkę, że znacznie wcześniej uzgodnił z Jaruzelskim zamiar wysłania 16 Dywizji z Elbląga do Gdańska, co po odpowiednim uzasadnieniu ze strony Cyrankiewicza, Gomułka akceptował.

– Decyzję o blokadzie Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni wydał sztabowi Z. Kliszko. Natomiast z dokumentów operacyjnych MON wynika, że decyzję blokady przez jednostki 8 DP Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, wydał sztab dowodzony przez gen. Chochę już 16 grudnia o godz. 3.30 nad ranem, natomiast rzekoma, narzucona sztabowi wojskowemu decyzja Kliszki miała nastąpić o godz. 13.30?

– W Gdyni dnia 17 grudnia wojsko broniło dostępu do Stoczni im. Komuny Paryskiej. W rzeczywistości tragedia nastąpiła na zaplanowanym przez sztab grupy operacyjnej gen. Chochy *wojskowym węźle oporu* zorganizowanym przez pododdziały 32 pz. Rozmieszczony on został na bardzo ruchliwym drogowym węźle komunikacyjnym w pobliżu przystanku kolejki elektrycznej. Natomiast niezależnie od tego ugrupowania, stoczną odległą około 400 metrów w linii prostej od tego „węzła oporu” ochraniały od wewnątrz, za płotem analogiczne siły wojska oraz na zewnątrz przy bramie wejściowej pododdział milicji.

Do mniej istotnych kłamstewek można zaliczyć styczniową sensację autorstwa E. Gierka, że gen. W. Jaruzelski, minister obrony narodowej był odsunięty od dowodzenia i funkcjonował na zasadzie „aresztu domowego”. Podobne zadanie miała spełniać uporzyczywie powtarzana wersja, że M. Moczar jako sekretarz KC PZPR nadzorował MSW i wojsko, analogicznie rolę taką przypisywano również kierownikowi Wydziału Administracyjnego KC S. Kani. Wersja tego rodzaju miała spełniać funkcję kamuflażu zażytych stosunków W. Jaruzelskiego z Moczarem oraz stanowiła usprawiedliwienie realizacji nieformalnych decyzji Moczara wprowadzanych bezkrytycznie przez ministerstwo obrony narodowej. W rzeczywistości resort obrony narodowej nie podlegał politycznemu nadzorowi sekretarza KC Moczara, ani też S. Kani.

Zebrany materiał źródłowy, często pozostający w sprzeczności w stosunku do obiegowej „wiedzy”, stanowiący rezultat kwerendy okresowo udostępnianych źródeł, spełniał rolę tworzywa dla kolejno publikowanych opracowań książkowych. Rezultaty badań na poszczególnych etapach umożliwiały autorowi rekonstrukcję zdarzeń i ocen uwolnionych od mitów i zafałszowań. W miarę docierania do nowych źródeł stan wiedzy sprzyjał bardziej kompetentnej odpowiedzi na postawione we wstępnej fazie badań robocze pytania. Nowe informacje sprzyjały obnażaniu kamuflowanych mechanizmów, które kształtowały tragiczny bieg wydarzeń w Gdańsku, Gdyni, Elblągu i Szczecinie w grudniu 1970 r.

Obrazoburczą odpowiedzią w odniesieniu do kontrowersyjnych problemów związanych z istotą i przebiegiem wydarzeń grudniowych było na miarę aktualnych możliwości szczegółowe zaprezentowanie opinii publicznej rezultatów przeszło 25-letnich badań w książce pt. *Grudzień 1970 – „oficjalny” i rzeczywisty*. Obok zobiektywizowanych informacji o przebiegu grudniowych wydarzeń znalazły w niej swoje miejsce

autorskie refleksje na temat funkcjonującej legendy i mitów grudnia 1970 roku. Podobnie jak w przypadku poprzedniej książki: *Dwa oblicza Grudnia 1970* obie nie spotkały się z jakąkolwiek kompetentną merytoryczną oceną, czy też zasadną publiczną krytyką. Bez rozgłosu, po kolei zniknęły z księgarń w niewielkim nakładzie. Taki stosunek do niepożądanych publikacji stał się zwyczajem w naszej praktyce, w wyniku czego cisza ogarnęła jedną i drugą publikację książkową – w myśl zastępującej cenzurę metody, odnoszącej się do tego rodzaju „kontrowersyjnych” publikacji? W tych też okolicznościach, ustalenia i informacje zawarte we wspomnianych publikacjach nie zakłóciły dotychczasowej, dowolnej interpretacji problematyki grudniowej w publikacjach czy też w wystąpieniach polityków podczas obchodów kolejnych rocznic, a także w odnoszących się do problematyki grudnia 1970 opracowaniach historycznych.

W wykładniach oficjalnych, w prasie i telewizji, z ubolewaniem należy stwierdzić, że problematyka grudniowa jest niezmiennie prezentowana i interpretowana w sposób dyletancki, w duchu nachalnej indoktrynacji, zgodnie z ustaleniami, zaserwowanymi społeczeństwu przez po grudniowe Biuro Polityczne, KC PZPR i na modłę utrwalonego stereotypu grudnia.

Czy nie nadszedł już czas potrzeby zerwania z praktyką unikania racjonalnego spojrzenia na Grudzień 1970 i rozpoczęcia śmiałej, merytorycznej dyskusji na temat: czym był, a czym nie był grudzień 1970 roku oraz jakie rzeczywiste nauki płyną z wiedzy o tych wydarzeniach? Zdaniem autora, jedynie tego rodzaju dyskusja mogłaby zbliżyć do racjonalnego spojrzenia na problem i urealnienia publicznej oceny tych wydarzeń.

#### HENRYK MIECZYŚLAW KULA

PS.: Opracowanie niniejsze ma charakter popularnonaukowy. Zrezygnowałem z zastosowania aparatu naukowego w formie przypisów, odwołujących się do określonych źródeł uznając, że ich odpowiedniki czytelnik zainteresowany może znaleźć w wymienionych niżej opracowaniach, a przede wszystkim w książce *Grudzień 1970 – „oficjalny” i rzeczywisty*.

W rozległym czasie prowadzonych badań publikowałem swoje ustalenia w formie artykułów w prasie miejscowej i periodykach oraz opracowaniach książkowych, wśród których na uwagę mogą zasługiwać:

– T. Górski, H. Kula: *Gdańsk – Gdynia – Elbląg 70 Wydarzenia grudniowe w świetle dokumentów urzędowych*. Wydawnictwo Inicjatywa, Gdańsk 1990.

– Henryk Mieczysław Kula: *Dwa Oblicza Grudnia 1970*. Wydawnictwo DJ, Gdańsk 2000.

– H. M. Kula, *Grudzień 1970 – „Oficjalny” i rzeczywisty*. Wydawnictwo L&L, Gdańsk 2006.

– H. M. Kula: *Użycie broni palnej przez Wojsko Polskie i Milicję Obywatelską w grudniu 1970 roku*. „Przegląd Historyczno-Wojskowy”, nr 1, 2006, s.131-150.

– H. M. Kula, *Problem użycia broni palnej przez funkcjonariuszy i pododdziały MO oraz pododdziały wojskowe w grudniu 1970 r. w miastach Wybrzeża – w świetle ówczesnego stanu prawnego i mitów związanych z tym zagadnieniem*. „Przegląd Policyjny” nr 1 (81), 2006, s. 29- 53.

(HMK)

JAN WASZKIEWICZ

# SAMORZĄDNA RZECZPOSPOLITA

## Geneza

Temat ten wraca do mnie mniej więcej co dziesięć lat. Pojawił się trzydzieści lat temu, o czym niżej. Powrócił po niespełna dziesięciu latach, w czasie polskich przemian lat 1989-90. W 2000 roku, z okazji dwudziestolecia „Solidarności” przypomniano sobie o nim i wówczas poproszono mnie o impresję na jego temat<sup>1</sup>. Wreszcie teraz przypomniał go, i moje nazwisko w jego kontekście, Michał Śliwa na łamach „Zdania”<sup>2</sup>.

Jak się wydaje, marzenie o Samorządnej kielkowało w nas znacznie wcześniej, a wybuchło potężnym wyrazem społecznego sprzeciwu w sierpniu 1980 r. Uchwalając i tworząc na I Zjeździe NSZZ „Solidarność” program Związku, dawaliśmy jedynie wyraz oczekiwaniom społecznym, tym samym, które wyartykułowano już rok wcześniej w czasie sierpniowych strajków i kończących je porozumień. Tworzyliśmy więc nową wersję wcześniejszych, dość topornie sformułowanych postulatów strajkowych, które stały się integralną częścią Programu Związku, jego swoistą preambułą. Takie było powszechne odczucie wśród delegatów Zjazdu, nie tylko moje – redaktora jednego z rozdziałów Programu. Akurat tego, w którym pojawiła się nazwa Samorządnej.

Zacznijmy od przypomnienia pewnych faktów. Otóż kiedy w czasie I tury I Zjazdu NSZZ „Solidarność” powołano komisję programową, ta – złożona z bardzo wielu osób – podzieliła się na zespoły i podzespoły, tak żeby pokryć całość obszaru zainteresowań Związku. A te obejmowały przecież całość polskiego życia zbiorowego. Wśród podkomisji była i taka, która zajmowała się obszarem „Związek, a życie publiczne”, a podzieliła się ona na zespoły i podzespoły zajmujące się nauką, oświatą, kulturą, sądownictwem, reformą administracyjną itd. itp. Jak powiedziałem w wywiadzie tuż po zakończeniu Zjazdu<sup>3</sup>, wszystko, „co nie należało do polityki społecznej i gospodarczej Związku, do jego życia wewnętrznego, zostało powierzone tej właśnie komisji. Materiał był ogromny. Były w nim problemy różnego rodzaju: od stosunku Związku do PZPR i organów władzy państwowej przez Front Jedności Narodu, Ligę Kobiet, sprawy zawodowe nauczycieli i reformę prawa, po wszystko, co się szczęściem zwie”.

W początkowej fazie ta rozpiętość nie miała znaczenia, gdyż procedowaliśmy w jednorodnych tematycznie

grupach (ja kierowałem pracami nad problematyką oświaty i jej reformy). Oprócz delegatów, w pracach każdej grupy uczestniczyli liczni eksperci (w tym przedstawiciele różnych branżowych układów w Związku). Potem grupy łączyły się w większe zespoły (w moim przypadku oznaczało to – po kolejnym demokratycznym wyborze – kierowanie pracami nad integracją problematyki oświaty, nauki i kultury), a z przygotowanych materiałów tematycznych robiliśmy wspólny zestaw dezyderatów. W końcu zjechaliśmy się z powrotem do Gdańska na kilka dni przed rozpoczęciem drugiej tury i tam redagowane były poszczególne części całego programu. Tam cała podkomisja „Związek a życie publiczne” po raz pierwszy zobaczyła się w całości i tam wybrany zostałem (dzięki wielkoduszości innego kandydata – Andrzeja Porawskiego) jej przewodniczącym. Od tego momentu stałem się osobą odpowiedzialną za zredagowanie tej części programu Związku, która zatytułowana została później Samorządna Rzeczpospolita.

W tej ostatniej fazie trzeba było przyjąć pewne schematy formalne, które ujednoliciłyby redakcję niezwykle niejednorodnego pod każdym względem materiału. Bronek Geremek, który kierował całością prac, narzucił nam wszystkim pomysł, by różnorodne postulaty „spakietować” w znacznie mniejszą liczbę tez, które powinny mieć specyficzną stylistykę. Każdy rozdział miał mieć też swój własny tytuł, ale pierwotnie widzieliśmy je ujęte zgodnie z nazwami poszczególnych podkomisji (typu „Związek a...”). Po wymyśleniu tytułu Samorządna Rzeczpospolita, na mój wniosek, w podobnej poetyce przeformułowano tytuły innych rozdziałów. Cytując je można było cały program podsumować czy też streścić w jednym, niezbyt kosztownym telegramie. Brzmiałby on: „Kim jesteśmy i dokąd dążymy. Wobec dzisiejszej sytuacji kraju. Związek wobec kryzysu i reformy gospodarczej. Ochrona pracy jako podstawowe zadanie Związku. Solidarne społeczeństwo – polityka społeczna. Samorządna Rzeczpospolita. Nasz Związek. Nowe porozumienie społeczne”<sup>4</sup>.

Zanim to jednak nastąpiło, co najmniej jeden dzień i jedną bezsenność noc strawiły mi próby ujednolicenia bardzo różnego materiału. Pomimo ujednoliciających i syntetyzujących zabiegów redakcyjnych, ślady poszczególnych postulatów przebijają z punktów i podpunktów, na które rozbite są poszczególne tezy w końcowej redakcji. W ostatecznej wersji Programu odnalazłem ślady przeszło stu z nich, a – jak pamiętam – było ich znacznie więcej. Co gorsza, tym – zebranych w toku szerokiego i wielostopniowego postępowania – materiałom daleko było do spójności. Były formułowane

<sup>1</sup> *Samorządna Rzeczpospolita – w dwadzieścia lat później*, w: *Samorządna Rzeczpospolita, wartości – programy – wychowanie*, Częstochowa 2001, s. 15-22. W pewnych partiach poniższego tekstu wykorzystuję ten artykuł.

<sup>2</sup> M. Śliwa, *Samorządna Rzeczpospolita – ostatnia utopia dwudziestego wieku?*, *Zdanie* 3-4 (146-147), 2010, str. 18-23.

<sup>3</sup> *Upodmiotowienie społeczeństwa* (w bloku tematycznym „Samorządna Rzeczpospolita”) *Tygodnik „Solidarność”*, nr 31 z dnia 30.10.1981, s.6.

<sup>4</sup> Aneksem do Programu były trzy warianty programu gospodarczego, stanowiące uszczegółowienie ogólnikowych tez z cz.III.

na różnym poziomie szczegółowości, a niektóre dezyderaty biegly w przeciwstawnych kierunkach. Wszystko to wymykało się próbom uporządkowania aż do momentu, gdy zobaczyłem, że całość materiałów obraca się wokół marzenia o Samorządnej Rzeczypospolitej. Od tego momentu wszystko zaczęło się „samo” układać w mniej więcej spójną całość, a poszczególne postulaty dawało się skupić w czytelnie ułożone tezy. „Bo rzeczywiście to, co przebijało przez poszczególne, drobne czasem postulaty, tak naprawdę zapowiadało reformę życia publicznego w stronę usamodzielnienia czego się tylko da”<sup>5</sup>.

Skąd wzięło się samo to hasło? W cytowanej wypowiedzi wspominam, że to Geremek umieścił ją w jednej z tez (Teza 19). Pamiętam, że przytoczył on ją jako przykład sformułowań, o jakie chodzi na tym poziomie organizacji tekstu. Samorządna Rzeczpospolita (pisana jeszcze z małej litery) była wpisana tam w niejasnym charakterze ni to określenia czegoś oczywistego, ni to postulatu dotyczącego przedmiotu naszych starań.

Tak wygląda kwestia autorstwa terminu i hasła. Zaraz po ogłoszeniu programu, Samorządna Rzeczpospolita stała się hasłem dość modnym. Udzieliłem kilku wywiadów na jej temat, inni też nie próżnowali<sup>6</sup>. Nie trwało to zbyt długo, festiwal marzeń zakończył się już dwa miesiące później, a i wcześniej różne napięcia odsunęły je na plan dalszy. Potem już do Samorządnej wracaliśmy jakby niechętnie, a już na pewno nie mieliśmy ochoty traktować jej jako swego rodzaju testamentu po „Pierwszej Solidarności”<sup>7</sup>.

### Dalsze losy

Po wprowadzeniu stanu wojennego i zejściu „Solidarności” do podziemia, Samorządna Rzeczpospolita nikt sobie głowy nie zawracał. Podobnie zresztą, jak i całym programem I Zjazdu. Nie znaczy to, że program tamten został zastąpiony jakimś innym. Po prostu zajęta bieżącymi sprawami i sporami ideowymi na znacznie głębszym poziomie opozycja nie zajmowała się budową konkretnych programów dojścia do jakkolwiek pojmowanej (choćby i okrojonej) niepodległości ani urzędzenia kraju do dojścia do głosu społeczeństwa. Znam jeden przypadek przywołania programu Samorządnej w tamtym okresie. W 1985 roku Dolnośląska Rada Edukacji stworzyła program dla polskiej edukacji, ówczesnej i tej po uzyskaniu społecznej podmiotowości. Program ten został zbudowany na zasadzie reinterpretacji też Programu I Zjazdu „Solidarności” traktowanego jako dokument ciągle nas zobowiązujący. Rzecz przeszła kompletnie bez echa (zauważyły go i opublikowały jedynie londyńskie „Wiadomości”).

Okrągły Stół i późniejsze przemiany ustrojowe za stały stroną społeczną słabo przygotowaną do wprowadzania (po uprzednim ich wynegocjowaniu) własnych koncepcji ideowych i ustrojowych. Zdecydowa-

no się więc na przenoszenie rozwiązań podpowiadanych przez przeróżnych suflerów („brygady Mariotta”) i na kalkowanie na ogół z własnymi, niezręcznymi poprawkami tzw. „sprawdzonych rozwiązań”. Nie było więc miejsca na eksperymentowanie z wprowadzaniem choćby elementów Samorządnej poza tymi, które nie były dla tej koncepcji swoiste. A nie było ich mało! Toteż z pewnymi ważkimi (najważniejszymi!) wyjątkami program Samorządnej został zrealizowany. Tyle że nikt się do niego nie odwołuje, nie ma ochoty upominać się o pominięte elementy ani pierwotnej, dość topornej koncepcji rozwijać. W tym sensie można uznać, że program i problem Samorządnej przestały istnieć. Może jednak nie bezpowrotnie?

Zobaczymy więc, jak wygląda realizacja tamtego programu z dzisiejszej perspektywy. Najłatwiej zrobić to przeglądając poszczególne tezy<sup>8</sup>. Jednakże nie można ich zacytować bez przypomnienia kontekstu, w jakim były formułowane. Nie wszystkie ówczesne oczywistości są dziś zrozumiałe, dodam więc kilka słów o samoograniczeniu naszych ówczesnych zapędów. Bez tego przypomnienia niektóre pomysły (i ich sformułowania) mogą bowiem wyglądać dziwnie.

Otóż zmagając się z totalitarną władzą zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że dysproporcja sił (mierzona liczbą karabinów, a nie racji moralnych czy masowości poparcia) wskazuje naszych przeciwników jako zwycięzców ewentualnego frontального starcia. Toteż od samego początku jasne było dla wszystkich, że nie możemy w naszych roszczeniach i działaniach posuwać się za daleko – poza granice hipotetycznej wytrzymałości naszych oponentów i ich moskiewskich mocodawców. Szkopuł polegał na tym, że nikt nie wiedział, gdzie leżą owe granice, a każdy wyobrażał sobie ich przebieg inaczej. Szersza dyskusja na ten temat była niemożliwa z powodu funkcjonowania cenzury, węższe nie prowadziły do konkluzji.

Dyskusje z przeciwnikami miały charakter obustronnego blefowania przeplatane próbami „rozpoznania bojem” rzeczywistych intencji drugiej strony. Od samego początku słyszeliśmy, że „oni nigdy nie zgodzą się” – na strajk, na związek zawodowy, na związek zawodowy o ogólnopolskim zasięgu, na terytorialną, nie zaś branżową strukturę, na nasz tygodnik itd. Po czym okazywało się (na ogół po zastosowaniu skoordynowanego bądź spontanicznego nacisku strajkowego), że coś było możliwe. Zawsze jednak istniało ryzyko, że tym razem się nie uda. Ponieważ wszyscy byliśmy realistami, staraliśmy się nie artykułować skrajnych postulatów. Jednak co jest skrajne? – na to pytanie każdy odpowiadał po swojemu. Sformułowania programu są więc jakąś wypadkową różnorodnych ocen tego, co i jak można było powiedzieć bez pomówień o awanturnictwo, a nawet – o czym można było pomarzyć bez pomówień o nieżydliwe marzycielstwo. Jest to więc w najlepszym wypadku zarys pewnej koncepcji. Dziś można by pójść znacznie dalej. Szkoda, że nie ma chętnych do takiej podróży.

### Nowoczesne państwo, demokracja i praworządność

Niektóre tezy omawianego programu ujmowały marzenie o państwie nowoczesnym – demokratycznym

<sup>5</sup> *Upodmiotowienie...*, op.cit.

<sup>6</sup> W tym samym bloku tematycznym wypowiadali się Bronisław Geremek, Jacek Kurczewski, Jan Olszewski, Witold Trzeciakowski, Karol Modzelewski i Edward Nowak.

<sup>7</sup> W jednym z wywiadów radiowych, prowadzący go dziennikarz porównał program Zjazdu do Konstytucji 3 Maja. Zaoponowałem z poczucia skromności, ale też zwróciłem uwagę na to, że nie chciałbym, żeby wszystko skończyło się podobnie. No cóż, można widzieć pewne podobieństwa dalszych losów: siłowe przekreślenie marzeń i działań reformatorskich, ale też późniejszy brak jakiegokolwiek chęci do traktowania szacownego zabytku jako rodzaju legacji. Hasło „solidarnego społeczeństwa” potraktowaliśmy nawet bardziej bezceremonialnie niż „samorządna rzeczpospolita”.

<sup>8</sup> Wg tekstu opublikowanego w »Tygodniku „Solidarność««, nr 29 z 16.10.1981, dodatek. Cz.VI – *Samorządna Rzeczpospolita*, s. 7-9.



i praworządny. Taka była pierwsza z nich – ta „historyczna”, w której po raz pierwszy pojawiło się miano Samorządnej. Mówi ona o pluralizmie, choć tak naprawdę chodzi w niej o coś więcej, o warunki dla funkcjonowania społeczeństwa obywatelskiego, które leży u podstaw każdego wariantu sensownie zorganizowanego, współczesnego państwa:

Teza 19 – Pluralizm światopoglądowy, społeczny, polityczny i kulturalny powinien być podstawą demokracji w Samorządnej Rzeczypospolitej.

Ta, otwierająca wszystko teza ma jednoznacznie ideologiczny i polityczny – wręcz ustrojowy charakter. Założenie pluralizmu w totalitarnym państwie prowadziło do oczywistego zakwestionowania porządku konstytucyjnego (w którym od 6 lat było miejsce dla szczególniej pozycji komunistycznej partii) i praktyki politycznej, w której kontrola przekonań i wypowiedzi stanowiła istotną część działania „aparatu przemocy”. Jednakże samo zakwestionowanie systemu jest tu czynione mimochodem, w ramach i granicach narzucanych sobie samoograniczeń. Niemniej pierwszy postulat tej tezy stwierdza z całą powagą:

„Życie publiczne w Polsce wymaga głębokich i całościowych reform, które powinny doprowadzić do trwałego wprowadzenia samorządności, demokracji i pluralizmu. Dlatego będziemy dążyć zarówno do przebudowy struktury państwa, jak i do tworzenia i wspierania niezależnych i samorządnych instytucji we wszystkich sferach życia społecznego. Tylko taki kierunek zmian zapewni zgodność organizacji życia publicznego z potrzebami osoby ludzkiej, dążeniami społeczeństwa i narodowymi aspiracjami Polaków. Zmiany te konieczne są również dla pokonania kryzysu gospodarczego. Pluralizm, demokratyzację państwa i możliwość pełnego korzystania z wolności konstytucyjnych traktujemy jako podstawową gwarancję, że trud i wyrzeczenia ludzi pracy nie zostaną po raz kolejny zmarnowane”. Odwykliśmy już trochę od takiej retoryki, ale też od równie zasadniczego stawiania ważnych kwestii ustrojowych.

W kolejnych dwóch postulatach wymienialiśmy „bratnie” związki zawodowe i stowarzyszenia społeczne, kończąc każdy z nich żądaniem wprowadzenia odpowiednich zmian ustawodawczych: ustawy o związkach zawodowych gwarantującej swobody związkowe oraz nowej ustawy o stowarzyszeniach, „która zapewni pełną swobodę zrzeszania się obywateli”. Jednakże nie zatrzymaliśmy się w tym miejscu i kolejny postulat dotyczył wolności politycznej:

„Uważamy, że zasady pluralizmu muszą odnosić się do życia politycznego. Związek nasz będzie popierał i chronił inicjatywy obywatelskie, których celem jest przedstawienie społeczeństwu różnych programów politycznych, gospodarczych i społecznych oraz organizowanie się w celu wprowadzenia tych programów w życie.

Jesteśmy natomiast przeciwni temu, by statutowe władze naszego Związku tworzyły organizacje o charakterze partii politycznych”.

Ostatnie dwa postulaty dotyczyły pluralizmu w ruchu zawodowym oraz konieczności reformy prawa karnego tak, żeby nie mogło być wykorzystywane dla tłumienia swobód obywatelskich.

Zakres tej tezy, jak też przytoczone jej fragmenty pokazują, że dziś nie musimy się wstydzić ówczesnego naszego sposobu myślenia. Realizm nie mącił zbytnio

wzroku ani nie zamieniał mowy w beztreściowy bełkot. Jak się wydaje, życie – w nagrodę – z nawiązką spełniło wszystkie postulaty tej tezy. Nie można tego powiedzieć o tezie następnej, o której napiszę oddzielnie. Na razie przytoczę bez szerszego omówienia kilka tez odnoszących się do kwestii ustrojowych. Przypominam je tutaj w brzmieniu, jakie wówczas im nadano.

Teza 23 – System musi gwarantować podstawowe wolności obywatelskie, respektować zasady równości wobec prawa wszystkich instytucji życia publicznego.

Teza 24 – Sądownictwo musi być niezawisłe, a aparat ścigania poddany społecznej kontroli.

Teza 25 – W Polsce praworządnej nikt nie może być prześladowany za przekonania ani zmuszany do działań niezgodnych z sumieniem.

Teza 27 – Młode pokolenie Polaków musi mieć zapewnione odpowiednie warunki dla rozwoju fizycznego, psychicznego i moralnego.

Teza 28 – Kultura i oświata muszą być dostępne dla każdego, wymagają opieki i pomocy.

Jak łatwo zauważyć, tezy te zrealizowano o tyle o ile. Konstytucja wszystkie je afirmuje, praktyka polityczna realizuje je w miarę swoich ułomnych możliwości (administracyjnych i budżetowych), a wszystkie partie i ugrupowania pod nimi się podpisują (choć oczywiście niejednokrotnie widzą sposób ich urzeczywistnienia). Można więc powiedzieć, że te postulaty możemy odłożyć ad acta.

Kolejne trzy stanowiły deklarację odnoszącą się do polityki Związku, który wszakże, zwłaszcza w tym kontekście, widzieć trzeba jako emanację czy wręcz synonim społeczeństwa bądź też ujawniającego się (a może konstytuującego) społeczeństwa obywatelskiego:

Teza 29 – Związek będzie popierał i chronił wszelkie niezależne poczynania zmierzające do samorządności w kulturze i edukacji.

Teza 30 – Związek będzie popierał swobodę badań naukowych i samorządność środowisk naukowych.

Teza 31 – Związek będzie walczył z zakłamaniami we wszystkich dziedzinach życia, ponieważ społeczeństwo chce i ma prawo żyć w prawdzie.

I nad tymi tezami, jako w zasadzie zrealizowanymi (na tyle, na ile społeczeństwo obywatelskie chce je realizować) nie będę się tu zatrzymywał. Kolejna teza też dotyczy kwestii ustrojowych, ale również praktyki politycznej:

Teza 32 – Środki społecznego komunikowania są własnością społeczną, muszą służyć całemu społeczeństwu i być pod jego kontrolą.

To w jakim zakresie została ona zrealizowana, jest tematem do odrębnej, szerokiej dyskusji bardzo aktualnej z powodu obecnego majstrowania władz przy kolejnej modyfikacji ustawodawstwa w tej dziedzinie. Po drodze była też teza, która nie została w ogóle tknięta, która jest częścią marzenia o praworządności, ale której związek z koncepcją Samorządnej Rzeczypospolitej nie jest bezpośredni:

Teza 26 – Osoby winne doprowadzenia kraju do upadku muszą ponieść pełną odpowiedzialność.

## Samorząd pracowniczy?

Opuściliśmy niezmiernie wówczas ważną, a dziś kompletnie anachroniczną tezę mówiącą coś o zarządzaniu zakładami pracy (chodziło w nim nie tylko, choć przede wszystkim, o przedsiębiorstwa):

Teza 20 – Autentyczny samorząd pracowniczy będzie podstawą Samorządnej Rzeczypospolitej.

Pierwszy z dwóch akapitów tej tezy brzmiał<sup>9</sup>:

„System wiążący władzę polityczną i gospodarczą, oparty na nieustannej ingerencji czynników partyjnych w funkcjonowanie przedsiębiorstw to główna przyczyna kryzysu, w jakim znajduje się nasza gospodarka, to także przyczyna naszej równości szans w życiu zawodowym. Nomenklatura partyjna uniemożliwia wszelką racjonalną politykę kadrową, czyni miliony bezpartyjnych pracowników drugiej kategorii. Jediną możliwą dziś drogą zmiany jest utworzenie autentycznych samorządów pracowniczych, które uczyniłyby załogi rzeczywistymi gospodarzami zakładu”.

Samorząd pracowniczy nie miał jednoznacznie dobrej prasy już wówczas. W cytowanej dyskusji po przyjęciu Programu, dwie osoby (Jan Olszewski i Witold Trzeciakowski) wypowiadały się sceptycznie o możliwościach samorządowego zarządzania w gospodarce. Dwie inne osoby (Karol Modzelewski i Edward Nowak) były optymistami w tym względzie. Biorąc pod uwagę tę niejednoznaczność poparliśmy wprawdzie postulaty samorządowe, ale wyraźnie zaznaczyliśmy, że jest to rozwiązanie „na dziś”, a przyszłość pokaże, co tu jest naprawdę możliwe.

Ruch samorządowy był wówczas lansowany przez tzw. „Sieć wiodących przedsiębiorstw” – porozumienie organizacji związkowych w najważniejszych przedsiębiorstwach, które dążyły do zdecydowanej reformy gospodarczej opartej właśnie na samorządowym (wzorowanym po części na przykładzie jugosłowiańskim) modelu. Hasłem były „3 S” – samodzielność, samorządność i samofinansowanie.

Idee samorządowe nie zostały całkowicie zniesione przez wprowadzenie stanu wojennego, toteż w późniejszych latach mogący jawnie działać samorząd pracowniczy stał się namiastką, a niekiedy parawanem dla zdelegalizowanej „Solidarności”. Po powrocie związku na scenę życia publicznego ruch samorządowy zanikł. Jego oferta ideowa była zresztą zbyt mało radykalna w sytuacji, gdy już całkiem otwarcie można było mówić o restytucji kapitalizmu. W okresie, o którym mówię, jedynie Janusz Korwin-Mikke i nieliczni jemu podobni artykułowali takie pomysły, przez większość działaczy widziane jako niepoważne i niebezpieczne<sup>10</sup>.

Tak więc idee poruszone w tej tezie zostały zarzucone. Dotyczy to również treści drugiego akapitu, który upominał się o przywrócenie autentycznego charakteru funkcjonującym spółdzielniom. Ta forma organizacji produkcji i usług jest marginesem w dzisiejszym życiu gospodarczym i poza „Społem” czy spółdzielniami mieszkaniowymi trudno spotkać się z tą formą organizacyjną.

Jak się wydaje, transformacja ustrojowa mogła przebiegać w sposób bliższy marzeniom o Samorządnej. Nie jest dla mnie przypadkiem, że z pewną częścią działaczy samorządowych w przedsiębiorstwach spotkałem się na początku lat 90. w ruchu własności pracowniczej.

<sup>9</sup> Drugi akapit dotyczył spółdzielczości i konieczności przywrócenia im autentycznego charakteru.

<sup>10</sup> Korwin-Mikke był inicjatorem ruchu na rzecz wolnego rynku, w którego pierwszym spotkaniu (latem 1981 r.) uczestniczyłem wraz ze Stefanem Kisielewskim, Stefanem Kurowskim, Andrzejem Ostoją-Owsianym i kilkoma innymi osobami, których nazwiska (jak i nazwy samego ruchu) nie pamiętam. Byłem w tym gronie jedynym związkowcem i po wyborze do władz krajowych ktoś z kolegów żądał ode mnie zerwania z tak złym towarzystwem...

Taka forma uwłaszczenia, rozszerzająca grono ludzi coś posiadających (a więc legendarną klasę średnią) mogła nadać ciekawy impuls rozwojowi społeczeństwa obywatelskiego i demokracji bliższej marzeniom o Samorządnej. Jednakże propozycje związane z uwłaszczeniem pracowniczym – na cywilizowanych zasadach amerykańskiego systemu ESOP<sup>11</sup> – (Employee Stock Ownership Plans<sup>12</sup>) nie zyskały szerszego wsparcia w kręgach politycznych. Panująca moda na dość tandetnie pojmowany liberalizm, jak też spore osobiste zainteresowanie nowotworzącego<sup>13</sup> się establishmentu uwłaszczeniem się na czymkolwiek nie sprzyjały takim pomysłom.

Również związkowcy nie byli tymi pomysłami zainteresowani. Na II Zjeździe „Solidarności” nie udało nam się przepchnąć rezolucji stwierdzającej, że Związek jest za tego typu przekształceniami własnościowymi. Zablokowali ją sprawnie lobbujący swoje pomysły (a może i interesy?), kręcący się wśród związkowców liberałowie... Chyba szło im łatwo bo, jak tłumaczyli to amerykańscy przyjaciele, w zakładach z uwłaszczonymi pracownikami niknie miejsce dla zawodowych obrońców interesu pracowniczego. Interesy związków zawodowych i własności pracowniczej nie są zbieżne. Szkoda, że sprawy nie potoczyły się wówczas inaczej.

#### **Samorząd terytorialny – przyczółek Samorządnej?**

Z dzisiejszej perspektywy najważniejsza są tezy dotyczące samorządności terytorialnej. Przypomnę więc kontekst ich sformułowania. Otóż wiosną kolejnego, 1981 roku odbyć się miały wybory do rad narodowych, fasadowych pseudosamorządowych instytucji całkowicie podporządkowanych rządzącej partii komunistycznej. Na kolejną farsę wyborów do tych „przedstawicielskich organów” nie mogliśmy się zgodzić. Zresztą, w ówczesnej sytuacji po prostu nie zgodziliby się na nią ludzie. Partia też nie mogła zgodzić się na wolne wybory, gdyż kolejny obszar władzy wymknąłby się spod jej kontroli. Demontaż systemu znów postąpiłby krok naprzód. Czy i gdzie leżał punkt jakiegoś możliwego do przyjęcia kompromisu? Zapewne tam, gdzie w końcu się znalazł – pod gąsienicami czołgów jeżdżących 13 grudnia po ulicach naszych miast. Niemniej w czasie Zjazdu jeszcze tego nie wiedzieliśmy i tekst, który przytoczę, jest wypadkową poglądów optymistów widzących możliwość przejścia kolejnego fragmentu władzy i realistów, którzy woleli z tym poczekać. Mimo to, nie jest to tekst, którego trzeba by się wstydić:

Teza 21 – Samodzielne prawnie, organizacyjnie i majątkowo samorządy terytorialne muszą być rzeczywistą reprezentacją społeczności lokalnej.

„Podstawą autentycznego samorządu terytorialnego musi być wyłonienie go w wolnych wyborach. Powinny one zapewniać możliwość kandydowania osobom wysuniętym przez organizacje społeczne, a także grupy obywatelskie<sup>14</sup>. Żadne listy wyborcze nie mogą korzystać z preferencji. Konieczne jest zapewnienie warunków dla przeprowadzenia kampanii wyborczej, w ramach której konkurować będą różne programy i różni kandydaci.

<sup>11</sup> Por. mój tekst *Praca i jej uwłaszczenie* w materiałach Kongresu Pracy we Wrocławiu, 8-12 maja 1991: Praca nad pracą, Papięski Zakład Teologiczny, Wrocław 1996.

<sup>12</sup> Zainteresowanych odsyłam na stronę The ESOP Association.

<sup>13</sup> Skojarzenie z nowotworem jest przypadkowe, ale nie bezzasadne.

<sup>14</sup> O roli partii politycznych nawet nie marzyliśmy.

Najbliższe wybory do rad narodowych powinny odbyć się zgodnie z przedstawionymi zasadami. NSZZ „Solidarność” będzie do tego dążyć z całym zdecydowaniem. W tym celu do dnia 31 XII 81 r. przygotowany zostanie projekt nowej Ordynacji wyborczej, który po konsultacji wśród członków Związku zostanie przedstawiony Sejmowi.

Organy samorządu terytorialnego muszą uzyskać uprawnienia do decydowania o całokształcie spraw lokalnych, w tym zakresie mogą podlegać jedynie uregulowanemu ustawowo nadzorowi organów państwowych, służącemu kontroli przestrzegania prawa. W razie sporu między samorządem a organami administracji rozstrzygnięcie należeć powinno do sądu. Samorządy terytorialne muszą mieć prawo do prowadzenia działalności gospodarczej. Niezbędna jest też możliwość zawierania porozumień między samorządami. Dla realizacji swych zadań samorządy muszą mieć osobowość publiczno-prawną oraz prawo do uzyskiwania samodzielnie środków finansowych (podatki lokalne).

Pierwszy Zjazd NSZZ „Solidarność” zobowiązuje Komisję Krajową do opracowania projektu ustawy o samorządach terytorialnych, która realizować będzie powyższe zasady. Zostanie ona poddana konsultacji analogicznej, jak projekt ustawy o ordynacji wyborczej, i następnie przedstawiona Sejmowi.

NSZZ „Solidarność” popierać będzie także inicjatywy samorządowe, zwłaszcza akcje samopomocy w walce z nasilającym się kryzysem”.

Powtórzę. Ani tych sformułowań, ani realizacji ich treści w dzisiejszej Polsce nie musimy się wstydić! Może tylko jedna rzecz wymaga komentarza – postulat o możliwości gospodarczej aktywności samorządów. Nie mieliśmy wówczas jasności co do tego, że podmiot określający reguły gry nie powinien być aktywnym graczem. Jednakże trzeba też pamiętać, że tekst pisany był w czasach, gdy reguły gry były tworzone gdzie indziej, a nawet najambitniej pomyślany samorząd nie był (bo i w tamtej rzeczywistości nie mógł być) gospodarzem swojego terenu. Chodziło więc o to, żeby samorząd miał odpowiednie środki do realizacji swoich zadań i zamierzeń. Zresztą ten akurat problem nie jest rozwiązany do dziś. Wszyscy działacze samorządowi, a jestem jednym z nich, jednogłośnie stwierdzają, że finansowanie samorządów dalekie jest od ideału, a o sposobach sfinansowania podlegających mu zadań warto dalej dyskutować.

Niemniej, łatwo zauważyć, że w ciągu ostatnich 20 lat wszystkie postulaty tej tezy zostały z nawiązką zrealizowane, a sformułowania Programu są ciekawe niemal wyłącznie jako dokument historyczny – jako udokumentowanie drogi, którą przeszliśmy. Nie będę w tym miejscu dawał przeglądu dokonania samorządów. Mówiło się o tym wiele w ubiegłym roku, przy okazji rocznicy dwudziestolecia reformy samorządowej. Mogę tu czytelnika odesłać i do moich artykułów na ten temat<sup>15</sup>. Mimo jednak niewątpliwego sukcesu, jakim jest samorządowy segment polskiej reformy ustrojowej, niemal wszyscy obserwatorzy stwierdzają, że trzeba ją kontynuować – pewne elementy konstrukcji (nie tylko finansowanie) powinny być poprawione. Może przy tej okazji warto przypomnieć sobie o kolejnej (już ostatniej) tezie programu Samorządnej Rzeczypospolitej?

Teza 22 – Organizacje i ciała samorządowe powinny uzyskać reprezentację na szczeblu najwyższych władz państwowych.

Dwa pierwsze postulaty tej tezy zostały w pełni zrealizowane. Pierwszy formułował możliwość inicjatywy ustawodawczej związków zawodowych i jako dotyczący bezpośrednio Związku został wysunięty na plan pierwszy. Drugi postulat dotyczył odzyskania przez Sejm najwyższej roli w państwie. Był to całkowicie polityczny postulat, wówczas zdający się należeć do literatury *political fiction*<sup>16</sup>. Za to trzeci zdaje się do niej należeć obecnie!

„Uważamy za celowe rozpatrzenie potrzeby powołania ciała o charakterze samorządowym (izby samorządowej lub izby społeczno-gospodarczej) na szczeblu najwyższych władz państwowych. Jej zadaniem byłby nadzór nad realizacją programu reformy gospodarczej i polityką gospodarczą oraz podobnych instytucji na niższych szczeblach”.

Myślę, że dyskusję nad powiązaniem senatu z samorządami terytorialnymi (być może jego transformacja w izbę samorządową) należałoby obecnie wznowić. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że byłby to krok w stronę federalnego ustroju kraju, ale cóż ja poradzę na to, że taki pomysł mi się podoba? Czy tkwi on w samej idei Samorządnej? Nie sądzę, ale faktem jest, że każda decentralizacja władzy zbliża do tej idei, a centralizacja od niej oddala.

## Konkluzja?

Wróćmy na zakończenie do pytania, czym był program Samorządnej Rzeczypospolitej? Czym jest dzisiaj? Jeśli chodzi o odpowiedź na pierwsze pytanie, najlepiej będzie posłużyć się tekstem własnej wypowiedzi sprzed lat. W cytowanym wywiadzie powiedziałem wówczas:

„Co myślę o tej koncepcji? Przede wszystkim to nie jest koncepcja. W tych dwóch słowach oddana jest duża część naszych wspólnych marzeń. Jest to na razie mglista idea, która w niektórych punktach już się wyrażnie rysuje, a w niektórych zupełnie jej nie widać (...).

Czy wierzę w powodzenie idei? Tak. W końcu upodmiotowienie społeczeństwa trwa, jak niektórzy twierdzą, od roku, inni, że od kilku lat, jeszcze inni, że od kilkunastu. Trwają też procesy odwrotne – upaństwowienia. Nie tylko u nas. Toteż gdy zrobimy kilka kroków naprzód, pojawią się nowe horyzonty, dalsze dziedziny życia, które powinny ulec usamorządowieniu, poddaniu kontroli społecznej. Nie można tego dokonać jednym skokiem. W tym haśle streszcza się po prostu proces upodmiotowienia społeczeństwa, a podmiotowości będzie miało społeczeństwo tyle, ile jej będzie w stanie udźwignąć. Musi do niej dorastać”.

Tak myślałem wówczas i cieszę się nie tylko że nie muszę się tych poglądów wstydić, ale że mogę działać dla ich urzeczywistnienia. Bo **Samorządna Rzeczypospolita jest ciągle tym samym – marzeniem i ideałem, kierunkiem dążeń i linią oporu przed zapędami ponownego upaństwowienia sfer działania społeczności lokalnych i regionalnych.**

## JAN WASZKIEWICZ

<sup>16</sup> Tak niewinnie sformułowany postulat, wetknięty zresztą w nie sygnalizujący większych problemów kontekst, był w istocie zakwestionowaniem ówczesnej konstytucji, z wpisaną w nią kierowniczą rolą partii. *Expressis verbis*, jako realiaści, nigdy byśmy tego nie zrobili. Ale tu, jakoś samo tak wyszło...

<sup>15</sup> J. Waszkiewicz, *Samorząd terytorialny na Dolnym Śląsku – siedemnaście lat doświadczeń*, Dolny Śląsk 12, Wrocław 2007, DTSK, s. 5-21.



ANNA TATAR

# RASIZM, NEOFASZYZM I KSENOFOBIA PO POLSKU

Monitoring incydentów na tle rasistowskim i ksenofobicznym oraz przestępstw popełnionych przez neofaszystów w Polsce stanowi jeden z najważniejszych przejawów działalności antyfaszystowskiej. Rozpoznanie tego poważnego problemu społecznego w Polsce pozwala na prowadzenie działań mających na celu przeciwdziałanie dyskryminacji i nietolerancji oraz promowanie postaw pozytywnych: otwartości na inność i wielokulturowość oraz tolerancji. Stowarzyszenie „Nigdy więcej” od stycznia 2009 roku współpracuje z niemiecką Fundacją „Pamięć, Odpowiedzialność i Przyszłość” (Stiftung „Erinnerung, Verantwortung und Zukunft”) w ramach projektu *Hate crimes monitoring*.

## Monitoring w Polsce

W Polsce nie istnieje państwowy, centralny system monitorowania przestępstw rasistowskich, ksenofobicznych i neofaszystowskich. Takie dane są zbierane przez rządowe i prawnicze instytucje niesystematycznie i porządkowane w rozmaity sposób, bez stosowania odpowiednich definicji i kategorii różnych form przemocy. Służby specjalne odpowiedzialne za bezpieczeństwo państwa, jak Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego czy Biuro Bezpieczeństwa Narodowego, nie publikują żadnych raportów na temat zagrożenia ze strony skrajnej prawicy czy przestępstw rasistowskich. Policja nie sporządza regularnych raportów ani nie zbiera informacji prasowych, które pozwoliłyby zaobserwować określone tendencje i mogłyby być wy-

korzystane jako baza dla dyskusji publicznych na temat problemu rasizmu czy neofaszyzmu. Policyjny System Statystyki Przeszłości „Temida” pozostaje głównym oficjalnym źródłem przestępstw i incydentów o podłożu rasistowskim. Informacje nie są porządkowane ze względu na motywacje sprawców (np. antysemityzm, ksenofobia) ani ze względu na grupy ofiar. Ponadto osoby poszkodowane przez rasistów czy neofaszystów rzadko zgłaszają się na policję. Tak więc statystyki obejmują zaledwie niewielki wycinek przestępstw i incydentów tego typu.<sup>1</sup>

W Polsce większość organizacji pozarządowych zajmujących się zwalczaniem rasizmu i neofaszyzmu, przeciwdziałających nietolerancji i promujących ideę społeczeństwa wielokulturowego, organizacji działających na rzecz praw człowieka, organizacji mniejszości seksualnych, narodowych, religijnych i innych, organizacji feministycznych, organizacji udzielających pomocy prawnej oraz wspierających ofiary takich przestępstw nie prowadzi regularnego monitoringu incydentów i przestępstw wymierzonych w ich podopiecznych. W swoich poczynaniach próbują przeciwdziałać społecznym antagonizmom i starają się gromadzić wiedzę na temat tego, kim najczęściej są ofiary oraz sprawy takich przestępstw – po to, by lepiej i skuteczniej wykonywać swoje zadania i przeprowadzać swoje kampanie. Ich monitoring ogranicza się zwykle do wybra-

<sup>1</sup> Zob. 2008 *Hate Crime Survey. Summary and Recommendations*, red. Tad Stahnke 2008, s. 2.

nych przypadków i ofiar z konkretnej grupy (społecznej czy religijnej etc.), i prowadzony jest często w celu zmobilizowania do skutecznego działania organów ścigania bądź odpowiednich instytucji państwowych. Organizacje pozarządowe starają się także powiadomić opinię publiczną o takich wydarzeniach.

### Monitoring prowadzony przez Stowarzyszenie „Nigdy więcej”

Wydarzenia, które opisuje monitoring prowadzony przez Stowarzyszenie, można by określić coraz bardziej popularnym zarówno w środowisku akademickim, jak i w mediach, terminem *hate crimes*. Zgodnie z definicją Biura Instytucji Demokratycznych i Praw Człowieka *hate crime* – to przestępstwo wobec osób lub grup ze względu na ich realną lub domniemaną przynależność do danej rasy, narodowości, ze względu na pochodzenie etniczne, język, kolor skóry, religię, płeć, orientację seksualną, wiek, umysłową lub fizyczną niesprawność lub z innych powodów.<sup>2</sup> Ta definicja wiąże się jednak z pewnymi trudnościami. Nie jest dość precyzyjna – różne organizacje prowadzące monitoring określają za pomocą tego terminu rozmaite zjawiska. Ponadto nie obejmuje agresji werbalnej, społecznego wykluczenia i dyskryminacji instytucjonalnej dokonywanych z wymienionych przed chwilą powodów.<sup>3</sup> W Polsce stosuje się ją jeszcze raczej rzadko.

### Główne kategorie incydentów i przestępstw stosowane w monitoringu prowadzonym przez Stowarzyszenie „Nigdy więcej”:

**Rasizm:** „pogląd, że ktoś może być lepszy od innych z powodu przynależenia do pewnej rasy. Rasiści definiują rasę jako grupę ludzi o wspólnym pochodzeniu. Rozróżniają rasy na podstawie cech fizycznych, takich jak kolor skóry<sup>4</sup>, ale również ze względu na pochodzenie etniczne i rzekomo nieprzezwyciężalne, fundamentalne różnice kulturowe. Rada Europy w dokumencie ECRJ (Europejskiej Komisji przeciwko Rasizmowi i Nietolerancji) stwierdza: „Termin «rasizm» powinien być rozumiany szeroko, włączając w to zjawiska takie jak ksenofobia, antysemityzm i nietolerancja. [...] ECRJ uznaje, że pojęcia te obecnie odnoszą się do zachowań wymierzonych przeciwko osobom bądź grupom osób na podłożu rasy, koloru, religii, języka, narodowości oraz pochodzenia narodowego i etnicznego.»<sup>5</sup>

### Przykłady incydentów i przestępstw o charakterze rasistowskim opisanych w monitoringu:

„LUBLIN. Na początku października 2009 roku doszło do rasistowskiego incydentu w sklepie sieci „Biedronka” na ulicy Wieniawskiej. Klient romskiego pochodzenia oskarżony został przez kasjerkę i ochroniarza o kradzież oraz próbę płacenia fałszy-

wymi pieniędzmi. Gdy mężczyzna protestował, kobieta powiedziała do niego: «Każdy czarny to złodziej». Policjanci, którzy przyjechali na miejsce, przesłuchali świadków i przejrzyli to, co zarejestrowały sklepowe kamery. Nie doszło do próby kradzieży i fałszerstwa. Pomówiony, którym był Bogdan Szczerba, członek Stowarzyszenia «Rom», zapowiedział złożenie doniesienia do prokuratury.<sup>6</sup>

„SZCZECIN. 19 maja 2007 roku po meczu pierwszej ligi piłki nożnej pomiędzy Pogonią Szczecin a Cracovią Kraków trener drużyny gospodarzy, Bogusław Baniak, w wypowiedzi dla dziennika «Rzeczpospolita» powiedział o piłkarzu swojej drużyny, Brazylijczykowi Diego: «Takie rzeczy to on sobie może robić u siebie w buszu, a nie w Polsce na boisku». Za swoją rasistowską wypowiedź trener nie poniósł żadnych konsekwencji.<sup>7</sup>

Sprzedawczyni w Lublinie oskarżyła o kradzież osobę, która miała inny od „normatywnego”, białego kolor skóry. Z powodu odmiennego wyglądu klienta zachowała się wobec niego z niechęcią i złamała prawo, pomawiając go o czyn, którego nie popełnił. Do tego typu incydentów rasistowskich – popełnianych z powodu cech fizycznych ofiar – dochodzi w Polsce najczęściej. Natomiast wypowiedź trenera Bogusława Baniaka zakłada istnienie owych rzekomo fundamentalnych różnic kulturowych pomiędzy białymi i czarnymi. Według tego rasistowskiego poglądu Brazylijczyk znajduje się na niższym szczeblu rozwoju cywilizacyjnego niż zawodnicy z Polski.

**Faszyzm:** „oparty na przemocy skrajnie prawicowy ruch polityczny, realizujący się w pełni w reżimie dysponującym aparatem terroru. Faszyzm rekrutuje swych zwolenników ze wszystkich grup społecznych, szczególnie w okresach politycznych i ekonomicznych kryzysów. Neguje wartości demokratyczne i zakłada dyskryminację określonych mniejszości narodowych i ludzi o odmiennych poglądach. Faszyści wierzą w sprawiedliwe rządy silnej ręki, odrzucając demokrację parlamentarną. Faszyzm bazuje na nacjonalizmie, który często przeradza się w rasizm.<sup>8</sup> Najbardziej brutalną odmianą faszyzmu była narodowo-socjalistyczna dyktatura w Niemczech (1933-1945). W naszych czasach grupy, organizacje i partie będące kontynuatorami tej ideologii są określane jako neofaszystowskie.

### Przykłady incydentów i przestępstw o charakterze neofaszystowskim opisanych w monitoringu:

„WROCŁAW. 2 kwietnia 2008 roku na ulicach miasta pojawiła się duża liczba naklejek sygnowanych przez Narodowe Odrodzenie Polski (partię uważaną za neofaszystowską) z napisem: «Powieś swojego posta! Głosuje przeciwko Polsce, za eurokonstytucją? Niech gnida wisi na murze, na słupie, na latarni». Jak zwykle w przypadku akcji NOP, naklejka bazowała na grze słów epatującej krwawymi skojarzeniami – tym razem do rzeczywistego wieszania ludzi. Sprawą akcji NOP wrocławską prokuratura zajmowała się już wcześniej – przed wyborami parlamentarnymi w 2007 roku partia

<sup>2</sup> Zob. *Hate Crimes in the OSCE Region: Incidents and Responses. Annual Report for 2006*. Warsaw 2007, s. 9.

<sup>3</sup> Zob. Britta Grell, Timm Köhler, Rafał Pankowski, Natalia Sineava, Marcin Starnawski: *Hate Crime Monitoring and Victim Assistance in Poland and Germany*. Warszawa 2009, s. 15.

<sup>4</sup> *The Danger of Words: Definitions of concepts most used in anti-racist work*, UNITED for Intercultural Action, Information Leaflet no.13, tłum. L. Ś., R. P., wersja internetowa: [http://www.nigdywiecej.org/index.php?option=com\\_content&task=view&id=52](http://www.nigdywiecej.org/index.php?option=com_content&task=view&id=52) (data wglądu: 23.09.2010).

<sup>5</sup> *ECRI General Policy Recommendation no. 7 on national legislation to combat racism and racial discrimination*, Strasbourg 2003, str. 19 – 20. W: Rafał Pankowski: *Rasizm a kultura popularna*. Warszawa 2006, s. 36.

<sup>6</sup> *Katalog Wypadków – Brunatna Księga*. Oprac. Marcin Kornak. „Nigdy więcej” 2009, nr 18, s. 83.

<sup>7</sup> Marcin Kornak: *Brunatna Księga. 1987 - 2009*. Warszawa 2009, s. 389.

<sup>8</sup> *The Danger of Words: Definitions of concepts most used in anti-racist work*, op. cit.

dystrybuowała m.in. plakat z hasłem: «Faszyzm? – My jesteśmy gorsi!».<sup>9</sup>

„WŁOCLAWEK. Na początku grudnia 1999 roku na ulicy Toruńskiej nazi-skin zaatakował i ciężko pobił przechodzącego nastolatka, jedynym powodem agresji był zbyt «mało patriotyczny», zdaniem faszystowskiego napastnika, wygląd chłopaka, który został również obrzucony wyzwiskami «Brudas», «Śmieć» i «Ćpun»».<sup>10</sup>

Naklejki dystrybuowane we Wrocławiu zawierały treści o charakterze nacjonalistycznym, wzywały również do dyskryminowania ludzi o odmiennych poglądach i stanowiły zachętę do skrajnej przemocy. Ofiarą przestępstwa we Włocławku stała się osoba o innym od „normatywnego” wyglądzie. Młodzież alternatywna uważana jest przez neofaszystów za „element matowartościowy” i według nich odbiega od wizerunku „prawdziwego Polaka”.

**Nazizm:** „ideologia i praktyka polityczna faszyzmu niemieckiego, cechująca się rasizmem, antysemityzmem, totalitaryzmem, demagogią, agresywnością i poczuciem wyższości nad innymi narodami. Słowo «nazizm» pochodzi od wyrażenia «narodowy socjalizm», będącego określeniem ruchu politycznego kierowanego przez NSDAP (Narodowo-Socjalistyczna Niemiecka Partia Robotnicza)<sup>11</sup>, która w 1933 roku przejęła pełnię władzy w Niemczech. Reżim nazistowski jest odpowiedzialny za śmierć milionów cywilów, z których część została zagazowana w obozach zagłady z powodu swej domniemanej niższości rasowej. Dziś zwolennicy nazizmu są określanii jako neonaziści.

#### **Przykłady incydentów i przestępstw o charakterze neonazistowskim opisanych w monitoringu:**

„WROCŁAW. 14 listopada 1992 roku neonazistowska organizacja Aryjski Front Przetrwania, powstała w kręgu muzyków i współpracowników grupy Konkwiasta 88 (gdzie 88 oznacza «Heil Hitler»), zorganizowała zlot, w którym uczestniczyło blisko 50 jej członków i sympatyków z Wrocławia, Opola, Warszawy, Raciborza, Gliwic i Zgorzelca. Miejsce spotkania ozdabiały flagi ze swastykami. Doszło też wielokrotnie do chóralnego skandowania nazistowskich haseł i wznoszenia salutu «Sieg heil!».<sup>12</sup>

„WROCŁAW. 3 kwietnia 2008 roku lokalny dolnośląski dodatek «Gazety Wyborczej» po raz kolejny opisał fakty wskazujące na neonazistowskie sympatie części kibiców piłkarskich Śląska Wrocław. Portal internetowy wroclawianie.info, jedna z najbardziej znanych i największych stron związanych z fanami wrocławskiego klubu, kolportował kilkadziesiąt wzorów naklejek, z których część zawierała rasistowskie i antysemickie napisy i rysunki: postać Hitlera z rzymskim salutem na tle flagi Śląska; hasła «Skinheads Hooligans 88» oraz «Zero tolerancji» z działaczem Ku-Klux-Klanu w charakterystycznym spiczastym kapturze wskazującym na przekreśloną gwiazdę Dawida i karykaturę twarzy czarnoskórego; postaci trzech mężczyzn w glanach (ciężkich butach) kopiących leżącego czarnoskórego mężczyznę i podpis: «Tak się zabawia szlachta z Wro-

clawia». Naklejki te pojawiały się regularnie w tramwajach i w różnych częściach miasta. Sprawą zajęła się wrocławska prokuratura.<sup>13</sup>

Podczas pierwszego incydentu uczestnicy zlotu wykorzystali symbolikę nazistowską (nazwa grupy muzycznej, flagi ze swastykami, skandowanie haseł i salutowanie). Naklejki dystrybuowane we Wrocławiu w 2008 roku zawierały treści rasistowskie, antysemickie i wzywały do nienawiści z powodów rasowych. U podstaw tego typu zachowań znalazła się ideologia nazistowska.

**Antysemityzm:** „uprzedzenie skierowane przeciwko Żydom. Antysemici twierdzą, że Żydzi fundamentalnie różnią się od innych, że pragną rządzić światem i dążą do tego celu poprzez ogólnoświatowy spisek. Ta forma ksenofobii i nietolerancji prowadzi do dyskryminacji zarówno pojedynczych Żydów, jak i całych wspólnot żydowskich [lub osób uważanych za Żydów – przyp. A.T.]. Najbardziej dramatycznym tego przykładem był Holocaust, wynikły z nazistowskiej obsesji czystości rasy i przeprowadzony po dojściu Hitlera do władzy. W obozach koncentracyjnych zginęły wtedy miliony Żydów z krajów Europy podbitych przez Niemcy».<sup>14</sup>

#### **Przykłady incydentów i przestępstw o charakterze antysemickim opisanych w monitoringu:**

„GARDZIENICE. W nocy z 12 na 13 września 2008 roku na murze otaczającym Ośrodek Praktyk Teatralnych «Gardzienice» namalowano napis «Jude raus» i rysunek gwiazdy Dawida na szubienicy. Dwa tygodnie później, 26 września, podczas spektaklu *Kosmos Gardzienic* przed budynkiem pojawiła się dziesięcioosobowa grupa neofaszystów, którzy skandowali: «Precz z Żydami!». Kolejny incydent o podłożu antysemickim wymierzony w gardzienickich artystów zdarzył się nocą z 7 na 8 października. «Nieznani sprawcy» zdewastowali teren ośrodka, narażając go na wysokie straty materialne. Policji udało się złapać jednego z nich. Okazał się nim 25-letni mieszkaniec Gardzienic, Artur B. Mężczyzna wyjaśnił na Komendzie Policji w Świdniku, że chciał zmanifestować swoją niechęć wobec obecności we wsi osób narodowości żydowskiej. Jednocześnie wyraził żal z powodu tego, co zrobił i złożył wniosek o dobrowolne poddanie się karze. Za nawoływanie do nienawiści na tle rasowymi zniszczenie mienia groziło mu do pięciu lat pozbawienia wolności.<sup>15</sup>

„TORUŃ. 6 kwietnia 2008 roku na antenie Radia Maryja odbył się koncert nacjonalistycznego «barda» i byłego antykomunistycznego opozycjonisty – Andrzeja Kołakowskiego. Teksty niektórych zaprezentowanych piosenek zawierały otwarcie antysemicki przekaz, m.in.: «Niechaj jak pies wierny czołga się bez końca za żydowskim biczem, który go potraça» oraz «amerykański pisze Żyd o waszej za Holocaust winie obce Żydowi słowo wstyd choć w polskiej chował się rodzinie». Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji nie ukarała szefostwa radia. W 2004 roku nakładem Fundacji Antyk ukazała się kasetka Kołakowskiego pt. *Kontrrewolucja*. Niejednokrotnie występował on na imprezach

<sup>9</sup> Marcin Kornak, op. cit., s. 425.

<sup>10</sup> Op.cit., s. 132.

<sup>11</sup> *The Danger of Words...*, op. cit.

<sup>12</sup> Marcin Kornak, op. cit., s. 17.

<sup>13</sup> Op. cit., s. 425.

<sup>14</sup> *The Danger of Words...*, op. cit.

<sup>15</sup> *Katalog Wypadków – Brunatna Księga*, op. cit., s. 72.



organizowanych przez – uznawane za neofaszystowskie – Narodowe Odrodzenie Polski i Obóz Narodowo-Radykalny.<sup>16</sup>

Sprawa przestępstw popełnionych w Gardzienicach otwarcie wskazał na antysemicką motywację swoich czynów. Z powodu domniemanego żydowskiego pochodzenia artystów Ośrodek Praktyk Teatralnych został kilkakrotnie zdewastowany. Pozostali sprawcy podczas spektaklu publicznie wzywali do nienawiści na tle rasowym. Drugi incydent to jeden z wielu przykładów antysemickiego dyskursu obecnego w wielu programach i audycjach Radia Maryja. Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji – mimo licznych przesyłanych do niej skarg i obligujących ją przepisów – najczęściej nie reaguje na antysemickie wypowiedzi wygłaszane na antenie toruńskiej rozgłośni. Europejska Komisja przeciwko Rasizmowi i Nietolerancji w raporcie opublikowanym w czerwcu 2010 roku na temat sytuacji w Polsce stwierdza: istnieje „milcząca akceptacja [antysemityzmu] przez wpływową grupę mediów należącą do organizacji katolickiej, a czasami nawet przez główne partie polityczne”<sup>17</sup>. Nazwa Radia Maryja nie pojawia się wprost, ale łatwo domyślić się, o jakich katolickich mediach jest mowa.

**Ksenofobia:** „w sensie dosłownym ksenofobia to lęk przed obcymi. Oznacza wrogość wobec ludzi pochodzących z innych krajów lub grup etnicznych oraz brak szacunku dla ich tradycji i kultur.”<sup>18</sup>

**Przykłady incydentów i przestępstw o charakterze ksenofobicznym opisywanych w monitoringu:**

„BIAŁYSTOK. 29 lutego 2008 roku redakcja magazynu „Nigdy Więcej” została poinformowana o antyrosyjskich napisach (m.in. «Ruskie won»), które pojawiły się w kilkupunktach miasta. O ksenofobicznym incydencie zawiadomili nas członkowie miejscowego Rosyjskiego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego.”<sup>19</sup>

„OLSZTYN. Pod koniec czerwca 2002 roku na targowisku przy stadionie klubu piłkarskiego Stomil nieformalnie powstałe stowarzyszenie polskich handlarzy zażądało wyeliminowania z rynku sprzedawców «niepolskich», głównie Ormian. Konflikt na targowisku narastał już od pewnego czasu, wcześniej dochodziło do podszytych ksenofobią i szowinizmem sprzeczek oraz wyzwisk. Konflikt wokół stadionowego targowiska był kolejnym w krótkim czasie zdarzeniem tego typu w Olsztynie.”<sup>20</sup>

Incydent w Białymstoku stanowi przykład języka nienawiści. Napisy na murach powstały z powodu ksenofobicznej niechęci do Rosjan przebywających w Polsce. W Olsztynie rywalizacja ekonomiczna przerodziła się w działania motywowane ksenofobicznie. Grupa polskich kupców manifestowała swą wrogość (i lęk) wobec sprzedawców pochodzących z innego kraju.

**Homofonia:** „społeczny lęk przed homoseksualistami [oraz transseksualistami i biseksualistami – przyp.

A.T.], często postrzeganymi jako «zбочeńcy»”.<sup>21</sup> Homofobi oceniają kogoś tylko na podstawie jego orientacji seksualnej.

**Przykłady incydentów i przestępstw o charakterze homofobicznym opisywanych w monitoringu:**

„DZIERŻONIÓW. W nocy z 18 na 19 maja 2009 roku «nieznani sprawcy» wymalowali na sklepie firmy «Biedronka» na ulicy Piłsudskiego oraz na budynku na ulicy Zielonej wielkie logo homofobicznej kampanii Narodowego Odrodzenia Polski: «Zakaz pedałowania». Było to zorganizowane działanie miejscowych neofaszystów, blisko współpracujących z przedstawicielami podobnych ideologicznie środowisk z Wrocławia. Towarzyszył mu dyskryminacyjny list-manifest opublikowany przez jeden z miejscowych portali informacyjnych.”<sup>22</sup>

„WARSZAWA. 9 czerwca 2009 roku Kampania Przeciwko Homofobii poinformowała redakcję magazynu «Nigdy Więcej» o dwóch przypadkach przestępstw z powodu nienawiści do osób o odmiennych preferencjach seksualnych. Homoseksualna kobieta, która zastrzegła publikowanie nazwy miejscowości, otrzymywała anonimowe groźby telefoniczne, próbowano także podpalić jej samochód. Poszkodowana zgłosiła sprawę na policję, która stwierdziła, że przedstawiła ona zbyt mało dowodów, aby wszcząć postępowanie. Drugie zdarzenie miało miejsce 13 maja w Gdańsku, gdzie osoba transseksualna została znieważona przez policjanta na służbie. Kampania Przeciwko Homofobii złożyła skargę na zachowanie funkcjonariusza.”<sup>23</sup>

W Dzierżoniowie doszło do przeprowadzenia działań w ramach homofobicznej kampanii „Zakaz pedałowania” prowadzonej przez Narodowe Odrodzenie Polski. Namalowaniu ogromnego logo towarzyszyło także opublikowanie dyskryminacyjnego listu na portalu internetowym. Przestępstwa i incydenty w Warszawie zostały popełnione z powodu innej niż „normatywna” orientacji seksualnej ofiar. W obu przypadkach zwraca uwagę reakcja policji – obojętność lub wręcz wrogość wobec osób nieheteroseksualnych.

Należy pamiętać, że rzadko dochodzi do „czystrych”, niemal laboratoryjnych sytuacji, które precyzyjnie dałoby się określić za pomocą jednej kategorii. Motywacje sprawców są zazwyczaj złożone, a pojęcia wykorzystywane przy ich opisie mają podobny zakres znaczeniowy. Monitoring Stowarzyszenia „Nigdy więcej” zakłada więc odnalezienie dominującej tendencji pozwalającej na możliwie dokładne katalogowanie incydentów i przestępstw.

**Grupy ofiar (podsumowanie):**

– imigranci, uchodźcy, cudzoziemcy odwiedzający Polskę, przedstawiciele mniejszości narodowych (romskiej, afrykańskiej, czeczeńskiej, żydowskiej, wietnamskiej, ukraińskiej, rosyjskiej). W Polsce bardzo często ofiarami rasistów i neofaszystów stają się piłkarze o innym kolorze skóry i narodowości. Rzucanie bananów na murawę i rasistowskie okrzyki skierowane do zawodników to najczęstsze przejawy takiej działalności,

<sup>16</sup> Marcin Komak, op. cit., s. 426.

<sup>17</sup> *Raport ECRI dotyczący Polski (czwarty cykl monitoringu)*. ECRI, 15.06.2010, wersja internetowa: <http://www.coe.int/t/dghl/monitoring/ecri/Country-by-country/Poland/POL-CbC-IV-2010-018-POL.pdf> (data wglądu: 29.09.2010).

<sup>18</sup> *The Danger of Word.., op. cit.*

<sup>19</sup> Marcin Komak, op. cit., s. 420.

<sup>20</sup> op. cit., s. 219.

<sup>21</sup> *The Danger of Words.., op. cit.*

<sup>22</sup> *Katalog Wypadków – Brunatna Księga*. op. cit., s. 79.

<sup>23</sup> op. cit., s. 80.

– przedstawiciele mniejszości religijnych (żydowskiej, muzułmańskiej, buddyjskiej i innych). Zdeprawowane nekropole (najczęściej kirkuty) oraz rasistowskie napisy na budynkach sakralnych (najczęściej synagogach) to przykłady wymierzonych w tę grupę ludzi działań.

– feministki, ekolodzy, osoby homoseksualne. Często są atakowani podczas swoich manifestacji (np. *Marszów równości*) koncertów muzyki alternatywnej i pokazów sztuki nowoczesnej,

– osoby z niepełnosprawnością. Uważani są za „element niepełnowartościowy” (przez przedstawicieli skrajnej prawicy) oraz dyskryminowani w rozmaitych instytucjach państwowych i miejscach publicznych,

– młodzież alternatywna. Wyraża swoją odmienność od głównego nurtu zachowań społecznych za pomocą np. niestandardowego wyglądu. Rasiści bardzo często używają przemocy wobec tych ludzi. Neofaszyści uważają ich za „element niepełnowartościowy”, „brudasów” czy za „niewartościowych Polaków”,

– bezdomni. Ataki na nich to duży problem w Polsce, ignorowany i nieuwzględniany w prowadzonych monitoringach *hate crimes*.

### Jak powstaje monitoring

Dzięki sieci korespondentów i współpracy z organizacjami mniejszościowymi i pozarządowymi Stowarzyszenie „Nigdy więcej” prowadzi najbardziej obszerne i wiarygodne opracowanie danych na temat przemocy rasistowskiej i neofaszyzmu w Polsce.

Niezwykle ważną rzeczą jest składanie comiesięcznych raportów na temat lokalnej działalności neofaszyzmu. Systematyczne przysyłanie wiadomości ma zasadnicze znaczenie dla regularnie prowadzonego monitoringu. Nawet jeśli nic się nie wydarzyło, korespondent powinien przestać taką informację. Brak wiadomości w tym przypadku także jest znaczący. W dłuższym okresie pozwala na uchwycenie określonej tendencji – na przykład osłabienia ruchów skrajnie prawicowych na danym terenie.

Korespondenci mogą korzystać z różnych źródeł informacji: lokalnych mediów (często dostępnych tylko na wybranym obszarze, zawierających informacje, które nie pojawiają się w ogólnopolskich mediach), mogą nawiązać współpracę z lokalnymi organizacjami mniejszościowymi i korzystać z danych przez nie zgromadzonych. Do Stowarzyszenia często docierają informacje o wydarzeniach bezpośrednio zaobserwowanych przez wolontariuszy sieci.

Każda notatka powinna zawierać następujące informacje: datę wydarzenia (najlepiej dzienną, ale może być też w przybliżeniu), miejsce (miejscowość, ulicę, odległość od centrum), dokładny opis tego, co się stało (kim była ofiara i napastnicy, jak wyglądali, co mówili, co zrobili, czy ktoś to widział – jak zachowywali się świadkowie, czy interweniowała policja). Wszystkie tzw. dane wrażliwe przysyłane przez korespondenta (np. personalia ofiar) pozostają wyłącznie do wiadomości Stowarzyszenia „Nigdy więcej” (do czego zobowiązuje również polskie prawo). Korespondenci także przysyłają ulotki, broszury, naklejki, książki, linki do artykułów o treściach rasistowskich, neofaszyzmu i innych, a także zdjęcia np. graffiti na murach. Korespondenci przysyłają również wycinki z lokalnych gazet na temat danego wydarzenia.

### Po co monitoring

Stowarzyszenie „Nigdy więcej” od wielu lat prowadzi monitoring incydentów na tle rasistowskim i ksenofobicznym oraz przestępstw popełnionych przez neofaszyzmu w Polsce. W 2009 roku ukazało się książkowe wydanie *Brunatnej Księgi*, która zawiera opisy wydarzeń od 1987 do 2009 roku. Jest to najbardziej obszerne i wiarygodne opracowanie danych na temat przemocy rasistowskiej i neofaszyzmu w Polsce. *Brunatna Księga* jest publikowana w kolejnych numerach magazynu „Nigdy więcej” i na stronie internetowej Stowarzyszenia. Stanowi ona źródło, z którego często korzystają media, organizacje międzynarodowe i ośrodki naukowe. Współpraca z mediami jest ważną częścią działalności Stowarzyszenia. Dzięki niej dociera ono do opinii publicznej w celu propagowania postaw antyrasistowskich oraz wywierania nacisku na właściwe instytucje. Dzięki pomocy „Nigdy więcej” powstało wiele artykułów prasowych, audycji telewizyjnych i radiowych, filmów dokumentalnych, książek oraz prac licencjackich, magisterskich i doktorskich poświęconych zjawisku rasizmu i neofaszyzmu.<sup>24</sup> Monitoring służy więc celom edukacyjnym, interwencji w konkretnych przypadkach, zwiększaniu społecznej świadomości problemu.

### ANNA TATAR

#### BIBLIOGRAFIA:

- 2008 Hate Crime Survey. Summary and Recommendations*, red. Tad Stahnke, New York 2008.
- Hate Crimes in the OSCE Region: Incidents and Responses. Annual Report for 2006*. Warsaw 2007.
- Britta Grell, Timm Köhler, Rafał Pankowski, Natalia Sineaeva, Marcin Starnawski: *Hate Crime Monitoring and Victim Assistance in Poland and Germany*. Warszawa/Potsdam 2009.
- Katalog Wypadków – Brunatna Księga*. Oprac. Marcin Kornak. „Nigdy więcej” 2009, nr 18.
- Marcin Kornak: *Brunatna Księga. 1987-2009*. Warszawa 2009.
- Rafał Pankowski: *Rasizm a kultura popularna*. Warszawa 2006.
- Raport ECRI dotyczący Polski (czwarty cykl monitoringu)*. ECRI, 15.06.2010, wers. internetowa: <http://www.coe.int/t/dghl/monitoring/ecri/Country-by-country/Poland/POL-CbC-IV-2010-018-POL.pdf> (data wglądu: 29.09.2010).
- The Danger of Words: Definitions of concepts most used in anti-racist work*, UNITED for Intercultural Action, Information Leaflet no.13, tłum. L. Ś., R. P., wersja internetowa: [http://www.nigdy-wiecej.org/index.php?option=com\\_content&task=view&id=52](http://www.nigdy-wiecej.org/index.php?option=com_content&task=view&id=52) (data wglądu: 23.09.2010).

<sup>24</sup> Zob. Rafał Pankowski: *Breaking the Silence. Using popular culture to engage young people in human rights reporting*. Minneapolis [USA] 2003, s. 16 – 17.

ALEKSANDER B. SKOTNICKI

KRYSZYNA ROŻNOWSKA

**ODDAŁEM ŻYCIE ZA ŻYCIE****(wojenne dramaty  
prof. Juliana Aleksandrowicza)**

Tego co przeżył prof. Julian Aleksandrowicz w czasie wojny, na pewno nie mógł zapomnieć, choćby nawet chciał, ale rzadko wspominał ten czas. Nawet nie wszyscy jego uczniowie i przyjaciele, których miał wielu, wiedzieli, że walczył w kampanii wrześniowej, a po powrocie nosił opaskę z gwiazdą Dawida i jak pozostała inteligencja żydowska był szczególnie zagrożony i upokarzany. Nie przypominał tego, co widział i doświadczył w krakowskim getcie, gdzie prowadził niewielki szpital, w którym w czasie kolejnych wywozków ukrywano setki ludzi ratując ich od śmierci. Nie zwierzał się, że w czasie likwidacji getta czterem najciężej chorym podał truciznę, by ich uchronić od okrucieństwa Niemców i zapewnić im godną śmierć. Nie wracał w rozmowach do wspomnień, jak razem z żoną i małym synkiem uciekali z getta kanałem, ani nie opowiadał o dniach spędzonych z rodziną w ukryciu, w cudzych domach, godzinami tkwiąc w milczeniu i bezruchu. Nie chwalił się sukcesami odniesionymi w partyzanckich walkach AK. Dał tylko świadectwo prawdzie w swej niewielkiej książeczce *Kartki z dziennika Doktora Twardego* wydanej kilka lat po wojnie przez Wydawnictwo Literackie i zamknął ten etap życia, zwracając się ku przyszłości.

Był natomiast znany jako wspaniały lekarz, uczony, ekolog z niebywałym poświęceniem dbający o zdrowie społeczeństwa, popularny i powszechnie lubiany, o czym świadczy choćby fakt, że w plebiscycie zorganizowanym w 2000 roku przez „Gazetę Wyborczą” na krakowianina XX wieku jego nazwisko znalazło się na trzecim miejscu, po Janie Pawle II i Stanisławie Wyspiańskim. Ale to właśnie wojenne przeżycia uczyniły go takim, jakim był – zrodziły w nim misję ratowania świata. Często powtarzał, że skoro przeżył wojnę, chociaż wielokrotnie spotykał się ze śmiercią, musi swoje życie poświęcić innym ludziom, stąd pewnie jego pasja lekarza i społecznika. Gdy z powodzeniem leczył Wiculę Stopkową, która go w czasie wojny ukrywała, cierpiącą na przewlekłą białaczkę, chorobę wówczas jeszcze nieuleczalną i przedłużył jej życie o ponad dwadzieścia lat, mawiał z satysfakcją: „Oddałem życie za życie”.

**Wrzesień**

Kiedy zaczęła się wojna, Julian Aleksandrowicz był trzydziestojednoletnim lekarzem, hematologiem z tytułem doktora. Miał za sobą roczne przeszkolenie wojskowe obowiązujące absolwentów medycyny, był

podporucznikiem dumnym z nominacji nadanej przez prezydenta Ignacego Mościckiego. Opatentowany aparat do pobierania, konserwowania i przetaczania krwi, który skonstruował, ofiarował armii wiedząc, że może być przydatny na polu walki.

Już 18 sierpnia 1939 r. o godz. 4,15 woźny magistratu przyniósł mu kartę mobilizacyjną. Żegna się z żoną, trzyletnim synkiem, rodzicami i jeszcze tego samego dnia po południu melduje się w koszarach w Lublińcu. Panuje tu nerwowa atmosfera i ogólne zamieszanie. Sprawdzając dokumentację medyczną zauważa, że odkąd opuścił koszarę zaprzestano żołnierzom oznaczać grupę krwi, chociaż przekonywał przełożonych, jak bardzo jest to istotne. Dlaczego? Pyta o to dowódcę, który wysłuchał go z niecierpliwością i rzuca pośpiesznie: „oznaczaj, ile zdążysz”. Pracuje dzień i noc z ekipą, którą wcześniej nauczył tej czynności, ale udaje im się wpisać grupę krwi do książeczek wojskowych tylko żołnierzom jednej kompanii.

30 sierpnia po południu ich pułk, należący do 7 Dywizji Piechoty dowodzonej przez gen. Tadeusza Gąsiorowskiego, wyrusza w kierunku północno-zachodnim. W dzień wybuchu wojny ppor. Aleksandrowicz rozwija batalionowy punkt opatrunkowy przy drodze prowadzącej z Częstochowy do Włoszczowej. Tu dochodzi do bitwy, a właściwie miazdzącego ataku Niemców z ziemi i powietrza. Z zagubionych, pojedynczych żołnierzy, jako najstarszy stopniem formuluje niewielki oddział, udaje im się wydostać z kotła. Wycofują się na wschód, po kilku dniach, zdruzgotani, zmęczeni, głodni, trafiają do koszar w Łucku. Z radością przyjmują wiadomość o nadejściu wojsk radzieckich, ale wkrótce okazuje się, że nie jest to sojusznik – szeregowców zwolniono, a oficerom kazano się zarejestrować w biurze ewidencyjnym.

Ppor. Aleksandrowicz z pomocą ordynansa Danka zdobywa cywilne ubranie. Ucieka, po wielu dniach tułaczki znajduje schronienie u krewnych we Lwowie. Chce koniecznie wrócić do rodziny w Krakowie, na wieść, że granica w Przemyślu jest otwarta, jedzie tam i trzy dni czeka na swoją kolejkę przy moście, by przepłynąć się przez San. Chłód jesienny jest już dotkliwy, w dodatku dokucza mu głód. Pewny, że wkrótce będzie w domu, zamienia wojskowe buty na tenisówki i bochen chleba, ale wtedy... zamykają przejście graniczne. Wraca więc do krewnych, jest przeziębiony, rozwija się zapalenie płuc. I wtedy przybywa do niego żona, pani Maryla,



która przedostała się przez granicę i dotarła z Krakowa do Lwowa, przyniosła pieniądze i żywność. Z przygodami, zagrożeni przez żołnierzy radzieckich, niemieckich oraz wilki i siarczysty mróz, razem wracają do domu.

Rok 1940 wita wśród najbliższych, ale Kraków jest już stolicą Generalnego Gubernatorstwa, nie jest więc bezpieczny. Żydzi są szczególnie narażeni na okrucieństwo Niemców, muszą nosić na rękawie opaskę z gwiazdą Dawida. Wkłada ją także dr Julian Aleksandrowicz. Choć nie został wychowany w tradycji i religii żydowskiej i czuje się Polakiem, patriotą, zgodnie z zarządzeniami okupanta podlega wszelkim surowym przepisom oraz przesładowaniom, jakie spadły wówczas na naród, z którego się wywodził.

Stają się one coraz bardziej dotkliwe. Niemcy nakazują wszystkim Żydom w ciągu trzech miesięcy opuścić Kraków, tylko 15 tysięcy pracujących, uznanych za niezbędnych z przyczyn gospodarczych otrzymuje pozwolenie pozostania ze swymi rodzinami w mieście. Dr Aleksandrowicz nie może wrócić do pracy w Szpitalu św. Łazarza, bo lekarzom pochodzenia żydowskiego nie wolno leczyć ludności aryjskiej. Czas jakiś jest zatrudniony w szpitalu dawnej gminy żydowskiej przy ul. Skawińskiej 8. Jak cała żydowska inteligencja jeden dzień w tygodniu pracuje fizycznie, zimą przy odśnieżaniu ulic. Widzi coraz okrutniejsze zachowania Niemców, szczególnie wobec ludności żydowskiej, pozbawionej wszelkich praw. Dla niepodporządkowanych jest tylko jedna kara – śmierć. Bez powodzenia próbuje nawiązać kontakty z ruchem oporu.

### Getto

W marcu 1941 roku w pobliżu domu Aleksandrowiczów w Podgórzu wyrasta mur – powstaje dzielnica żydowska. Wszyscy Żydzi pozostali w mieście muszą opuścić swoje mieszkania, domy i przenieść się do getta, bo tylko tu wolno będzie im żyć. Na dwudziestohektarowym terenie, między Wisłą, wzgórzami Rękawki, ul. Brodzińskiego i Trzecim Mostem, poprzecinanych piętnastoma ulicami, przy których stoi 320 domów zamieszkałych przed wojną przez ok. 3 tysiące ludności, teraz ma się pomieścić 16 tysięcy. Trafia tam także dr Aleksandrowicz z żoną, trzyletnim synkiem Jerzykiem, rodzicami. Odtąd prawie przez dwa lata będą żyli w istnym piekle.

W getcie krakowskim były trzy niewielkie szpitale, jeden z nich zorganizował i prowadził dr Julian Aleksandrowicz razem z dr Bernardem Bornsteinem. Z początku mieścił się przy ul. Węgierskiej 4, potem przeniesiono go do budynku przy ul. Józefińskiej 10. W szpitalu tym, jak i w pozostałych, w czasie wywózek do obozów na pewną śmierć ukrywano setki osób, narażając życie całego personelu. Jednak najwidoczniej ktoś powiadomił Niemców, że w szpitaliku przy Józefińskiej ukrywają się ludzie, bo przed kolejnym wysiedleniem zażądali, za pośrednictwem Rady Żydowskiej, by wszystkich, którzy się w nim znajdują, poza pięćdziesięcioma chorymi, wyprowadzić na plac, gdzie czekali mieszkańcy getta wyznaczeni do wywózki. I wtedy żona dr Aleksandrowicza wymyśliła pewien fortel, który miał ich uchronić. Tadeusz Pankiewicz prowadzący na terenie getta aptekę „Pod orłem”, tak o tym napisał w swojej książce *Apteka w getcie krakowskim*: „Niestety, Niemcy nie wiadomo skąd dowiedzieli się, że szpital znów jest przepełniony. Nakazali trzem lekarzom: dr Zygmuntowi

Fischerowi, dr Bernardowi Bornsteinowi i dr Henrykowi Engelsteinowi przeprowadzić selekcję wśród chorych i zredukować ich liczbę do minimum (...). Śmiały pomysł żony dr. Juliana Aleksandrowicza pani Maryli i odważne jego wykonanie przez Julka, wzbudziły podziw wszystkich znających kulisy tej sprawy. Aleksandrowicz oszukał Niemców wyprowadzając część kalek, wynosząc ludzi na noszach i dołączając ich do długiego szeregu szykujących się do opuszczenia getta. Meldując Niemcom wykonanie rozkazu wskazał na grupkę chorych, kalek i ludzi na noszach. Niemcy sądzili, że cała ta grupa, to chorzy wyprowadzeni ze szpitala...”.

Nieraz zresztą dr Aleksandrowicz w czasie pobytu w getcie, ratował ludzi przed śmiercią. Ocalił wiele ludzkich istnień. Los zmusił go jednak także do skrócenia ludzkiego życia, które tak szanował – przed likwidacją getta podał czterem ciężko chorym truciznę, by ich ochronić przed okrucieństwem Niemców i zapewnić im godną śmierć. Byli zbyt słabi, by uciekać, nie mieli więc żadnych szans na ratunek, a on nieraz widział, jak w getcie Niemcy rozprawiają się z bezbronnymi. Toteż podał im cyjanek. Czy miał prawo tak postąpić? Czy powinien?.. Rozważał to do końca swoich dni.

Dręczyła go także świadomość, że pozostawił w getcie rodziców na pewną śmierć. Jego ojciec, dotknięty depresją, mimo prób i błagań rodziny nie chciał zgodzić się na ucieczkę, a matka dr Aleksandrowicza pozostała z mężem. Jeszcze czas jakiś się łudził, że ich uwolni poza mury getta. Niestety, nie potrafił, zginęli oboje. Nigdy nie mógł się z tym pogodzić. On zaś, żona i mały synek uciekli kanałami tuż przed likwidacją getta.

Ponad rok ukrywali się w mieście, w cudzych kątach, wiele razy zmieniając kryjówki. Żyli w ciągłym w milczeniu, w bezruchu, każdy dzień witali i żegnali łęką. Gdy pewnego wieczoru do mieszkania, w którym przebywali, weszli Niemcy przyprohwadzeni przez volksdeutchów, dr Aleksandrowicza zawiodły nerwy – sięgnął po resztę cyjanku, jaki nosił przy sobie i stracił przytomność. Pani Maryla przekupiła Niemców oddając im wszystkie posiadane pieniądze, pozwolili jej zatelefonować na pogotowie i odeszli. Zabrano go do szpitala św. Łazarza – nagle znalazł się w miejscu, gdzie przed wojną pracował.

Na szczęście oboje z żoną mieli już wtedy fałszywe dokumenty na nazwisko Adamski, a nawet sfalszowany wyciąg z Księgi zaślubionych Urzędu Parafialnego Rzymsko-Katolickiego św. Mikołaja w Krakowie. Trucizna pewnie była zwietrzała, bo po płukaniu żołądka odzyskał świadomość. Znajomy lekarz zaproponował mu kryjówkę, ale bez rodziny, więc podziękował, wrócił do żony i synka. Znów znaleźli się na ulicy, bez dachu nad głową. Pukali do drzwi kolejnych znajomych, tak dotarli do tych, którzy odważyli się im pomóc. Julian Aleksandrowicz zachował w pamięci ich nazwiska i często powtarzał je z wdzięcznością: Wicula Stopkowa, z domu Wodzinowska, jej mąż duszek Stopka, Janusz Woźniakowski, Ludwik Żurowski, Maria Armatys, Jan Gołąb. Wielkim wsparciem była też dla nich rodzina Adamskich. „To dzięki nim przeżyliśmy, ukrywali nas z narażeniem własnego życia” – mawiał po wojnie prof. Aleksandrowicz. Natomiast niechętnie, ale ze zrozumieniem wspominał tych, którzy zatrzasnęli przed nimi drzwi. „Cóż, ryzykowali życie – dodawał – nie każdego na to stać”.

Ich los się odmienił, odkąd trafili pod opiekę organizacji PPS w Wieliczce, poznali wówczas: Ksawerego

Wielgusa, Józefa Jedybaka, Kazimierza Stefanika, Stefana Harbusa, Leona Polonkę, Wandę Jedybakównę, Józefę Panuszkowską, rodzinę Wilkoniów, Erbanów, Marię Mariańską – dr Aleksandrowicz nazywał ich „ludźmi prawdziwymi”. Dzięki nim doczekali wyzwolenia. Dr Aleksandrowicz starał się dotrzeć do podziemia, chciał walczyć, od początku wojny szukał kontaktów z konspiracją, lecz chociaż gen. Sikorski wzywał do walki z okupantem wszystkich Polaków, bez względu na pochodzenie i przekonania, nielato mu było dostać się w szeregi partyzanckie. Ułatwili mu to właśnie PPS-owcy z Wieliczki.

### Doktor Twardy

Wreszcie przyszedł taki dzień, kiedy mógł znowu, jak we wrześniu, podjąć walkę z Niemcami, a było to w kwietniu 1944 roku. Do domu Polonków, gdzie wtedy przebywali, przyszła Wilkoniowa i przekazała mu treść rozkazu z podziemia. Miał się udać najbliższym pociągiem do Radomia i w parterowym domku przy ul. Mozartstrasse podać hasło: „Jestem z Warszawy”. Zastanawia się, gdzie ukryć swoje notatki pracy naukowej, którą prowadził przez cały okres wojny, kiedy to tylko było możliwe – w szpitalu przy ul. Skawińskiej, w szpitaliku w getcie i w kryjówkach. Razem z Leonem Polonką zakopali je w ziemi, w ogrodzie Jakubowskich, pod jabłonią. Podekscytowany pakuje do plecaka zestaw sanitarny, pośpiesznie żegna się z rodziną i w towarzystwie łącznika jedzie do Radomia. Ten przestrzega go, by nie przyznawał się do swojego pochodzenia, bo może spotkać ludzi o skrajnych przekonaniach...

Spotkanie z dowództwem okręgu AK Jodła w Makowcu jest dla dr. Aleksandrowicza wielkim przeżyciem. Wreszcie znajduje się wśród wolnych ludzi, walczących, co prawda zagrożonych, ale mających wpływ na swój los. Z przepelnionego, straszego getta, z cudzych kątów, w których musiał tkwić w ciszy i bezruchu niczym sprzęt, przybył do lasu i dostał do ręki broń. Poznaje komendanta Gryfa, Marię, Harnasia, Brzozę, Jakcę, on zaś przyjmuje pseudonim Doktor Twardy. Trafia do oddziału Huragana, najbardziej tolerancyjnego z dowódców, który przegarnął ludzi różnych narodowości i poglądów.

Ponad pół roku Doktor Twardy przemierzał tereny okręgu Jodła AK – od Częstochowy po Sandomierz, od Buska po Radom, Kozienice, walczył, znosił trudy leśnego życia, często także głód, ale w poczuciu wolności. Okres ten uznał potem za najpiękniejszy w wojennych czasach. „Kilka miesięcy, które spędziłem w lesie, stanowiły mieszaninę sielanki i grozy, beztróskiego lenistwa i mordęgi, spotkań i rozstań, bohaterstwa i tchórzostwa, brawury i doświadczeń z całą gamą ludzkich postaw, które w warunkach permanentnego zagrożenia mają tendencję do uzyskiwania żywych, jednoznacznych barw (...) Miałem przeświadczenie, że moje życie znajduje się w moich rękach (...). Mogłem zginąć tylko w walce, a nie jak bezbronna istota odarta z godności, również tej elementarnej – godności umierania” – napisał w *Kartkach z dziennika Doktora Twardego*.

Jako partyzant uczestniczył w kilku walkach, w jednej, która rozegrała się pod Policzną przejął dowództwo. Wtedy nasunął mu się pomysł konstrukcyjny samochodu-czołgu o kształcie zbliżonym do jaja, na gąsienicach, z rozsuwanymi drzwiami w podłodze, lub w dolnej części bocznej ściany, przez które można by było, nie narażając się na kule nieprzyjaciela, zbierać rannych. Przekazał ten

projekt do Kwatery Głównej AK w Londynie, ale nigdy go nie wykorzystano.

Bił się w Trawnikach, Ciechostowicach, Szczekocinach, pod Szewcami, nieraz dowodząc swojej odwagi. Zawarł też wtedy wiele znajomości i przyjaźni, niektóre długo przetrwały. Miał nadzieję, jak wtedy wielu jego towarzyszy broni, że pospieszą na pomoc walczącej Warszawie, ale decyzją głównego dowództwa AK była inna. W zimny październikowy dzień 1944 roku, zebrani pod Radoszycami wokół pomnika powstańców 1863 roku usłyszeli od swoich przełożonych: kto ma bezpieczny dom, niech do niego wraca, kto jest spalony, może pozostać w lesie. Doktor Twardy postanowił wrócić, choć był „spalony”. Nie wiedział, czy jego najbliżsi żyją. Powitanie z żoną i synem było wzruszające. W domu przyjaciół z wielickiej PPS doczekali bezpiecznie wyzwolenia.

Gdy nadeszła wymarzona wolność, dr Julian Aleksandrowicz był tak wyczerpany wojennymi przeżyciami, że zabrakło mu sił, by się nią cieszyć. Chodził po rodzinnym mieście jak we śnie, nie wierząc, że wojna się skończyła. Powoli odzyskiwał chęć do życia, z trudem szukając swojego miejsca w nowej rzeczywistości. Tragiczne doświadczenia wojennych lat stały się fundamentem jego życiowej filozofii – postanowił zmieniać świat, walczyć ze wszystkim, co w nim złe. „Zawsze zastanawiałem się, dlaczego jest inaczej niż powinno być i co zrobić, by było tak, jak powinno” – mawiał pod koniec życia. Korzystał z każdej sposobności, by występować przeciwko wojnie, którą nazywał złem najgorszym, twierdził, że tym jest dla ludzkości, czym śmiertelna choroba dla organizmu człowieka. Uważał, że: „Widmo wojny, której groźba narasta wraz z rozwojem techniki, jest największym przejawem kryzysu etycznego”.

Jeszcze w styczniu 1945 roku w towarzystwie przyjaciół z konspiracji: Leona Polonki, Stefana Harbusa, Ksawerego Wielgusa i Józefa Jakubowskiego wydobyl z ziemi maszynopis swojej pracy naukowej. Okazało się, że dzięki życzliwym mu ludziom, głównie dr Jadwidze Miklaszewskiej, zachowały się także jego materiały naukowe zgromadzone przed wojną. Wkrótce mógł więc wydać książkę, dał jej tytuł: *Schorzenia narządów krwiotwórczych w świetle badań bioptycznych szpiku kostnego, śledziony i gruczołów chłonnych*, była pierwszym polskim podręcznikiem hematologii.

Wojna nauczyła go wiele, przekonała, że człowiek w ekstremalnych warunkach jest zdolny do wspaniałych czynów, jak i do wielkiej podłości. Nauczyła go także odwagi, bo skoro tak często jego życie było zagrożone, cóż mogło go przerażać. Wierzył, że ludzie, gdyby wspólnie chcieli, mogliby uczynić świat lepszym. Ale takie wnioski i nauki z doświadczenia tragedii wojennych wynoszą tylko wybitne jednostki.

### ALEKSANDER B. SKOTNICKI KRYSZYNA ROŻNOWSKA

(Stowarzyszenie „Kuźnica” oraz Fundacja Profilaktyki i Leczenia Chorób Krwi zorganizowały 2 września 2011 r. w Stradomskim Centrum Dialogu przy ul. Stradomskiej 11 spotkanie poświęcone wojennej przeszłości prof. Juliana Aleksandrowicza. Gospodarzem spotkania był prof. Tadeusz Popieła, w programie udział wzięli m. in. red. Krystyna Rożnowska, aktor Tadeusz Malak, prof. dr hab. med. Aleksander B. Skotnicki.)

MARIAN STĘPIEŃ

# O „Dialogu Polsko-Żydowskim w Ameryce”

*Pamięci Stanisława Baska-Mostwina*

Cudzysłów i duże litery w tytule nie są przypadkowe. Chodzi tu bowiem nie o dialog społeczny w potocznym tego słowa znaczeniu, lecz o instytucję, organizację (bo i z takim określeniem można się spotkać). Albo, zgodnie ze zwyczajem amerykańskim, w Polsce coraz częściej stosowanym, byłoby nazwanie tego co figuruje w tytule – Projektem.

Jego narodziny nastąpiły w maju 1978 roku w Kanadzie, w Toronto, na Zjeździe Polonii Światowej. Uczestniczyli w nim przedstawiciele różnych organizacji skupiających polskich emigrantów; wśród nich również Północno-Amerykańskiego Studium Spraw Polskich (The North American Study Center for Polish Affairs). Powstało ono w Chicago 25 maja 1976 roku jako instytucja doradcza skupiająca emigracyjną inteligencję, działaczy i twórców polonijnych, których celem było przygotowywanie i dostarczanie opinii i ekspertyz dotyczących Polski, jej niepodległości i miejsca wśród narodów świata na użytek władz amerykańskich.

Od założenia Studium do jego walnego zjazdu w 1982 roku jego pracami kierował prof. Andrzej Ehrenkrechtz, a po nim funkcję przewodniczącego objął Stanisław Mostwin. I on to właśnie, już na spotkaniu Toronto 1976 roku wystąpił z inicjatywą powołania Komitetu Dialogu Polsko-Żydowskiego w Ameryce. Propozycję przyjęto, a jej realizację, jak można było się spodziewać powierzono Stanisławowi Mostwinowi, który od razu nawiązał współpracę z Baltimore Jewish Council i do prac Studium wprowadził utworzenie i prowadzenie Dialogu Polsko-Żydowskiego w Ameryce.<sup>1</sup>

W 1979 roku w Nowym Jorku, w hotelu Waldorff-Astoria Danuta i Stanisław Mostwinowie spotkali się z dyrektorem państwowego programu realizowanego przez Anti-Dafamation League (Liga Przeciw Zniesławieniom), by omówić cele, zasady i metody działania Dialogu Polsko-Żydowskiego w Ameryce.

Był to akurat Międzynarodowy Dzień Dziecka. Cierpienia dzieci żydowskich i polskich podczas drugiej wojny światowej przyciągały uwagę, toteż ta właśnie

problematyka stała się ważnym elementem łączącym ludzi zaangażowanych w dialog polsko-żydowski. Naturalne też było przyjęcie za patrona Janusza Korczaka. Postanowiono nawiązywać do jego postawy moralnej, do twórczości literackiej poświęconej dzieciom. Był on dobrym symbolem łączącym Polaków i Żydów w Stanach Zjednoczonych.

Inicjatywa zyskała poparcie Kongresu Polonii Amerykańskiej, Rady Amerykańskich Klubów Kulturalnych, a także przedstawicieli organizacji żydowskich w Ameryce. Doszło do licznych spotkań, często w nowojorskiej siedzibie największej organizacji żydowskiej B'nai B'irth.

Początkowymi doświadczeniami i pierwszymi realizacjami oraz dalszymi planami tej inicjatywy dzieliła się Danuta Mostwin ze swą dawną, w latach licealnych opiekunką i nauczycielką łaciny, Lidią Winniczuk<sup>2</sup> w liście z 7 października 1983 roku:

„Staś i ja rozpoczęliśmy w Ameryce dialog polsko-żydowski. Wielka nagonka na Polaków nie-Żydów i ogromnie dużo złej krwi i oskarżeń. Zdecydowaliśmy się podejść do największej żydowskiej organizacji w Ameryce B'nai B'irth i poprzez osobistą przyjaźń, którą zawarliśmy tam z wartościowym człowiekiem udało się nam zawiązać tę organizację [Dialog Polsko-Żydowski w Ameryce]. Byliśmy razem jako Dialog Polsko-Żydowski u papieża w 1979 roku i mieliśmy osobistą długą audiencję i specjalne błogosławieństwo. Co roku dajemy literacką nagrodę im. Janusza Korczaka za książkę napisaną dla dzieci albo o dzieciach w duchu filozofii korczakowskiej. Książki mogą być nadsyłane ze wszystkich krajów w każdym języku. Na ostatnim rozdaniu nagród przemawiał Miłosz, a Jacek<sup>3</sup> tłumaczył na angielski jego wiersz o perle, b. pięknie, a Miłosz był zachwycony. Teraz podajemy na najbliższym zebraniu projekt wzniesienia na terenach getta warszawskiego pomnika poświęconego żydowskiemu dziecku, które ratowało ludzi w getcie od głodu i dziecka niszczonego przez Niemców w getcie i obozach. Bardzo bym chciała, żeby to doszło do skutku”.

<sup>1</sup> Zob. Danuta Mostwin, *Walny Zjazd Studium Spraw polskich w USA*. „Nowy Dziennik” (Nowy Jork) 14 VII. W dalszym ciągu, jeżeli nie będzie to zaznaczone inaczej, wszystkie informacje i cytaty pochodzą z archiwaliów Państwa Mostwin oraz z korespondencji z nimi. Kserokopie znajdują się w posiadaniu autora.

<sup>2</sup> Lidia Winniczuk (1904-1993), filolog klasyczny, prof. Uniwersytetu Warszawskiego, autorka prac z zakresu literatury i kultury antycznej oraz podręcznika języka łacińskiego.

<sup>3</sup> Jacek Mostwin, syn państwa Mostwinów, dziś znany w świecie medycznym i wysoko ceniony specjalista w dziedzinie urologii, prof. John Hopkins Hospital w Baltimore.



Listem tym uprzedza się późniejsze fakty z działalności Dialogu... Do ich dokładniejszego przedstawienia wypadnie jeszcze powrócić. Zanim to jednak nastąpi trzeba zatrzymać uwagę na Stanisławie Mostwinie, by odpowiedzieć na pytanie, dlaczego to on właśnie poczuł się powołany do wystąpienia z taką inicjatywą i dlaczego z takim zapałem i poświęceniem oddał się jej realizacji.

\* \* \*

Stanisław Mostwin (to nazwisko wypisano na paszporcie, gdy go wysyłano jako kuriera do Polski. Przyjął je później za własne. W istocie nazywał się Niedbał) urodził się w Poznaniu w 1917 roku. Walczył w kampanii wrześniowej, później z Brygadą Karpacką w obronie Tobruku, Deltę Nilu, linii El-Alamein<sup>4</sup>. Jesienią 1942 roku zgłosił się jako ochotnik do polskiego lotnictwa. Na przeszkodzie do wyszkolenia w zakresie pilotażu stała wada wzroku. W najlepszym przypadku mógłby być nawigatorem, ale to mu nie odpowiadało. Zgłosił się więc do Rządu Polskiego w Londynie jako ochotnik do służby specjalnej. Była to służba kurierów wysyłanych do okupowanej Polski. Po bardzo intensywnym kursie w Intelligence Service (SOE – Special Operation Executive) został przyjęty i powierzono mu misję do kraju:

– przerzut informacji o całym systemie Rządu Polskiego w Londynie od początku wojny (struktura, organizacja, zasady działania);

– zebranie i przestudiowanie informacji z departamentu podziemnego Rządu Polskiego w kraju;

– przesłanie ich z polskiego podziemia do Londynu.

To była jego zasadnicza misja polityczna, dla której miał być zrzucony z samolotu na polską ziemię. Jako kurier-ochotnik był wysyłany w misji politycznej, nie militarnej. Miał się spotkać z delegatem na Kraj, Janem Jankowskim, przekazać mu przywiezione materiały, a także ostrzec, że w wypadku wywołania powstania zbrojnego przeciwko Niemcom nie mogą Polacy liczyć na pomoc aliantów, bo ona nie jest możliwa do zrealizowania.<sup>5</sup>

Ponadto, co już nie miało charakteru wiążącego go bezwzględnie obowiązku, dr Sklenarz z Departamentu Łączności z Krajem zwrócił się do niego z zapytaniem, czy zgodziłby się wziąć wyłącznie na pomoc dla polskich Żydów 200.000 dolarów (w końcu XX wieku byłaby to równowartość dwóch milionów). Suma ta pochodziła od Sekretarza Skarbu Henry'ego Morgentaua i od holenderskich Żydów.

„Zdziwiłem się nawet – wspominał Mostwin po latach – że pytano mnie o zgodę. Propozycja wydała mi się wyróżnieniem i aktem zaufania”. Skoro się zgodził, skontaktowano go z dwoma przedstawicielami Żydów polskich przy Rządzie RP w Londynie. Spotkał się z nimi w Hyde Parku. Ich nazwisk nie zapamiętał. „Utkwiły mi tylko w pamięci – wspominał – wzruszone twarze tych ludzi. Czyżbym już wtedy, w tamtej chwili wstąpił na drogę, która miała mnie zbliżyć do problemu polsko-żydowskiego?”

12 kwietnia 1944 roku wczesnym rankiem wezwano go do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na Strat-

ton Street, by przekazać mu decyzję co do jego lotu do Polski. Czekala tam na niego grupa Żydów, którzy przyszli mu – z dużym wzruszeniem – podziękować za podjęcie się dodatkowej misji – przewiezienia dolarów dla polskich Żydów. Najstarszy z delegatów, wskazując wczesne promienie słońca wpadające przez okno i oświetlające zebranych, powiedział: „To znak szczęśliwy, to znak szczęśliwy. Oby to słońce chroniło i prowadziło Pana bezpiecznie. Oby stało się symbolem życia i miłości. Niech ono prowadzi Pana na tej trudnej drodze i ostaniam przed jej niebezpieczeństwem”.

9 maja 1944 roku odleciał z Brindisi we Włoszech do Polski. Szyfr lotu: „Weller 27”. Liczba ta oznaczała kolejny numer skoczka, „cichociemnego”, których do Polski łącznie przybyło 29. Samolot leciał nad Adriatykiem, Jugosławią, Budapesztem, Tatrami – do Polski; często ostrzeliwany przez niemiecką artylerię przeciwlotniczą.

Wyskoczył z samolotu jako drugi (*Number Two*) i po różnych komplikacjach (opisuje je Danuta Mostwin w powieści *Tajemnica zwyciężonych*) zaprowadzono go na Saską Kępę w Warszawie, na ulicę Francuską nr 12. „Umówione pukanie do drzwi. Kroki zbliżające się. Oczy niebieskie młodej kobiety, ostrożnie badające, kogo przyprowadzają. Moja towarzyszka, »ciocia«, która mnie przyprowadziła, powiedziała: »Pani już wie, co należy zrobić« i prędko odeszła”.

Młodą kobietą była Danuta Pietraszewska – wkrótce poślubiła bohatera, który dosłownie spadł jej z nieba. Jego konspiracyjne nazwisko przyjęła za swoje i później stała się znana jako pisarka Danuta Mostwin. W mieszkaniu jej matki było schronienie dla przybywających „cichociemnych” – „Melina pod spadochronem”. W przyległym mieszkaniu tego samego domu ukrywały się dwie Żydówki z rodziny Aszkenazych, matka z dorosłą córką. Podawały się za panie Adamskie.

Pas z pieniędzmi przekazał przedstawicielowi delegatury Rządu RP na Kraj. Koordynatorem ich rozprawienia był Mieczysław Thugutt z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Podziemnego Państwa Polskiego. (Z 200.000 dolarów 60.000 było przeznaczone dla „Żegoty”, 60.000 dla Bundu i 60.000 dla Żydów holenderskich znajdujących się w obozie koncentracyjnym).

Był czas, zaraz po wylądowaniu, gdy czuł, że zagraża mu niebezpieczeństwo. Mogło mu ono grozić z różnych stron. Pisał o tym w liście do Wojciecha Wierzewskiego: „Proszę sobie wyobrazić młodego człowieka, na którego polują zawodowcy, i to z paru narodów (tak, Polacy też, gdyż byłem kurierem, który wiozł jako ochotnik największą ilość pieniędzy dla Żydów, jaką kiedykolwiek przetrzucono do kraju).”<sup>6</sup>

Niebezpieczeństwo niemieckie realnie groziło z jeszcze jednej strony, z czego wówczas mógł nie w pełni zdawać sobie sprawę. Aczkolwiek czegoś się domyślał, coś podejrzewał, gdyż nachodzili go różni przedstawiciele politycznego podziemia, dni mijały, a on nie miał kontaktu z Jankowskim. Dużo wyjaśnia opublikowana w 1992 roku depesza wysłana z Londynu, z kręgu generała Andersa do szefa Oddziału Drugiego w Komendzie Głównej Armii Krajowej, pułkownika Kazimierza Iranka Osmeckiego w lutym 1944 roku:

„Kurierzy idą poza plecami Prezydenta i N.[aczelnego] W.[odza]. Nikt nie wie, kto jedzie i co wiezie.

<sup>4</sup> Odznaczony srebrnym Krzyżem *Virtuti Militari* za kampanię wrześniową, dwukrotnie Krzyżem *Walecznych*, Krzyżem *Armii Krajowej*, Medalem za *Obronę Tobruku*, *Bojowym Odznaczeniem Spadochroniarza*, *King's Medal of Courage In Cause of Freedom*, Krzyżem *Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej*.

<sup>5</sup> Komplikacje towarzyszące dotarciu do Jana Jankowskiego i przebieg spotkania Mostwina z nim przedstawiam w książce *Trzecia wartość. O twórczości Danuty Mostwin*. Kraków 2000.

<sup>6</sup> Cyt. za: W. Wierzewski, *Człowiek dwóch epok. Stanisław „Bask” Mostwin*. „Dziennik Związkowy” (Chicago), 4-6 II 2005.

Z zestawienia depeszy N.W. i mojej zrozumiesz jasno, że kręci się coś tajemniczego i niebezpiecznego dla Kraju.[...] W momencie gdy dokoła najżywoźniejszych spraw polskich zaczynają się omotywać nieczne zamiary, nie pora kierować się szlachetnymi skrupułami. Jest rzeczą konieczną, by materiały wiezione przez tajemniczych kurierów znalazły się w Waszych rękach, zanim zostaną doręczone adresatom, i żebyście je nam jak najszybciej zakomunikowali depeszą, a później doręczyli ich fotografie lub odpisy. Jeśli to się da zrobić bez awantury – to lepiej. Jeżeli trzeba – musicie zorganizować nawet jakiś incydent, w czasie którego gość zostanie obrany z materiału wiezonego. Podkreślam – jest rzeczą konieczną, byśmy jak najszybciej byli w posiadaniu tej ważnej poczty. Nawet w wypadku awantury ryzyko jest minimalne, gdyż przeżywamy strach przed skandalem”.<sup>7</sup>

Jeszcze w 2007 roku, w liście do piszącego te słowa, powracał Mostwin do tamtych dramatycznych momentów:

„Wspomnienia o decyzji Powstania Warszawskiego. Tej strasznej, zbrodniczej, prywatno-szalonej decyzji, nie potępionej dostatecznie przez historię polską. [Byłem] wstrzymywany ponad dwa tygodnie od 1 maja do czasu przyjazdu gen. Okulickiego 22 czerwca, aby mieć spotkanie z Delegatem. I próby wydostania ode mnie raportu przeznaczonego wyłącznie tylko dla Delegata – to nie jest w ogóle zarejestrowane w historii. Polacy na szczycie nie zawsze świętymi byli. I wydaje się – w historii terazniejszej – nie są”.

Do środowisk żydowskich zbliżyła Mostwina praca, jaką wykonywał w Londynie, później w Stanach Zjednoczonych, gdy po wojnie, zmuszony do opuszczenia Polski w uzasadnionej obawie przede aresztowaniem znalazł się na emigracji. W powojennej Anglii niełatwo było Polakom znaleźć zatrudnienie. Uzyskał je dzięki interwencji organizacji żydowskiej, w geście wdzięczności za pomoc Żydom polskim w czasie wojny.

Pracę dostał w branży tekstylnej, tradycyjnie żydowskiej. Był jedynym nie-Żydem wśród techników w *cuttingrooms*. Bezpośrednie jego otoczenie, młodzi Żydzi, odnosiło się do niego niechętnie. Wspominał: „Nikt nie odezwał się do mnie ani słowem przez całe sześć miesięcy. Młodzi pracownicy, przeważnie członkowie partii komunistycznej chcieli się mnie pozbyć, bo byłem dla nich faszystą, Polakiem z armii Andersa. Byłem dla nich stereotypem Polaka – antysemitą”.

W Nowym Jorku był jedynym Polakiem w ekskluzywnej grupie *designers*. Literacki obraz jego przeżyć z tego czasu dała Danuta Mostwin w powieści *Ameriko! Ameriko!* On sam w wywiadzie wspominał taką scenę:

„Charakterystyczne zdarzenie. Jak ja dostałem posadę na wysokim szczeblu jako kierownik techniczny wszystkich *design office* na fabryki, które były i w Południowej Afryce, i w Korei, itd. I pierwsze zebranie dyrektorów – było ich około piętnastu – i ja wśród nich. To było moje pierwsze zebranie. Jeden z tych dyrektorów (to była żydowska firma) mówi do mnie: – *A, you are Polish?* – Spojrzałem naokoło, widzę: wszystko siedzi sztywno, patrzy na mnie, patrzę na niego, powiedziałem: – *No!*

– Powiedział triumfująco: – Nie, a kto pan jest?

– *I am very much Polish!*

W tym momencie uśmiech na twarzach ludzi. I z tych piętnastu, pięciu przyznało się do pochodzenia polskiego. Ja mam babcię Polkę, ja mam to, ja mam owo...”<sup>8</sup>

To osobiste doświadczenie mocno zapadło w pamięć i wyobraźnię Stanisława Mostwina. Przyczyniło się do zrozumienia człowieka, który staje się ofiarą stereotypowego o nim myślenia. Wspominał później: „Zrozumiałem wtedy i nauczyłem się, że można reprezentować cechy, o których się nie wie. Zrozumiałem też, jak mogą się czuć Żydzi, których ocenia się z punktu widzenia stereotypu. Doświadczenie moje, chociaż zdają sobie sprawę, zawężone do obserwacji i wniosków jednego tylko człowieka, ugruntowało mnie w przekonaniu, że dialog polsko-żydowski jest bardzo potrzebny”.

Na podstawie własnych obserwacji, doświadczeń, znajomości Żydów, z którymi współpracował, rozróżniał wśród nich, zamieszkałych w Stanach Zjednoczonych, kilka postaw. Dostrzegał wyraźną różnicę między Żydami niepochodzącymi z Polski a Żydami, którzy przybyli do Stanów z naszego kraju. W kontakcie z tymi pierwszymi spotykał się z chłodnym, wolnym od emocji odrzuceniem. Odwróceniem się od niego jako od Polaka, który musi być, *ex definitione* antysemitą. Należy go unikać, trzymać się od niego z daleka, nie nawiązywać z nim żadnych kontaktów.

Wśród Żydów przybyłych z Polski wyróżniał trzy postawy. Pierwszą z nich cechuje wolność od stereotypowego myślenia, natychmiastowe obopólne zrozumienie i przyjęcie. Dodawał jednak, że takich jest mało. Drugą postawę charakteryzuje uwolnienie się od myślenia według stereotypów, ale przychodzi im to z dużym trudem. Niemniej to oni właśnie chcą dialogu z Polakami nie-Żydami. Trzecia grupa odznacza się negatywnym nastawieniem do Polaków, głównie z powodu przeżyć i krzywd osobistych. Przeżycie holocaustu uaktywniło wspomnienie dawnych konfliktów z Polakami i doznanych krzywd. Nie unikają dialogu, ale trudno o porozumienie. Zatrzymując się nad konsekwencjami i skutkami holocaustu w życiu zarówno Żydów jak i Polaków dostrzegał Mostwin, ku swemu autentycznemu zmartwieciu, a nawet cierpieniu, utrzymujące się między nimi, a niekiedy nawet narastające nieporozumienie:

„Holocaust, jak druzgocąca kometa rozpałała dramat rozszerzający się, promieniujący, jakby podsycany coraz to nową, samorodną energią zaczął mnie wciągać, ogarniać, ranić osobiście. Nie tylko mnie. Rozdźwięk polsko-żydowski, rozpaczliwy zgiełk, w którym obie strony nie mogą się wzajemnie usłyszeć, jednokierunkowość bez możliwości refleksji bolały, zmuszały do refleksji. Reakcja ta była niesłychanie trudna, gdyż najczęściej rozwaga była zgłuszana emocją, logika myśli ginęła w lawinie uczuć. A najważniejsze: wzajemna wiedza o sobie Polaków Żydów i Polaków chrześcijan była i jest jeszcze u większości znikoma. Historia mego życia w nieprzewidzianej przeze mnie konsekwencji wypadków przygotowała mnie do rozpoczęcia dialogu”.

W holocaustie widział Mostwin tragedię nie tylko Żydów. W szczególności widział w nim tragedię swego pokolenia, które było świadkiem zagłady Żydów dokonującej się na polskich ziemiach. Poczucie wspólnego tragizmu leżało u źródeł inicjatywy prowadzącej do utworzenia Dialogu Polsko-Żydowskiego w Amery-

<sup>7</sup> Z.S. Siemaszko, *Łączność i polityka 1941-1946. Antologia*. Londyn 1992, s. 96.

<sup>8</sup> Cytat z wywiadu zamieszczonego w książce *Trzecia wartość...* op. cit., s. 262.

ce, nadania mu kształtu formalnego i instytucjonalnego. „Nie jestem Żydem – pisał – ani nie mam żydowskich powiązań rodzinnych. Moje przejęcie się Dialogiem nie jest oparte jedynie o zasady chrześcijańskie i katolickie. Jestem w tym, bo czuję się w tym Dialogu przede wszystkim Polakiem – Żołnierzem”.

Na decyzję utworzenia Dialogu Polsko–Żydowskiego w Ameryce wpłynęła też obserwacja nastrojów wzbierających w ostatnich dekadach XX wieku. Zaostrzały się wzajemne nieporozumienia tak po stronie Polonii, jak i po stronie amerykańskich Żydów. „Wiele osób wśród Polonii amerykańskiej z troską myślało o przyszłości, o szkodliwości przekazania wzajemnych urazów młodemu pokoleniu i o potrzebie dialogu. Stałem się jednym z nich” – pisał Stanisław Mostwin.

Zainicjował więc Dialog Polsko–Żydowski w Ameryce. Był jednym z grona ustanawiającego nagrodę im. Janusza Korczaka, której celem było prostowanie dróg, usuwanie nieporozumień, umacnianie współpracy środowisk polonijnych z żydowskimi. W tym celu założył periodyki: „Dialogus” i „Trumpeter” [„Trębacz”], poświęcone rejestrowaniu historii holocaustu na terenach polskich okupowanych przez Niemców.

Na uroczystości wręczenia Mostwinowi „Humanitarian Award” przez Lożę Masońską 4 marca 1999 roku, wygłosił on długie przemówienie w języku angielskim w całości poświęcone polskiemu Żydom. Wielu z zebranych po raz pierwszy z tak dokładnego i udokumentowanego przekazu dowiadywało się, jakie było położenie ludności żydowskiej skazanej na całkowite wyćpienie pod niemiecką okupacją.

Mówił też o tym, jak generał Władysław Sikorski otrzymawszy z Polski meldunki o losie polskich Żydów alarmował – bezskutecznie – rządy państw sprzymierzonych. Mówił o milczeniu prasy amerykańskiej na ten temat („Walter Lipmann, bardzo wpływowy publicysta, który omawiał i wyrażał swoją opinię o prawie każdym istotnie ważnym problemie, i to każdego dnia, nie napisał ani jednego słowa o holocaustie”). Informował też zebranych o organizacji „Żegota” spieszącej z pomocą polskiemu Żydom.

By zyskać poparcie dla swej akcji, doprowadził do skutku wyjazd delegacji Dialogu Polsko–Żydowskiego w Ameryce do Watykanu, by otrzymać błogosławieństwo papieża Jana Pawła II dla podjętej przez siebie akcji na rzecz porozumienia Polaków i Żydów w Stanach Zjednoczonych.

\* \* \*

Delegację Dialogu Polsko–Żydowskiego w Ameryce przyjął papież Jan Paweł II na audiencji w swej prywatnej bibliotece 6 lipca 1979 roku o godzinie 11.00. Trwała 40 minut.

Stronę polsko-amerykańską reprezentowali: Stanisław Bask-Mostwin, wiceprzewodniczący Komitetu Wykonawczego Studium Spraw Polskich, Karol Wagner reprezentujący Alojzego Mazewskiego, prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej, Anna Chrypińska, przewodnicząca Rady Amerykańskich Klubów Kulturalnych, Wacław Bniński, członek Komitetu Wykonawczego Studium Spraw Polskich, Danuta Mostwin, wiceprzewodnicząca Rady tego Studium, prof. Wincenty Chrypiński.

A oto delegacji strony żydowsko-amerykańskiej: Maxwell E. Greenberg, National Chairman Anti-Defamation

League of B'nai B'rith z żoną Marcy Greenberg, Nathan Perlmutter, National Director Anti-Defamation League (Nowy Jork) z żoną dr Ruth Perlmutter, rabin Abraham Foxman, Associate National Director Anti-Defamation League, dr Józef Lichten, rzymski reprezentant Anti-Defamation League (wychowany i wykształcony w Polsce, pisarz, dyplomata), Theodore Freedman, National Director Anti-Defamation League.

W krótkim przemówieniu w imieniu przybyłej delegacji zwrócił się do papieża Stanisław Mostwin w języku polskim:

„Najwielebniejszy, najdosłowniej Ojciec Święty, Papieżu Świata Chrześcijan i w naszym pokoleniu ukochany Bracie [...]. Ośmieleni Twoją troską o nasze sprawy i nasze życie, przychodzimy do Ciebie o radę i pomoc w wysiłku odtworzenia harmonii dwu narodów, które, jak powiedziałaś niedawno w Polsce »żyły obok siebie i między sobą«. W wysiłku tym wyłoniony został program Janusza Korczaka, opiekuna dzieci i i symbolu łączącego w swym życiu i twórczości dziedzictwo kultury żydowskiej i polskiej. Pragniemy, aby program ten został przyjęty przez wszystkich ludzi dobrej woli i stał się zaczynem dynamiki twórczej w okresie zdążającym do homogenizacji człowieka. I dlatego, Ojciec Święty, my, przedstawiciele społeczności żydowskiej i polskiej w Ameryce, w kraju, który powstał z pragnienia ludzi do wolności, prosimy Cię o błogosławieństwo w naszych poczynaniach”.

Ze strony delegacji żydowskiej przemówił po angielsku Maxwell E. Greenberg.

W odpowiedzi wygłoszonej po angielsku papież wyraził szczególne zainteresowanie pracami Dialogu Polsko–Żydowskiego i udzielił mu pełnego swojego poparcia. Powiedział między innymi: „Janusz Korczak jest idealnym symbolem moralności i religii. W Waszej tak ważnej pracy braterskiej, którą rozpoczęliście przekazując Wam mój podziw, oddanie i błogosławieństwo”.<sup>9</sup>

Gdy papież już zszedł z podium, zakończyła się oficjalna część audiencji, doszło do poruszającej sceny opisanej przez Danutę Mostwin. Oto rabin Abraham Foxman, który na początku uroczystości przekazał papieżowi szkatułkę z ziemią z Jerozolimy, poprosił go o chwilę prywatnej rozmowy. Chciał opowiedzieć historię swojego życia.

„Historia mego życia – powiedział – jest historią podwójności. Miałem dwie matki. Uratowała mnie jako małe dziecko Polka-katoliczka. Stała się moją matką, ochrzciła mnie nawet. Po wojnie rodzice moi, którzy ukrywali się zgłosili się po mnie. Udało im się przeżyć te wszystkie okropności. Ale moja matka-katoliczka, moja polska matka nie chciała mnie oddać. Byłem jej ukochanym dzieckiem. Postanowiła o mnie walczyć. Była sprawa sądowa. Sąd polski przyznał mnie rodzicom.

– A ta polska matka? – spytał papież.

Abe Foxman spuścił głowę:

– *Yourexcency* – szepnęła – proszę o modlitwę za jej duszę. Moja polska matka nie żyje”.

\* \* \*

Do Dialogu Polsko–Żydowskiego w Ameryce nawiązywał tytuł periodyku powstałego z inicjatywy i starań Stanisława Mostwina. To pismo „Dialogus” poświęcone

<sup>9</sup> Zob. *Delegacja Dialogu Polsko–Żydowskiego u Ojca Świętego*. „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” (Londyn) 15 VIII 1979.



problematyce polsko-żydowskiej. Wydawcą była fundacja o nazwie Polish American Congress Charitable Foundation z siedzibą w Chicago. Redaktorem i głównym autorem przygotowującym materiały i dokumentację był Stanisław Mostwin.

„Dialogus” zaczął się ukazywać w 1981 roku; w dużym formacie (A2), o objętości 16 stron. W języku angielskim, adresowany do wszystkich Amerykanów, by przekazać mało w Stanach Zjednoczonych znaną prawdę o niemieckiej okupacji w Polsce podczas drugiej wojny światowej. Zamieszczone w piśmie szczegółowe kalendarium ukazuje, jak dzień po dniu następowało coraz ściślej i coraz dotkliwiej osaczanie Żydów, zakończone ich całkowitą zagładą.

Przedstawiona chronologia zdarzeń zaczyna się jednak znacznie wcześniej niż lata drugiej wojny światowej, nawet wcześniej niż dojście do władzy Adolfa Hitlera.

W artykule redakcyjnym Mostwin przedstawił intencje przyświecające komponowaniu numeru. Zauważa, że w opinii amerykańskiej dominuje przeświadczenie, iż to, na co pozwalali sobie Niemcy podczas drugiej wojny światowej w krajach przez nich okupowanych było dziwną, niewytłumaczalną aberracją, wręcz tajemniczym i niezrozumiałym wybrykiem, czymś zupełnie zagadkowym w świetle znanej w świecie rzetelnej, niemieckiej pracy, bogatej tradycji kulturalnej, wybitnej twórczości artystycznej, wielkich osiągnięć w nauce i filozofii, oraz pełnej łagodności i ciepła przysłowiowej *gemütlichkeit*. Nawet stereotyp germańskiego militarysty nie zdołał przysłonić tego obrazu Niemiec.

Mostwin nie zamierza go pomniejszać. Wylicza wielkie postacie: Bach, Beethoven, Brahms, Goethe, Schiller, Leibniz, Kant, Planck, Heisenberg. Ale też podejmuje się niewdzięcznego obowiązku wskazania na to, że w ostatecznym bilansie, w świetle doświadczeń historycznych ostatnich stuleci wartości przez nich tworzone nie zdominowały niemieckiej kultury masowej i nie okazały się dla niej charakterystyczne. Była ona kształtowana i uprawiana (nie bez udziału również niemieckich intelektualistów, artystów i polityków) jako gleba, na której wyrósł niemiecki faszyzm XX wieku.

Mostwin oparł się na dziełach naukowych trzech autorów dociekających źródeł nazizmu: Peter Vierek, *Meta – Politics. The Roots of the Nazi Mind*, New York 1961; Hans Kohn, *The Mind of Germany*, New York 1960; T. H. Tetens, *The New Germany and the Old Nazis*, New York 1961.

Cytatami zaczerpniętymi z tych książek pokazuje, jak już od kilku stuleci dokonywało się rozbudzanie niemieckiego nacjonalizmu, przekonanie o szczególnej „misji cywilizacyjnej” niemieckiego narodu, apologii siły, mocy, militarnego czynu. Niemiecki faszyzm nie pojawił się nagle, niespodziewanie, z niczego. Rozwijał się od dłuższego czasu na odpowiednio uprawianej glebie. Odpowiadające mu myśli i idee przybrały, szczególnie w wieku XX kształt państwa, odpowiednich ustaw, praktyki wprowadzania ich w życie przemocą i gwałtem. Nieuchronną konsekwencją tego procesu była druga wojna światowa i holocaust, wymordowanie Żydów na terenie okupowanej Polski.

Co do spraw polskich, Mostwin przyznaje, że przed drugą wojną światową byli w Polsce, na skrajnej prawicy publicyści i politycy głoszący teorie rasistowskie zwrócone przede wszystkim przeciwko Żydom. Ale – w odróż-

nieniu od sytuacji w Niemczech – nie zdominowali oni publicznych dyskusji; ich opinie nie stanowiły głównego nurtu polskiej myśli politycznej. Niemniej dopuszcza, że taka diagnoza może być uznana za kontrowersyjną. Powinna stać się przedmiotem polsko-żydowskiego dialogu prowadzącego do ustalenia prawdy historycznej.

\* \* \*

Dużym wydarzeniem w życiu Polonii amerykańskiej i żydowskiej wspólnoty w Ameryce, a szczególnie w działalności Dialogu Polsko-Żydowskiego w Ameryce było pierwsze wręczenie nagród im. Janusza Korczaka. Uroczystość odbyła się w Carnegie Endowment, w Nowym Jorku, w siedzibie B'nai B'irth. Dzięki pośrednictwu kardynała Władysława Rubina w Watykanie, papież Jan Paweł II dowiedział się o tej uroczystości i jej uczestnicy otrzymali z Watykanu słowa: „Jego Świątobliwość Jan Paweł II z zadowoleniem przyjął wiadomość o rozwijającej się współpracy kulturalnej polsko-żydowskiej w Ameryce. Poleca Bogu w modlitwie ów dialog, który bazuje na wspólnym dziedzictwie duchowym i wielowiekowym współżyciu obu narodów, aby wydał on trwałe owoce i ubogacił kulturę światową.

Członkom Komitetu Nagrody Janusza Korczaka i Uczestnikom spotkania w dniu 8 listopada Ojciec Święty udziela Apostolskiego Błogosławieństwa”.

Okazało się, że o otrzymanie błogosławieństwa z Watykanu było łatwiejsze niż zapewnienie udziału w uroczystości księży i rabinów. Kardynał Król z Filadelfii, który przyjął zaproszenie do komitetu honorowego uroczystości, nie wziął w niej udziału. Za pośrednictwem sekretarki powiadomił, że jest zajęty. Mimo poinformowania go o papieskim błogosławieństwie nie odpowiedział na list ani na depeszę. Księżda X (Danuta Mostwin jego nazwiska nie podaje) proszono o wstawiennictwo u kardynała. Ten się wzbraniał, tłumaczył: „Proszę państwa, ta sprawa [dialog polsko-żydowski] to otwarta rana. Nie, nie przyjdzie. Nie może. Spowiedzi, msze, obowiązki”. Zwrócono się o podobne pośrednictwo do redaktora chicagowskiego „Dziennika Związkowego”, Bolesława Wierzbiańskiego. Też nic nie wskórał.

Z innych starań: „Franciszek Proch proponuje prałata Y. Telefonujemy, dobijamy się do prałata. Wreszcie coś mówi, ale trudno go zrozumieć. Tyle tylko, że nie. Nie może. Telefonujemy do Orchard Lake. Do księdza Chroboty. Odmawia. Obowiązki, zajęcia, msze, spowiedzi. Nie mamy księdza! Wreszcie docieramy do księdza Milewskiego w Orchard Lake. Godzi się. Przyjedzie. Jesteśmy mu ogromnie wdzięczni. Tyle kłopotu, ale Żydzi też mieli początkowo trudności z rabinem”.

W dużej sali, w lokalu B'nai B'irth w Nowym Jorku, naprzeciw siedziby Organizacji Narodów Zjednoczonych odbyła się pierwsza uroczystość wręczenia nagrody im. Janusza Korczaka za książkę w duchu dialogu polsko-żydowskiego. Spotkali się z tej okazji wybitni przedstawiciele środowiska polonijnego i żydowskiego: Lucjan Dobroszycki, Aleksander Hertz, Chaim Potok, Dawid Rosenthal, Stefan Korboński, Marta Erdman (córka Melchiora Wańkowicza), żona Józefa Wittlina, Danuta i Stanisław Mostwinowie. Mistrzem ceremonii był Nathan Perlmutter, dyrektor Anti-Defamation League na całe Stany Zjednoczone.

Rabini: William Kloner i Klenicki, przy rytualnym śpiewie, przełamali chałę. Odczytano list z błogosta-

wieństwem Jana Pawła II. Rabin Kloner z Temple Beth Emeth w Nowym Jorku rozpoczął spotkanie inwokacją, a ksiądz dr Stanisław Milewski, rektor szkół w Orchard Lake, odmówił modlitwę. Redaktor Bolestaw Wierzbiański odczytał proklamację burmistrza Nowego Jorku Edwarda Kocha, który ogłosił dzień 8 listopada 1980 roku dniem Janusza Korczaka.

Nagrodę za książkę dla dzieci *Black As I Am* otrzymała Zindi Mandela, córka Nelsona Mandeli skazanego w Republice Południowej Afryki na dożywotnie więzienie za działalność polityczną. Jego córka nie otrzymała zgody na wyjazd do Stanów Zjednoczonych. Nagrodę za książkę o dzieciach pt. *Will To Live* otrzymał Anglik Hugh Franks.

W ciągu piętnastu lat (1980–1995) nagrodę literacką im. Janusza Korczaka przyznano siedem razy. Do Komitetu Nagrody wchodził delegaci polskich i żydowskich organizacji. Pieniądze na nagrody pochodziły z polskich i żydowskich funduszy. O przyznaniu nagrody decydowało każdorazowo powoływane jury. Kryteria oceny w skali 1–5 były następujące: wartość literacka i artystyczna, wartość humanistyczna, wartość pedagogiczna. A przede wszystkim o nagrodzie winna decydować rola książki w przekazywaniu filozofii Janusza Korczaka. Sprawami administracyjnymi zajmowała się Anti-Defamation League.

Znacznie poważniejsze niż przy pierwszej nagrodzie komplikacje towarzyszyły nagrodzie siódmej w 1995 roku, która okazała się nagrodą ostatnią. Przyznano ją Richardowi Lukasowi za książkę *Did The Children Cry? Hitler's War Against Jewish and Polish Children* wydaną przez wydawnictwo Hippocrene Books, specjalizujące się w publikowaniu judaików. Książkę do nagrody wysunęła Danuta Mostwin. Zyskała ona jej wysoką ocenę dzięki wykorzystaniu nowych źródeł, nowych zeznań świadków, niedostępnych dawniej dokumentów i skupieniu uwagi na martyrologii dziecka na ziemiach polskich pod niemiecką okupacją w latach 1939-1945. Oto jej ocena: „Książka przekazuje obraz holocaustu, zimnego, kalkulowanego morderstwa dzieci żydowskich, przerażającej, nieznannej dotąd masowej eksterminacji, aby na zawsze zabić gen żydowski. Przerwa łańcuch pokoleń. A obok tego strumienia gehenny, płynie drugi i niejednokrotnie z pierwszym zmieszany – dzieciobójstwo, maltretowanie, głodzenie polskich dzieci z intencją obniżenia sił rozrodczych narodu, tworzenie z tych, co przeżyją klasy pod-ludzi, helotów, tępienie elity. Aby przerwać łańcuch pokoleń”.

Uroczyste wręczenie nagrody Richardowi Lukasowi wyznaczono na 23 stycznia 1996 roku w Nowym Jorku. Tymczasem, nieoczekiwanie, przed tą datą, 10 stycznia wydawca książki otrzymał od Anti-Defamation League list dezawuujący (wbrew regulaminowi) werdykt jury: „Z przykrością zawiadamiamy, że nasza poprzednia informacja dotycząca książki Ryszarda Lukasa była pomyłką. Książka pana Lukasa nie otrzymała nagrody [...]. Po przejrzeniu książki zdecydowaliśmy, że nie nadaje się na nagrodę Korczaka”.

Rozwiniętą motywację tego stanowiska zawarł Abraham Foxman w piśmie do autora książki (list z 24 stycznia 1996 roku): „Uważamy, że książka umniejsza zasięg polskiego antysemityzmu przed i po II wojnie światowej. Uważamy, że aczkolwiek zdarzały się heroiczne wysiłki za strony niektórych Polaków, książka znacznie wyol-

brzymia ilość Polaków zaangażowanych w tej odważnej akcji. [...] Chociaż książka koncentruje się na cierpieniach dzieci żydowskich i polskich podczas II wojny światowej, to według naszej opinii, zadanie jej jest inne. Chodzi o to, aby zwalczać to, co uważa pan za ogólnie przyjętą, ale nieprawdziwą ocenę ustosunkowania się Polaków do Żydów podczas wojny”.

W dalszym ciągu listu Abraham Foxman zarzuca autorowi, że liczba Polaków pomagających Żydom w czasie wojny jest wygórowana, podobnie jak liczba wyroków śmierci wykonanych na „szmalcownikach”.

Dr Richard Lukas, syn emigranta polskiego sprzed pierwszej wojny światowej Franciszka Łukaszewskiego (na Ellis Island, osławionej „Wyspie kluczy” opisaną przez Ewę Szejnert skrócono mu nazwisko na Lukas) i Amerykanki opublikował kilka książek, wśród nich (nie licząc *Did The Children Cry...*) dwie poświęcone martyrologii polskich Żydów: *Out of The Inferno. Poles Remember The Holocaust* (1989) i *The Forgotten Holocaust. The Poles Under German Occupation 1941-1944* (1990). Na pytanie, jaki mu cel przyświecał przy pisaniu książki odpowiadał: „Chciałem przedstawić nie tylko holocaust dzieci żydowskich, ale i polską stronę problemu”. I dodał: „Udzieleniu pomocy chociażby jednemu dziecku żydowskiemu musiała być włączona nie jedna osoba, ale współpracująca ze sobą siatka osób”.

Na tym sprawa nagrody dla Richarda Lukasa się nie skończyła. Jury odwołując się do obowiązującego regulaminu powierzyło sprawę adwokatowi. Druga strona postąpiła podobnie. 28 lutego 1996 roku adwokat Anti-Defamation League wystosował list do przedstawiciela Lukasa ze słowami będącymi próbą „ratowania twarzy”: „Ze względu na nasz błąd i ponieważ chcemy uniknąć sporów prawnych zdecydowaliśmy się przyznać nagrodę Korczaka książce *Did The Children Cry?* Decyzja ta nie zmienia naszej oceny książki, ani nie zobowiązuje nas do ukrywania naszych zastrzeżeń. Anti-Defamation League zachowuje prawo mówienia otwarcie o książce”.

Konflikt wokół książki Lukasa oznaczał w istocie koniec przyznawania nagrody im. Janusza Korczaka. W lipcu 1996 roku Danuta Mostwin melancholijnie notowała: „Tak kończy się historia amerykańskiej nagrody literackiej im. Janusza Korczaka. Wielu z pierwszych jej entuzjastów już nie żyje. Odszedł przyjaciel Ted Freeman. Nie żyje Aleksander Hertz i Józef Lichten. Nie ma już dobrego kardynała Władysława Rubina. Ale pozostało błogostawieństwo Papieża. Pozostały słowa Jana Pawła II wypowiedziane w lipcu 1979 roku w jego watykańskiej bibliotece do delegacji polsko-żydowskiej z Ameryki: »W waszej tak ważnej pracy braterskiej, którą rozpoczęliście, przekazuję mój podziw, oddanie i błogostawieństwo«”.

Wszystkie te perypetie zawarła Danuta Mostwin w artykule *Przerwany łańcuch pokoleń (Historia amerykańskiej nagrody literackiej imienia Janusza Korczaka)*. Przesłała go Jerzemu Giedroycowi do publikacji w „Kulturze”. W odpowiedzi datowanej 25 października 1996 roku tak całą sprawę ocenił: „Jest to naprawdę skandal. Niestety, mało znany poza Polską amerykańską”.

\* \* \*

Pod hasłem *Polacy i Żydzi. Spotkanie na drogach męczeństwa*, z inicjatywy Polish Heritage Association

in Maryland, w dniu 7 września 1997 roku w Baltimore odbyła się uroczystość poświęcona uczczeniu tych wszystkich Polaków, „którzy w warunkach największego zagrożenia szaleństwem brutalnej agresji niemieckiego nazizmu, pomagali bliźnim swoim, Żydom, w ich tragicznej i beznadziejnej walce o przetrwanie”. Honorowe przewodnictwo obchodu objął kardynał William Keeler, arcybiskup Baltimore. Przeczytał papieskie błogosławieństwo przesłane dla uczestników uroczystości, „której celem jest uczczenie pamięci tych Polaków, którzy w czasie drugiej wojny światowej oddali swe życie za pomoc okrutnie prześladowanym bliźnim swoim – Żydom. Przesłanie kończyło się modlitwą „o boski dar mądrości i pokoju dla wszystkich, którzy pracują dla usunięcia uprzedzeń rasistowskich i antysemityzmu w stosunkach ludzkich”.

Po uroczystej mszy odbyła się akademie z udziałem przedstawicieli społecznych organizacji polskich, żydowskich i amerykańskich. Otworzyła ją senator Barbara Mikulski odczytaniem listu od prezydenta Billa Clintona, który wyrażał uznanie dla Polish Heritage Association za utrwalanie pamięci ofiar holocaustu.

Dr John Kromkowski, profesor nauk politycznych na Uniwersytecie Katolickim w Waszyngtonie przedstawił dzieje Żydów na świecie w ciągu wieków, ze szczególnym uwzględnieniem ich położenia w Polsce. Przedstawił wspólnotę dziedzictwa kulturowego chrześcijan i Żydów. Zofia Korbońska, żona wybitnego działacza polskiego podziemia Stefana Korbońskiego, bohaterka legendy podziemnego radia „Świt”, która pierwsza zaalarmowała świat o rozpoczynającej się likwidacji warszawskiego getta, mówiła o przemilczeniu tej wiadomości przez angielskie i amerykańskie media. Uznały ją za wyolbrzymioną i denerwującą. Ambasadę polską reprezentował minister Andrzej Jaroszyński. Przedstawił dramat Polski podczas ostatniej wojny. Przytaczał fakty, cyfry, wielkość strat.

Kulminacyjnym momentem spotkania było wystąpienie dr Richarda Lukasa, autora książki *Did The Children Cry?* Przytoczywszy autentyczne, udokumentowane fakty przychodzenia Żydom z pomocą zastanawiał się nad źródłem siły moralnej skłaniającej ludzi do jej udzielania, mimo że za to groziła kara śmierci.<sup>10</sup>

\* \* \*

W uznaniu zasług Stanisława Mostwina w dziele pomocy polskim Żydom, w szczególności za jego skok na spadochronie z pieniędzmi dla nich przeznaczonymi, co wiązało się z dużym ryzykiem i było czynem uznanym za bohaterski, na początku XXI wieku podjęto starania o przyjęcie go w poczet „Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata”. Obszerną popierającą taki wniosek opinię wystosował do Jerozolimy Robert P. Pula, dyrektor Institut of General Semantics. Stawiał Mostwina obok takich ludzi jak Władysław Bartoszewski, Jan Karski. Kończył zdaniem, że niewprowadzenie Mostwina do grona „Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata” byłoby dużą pomyłką sprawiedliwości.

Wkrótce nadeszła odpowiedź z Yad Vashem w języku angielskim z informacją, że sprawa została wprowadzona do programu prac komisji, ze zwróceniem uwagi,

że na rozpatrzenie czeka w kolejce wiele spraw podobnych, z zapewnieniem, że uczyni się wszystko, by przyspieszyć jej załatwienie.

W ślad za tym pismem nadeszło następne, tym razem w języku polskim z informacją: „Szanowny Panie. Dziękujemy za przesłane nam bardzo interesujące materiały dotyczące działalności Pana w czasie II-gej wojny światowej. Po dokładnym zbadaniu sprawy nie wydaje się nam możliwe załatwienie jej w ramach programu »Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata«. Przesłane materiały postanowiliśmy użyć do badań nad holocaustem oraz działalnością »Żygoty« [!]”.

Odpowiedź Mostwina była spokojna, pełna godności, z hamowaną, aczkolwiek wyczuwalną goryczą: „Dziękuję za list informujący mnie o nie rozważeniu w departamencie SWNS [Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata] mojej prośby o uznanie historyczne czynu bojowego (misja pomocy dla Żegoty dokonana Ochotniczo przez Kuriera Rządu Polskiego w Londynie zrzuconego 9/10 maja 1944 spadochronem do okupowanej Polski w wyjątkowo trudnych okolicznościach – z grupy 28 Kurierów i Emisariuszy prawie połowa zginęła wykonując zadanie), jedyne w tej skali w całej historii Holocaustu”.

Dalej prosi o umożliwienie kontaktu z podobnymi wysłannikami-ochotnikami społeczności żydowskiej w Ameryce lub w Anglii, którzy mają podobną historię, bo mimo starań w tym kierunku nie udało mu się o nich dowiedzieć. Na końcu zamieścił zdanie: „Proszę jeszcze o jedno. W liście zostało użyte słowo »Żygoty«, zamiast »Żegoty«. Nasze listy należą do historii. Bardzo proszę nie używać litery „y”. Mam nadzieję, że to jest po prostu pomyłka”.

Jeszcze po upływie kilku lat powracał do tej kwestii w liście do piszącego te słowa z 28 września 2007 roku. Wyczuwa się w nim hamowane rozgoryczenie, że wyjątkowy czyn bojowy z lat wojny nie spotkał się z oceną, na jaką zasługiwał:

„Jest jedna dla mnie ciekawa rzecz, która powinna być zarejestrowana. To moja decyzja podjęcia się misji doręczenia 200.000 dolarów od Morgentau z Ameryki i Żydów holenderskich (kilka miesięcy przed moją misją – wartość dzisiaj około dwu i pół miliona dol.) – największa pomoc przewieziona i dostarczona do Podziemia Polskiego dla Żydów. Starłem się dowiedzieć m.in. w Yad Vashem. Nie ma nikogo na całym świecie, kto zrobiłby podobnie. Jestem w tej misji samotnym – jedynym. Byłem świadom, że wszystkie diabły przerwały urlopy. Nie tylko agencje niemieckiego wywiadu, który w tym czasie już przygotowywał i ukrywał na czas wojenny skarby na świecie dla przyszłego zatajonego świata niemieckiego w międzynarodowym – światowym układzie bankowym. Nie było ochotnika. Nie było także ochotnika wśród społeczeństw żydowskich Wielkiej Brytanii czy Ameryki. Mam tę satysfakcję. Jestem jedynym, który przekazał tak wielką sumę w tak piekielnie trudnym okresie. Przepraszam za samochwalstwo. To widocznie moja słabość”.

Stanisław Mostwin został przez Yad Vashem umieszczony na liście zasłużonych dla obrony interesów Izraela.

<sup>10</sup> Zob. *Spotkanie na drogach męczeństwa. Korespondencja z Baltimore*. „Dziennik Związkowy” (Chicago) 3-5 X 1997.



JERZY S. ŁĄTKA

# OSEŁKA MASŁA

Rok 1944. Okupacja. Zwykła wiejska, biedna galicyjska rodzina. W niej dwoje nastolatków – Zofia (ur. 1928) i Kazimierz (1932). W odległości niespełna kilometra, w przysiółku Zalesie, w domu niewiele bogatszym schroniła się Felicja Binder, żona Stanisława – podporucznika WP, wraz z córką Barbarą. Basia była dokładnie w wieku Zofii. – Czasem ją odwiedzałam, pokazywała mi jak się szydełkuje. Robiły z matką swetry na drutach. Z tego żyły. Była straszna nędza. Rodzice czasem dawali im osełkę masła – wspominała Basię licząca 83 lata Zofia.

Kazimierz młodszy od siostry pamięta więcej. – Przychodziły do nas obie. Były zaprzyjaźnione z rodzicami. Zakupywały jajka, masło.

Okazuje się, że nie tylko nabiał. Kazimierz w chwili wybuchu wojny liczył tylko siedem lat, ale był zręcznym chłopcem. Bardzo szybko opanował sztukę przędzenia na kołowrotku, czyli robienia przędzy z owczej wełny. Przędła bowiem cała jego rodzina, ale on miał najmniej gospodarskich obowiązków. Szybko stał się dobrym przędzarzem. Binderowa zakupywała od jego rodziców także przędzę, z której z córką wykonywały swetry.

Czy Basia wiedziała, że jej ojciec nie żyje zamordowany w Katyniu przez bolszewickich oprawców? Sądzę, że nie. Nawet gdyby jej matka nie miała złudzeń co do losu swego męża, to chyba nie informowałaby o tym swej córki. Obie miały podstawy do poczucia pełnego bezpieczeństwa. Mieszkały wśród życzliwych ludzi. Przyjaciół. W odległości kilkudziesięciu metrów Stasia – chrześnica Felicji, rok młodsza od Basi. W tym domu także jej przyjaciółka Adela, trzy lata starsza.

Wychowanej w mieście Basi te przedłużone wakacje (od nauki) mogły się jawić jako beztrudny okres. Stanisława Burnat (1929), chrześnica Felicji Binder: – Zachwycała się przyrodą. Lubiła chodzić po lesie. Zbierała kwiaty. Nosiła je do kościoła. Była koleżeńska, lubiła się śmiać, wybuchała gromkim śmiechem. Zawsze miała przy sobie lalkę, w kieszeni fartuszka, czy kostiumu. „Przynosi mi szczęście” – mówiła.

Najbardziej w pamięci wszystkich, którzy ją znali zapisały się jej włosy. Bujne po pas, czasem rozpuszczone, najczęściej zaplatane w jeden warkocz lub warkoczyki. Ciemne, może czarne. Ale nie wszystkim. Edwardowi Wojtanowiczowi, starszemu od Basi trzy lata, zapisały się w pamięci jako jasne. Często odwiedzał Łazarków, mieszkających obok Kubiczów. Widywał Basię siedzącą w sąsiednim ogródku na zwykłym wiejskim stołku. Także młodsza od Basi Antonina Kwiek (1933) pamięta dobrze, że to były jasne włosy.

Od śmierci Basi Binder upłynęło pełne 66 lat. Mimo to dla wszystkich mych rozmówców jest to sprawa, która nadal wywołuje emocje. Niezależnie od tego czy znali ją osobiście, czy też pamięć o niej zachowali na podstawie wspomnień bliskich. – Basia. Widzę ją przed oczami. Wydali wyrok na niewinne babki. Nie były Żydówkami – wyrzuca z siebie Antonina.

\* \* \*

W poszukiwaniu grobu Basi udałem się do Lichwina w maju 2011 roku, wraz z mieszkańcem Siemiechowa Romanem Kwikiem. Pamiętał tę ziemną mogiłę sprzed ponad pół wieku. Bez problemu odszukał kwartał, gdzie to miało być. Ba, stał tam krzyż drewniany, o którym mi wcześniej mówił. Śladu po grobie nie było.

Lichwiński cmentarz jest mały, postanowiliśmy odszukać grób pochowanego tu także domniemanego zabójcy Barbary, kaprała WP Stefana Chrzanowskiego, zwanego powszechnie Kasprzokiem. Wiedziałem, że jego rodzina postawiła mu solidny nagrobek z napisem, iż był bohaterem.

Grobu Stefana Chrzanowskiego także nie znaleźliśmy. Do Romana podeszła Dorota, mieszkanka Lichwina. Na dźwięk nazwiska bez wahania zaprowadziła nas do okazałego nagrobka wybudowanego – jak się później okazało w 2003 r. Na znajdującej się obok krzyża pionowej tablicy znajduje się tekst:

MYCIŃSKA HELENA lat 40  
MYCIŃSKA JOANNA lat 22  
BINDER ALICJA  
BINDER BARBARA lat 16  
ZAMORDOWANE  
W SIERPNIU 1944 r.

Po przeczytaniu epitafium zapytałem p. Dorotę, czy wie przez kogo ofiary zostały zamordowane. Wiedziała. – Jego grób jest tuż obok.

I rzeczywiście. Grób Kasprzoka znajduje się w odległości 6-7 metrów od zbiorowej mogiły jego ofiar. Nie sposób było domyśleć się, że to właśnie poszukiwany przez nas grobowiec. Początkowo z nieczytelnych napisów dwóch tablic znajdujących się na postumencie krzyża odczytałem tylko dwa słowa: Gruszka oraz bochater [!]. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że Gruszka to konspiracyjny pseudonim Kasprzoka. Poniżej dobrej jakości nagrobkowa fotografia młodego mężczyzny, przystojnego blondyna, w mundurze WP.

Uciałem krótką pogawędkę z p. Dorotą. Okazało się, że o zabójstwie tych kobiet wiedziała bardzo dużo, mimo że urodziła się sporo po ich śmierci. Była to cenna in-

formacja, że ta sprawa żyje w społecznej świadomości Lichwina. Zachęta, aby temat drążyć dalej.

\* \* \*

Zalesie, przysiółek w którym Felicja Binder z córką schroniła się czasie II wojny światowej znajduje się na pograniczu Siemiechowa, Gromnika i Chojnika, wsi powiatu tarnowskiego. Do Kubiczów, rodziny od dawna zaprzyjaźnionej jej matka przyjeżdżała od dawna. W 1929 r. Felicja i Stanisław Kubicz (zm. 1986) byli rodzicami chrzestnymi Stasi – dziecka urodzonego w sąsiedztwie.

Po blisko 70. latach odtworzenie okoliczności zlikwidowania Felicji i Barbary Binder jest sprawą trudną. Użyłem świadomie słowa „zlikwidowania”. Zbowski partyzant Józef Duliński (1914; nie obwiniany o udział w tej zbrodni) uważa: – To była akcja podziemna. Były obserwowane.

Na pytanie z jakiego powodu akcja ta została przeprowadzona, Józef Duliński odpowiedział, że nie wie. To przekreślało sens dalszej rozmowy. Odniosłem wrażenie, że cechowała go partyzancka solidarność. Toteż nie zadałem pytania, skoro nie zna motywów, to skąd ma przekonanie, iż to (uzasadniona) akcja, a nie zwykła, pospolita zbrodnia? Poza tym jakie argumenty przemawiały za likwidacją 16-letniej dziewczyny?

To że były obserwowane przez partyzantkę potwierdza Antonina Kwiek. Zapytałem ją, dlaczego. – Podejrzewali, że były Żydówkami.

Wspomniany już Kazimierz krótko po wojnie wyjechał na nauki i w rodzinnych stronach był coraz rzadziej. Pojechałem do niego pod Warszawę z przekonaniem, że jego pamięć nie będzie zaśmiecona późniejszymi plotkami. Gdy wymieniał nazwisko Binder zapytał: – To takie Żydówki, które zostały zamordowane na Zalesiu...? – Nie wiedział, że stało się to w Lichwinie.

Zapytałem jak sądzi, dlaczego zostały zamordowane. – Uważane były za osoby zamożne.

Powyższe uproszczenie jest prawdziwe, jednak jak każde uproszczenie nie do końca. Ale po kolei.

Zapewne pochodzenie przodków Barbary było pośrednią przyczyną tej „akcji podziemnej”. Chrześciana Binderowej przypomina sobie, że w dzieciństwie była mowa, iż Binder miał niemieckich przodków. W Galicji to nie było zjawisko rzadkie. Niemcami byli przodkowie Brücknerów, Estreicherów, Zollów, Polów (Pohl) i dziesiątków innych rodzin zasłużonych dla polskiej kultury: Dziadek Barbary – Gustaw Binder – był rewidentem oddziału rachunkowego CK Wyższego Sądu Krajowego w Krakowie. Jego syn i Marii z Haistów – Stanisław Ludwik Binder urodził się 24 lutego 1900 r. W latach 1918-1921 bronił polskich granic jako żołnierz 2 pułku szwoleżerów oraz 4 pułku piechoty legionów. Do rezerwy został przeniesiony w 1921 r. 29 czerwca 1926 r. mianowany został podporucznikiem. Wcześniej ukończył Akademię Handlową (1921), a później Wyższy Kurs Nauczycielski w 1931 r. Wiadomo, że poślubił Felicję z Frischów. No i wiadomo, że zginął w Katyniu. Nazwisko Stanisława Bindera znajduje się w notatkach znalezionych przy zwłokach dwóch jeńców: ppor. Tadeusza Iglieskiego (z adresami: Cielętniki, p.o. Żytno oraz Kraków, ul. Straszewskiego 12) i kpt. Feliksa Gadomskiego.

Kasprzok przed wojną w stopniu kaprała służył w 16. pułku w Tarnowie. Zdaniem Wojtanowicza „na początku wojny uciekł z bronią i później grasował w czasie okupacji”. Pierwszej części powyższej opinii przeczy informacja Zygmunta Dziubana, sołtysa Lichwina z czasów okupacji, w już po wojnie spisywanych zapiskach<sup>1</sup>. Przy nazwisku Kasprzoka w wykazie żołnierzy z Lichwina uczestniczących w kampanii wrześniowej napisał w uwagach: „lekkoranny, później bandyta”. Skoro był lekkoranny to uczestniczył w walkach. W latach 1942-1945 w stopniu sierżanta był komendantem placówki AK w Lichwinie. Fakt ten został odnotowany tylko w jednej pracy historycznej. Jego nazwisko, pseudo konspiracyjne Gruszka (bez stopnia) znajduje się w wykazie placówek tarnowskiego obwodu AK<sup>2</sup>. O sierżancie Gruszce nie wspomnieli ani razu Stanisław Derus, autor książki opisującej walki lokalnej partyzantki z okupantem na tym terenie<sup>3</sup>. Zdecydowana większość moich rozmówców nie nazywała Kasprzoka partyzantem, ale bandytą. Dla Dziubana jest on „zwyrodnialcem”, a jego kompania – „horda”.

Aby nie było wątpliwości. Sierżant Gruszka działał w strukturach akowskich i wcale nie jest pewne, że to on wpadł na pomysł, aby wzbogacić się na rabunku bezbronnym kobiet. Ale na pewno ten pomysł mu się spodobał. Nie tylko jemu. No i zbrodni dokonano na jego terenie.

Sądzę, że inicjator tej „akcji podziemnej” – kimkolwiek był – nie miał problemów z ustaleniem, jakich przodków miała Felicja Frisch z domu. Wystarczyło, że wiedział tyle, ile dzisiaj pamięta Stanisław Burnat. Rodzice Binderowej byli wyznania mojżeszowego, Felicja wraz z rodzeństwem przeszła na katolicyzm, wierna religii przodków pozostała jej matka. Zatem jest prawdopodobne, że w żyłach Basi płynęła krew niemiecka i żydowska. Austriak z pochodzenia Adolf Hitler postanowił zlikwidować Żydów. Wszystkich. Polacy hitlerowskiego okupanta nie kochali, ale niektórym rodakom ten pomysł podobał się. Ba, z niego korzystali. Problem tzw. szmalcówników jest powszechnie znany od dawna.

Mimo zagrożenia Polacy Żydom pomagali. W Lichwinie przechowała się „Żydoweczka u Myjkowskiego Franciszka” (Dziuban) i po wojnie wyjechała do USA. Binderki były w dużo lepszej sytuacji niż Żydoweczka od Myjkowskiego. Myślę, że przeżyłyby szczęśliwie okupację, gdyby nie powszechne przekonanie, że Felicja była krewną, może nawet siostrą Heleny Mycińskiej mieszkającej w tymże Lichwinie.

Zażyła znajomość między paniami Mycińskimi a Binderkami mogła wynikać z innej przyczyny. Stanisława Burnat wiedziała, że mąż Mycińskiej także zginął w Katyniu. Jeśli to prawda, to był nim zapewne starszy posterunkowy Jan Zygmunt Miciński, s. Stanisława, urodzony 28 marca 1897 r. w Markach.

Mycińskim w Lichwinie powodziło się dobrze. Joanna była weterynarzem. Przed zaplanowaną „akcją podziemną” Kasprzok złożył wizytę sołtysowi Dziubanowi i „robił wywiad skąd są te kobiety, jakie stare, czy się meldowały”. Potem jego horda odwiedziła ich miesz-

<sup>1</sup> Oryginał tych zapisków znajduje się w prywatnym posiadaniu.

<sup>2</sup> A. Pietrzykowa, *Rejon tarnowski w okresie okupacji hitlerowskiej. Polityka okupanta i ruch oporu*. Kraków 1984, s. 282.

<sup>3</sup> S. Derus, *Szli partyzanci*, wyd. II., Lubaszowa 1994. Nie ma też żadnej wzmianki o sierżancie Gruszce w: H. J. Maniak, „Gertruda” - Zapomniana placówka Armii Krajowej w Gromniku, Tarnów 2000.

kanie. Dokonali rewizji. Początkowo nic nie znaleźli. Już po przeszukaniu całego domu ktoś poniósł miednicę z wodą stojącą na taborecie z szufladą. Poruszenie taboretu spowodowało dźwięk przesuwających się w nim kosztowności.

– Tego szukaliśmy – miał powiedzieć jeden z partyzantów.

Zabranie kosztowności nie uratowało życia obu kobiet. Wydano wyrok śmierci. – Z jakim uzasadnieniem? – zapytał Stanisława Duraczyńskiego, który mi o tym opowiadał.

– Posiadanie kosztowności.

Pani weterynarz została wywabiona z domu pod pretekstem konieczności leczenia konia. Zaprowadzono ją do lasu. Dalszy scenariusz nie jest znany. Kiedy córka nie wróciła do domu, matka zaczęła ją szukać. Także do domu nie wróciła.

Mycińskie zamordowano 5 sierpnia 1944 r. „Ludzie mówią (naocznymi świadkami), że przy podziale łupu, który zdobyli po Mycińskiej, chcieli się postrzelać sami między sobą, tak darli jak zgłodniałe wilki owcę znalezionej, o tym mi powiedział Stankowski Ignacy” – odnotował w swych zapiskach Dziuban. Duraczyński pamięta, że o maszynę do szycia ze „spadku” po Mycińskich przez kilka dni klóciły się dwie kobiety. Przy ludziach wymyślały sobie po latach z tego powodu. Ba... – Po wojnie wznowiono naukę w szkole. Córki „partyzantów” wywoływały zazdrość większości dziewcząt posiadaniem miejskiej bielizny – do dziś pamięta Janina Duraczyńska.

\* \* \*

Znalezienie kosztowności u Mycińskich okazało się także wyrokiem śmierci dla Binderowej. Chrześciana Felicji wie, iż jej chrzestna matka otrzymała wyrok podziemia wraz z datą jego wykonania. Nie wie, jaka była przyczyna tego wyroku. – Może pochodzenie – taką ewentualność dopuszcza.

Ale dlaczego, skoro był wyrok, nie rozstrzelali skazanej od razu? Odpowiedź wydaje się oczywista. „Partyzanci” oczekiwali haraczu za życie.

Fakt, że Binderowa była na oku partyzantów, potwierdza także Antonina Kwiek. Przyjaciel Binderowej, Stanisław Kubicz namawiał ją, aby udała się do Krakowa. Termin wykonania wyroku minął. Może Binderowa nie traktowała tych gróźb poważnie. Bywała tu przed wojną. Nie sądziła, że może spotkać ją coś takiego.

Przebieg tej akcji odtworzył sołtys Dziuban: „Po podziale łupu po zamordowaniu Mycińskiej i jej córki [...] zebrała się horda zwyrodniałców i za parę dni poszli po jej krewną czy siostrę do Chojnika, do Kwaśnej Marii, u której mieszkała biedna kobieta, która – jak twierdzą ludzie – nie miała za co nawet żyć, a była zdana na łaskę Mycińskiej – Binderowa z 16-letnią córką Basią. Podobno wystali jej wyrok śmierci przedtem. Zebrało się tych dzikich zgłodniałych wilków około 16 lub więcej, jak to było mówione”.

Najsmutniejsze jest, iż przewodnikiem tego oddziału był St. P.<sup>4</sup> – syn gospodarza, u którego mieszkały Mycińskie. Informacje z notatek Dziubana można zwerfikować na podstawie zeznania Marii Kwaśny, u której Felicja Binder wtedy mieszkała. Okazało się bowiem, iż PUBP w Tarnowie interesował się tą sprawą.

W środku nocy – 29 sierpnia 1944 r. – do domu Kwaśnych wdarło się kilku uzbrojonych partyzantów. Nie wiadomo ilu było na zewnątrz. Czy było ich w sumie aż 16? W to można wątpić. Za dużo do podziału. Chyba że... zachęcił ich przewidywany finał akcji. Zapewne powtórka z likwidacji Mycińskich.

Binderowa z córką spały w pokoju, zaś Maria Kwaśny z wnukami na strychu. Nie wiedziała, ilu było nieproszonych gości. Na strych weszło 3 lub 4, „określić nie mogę, bo oślepił mnie blask światła elektrycznej lampki”. Nie pozwolili jej podnieść się z pościeli. Jeden z nich coś cicho zapytał drugiego. – To nie ta – odpowiedział zapytany. „Pytali, gdzie Binderowa ma 25 tysięcy dolarów i te wszystkie walizy i kasetki, na co ja powiedziałam, że absolutnie nie widziałam u Binderowej żadnych dolarów” – zapisano w zeznaniu.

Dalej w zeznaniu z 1947 r.: „Po chwili wyszedł tylko jeden. Pytał o to samo co poprzednio. – Włos wam z głowy nie spadnie, tylko powiedzcie, gdzie są te wszystkie rzeczy i pieniądze. Głos ten poznałam. Był to głos mało męski, ale dziecięcy”. No i pada nazwisko St. P. z Lichwina.

Jednym ze śpiących na strychu wnuków Kwaśnej był wtedy 14-letni Tolek Bałut (zm. 2010). Znał dobrze St. P., widywał go zarówno w domu, jak odwiedzał Binderową, także paradującego w lesie z krótką bronią. On także rozpoznał jego głos.

Po przeszukaniu „wszystkie rzeczy jakie były w domu zabrali do worków na plecy i odeszli”. Zabrali z sobą Binderową i jej córkę<sup>5</sup>.

Zachowuję oryginalny język zapisu Dziubana. „Jak ta horda zwyrodniałców prowadzili tą kobietę i jej 16-letnią córkę do Lichwina do lasu, żeby ją tu zamordować, to po całej wsi Lichwinie chodziły odgłosy, że te kobiety zostały po drodze na śmierć gwałcone”.

Po wszystkim zostały zastrzelone w lesie zwanym Szmercówką, za domem Anny Kurczab koło domu Nogi Stanisława. Ciała wrzucili do leśnego rowu po dekun-kach – okopach z I wojny światowej – w którym już znajdowały się ciała Mycińskich. Łopatę pożyczyci od Anny Zborowskiej, zwłoki zasypali cienką warstwą ziemi.

Dziki co roku rozgrzebywały mogiłę. W 1950 r. jesienią (orano w polu pod uprawy) za sprawą sołtysa Tadeusza Reczka dokonano ekshumacji szczątków zakopanych w Szmercówce kobiet. Był przy tym kilkunastoletni Stanisław Duraczyński. – Zwłoki były poprzeraśnięte korzeniami. Ekshumacji dokonano miejscowymi siłami. Z ziemi wydobywał je Jan Zborowski przy asyście przedstawiciela SANEPID-u z Tuchowa. Włożono je do trumny wykonanej przez Stanisława Iwańca. Na cmentarz w Lichwinie wioził je swą furmanką Antoni Szarkowicz.

Mieszkający na Wołówce w Siemiechowie Edward Wojtanowicz o pogrzebie dowiedział się od Władysława Juchy, sąsiada pochodzącego z Lichwina. Udali się tam obaj. Na pogrzebie były tłumy. Za sprawą Jana Borowskiego, długoletniego nauczyciela i kierownika miejscowej szkoły (od 1933 do 1963 r.) w pogrzebie udział wzięła cała młodzież szkolna. Przybył też miejscowy proboszcz z kropidłem i poświęcił trumnę. Nie odnotował tego wydarzenia jako pogrzebu – nie ma wpisu w księgach metrykalnych, dlatego dokładna data tego pochówku nie jest znana.

<sup>4</sup> St. P. z Lichwina żyje, mieszka w Tarnowie.

<sup>5</sup> Zeznania M. Kwaśny, IPN KR 010/902



\* \* \*

Sołtys Dziuban, kronikarz okupacyjnych dziejów Lichwina, ludowiec z poglądów, w AK zakochany nie był. Dziubana znał Wojtanowicz. Spotykali się na weselach. Dziuban drużbował, Wojtanowicz grywał z zespołem. Oceniał go krótko: – Bezstronny, w Lichwinie szanowany, był sołtysiem w czasach okupacji, to nie było łatwe.

Dziuban był świadkiem rozmowy Kasprzoka z Józefem Lesiem z Batalionów Chłopskich<sup>6</sup>:

„Jak Stefanie coś zauważycie to zaraz likwidować, bo później może być za późno” – radził Kasprzokowi kolega z BCh. Może sąsiad należący do konkurencji partyzanckiej nie powinien mu dawać takich rad. Bowiem...

„Stefan Chrzanowski wykonywał jeszcze ponad normę, kto mu podpadł pod rękę to ginął z miejsca, nikogo nie oszczędzał, ale ani jednego Niemca nie zlikwidował, tylko ludzi niewinnych, sam mordował lub dawał rozkazy innym zwyrodnialcom, żeby mordowali bezwzględnie!”

Z notatek Dziubana można wyczytać, że „akowcy” (czytaj: ludzie Kasprzoka) zamordowali w Lichwinie – poza Mycińskimi i Binderkami – trzech Rosjan, „uciekierów z lagru” oraz czterech Polaków, w tym 12-letniego chłopaka z Mościsk, którego osobiście zastrzelił Kasprzok. Osobiście zastrzelił także jednego z Rosjan – Mikołaja, profesora, którego znała matka Chrzanowskiego i już po wyzwoleniu mówiła, że „go niepotrzebnie zastrzelili, że on u niej przebywał, ale się Stefanowi nie podobał, więc go postanowili zastrzelić”. Jest też informacja, że „leży on w obrębie Chrzanowskiego Stefana w lesie”.

Szczegóły zabójstwa chłopca „lat około 12 w ubraniu harcerskim”, który poszukiwał swego ojca zawarto na kilku stronach zapisanego zeszytu. Ten incydent sam w sobie mógłby być celem specjalnych dociekań. Nie zamierzam tego czynić, ale opisana historia wzmacnia we mnie podziw dla wiejskiego sołtysa, który poświęcił wiele czasu, przeprowadził wiele rozmów i je opisał w celu zabezpieczenia źródeł do opracowania okupacyjnych dziejów swej wsi. Przypadkiem zbrodnię tę widział „Józef Wróbel, syn Jana i Barbary Patyk i coś o tym powiedział do ludzi”. Dotarło to do Kasprzoka. I pechowo ów świadek natknął się w lesie na patrol partyzantów z Kasprzokiem, który chciał go sprzątnąć. „Ale ten drugi akowiec mówił do Chrzanowskiego Stefana, że puść go, on nam nigdzie nie ucieknie, więc go puścili”. Jest jeszcze ważna (wtedy) informacja, że mogący to wszystko poświadczyć Wróbel mieszka w Przyleniu koło Brzegu.

Kim był ojciec 12-latką? Dlaczego w Lichwinie szukał go harcerzyk?

„Spoczywa niewinny chłopczyk w lesie na tak zwanych Zbyrkach, koło Zborowskiego Jana, ówczesnego gajowego. Taki był dobry Polak, Chrzanowski Stefan [...], kuzyn hitlerowski, morderca niewinnych kilku ludzi, którzy się ukrywali przed okupantem, a zostali wystrzelani po lasach lichwińskich przez polskich obywateli gorszych od psów wściekłych”.

Wojtanowicz znał Kasprzoka, także jego brata Władysława i siostrę Helenę. Oboje przychodzili na Wo-

łówkę, gdzie do dziś mieszka. Wie, iż Kasprzok tuż po wkroczeniu Rosjan zastrzelił także Pietrusia, młodego człowieka z Pleśnej, który mu służył. „Pucował mu buty”. Został zabity, gdyż zdradził się, iż może ujawnić, gdzie ma schowaną broń. Zwłoki Pietrusia zostały znalezione w lesie, twarz miał oblaną kwasem, aby go nie rozpoznać. Kiedy okazało się, że Pietruś zaginął, jego ojciec pojawił się w Lichwinie z pytaniem, co się z nim stało.

Ludzie opowiadają także, że po zamordowaniu Pietrusia w Szmercówce pojawił się jego duch w postaci białego psa, który ponoć szczerkał.

\* \* \*

W strukturze akowskiego wywiadu działali mieszkańcy z Lichwina: Józef Zborowski oraz Józef Kras nie należący do oddziału Kasprzoka. Znał ich Stanisław Durczyński. Z ich informacji wynika, że partyzanci zwierzchnicy Gruszki mieli świadomość konsekwencji działalności jego oddziału. Prawdopodobnie zapadła już decyzja o likwidacji komendanta. – Mieli przyjąć z Jamny i zrobić z nim porządek. Lecz coś im przeszkodziło i do tego nie doszło – na podstawie rozmów z nimi przekonany jest Durczyński.

Aby było ciekawiej, porządek z „hordą” Kasprzoka zrobiło NKWD. Na skutek donosu po wkroczeniu Armii Czerwonej jednego z akowców na początku marca 1945 r. po Kasprzoka przyjechał oddział NKWD. Związali mu ręce i wsadzili do wojskowego dodge’a. W trakcie transportu do Tarnowa zdołał je oswobodzić i na zakręcie za Tuchowem w Porębie Radnej wyskoczył z samochodu. Postrzelony został serią z pepesy fosforujących kulami w pachwinę. Natychmiast wywiązała się gangrena. Zmarł – podobno po trzech dniach – 6 marca 1945 r. w szpitalu. Pochowany został cztery dni później.

Z notatek Dziubana wynika, że wszyscy związani z „akcją podziemną” likwidacji Binderki fatalnie wyszli na próbie szybkiego wzbogacenia się. – Zginęły cztery kobiety niewinnie, a zwyrodnialcy myśleli, że się i na Binderowej tak wzbogacą jak się wzbogacili po zamordowaniu Mycińskiej – podsumował ich Dziuban. Zamiast oczekiwanego złota – hańba. „Ale po wyzwoleniu tak się warunki ułożyły, że wszyscy krwiożercy zginęli w innych okolicznościach” – odnotował sołtys Dziuban. „Zaś reszta, ci co żyją, to pouciekali gdzieś, że nikt o nich nawet nie wie, bo się boją swojego losu, co robili podczas okupacji na terenie Lichwina i gdzie indziej, ani się nie ubiegają o odznaczenia, że walczyli z okupantem”.

Po przeczytaniu powyższych słów zrozumiałem, dlaczego nazwisko Kasprzoka nie pojawia się w źródłach i opracowaniach na temat partyzantki z czasów II wojny światowej. Dla historyków Kasprzok nie istnieje, nie istnieje także placówka AK w Lichwinie. Nie istnieje, bo w Archiwum ZBoWiD-u nie ma żadnych oświadczeń akowców z Lichwina. Nie napisali, bo nie mieli się czym chwalić. Przeżożeni Kasprzoka zaś nie mieli żadnego powodu, aby przypominać o jego istnieniu.

Myślę, że Kasprzok zasługuje na więcej niż niepamięć. Zasługuje na potępienie.

Krótko po likwidacji Binderowej, 23 października 1944 r. właśnie w Lichwinie dokonano rozformowania akowskiego batalionu Barbara, który od 4 sierpnia 1944 r. pod dowództwem kpt. Eugeniusza Borowskiego (ps. Leliwa) prowadził w ramach Akcji „Burza” regularne

<sup>6</sup> Józef Leś (1900-1969), ludowiec od 1921 r. W czasie okupacji walczył w Batalionach Chłopskich. Po wojnie działacz PSL. W 1947 został posłem na Sejm z okręgu Tarnów.

partyzanckie działania dywersyjno-bojowe wobec hitlerowskiego okupanta na Ziemi Tarnowskiej. Tu dowódca batalionu pożegnał się ze swoimi żołnierzami. Działo się to na terenie komendanta Gruszki.

17 października 2009 r., w 65. rocznicę tego wydarzenia odbyły się w Lichwinie uroczystości poświęcone zakończeniu walk przez ten batalion – w pobliżu miejsca, gdzie Leliwa żegnał się ze swoimi żołnierzami. Podczas tej uroczystości nie przypomniano postaci miejscowego komendanta<sup>7</sup>. Większość uczestników uroczystości zapewne nigdy nie słyszała o sierżancie Gruszce. Ale pamiętała go licząca 87 lat łączniczka AK na tym terenie, Stanisława Caba.

Zapytałem czy nie dziwi jej nieobecność Gruszki w literaturze na temat AK. Przyznała, że tak. Dziwi ją, tym bardziej że „Gruszka zakatowany został przez UB”. Zastrzega, że nic nie wie na temat motywów likwidacji Binderowej i jej córki. Była tylko łączniczką, nie informowano jej o istotnych sprawach, z przezorności, aby ich nie ujawniła, gdyby wpadła w ręce gestapo. Pamięta, że w środowisku dawnych partyzantów mówiło się później, że Binderowa miała kontaktować się z jakimś ruskim oficerem.

– Ale czy to prawda, tego nie wiem – sama dodała.

\* \* \*

Do dziś w Lichwinie i najbliższej okolicy opowiada się o Kasprzoku. Głównie za sprawą zrabowanych przez niego kosztowności. Powtarza się, że po zatrzymaniu, być może podczas pobytu w szpitalu chciał się skontaktować z rodziną, aby przekazać informacje, gdzie zakopał zrabowane przez siebie skarby. Ba, od kilku osób słyszałem, że jego nieżyjący już brat Władysław „przekopał cały las” i nic nie znalazł. Przyjeżdżali także jego koledzy na przekopki w tym lesie. Wojtanowicz wie od nieżyjącej Anny Zborowskiej, że matka Kasprzoka nie żałowała syna, natomiast lamentowała: „żeby mi był powiedział, gdzie zakopał kosztowności”. Duraczyński słyszał od brata Kasprzoka: – Gdybym znalazł to, co brat zakopał, to bym miał zapewniony byt i cała moja rodzina – do śmierci.

Fakt, że Władysław Chrzanowski wierzył, iż jego brat zakopał kosztowności, potwierdza działający na terenie Lichwina TW Bury, jeden z byłych partyzantów, który podjął współpracę z PUB w Tarnowie. Po latach ujawnił w swym raporcie: „W roku 1946 lub 1947 poszukiwał koło domu złota, które miał zakopać jego brat Stefan, oraz broni i w tym poszukiwaniu nawet ja brałem udział, wraz z Chrzanowskim Władysławem i nic nie znaleźliśmy”<sup>8</sup>.

Pamięć zbiorowa jest elementem kulturotwórczym i rozwija się przeważnie niezależnie od realiów historycznych. We wspomnianych książkach na temat działalności lokalnej partyzantki opublikowano listę 52 [!] żołnierzy Armii Krajowej poległych w walkach z hitlerowskim okupantem, prowadzonych w ramach akcji Burza w dniach 27 VII-31 X 1944 r. To prawdopodobnie ta akcja sprawiła, iż sierżant Gruszka nie został przez AK zlikwidowany.

Nie dziwi mnie jednak, iż żaden z moich rozmówców nie wspominał nawet o tej chlubnej karcie lokalnej partyzantki. Likwidacja Felicji Binderek nastąpiła,

kiedy inni partyzanci ginęli w walce z autentycznym wrogiem. Rabowanie bezbronných kobiet w rezultacie zaważyło na ocenie całej partyzantki. Nie twierdzę, że w przekonaniu wszystkich mieszkańców. Na pewno tych kilkudziesięciu, z którymi rozmawiałem. Za sprawą działalności komendanta AK w Lichwinie o morderstwach będących udziałem zwyrodnialców pamiętać będzie się dłużej.

Na negatywną ocenę partyzantki na tym terenie wpływa również fakt, że po wojnie partyzantcy kombatanci znacznie się rozmnożyli. Kumpel potwierdzał kumplowi udział w ruchu oporu. O jednym z partyzantów ustyszałem: – On nawet nie widział partyzantki. Dodatek kombatanski pobiera.

\* \* \*

Praca nad tym tekstem stała się dla mnie historyczną terapią. Współpracy odmówiły mi tylko dwie osoby na kilkadziesiąt rozmówców. Z niektórymi spotykałem się kilkakrotnie. Zaledwie kilku było świadkami tamtych czasów. Pozostali dzielili się tymi strzępami wspomnień rozmów z osobami, u których opisane wydarzenia pozostawiły trwałe ślady w pamięci. Odczuwałem pełne poparcie dla podjętej próby wyjaśnienia okoliczności tej „akcji podziemnej”. Ba, za sprawą moich rozmówców lista informatorów powiększała się.

Kilka tygodni po wizycie na cmentarzu w Lichwinie zatelefonowała do mnie poznana tam pani Dorota z krótkim pytaniem. – Interesują pana jeszcze te Żydówki z Lichwina?

– Tak.

– To proszę się skontaktować ze Stanisławem Duraczyńskim, wiceprzewodniczącym Rady Gminy Pleśna.

Okazuje się, że ten nagrobek to efekt kilkuletnich starań właśnie państwa Janiny i Stanisława Duraczyńskich. To współczesny wymiar losu Basi Binder.

Rodzinny dom Duraczyńskiego znajdował się przy drodze prowadzącej do „lagru” – obozu, w którym byli przetrzymywani hitlerowscy więźniowie. Czasami przechodzili obok ich domu. Żle ubrani, wynędzniali. Duraczyńska mama, z zawodu krawcowa, ze starych ubrań szyła jakieś fuchy, robiła z nich zawiniątko, do których wkładała własnoręcznie pieczony chleb, tobołki przerzucano za ogrodzenie „lagru”.

Okolicznościami śmierci Mycińskich i Binderek długo żył cały Lichwin. Ich pochówek pozostawił trwały ślad w mentalności obojga Duraczyńskich, w 1950 r. jeszcze dzieci. – Grób był zaniedbany, ludzie po nim chodzili. Mąż zawsze 1 listopada stawiał na nim znicze. To co mnie najbardziej bolało, to że ta zbrodnia nigdzie nie jest odnotowana. Teraz już jest – Duraczyńska tłumaczy motywy ich działania. A nie było to przedsięwzięcie łatwe. – Staszek daj temu wszystkiemu spokój – mówili Duraczyńskiemu.

Korespondencję w ich imieniu prowadziła Janina. Początkowo nie znali nawet danych osobowych pomordowanych. W sprawie „znajdującej się na cmentarzu parafialnym w Lichwinie zaniedbanej mogiły ofiar terroru – czterech kobiet ze Lwowa” pisali do IPN już w 2002 r. Nadeszła odpowiedź: „brak jest akt w tej sprawie”. Duraczyńska zainteresowała Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Rada pismem z 20 listopada 2002 r. przesłała sprawę dyrektorowi Wydziału Polityki Społecznej Małopolskiego Urzędu Wojewódz-

<sup>7</sup> <http://www.miplo.pl/point.php?&p=tyKZr2we>

<sup>8</sup> IPN Kr 009/7692 t. 1 s. 145.

kiego. Ten początkowo nie zrobił nic. Więc kolejny list do Rady.

List Rady z 26 sierpnia 2003 r. musiał sprawić satysfakcję Duraczyńskim. Jest w nim mowa, że Małopolski Urząd Wojewódzki „rozważy przyznanie dodatkowych środków finansowych na remont wspomnianej mogiły w roku przyszłym”. Ważna była sprawa napisu na tablicy nagrobkowej. Nie jest to przecież prywatny grobowiec. Poprzez Polski Czerwony Krzyż poszukiwali krewnych ofiar, pisali nawet do Konsulatu Ukrainy, aby znaleźć ślady ich pobytu w Lwowie. Także do Archiwum Państwowego w Tarnowie. Tu także brak źródeł w sprawie „zamordowanych osób o nazwiskach Mycińska i Binder”.

Duraczyńscy sami podjęli kroki w celu ustalenia, kim były ofiary Kasprzoka. Dotarli do zamieszkałej w Krakowie rodziny sołtysa z czasu okupacji i na podstawie zachowanej księgi meldunkowej ustalili dane, które znalazły się na tablicy nagrobkowej. W księgach znajdowało się błędne imię Felicji Binder, brak jej wieku i prawdopodobnie błędne nazwisko Micińskich.

Także za sprawą Duraczyńskich 22 czerwca 2004 r. sekretarz ROPWiM Andrzej Przewoźnik uprzejmie prosi urząd wojewody małopolskiego „o podjęcie działań mających na celu uznanie przez wojewodę małopolskiego wspomnianej mogiły za grób wojenny, zgodnie z ustawą z dnia 28 marca 1933 r.”

\* \* \*

Nie ukrywam, iż „Osełka” ma dla mnie także wymiar osobisty. Przywoływani we wstępie Zofia i Kazimierz to moje starsze rodzeństwo. Tę tytułową osełkę mała, dawali czy sprzedawali Felicji Binder moi rodzice. Dowiedziałem się o tym u schyłku pierwszej dekady XXI w. Toteż nie potrafię podejść do tej zbrodni bez emocji. I więcej zrozumienia mam dla anonimowego oprawcy, który – być może bez jakichkolwiek emocji – strzelał w tył głowy ppor. Stanisława Bindera niż do sąsiada z Lichwina, który chciał wzbogacić się na tragicznej sytuacji jego żony i córki, uczestniczył w gwałcie zbiorowym, a na końcu zastrzelił je. Nie twierdzę, że osobiście. Nie wiem kto pociągnął za spust. Nie ma to dla mnie żadnego znaczenia.

Kat ojca Basi był NKWD-owcem, a jej i matki oprawca – kapralem WP. Barbara Binder mogłaby dożyć do dziś. Na pewno nie powinna umrzeć tak młodo i w takich okolicznościach. Na pewno jej oprawca nie powinien być akowcem.

Na jednym spotkaniu z trójką mieszkańców Chojnika, w pobliżu osławionego lasu Szmercówka, który wraz z Kasprzokiem tak mocno zapisał się w zbiorowej pamięci czterech wsi, Józefa Nowak (ur. ok. 1940) zadała mi proste pytanie. – Dlaczego dopiero teraz, po tylu latach ktoś interesuje się tą sprawą? – Pytanie to można odebrać jako zarzut lub przynajmniej zdziwienie. Że tak późno.

O napisaniu tego tekstu myślałem od kilkunastu miesięcy. Zniechęcał mnie obrzydliwy wymiar zbrodni. Przestałem mieć wątpliwości po zobaczeniu programu Tomasza Lisa z Janem Grossesem po wydaniu książki *Krwawe żniwa*. A konkretnie po usłyszeniu argumentów „prawdziwych Polaków” zarzucających Grossowi zniesławianie narodu polskiego.

**JERZY S. ŁĄTKA**

## JULIAN KAWALEC

### Ż A L

Harcuję zuchwale po czasie minionym  
Pamięć najłatwiej odnajduje  
to czego najbardziej żał  
A czego żał najbardziej?  
Czy tych słonecznych  
roziskrzonych dni  
tych bujnych krajobrazów  
Tej otwartej przestrzeni  
przemierzonej w galopie  
na grzbiecie karej kobyłki  
Czystej głębokiej wody  
Dużych rzek  
wyznaczających granice  
mojej małej ojczyzny

Żał tego  
i wielu innych rzeczy także  
ale najbardziej to może takiego  
ciepłego wieczoru w środku lata  
gdy wszyscy po robotach w polu  
i zajęciach przy zwierzętach  
zeszli się w domu  
i usiedli  
w kuchni

*Autorowi*

*– z okazji 95 Urodzin –*

*najserdeczniejsze życzenia zdrowia,  
dobrego samopoczucia oraz aktywności twórczej*

*składają przyjaciele*

*ze „ZDANIA”*



KRZYSZTOF MROZIEWICZ

# PRAWDOPODOBNIENIE NAJGORSZY PREZYDENT AMERYKI PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ

## *O pamiątkach Busha<sup>1</sup> juniora krytycznie*

Najpierw<sup>1</sup> palił, rzucił, żeby przejść na tytoniową, potem na żucie tytoniu, skończył na cygarach. Pił wszystko. Piwo z kumplami, wino na uroczystościach prywatnych, brendy i burbona w samotności. Eksperymentował z alkoholem na różne sposoby. Swoje 40 urodziny świętował kompletnie pijany. Włał butelkę wódki do akwarium siostry. Rzucenie nałogu to była najtrudniejsza decyzja.

Przynajmniej do egoizmu. Jako przykładowy Amerykanin z Teksasu na podstawowe pytania dotyczące życia szukał odpowiedzi w *Piśmie Świętym*. Stał się nieznośnie wierzącym fundamentalistą protestanckim.

Tu warto zrobić dygresję o religii w Białym Domu:

### Fundamentalizm prezydenta

„Ajatollah Ameryki”, George W. Bush to jeden z bohaterów książki francuskiego politologa i religioznawcy Sebastiena Fatha<sup>2</sup>. (*Religia w Białym Domu*, Wydawnictwo Akademickie „Dialog”). Autor twierdzi, że elita ewangelicka, fundamentalistyczna i postępująca sekularyzacja społeczeństwa to trzy wektory rozdzielające Amerykę.

Po inwazji na Irak zaczęto nazywać Busha wika-rym Pana Boga. Jest on metodystą. Cechowała go demonstracyjna religijność i częste odwoływanie się do Boga w przemówieniach. Ibn Ladin z kolei przeprowadził atak na WTC w Nowym Jorku 11 września 2001

roku też przecież nie jako ateista. Bush odpowiedział atakiem w Afganistanie i Iraku w imię Boga. W tradycji judeo-chrześcijańsko-islamskiej Bóg wszędzie istnieje ten sam. Na dżihad po muzułmańsku trzeba odpowiedzieć dżihadem po chrześcijańsku?

Prezydent James Carter był prowincjonalnym pastorem, ale w Białym Domu starał się być prezydentem, który co wieczór przed snem czyta, jak w hotelu, usypiające psalmy. Był żarliwym ewangelikiem, ale fundamentaliści uznawali go za liberalnego eksponenta lewicy.

William Jefferson Clinton, należał do 16-milionowej Southern Baptist Convention, ale w stosunku do kobiet zachowywał się tak, jak gdyby był wyznawcą judaizmu, gdzie seks nie jest grzechem. Prezydent George Bush senior nie był tak żarliwym wyznawcą jak syn, choć był diakonem. Tu przypomnijmy, że termin „fundamentalizm” ukuto w USA w latach 20. ub. wieku na określenie przywiązania protestantów do *Pisma Świętego* w wersji wyklętej przez katolików, której nie można interpretować inaczej, jak to robi pastor, i na której, jak na fundamencie powinny się opierać wszystkie instytucje państwowe. Nie udało się. W USA oddzielono państwo od Kościołów w sposób osobliwy – nie oddzielono polityki od religii. Prezydent zawsze działa w imię Boga, żeby mieć współnika do odpowiedzialności.

W Ameryce działa od 225 do 1000 organizacji religijnych. Najliczniejszym odłamem jest Kościół katolic-

<sup>1</sup> George W. Bush, *Kluczowe decyzje*, Warszawa 2011.

<sup>2</sup> Sebastian Fath, *Religia w Białym Domu*, Wątrszawa 2005.

ki, który skupia 60 milionów wiernych, pochodzących głównie z Irlandii, Polski, Włoch i Meksyku. Pozostałe społeczności to protestanci, elita – WASP (White Anglo-Saxon Protestants). Głównym oddziałem protestanckim są baptyści podzieleni na wiele różnych grup. Oprócz katolików i baptystów, modlą się także metodyści, luteranie, prezbiterianie, zielonoświątkowcy, episkopaliści, kongregacjoniści, mennonici, adwentyści, bracia morawscy, kalwiniści, spirytualiści, unitarianie i amisz. Poza chrześcijanami, aktywni są mormoni (6 mln) i świadkowie Jehowy (2 mln). Dalej mamy doskonale zintegrowanych Żydów (6 mln) i tyle samo mułmanów oraz 200 tysięcy buddystów (Richard Gere i Uma Thurman). Kościoły chrześcijańskie konkurują na wolnym rynku religijnym. O ile Francuz wierzący jest tylko „połowicznym” obywatelem, o tyle wierzący Amerykanin jest podwójnym obywatelem. We Francji krajobraz religijny jest wyblakły, a debaty polityczne – ostre. W USA odwrotnie. Różnic między Republikanami a Demokratami prawie nie ma, za to spory toczą się między religiami. Stąd pojęcie religia obywatelska, popierająca państwo, od którego jest oddzielona. Jak komunizm w Rosji, tak religia obywatelska stała się w USA formą aroganckiego nacjonalizmu.

Prezydent Eisenhower: „Nasz system rządów ma sens tylko wtedy, gdy opiera się na głębokiej wierze. Mniejsza o to w jakiego Boga”. Zakaz modlitwy w szkole to jedno, a przysięga prezydenta w obecności rabina, pastora i biskupa to drugie. Obrady Kongresu zaczynają się od modlitwy. I telewizyjne śniadanie z modlitwą zainicjowane przez Eisenhowera to rytuał, jak obiady czwartkowe Stanisława Augusta.

W czasach Nixona regularnie odprawiano nabożeństwa w Białym Domu. George W. Bush stał się abstynentem pod wpływem odnowionej religii Billy Grahama, czarownika prezydentów. Jest amerykańskim oligarchą i pragmatykiem. „Zwycięstwo to najważniejsze kryterium prawdy”. Kierowała nim intuicja i problem alkoholowy. Był marnym uczniem, tylko historia nie sprawiała mu trudności. Był marnym mówcą i kiepskim biznesmenem. Clinton – według pobożnych Amerykanów poganin – co niedzielę z modlitewnikiem brał udział w nabożeństwie. Bush tego nie potrzebował, poza Camp David. Za to często się modlił.

Już w pierwszym rozdziale pamiętników (*Kluczowe decyzje*) widać, że jest to książka napisana nie bez talentu *ghost-writera* (pisarza-ducha, czy jak chce Roman Polański pisarza-widmo).

### Prywatność w grze

Początek dotyczy rodziny i bliskich. Amerykanie to lubią, choć kiedy indziej awanturują się o naruszanie prywatności. Ale to jest PR-owskie wyznanie. Przyznaje, że największe problemy na poziomie szkoły średniej miał z językiem angielskim. Zresztą miał z tym problemy do samego końca prezydentury. Był kibolem jako student Yale. Zniszczył po popijawie bramkę przeciwników z Princeton. Wybrał sobie przedmioty, które go fascynowały. Za prezydentury trudno się było domyśleć, że studiował cokolwiek, a zwłaszcza astronomię, urbanistykę, archeologię, literaturę hiszpańską, haiku, nauki polityczne i komunikację masową. Przyznaje, że niewiele mu to dało. Jego relacje z mediami były korzystne dla mediów

przez cały czas prezydentury. Innymi słowy miał złą prasę. Był medialny inaczej.

Na zajęciach z historii studiował metody Napoleona i Stalina oraz sposoby konstruowania przemówień czterominutowych: wstęp, trzy główne punkty, perrora i wnioski. Po studiach był sprzedawcą-komivojazerem, pomocnikiem oborowego, specem od grzybiarstwa i pilotem bojowym.

Potem kolega zapisał go na Uniwersytet Harvarda, gdzie uczył się księgowości. Pojechał z ojcem do Chin na czas rewolucji kulturalnej. Ojciec był tam ambasadorem. W Pekinie przypomniła mu się Rewolucja Francuska, której Amerykanie nie lubią, bo zaczęła się wkrótce potem, jak król Ludwik XVI w obecności prowincjonalnego adwokata Maksymiliana Robespierre’a pożyczyl ówczesnemu ambasadorowi USA Abrahamowi Lincolnowi mnóstwo złota podkreślając, że nie chciałby w przyszłości przypominać Amerykanom o potrzebie zwrotu pożyczki. Nie przypomniał, bo położył głowę pod ewangelię.

Bush junior pisze, że w Pekinie spędzał czas w szkole biznesu. Jakiego biznesu? Czy rewolucja kulturalna była wstępem do reform Deng Xiaopinga, którego włóczono w czapie hańby po ulicach Pekinu, bo kroczył kapitalistyczną drogą? Czy Bushowi nie pomylił się subiekt z obiektem?

Dużo jest o miłościach brata o imieniu – za przeproszeniem – Jeb Bush, który był gubernatorem Florydy, do jego narzeczonej, Columby, i autora do Laury. Oczywiście Bóg mu ją zesłał w odpowiednim momencie. Ale nie zesłał potomka, mimo że się starali. Jeb Bush powziął decyzję o adopcji. Aż tu Laura zachodzi w ciążę i nosi bliźniaczki-dziewczynki. Palec Boży. Urodziły się w przeddzień Święta Dziękczynienia.

Naftowa firma Bushów wierciła w Teksasie. Najczęściej były to tak zwane suche dziury. W owym czasie (1986) cena ropy spadła z 26 do 10 dol. Za baryłkę. Pięknie wyglądają te liczby dziś, prawda?

Przyznaje, że religia zawsze (lecz nie w czasie pijaństwa?) była częścią jego życia, ale że nie (nie!) był głęboko wierzący. Nie umie odpowiedzieć na pytanie, czy był alkoholikiem, ale wie, że był natogowcem. I że wiara, choć płytka, pomogła mu zerwać z nałogiem. Chciał mieć taką kondycję jak ojciec. Bush senior świętował 75 urodziny skacząc ze spadochronem. Mimo że biegał, kondycja juniora pozostawiała wiele do życzenia. Kiedy przyjechał z wizytą oficjalną do Japonii, ambasador dla relaksu wyciągnął go na kort tenisowy, gdzie grali godzinę. Upał i wilgoć japońska nie różnią się tak bardzo od warunków na Florydzie, ale Bush się zmęczył. Wieczorem odbył się oficjalny bankiet wydany przez cesarza, który jest osobą boską, więc prezydent nie może siedzieć naprzeciwko, lecz obok, po prawej stronie. W pamiętnikach Busha nie ma o tej wizycie ani słowa. Kiedy zbliżał się moment toastów, dostojny gość poczuł się słabo, położył głowę na sztuczkowych spodniach cesarza i ozdobił je treścią żołądkową. Ambasador zapadł się pod ziemię. Cesarz niczego nie zauważył.

### Humor i jego zaprzeczenie

Pisze o sobie, że często wykorzystywał humor. Tymczasem mamy wrażenie, że był pozbawiony po-

czucia humoru. Oto próbka: jako gubernator Teksasu poszedł z jakimiś projektami do wicegubernatora, dużej szczy z opozycji. Usłyszał: „gubernatorze, pieprzę cię, sam to przeprowadzę”. Bush odpowiedział: „jeśli chcesz mnie pieprzyć, to najpierw daj buzi”. Ulubionym dowcipem Busha była anegdota dotycząca Churchilla, którego w Białym Domu przyłapał Roosevelt na wychodzeniu z wanny. Churchill powiedział: „przed prezydentem USA nie mam nic do ukrycia”.

Pisze też, że bycie dzieckiem polityka jest trudniejsze od bycia samym politykiem. To chyba nie jest prawda.

Pomógł zdobyć Fordowi „całe zero delegatów”. To musiał napisać za Busha *ghost-writer*, jeden z czterech, którzy tworzyli tę książkę.

Kiedy ojciec został prezydentem, syn kupił bejsbolową drużynę Rangersów. Rozbudował stadion. Nadzorca budowlanemu zaoferował potem stanowisko ambasadora w Japonii. Ten zrewanżował mu się wspomnianą partią tenisa. Ambasadorowie USA pochodzą w co drugim przypadku z nominacji politycznej. Pozostała część to profesjonaliści, których wysyła się do takich krajów jak Polska, Kazachstan czy Arabia Saudyjska, kiedyś Chiny. Najbardziej pożądane przez Amerykanów stanowiska dyplomatyczne wiążą się z wyjazdem do Londynu lub Paryża. Na pewno nie do Tokio, gdzie pamięć Hiroszimy jest ciągle żywa.

Kiedy po Clintonie Bush junior stawał do wyborów, w debacie telewizyjnej zapytano go, z którym filozofem utożsamia się najbardziej. Z Chrystusem – powiedział bez namysłu. Jezus odmienił jego serce i uwolnił go od wódki. Ale po namyśle uznał, że nie ma metodystycznych lub judaistycznych czy muzulmańskich sposobów rozwiązywania poważnych kwestii w polityce. Mordercza kampania przeciwko Demokratom, którym przewodził Al Gore, zakończyła się stresującym oczekiwaniem na wyniki wyborów na Florydzie, które musiał interpretować Sąd Najwyższy tego stanu. Pytałem ambasadora USA w Delhi, Richarda Celeste, dwukrotnego gubernatora stanu Ohio, przyjaciela Clintona, kto będzie prezydentem. Odpowiedział – wybory wygra Al Gore, ale prezydentem będzie Bush. Sąd (nominowany przez Republikanów) ustalił przewagę Busha na Florydzie nad Al Gorem liczbą 537 głosów. I to w kraju, w którym głosowało ponad 100 milionów obywateli!

Szefem personelu został Andy Card, zastępca Sununu (Air Sununu); Bush senior usunął go za nadużywanie samolotów prezydenckich, którymi latał do dentysty. Chaney był mało ważnym doradcą seniora, u juniora został wiceprezydentem. Condolezza Rice, sowietologini i młoda pani rektor Stanfgord University została przedstawiona juniorowi przez seniora. Colin Powell, za seniora szef Kolegium Szefów Sztabów, który pokonał – bagatela – generała Manuela Noriegę, dyktatora Panamy, dowódcę armii złożonej z 5000 policjantów i strażaków, został sekretarzem stanu. Stanowisko sekretarza obrony z rekomendacji Condi Rice otrzymał Don Rumsfeld, sekretarz obrony u Forda, który mianował seniora szefem CIA. Następcą Rumsfelda u juniora został Bob Gates, szef CIA za seniora. Za juniora szefem CIA pozostał George Tenet, greckiego pochodzenia urzędnik o wyglądzie i ubiorze robotnika. W tej sytuacji jedyny nie od starergo Busha.

Zatem zasadne wydaje się pytanie: ile Busha seniora w rządzie Busha juniora?

### Apokalipsa

Bałagan konstrukcyjny w książce widać już w połowie trzeciego rozdziału. Najpierw mowa o reelekcji i o błędach w Iraku jeśli chodzi o traktowanie jeńców, i ani słowa o decyzji w sprawie wejścia. Ani słowa o Afganistanie. Za to sporo o niesnaskach między Powellem i Rumsfeldem. Powell był rozgoryczony brakiem powodzenia w poszukiwaniu broni masowej zagłady w Iraku. A kto twierdził, że broń tam jest? Bush, który oszukał prezydenta Kwaśniewskiego, o czym prezydent mówił osobiście i to w ostrych słowach. A Bush zaczął być rozgoryczonym z powodu drastycznego pogorszenia się sytuacji w Iraku. Stary Bush po Kuwejcie mógł obalić Husajna. Nie zrobił tego, bo wiedział, czym by się to skończyło. A skończyłoby się tak, jak się kończy teraz, za Obamy, następcy Juniora. Jeśli się w ogóle kończy.

Prezydent tłumaczy się, że w sprawie broni masowego rażenia w Iraku oszukał go wywiad brytyjski, który podał, że Irak próbował kupić uran w Nigrze. Jak się okazało, była to prowokacja dziennikarska. Nie wyjaśnia Bush, dlaczego nie zweryfikował wiadomości mając 16 różnych wywiadów. Tak mu się spieszyło. List intelektualistów, żeby atakować, podpisali tacy wielcy jak Francis Fukuyama... Nawiasem mówiąc, w indeksie nie ma tego nazwiska. (U Clintona, w *Moim życiu*<sup>3</sup> też go nie ma).

Jeśli idzie o podstawowe zagadnienia etyki chrześcijańskiej, Bush pisze o komórkach macierzystych i aborcji wyrażając poglądy biskupów Łomży i Przemysła. Ale impulsem do tego była rozmowa z Janem Pawłem II w Castelgandolfo. Papież zajmuje we wspomnieniach Busha mniej niż pół strony. Jest komplementowany proporcjonalnie do swego znaczenia w kulturze i polityce światowej. Ale wydają się te komplementy dość powierzchowne. O pogrzebie papieża i udziale Busha w uroczystościach jest nieco więcej.

Dzięki doradcom Bush wymyślił, że pozwoli się na badania, ale tylko nad populacjami, które powstały z embrionów już zniszczonych.

Nie wolno zabijać embriona, to jest początków życia, żeby dzięki tak uzyskanemu materiałowi komórkowemu ratować inne życie, już rozwinięte, ale chore. To teologia Busha I. Ale kiedy 11 września 2001 roku porywacze zaatakowali WTC i Pentagon, prezydent wydał rozkaz zestrzelenia każdego samolotu, który nie podporządkuje się rozkazom sił przechwytyjących. Że zginą niewinni pasażerowie – trudno. Uratuje się wiele istnień ludzkich na ziemi. To teologia Busha II.

W chwili ataku na WTC był w szkole na Florydzie. Na wiadomość o ataku polecił natychmiastowy powrót do Waszyngtonu. Agenci ochrony zawrócili samolot Air Force One do Luizjany wbrew sprzeciwom, a nawet rozkazom prezydenta, który skarżył się na żałosny stan łączności w swoim samolocie. Nie było nawet telewizji. Czerpali wiadomości z lokalnych stacji, ale nie w powietrzu. Bush z samolotu prezydenckiego nie mógł się tego krytycznego dnia połączyć nawet z Kapitołem. Brak łączności elektronicznej to jednak nic w porównaniu z brakiem łączności między ludź-

<sup>3</sup> Bill Clinton, *Moje życie*, Warszawa 2004.



mi czy raczej z nadmiarem fałszywej łączności, która polegała na tym, że Bush był zasypywany setkami przerażających doniesień o apokalipsie, a wszystkie były zmyślane. Wybiegając naprzód powiemy, że podczas szczytu OPEC w Szanghaju (który Bushowi przypominał Las Vegas, chociaż w Szanghaju było wtedy więcej ponadstąpiętrowych wieżowców niż w całych USA) rozległ się alarm detektora biologicznego, że w Białym Domu znajduje się gdzieś jad kiełbasiany. Panika wybuchła ze zrozumiałych powodów. Ibn Ladin kupił w Czechach linię do produkcji botuliny, jadu, którym chciał zatruć akwedukty i wodociągi w milionowym mieście cywilizacji zachodniej. Alarm okazał się fałszywy.

Relacja o katastrofie czwartego samolotu przedstawiona w książce jest niejasna. Pasażerowie postanowili zdobyć kokpit. Skąd wiedzieli, kto tam jest? Może zdobywali kokpit, gdzie za sterami siedział pilot amerykański, a nie porywacz? Bush nazywa to aktem najwyższej odwagi. Na jakiej podstawie? Przewożono prezydenta z bazy do Waszyngtonie było niebezpiecznie, a Amerykanie myśleli tymczasem, że ich prezydent zgubił się albo zagubił, kiedy powinien być razem z nimi na ulicy w Waszyngtonie. Takich zarzutów obawiał się Bush najbardziej. I już myślał o zmasowanej odpowiedzi. „Nie zamierzam zrzucić bomby wartej milion dolarów na namiot, który kosztuje 5 dolarów”. W nocy poinformowano prezydenta o ataku na Białą Dom. Tymczasem to amerykański F-16 nadał błędny sygnał. Z książki wynika, że prezydent był w Białym Domu 11 września. Dwa postoje w bazach po drodze z Florydy były agentom potrzebne, żeby rozeznać się w sytuacji i żeby nawiązać łączność, która w Air Force One była beznadziejna. A więc prezydent nie zgubił się, ale był zagubiony.

Tymczasem NATO zezwoliło na powołanie się na 5 artykuł Traktatu – atak na jednego członka sojuszu oznacza atak na wszystkich. Zaatakowane Stany były i są członkiem NATO i to najmocniejszym, dlatego atak Ibn Ladina odczuwano w krajach NATO bardzo boleśnie. Ibn Ladin powinien być więc oczekiwać adekwatnej odpowiedzi. Żadne dodatkowe zezwolenia kogokolwiek nie były Bushowi już potrzebne. Wystarczyły konsultacje z partnerami spoza Sojuszu.

Alarm o zamachu na Białą Dom powtórzył się. Bush był w Pentagonie. Do Nowego Jorku wybrał się dopiero na trzeci dzień po zamachu. Odwiedzany w szpitalu żołnierz z Pentagonu na pytanie prezydenta, czy jest ranwersem, odpowiedział, że z sił specjalnych, bo ma za wysokie IQ na rangersa. To był jedyny moment w tych dniach, kiedy Bush parsknął śmiechem.

### Psychoza wąglika i tortury

Powtarza się epitet „niewinny”. W tych dniach zginęło blisko 3 tysiące niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci – pisze Bush. Może podać, że pokonał Ala Gore’a różnicą 537 głosów, a jego ludzie nie mogli policzyć ofiar 11 września? Blisko – to znaczy jak blisko i czego? Czy anonimowe ofiary nie zasługują choćby tylko na liczbę w książce prezydenta, który mówi o sobie, że pełnił najpotężniejszy urząd świata? A teraz „niewinnych”. To znaczy – teoretycznie – że mogłoby być także blisko 3 tysiące w i n n y c h mężczyzn, kobiet i dzieci. Żałowałby ich Bush? Czy

zacytowałby znowu jakiś psalm? (Znacznie później znajdujemy liczbę ofiar 11 września: 2973. Typowy błąd redakcyjny).

Dziwne, że cytuje psalmy, a nie cytuje żadnego z wielkich poetów Ameryki, żadnego z pisarzy noblistów. Psalmy protestanckie. Jak na absolwenta Yale i Uniwersytetu Harvarda biblioteka jednej książki to może trochę za skromnie? Na dobro Busha trzeba jednak powiedzieć, że pojawiają się nazwiska pisarzy niekoniecznie amerykańskich: Orwella i le Carre. Cytowany jest też autor biografii Harry’ego Trumana, David McCollough. Jest również Dean Acheson, prezydent od Condi Rice.

Wizyta w strefie zero – standard, choć miejsce nadzwyczajne. To ono jest bohaterem opisu, a nie polityk, który tam musiał być.

Wkrótce po zamachu z 11 września zapanowała psychoza wąglika. Ofiary śmiertelne tego środka już odnotowano w nekrologach. Bush wiedział o możliwości zarażenia Nowego Jorku ospą. Wiedział też o możliwości użycia broni biologicznej w metrze. Bo to, że regularne armie cywilizowanego świata nie mają takich arsenałów, to uzgodniono traktatowo. Ale armie nieregularne kreujące zagrożenie asymetryczne, uzgodnieniami takimi się kierują w sposób korzystny dla siebie: jeśli oni z tego rezygnują, to my powinniśmy wejść w posiadanie tego czegoś i użyć przeciwko nim, bo sami się rozbroili... Podejrzewano, że bakteria wąglika pochodziła z Iraku. To by tłumaczyło decyzję Busha o ataku na ten kraj.

Pisząc o podśluchach, jakie kazał założyć członkom Al Kaidy, nie mógł sobie darować uwagi, że Kennedy podśluchiwał nielegalnie Martina Luthera Kinga. Kiedy w 3 miesiące po zamachu na WTC schwytano w samolocie Amerykanina, niedoszłego terrorystę, który miał ładunki wybuchowe w butach, wszyscy pasażerowie z rodzicami i teściami Busha musieli zdejmować obuwie do kontroli na lotniskach.

Kiedy podczas wizyty w więzieniu afgańskim terrorysta zabił żołnierza amerykańskiego, Bush postanowił trzymać talibów na obszarach zależnych od USA, ale niebędących amerykańskim terytorium, bo w USA przysługiwałoby im prawo do milczenia, z jakiego korzystają przestępcy. Stąd Guantanamo. Bush komplementuje samego siebie powołując się na opinię obserwatora belgijskiego, który mówił, że nawet w jego kraju nie traktuje się więźniów tak dobrze jak w Guantanamo. Jeśli jednak posłuchać drugiej strony, m.in. Turka z niemieckim paszportem, który został sprzedany Amerykanom przez Pakistańczyków jako rzekomy uczestnik obozu wojskowego talibów, wtedy prezydentowi USA trzeba będzie zadać takie pytanie: jak to się stało, że nawet interwencja najwyższych władz niemieckich nic nie dała w kwestii zaniechania tortur, którym był poddawany? Opisał wszystko w książce po pięcioletniej gehennie. Inni mówią o podtapianiu, po 100 razy w ciągu przesłuchania. Lekarze CIA dopuszczają tę metodę, bo ich zdaniem nie powoduje trwałych szkód.

Stosowanie wzmożonych środków przesłuchiwania, jak to się eufemistycznie nazywa, zgodne jest z prawem o zakazie tortur, zwłaszcza w Guantanamo. Ciekawe, co to znaczy, gdzie jest ta granica? Podtapianie nie zagraża życiu. Nie jest to topienie. Więc tortury zaczynają się tam, gdzie w ich wyniku człowiek znajduje się

na granicy życia i śmierci, która w każdej chwili może zostać przekroczona na niekorzyść życia. Tu przypomnę, że Arystoteles opowiadał się za stosowaniem tortur. Wzmoczone środki przesłuchania wprowadzono z powodu Zubajdy, który szkolił porywaczy-kamikadze przed atakiem na WTC i Pentagon. Zastosowano je w kraju trzecim. W Szymanach? Powinien pojawić się zatem rozdział „o torturach na Mazurach”? Zubajda przyznał, że podtapianie jest skuteczne i nawet zarekomendował tę metodę w stosunku do swoich własnych „braci”.

Kiedyś w Nikaragui powiedział mi sandinistowski generał Sanchez: „nie wierz tym, którzy twierdzą, że nie pękli na torturach. Na torturach każdy śpiewa. Nie ma wyjątków. Ja też nim nie jestem”. To mówił wiceminister obrony rządu, który przegrał generała Somozę, mistrza tortur.

Pośród 100 terrorystów poddanych programowi CIA jedna trzecia była przesłuchiwana przy użyciu zaostrzonych metod. Trzy osoby były podtapiane. Tak zeznaje Bush.

### Bezpieczeństwo i wartości

Bush pisze o wyborze między bezpieczeństwem a wartościami. Dla niego, niemal jak dla prokuratora Wyszyńskiego, wybór był oczywisty. W bloku wschodnim nie brakowało polityków-satrapów, dla których wybór między bezpieczeństwem a wartościami też był oczywisty. To zdanie w książce obrońcy światowej demokracji nie powinno się było pojawić *whatsoever*.

W relacjach z Guantanamo mużulmanie (budystów i prawosławnych ani katolików tam nie ma) opowiadają o konieczności załatwiania potrzeb fizjologicznych na oczach strażniczek w amerykańskich mundurach. To nie tylko dla Araba, ale także, dajmy na to dla lorda angielskiego byłoby hmm... krępującym dyskomfortem.

Pisze Bush o dramatycznym porwaniu dziennikarza „Wall Street Journal” w Pakistanie, Daniela Pearla, amerykańskiego Żyda z żydowskiej rodziny. Podcięli mu gardło przed kamerami VHS, a potem rozpowszechnili obraz za pośrednictwem Al Dżaziry. Bush, podobnie jak Washington, Lincoln, McKinley i F. D. Roosevelt, uznał, że w czasie wojny sprawiedliwość winien wymierzać sąd wojskowy.

Prezydent mówi, że przestrzeganie zasad związanych z prawem obywatelskim (prawami człowieka) przeszkodziłoby w werbowaniu nowych sojuszników USA. Werbowaniu? Akapit niżej znajdujemy informację, że Abu Zubajda był werbownikiem dla Osamy ibn Ladina. Ten sam czasownik na określenie tak dramatycznie różnych czynności?

Zdaniem prezydenta największym osiągnięciem jego dwu kadencji było to, że po 11 września 2001 roku nie nastąpił żaden zamach na USA ani z zewnątrz, ani wewnątrz. Pewną rolę odegrało w tym Guantanamo, czyli skoncentrowanie potencjalnych napastników w jednym miejscu, cokolwiek mówi o tym Amnesty International.

Interesujący był sam proces podejmowania decyzji o ataku na Afganistan. To jest zawsze w podobnych wypadkach fascynujące zagadnienie. Pracowali nad tym 26 dni. Przygotowali atak bardzo starannie. To wszystko. Prawdopodobnie nie można ujawnić

mechanizmów, które mogą być użyte w przyszłości jeszcze raz, choć każda sytuacja jest inna. W Camp David zebrała się pierwszego z tych 26 dni grupa najbliższych współpracowników formalnych i niekonstytucyjnych Busha (wiceprezydent Chaney, gen. Colin Powell, Wolfowitz, prokurator generalny, szef FBI, szef CIA, szef skarbu, szef Kolegium Szefów Sztabów, szef personelu Białego Domu i prawnik prezydenta). Dalej Bush opowiada o sytuacji w Afganistanie i Pakistanie z dużym znanstwem (swoich ekspertów z wywiadu i dyplomacji). Toteż dziwi błąd w informacji Busha, że Uzbekistan dzielią od Afganistanu 5-kilometrowej wysokości góry. Tam nie ma żadnych gór. Teren jest płaski jak stół. Jedyną przeszkodą mogłaby być rzeka Amu Daria (Oxus), ale przerzucono nad nią most. Nie wspomina, że Amerykanie na rok przed zamachem na Manhattan wiedzieli, gdzie jest ibn Ladin i co porabia. Ale stracili go z oczu, bo wyłączyli dla oszczędności satelitę geostacjonarnego na pół godziny każdej nocy. Wcześniejsze oszczędności na pomocy dla Afganistanu wydały ten kraj na pastwę talibów. Późniejsze oszczędności na satelitę kosztowały ich dwie wieże WTC. Za obydwa cięcia zapłacili tysiące razy więcej i płacą ok. 1 miliarda dolarów dziennie do dziś.

Gdzie indziej pisze, że wszystkie służby szukały ibn Ladina dzień i noc. I zawsze się im wymykał. Mówi, że gdyby choć raz wiedzieli, gdzie jest przez moment, dopadłaby go sprawiedliwość. A wiedzieli i to wiedzieli, albo powinni byli wiedzieć bardzo długo, bo rok.

Posiedzenie ekspertów i współpracowników Busha to był festiwal poglądów najrozmaitszego typu. Mądry człowiek, prof. Wolfowitz, matematyk, przedłożył najgłupszą propozycję ze wszystkich; żeby przed Afganistanem zaatakować Irak.

Dyplomacja osobista była – jak sam twierdzi – jednym z priorytetów Busha. Na Bliskim Wschodzie arabskim, nie mówiąc już o Azji Południowej, nie da się jej uprawiać. Oto dowód: panią ambasador USA w Bagdadzie przyjął... sobowtór Husajna i zapewnił, że żadnego ataku na Kuwejt nie będzie, po czym za kilka dni prawdziwy Husajn najechał tę „starożytną część Iraku”.

Ale z Putinem dyplomacja osobista Busha powiodła się. Chrześcijanin (metodysta) Bush zaręcza, że Putin jest prawdziwym chrześcijaninem. Eureka! Ekumena! Generałowie Putina na jego rozkaz przekazali amerykańskiemu kolegom swoje, często, tajne wiadomości o doświadczeniach z Afganistanu! I chociaż Amerykanie używali tam najnowocześniejszej broni, Mazar-i-Szarif zdobyła konnica talibów.

### Chrześcijanin Putin

Gdzie indziej Bush wyznaje, że w czasie swojej prezydentury spotkał się z Putinem 40 razy. Zdarzyło się pewnego dnia podczas jednego z takich spotkań, że Bush coś wspominał o wolności prasy. Na to Putin odwarknął, żeby go nie pouczać, zwłaszcza wtedy, kiedy Bush wyrzuca dziennikarzy z pracy. Owszem usunięto jednego z nich, ale eksperci Busha nie powiedzieli mu wcześniej, że od czasów Jelcyna, u którego Putin był premierem, zabito w Rosji 222 dziennikarzy, w tym kilkunastu cudzoziemców. Bush wyraża się o Putinie i jego rodzinie bardzo ciepło. I znów eksperci nie powiedzieli mu tego, co wiedział

na przykład profesor Brzeziński, że dziadek Putina był ochroniarzem Lenina, a ojciec Putina testerem posiłków, które miały być podawane na stół Stalina. Bush wiedział tylko, co wiedzą wszyscy, że Putin był pułkownikiem w KGB w wywiadzie zagranicznym – w mało znaczącym miejscu, w Dreźnie, czyli w NRD, całkowicie ubezwłasnowolnionym kraju, w którym wszystko podawano Rosjanom na tacy. Po co zatem był tam potrzebny rezydent wywiadu?

Poruszające są fragmenty o kontaktach z rodzinami ofiar wojny. Do każdej z matek czy żon zabitego żołnierza Bush, wzorem Lincolna, choć nie tak dobrze, pisał osobisty list. Do końca prezydentury napisał ich od roku 2001 ponad 5 tysięcy.

Interesująco przedstawiają się uwagi o sojusznikach. Świetnie walczą Brytyjczycy, Kanadyjczycy, Francuzi, Duńczycy. Ale więcej jest takich co „tylko zajmują miejsce”. O Polakach nie ma słowa. (Jeśli idzie o liczbę strat, to jesteśmy na trzecim miejscu od góry, po Amerykanach i Anglikach. Zabijają nas, bo nie walczymy?)

Afganistan kończy wyznaniem, że brak sukcesu w poszukiwaniu ibn Ladina uważa za swoją największą porażkę. Ani słowa o tym, że w czasach sowietyzacji ibn Ladin był sojusznikiem USA wyraźnie przez Waszyngton popieranym.

Irak to następna trudna decyzja Busha. Bush senior mógł powalić Husajna jednym ruchem po wypędzeniu go z Kuwejtu. Jako były szef CIA wiedział, że następcą Husajna zostałby jeszcze większy oprawca. Bush junior chciał dokończyć dzieło ojca, chociaż wywiad izraelski go przestrzegał. Powołując się na Clintona pisze, że Husajn skonstruuje najgorsze bronie i z pewnością ich użyje. Bush mówi, jak Husajn łamał prawo międzynarodowe, jak napadał na sąsiadów, w tym Iran. Czyżby żałował, że Husajn toczył wojnę z Chomeinim? I czy zapomniał, że USA tę wojnę Husajna po cichu poparły?

Wszystkie wywiady doniosły Bushowi, że Husajn ma wielkie zapasy broni biologicznej i chemicznej, których używał przeciwko Irańczykom i Kurdom. Pracował nad programem raketowym. Broni atomowej jeszcze nie miał. Czy to były wystarczające powody do inwazji? Zdaniem Busha – tak. Zdaniem prezydenta Kwaśniewskiego – nie. Polski prezydent powiedział publicznie, że w tej kwestii zostaliśmy oszukani przez wywiad USA, bo nie mógł powiedzieć otwarcie, że przez Busha. Kwaśniewski pojawia się zresztą w akapicie o konsultacjach z przywódcami świata. Putin i Chirac odmówili poparcia, Schroeder poparł, ale w czasie wyborów wycofał się, a jego minister porównał Busha nie bezpośrednio, ale jednak do... Hitlera. Jeśli ktoś stracił zaufanie Busha, było ono nie do odzyskania. I to przypadek Schroedera, który za to nie stracił zaufania Putina, co było widać aż nadto dobrze podczas ceremonii otwarcia (wrzesień 2011) Gazociągu Północnego przeciągniętego po dnie Bałtyku.

Przed wojną z Irakiem Bush stawiał na dyplomację. Najpierw na przymus dyplomatyczny wobec Husajna. Mniej dyplomatycznie nazywa się to ultimatum. Nie dało efektów. Zwrócił się do Rady Bezpieczeństwa ONZ. Uzyskał jednomyślne poparcie: Saddam musi wykazać, że jest „czysty”. W odpowiedzi dyktator przysłał 12 tysięcy stron śmieci. Dokumenty na te-

mat programu jądrowego ukrył w domu jednego ze swych trudno powiedzieć współpracowników, bo ich nie miał. W domu jednego ze swych czolobitnych słuzalców i pochlebców. *Enough is enough*, jak mówi się w Indiach.

Atencja dla Tony'ego Blaira i podziw dla wizjonerskiego, jak go określa, Jose Marii Aznara (wszystko można było powiedzieć o tym sterowanym przez żonę i kompletnie niemiedialnym nudziarzu, lecz nie to, że miał wizję) to oceny najbliższych sojuszników w sprawie Iraku. Putin, Schroeder i Chirac poszli inną drogą. Na to ówczesny premier Portugalii Jose Manuel Barroso powiedział: mamy do czynienia z wyborem Ameryka albo Irak. I zamierzamy stanąć po stronie Iraku?

Blair chciał jeszcze jednej rezolucji, która nie przeszła, więc Bush oświadczył, że Rada Bezpieczeństwa nie sprostала swoim obowiązkom i dał Husajnowi 48 godzin na opuszczenie kraju. Był rozżalony, że zabiegi dyplomatyczne nic nie dały. Podpowiedzieli mu Arabowie, żeby wysłać go z miliardem dolarów na Białoruś. Ciekawe, czy my mielibyśmy coś do powiedzenia na temat koncentracji dyktatorów przy naszej granicy i to z pieniędzmi? Chcieli zabić Husajna, Bush otwarcie o tym mówi. Zbombardowali pałac, gdzie miał być Husajn. Tylko że go tam nie było. Wywiad się pomylił. Albo został wprowadzony w błąd. Dziś główną częścią działań wywiadowczych jest przecież dezinformacja.

Zaczął się atak. Polscy komandosi i „foki” zabezpieczyli platformy naftowe. Pisze więc także o Polakach. Ale więcej o prezydencie Słowacji, Rudolfie Schusterze, który ze łzami w oczach zameldował o wystąpieniu oddziału obrony przeciwchemicznej. To zresztą nieważne, bo sojusznikami Busha byli Blair, Aznar i Barroso.

Bush jako namiestnika posłał Paula Bremerera, który rozwiązał armię i nie mógł zaprowadzić porządku w Bagdadzie, bo emigranci, którzy wrócili do Iraku, żeby nim rządzić, nie mieli żadnego poparcia mieszkańców stolicy.

### Wywiady się myliły

Repatrianci byli za słabi, żeby miasto objąć kontrolą. A spustoszenia w psychice Irakczyków dokonane przez Saddama zezwierzęciły ich.

Kraj znajdował się w rękach koalicji – wojsk USA oraz wielonarodowych dywizji pod dowództwem Brytyjczyków i Polaków. To Bush podkreśla. Znalaziono masowe groby, sale tortur i gwałtów. Nie znaleziono jednak – pisze autor – zapasów broni b i c, o których istnieniu z przeświadczeniem mówił wielokrotnie on sam. Tłumaczy się z tego teraz. Nic go nie tłumaczy. Wywiady się myliły. Wszystkie na świecie? A może rosyjski, francuski i niemiecki wiedziały, że tej broni nie ma, dlatego Chirac, Schroeder i Putin wystąpili przeciw wojnie. Może dlatego wywiad izraelski przestrzegał Busha. Gdzie są te podziemne miasta, które Saddam budował? I dlaczego mając pałace pod ziemią ukrył się w norze na jakimś podwórku? Blamaż, jeden z największych w historii wywiadów.

Znany opis podróży Busha do Iraku możemy sobie darować. Również opisy wizyt u rannych żołnierzy w szpitalach niewiele tu wnoszą nowego, może poza jedną refleksją, że kiedy ranni żołnierze rosyjscy wra-



całi z Afganistanu do domu, nikt się nimi nie zajmował. Żadnej opieki, żadnej rehabilitacji, żadnych oficjalnych wizyt Gorbaczowa, który przecież nie był złym człowiekiem. Rozpacz.

Schwytanie Saddama przez czterech komandosów Deltę dokonało się tym razem bez pomyłki wywiadu. Bush dostał od nich w prezencie pistolet Husajna. W kilka dni później Muammar Kaddafi – Bush sądzi, że na wiadomości z Iraku – przyznał się, iż pracuje nad bronią a, b, c i zobowiązał się do zniszczenia tego wszystkiego pod kontrolą międzynarodową. Może bał się repetycji Iraku? Co zresztą i tak go nie uratowało. Ale przepadł z innego powodu. Dlatego, że był szaleńcem u władzy.

Dwa irackie błędy Busha, które sam definiuje: zbyt szybkie zmniejszenie kontyngentu ze 190 do 100 tysięcy żołnierzy zaraz po operacji i pomyłka wywiadu co do broni masowego rażenia. Kolejność błędów powinna być odwrotna. Saddam kiedyś miał broń, używał jej. To co zrobił z zapasami? Zużył wszystko? I dlaczego nie dowiódł, że jej nie ma? Chciał stracić władzę absolutną? Pomyłka wywiadu polegała nie na złych wiadomościach o broni, lecz na nieumiejętności rozszyfrowania charakteru samego Husajna.

Bush parodiuje *Ć rebours* fragment *Szachinszacha* Kapuścińskiego: – Masz broń atomową! – Nie mam – odpowiadał zgodnie z prawdą kłamca, dyktator. – Ale mógłbyś mieć, sukinyń. Na gałąź z tobą!

### Krótką książką o Iraku

Tych 55 stron o Iraku skontrolować trzeba monumentalną księgą *The Iraq War. Reader. History documents, opinions*<sup>4</sup>. Jest to zbiór 700-stronicowy najważniejszych wypowiedzi, rezolucji, komentarzy prasowych i reportaży, którego autorzy książki Busha nawet nie wzięli do ręki. Miażdżący dla pamiętników prezydenta. Kupiłem tę księgę w Kuwejcie wracając z Iraku w roku 2003. Była więc już na rynku, kiedy Bush jeszcze urzędował i tym bardziej była, kiedy autorzy *Kluczowych decyzji* siadali do pisania pamiętników. W tym, nawiasem mówiąc, niczego złego nie ma, jeśli ktoś utożsamiający się z politykiem pisze jego myślami. Churchill dostał literacką Nagrodę Nobla za tak napisaną 6-tomową *Historię drugiej wojny światowej* (każdy tom w dwu księgach). Kiedy się ją przegląda, mamy wrażenie, że napisały to dwie różne sekretarki, które korzystały z kalendarza premiera, wyciągając stamtąd różne skróty notatki, spostrzeżenia i myśli. Bush napisał swoją książkę dużo lepiej niż Noblista...

Irak jest jego obsesją. Trudno się dziwić. Za Husajna nie było tam Al-Kaidy. Za Amerykanów największa prowincja Iraku jest pełna ludzi ibn Ladina. Bush powraca do tego kraju w jeszcze jednym rozdziale irackim, pod koniec książki. (O polskiej strefie nie ma tam ani słowa – a były trzy – amerykańska, brytyjska i polska ze stolicą w Babilonie. Gwoli sprawiedliwości przypomnę, o czym już była mowa, zamieszcza wzmiankę o wielonarodowych dywizjach dowodzonych przez Anglików i Polaków. Ale to nie to samo co strefa). Byłby szczęśliwy, gdyby zapanowały tam spokój i porządek utrzymywany wyłącznie przez siły irackie. Nie ukrywa iry-

tacji z powodu nieudolności tamtejszych władz i kunktatorstwa premiera Malikiego, który często okłamywał Amerykanów. Jako szyita zabraniał Amerykanom wkroczenia do sztywnych sektorów Bagdadu. Bush wspomina też tego „cholernego” buta z konferencji prasowej, którego niestety nie złapał. A było to podczas czwartej jego podróży do Iraku, gdzie z Malikim miał podpisać serię porozumień. Najwyraźniej Maliki nie zadbał w odpowiedni sposób o bezpieczeństwo swojego gościa. Takie rzeczy nie zdarzają się często (byłem świadkiem zamachu na Rajiva Gandhiego przed frontem kompanii honorowej w Sri Lance – to wszelkie proporcje zachowawszy ten sam kaliber sprawy). Gdyby Maliki okazał się politykiem zdecydowanym i skutecznym, Bush zyskałby uzasadnienie decyzji o obaleniu Husajna. Zdjęłoby to z niego odium za śmierć 5 tysięcy żołnierzy amerykańskich. Wątpię, czy stanie się to za jego życia.

Bez względu na straty i ewentualną porażkę finalną Irak, podobnie jak Afganistan, stały się poligonami także dla myśli teoretycznej. Wojskowe umysły najwyższej klasy – tu mam na myśli generała Davida Petraeusa, oficera po doktoracie Uniwersytetu Princeton – skonstruowały taktykę i strategię, zarówno w teorii jak i praktyce, walki antypartyzanckiej czy antypowstańczej. Sprowadza się to do trzech imperatywów: usunąć (partyzantów), utrzymać (teren), budować (infrastrukturę i przyszłość).

Ostatnim dowódcą, który próbował pisać prace na ten temat, był radziecki marszałek Michaił Tuchaczewski w latach... 30. ubiegłego wieku, kiedy walczył z basmaczami w Azji Środkowej przy granicy z Afganistanem. Stratedzy walki partyzanckiej mieli swoje podręczniki. Takimi autorami byli Mao Zedong, gen. No Guyen Giap i Ernesto Che Guevara. Amerykanie, nie mówiąc już o innych armiach, nie byli gotowi teoretycznie do zmierzenia się z zagrożeniami asymetrycznymi (armia przeciwko partyzance). Zrobił to dopiero gen. Petraeus, obecnie dowódca naczelny w Afganistanie. Poprzednicy pisali instrukcje w akademii Key West, ale tylko odnośnie do sposobów zwalczania partyzantki miejskiej w Ameryce Łacińskiej, co nie jest zadaniem dla armii, lecz dla sił bezpieczeństwa wewnętrznego. Wstęp do jednej z takich instrukcji napisał John F. Kennedy.

To czego brakuje w refleksjach Busha o Iraku i Afganistanie dotyczy istoty demokracji. Mówi on o wolności – i to jest wartość uniwersalna, niezależna od kultury. Ale demokracja to co innego. W Ameryce i Europie opiera się na fundamentach, którymi są poszanowanie praw człowieka, poszanowanie praw mniejszości i poszanowanie granic. Ani w Iraku, ani w Afganistanie, ani w Azji nie ma tych poszanowań i nie będzie, bo kodeks wartości jest tam dwupunktowy: poszanowanie ojca rodziny, głowy klanu, naczelnika plemienia i poszanowanie państwa, czyli siły. Liczy jednak Bush, że tak, jak udało się przekształcić Japonię i Koreę Południową, a wcześniej Niemcy, choć to nie Azja, w państwa demokratyczne, tak uda się także przekształcić w demokracje Irak i Afganistan. Nie do czeka tego.

Co się tyczy innych zagadnień, Bush miał problemy podobne do naszych: „Każde dziecko się liczy”. Zgryzotą prezydenta było to, że wielu starszych ludzi

<sup>4</sup> *The Iraq War. Reader. History documents, opinions*, red. Micah L. Sifry i Christopher Cerf, wyd. Simon&Shuster, NY London Toronto Sydney Singapore 2003.

w bogatych przecież Stanach musiało wybierać między kupnem jedzenia i lekarstw.

### Trochę pro domo sua

Uwagi o kampanii z 2004 roku mogą być interesujące dla polityków amerykańskich *in spe*. Dla nas mniej – może dla hobbystów i amerykańistów. Zresztą dla tych drugich to zawodowy obowiązek.

Wrażenie robi opis sytuacji w Nowym Orleanie po huraganie Katrina. Nie idzie o skalę zniszczeń. Rzecz w atrofii podstawowych funkcji państwa, które reprezentowane było przez gubernatora i burmistrza. Burmistrz ukrył się w hotelu w centrum miasta i przez cztery dni nie wychodził z pokoju. To nie Giuliani. Natomiast pani gubernator zapytana, kto dowodzi kryzysem odpowiedziała, że burmistrz. Wtedy Bush zwrócił się do niej, żeby przekazała dowodzenie władzom federalnym (prawo mówi, że w przypadku katastrof żywiołowych władze federalne tylko wspierają decydentów lokalnych). Pani gubernator odrzekła, że potrzebuje 24 godzin na przemyślenie odpowiedzi. Tymczasem w mieście trwały rabunki i rozboje. Prawo amerykańskie mówi, że policja może w takich przypadkach strzelać bez ostrzeżenia. Tak było w Los Angeles po trzęsieniu ziemi, gdzie zastrzelono kilkunastu złodziei i grabieżców. Grabieże podczas nieszczęść zdarzają się w każdej kulturze. Tak było w Kłodzku podczas powodzi, Amerykanie nie są wyjątkiem, choć nie są już liderami w świecie przemocy kryminalnej. Wyprzedziły ich trzy kraje: RPA i raje dla turystów położone w pobliżu – Mauritius i Seszele. O tym, że Katrina uderzy w Nowy Orlean (a był to huragan o piątym – najwyższym stopniu siły niszczącej), było wiadomo 24 godziny wcześniej. Mimo to władze lokalne zarządziły tylko „dobrowolną ewakuację”. Nikt tego wezwania nie posłuchał. Ludzie tu i ówdzie imprezowali nawet.

Zginęło 1800 osób. Pani gubernator została wygłoszona. Katrina tkwi w głowie Busha po dziś dzień.

### Afryka i reszta Trzeciego Świata

Kontynentem o szczególnym znaczeniu, przy najmniej w książce, jest dla Busha Afryka m.in. ze względu na AIDS, ale nie tylko. Na walkę z tą „dżumą XX wieku” przeznaczili Amerykanie 15 miliardów dolarów. To był – jak mówi sam prezydent – medyczny plan Marshalla. „Bezpieczeństwo naszego narodu ma związek z ludzkim cierpieniem” – to cytat wart zapamiętania. Za Busha po raz pierwszy weszli do gabinetu Afroamerykanie – Condoleeza Rice i Colin Powell. Zaraz potem prezydentem został kolejny z nich, Barack Obama. To Bush otworzył mu drzwi.

AIDS jest problemem także w USA. Gwiazdor Bono komplementował prezydenta mówiąc: czy wiesz, że rząd USA jest największym na świecie nabywcą prezerwatyw? Bush bez przerwy podkreśla swoją wiarę i bez przerwy się modli. Ciekawe, że Kościół w USA nie wyklina go za kondomy. Ogłoszenie dopuszczalności tego środka, choćby tylko jako protektora przed wirusem zapaści immunologicznej spowodowałoby, że populacja katolicka w Afryce byłaby znacznie liczniejsza niż jest, bo nie umarłoby tylu ludzi. Islam ekspanduje terytorialnie i demograficznie m.in. dlatego, że nikt tam nie zakazuje prezerwatyw.

Ciągle nie ma nic o Chinach. Jak gdyby Bush nie przeczywał, co się święci. USA zadłużone są w Chinach na 3 tysiące miliardów dolarów (po polsku na 3 biliony). To się musiało zacząć za Busha.

Nie może być książki amerykańskiego prezydenta, w której nie byłoby rozdziału o Bliskim Wschodzie, a o Izraelu w szczególności. W pamiętnikach Reagana *An American Life*<sup>5</sup> jest. U Clintona *Moje życie*<sup>6</sup> jest (rozdział czterdziesty ósmy). U Busha seniora (i współautora Scowcrofta) *A World Transformed*<sup>7</sup> jest. Clinton i Demokraci byli z punktu widzenia Izraela dużo bardziej korzystną opcją niż Republikańskie, którzy choć przyjaźni, zachowywali sztywniejsze i bardziej wymagające stanowisko. Oczekując zwycięstwa Busha Ariel Szaron wybrał się na Wzgórze Świątynne wzbudzając nie tylko Arabów, ale nawet tych Izraelczyków, którzy uważają, że Żyd nie może tam chodzić, bo deptałby być może po ruinach świątyni Salomona, a nie wiadomo, gdzie one są. Ale tak rozumują ortodoksi. Natomiast większość Izraelczyków uznała Szarona za twardego faceta i poparła go w wyborach, które wygrał, zanim swoje wygrał Bush. Uprowadził więc nadzieje amerykańskich sugestii, żeby Izrael wycofał się z terenów okupowanych (Izraelczycy nie lubią tego terminu, wolą mówić o terytoriach zajętych). Szaron byłby ostatnim, który by chciał tego słuchać, zwłaszcza że na tych terytoriach wznosił, jako minister, mnóstwo osiedli żydowskich.

Przypomina prezydent, że negocjacje za Clintona między Ehudem Barakiem (wybitnym dowódcą izraelskim) i Arafatem załamały się z winy Arafata. To prawda – Barak był gotów na najdalej idące ustępstwa. Arafat uświadomił sobie, że jeśli się zgodzi, będzie w świecie arabskim nikim. Wycofał się w ostatniej chwili. Bush wymyślił „mapę drogową”. Po zamachach drugiej intifady, w których ginęło jednorazowo po kilkadziesiąt osób, Szaron rozpoczął ofensywę na Zachodnim Brzegu. Bush uznał, że skoro Ameryka może się bronić to inne demokracje też mają do tego prawo. Ale Szaron rozprawiał się z ekstremistami twardą ręką, co było nawet dla Busha zbyt drastyczne. Uznał, że źródłem problemów na Bliskim Wschodzie jest brak wolności Palestyńczyków i to, że nie mają własnego państwa. Z ważnym sojusznikiem, następcą tronu, a potem królem Arabii Saudyjskiej Abdullahem dyskutowali w Camp David, jak to rozwiązać. Arabia Saudyjska stała się krajem proamerykańskim po spotkaniu prezydenta Roosevelta z królem Abdulem Azizem w roku 1945. Wcześniej była krajem proradzieckim. Z Moskwy sprowadzano w latach 30. nie tylko samochody dla króla, ale nawet benzynę do nich!

Bush zaproponował w 2002, żeby powstało demokratyczne państwo palestyńskie i żeby sąsiedowało w harmonii z Izraelem. Był to właściwie powrót do koncepcji ONZ, którą w roku 1947 Palestyńczycy pod naciskiem braci Arabów ze wzgardą odrzucili. Zakładano, że Izrael nie przeżyje. Ale też wezwał Palestyńczyków do wyboru nowego przywództwa, które odcięłoby się od terroryzmu. Nawet w gru-

<sup>5</sup> Ronald Reagan, *An American Life. The Autobiography* Hutchinson London Sydney Auckland Johannesburg 1990.

<sup>6</sup> Op.cit.

<sup>7</sup> George Bush, Brent Scowcroft, *A World Transformed*, Alfred A.Knoppe, New York 1998.

pie G-8 uznano, że wzywa do odsunięcia laureata Nagrody Nobla Jasira Arafata.

Zarówno Palestyńczycy jak i Izraelczycy przyjęli propozycję Busha z uznaniem. A nawet spotkali się ze sobą Szaron, Abbas i Bush, gdzie w Sharm-el-Szejk Szaron zapowiedział odstąpienie od koncepcji Wielkiego Izraela. Arafat przeszkadzał Abbasowi, zanim zmarł i pozostawił po sobie korupcję w Al-Fatah, co uutorowało Hamasowi drogę do zwycięstwa w parlamencie. Abbas stał się słabym, ubezwłasnowolnionym prezydentem. Hamas dokonał zamachu stanu w Gazie i zaczął rozprawiać się z ludźmi Abbasa. Przy wsparciu Iranu i Syrii. Mimo to w 2007 r. odbyła się w Annapolis konferencja Izrael-Palestyńczycy i 15 krajów arabskich. Wstęp do negocjacji traktatu pokojowego został zrobiony. Zanim Olmerta oskarżono o malwersacje, kiedy był burmistrzem Jeruzolimy, przedłożył Abbasowi propozycję: Izrael zwróci większość Zachodniego Brzegu, zgodzi się na tunel między dwiema Palestynami (Zachodnim Brzegiem i Gazą), Jeruzolima będzie wspólną stolicą, pewna liczba uchodźców wróci do Palestyny. Lecz zmuszono Olmerta do ustąpienia. Abbas nie miał z kim podpisywać umowy, która była tak blisko.

Kiedy Hezbollah uderzył, odpowiedzieli Izraelczycy. Znani z precyzyjnych nalotów tym razem spartolili kilka operacji i znaleźli się w idiotycznym położeniu. Bush pisze o tym *expressis verbis*.

Co się tyczy Iranu, tym razem spartolił robotę wywiad amerykański, który już się popisał w Iraku. Raport wywiadu – cytuję za Bushem mówił: „Oceniamy z mocnym przekonaniem, że jesienią 2003 roku Iran wstrzymał wojskowy program atomowy”. Jeśli to była prawda to jasne, że natychmiast by przeciekła...

Z rozdziału i koncepcji *Agenda Wolności* trzeba wspomnieć rewolucję cedrów w Libanie i wycofanie się pod presją wojsk syryjskich. Było to na długo przed Tunezją i Egiptem.

Bush dużo zabiegów poświęcił na montowanie dyplomatycznej koalicji antyirańskiej. O Ahmedinedżadzie wyraża się dosadnie. Podobnie jak znawcy regionu. Że to szalenie.

Kiedy wykryto kopię koreańskiego reaktora w zaprzyjaźnionej z Iranem Syrii, premier Olmert prosił Busha o zbombardowanie obiektu, a potem sam to zrobił w 2007 roku. Tym razem uderzenie było celne. Syria nie przyznała się do niczego i nie potwierdziła informacji o ataku. Natomiast Kim Dzong Il zachowywał się cały czas prowokacyjnie i Bush zmontował przeciw niemu koalicję z udziałem Chin. Z Chinami rozmawiał w sprawie Korei i delikatnie o różnicach w sprawie religii, udostępnienia rynków, ale postępu w dyplomacji personalnej nie odnotował, choć Jiang Zemin śpiewał dla niego *O sole mio*, a klan Bushów uczestniczył w olimpiadzie i był po królewsku przyjmowany przez Hu Jintao.

Szokujący jest rozdział finalny o kryzysie finansowym. To za czasów Busha zbankrutował 158-letni bank Lehman Brothers. I to Bush udzielił rządowych gwarancji dla kolejnych upadających firm. Obama musiał tylko dofinansować gwarancje Busha. A więc zaprzysięgły zwolennik wolnego rynku, republikanin z krwi i kości zastosował w USA metody, które jego przeciwnicy z własnej partii nazwali socjalistycznymi! Rozstąp się ziemi!

W pamiętnikach, które obciążone są niebezpieczeństwem konstatacji, że poprzednik ich autora był durniem (gospodarka durniu!), a następca jest kretynem, niczego takiego u Busha nie znajdziemy.

Podstawowy wniosek z tej książki: jak bezlitosne są media amerykańskie wobec polityków i jak bezradni są politycy wobec mediów. W Polsce te relacje w porównaniu z amerykańskimi to idylla. Ale w USA jest inaczej. Dlatego Bush ciągle się w książce tłumaczy. Jest ona jak gdyby polemiką z polemizującymi z nim wcześniej dziennikarzami.

Jest tam sporo autoironii. Autoironicznie pisze o sobie, że kiedy królowa Elżbieta uczestniczyła w obchodach 400-lecia Jamestown, powiedział, iż Jej Królewska Mość pomogła nam świętować dwusetlecie w roku 17... i ugryzł się w język. Wieczorem na kolacji wznosząc toast królowa powiedziała: „Zastanawiam się, czy nie zacząć od słów: kiedy byłam tutaj w roku 1776...”

### Gafy

W wydanej ostatnio książce Longina Pastusiaka *Humor i polityka*<sup>8</sup> aż skrzy się od dowcipów na temat Busha. O innych prezydentach jest tam również mnóstwo smacznych anegdot. Obudowana solidną – jak zawsze u tego autora – bibliografią księga jest unikatem z tej przyczyny, że w anglosaskim świecie dyplomacji protokół zakazuje opowiadania dowcipów. Jest to przepis Satowa<sup>9</sup> z czasów brytyjskich. Zakaz bierze się stąd, że każda anegdotka opowiedziana w szerszym (4-5 osób) towarzystwie na przyjęciu dyplomatycznym może być przez kogoś potraktowana jako aluzja osobista, najczęściej wobec tego obraźliwa. Z tej przyczyny pojawił się humor angielski, na tyle abstrakcyjny, że nikogo nie uraża. Założmy, że prezydent USA jest dyplomatą, albo że czasami powinien lub musi nim być. Bezpośredni Amerykanie nie wytrzymują rygoru Satowa. Mało tego – poczucie humoru ma istotny wpływ na powodzenie polityka wśród elektoratu.

Prof. Pastusiak poddaje analizie poczucie humoru Busha (podobnie jak jego poprzedników) i dochodzi do smutnych dla bohatera tej historii wniosków. Mylił nazwy państw, miał wątle pojęcie o narodach. Polityków stojących na czele rządów nie potrafił zidentyfikować. Greków nazwał Grecjanami. Prezydenta Brazylii zapytał, czy także mają Murzynów.

Jak na szefa supermocarstwa chodził spać trochę za wcześniej – o 22.00. Publiczność czytelnicza kpiła, że choć żona Busha to z zawodu bibliotekarka, powódź zniszczyła mu księgozbiór – obydwie książki, w tym jedną do kolorowania. Lapsusy, które mu się zdarzyły, to puenta rozdziału książki znanego amerykańskisty:

Dążę do zachowania władzy wykonawczej dla siebie ale i dla moich poprzedników.

Ani po angielsku, ani po francusku, ani po meksykańsku... Przynaję, że nie jestem jednym z największych lingwistów. Stosunki graniczne między Kanadą i Meksykiem nigdy nie były lepsze.

<sup>8</sup> Longin Pastusiak, *Polityka i humor*, Pruszyński i S-ka, Warszawa 2011.

<sup>9</sup> *Satow's Guide to Diplomatic Practice*, Ed. By Lord Gore-Both, Fifth Edition, Longman, London and New York 1979.



Coraz więcej naszego importu pochodzi z zagranicy.

Ważną rzeczą jest dla mnie pamiętać, co jest najważniejszą rzeczą.

Mam swoje zdanie. Zdecydowane zdanie. Ale nie zawsze się z nim zgadzam.

W wojnie z terroryzmem chodzi o Saddama Husajna w związku z jego charakterem, jego historią i jego gotowością do terroryzowania samego siebie.

Nasi wrogowie są pełni pomysłów i środków, i my także. Ciągłe myślą, jak zaszkodzić naszemu krajowi, naszemu narodowi. Podobnie jak my.

Prof. Pastusiak zwraca uwagę na błędy językowe i gramatyczne, co jego zdaniem wynika z niedokształcenia Busha. I mówi o wadzie wymowy, którą niezyczliwi prezydentowi dziennikarze nazywali dysleksją. Na jego dobro trzeba powiedzieć, że kiedy był z wizytą w Polsce, wygłosił w Krakowie wspaniałe przemówienie pełne historycznych, szczegółowych odniesień. Nie miał telepromptera, czyli ekranu, na którym widać tekst. Ale miał niewidoczne urządzenie w uchu, za którym powtarzał zdanie w zdanie to, co czytał mu lektor. Dlatego wzbudził zachwyty.

Ale budzi zakłopotanie – podają za Pastusiakiem – ranking dotyczący ilorazu inteligencji IQ: Clinton – 182; Carter – 175 (aż dziw! przyp. k.m.); Kennedy – 174; Nixon – 155; F.D.Roosevelt – 147; Truman – 132; Johnson – 126; Eisenhower – 122; Ford – 121; Reagan – 105; George H.W. Bush – 98, George W. Bush – 91.

### Bush i Bush

Aż się prosi porównać Bushów. Juniора opisaliśmy. Pora przypomnieć seniora. Sięgnę do własnej pamięci. Poznałem go osobiście w Delhi, kiedy przyjechał z wizytą jako wiceprezydent USA. Ambasador tego kraju zaprosił kilkunastu dziennikarzy ze Stowarzyszenia Korespondentów Zagranicznych w Azji Południowej z piszącym te słowa jako wiceprezesem tej organizacji. Bush ubrany był w szary garnitur z *fil a fil*, był przygaszony, starał się zwracać uwagę nie na siebie, a na swego szefa Ronalda Reagana. Typowy giermek w cieniu. Reagan wysługiwał się nim wyraźnie. Nie mógł pojechać na pogrzeb Breżniewa – posłał Busha. Nie chciało mu się jechać na pogrzeb Andropowa, posłał Busha. Nie chciało mu się jechać do Indii mających świetne stosunki z ZSRR – posłał Busha. Koledzy z prasy amerykańskiej nie krępowali się na koktajlu, kiedy nadarzyła się okazja zadania twardych pytań – Bush odpowiadał enigmatycznie od siebie, a wyraziście w imieniu Reagana, zastrzegając się, że przypuszcza, iż prezydent tak by właśnie odpowiedział. Że na przykład Kubańczykom nie uda się przekształcić Granady w bazę prosowiecką. A dopiero co widzieliśmy premiera Granady, Maurice Bishopa, umiarkowanego lewicowca, którego zamordowano w marksistowskim zamachu stanu. Reagan, choć Granada była częścią Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, kazał najechać kraj, którego królową była Elżbieta II. Pani Thatcher zbesztiała wtedy Reagana przez telefon wymyślając mu, jak wrogowi. Operację prowadził generał Norman Schwarzkopf. To ten sam, któremu prezydent Bush zlecił operację „Pustynna Burza” lata później.

Pamiętam Busha z wizyty w Warszawie. Przemawiał w Sejmie w taki sposób, że każdy poseł przez chwilę nie tylko myślał, ale wiedział, że Bush przemawia wyłącznie do niego. Pamiętam kolejną wizytę Busha w Warszawie u generała Jaruzelskiego jako prezydenta. Mieszkał w Belwederze, biegał po Łazienkach w krótkich spodenkach, upał był nieznośny, razem z prezydentem biegało chyba z dziesięciu panów w czarnych garniturach, którym druty wystawały z uszu. Po joggingu szef protokołu powiedział mu: jedziemy do farmera. – Jakiego farmera? – zdziwił się prezydent. Do farmera pod Radiomiem, który hoduje świnię. – *Fuck de farmer* – (pieprzyć chłopca) odpowiedział Bush i Radom wyleciał z programu. Zostawił Wiesławowi Górnickiemu 4 miliony dolarów na restaurację zabytków Krakowa i pojechał do Wałęsy do Gdańska, a stamtąd do Kijowa (ZSRR jeszcze istniał i miał się dobrze), gdzie powiedział I sekretarzowi KC Komunistycznej Partii Ukrainy, Krawczukowi, że pod żadnym pozorem nie wolno ogłaszać niepodległości. Krawczuk postąpił odwrotnie i został pierwszym prezydentem Ukrainy, a Polska była pierwszym państwem, który niepodległą Ukrainę uznał.

Porównanie z juniorem wypada na niekorzyść syna. Stephen Tanner<sup>10</sup> pisze, że dzieli ich przepaść nie tylko jako dowódców, ale też jako prezydentów, którzy mają diametralnie różny stosunek do sojuszników i różny pogląd na temat roli USA w świecie. Tanner inwazję na Panamę nazywa wyzwoleniem tego kraju, podczas gdy była to bandycka napaść trwająca 8 godzin, przedsięwzięta po to tylko, żeby pojmać generała Manuela Noriegę, dyktatora. Dla jednego człowieka powalono dumny kraj na kolana i zniszczono mu stolicę. Błyskotliwa operacja w Kuwejcie to majstersztyk. Od tego czasu mówi się w sztabach o bitwie powietrzno-łądowej ze wsparciem z morza.

Najważniejszym zwycięstwem USA za Busha seniora było wygranie i zakończenie zimnej wojny. Precyzyjne działania bojowe i mistrzowska dyplomacja to były cechy polityki seniora. W przypadku syna Tanner widzi nieudolność i czyni go odpowiedzialnym za cztery katastrofy amerykańskie: 11 września 2001, Afganistan, Irak i „mapa drogowa” na Bliskim Wschodzie.

Tyle, by się więcej nie zneść nad prawdopodobnie<sup>11</sup> najgorszym prezydentem USA po II wojnie światowej.

### KRZYSZTOF MROZIEWICZ

<sup>10</sup> Stephen Tanner, *Wojny Bushów. Ojciec i syn jako zwierzcownicy sił zbrojnych*, Wydawnictwo Dolnośląskie Wrocław 2004.

<sup>11</sup> Według sondażowni PPP badającej popularność prezydentów Stanów Zjednoczonych ostatniego półwiecza, kolejność prezydentów od najgorszego do najlepszego: Richard Nixon, George W. Bush, Lyndon B. Johnson, Jimmy Carter, George H. W. Bush, Gerald Ford, Bill Clinton, Ronald Regan, John F. Kennedy. Patrz: B. Węglarczyk, *Najlepszym prezydentem USA w ostatnim półwieczu był...* [SON-DAŻ] [http://wyborcza.pl/1,112353,10297314,Najlepszym\\_prezydentem\\_USA\\_w\\_ostatnim\\_polwieczu\\_byl\\_.html?fb\\_xd\\_fragment#?=&cb=f40804f633989f&relation=parent&transport=fragment&frame=f135261caef0c9](http://wyborcza.pl/1,112353,10297314,Najlepszym_prezydentem_USA_w_ostatnim_polwieczu_byl_.html?fb_xd_fragment#?=&cb=f40804f633989f&relation=parent&transport=fragment&frame=f135261caef0c9).

(Gdyby okres sondażu był dłuższy, co by zrobiono z Eisenhowerem i Trumanem? Przyp. K.M.)

ADAM KOMOROWSKI

# PASAŻEROWIE KONIA TROJAŃSKIEGO

## (MEDYTACJE BAUMANOWSKIE)

*W zeszłorocznych gniazdach nie ma tegorocznych ptaków*  
(Ostatnie słowa Don Kichota)

Pierwsze pytanie: dlaczego, kiedy wydaje się, że nikt nikogo nie słucha, a już intelektualistów w szczególności, wsłuchujemy się z uwagą co ma do powiedzenia Zygmunt Bauman? Nie tylko w Polsce. Jestem przekonany, że w Hiszpanii i we Włoszech recepcja jego myśli jest głębsza, bardziej uważna. I jeszcze jedno, kiedy zdarzy się nam być na jego wykładzie czy konferencji, to co uderza najbardziej są rzesze bardzo młodych ludzi. Ci którzy, jak słyszymy, nie rozłączają się z siecią i portalami społecznościowymi, określanii są jako pokoleniowi solipsyści, biegną na spotkanie ze starym człowiekiem, od którego dzielą ich co najmniej dwa pokolenia. W czasach, które ma charakteryzować zerwanie więzi międzypokoleniowych (np. Ulrich Beck), w tym wypadku młodzi ludzie zachowują się prawie tak samo jak wtedy, gdy słuchanie starszych było powszechnym nawykiem, kiedy starość była wartością. Przynajmniej w tym sensie, że zakładała przydatność doświadczeń długiego życia, zapośredniczenia mądrości w osobistym doświadczeniu.

Na wystawach księgarni prace Baumana ekspozowane są obok niezliczonych biografii i autobiografii młodych celebrytów, modelek, gwiazd seriali, mistrzów sportu którzy opowiadają o swojej drodze do sukcesu, którym jest bycie znanym. O ile jednak te ostatnie bardzo szybko lądują na półkach książek przecenionych, by w końcu trafić na makulaturę, to jego zostają z nami. A przecież nie są to opowieści o sukcesie, ale raczej o trudnościach w radzeniu sobie we współczesnym świecie. W wypadku Baumana, to co pozostający pod jego wpływem Luis Duch określa jako „czynnik biograficzny”, odgrywa niebagatelną rolę.

Jeśli by potraktować Baumana po baumanowsku, czyli jako symptom pozwalający rozpoznać terażniejszość, to można dojść do wniosku, że czasy, kiedy

osobiste doświadczenie, opowieść o nim była jednym z gwarantów przyswojenia sobie jakiejś mądrości bynajmniej nie są zaszłością. W „płynnej nowoczesności” Bauman jest trwały, *solid, stehende*. Dar długiego i niełatwego życia nagle okazuje się uprzywilejowanym punktem obserwacyjnym. Tak było dawniej i okazuje się, że może być nadal.

Kiedy napisałem, że Bauman wymyka się „płynnej nowoczesności” nie chciałem twierdzić, że jego myśli nie ewoluowały. Ale wystarczy sięgnąć po wydaną niemal przed pół wiekiem *Kulturę i społeczeństwo* by zauważyć, że nie może być mowy o spektakularnych konwersjach w typie tych, których doświadczali np. neokonserwatyści. Porównując dawne prace, a więc te wydane przed jego emigracją z Polski, z dzisiejszymi rzuca się w oczy jedna zasadnicza różnica. Dawny Bauman wczytywał się w to, co inni o świecie mają do powiedzenia. Etap ten, erudycyjnie imponujący, kończy *Thinking Sociologically* z 1990 r., po czym następuje prawdziwa erupcja prac, w których perspektywą dominującą staje się zapośredniczona w osobistym doświadczeniu refleksja nie tyle nad opisanymi (zwłaszcza socjologicznymi) otaczającego nas światem, ile nim samym. Takim, jakim Bauman go widzi i doświadcza. Nie jest przypadkiem, że pokrywa się to z jego zajęciem się fotografią. Kluczem do jego postawy jest to, za co podziwia Waltera Benjamina pisząc o nim: „filozof obdarzony wyjątkowo przenikliwym spojrzeniem zdolnym wychwycić najdrobniejsze ślady logiki i porządku w pozornie rozproszonych i przypadkowych wstrząsach kulturowych”. Taka postawa buduje narracje o świecie alternatywne wobec hegemonicznych dyskursów.

Oczywiście Bauman nie zaprzestaje lektur, jego erudycja jest nadal imponująca. Ale teraz konfrontuje

rozliczne filozoficzne, socjologiczne i antropologiczne diagnozy naszej teraźniejszości z własnym doświadczeniem tejże. Wnikliwy czytelnik staje się jeszcze bardziej wnikliwym obserwatorem. W jakimś stopniu teoretyk i systematyk staje się kronikarzem i reporterem. Zmiana ta widoczna jest w samym języku, który zrzuca pancerz naukowawego żargonu (który w jego wypadku nigdy nie był za szczelny), a kiedy zdarza mu się pisać po polsku, odkrywa zapomniane rejestry polszczyzny. Choć może zdawać się to dziwne, ale to socjolog piszący od lat głównie po angielsku, kiedy sięga po polski, przypomina nam, że nie jesteśmy skazani na mówienie o świecie w języku kalk, głównie z angielskiego.

Najkrócej ewolucję myśli Baumana można określić przez wskazanie na zmianę perspektywy. O ile początkowo przyglądał się światu z perspektywy teorii (to, że pozostającej w kręgu marksizmu nie jest tu najistotniejsze), to w drugiej fazie punktem wyjścia staje się konkret codzienności. Wnikliwe spojrzenie na codzienność naszej teraźniejszości zostaje skonfrontowane z teoretycznymi próbami nadania jej chaosowi sensów. Interesującym może być zwrócenie uwagi, że ten odwrót ku codzienności pokrywa się u niego z przejściem na emeryturę jako nauczyciela akademickiego. Potwierdza to tezę, że w dzisiejszych czasach edukacja, zwłaszcza w dziedzinie takiej jak socjologia, skazana jest na pewną anachroniczność. Nauczamy bowiem o świecie, który został już w jakimś stopniu opisany, teoretycznie rozpoznany, ale szybkość zmian sprawia, że każda teoria musi mówić o świecie, który był. Codzienność musi się jej wymykać. Wobec codzienności nieustannie ewoluującej i płynnej wszyscy jesteśmy uczniami. Paidea Jaegera – jak pisze – ulega zachwianiu. Nie wiadomo czy w ogóle jest jeszcze możliwa w świecie, w którym np. dzieci uczą rodziców poruszania się w sieci.

Kiedy jednak wczytujemy się w Baumana, odkrywamy szansę zachowania wartości relacji nauczyciel–uczeń. Uczniowie mogą sprawniej poruszać się w codzienności od tych, którzy mieliby jej nauczać, ale obarczeni są pewną skazą. Ta skaza to traktowanie codzienności, w której są zanurzeni, jako pozbawionej alternatywy. Zachować funkcję wychowawcy może tylko ten, kto potrafi młodym ludziom wskazać alternatywy, nie mówić o świecie jako najlepszym ze światów, ale jednym ze światów możliwych. Dyktat teraźniejszości i hegemonia dyskursu określanego jako TINA (*there is no alternative*) może być przełamany jedynie poprzez wskazanie przygodnego charakteru rzeczywistości, jej nie tyle rozwoju co płynności właśnie. Dlatego Baumanowi obce są wszelkie pokusy technologicznego determinizmu, które cechuje wielkich krytyków naszej kapitalistycznej cywilizacji, takich jak Gunther Anders czy Emanuele Severino.

Optymistyczne jest, że w świecie inwazyjnej kafeonii mediów, w świecie okablowanym, tysiące ludzi ciekawi, co o nim ma do powiedzenia stary profesor, człowiek z „innego świata”. Okazuje się, że informacja niezapośredniczona w życiowym doświadczeniu, pomimo swojej dostępności może i jest mniej atrakcyjna od opowieści o tym doświadczeniu. Obumieranie doświadczenia, nad którym bolał Benjamin, nie jest jeszcze zgonem.

Przypadek Baumana wskazuje, że dostępność całych mgławic informacji właśnie poprzez trudność wyodrębnienia w nich tego co dla życia człowieka istotne, czy czego rzeczywiście szuka, popycha nas do poszukiwania jakiegoś filtra (Bauman nazywa go młockarnią). Tego filtra, jak na razie nie zapewnia żadna wyszukiwarka, ani Google ani Jandex. W jakimś stopniu może go zastąpić tylko człowiek, który ma doświadczenie, starzy mistrzowie, mędrzy, opowiadacze.

Znamy ich ze wszystkich dawnych kultur. To ktoś, o kim pisał Benjamin w *Narratorze*, o kim Mario Vargas Llosa napisał powieść *Opowiadacz*. Rzecz nie tylko w zerwaniu międzypokoleniowej transmisji tradycji, ale w tym, że o tym co jest „nowe” może wiarygodnie „opowiedzieć”, kto doświadczył „stare”. W innym wypadku „nowe” może się okazać produktem strategii promocyjnych czy marketingowych. Zazwyczaj tak jest, główny problem z „nowym” polega na tym, że nieustannie chce się nam wcisnąć coś jako „nowe” jedynie przy zmianie opakowania. Tak było z oślawioną „trzecią drogą”, którą za Anthony Giddensem (zresztą cenionym przez Baumana) podchwyciły europejskie socjaldemokracje (z SLD włącznie) maskując fakt, że *de facto* była to tylko droga odwrotu, wycofanie się z wizji państwa opiekuńczego, abdykacja wobec rynku. Wiarygodność opowieści o nowości zapewnia pamięć tego, który o niej opowiada. Wychwycenie rzeczywistej nowości poza czasem doświadczonego, poza pamięcią jest niemożliwe.

W tym sensie fakt, że Zygmunt Bauman otwierał Europejski Kongres Kultury (Wrocław, wrzesień 2011) jest równie znaczącym jak to, co na jego otwarciu mówił. Rzesza słuchająca jego wystąpienia wskazała, że wzorzec medialny, w którym uchodzący za dziennikarza celebryta przypisuje sobie funkcje tego, który wie, jakie pytania należy zadać, może zostać przełamany. W dominującym w mediach wzorcu dziennikarz nie pyta o rzeczywistość, domaga się jedynie o niej opinii. Tymczasem, jak pisał Benjamin, „opinia jest ową fałszywą subiektywnością, którą można oddzielić od osoby i włączyć w obieg towarów”. Być może dziennikarz dziś nie jest w stanie przyjąć, że myśliciel nie wygłasza opinii, ale, jak Bauman, stawia rzeczywistości pytania. W medialnym paradygmacie nastąpiło odwrócenie sytuacji, którą znamy z dialogów Platona, gdzie zadającym istotne pytania i konfrontującym odpowiedzi był Sokrates. Dziś Sokrates zaproszony do studia byłby sam odpytywany i dociskany o wygłaszanie opinii. Zdarzyło się to nawet w okołokongresowych dyskusjach z Baumanem i jego gośćmi, gdzie rolę Sokratesa przypisała sobie Katarzyna Janowska. Na szczęście Bauman nie do końca daje się sprowadzić do głosiciela opinii, które łatwo można zneutralizować włączając do „bełkotliwego zgiełku mediów”. W pewnym sensie można powiedzieć, że Bauman nie ma opinii. Stawia natomiast pytania, które mogą pełnić rolę poszukiwanych przez nas filtrów.

Co prawda napisał: „Biada ludziom obdarzonym zbyt dobrą pamięcią.” On sam taką pamięcią dysponuje i wskazuje, że właśnie ona stwarza niejaką nadzieję wobec tyranii teraźniejszości. Rzecz nie w nostalgii za przeszłością, ale prostej konstatacji, że można żyć inaczej, bo żyło się inaczej. Nie lepiej ani gorzej, ale właśnie inaczej. Inne życie nie jest



projektem przyszłości. Bauman nieustannie protestuje przeciw prognozowaniu. Utopie są zawsze jakoś utomne, ponieważ obiecują inny świat, który i bez nich w przyszłości będzie inny. Ale utopie są niezbędne, ponieważ są ćwiczeniem wyobraźni, zapobiegają jej obumieraniu i gangrenie.

Jeżeli niekiedy pojawiają się u niego wątki dowartościowujące myślenie utopijne, to nie w formie obrony projektu przyszłości, ale jako rodzaj niezbędnego umysłowi ludzkiemu treningu w poszukiwaniu alternatyw, impulsu subwersji bezalternatywności. Zwłaszcza socjalizm zachowuje w tej mierze atrakcyjność, ale nie jako projekt, którego wdrożenie przez awangardę miałyby przynieść szczęście, lecz jako model alternatywy, paradygmat myślenia alternatywnego. Ujmując rzecz w pewnym skrócie i parafrazując Karola Marksa wskazanie, że nie musimy wszystkiego zawdzięczać kajdanom, że tylko zgadzając się bezkrytycznie na świat, w którym żyjemy, taki jaki jest – mamy wszystko do zyskania.

Utopia nie rozwiązuje udręk terażniejszości, ale nie rozwiązuje jej też żadna terapia. Zastępy psychologów i psychoterapeutów nie mogą uczyńnić bezrobotnych pracownikami. Prozac nie pozbawi do końca lęków przed utratą najlepiej nawet płatnej posady i pozycji społecznej dyrektora banku. Powszechna aura lęku spowijająca dziś tych, którzy nie mają nic do stracenia i tych, którzy mają do stracenia wiele, nie zniknie dzięki terapii i coraz lepszym psychotropom. Znakiem czasów nie są jedynie rzesze wykluczonych i biednych, „wyrzutków”, ale strach w oczach ludzi sukcesu. Procent tych, którzy sięgają po kokainę, inne używki i środki psychotropowe jest taki sam wśród ludzi sukcesu jak i przegranych. Narkotykowy biznes i przemysł farmaceutyczny to dziś najbardziej dochodowe gałęzie globalnej gospodarki.

Myślenie Baumana przeniknięte jest niechęcią do powszechnego dziś psychologizowania problemów kondycji ludzkiej i kwestii społecznych. Jest dziś najbardziej antypsychologicznie ukierunkowanym socjologiem. Kiedy uparcie wskazuje, że społeczeństwa o mniejszych różnicach dochodów są zdrowsze fizycznie i psychicznie od tych, gdzie różnice te są większe, to kwestionuje indywidualistyczną arogancję przekonania, że każdy z nas sam, w pojedynkę może być kowalem swojego losu, że każdy jak Munnhausen może z bagna wyciągnąć się ciągnąc za włosy, do czego przekonują nas psychoterapeuci. Narracje Baumana to ciągłe powracanie do opowieści o tym, jak niewiele w życiu zależy od nas samych, ale od miejsca i czasu, w którym się znaleźliśmy, od innych. Jest w tym coś z napięcia, które znamy z greckich tragedii, których bohaterów uwiodła *hybris*. Przekonanie, że to sama jednostka może rozwiązać swoje problemy, na szerszej płaszczyźnie owocuje przekonaniem, że istnieją lokalne rozwiązania dla problemów globalnych.

Obraz naszych czasów, który przekazuje to obraz dominacji gnostycyzmu, przekonania że w zglobalizowanym świecie każdy może zbawić się sam, a jeśli nie sam, to już na pewno z pomocą terapeuty, przekonania, że bezrobotni to ci, którzy nie potrafili napisać atrakcyjnego CV i wystarczy ich tego nauczyć. Że terroryzm można zlikwidować wysyłając wojska do Afganistanu, a przed zagrażającymi nam innymi obronić się

wznosząc mury przy jednoczesnym obnoszeniu się z paternalistycznym multikulturalizmem.

Nieczęsto pamięta się, jak ważne miejsce w jego myśleniu o świecie zajmuje refleksja nad Zagładą. *Nowoczesność i Zagłada* jest w mojej opinii najważniejszą książką w jego bogatym dorobku. Zarazem jest to praca zmarginalizowana, lekkomyślnie zamknięta w kręgu *holocaust studies* i dzieli ich los. Czyli jest dziś instrumentalizowana przez anty-antysemicki dyskurs. Baumanowska analiza źródeł Zagłady jest wartościowa, choć nie wszystkim jest w smak jego antypsychologiczne podejście i poszukiwanie tych źródeł nie tyle w patologii zachowań indywidualnych (czy plemiennych), ale „koherentnego probierza ukrytych możliwości nowoczesnego społeczeństwa”. W opinii jego krytyków Bauman niebezpiecznie oderwał Zagładę od antysemitów. Wnioski z lektury tej książki są rzeczywiście niepokojące; za Zagładę nie da się obarczyć jedynie antysemitów i niekoniecznie trzeba było być antysemitą, by przyłożyć do niej rękę. Do tego wystarczyło być sprawnym i moralnie znieczulonym funkcjonariuszem nowoczesnej administracji. Jak pisał: „Skuteczne, planowe i świadome morderstwa wymagały zastąpienia tłumu przez aparat administracyjny, zastąpienia namiętności przez posłuszeństwo wobec władz zwierzchnich”.

Przy zaproponowanym przez Baumana modelu Zagłada odstoniła niepsychologiczny wymiar zła. Można przyjąć, że dla niego indywidualne namiętności i emocje są mniej groźne od racjonalizacji, teorii i aparatów władzy. W takim ujęciu eksplozja zła w XX wieku, z apogeum Zagłady, wynikała nie tyle z rozbuchania emocji i namiętności, ale ich stłumienia. Z tego wyprowadził wniosek jedynie możliwy – nieufności wobec wszelkich aparatów, mechanizmów i teorii. Wskazał także na probierz ich społecznej przydatności i niezagrażalności. Jest nim wrażliwość i zdolność do empatii wobec cierpienia każdej jednostki. Pozostawiając na boku ewangeliczną opowieść o dobrym Samarytaninie dostrzeżemy, że motywacje Baumana są odmienne od tych, które oferują nam religie. Wychodzi on bowiem od tezy dość obcej religiom, na którą niechętnie się godzimy. Bauman jest przekonany, że cierpienie nie uszlachetnia. Jest społecznie destrukcyjne. Jak pisze: „Syndrom przeżytnika (tak Bauman tłumaczy angielski termin *surviver*) podpowiada, że sensem życia jest przeżycie – dodając z miejsca, że kto zada pierwszy cios, przeżywa tego lub tych, którzy nie zdążyli. Jeśli cios był zadany w porę, a był nadto celny i nokautujący, można się zemsty ani kary nie obawiać. Świat po Holokauście promuje wojny zapobiegawcze”. Zatrute dziedzictwo Zagłady jest wciąż z nami.

Gwałtowna reakcja na wypowiedzi Baumana na temat polityki Izraela, a szczególnie porównanie murów getta z murem dzielącym Izraelczyków od Palestyńczyków wynikała z niechęci do przyjęcia ich szerszego kontekstu, prostego stwierdzenia, że „ofiary nie uchodzą cało z pogromu, nieposzlakowane, z pogromu impulsów i hamulców moralnych”. Na dodatek: „Syndrom przeżytnika jest dziedziczny; kolejne pokolenia przekazują sobie zatrute owoce przechodzącej w przeszłość martyrologii... Uwolniona od rzeczowych sprawdzianów wizja spiskującego

świata dołącza do grona »przeżytników« i rej w nim wodzi”. Martylogiczny stygmat jest rodzajem licencji na zawieszenie moralności. Dotyczy to w tym samym stopniu Izraelczyków, Polaków czy Basków. Współzawodnictwo o przyznanie sobie statusu ofiary, które ma dziś charakter globalny, można zrozumieć jedynie w kontekście owej licencji na zawieszenie moralności. Nachalna ostentacja powracających obrazów walących się budynków World Trade Center dowodzi, że dzisiaj także „manifest destiny” USA nie może się obejść bez martyrologicznego stygmatu.

Współczesna obrzędowość celebrująca martyrologięznaczona jest elementarną dwuznacznością. Nie dotyczy to jedynie legitymizacji polityki Izraela. Upamiętnianie pamięci ofiar zostaje politycznie zinstrumentalizowane. Przypominanie o zamachach terrorystycznych 11 sierpnia ma przesłonić cywilne ofiary wojen w Iraku czy Afganistanie, w skrajnym przypadku przyznanie sobie prawa do torturowania potencjalnych sprawców nowych zamachów.

Dlatego traktowanie Zagłady jako aberracji nowoczesności jest niebezpieczną próbą obrony tryumfalizmu nowoczesności wpisanej w postęp. Z takiej perspektywy ci, którzy Zagładę przeżyli, są ważniejsi od tych, których ona pochłonięła. Ofiary to ci, którzy nie umieli przetrwać. Przetrwanie Zagłady nie jest wynikiem szczęśliwego przypadku, którego prawdopodobieństwo wzrastało wraz z jej horrendalną masowością. Być może to jest powodem, dla którego zastępuje słowo „ocalony” „przeżytnikiem”. Tego, że jeżeli rozstrzelujemy kilka osób, to prawdopodobieństwo przeżycia którejs z nich jest żadne. Natomiast jeśli rozstrzelujemy kilkaset osób, pojawia się szansa, że któraś z nich niedobita może wygrzebać się z masowego grobu (przypadek Jonasza Sterna). W Auschwitzu niektórzy mieli większe szanse przeżycia niż inni (Primo Levi wskazywał na młodość i znajomość języków), ale nie można mówić, że istniała jakaś technika przeżycia obozu. Niewielu, którzy przeżyli obóz potwierdza, że wraz z masowością zabijania wzrasta ryzyko błędu zabijających. Przetrwanie jest skutkiem przypadkowego błędu katów, a nie wynikiem opanowania technik przetrwania w warunkach ekstremalnego zagrożenia życia.

Absolutyzacja wartości przetrwania, na którą wskazuje Bauman przeciwstawiając popularność Oscara Schindlera niezrozumieniu postawy Janusza Korczaka, jest diabelskim dziedzictwem Zagłady. Prowadzi do powszechnego dziś przekonania, że nie tyle ważna jest godność człowieka, ale jego zdolność przetrwania. Czujemy ofiary, by przypominać, że ci, którzy dziś są ofiarami są sami sobie winni, ponieważ nie potrafili uprzędzić ciosu. Z dymów krematoriów nie zrodził się lepszy świat, ale gorszy. Świat, w którym bycie przegranym jest winą.

Bauman nie posuwa się tak daleko jak Giorgio Agamben w swoich porównaniach sytuacji człowieka współczesnego z kondycją obozową. Miliony kamer, które nas obserwują, to nie to samo co reflektory omiatające obóz. Mieszkańcy monitorowanego i ogrodzonego luksusowego osiedla to nie katzownicy. To tylko spadkobiercy tego diabelskiego dziedzictwa, które naszą naturalną troskę o bezpieczne przetrwanie absolutyzuje. Nowoczesność systematycznie odbiera nam

prawo do nieszczęścia. Z naszego świata znikają ci, których nieszczęście dotknęło, są tylko ci, którzy nie potrafili się przed jego nadejściem zabezpieczyć. Pozostali, jako sobie winni, przestają obciążać naszą ludzką wrażliwość. Pamięć o ofiarach przeszłości przestaje przekładać się na solidarność z ofiarami teraźniejszości, a często jest sposobem ich zastąpienia. Nie wolno dać się zmylić natłokowi obrazów ofiar w mediach. Ich celem nie jest wyzwolenie empatii wobec cierpiących, ale nieustanne przypominanie nam, jak ważna jest troska o przetrwanie nas. Tak nasze przetrwanie zostaje oderwane od przetrwania innych. Tymczasem w poddanym globalizacji świecie przetrwanie musi mieć wymiar strategii planetarnej, a nie indywidualnej (czy narodowej) taktyki.

Bycie ofiarą w przeszłości oznaczało bycie ofiarą zbrodniczego aberacyjnego systemu, faszyzmu czy komunizmu. Bycie ofiarą dzisiaj oznacza bycie ofiarą jedynie własnych błędów, co jest jednoznaczne z samowykluczeniem się ze wspólnoty tych, którzy opanowali techniki przetrwania i potrafili je przekształcić w sukces.

W krajobrazie po Zagładzie nie wolno dać się zaskoczyć. Dowodziłoby to niewybaczalnego braku przezorności. Postawa ta nie tylko wpływa na nasze zachowania, ale zmienia perspektywę epistemologiczną. Oczywiście nie jest tak, że rzeczywistość przestaje nas zaskakiwać. Rzecz w tym, że musimy nieustannie symulować brak zaskoczenia. Przyznanie się do zaskoczenia ujawnia mój słaby punkt, który mógłby być wykorzystany przeciw mnie. Zaskoczenie jest jednoznaczne z przyznaniem się do bezradności. A przecież bezradność to kwalifikacja tych, którzy wypadają z gry i zostają z niej wykluczeni. Lęk przed ujawnieniem bezradności zawęża naszą wrażliwość. Nie potrafimy do końca rozszyfrować np. globalizacji, ponieważ lękamy się ujawnienia naszej wobec niej bezradności. Nie chodzi tutaj o jej ocenę, pozytywną czy negatywną, ale o kompleksowy charakter jej wpływu na naszą kondycję. Zaletą analiz Baumana jest właśnie ukazywanie rozległych obszarów bezradności, w którą wpędza nas to co inne czy nowe. Postępów w inżynierii genetycznej i biopolityki nie można do w ogóle zrozumieć bez wskazania naszej wobec nich bezradności.

Znakiem przetrwania i sukcesu jest przynależność do globalnej społeczności konsumentów. Zostaje się konsumentem, szczególnie nowych produktów technologii, nie tyle z powodu konkretnych potrzeb, ale lęku przed ujawnieniem bezradności wobec nich. Wejście w posiadanie nowego produktu jest próbą odczarowania jego potencjalnie zaskakujących mocy. Posiadanie upewnia mnie i innych, że nie jestem wobec niego bezradny. Własność, wejście w posiadanie jest obietnicą uwolnienia się od tyrani czasu i zmiany. Nieidentyfikowanie się jako konsument jest jednoznaczne z przyznaniem się do bezradności.

Odchodzenie od koncepcji i praktyk państwa opiekuńczego, które dla Baumana było jednym z największych zdobyczy ludzkości, nie ma przyczyn jedynie ekonomicznych. Jest głównie skutkiem traktowania przetrwania jako czegoś, co może uwolnić się od wszelkiej przygodności. Nawet jeśli zgodzimy się, że żyjemy w świecie podwyższonego ryzyka, to kal-

kulujący rozum pozwala nam na manipulowanie nim, tzw. zarządzanie ryzykiem. Świat nie jest bezpieczny, ale my zawsze możemy urządzić się w nim bezpiecznie i potwierdzić to konsumpcją.

Na skali potrzeb bezpieczeństwo zajmuje miejsce najwyższe. Obietnica bezpieczeństwa jest dziś właściwie jedynym towarem, który oferują nam politycy. Nie jest to, jak jeszcze niedawno, bezpieczeństwo społeczne, o które troszczyło się państwo opiekuńcze. Problem polega na tym, że dziś sami politycy kreują widma niebezpieczeństw, przed którymi obiecują nas bronić. Apokaliptyczny dyskurs naszych czasów całkowicie odrywa się od realnych niebezpieczeństw, które są zmorą codziennego życia każdego z nas. Nie jest nim na pewno zagrożenie terrorystyczne, nie były nimi straszaki pandemii świńskiej czy ptasiej grypy. Uwikłanie apokaliptycznego dyskursu w rozległe pole interesów politycznych i ekonomicznych (zwłaszcza przedsiębiorstw farmaceutycznych i zbrojeniowych) przekształca dziś samą konsumpcję. Dobra i towary, które kiedyś zalecały się swoją wartością użytkową, czy oznak prestiżu dziś mają zaspakającą naszą potrzebę bezpieczeństwa. Myjąc sedes zabezpieczam się przed bakteriami, pijąc jogurt zabezpieczam się przed zatwardzeniem, płacąc składki OFE – przed biedną starością, krem zabezpieczam przed zmarszczkami, komórka przed utratą więzi, apartament na strzeżonym osiedlu przed intruzami. Fetyszym towarowy Marksa czy ostentacyjna konsumpcja Thorsteina Veblena, to sprawa przeszłości. Dzisiaj sklepy i galerie handlowe, jak zauważa Bauman, stają się nie tyle świątyniami, co aptekami. Zakupy są jedyną skuteczną terapią na niebezpieczeństwo wykluczenia. Wezwanie Amerykanów przez prezydenta G.W. Busha po 11 września, by udali się na zakupy, było znaczącym symptomem.

Bauman nie jest dogmatycznym krytykiem konsumpcji (nie był nim też Marks). To co go niepokoi, to powiązanie konsumpcji z bezpieczeństwem, zakupów z terapią traumy i stresów, do których codzienność nie szczędzi nam powodów, tak jak nie szczędziła nigdy.

W krytyce kapitalizmu Andersa czy Severino, implodowała miała być wynikiem odejścia od mechanizmu zysku. W ich ujęciu rozwój techniki oderwać miał gospodarkę od rachunku ekonomicznego. Tym co napędzać miało gospodarkę, była uwolniona od realnych potrzeb innowacyjność. Zwłaszcza u Severino (w *Declino del capitalismo*) rynek miał tracić całkowicie autonomię na rzecz wymogów technicznej innowacyjności. W pewnym sensie miał rację, ponieważ politycy amerykańscy nieustannie podkreślają, że siłą gospodarki amerykańskiej (w odróżnieniu od np. chińskiej) nie jest kondycja ekonomiczna, ale innowacyjność.

Nie byłoby najgorzej, gdyby wymuszona przez potrzeby samej techniki innowacyjność była motorem zmian. Potwierdzałoby to spostrzeżenie Marksa z *Kapitału*, że robotnik staje się dodatkiem do maszyny. Innowacyjność tworzy rzeczywistość mniej kontrolowaną i sterowaną od tej, w której dominuje zysk, ale niekoniecznie generuje wykluczenie. W tych światach wygrani i przegrani są nadal razem, są na siebie skazani. Zagrożenie konfliktem nuklearnym, tak istotne dla myślenia Andersa, zrównywało ludzi. Problem jednak w tym, na co nieustannie zwraca uwagę Bauman, że globalizacja stwarza sytuację, w której ani zysk,

ani innowacyjność nie mają tej siły motywacji co zindywidualizowany i podlegający kwantyfikacji strach. Bomby atomowej nie bali się jedni mniej, a drudzy więcej. Co prawda budowano schrony przeciwoatomowe, ale dostępem do nich nie afiszowano się. Można powiedzieć, że lęk był czymś relatywnie równo między ludzi rozdzielonym.

Dawniej, nie tak dawno temu, nasze lęki łagodził fakt, że wykluczeni z jednej społeczności, z jednego rynku, mogliśmy szukać sobie miejsca gdzie indziej. Nie było to łatwe, ale taka możliwość istniała. Dziś globalny rynek katapultuje przegranych poza swój obręb, czyli nigdzie. W kolejce do pomocy społecznej czeka nas los agambenowskiego *homo sacer*. Wygnani z globalnej społeczności konsumentów zostajemy oddani na przemiał. Wyjątkowo możemy zostać skierowani na szkolenie, gdzie przekonają nas, że jesteśmy sami sobie winni, bo przecież każdy może zostać przedsiębiorcą, a nasza bezradność jest złudzeniem. Teraz tylko:

„Równina bez punktów orientacyjnych, naga  
i brązowa  
Żadnego śladu trawy czy oznak sąsiedztwa,  
Nic do jedzenia i nic do siedzenia  
Tylko stojąca wśród tej monotonii stojąca  
Nierozróżnialna rzesza,  
Milion oczu, milion butów w szeregu,  
Bez wyrazu, oczekujących znaku”.

W.H. Auden, *Tarcza Achillesa*

W płynnej rzeczywistości, która nieustannie nas zaskakuje, nikt nie jest prorokiem i nie potrafi tego „znaku” wskazać czy przewidzieć. Spore grono samozwańczych proroków apokalipsy ma dość ograniczony repertuar: konflikt cywilizacji, globalne ocieplenie, sekularyzacja, zanik więzi rodzinnych, wyczerpanie źródeł energii, procesy demograficzne. Bauman z nimi bezpośrednio nie polemizuje. Niekiedy podejmuje podnoszone przez nich wątki ale nie wpisuje ich w apokaliptyczny dyskurs. Z lektury Baumana wynika tylko jedno: musimy przyznawać się do naszej bezradności wobec świata, który stworzyliśmy i w którym przyszło nam żyć, który nas jakoś zaskoczył. Wtedy być może uda się nam przyczynę tej bezradności jakoś zinterpretować. Kiedyś po świecie krążyli wyznaczeni przez Boga prorocy. Dziś, jak pisze Agamben, prorocstwem może być tylko interpretacja. Zamiast instalować wszędzie kamery, sami musimy przyglądać się światu, nie tylko na ekranach. Być może ostatecznym zadaniem myślicieli nie jest interpretacja, lecz zmienianie świata. Ale autor parafrazowanej tutaj słynnej 11 Tezy w *Manifestie komunistycznym*, nakreślił przekonujący obraz świata, który zmienia się szybko, bez udziału filozofów, kreśląc słynne zdanie: „Wszystko, co stanowe i znieruchomiałe (*stehende*) ulatnia się, wszelkie świętości zostają sprofanowane i ludzie są nareszcie zmuszeni patrzeć trzeźwym okiem na swe stanowisko życiowe, na swoje wzajemne stosunki”. Ale Marks był w kwestiach poznawczych niepoprawnym optymistą. „Widzieć trzeźwo”, zwłaszcza własne uwikłanie, w zmieniającym się świecie jest trudniej niż w bardziej stabilnych światach przedkapitalistycznej przeszłości. Do tego trzeba być Zygmuntem Baumanem.

ADAM KOMOROWSKI



KRZYSZTOF KWAŚNIEWSKI

# „BIAŁE PLAMY” – FUNKCJONOWANIE SPOŁECZNE METAFORY

Denotacja polskiego związku frazeologicznego „białe plamy” (podobnie jak niemieckie *weisse Flecken*) jest obciążona kolorystyczną, a nie zerową konotacją przymiotnika „białe” i pejoratywną konotacją rzeczownika „plamy” w języku polskim (a jeszcze bardziej, zwłaszcza dla Polaka, *белые пятна - бѣлыя пятна* po rosyjsku) – w stosunku do angielskiego określenia *blank spots* czy (zwłaszcza) francuskiego *trous de l’histoire*, które wyrażają raczej brak, pustkę. (Termin „dziury w historii” spotkać można np. u Jacques’a Le Goffa jako określenie stanu normalnego, właściwego każdej historiografii, będącego „aspektem tradycyjnego zagadnienia obiektywizmu w historii”). Jest zresztą według niego rzeczą dyskusyjną, czy istnieje w ogóle jakaś historia uniwersalna, czy historia nie jest zawsze w jakimś przynajmniej stopniu tylko konkretyzacją w miejscu, czasie i społeczno-politycznym układzie odniesienia, jako „ciąg nowych odczytań przeszłości, pełen strat, ale i ponownych objawień, dziur w pamięci i kolejnych rewizji”<sup>1</sup>.

Także wykrywanie pomyłek, kłamstw i fałszerstw należy do normalnych czynności historyka<sup>2</sup>. Bo mówić o białych plamach jako o braku wiedzy to tak, jakby przyjąć, że na bezmiarze ludzkiej wiedzy pojawiają się tylko wyraźne i stosunkowo niewielkie plamy niewiedzy. Tymczasem, jak wiadomo, jest wprost odwrotnie: to na bezmiarze ludzkiej niewiedzy występują niezbyt wyraźne i niewątpliwie plamy tego co ludziom udało się poznać, a i to nie zawsze i nie we wszystkim zrozumieć. Już Izaak Newton powiedział, że „to co wiemy, stanowi kropkę w oceanie naszej niewiedzy”, a znany bardziej jako polityk niż myśliciel Donald Rumsfeld rozwinął tę tezę następująco: „Jest znana wiedza, czyli rzeczy,

o których wiemy, że je wiemy. Jest znana niewiedza, czyli rzeczy, o których wiemy, że ich nie wiemy. Lecz jest także niewiedza, o której nie wiemy. I co roku odkrywamy trochę więcej tej nieznannej niewiedzy”. W amerykańskiej teorii wojskowej istniało już zresztą określenie „unk-unk” (*unknown unknown*)<sup>3</sup>. A w ogóle tajemnice są w polityce elementem gry o dominację: „Przeoczenia, zaprzeczenia, przekreślenia, przeinaczenia, zwody, odchylenia – wszystko to ma na celu wywołanie owego drugiego stanu, skrywającego sekret prawdziwego uwiedzenia” [tj.] „zaangażowania całej wolności, ale też wolności, na którą niejako somnambulicznie [ktoś] zdobywa się, dążąc do zguby”<sup>4</sup>.

Napisano słusznie, że „prawdomówności nigdy nie zaliczano do cnót politycznych”<sup>5</sup> – więc mamy czasem do czynienia i z kłamstwem, co z perspektywy uproszczonego absolutyzmu moralnego stanowi podstawę potępienia. Ale nie zawsze w wypowiedaniu prawdy kierujemy się absolutyzmem moralnym. Już Platon w *Państwie* doradzał strażnikom, by wpajali ludziom „szlachetne kłamstwa”, które pozwolą im zaakceptować swoją sytuację (co dziś nazywamy rozładowywaniem napięć społecznych, stanowiącym jedną z istotnych funkcji państwa).

Pierwotne, niemetaforyczne znaczenie terminu odnosiło się do starych map. Na nich białymi plamami oznaczano terytoria nieznanne autorom map i cywilizacji, w której żyli. Nie znaczyło, że terytoria te były nieznanne cywilizacjom innym niż te, do których przynależeli autorzy tych map (co w Europie stało się elementem powszechniejszej świadomości dopiero przy okazji rocznicowych protestów przeciw terminowi „odkrycie Ameryki”). „Białe plamy” jako metafora

to termin używany więc często przez osoby tkwiące w imperialistycznej mentalności „cywilizacji białego człowieka”, czego demonstrowanie właściwe bywa właśnie tym, których udział nawet w tak rozumianej cywilizacji jest dość znikomy. Ale wiąże się to także i z mniej już skompromitowanym, choć też mylnym przekonaniem, że osiągnięcia kultury i cywilizacji nie są emanacją szerokich rzesz, których doświadczenia, inwencja i ofiarność pozwalają dopiero na odkrycia i twórczość wytonionej przez nie elity, że są to autonomiczne osiągnięcia tej elity i ona dopiero udziela ich łaskawie szerszym rzeszom, choć właśnie wtedy to, że „ciemne masy” nie wiedzą tego, co wie elita powinno się wydawać naturalne. Bo niestety prawie nigdy metafora nie dotyczy sytuacji uświadomienia sobie własnej niewiedzy, którą bez przeszkód można zastąpić wiedzą. Nawet potoczne użycie określenia „białe plamy” jako metafory wydaje się więc przede wszystkim symptomem arogancji, epitetem. Może najbardziej sensownym zastosowaniem tego terminu jest więc to, które mówi o białych miejscach po konfiskatach represyjnych w gazetach – ale i w tym wypadku mowa tylko o braku informacji, a nie wiedzy. Czy poszukiwanie luk w (cudzej) wiedzy nie jest jednak często listkiem figowym dla zaniedbań w rozwijaniu (własnej) wiedzy?

Najkrótsza chyba, proponowana dotąd definicja określa białe plamy jako „niegdyś nie wypełnione miejsca na mapach, a potem niezadrukowane części kolumny w publikacjach prasowych, będące rezultatem ingerencji cenzury rewolucyjnej. Prawdopodobnie kalka z niemieckiego *Weisse Flecken*. Od lat 70. XX w. – przemilczane lub niewyjaśnione fakty historyczno-polityczne”<sup>6</sup>, ale w takim metaforycznym znaczeniu użył terminu kilkakrotnie już Stanisław Jerzy Lec [de Tusch-Letz] (1909-1966), np. „Na białym papierze mogą być białe plamy”; w Niemczech dalej uważa się to określenie za właściwe głównie dla oznakowań na mapach terytoriów nieznanach (*terra incognita*)<sup>7</sup>, ale posługiwanie się metaforą „białe plamy w historii”, raczej polska specjalność i to dość świeżej daty, trafiło (jako metafora) już i do Niemiec<sup>8</sup>, na tej samej zresztą co i w Polsce fali.

W prasie polskiej uznano jednak, że dopiero „w Polsce to pojęcie nabrało w XX w. nowej, złowrogiej treści. W II RP opozycyjne gazety dosłownie pełne były białych plam, to jest miejsc po skonfiskowanych przez cenzurę tekstach. W PRL władze utrudniały badania naukowe na niewygodne tematy, a cenzura wstrzymywała publikacje”<sup>9</sup> (jakby oba te zjawiska były polskim wynalazkiem i specjalnością; odwołanie się do śladów po cenzuralnych konfiskatach gazet szybko zresztą zniknęło, jako że nie były zgodne z tendencją idealizacji II Rzeczypospolitej, a nie występowały w PRL, gdyż stosowano wtedy cenzurę rewolucyjną). Gdy Stanisław Jerzy Lec napisał że „Zniknęły białe plamy z map geografii. Przeniosły się na karty historii” – można by dodać, niestety, nie tylko ze względu na kontekst moralizatorski. Na związku frazeologicznym zaciążyła bowiem niewątpliwie pejoratywna, polska konotacja wyrazu „plama”. W Polsce też uważa się ten termin za eufemizm, oznaczający „nie do końca wyjaśnione oficjalnie (podane do publicznej wiadomości) fakty z historii stosunków międzypaństwowych, przede wszystkim polsko-rosyjskich”<sup>10</sup> [!], więc słusznie ogranicza się nie do wiedzy, lecz do stopnia poinformowa-

nia społeczeństwa, ale z tematycznym ograniczeniem do stosunków z jednym tylko państwem, a więc z niewątpliwą szkodą dla przedstawienia całości problemu. Najskańniej stwierdza się nawet, zupełnie rezygnując z generalizacji ujęcia, że „białe plamy – [to] przemilczane, zatajone bądź przeinaczone przez komunistyczną propagandę fakty historyczne”<sup>11</sup>.

„Białe plamy” okazują się więc nie terminem dotyczącym wiedzy czy nawet tylko informacji, ale politycznym. W kontekście politycznym lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku kto wie czy nie pierwszy w Polsce użył tego terminu w publikacji Józef Kossecki<sup>12</sup> w toku polemik politycznych lat 80. Napisano też trafnie: „»Białe plamy w historii« to zjawisko przecież nie narodzone »tu i teraz«, ale stare jak sama historia. Każdy człowiek jakieś epizody swego życia zaciera...”<sup>13</sup>. Dalsze propozycje definicji przyniosły słowniki frazeologiczne. Brak tego terminu w starszych z nich<sup>14</sup>. Z początku określane są jako „puste miejsca na mapie”<sup>15</sup>, „miejsca w dzienniku wykreślone przez cenzurę, pozostawione jako puste”<sup>16</sup>, a następnie jako „dzienn. Nieznana, niezbadana, tajemnicza sprawa; na mapie: nierozpoznany, niezbadany obszar ziemi”<sup>17</sup>. W późniejszych białe plamy definiowane są jako „a) miejsca nieznanne, niezbadane, b) rzeczy nieznanne, fakty przemilczane, niewyjaśnione do końca zdarzenia dotyczące historii i polityki”<sup>18</sup>, a także „nieznane i nieopisane, najczęściej z przyczyn koniunkturalnych fakty przeszłości; skrętnie przemilczane, tuszowane ze względów politycznych fragmenty historii jakiegoś narodu”<sup>19</sup>. W Polsce wreszcie pisze się we wstępie (i tylko we wstępie, tytułowego przecież hasła brak) wielotomowego wydawnictwa o ambicjach encyklopedycznych, że „Metafora białych plam pojawiła się dość niedawno w dyskursie społecznym, a oznacza to wszystko z dorobku kulturowego, co zostało celowo wymazane; chodzi o ważne słowa i ich źródłowe znaczenie, o osoby i fakty historyczne. Źródłem białych plam nie jest zapomnienie czy zaniedbanie, lecz działanie świadome i celowe, które zniekształca zdarzenia i retuszuje fakty, albo je po prostu eliminuje z kultury”<sup>20</sup>. Sformułowanie to, podobnie zresztą jak obiektywizm całego wydawnictwa, wkraczającego nawet na teren apologetyki (wyraźnie religijnej, katolickiej) i metafizyki, nasuwa wiele wątpliwości. Czy historię można utożsamiać z „dorobkiem kulturowym”? Czy zniekształcać można wydarzenia, czy tylko ich opisy? itp. Być może więc termin „białe plamy” uznać można za przejściowy, propagandowy zabieg erystyczny, podobnie jak zamianę starych, amerykańskich *Polack jokes* na dowcipy o milicjantach. Najbardziej neutralnie i lapidarnie definiuje się białe plamy jak „przemilczenie »białe plamy« niejasność, tajemnica”<sup>21</sup>. Pojawia się jednak także oboczność metafory „białych...” i „czarnych...”, a nawet „czerwonych...” i „krwawych plam” oraz terminu „szarych plam mitów i nieporozumień”<sup>22</sup> (i znów Stanisław Jerzy Lec: „Zniknęły z map białe plamy, wystąpiły krwawe”).

Roman Ingarden (już w 1937 roku!) wyróżniał też „białe plamy w opisie”, stanowiące rozdźwięk między aktualnym a potencjalnym znaczeniem opisu, kiedy „powracanie do zdań już przeczytanych niewiele pomaga: tekstu nie rozumiemy, zawiera on jakby »białe plamy« zdań nie zrozumianych lub niezrozumiałych”<sup>23</sup>. Jeszcze inaczej rozumiał to określenie Adam Podgó-

recki postulujęc „ujawnienie białych plam, a więc obszarów zjawisk pozbawionych naukowej analizy”<sup>24</sup>. Spotykamy też określenia, że „białe plamy mogą przedstawiać którąś z trzech głównych kategorii propagandy (zalecenie, pominięcie i zaprzeczenie) i mogą być lub nie być związane z cenzurą”<sup>25</sup>, lub że są to „tematy drażliwe, zafałszowane lub stanowiące tabu”<sup>26</sup>. Pisze się też czasem o „czarnej inżynierii społecznej”<sup>27</sup>. Niektórzy wprowadzają nawet rozróżnienie między białymi plamami (*blank spots*), w których umiemy stawiać pytania, ale nie umiemy udzielić na nie odpowiedzi i pustymi plamami (*blind spots*), w których istniejące metody i teorie nie pozwalają nam nawet na postawienie stosownych pytań<sup>28</sup>.

Istnienie „białych plam w historii” uznane zostało obok „interpretacji przeszłości” za symptom wczesnego ostrzegania przed konfliktem międzypaństwowym na płaszczyźnie historycznej<sup>29</sup>. I w ogóle jest chyba tak, że „sfera polityki jest nasycona symboliką. Zrozumieć mechanizmy symboliki, pośród której żyjemy, znaczy uprawiać określoną politykę. Brak ich zrozumienia prowadzi jedynie do uprawiania złej polityki”<sup>30</sup>; chodzi więc o zrozumienie, nie o wydobycie prawdy... Zaś „zagadnieniem teoretycznym... jest kwestia stabilności, a dokładniej twierdzenia, że dyskursy dążą zawsze do zamknięcia i stabilności, ale że zawsze są i elementy dwuznaczne, otwarte i białe plamy, które dyskurs musi przemilczeć aby wydawać się stabilnym. Przyjmując to ogólne twierdzenie teoretyczne w badaniu dyskursów polityki zagranicznej te dwuznaczne lub białe plamy mogą się ujawnić, gdy dyskurs stara się pogodzić to, co jest wyrazem rozmaitych tożsamości lub stara się uwzględnić fakty i akty polityczne w obrębie szczególnej struktury tożsamości. Celem analizy dyskursu jest określenie, gdzie usytuowane są te dwuznaczności, a inaczej mówiąc jakich pytań nie może zadać, ani na nie odpowiedzieć”<sup>31</sup>.

Przykładem stronniczego, choć niebędącego rezultatem stosowania cenzury, widzenia „białych plam” może być jednak i (zachodnio) europejski sposób widzenia historii świata (żeby nie popaść w stare i do dziś nieprzewyciężone przeciwstawienia stosunków polsko-rosyjskich i polsko-niemieckich). Oto najwarteściowsze nawet europejskie opracowania historyczne przechodzą najczęściej (jeżeli nie zawsze) do porządku dziennego nad tym, że żadna inna część świata nie zapisała się w historii pozostałym takim pasmem najazdów, eksterminacji, rabunków i dekulturacji w innych częściach świata, jak Europa i wywodzący się z niej osadnicy; że najokrutniejsze chyba akcje masowej eksterminacji przez wygłodzenie nastąpiły w XIX-wiecznej Irlandii, zaś ich sprawcy nie byli bynajmniej powodowani własnym głodem i nędzą; nawet o prymacie w „wynalezieniu” obozów koncentracyjnych przez Brytyjczyków dla Burów przypomniano sobie dopiero po fali powojennego oburzenia na *Konzentrationslager*s (też europejskiego) hitleryzmu i zgrozy holokaustu.

Wobec tej masy „zbrodni przeciw ludzkości” popełnionych przez przodków dzisiejszych promotorów praw człowieka błędna najazdy Atylli i Czyngis-chana, zaś dziedzictwo po Maurach w Hiszpanii stało się wręcz jej chlubą. Ale tego nikt nie przywykł nazywać „białymi plamami”. Ani tego, że gdyby nie Rosja, to i w samej Europie nie byłoby, na styku Zachodu z Turcją i w ogóle

z Azją żadnych innych narodów i państw słowiańskich,<sup>32</sup> i dziś można by tylko odkrywać ten fakt ze zgrozą jako „białą plamę”. Ani na przykład (ostatnio) o 3000 zabitych (w tym 78 dzieciach) przez rzekomo „chirurgiczne” naloty NATO na Serbię<sup>33</sup>. A i wspomniana dekulturacja nie jest prawie nigdy „białą plamą”, jako że przebiega stopniowo i niespostrzeżenie, zwłaszcza gdy dotyczy ogółu. Zresztą, gdyby nie było „białych plam” w historii oficjalnej i niekwestionowanej, to nie powstałyby chyba pomysły „historii alternatywnej”, ani by nie analizowano „tradycji wynalezionej”.

W gruncie rzeczy termin „białe plamy” w odniesieniu do historii lub jej czasowych czy przestrzennych wycinków używany jest głównie jako (czasem gołosłowny) zarzut ukrywania, zniekształcania, lub mylnej interpretacji bądź samych źródeł historycznych, bądź możliwych, albo nawet „słuszniejszych” ich interpretacji. Zarzut taki można określić jako gołosłowny dlatego, że nowe poszukiwania źródłowe, badania i reinterpretacje są codziennym chlebem nauki i ich wyniki przedstawiane są na bieżąco bez uprzedniego określenia jako „białych plam” przedmiotowi badań.

Nie jest gołosłowny tylko taki zarzut, który wypowiedziany jest z całkowitą pewnością, że niewątpliwy i niepodlegający różnorodnej interpretacji stan wiedzy na dany temat istnieje i jest tendencyjnie przeinaczony, przemilczany lub ukrywany, albo że badania są utrudniane czy uniemożliwiane. Dlatego można postulować, aby wszelkie rozważania na ten temat pamiętały o tym, że punktem wyjścia jest nie jakaś obiektywna rzeczywistość, ale często jakaś polityczna tendencja lub interes, który stawia takie zarzuty nie po to, by przyczynić się do bardziej wszechstronnego i obiektywnego poznania prawdy, ale by zainspirować (najczęściej także przy znacznym poparciu organizacyjno-ekonomicznym) wprowadzenie na miejsce dotychczasowego stanu wiedzy historycznej takich modyfikacji, które (nawet nie stanowiąc zafałszowań) zmieniają jednak jego naświetlenie w sposób dla owej tendencji korzystny. A dzieje się tak dlatego, że wysuwanie zarzutów o brak zainteresowania, pomijanie lub przemilczanie niektórych zdarzeń wynika zwykle nie z troski o pełnię historycznego poznania, ale z wrogiej konfrontacji dwóch legend, ścierających się z zaciekłością wojen religijnych. I chodzi o zwycięstwo w „wojnie o pamięć”, nie o prawdę!

„Białe plamy” występują zwykle u „innych”, „u nas” są to najwyżej luki w wiedzy, albo nawet tylko luki w poinformowaniu szerszych kręgów społecznych. W rzeczywistości zresztą pewnikami (też do pewnego tylko stopnia) są właściwie rezultaty dociekań nauk, nie bez racji nazywanych „ściśtymi” (angielskie *science*).

W humanistykę od zawsze wpisany jest czynnik subiektywny (francuskie *lettres*). Wprawdzie ostatnio niektóre wątpliwości historyczne rozstrzygane bywają częściowo przez wsparcie nauk ścisłych (np. metody izotopowe: metoda radiowęglowa, metoda potasowo-argonowa, a także metoda termoluminescencyjna w datowaniu archeologicznym, albo badania DNA przy dociekaniach dotyczących nawet „rodzimości” i pokrewieństw demograficznych), perspektywa społeczno-historyczno-kulturowa pozostaje zawsze odrębna, a nawet brak relatywizacji czasowej i kulturowej uważany jest przeciwieństwem błędnej analizy społecznej i historycznej. Twierdzenie o istnieniu „białych plam”



nie musi więc być wyłącznie zarzutem wobec przeciwników. Może być rezultatem także i tego, że przynależność do różnych grup jest powodem różnych pamięci zbiorowych. Już Maurice Halbwachs stwierdził, że sama przynależność ludzi do różnych grup jest przyczyną tego, że istnieje wiele różnych pamięci zbiorowych<sup>34</sup>. Wydaje się, że należało o tym napisać, jako że ujęcia definicyjne wydają się często wyrazem bardziej pragmatyzmu czy „realizmu politycznego”, niż rzeczywistej potrzeby naukowej.

Można się zgodzić z definicją, że „kiedy pole uwagi historii rozszerza się... »białą plamą« nazywa się brak informacji o takich dziedzinach życia społecznego lub ludzkiej aktywności, które dotychczas znajdowały się poza polem zainteresowań historii, a teraz domagają się włączenia do niego, ponieważ zaczęły być postrzegane jako ważny element życia społecznego”. (Chyba domagają się tego ludzie, nie dziedziny, ale sens jest jasny.) A także, że „kiedy nie istnieją, bądź są uważane za niedostępne dane uznawane za źródła historyczne... »białe plamy« oznaczają luki w wiedzy, które historyk potrafi zlokalizować”<sup>35</sup>. Takie ujęcie odnosi się do normalnego procesu badawczego i do owych obszarów niewiedzy, które stara się pomniejszyć. Nie jest jednak przydatne politycznie ani do oskarżeń i obwiniania przeciwników, ani do gloryfikacji własnych tez jako odkrywczych – i to jego największa wada.

Nieco dalej idzie sformułowanie, że „biała plama... to nie tylko obszar niewiedzy (historyków, społeczeństwa), ale również obszar »zakryty« fałszywymi interpretacjami, negacją faktów, przeciwstawnymi relacjami świadków itp.”<sup>36</sup>. Autorzy obu powyższych definicji idą dalej drogą przedstawienia typologii i krytyki różnych strategii takiego celowego fabrykowania niewiedzy – a częściej tylko braku powszechniejszej informacji. Ale, jak dowodzą tego liczne lektury (np. wspomnianej *Encyklopedii...*), są to strategie stosowane najczęściej także przez tych, którzy starają się owe „białe plamy” nie tyle zapełniać, co eksponować, a nawet dotychczasowe dominanty zamieniać w „białe plamy”.

Piętnowanie jednej amnezji jakże często jest promowaniem innej, a walka o pamięć bywa substytutem braku wizji własnej przyszłości. Nawet sukcesy gospodarcze i polityczne państw o „krótszej tradycji”, takich jak Australia, Kanada, Nowa Zelandia, USA, które skłaniają np. do naśladowania ich multikulturalizmu i odchodzenia od etnicznej koncepcji narodu nie zaowocowały całkowitym odrzuceniem posługiwania się polityką „białych plam”. Dlatego wydaje się celowe skupienie się nie nad powyższymi strategiami, ale tylko nad próbą typologii sytuacji politycznych i społecznych, sprzyjających tworzeniu, zanikowi i przemieszczaniu się takich „białych plam” na danym polu historii.

Jeśli chciałoby się na tych podstawach, lecz bez jednostronności, podjąć próbę definicji, to określenie „białe plamy” jest związkiem frazeologicznym, stanowiącym najogólniej metaforę zakresu niewiedzy społeczno-historycznej, a ściślej tylko braku powszechniejszej informacji i to głównie tej niewiedzy i tego braku, które wynikają z zamierzonego i spowodowanego jakimś społecznym (zwykle politycznym, państwowym) interesem ukrywania, przeinaczania, jednostronnego naświetlania, zakazywania badań i analiz, bądź tylko przemilczania pewnych faktów; są one w ten sposób

(oficjalnie lub nieoficjalnie) okryte tajemnicą. (Synonimiczne wobec tajemnicy w wielu językach określenie „sekret” po polsku ogranicza się do tajemnic zachowywanych w interesie indywidualnym lub mniejszej, nieformalnej grupy.) Ale „biała plama” może być luką w wiedzy ludzkiej w ogóle, albo tylko w pewnej kulturze czy zbiorowości, może być wynikiem czyjegoś lub naszego błędu, względnie brakiem informacji zawinionym przez jakieś czynniki zewnętrzne, albo tylko przez nas samych. I łatwo tu o agresywne sprowadzanie faktu powszechnej niewiedzy albo cudzego lub własnego błędu, do aktu złej woli – i to oczywiście zawsze bardziej cudzej, niż własnej. Może także być tajemnicą, której zachowanie podyktowane jest jakąś racją, która nie jest naszą racją, z którą się nie zgadzamy, albo którą uznajemy, ale dla siebie, nie dla innych.

A gdyby w polityce nie było w ogóle tajemnic – nie byłoby i różnic między teorią, praktyką, strategią i taktyką. Ponieważ wchodzi tu w grę osądy np. prawa do tajemnicy (oczywiście zawsze bardziej surowe wobec „innych”) przypomnijmy, że istnieje też np. tzw. „prawda sądowa”, o której wiadomo, że nie jest pełną prawdą, ale tym, co w postępowaniu dowodowym dało się dowieść ponad wszelką wątpliwość – a ci, którzy tego nie pojmują, przyczyniają się do tego, co Terencjusz określił jako *summum ius – summa iniuria* i do tego chyba nawiązał Krzysztof Piesiewicz (nie wiadomo czy bardziej jako literat, czy jako adwokat) cytując rozważania Simone Weil, że „w prawdzie musi być dobro. Prawda nie może jątrzyć i niszczyć...”<sup>37</sup>. Tymczasem „biała plama” oznacza zawsze pustkę, lukę, brak, w dodatku w związku z negatywną, polską konotacją wyrazu plama może to być nie tylko pustka, ale i brak wiedzy, brak informacji (choć wiedza istnieje), błąd, a nawet zła wola (kłamstwo).

Ale przecież nawet kłamstwo nie zawsze jest sytuacyjnie bezwzględnie potępiane, istnieje kłamstwo „z litości”, „dla dobra”, a wreszcie cały obszar (uzasadnionej jakimś interesem, często zbiorowym) tajemnicy (por. też obowiązek dyskrecji i potępienie denuncjacji). Zresztą kto i na podstawie jakich kryteriów osądza, co jest wiedzą „publiczną”, co którąś z wielu rodzajów tajemnicy, a co „dobrami osobistymi”, którym należy się ochrona i do których stosuje się obowiązek zachowania dyskrecji? To tak jak z dyskryminacją: kto i na jakich zasadach wyznacza granice między krzywdą a karą, sankcją społeczną, ostracyzmem, separatyzmem, „stygmatyzacją” (oznakowaniem), nieporozumieniem? Kryterium rozróżnienia dyskryminacji jednostkowej i kategorialnej może się okazać niewystarczające!

Ukrywanie prawdy i informacji oceniane bywa zwykle z punktu widzenia etyki społecznej. Wydaje się jednak, że jest to przede wszystkim postępowanie, które utraciło swą logikę i przydatność, jakkolwiek może być oceniane etycznie. Tak jak traci na naszych oczach sens przymus fizyczny, a nawet ekonomiczny, tak jak przymus opinii przestaje się kierować jakimikolwiek imponderabiliami, tak i pozostawianie jakkolwiek rozumianych „białych plam” staje się po prostu przejawem kompromitacji tych, którzy okazali się niezdolni do požądane dla siebie manipulowania uwagą, zainteresowaniami i poglądami społeczeństwa, które chcą zmajoryzować.

Jak widać, dokładne określenie co jest, a co nie jest „białą plamą” wymaga: 1. uwzględnienia i wyelimi-

nowania naturalnego obszaru niewiedzy danej epoki i społeczeństwa, 2. oceny stanu jego zdolności informacyjnych, 3. tak samo uwarunkowanego zakresu tajemnic państwowych, usprawiedliwionych zewnętrzną i wewnętrzną koniecznością polityczną, 4. oceny zakresu przekroczenia konieczności w powyższych dziedzinach, a ewentualnie także legitymizacji owych konieczności w świetle powszechnie przestrzeganych norm współżycia społecznego i norm prawa międzynarodowego (które zresztą też się zmieniają, i to rzadko tylko ze względów moralnych). Wydaje się, że jest to prawie niewykonalne przynajmniej dla tych, którzy nie mają na celu tylko zmonopolizowania wszelkich kryteriów ocen i zawłaszczenia ich.

Nie bacząc, że w globalnej wiosce mamy do czynienia z „przejrzystością utraconą”, więc „prawda wypowiedzi” i tak jest tylko „prawdą wypowiedzianą” (np. do kamery telewizyjnej), zwłaszcza w polityce właśnie<sup>38</sup>. Chodzi w gruncie rzeczy nie o definicję „białych plam”, ale o stopień i zakres dyskrekcji wynikającej zarówno z ochrony dóbr osobistych, będącej jednak powszechnie uznanym prawem człowieka, jak i z interesów społecznych i państwowych – różnego typu tajemnicy państwowej, zawodowej, itp. Chodzi również może i o jakieś *gentleman's agreement* (jeżeli coś takiego jest jeszcze w ogóle możliwe), zachowanie jakichś zasad przyzwoitości w „walce o tajemnice” towarzyszącej każdemu konfliktowi społecznemu, tak aby pełne (niestety) przyzwolenie na bezwzględność tej walki w konfliktach międzypaństwowych nie trafiało rykoszetami w równowagę psychiczną zwykłych ludzi i ich relacji. Pamiętać należy, że zwalczanie „białych plam” może oznaczać nie tylko (subiektywnie czystą) „walkę o prawdę”, ale i denuncjację o osobnych parametrach społecznych, etycznych i prawnych<sup>39</sup>, jako że może być ujawnianiem prawdy i w samoobronie, i tylko w celu dyskredytowania osobistego przeciwnika, a nawet zdradą, gdy wywabienie „białych plam” dla jednych może być równocześnie zdradą dla innych.

Rozważania powyższe nie mają więc na celu przedstawienia jakiegoś ostatecznego wniosku co do zakresu terminu „białe plamy” ani jego precyzyjnej definicji. Pragnę tylko wskazać na wieloznaczność tego terminu, choćby w związku z językiem „polangielskim” (by tak rzec, przez analogię do francuskiego *franglais*), ale także w związku z wieloznacznością obiektywnych i subiektywnych, zawinionych i niezawinionych, bądź usprawiedliwionych wyższymi, także altruistycznymi racjami przyczyn i niewiedzy, i braku informacji. A także na niebezpieczeństwa jeszcze jednej okazji, by pod pozorem miłości (do prawdy) posługiwać się nietolerancyjnym dezawuowaniem cudzych prawd, denuncjacją i pozamerytorycznymi argumentami zwalczania konkurentów politycznych – „językiem nienawiści, który brzmi jak język miłości”, jak to świetnie sformułował Stefan Chwin<sup>40</sup>, a co pobożny polski lud od dawna ujął w przysłowiu: „ubrał się diabeł w ornat i ogonem na mszę dzwoni” (zacytowanym przez Henryka Sienkiewicza już w 1886 roku). Bo gdy używamy wobec przeciwnika zarzutu zawinionego tworzenia i utrzymywania „białych plam”, to nie ma w tym najmniejszego miejsca na przyznanie mu prawa do jego racji, jego tajemnic i jego taktyki informacyjnej (zarówno na wewnątrz, jak i na zewnątrz), a wszystkie niejawne zdarzenia uznane

są za dowód jego zbrodni i niemoralności bez względu na to, czy nimi są i na towarzyszące okoliczności i racje – z prawem także do błędu w ocenie sytuacji i w działaniu. W ten sposób te terminy są mniej podatne na stawanie się inwektywą, z dorozumieniem zamierzonej winy sprawcy owych „białych plam”.

Dlatego chyba ogromna większość dyskusji i wypowiedzi ogranicza się tylko do wyciszenia zakresów, które uważa się za obszary „białych plam”, a nie próbuje określić jakiej definicji lub kryterium powinny odpowiadać takie zakresy. W tej sytuacji „białe plamy” stają się po prostu inwektywą i nie kształtuje się platforma jakiegoś porozumienia, tylko wymiana zarzutów. Nawet w interesującej dyskusji na ten temat<sup>41</sup> zastanawiano się głównie nad zakresem i sposobem odbicia rzeczywistości w literaturze, choć Wiesław Myśliwski ostrzegł, że „czas rzeczywistości i czas literatury są ze sobą niewspółmierne”, a „rzeczywistość – czy my w ogóle wiemy, czym ona jest i jaka ona jest?”

„Uwodzić to tyle, co odwodzić kogoś od jego/jej prawdy”, a jeśli brak nam lepszych możliwości, to „uwodzimy naszą słabością”<sup>42</sup>. Czyżby i w tym było źródło „polskiego cierpiętnictwa”, a zarazem przywiązania do „walki o pamięć”? Zwrócił na to uwagę już wybitny polski socjolog, a zarazem (co w Polsce rzadkie) pragmatyk Jan Szczepański w jednej z ostatnich swoich prac pisząc: „Prasa, radio i telewizja pełne są dyskusji o »białych plamach«, niewyjaśnionych faktach, głównie tych, w których naród ponosił straty”. Jest to jego zdaniem jeden z przejawów poczucia niższości i dążenia do rekompensaty „tworzeniem rozbudowanych opisów przeszłej wielkości, jeżeli nie politycznej i gospodarczej, to moralnej i intelektualnej”<sup>43</sup>. Może i stąd owe odkształcenia w pojmowaniu „białych plam”. Bo wśród beneficjentów *status quo* i tak są głosy mówiące, że „może trzeba powiedzieć, że nie mamy ochoty, by wiedzieć wszystko. Że żyje nam się dobrze z dziurawą historią. Że te dziury są nam nawet potrzebne, że pozwalają nam oddychać. A zresztą może i historia ma także prawo do swojego życia prywatnego”<sup>44</sup>.

Oczywiście można wychodzić z założenia, że skoro określenie się pojawiło, nadano mu pewne nowe znaczenie i jest używane także w poważnych opracowaniach, to należy uporządkować zakres jego desygnatów. Ale nie pierwszy to raz, kiedy jakieś określenie przez sposób używania lub np. zbyt szczegółowego adresowania staje się epitetem i zaczyna podlegać charakterystycznym deformacjom; przestaje być ważne co ono oznacza i jakie zjawiska obejmuje, a staje się ważne tylko to, w jakim stopniu może zdeprecjonować tych, którym (polityczną) winę za opisany stan rzeczy przypisuje – nie bacząc, że czasem wina leży po stronie samych niedoinformowanych, którzy nie skorzystali z istniejącego już stanu wiedzy, nie mówiąc o tendencji do „bicia się w cudze, a nie własne piersi”.

Nie oznacza to, że w ramach gier politycznych nie popełnia się licznych nadużyć tak w posługiwaniu tajemnicą państwową, jak i postulatami dostępu do informacji i jawności życia publicznego, a nawet że mieszcząca się w normach zasad współżycia społecznego polityczna gra tymi tajemnicami i informacjami utrzymuje się na minimalnym poziomie moralno-etycznym, ale wydaje się, że posługiwanie się

w polemikach naukowych tak niejasnym, ogólnikowym i egocentrycznie pojmowanym terminem więcej przynosi szkód niż pożytków. Choćby tylko dlatego, że „nasilona potrzeba poznawczego zamknięcia prowadzi do krystalizacji i »epistemicznego zamrażania« przekonań, powoduje ich sztywność oraz odporność na oddziaływanie informacji z nimi niezgodnych”<sup>45</sup>. A także dlatego, że „pojęcie białych plam może być trochę mylące, bo sugeruje, że wypełnianie takich plam może samo w sobie uzdrowić pamięć zbiorową. To twierdzenie nie uwzględnia znaczenia narracji, szczególnie schematycznych równoważników narracji, w przeciwstawianiu się przeciwnym świadectwom. Ważne jest rozeznanie, że ten konserwatyzm nie wyraża często świadomego oporu jednostek lub grup, lecz jest wbudowany w narzędzia narracji używane w pamięci zbiorowej. Posumowanie tych konkluzji może być przygnębiające, bo jakże trudno jest wpłynąć na pamięć, nawet wobec silnych dowodów przeciwnych. Ale jeśli rzeczywiście tak jest, lepiej uznać to i zająć się tego konsekwencjami”<sup>46</sup>.

Właśnie. Najbardziej celowe wydaje się więc naukowe badanie, dlaczego pewne zdarzenia utkwily albo nie utkwily w (różnych!) pamięciach społecznych i jakim to ulegało przemianom także ze względu na manipulacje informacjami i polityczne, własne i cudze, trafnie i nietrafnie odczytywane interesy. A łączenie „białych plam” z przypisywaniem komuś winy za ich powstanie mogłoby być rozpatrywane właściwie tylko przez międzynarodowy wymiar sprawiedliwości, choćby tylko w tym zakresie, w jakim jest on naprawdę bezstronny i dopuszczony do głosu przez koncerty państwowych interesów.

## KRZYSZTOF KWAŚNIEWSKI

- 1 J. Le Goff, *Historia i pamięć*, Warszawa 2007, (I wyd. francuskie 1977), s. 170.
- 2 Por. np. M. Bloch, *Apologie pour l'histoire ou métier d'historien*, Paris 1952, „Cahiers des Annales”, t. 3, Librairie Armand Colin, s. 145 nn.
- 3 Przytaczam ze wstępu do dowcipnego opracowania: K. Passig, A. Scholz, *Leksykon niewiedzy*, Warszawa 2009, (tłum. E. Kaźmierczak, I wyd. niemieckie 2007). Istnieje też opracowanie: R. Duncan, M. Weston-Smith, *The Encyclopaedia of Ignorance – Everything you Ever Wanted to Know About the Unknown*, 1977, Pergamon Press.
- 4 J. Baudrillard, *O uwodzeniu*, tłum. J. Margański, Warszawa 2005, s. 105.
- 5 H. Arendt, *Między czasem minionym a przyszłym. Osiem ćwiczeń z myśli politycznej*, tłum. M. Godyń, W. Madej, Warszawa 1994, s. 267 i 294.
- 6 H. Markiewicz, A. Romanowski, *Skrzydlate słowa. Wielki słownik cytatów polskich i obcych*, Kraków 2005, s. 531 (jeszcze w wydaniu z 1998 r. były to fakty przemilczane „od lat 80-tych”).
- 7 Por. np. L. Röhrich, *Lexikon der sprichwörtlichen Redensarten*, Freiburg 2003.
- 8 Por. „[Weisse Flecken]”, niemiecko-polskie czasopismo młodzieżowe, założone przez niemiecką organizację Step21 (tj. krok w XXI wiek), w 1998 r. w Hamburgu, w odpowiedzi na ataki grup prawicowych na cudzoziemców (por. np. K.K.[waśniewski], *Pozaprawne wystąpienia przeciw cudzoziemcom w Niemczech 1991-1992*, „Sprawy Narodowościowe – seria nowa”, r. 2, 1993, nr 1, s. 301-304). Pismo odznacza się pozytywnie szukaniem bardziej własnych, niemieckich niż cudzych zaniedbań i jest polem współpracy młodzieży niemieckiej z austriacką, czeską i polską.
- 9 W. Kalicki, „Gazeta Wyborcza”, 9.01.2007.
- 10 A. Dąbrowska, *Słownik eufemizmów polskich, czyli w rzeczy mocno, w sposobie łagodnie*, Warszawa 1998, s. 245.

- 11 H. Zgólkowa (red.), *Praktyczny słownik współczesnej polszczyzny*, Poznań 2000, t. 29, s. 16. Nie jest to przykładowy cytat, ale słownikowa definicja.
- 12 *Białe plamy w historii Polski*, „Wojsko Ludowe” 1982, nr 3, s. 48-52 i następnych 8 artykułów z tej serii. Por. też J. Rem [J. Urban], *Felietony*, Warszawa 1984, s. 179. Dopiero później ukazuje się broszura: A. Michnik, *Białe plamy*, Gdańsk 1988.
- 13 B. Drozdowski, *List otwarty do-*, Warszawa 1985, s. 51.
- 14 H. Galle, A. Krasnowolski, *M. Arcta Słownik frazeologiczny: poradnik dla piszących*, Warszawa 1928; S. Skorupka, *Słownik wyrazów bliskoznacznych*, Warszawa 1958.
- 15 S. Skorupka, *Słownik frazeologiczny języka polskiego*, Warszawa 2002 (I wyd. 1985), s. 99.
- 16 Tamże s. 685.
- 17 P. Müldner-Nieckowski, *Wielki słownik frazeologiczny języka polskiego*, Warszawa 2003, s. 533.
- 18 A. Kubiak-Sokół (red.), *Słownik frazeologiczny*, Warszawa (b. r. wyd.), s. 212.
- 19 R. Cebula, *Wielki słownik frazeologiczny*, Kraków 2008, s. 198 i 476 (w dziale „Polityka”). Tę samą definicję powtórzono w: A. Kłosińska, E. Sobol, A. Stankiewicz, *Wielki słownik frazeologiczny PWN z przysłowiami*, Warszawa 2008, s. 361; E. Sobol, *Słownik frazeologiczny PWN z Bralczykiem*, Warszawa 2008, s. 221, poprzedzając to sformułowanie definicją: „miejsca nieznanne, niezbadane”.
- 20 *Encyklopedia „białych plam”*, Radom 2000, t. 1, s. 9.
- 21 M. Bańko (red.), *Wielki słownik wyrazów bliskoznacznych*, Warszawa 2005, s. 625.
- 22 D. Stola, *Emigracja pomarcowa*, Warszawa 2000.
- 23 R. Ingarden, *O poznawaniu dzieła literackiego*, Lwów 1937, s. 27.
- 24 A. Podgórecki, *Problem klasyfikacji nauk prawnych*, „Studia Socjologiczne” r. 1967, nr 1, s.240.
- 25 A. De Baets, *Censorship of Historical Thought. A World Guide 1945-2000*, Greenwood Publ., Westport Conn.-London 2002, s. 32.
- 26 Tamże, s. 223.
- 27 A. Podgórecki, *Black Social Engineering: Five Hundreds Years Ago And Now*, (niepublikowane; por. A. Podgórecki, J. Alexander, R. Shields, *Social Engineering*, Sarlton University Press, Ottava 1996, s. 103).
- 28 J. Wagner, *Ignorance in educational research: or, how can you not know that?* „Educational Researcher” 1993, nr 5, s.16.
- 29 É. Blénesi, *Ethnic Early Warning Systems and Conflict Prevention*, Occasional Paper, University Cambridge 1998, No 11, <http://lgi.osi.hu/ethnic/relations/1/blenesi.html>.
- 30 U. Eco, *Podziemni bogowie*, tłum. J. Ugniewska, P. Salwa, Warszawa 1996, s. 263.
- 31 L. Hanson, *Security as practice: discourse analysis and the Bosnian war*, 2006, Routledge, s. 145.
- 32 O licznych innych, drastycznych pominięciach por. np. L. M. Nijakowski, *Kiedy krwawa plama staje się białą. Polityka pamięci związana z masakrami w XX wieku*, [w:] A. Szpociński (red.), *Pamięć zbiorowa jako czynnik integracji i źródło konfliktów*, Warszawa 2009.
- 33 J. Maciejewska-Pavković, *Minęło dziesięć lat*, „Słowo YU Polonii. Biuletyn”, r. 2009, nr 39. Por. też zwłaszcza M. Waldenberg, *Rozbicie Jugosławii. Jugosłowiańskie lustro międzynarodowej polityki*, Warszawa 2005, s. 329-337.
- 34 M. Halbwachs, *Spoleczne ramy pamięci*, Warszawa 1969, s. 207 nn.
- 35 B. Szacka, *Czas przeszły pamięć mił*, Warszawa 2006, „Współczesne Społeczeństwo Polskie wobec Przeszłości” t.3, s. 27.
- 36 Nijakowski, 2009, s. 169.
- 37 *Wersja Temidy. Mecenas Piesiewicz o tym, jak sądy dochodzą do prawdy i co im w tym przeszkadza*, rozm. K. Burnetko, „Polityka” 2009, nr 23, s. 87.
- 38 Eco, 1996, s. 174-199.
- 39 L. Boltanski, M.-A. Schiltz, Y. Darré, *La dénonciation*, „Actes de la recherche en sciences sociales”, t. 51, 1984, nr 1, s. 3-40.
- 40 S. Chwin, *Dziennik dla dorosłych*, Gdańsk 2008.
- 41 „Białe plamy”, (wypow. J. Koenig, W. Markiewicz, W. Myśliwski, M. Szpakowska, S. Treugutt), „Dialog” 1984, nr 7, s. 109-119. Por. też *Białe plamy*, red.: K. Goldbergowa, J. Roszko, A. Rowiński, M. Rymuszek. Red. serii: R. Karaś, t. 1-5. Seria wydawnicza: Reporterska Aukcja Zdarzeń, Warszawa 1989.
- 42 Baudrillard, 2005, s. 80-82.
- 43 J. Szczepański, *Historia mistrzynią życia?*, Warszawa 1990, s. 190.
- 44 La chronique de Paul Hermant, RTBF, Bruxelles, 2009, [www.rtbf.be/info/matin-premiere/la-chronique-de-paul-hermant-105814](http://www.rtbf.be/info/matin-premiere/la-chronique-de-paul-hermant-105814).
- 45 M. Dymkowski, *Wprowadzenie do psychologii historycznej*, Gdańsk 2003, s. 144.
- 46 James V. Wertsch, *Blank Spots in History and Deep Memory: Revising the Official Narrative of the Molotov-Ribbentrop Pact*, Presentation at the conference „Memory from Transdisciplinary Perspectives: Agency, Practices, and Mediations”, Tartu, Estonia, January 11-14, 2007, <http://www.ut.ee/memory2007/orb.aw/class=file/action=preview/id=213671/Blank+Spots+and+Deep+Memory.1.8.07>.



STANISŁAW BURKOT

# RÓŻEWICZ W PODRÓŻY

Było najpierw Radomsko, gdzie się urodził, uczył się i pracował, później, w czasach okupacji, w latach 1943-1944 oddział partyzancki AK walczący w powiatach: radomszczańskim, włoszczowskim, opoczyńskim i częstochowskim; po wojnie Częstochowa, gdzie zdał na kursach dla pracujących maturę, następnie Kraków i studia z zakresu historii sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim, rozpoczęte w październiku-listopadzie 1945, przerwane w 1949 roku. Zawarty związek małżeński z Wiesławą Kozłowską i przenosiny do Gliwic wyznaczają prawie dwudziestoletni pobyt Różewicza w samym centrum przemysłowego Śląska<sup>1</sup> – poza tak zwanym „środowiskiem literackim”. W czerwcu 1968 roku rodzina przeniosła się do Wrocławia. W twórczości literackiej poety, prozaika, dramaturga, eseisty te miejsca pobytu, osiedlenia, utrwala się w licznych utworach, stanowią jednak w nich tylko znaczące tło, a nie główny temat.

Różewicz nie pisze autobiografii, nie dowartościowuje szczegółów z własnego życia, rozpoznaje chaos, uwikłanie jednostki w coraz to nowe zdarzenia. Każdy z etapów owego uwikłania jest składową częścią całości, „która się złożyć nie może”. Radomsko, „partyzantka”, Kraków, Gliwice, Wrocław układają się w „linię życia”<sup>2</sup>. Żadne z tych miejsc nie stanowi w sensie duchowym zamkniętego etapu; szczegóły z nich powracają wielokrotnie i w różnych kontekstach w kolejnych fazach twórczości. Tak na przykład przerwanie studiów, wyjazd z Krakowa, przenosiny nie oznaczają zerwania związków towarzyskich i organizacyjnych z miastem<sup>3</sup>; Radomsko w *Przygotowaniu do wieczoru autorskiego* zapisuje się całą serią wspomnień z dzieciństwa; czas pobytu w oddziale partyzanckim utrwalił się w wierszach i opowiadaniach z tomów *Echa leśne* i *Opadły liście z drzew*; powrócił później w ironicznym opowiadaniu *Towarzysze broni*, także w dramatach *Spaghetti i miecz* i *Do piachu*. Cechą szczególną tej „linii życia – linii twórczości” jest zakorzenienie kreacji artystycznej w doświadczeniu osobistym, w przeżyciu wewnętrznym: to co przeżyte, co bezpośrednio doświadczone staje się ważne w sensie artystycznym. Wiersz *Jestem realistą* z tomu *Formy* stanowi najogólniejszą formułę Różewiczowskiej *ars poetica*. Ale to – jak sam nazywał

– „realizm poetycki”; u podstaw jest przeżywanie i doświadczenie, a nie rejestrowanie i zapisywanie.

Poprzez swoje odosobnienie w Gliwicach Różewicz nie stał się pisarzem regionalnym, choć mogło się to zdarzyć. Liczą się, co udowodnił, nie miejsca zamieszkania, nie „środowisko literackie”, lecz podmiot, osoba, doświadczenie wewnętrzne, przeżycie, „przypadki” – w dawnym literackim znaczeniu tego słowa – przypadki jednostkowej egzystencji. Kiedy tuż po zakończeniu wojny rozpoczął się prawdziwy *exodus* twórców z Krakowa, chwilowej przechodwalni wojennych rozbitków, kiedy zaczęły się wyjazdy bądź do służb dyplomatycznych (Miłosz, Przyboś), do kuszącego na krótko dobrymi warunkami „odzyskanego” Szczecina, bądź do odbudowującej się z ruin stolicy, podejmowania w niej różnego typu zatrudnień (Andrzejewski, Gałczyński, Putrament, Staff), Różewicz przenosił się do Gliwic. Świadomie wybierał prowincję i odosobnienie. Okoliczności tego wyboru miały zapewne aspekt prywatny, rodzinny<sup>4</sup>, ale zagęszczały się ataki stalinowskiej władzy na akowców; głośny debiut poety zwracał na niego uwagę, tworzył zagrożenie. Równocześnie w „sekcjach” Związku Literatów zaczynały się prawdziwe „sabaty czarownic”: pisarze musieli składać publiczne samokrytyki... Wyjazd do Gliwic był usunięciem się z „pierwszego planu”. Warto tu przywołać całą serię ataków na poetę po wydaniu dwu pierwszych tomików<sup>5</sup>. Po zmianie redakcji w „Odrodzeniu” za rządów Jerzego Borejszy nasiliły się także ataki byłych kolegów:

„A byli to rzeczoznawcy bezwzględni i pełni „świętego zapału” [...]. Żeby nie brać udziału w różnych dyskusjach i sekcjach literackich, wyniosłem się z Krakowa na prowincję. Bałem się tych „sekcji” (które były dla mnie równocześnie wiwisekcjami i sekcjami zwłok literackich)”<sup>6</sup>.

Autor *Niepokoju* uniknął jednak niebezpiecznej pułapki: przekonał dobitnie, że w sztuce liczą się nie miejsca pobytu, nie kawiarniany establishment, nie koneksje polityczne, lecz jakość podejmowanych problemów i nowatorstwo rozwiązań artystycznych. W momencie dojrzałego debiutu, tego z tomiku *Niepokój*, istotne było,

<sup>1</sup> W przemówieniu z okazji nadania pisarzowi honorowego obywatelstwa Gliwic w 1995 roku przedstawił nie tylko okoliczności zamieszkania w tym mieście, ale i krąg śląskich znajomych i przyjaciół (*Na dobre i na złe zawsze z wami* [w:] *Margines, ale...*. Wrocław 2010, s. 292-296).

<sup>2</sup> Jeśli wolno posłużyć się parafrazą z *Psychologii indywidualnej w wychowaniu Alfreda Adlera*, głośnej, tłumaczonej i wydanej u nas w 1946 roku.

<sup>3</sup> Różewicz pozostawał nadal członkiem krakowskiego oddziału Związku Literatów Polskich, odwiedzał krakowskich przyjaciół często, zaglądał do wydawnictw i muzeów.

<sup>4</sup> Żona pisarza, zatrudniona początkowo w placówce Czerwonego Krzyża w Gliwicach, otrzymała „służbowe” mieszkanie.

<sup>5</sup> Pisze Różewicz o tych atakach, wspominając swój debiut, w szkicu *Tożsamość (wspomnienie o Karolu Kuryluku)* [w:] *Proza*. T.2. Kraków 1990, s. 77. W prasie pojawiły się ostre ataki Anny Pogonowskiej (*Liryk nie wierzący w świat*, „Warszawa” 1948, nr 10), Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego (*Kronika tygodniowa*, „Nowiny Literackie” 1948, nr 48), Stanisława Bagińskiego (*W sprawie Różewicza*, „Nowiny Literackie” 1948, nr 51). W tomie: T. Różewicz, *Margines, ale...*, opracowanym przez Jana Stolarczyka (Wrocław 2010) kilkanaście stron zajmują odmowy druku jego utworów z różnych czasopism w latach 1953-1954 – od „Szpilek” do „Twórczości” i „Nowej Kultury”. „Ideologicznie” podejrzane były nie tylko same teksty, lecz także autor (*Różne oblicza cenzury*, s. 226-239).

<sup>6</sup> T. Różewicz, *Tożsamość (wspomnienie o Karolu Kuryluku)*, s.79.

zaakcentowane w wierszu *Ocalony*, przeświadczenie o śmierci starych idei, ich zagładzie w wyniku katastrofy wojennej. Jak apel, a równocześnie jako rodzaj deklaracji poetyckiej pojawia się w tym wierszu oświadczenie: „szukam nauczyciela i mistrza / niech przywróci mi wzrok słuch i mowę / niech jeszcze raz nazwie rzeczy i pojęcia”. Swoich mistrzów odnajdywał Różewicz wówczas w kręgach filozofii neopozytywistów (Kazimierz Twardowski, Jan Łukasiewicz, Kazimierz Ajdukiewicz, zwłaszcza Tadeusz Kotarbiński)<sup>7</sup>. Ta postawa nigdy nie została później odrzucona, podlegała jednak modyfikacji i dopełnieniom.

W dorobku Różewicza dokonywało się stałe rozszerzanie horyzontów, przeprowadzane z niezwykle uporem, w samodzielnym, wręcz samotniczym wysiłku; w Gliwicach dochodziło dzień po dniu do emancypacji spod wpływu poetyki apodyktycznego nauczyciela i mistrza z okresu krakowskiego – Juliana Przybosa. Nie szło o odrzucenie jego poezji, lecz o wyzwolenie. Ale po 1949 roku pojawił się fałszywy „nauczyciel i mistrz” – obcy w istocie obu poetom, choć obaj stosowali z konieczności taktykę uników, pustych deklaracji, cichej niezgody. Między awangardowym w swym rodowodzie językiem Przybosa, językiem zagęszczonych metafor, opartych na regule nagłego skojarzenia, i wywodzącym się z neopozytywizmu językiem konkretnym u Różewicza, jego niechęcią do filozofii spekulatywnej, a w poezji do metafory właśnie, nie było żadnego przejścia do nowej wiary – do realizmu socjalistycznego.

Gliwicki kontekst dostrzec można w wierszu *W ciszy tak drogo okupionej* z tomiku *Czas który idzie*, w którym nietrudno znaleźć parafrazę fragmentu z *Drogi powrotnej* Przybosa, mówiącego o rozczarowaniu żołnierzy walczących w 1918 i 1920 roku o Niepodległą: „Śnieg w zamieci kołował jak biały orzeł. Batalion broń nabił”... To stwierdzenie kusilo do porównania: Różewicz, żołnierz AK, w roku 1949 chroni się w Gliwicach, nie ma chwały, nie ma zasługi, nie ma nawet buntu: „Śnieg kołował nad czarnym miastem / leży w hałdach senny biały ptak”... W losach dwóch poetów-żołnierzy jest nie tylko podobieństwo, lecz w przypadku Różewicza głębokie poczucie degradacji, klęski. Jednak Przyboś ciągle, zwłaszcza po 1956 roku, bronił swojej formuły – „organizatora wyobraźni zbiorowej”, ciągle „miał nadzieję”; Różewicz rozpoznawał pokłady nieautentyczności w życiu społecznym.

Ochroną w poezji był język konkretny, była nie zaskakująca metafora, lecz zestawiająca konkrety metonimii, a także „niepoetyckie” wylczenie, nazywanie „pojęć i rzeczy”. Ten język był zasadniczo różny od agitacyjno-propagandowego modelu socrealistycznej retoryki. Jednak to Przyboś kierujący działem literackim w „Odrodzeniu” już w lipcu 1945 roku zachęcał Różewicza do przysyłania utworów, informował następnie o przyjęciu ich do druku, liczył na spotkanie i bezpośrednią rozmowę<sup>8</sup>. Był mistrzem i mentorem dla Różewicza. Na początku lat sześćdziesiątych doszło do gwałtownego ostatecznego zerwania obu poetów. Wśród przyczyn były różni-

ce w rozumieniu samej poezji<sup>9</sup>. Autor *Niepokoju*, po wygaśnięciu gniewów, w Przybosiu widział jednego z najwybitniejszych odnowicieli poezji polskiej. W Gliwicach uniezależniał się od Przybosa i wyzwalał się także z socrealistycznych uwikłań, deklaracyjnych oświadczeń o „nowej poezji”, zapewnień o zapominaniu złej przeszłości wojennej. Wiersz *Obietnica* z tomu *Czas który idzie* wskazuje jednak na niemożliwość zapomnienia:

Ja to odejmę przeszłości

Ja człowiek pobity w tej wojnie  
jak drzewo i trawa  
ja wyziębiony  
jak podziemia kościołów  
ja dół pełen wspomnień  
a jedne leżą na drugich

Stworzę dla was obraz nowy  
pożywny i pełen ciepła

Wy nie znanie naszej śmierci  
nie kryjecie pod korą  
ciemnych korytarzy  
wy z twarzami w słońcu  
moje dzieci

Rozmowa z synami w metonimicznej warstwie znaczeń nawiązuje bezpośrednio do *Niepokoju* i *Czerwonej rękawiczki* z krakowskiego okresu twórczości. Wyzwalanie się z socrealistycznej doktryny przebiegało w gliwickiej samotni w kręgu spraw rodzinnych, domowych kłopotów. Warto tu przypomnieć, że *Poemat otwarty* (1956), *Formy* (1958) i *Rozmowa z księciem* (1960) tworzą razem pełną dokumentację owego wyzwolenia; co ważne – bez dramatycznej ekspiacji, za to z głębokimi przeobrażeniami warsztatowymi, z refleksją teoretyczną nad istotą języka poetyckiego.

W Gliwicach zdarzyło się jeszcze jedno – narodził się Różewicz-dramaturg: powstały *Kartoteka*, *Świadkowie albo nasza mała stabilizacja*, *Spaghetti i miecz*, *Stara kobieta wysiaduje*. Wprawdzie znane są młodzieńcze próby dramatyczne, znany niedokończony dramat *Będą się bili*, ale *Kartoteka* ma swoje ważne konteksty gliwickie: rozpoczyna teatralną przygodę Różewicza. Pisał ją w latach 1958-1959; wcześniej, bo w 1957 ukazało się krajowe wydanie *Ślubu* Gombrowicza; w 1960 roku w Teatrze Studenckim przy Politechnice Gliwickiej doszło do teatralnej, w istocie „nielegalnej”, bo bez zgody autora prapremiery dramatu w reżyserii Jerzego Jarockiego ze scenografią Krystyny Zachwałowicz. W *Kartotece* trudno nie dostrzec polemicznego dialogu z Gombrowiczem<sup>10</sup>. W prozie pojawia się wówczas tom opowiadań *Przerwany egzamin* (1960) nawiązujący zarówno do Radomska, do eksternistycznej matury w Częstochowie, do tomu opowiadań partyzanckich *Opadły liście z drzew*, jak i do krakowskiego okresu studiów. W tomie *Formy*

<sup>9</sup> Por.: U. Klatka, *Wokół „Ody do turpistów”*. *Listy Tadeusza Różewicza do Juliana Przybosa z 1962 roku*. „Ruch Literacki” 2003, nr 5; S. Burkot, *Rozsierdzony Apollo i niepokorny Marsjasz*. „Ruch Literacki” 2005, nr 4/5.

<sup>10</sup> Szerzej na ten temat w zbiorze szkiców *Tadeusza Różewicza opisanie świata* (Kraków 2004, s. 169-186). Różewicz, o czym wspomina w wystąpieniu Na dobre i na złe zawsze z nami miał przyjaciół wśród studentów Politechniki Gliwickiej; wymienia m.in. Piotra Lachmanna, Wojciecha Pszoniaka, Andrzeja Barańskiego. Wspomina swoich gości w Gliwicach – Kornela Filipowicza, Juliana Przybosa, Tadeusza Kijonkę; przyjeżdżali także tłumacze: Henryk Bereska, Karol Dedećius, Peter Vujičić, Vlasta Dvořáčková, Pavel Bunčák; ze Stanów Zjednoczonych – pisarz Paweł Mayewski.

<sup>7</sup> Szerzej w szkicu *Neopozytywistyczne konteksty twórczości Tadeusza Różewicza* [w:] *Tadeusza Różewicza opisanie świata*. Kraków 2004, s. 5-24.

<sup>8</sup> Wybór listów Przybosa wcześniej opublikowanych w „Odrze” w: *Margines, ale...* Wrocław 2010, s. 138-149.

umieszczony został cykl próz poetyckich dotyczących dzieciństwa, domu rodzinnego; obok nich zjawia się surrealistyczny, wizyjny cykl „złych snów” teraźniejszych. W sumie gliwicka „prowincja”, a ściślej – zamierzone odosobnienie dobrze posłużyło się rozwojowi twórczości, ale rodziło także różnego typu obsesje poety.

Różewicz „długim łukiem” omijał Warszawę jako miejsce swojego dłuższego pobytu, choć miał w niej bliskich przyjaciół i znajomych z krakowskiego okresu życia, między innymi malarzy – Jerzego Tchórzewskiego, Aleksandra Kobzdej czy „starego poetę” – Leopolda Staffa; w Warszawie miał przecież także premiery swoich dramatów w teatrach, odbierał nagrody i wyróżnienia. Gliwice jednak tworzyły ciągle schronienie i ucieczkę od publicznego wrzasku, politycznych i ideologicznych kłamstw. Przed domowym oknem był komin, jakieś zakłady wojskowe, „hałda” i „biały ptak” nad nią nie kołował. Dojrzewanie poety do samodzielnego głosu wymagało więc wytrwałości i upor. Ale rodziło także zwątpienie. Wiersz *Czas który idzie* odkrywa więc dwuznaczność samego azylu:

Tyś się odgradził od świata  
trwogą ogromną i ssącą  
że ludzie wtargną do źródła  
i czyste wody roztrąca  
A może tylko cisza  
ziewa w tobie jak bagno  
chcesz mieć spokój i idziesz  
powoli na dno

Wejdz w siebie i zobacz  
w pustce wszystko umiera  
uciekaj stąd uciekaj  
Rzeczywistość ramiona otwiera

Także wiersz *Nie śmiem* z tomiku *Czas który idzie* wyraża tego typu wewnętrzne rozterki:

Spustoszony  
przez śmiech i słowa  
pobity przez  
małe uczucia i rzeczy  
przez pół miłości  
i pół nienawiści  
tam gdzie trzeba krzyżeć  
mówię szeptem

Pozostaje więc jako postawa wobec świata ten sam „niepokój”, teraz nasycony zwątpieniem. Wyraża to także *Elegia prowincjonalna* z tomu *Pięć poematów*:

nie ma tu miłości ani wyobraźni  
nie ma czułości ani zwątpienia  
nie ma przeszłości ani przyszłości  
nie ma żalu

żywi i umarli  
są jak pudełka tekturowe  
jak piramida z drewnianych klocków  
żona jest jak lewa ręka  
albo sufit albo gwiazda

.....  
Węch słuch smak wzrok i  
martwe ptaki z rozdziawionymi dziobami  
odlatujące

W każdym z „drewnianych” socrealistycznych tomików odnaleźć można takie wiersze osobiste, podszyte zwątpieniem albo autoironią. Nie było więc „przełomu” w 1956 roku, było samopoznanie, był autoironiczny ko-

mentarz. Wiersz *Przygoda Don Kiszota z La Manczy* z *Wierszy i obrazów* jest taką samooceną. Gliwicki azyl był pełen udręku, rodził depresje.

Prawdziwym antidotum na „nudę prowincji” stały się liczne rozjazdy pisarza. Podróże odgrywały istotną rolę w przezwyciężaniu kompleksu prowincji w okresie gliwickim. Różewicz to prawdziwy homo viator: itinerarium jego podróży tworzy gęstą mapę – w kraju od domów pracy twórczej w wielu miejscowościach nad morzem i w górach do wieczorów autorskich i spotkań towarzyskich w różnych miastach. Wiersze *Warkoczyk* i *Wycieczka do muzeum*, *Spotkanie w Nowej Hucie*, *Stara chłopka idzie brzegiem morza*, *Snowaczka z Andrychowa*, *Rozmowa na rynku w Birczy*, *Stary kirkut w Lesku*, *Bystrzyca Kłodzka*, *Malarka w Starym Sączu*, *Kamienni bracia* taki mają zapewne „turystyczny” rodowód. Rzecz znamienna, że w tych „kartkach z podróży” nie ma zwyczajowych „widokówek” – krajobrazów, są głównie spotkania z ludźmi. Bywał w Zakopanem, ale Tatr „nie widział”, nie powstał żaden cykl „wierszy nad głębiami”; jeśli Karkonosze, to nie Śnieżka, Śnieżne Kotły, Szrenica, lecz Muzeum Lalek w Karpaczu założone przez Henryka Tomaszewskiego, twórcę Teatru Pantomimy we Wrocławiu.

W 1950 roku zdarzyła się – można ją nazwać „służbową” – „urzędowa” podróż zagraniczna Różewicza, wynikała bowiem z reguł obowiązującej „wymiany kulturalnej między krajami socjalistycznymi”. Różewicz „wylosował” w ramach wymiany Węgry; zwiedzał zakłady pracy, ośrodki górnicze, gospodarstwa rolne (węgierskie „kołchozy”). Uczył się języka węgierskiego. Z tej kilkumiesięcznej podróży niewiele pozostało; powstały tylko *Kartki z Węgier* (1953). Nie jest to reporterski ciągły zapis, lecz luźny zespół obrazów-wspomnień – głównie ze spotkań i rozmów z ludźmi.

Nieco tajemnicza jest rzekomo pierwsza – byłaby jeszcze studencką – wyprawa do Mongolii<sup>11</sup> w międzynarodowym towarzystwie dziennikarzy. Utrwalona została w relacji *Niemowa w Mongolii* umieszczonej w *Przygotowaniu do wieczoru autorskiego*. Podana w opowiadaniu data 1946 jest pomyłką druku powtarzaną w kolejnych wydaniach tekstu<sup>12</sup>. Podróż po Mongolii rozpoczęta w lipcu 1956 roku, zajęła trzy miesiące. Pisarz był bezradny wobec tajemnic ludzi i krajobrazów spotykanych i oglądanych w czasie trzymiesięcznej wędrówki:

„Czasem myślę, że opisuję tylko skorupę tego kraju. Nic nie zobaczyłem, nic nie usłyszałem pod tą skorupą. Strumień życia ominął mnie, zostały mi w dłoniach ziarenka piasku, jakieś kolorowe muszki; czemu nie zaryłem w ziemię; czemu nie rozdarłem zasłony? Spałem na stepie pod namiotem, spałem w jurcie, piłem herbatę gotowaną w wodzie z rzeki Tuł, zwiedzałem świątynie, szpitale, muzea, spotykałem się z ministrami, pastuchami, poetami, szoferami, studentami... Staralem się...

Lecz teraz czuję się niemową”<sup>13</sup>.

<sup>11</sup> Data „lipiec 1946”, która otwiera później spisywane wrażenia, zatytułowane *Niemowa w Mongolii*, jest nieścisła. Chodzi o lipiec 1956 roku. Wynika ze wspomnień, że w ciągu trzech miesięcy przejechał Różewicz „pięć tysięcy kilometrów”. Podróżował z międzynarodową grupą dziennikarzy, m.in. z węgierskim poetą Korolem, Finem Toivo; przewodnikiem był mongolski dziennikarz Zun-duj.

<sup>12</sup> Pani Marii Dębicz z Wrocławia, która o biografii Różewicza wie wszystko, lepiej od samego Różewicza, za ustalenie daty podróży po Mongolii serdecznie dziękuję. Także za uściślenie dat pobytu poety w USA i Kanadzie.

<sup>13</sup> *Niemowa w Mongolii* [w:] *Przygotowanie do wieczoru autorskiego*. Proza t. 2. Kraków 1990, s. 454.



W okresie gliwickim, poczynając od Węgier, mnożyć się zaczęły podróże zagraniczne, tworzyły niejako naturalne przezwyciężenie odosobnienia i prowincjonalizmu: w 1956 r. był z dwuosobową „delegacją” w Berlinie (Wschodnim?); w 1957 „na stypendium” w Paryżu (później jeszcze w 1961 i w pamiętnym ze studenckich wydarzeń 1968 roku, był później także w Strasburgu). Ale głęboko przeżyta i zapamiętana okazała się podróż do Chin w październiku 1958 roku. „Fragmenty reportażu” z podróży do Chin, zatytułowane *Sen kwiatu, serce smoka*, zamieszczone później w *Przygotowaniu do wieczoru autorskiego* zaczynają się w sposób znamieny, nie reporterski:

„Zanim cicha szybkobieżna winda wyniosła mnie na szczyt tego drapacza chmur w Szanghaju, byłem w wielu świątyniach, ogrodach, fabrykach, komunach rolnych, sklepach, szkołach, żłobkach... na wystawie kwiatów w mieście Czengtu. Chryzantemy. Było ich na tej wystawie dwa tysiące pięć odmian. Każda z nich posiadała nazwę starszą od tysiącletniej naszej ojczyzny. I było tam sto czterdzieści kwiatów jeszcze bezimiennych, dla których nazwy wybierają zwiedzający”<sup>14</sup>.

Ta podróż utrwaliła się w utworach, w pamięci i świadomości pisarza; powracał do jej wspomnień w wielu późniejszych tekstach, m.in. w *Dwa skoki i już Pekin (Kartki z podróży)* oraz *W drodze*<sup>15</sup>. Także w wielu wierszach, m.in. *W starej świątyni (wspomnienie z podróży)*, *Erotyku nad Gobi z Zielonej róży*, w *Czarno na białym* i *Śmierci cesarza z Rozmowy z księciem*. Było dotknięcie chińskiego muru, zwiedzanie cesarskich pałaców, szokującej wystawy w jednym z nich ozdobionej meandrem „setek tysięcy wróblích skrzydełek”, w innym – schodami „zrobionymi” ze szczurzych ogonów; „czterech szkodników” (wróble, muchy, myszy i szczury) tępiono wówczas zawzięcie w Chinach w wielkiej akcji państwowej itd. Różewicz nie ocenia, nie moralizuje – jak Marco Polo opisuje świat. Przekracza w ten sposób kompleks „mieszkańca małego miasteczka północy” (wiersz *Maska* z tomiku *Niepokój*), musi doświadczyć, przeżyć, aby zrozumieć, aby porównać:

Okaleczony nie widziałem  
ani nieba ani róży  
ptaka gniazda drzewa  
świętego Franciszka  
Achillea i Hektora  
Przez sześć lat  
buchał z nozdrza opar krwi

Szybko następują kolejne wyprawy. Po Mongolii, Niemczech, Francji i Chinach przychodzi jedna z najważniejszych w sensie artystycznym – podróż do Włoch: trzymiesięczna, związana ze stypendium; trasa tej podróży zaczynała się od Rzymu, prowadziła przez Neapol, Capri, Florencję, Wenecję, Torcèllo, Rawennę, Florencję, Perugię, Asyż, Albisolo, Pizę, Sienę, Florencję, Orvieto do Rzymu<sup>16</sup>. Była to prawdziwie artystyczna wyprawa, zapisała się wyraźnie w twórczości poetyckiej wierszami w tomikach *Zielona róża*, *Nic w płaszczu Prospera*, *Twarz trzecia*, jednym z najważniejszych poematów *Et in Arcadia ego* z tomiku *Głos Anonima*, mini-powieścią *Śmierć w starych dekoracjach*, dramatem *Spaghetti*

<sup>14</sup> T. Różewicz, *Proza*. T. 2. Kraków 1990, s. 462.

<sup>15</sup> T. Różewicz, *Margines, ale...*, s. 8-27. *Dwa skoki i już Pekin (Kartki z podróży)*. „Odra” 1959, nr 43; *W drodze*. „Odra” 1986, nr 3.

<sup>16</sup> Por.: K. Wyka, *Różewicz parokrotnie*. Warszawa 1977, s. 38-39. Oprac. Marta Wyka.

*i miecz*. Do Włoch wyjeżdżał Różewicz później jeszcze wielokrotnie. Ta pierwsza podróż ustaliła późniejsze wyjazdy jako do kraju oswojonego, dobrze znanego.

Krajem również „oswojonym”, najczęściej odwiedzanym, stawały się z latami Niemcy. Miał w tym kraju licznych przyjaciół (Dedecius, Bereska, Olschowsky, Janke, Schumann, Mittenzwei i inni), zyskiwał popularność jako poeta i dramaturg, jako „nauczyciel bez katedry”. Miasta Berlin, Weimar, Köln, Frankfurt odwiedzał w prywatnych i publicznych wyjazdach. Znajomość języka niemieckiego ułatwiała kontakty. Wyjazdy i podróże, które otwierały przed pisarzem świat, wyzwały z kompleksu „prowincji”, uniezależniały od skonfliktowanych środowisk literackich w kraju, przynosiły rozpoznanie własnej odrębności. W opublikowanych listach do Pawła Mayewskiego są dwa prawie intymne wyznania, które warto tu przytoczyć: „Wiele razy jestem »zagranicą« (nawet tak bliską i dla Pana pewnie małą...), po kilku tygodniach cały cierpię i bardzo mnie ciągnie do tej ziemi, na której żyję. Zdaję sobie sprawę z tego, że pobyt poza krajem byłby dla mnie niemożliwy, byłby klęską”<sup>17</sup>.

Podróżowanie jako sposób bycia, które stało się odnajdywaniem niezależności w okresie gliwickim, wiązało się z narastającą popularnością w Europie i świecie, miało więc swoje ciągi dalsze w okresie wrocławskim. Wyjeżdżał Różewicz do Sztokholmu, Helsinek, Wiednia, Pragi, Jałty, Rijeki, Rotterdamu, uczestniczył w spotkaniach poetów („festiwalach poezji”), przygotowywał wystąpienia, dyskutował i polemizował. Od połowy lat sześćdziesiątych rozmyślał o wyprawie za ocean. Dwie podróże do Stanów Zjednoczonych – pierwsza w grudniu 1975, druga w 1987, podobnie jak do Kanady w 1991 roku – miały powody osobiste, wiązały się z teatralnymi realizacjami jego dramatów. Obie amerykańskie utrwaliły się w tekstach literackich: pierwsza w „dziennikowym” zapisie pobytu (*Strawiony w Przygotowaniu do wieczoru autorskiego*<sup>18</sup>), druga – później w poemacie *zawsze fragment*. Ta ostatnia nabrała dramatycznego sensu w poemacie pisanym w latach 1975-1995, po pierwszej próbie wysadzenia World Trade Center, jeszcze przed ostateczną ich zagładą w 2001 roku. Szczególnie brzmi zakończenie poematu, napisane w 1995 roku:

nie minęło wiele lat  
.....  
i jakiś „fundamentalista”  
przygarnięty na łono Ameryki  
korzystając „z prawa do wolności  
i szczęścia” wysadzić chciał w powietrze

World Trade Center  
może nie smakowała mu kawa  
więc (sobie) pomyślał  
w imię boga sprawiedliwego  
wysadzę ten drapacz chmur  
do nieba  
razem z tysiącem ludzi

<sup>17</sup> *Rozmowa ponad wodami Oceanu. Korespondencja Tadeusza Różewicza i Pawła Mayewskiego (1958-1970)*. „Kresy” 2006, nr 1-2. Oprac. T. Klak. Przedruk: Margines, ale..., s. 192. W liście z 28 V 1968 roku, po doświadczeniach paryskich i przeżyciach wydarzeń marcowych w kraju, wyznawał: „Żyję zamknięty tamtym wstydem, strachem, pogardą [...]. Co ze mną będzie? Nie wiem. Będę chyba żył i pracował. Jeszcze raz się przekonalem, że bez Rodziny i Ojczyzny nie mógłbym żyć długo. Jestem widocznie za słaby” (s. 193).

<sup>18</sup> Drugie poszerzone wydanie *Przygotowania do wieczoru autorskiego* z 1977 roku.

jest to człowiek (zapewne)  
„głęboko wierzący”  
a nie jakiś tam sceptyk  
racjonalista ateista

Relacje z amerykańskich podróży mają cechę wspólną: jest w nich uznanie dla otwartego społeczeństwa, nie ma bałwochwalczego zachwyty dla cywilizacji, dla swoistej pychy w niebotycznej architekturze, bogactwa zgromadzonych dzieł sztuki w muzeach, nadmiaru awangardowych propozycji w teatrach. We wcześniejszym szkicu *O tej porze*<sup>19</sup> Różewicz zderza ze sobą swoje przeżycia ze spotkania nad Selengą w Mongolii i wędrowki „długimi halami Luwru, gdzie uśmiecha się Gioconda. Czy nocą, kiedy giną kolory, także się uśmiecha? Całe życie spędzili [krytycy] na porównywaniu i przenoszeniu. Ależ to komedia. Nuda. Kobieta kwiat. Idioci”. Co ważne w doświadczeniu jednostkowym: podziwiana przez turystów Gioconda czy ogon ugotowanego barana na przyjęciu gości w mongolskiej jurcie?... To prowokacja i bluźnierstwo, ale i pytanie: czym jest sztuka? Wmówieniem? Wielkim kłamstwem?

Kategorią nadrzędną w rozważaniach Różewicza o antynomiach współczesności staje się „świat”, cywilizacja. To się zaczyna w Gliwicach – wojna i jej trauma ustępują miejsca szerszej refleksji. Dokonywała się ta przemiana nie w wyniku odosobnienia, ale podróżowania. Pojęciem podstawowym, nośnym, dominującym w obrazach poetyckich, w dramatach i opowiadaniach okazują się antynomie cywilizacji. Jest w nich – jako całości – tworzenie, budowanie, wznoszenie, i jest destrukcja, paranoiczne dążenie do zagłady; są odkrycia nauki, medycyny i są jurty mongolskie i chińskie fobie. Te antynomie uniemożliwiają wartościowanie, kwestionują kategorię postępu. Bo „dzikość” jest w życiu mongolskich pasterzy, w szaleństwie Chińczyków biegających z packami na muchy i w tworach europejskiej i amerykańskiej popkultury, w zbrodniach wojennych zapisanych w jednym zdaniu: „Widziałem / furgony porąbanych ludzi / którzy nie zostaną zbawieni”. To dwie twarze świata, Janusowe jego oblicze scalone nierozdzielnie. Nie Paryż i nie Nowy Jork, nie Pekin i Szanghaj, lecz Gliwice jako „poziom zerowy”, jako neutralny punkt obserwacyjny, nadają właściwą miarę rzeczy.

Przekraczanie „poziomu zerowego” – podróżowanie – jest więc u Różewicza swoistą formułą życiową, stylem myślenia. Radomsko, Kraków, Gliwice, Wrocław to trwałe punkty na mapie poety, „punkty zerowe”, miejsca dłuższego lub krótszego zakorzenienia, miejsca, które się opuszczało i do których się powracało. Żadnego z tych miast, niezależnie od przenosin, poeta nigdy do końca nie opuścił. Radomsko to dom rodzinny, dzieciństwo, pamięć matki. Powraca w wielu utworach prozatorskich (*Gałąź* z tomu opowiadań *Opadły liście z drzew; Wspomnienia ze „starej budy” z Uśmiechów; Grzech z Wycieczki do muzeum; Kibice, Zabawki* z tomu *Próba rekonstrukcji; Matka odchodzi*) i w wierszach (*Z mojego domu, Powrót, Kobieta w czerni stąpa po różach, Ale kto zobaczy..., Zabawa w konie, Gałązka oliwna* z tomików *Niepokój i Czerwona rękawiczka*). Radomsko jest wpisane głęboko w całą twórczość poety, nie tworzy jednak nostalgicznego punktu odniesienia; jest początkiem,

wstępnym etapem życia (w opowiadaniu *Twarze* powraca miejsce urodzenia, ale doznawane jako „obce”). Bo etap następny ma inny, znacznie głębszy ryt osobisty: partyzanckie lata w lasach to złe doświadczenie. Nigdy nie zostało przetworzone w kombatancki mit; tragizm i gorycz, degradacja ludzi, ale i samej walki budują atmosferę wielu partyzanckich utworów Różewicza.

Warto powtórzyć: Różewicz jest pisarzem, który stale opowiada siebie, ale robi to niejako „anonimowo”, nie eksponuje swojego „ja”, doświadczeń nie scala w porządek narracji autobiograficznej. We wczesnej fazie twórczości powojennej „świat” był obcy, tragiczny; w fazie dojrzałej – wymagał poznania, podejmowanych nieustannie prób zrozumienia. Różewicz nie konstruuje fikcyjnych fabuł, nie bawi się urokami „czystej poezji”, nie posługuje się stylizacyjnymi imitacjami (jeśli się zjawiają, to w funkcjach ironicznych, satyrycznych). Tematem głównym pozostaje doznawanie świata przez jednostkę, przez „człowieka w drodze”. Marco Polo współczesny? „Opowiadać siebie” oznacza równocześnie „opowiadać świat” poprzez własne doświadczenie. Nie chodzi o zapis pamiętnikarski, o wspomnianie, lecz o dotknięcie sensów w przypadkach, w pojedynczych zdarzeniach. Bo poznanie w sztuce rozgrywa się wewnątrz, w „ciemnej głębinie” i zginąć może „wyciągnięte / na płaski brzeg / rzeczywistości” (*Na powierzchni poematu i w środku*). To co niezaczepte w bezpośrednim doświadczeniu twórcy, jest puste, umiera w chwili narodzin. I jest to najważniejsza formuła w poezji Różewicza. Doświadczenia nawarstwiają się, modyfikują tkwiące w nich sensory, kształtują jednak nie tyle przeszłość, co teraźniejszość.

\* \* \*

Ważne staje się zawsze to, co zdarzyło się później: w okresie gliwickim poeta „wysiaduje” w domu, w swojej pracowni, „wysiaduje” nawet na Zjeździe Literatów w Warszawie, jest „martwy” wśród martwych, choć żyje. *Wiersze Drzwi, Jestem realistą, List do ludożerców, Spotkanie, Opart głowę na dłoni* z tomu *Formy* mają swoje ciągi dalsze w tomikach następnych. Najpełniej w wierszu *Domek z Zielonej róży*: „Ja domek dla umarłych / znaleźli tu swoje / ostatnie schronienie”. W języku poetyckim dokonuje się przekształcenie konkretnego w metonimie, w metafory ciężkie od znaczeń. Bo poezja nie jest zabawą, lecz „walką o oddech” (*Zdjęcie ciężaru*). Metaforyzacja u Różewicza powstaje zawsze z konkretnego, prowadzi do uogólnienia, od szczegółu do uniwersalizacji.

To przekształcanie języka przyniosło częste repetycje niektórych tematów, przeróbki tekstów, nowe ich redakcje. W wierszach *O tej samej porze* i *W starej świątyni z Zielonej róży*, w *Opowiadaniu dydaktycznym z Nic w płaszczu Prospera* ponownie pojawia się podróż do Chin, jednakże już jako ciąg przetworzonych w wyobraźni stwierdzeń o nieuchronnych ludzkich losach, których nie zmieni ich nazwanie – poetyckie ujęcie. Poematy *Świat 1906 – Collage* (z *Zielonej róży*) i *Et in Arcadia ego* (z *Głosu Anonima*) kontynuują technikę wyliczeń, zderzeń, zestawień heterogenicznych elementów zmierzającą do obrazu „co się złożyć nie może”. Kolażowe techniki zderzeń, zestawień składowych elementów, będące przekształceniem metonimii i wyliczeń (jako środka poetyckiej ekspresji), przesuwają punkt ciężkości z wewnętrznego stanu podmiotu, z jego sposobów doświadczenia świata ku prezentacji form

<sup>19</sup> „Odra” 1959, nr 21. Szkic ten otwiera tom *Margines, ale...* W tomie *Nic w płaszczu Prospera* jest wiersz *O tej samej porze* bez zestawienia z jurty w Mongolii.

zewewnętrznych, ich mnogości. Podmiot mówiący znika, kryje się za wielością form. Jego obecność objawia się w gromadzeniu przypadków, w próbach ich „scalania”, zbliżania do siebie, w próbach zrozumienia. Kategorią podstawową staje się „zbiór”, którego matematyczną teorię rozwijał Bertrand Russell, w koncepcjach filozoficznych i społecznych uznający zdarzenia za jedyną podstawę rzeczywistości. Wielogłosowość w poematach Różewicza po 1960 roku uzasadnienie znajduje także w *Dociekaniach filozoficznych* Ludwiga Wittgensteina, w jego refleksji nad językiem, nad „zbiorem” równoważnych w obiegu społecznym anonimowych głosów. U Różewicza nie jest tak, że nowe formuły poetyckie unieważniają dawniejsze. Światopogląd (w znaczeniu artystycznym) Różewicza jest także „zbiorem” scalającym konkretyzm Kotarbińskiego, realizm epistemologiczny Russella, wielogłosowość Wittgensteina. Poeta pozostaje nadal w kręgu myśli neopozytywistycznej, kwestionującej irracjonalizm i metafizykę.

Gra poetycka Różewicza już w okresie gliwickim, po „śmierci poezji” zapowiedzianej w wierszu *Głos anonima* z tomiku *Zielona róża*, po kilkuletnim zamknięciu, i powrocie do poezji w okresie wrocławskim rozpoczyna się od gromadzenia anonimowych głosów świata – przechwyconych w czasie podróży. Są to w kategoriach logiki „zbiory puste”, jednakże kakofonia w akcie poetyckim, wielość przywoływanych głosów nabiera znaczenia, mówi o cywilizacji, o jej złej kondycji. Mówi także o ograniczeniach ludzkiego poznania. Jednostka nie widzi, nie doznaje świata, poznaje tylko jakiś wycinek, wybrany fragment. Bo jest w nieustannej podróży. Można by powtórzyć: „takie widzi świata kolo, jakie tępyimi zakreśla oczy”.

W poemacie *Et in Arkadia ego* podróżnik przeżywa- jący Italię, krainę sztuki, w tłumie turystów pędzonych z miejsca na miejsce, „rozpoznających arcydzieła” obolałymi nogami, jest w środku takiego „pustego zbioru” – grające szafy, automaty, skarbonki w kościołach „na światło dla Serca Jezusa”, foldery reklamowe, hoteliki, portowe dziewczki itd. Powstaje nowa forma *distributio* – głosów świata; redaktorka „radia bzdet” z poematu *Walentynki* (tom *zawsze fragment: recycling*) „czwierka” o miłości, w domach towarowych z okazji święta zakochanych wzrasta popyt, w formie podarku rozda- ją kupującym prezerwatywy ozdobione serduszkami. Ta kakofonia jest także z podróży.

Wielki śmietnik współczesnej cywilizacji zrobiony został w poematach *zawsze fragment* i *recycling* z newsów prasowych informujących o chorobie wściekłych krów, o pojawieniu się młodzieżowej mody na oświęcimskie pasiaki, sporów o pożywskie złoto w bankach szwajcarskich, którym towarzyszy informacja, że „holokaustu nie było” – obok napisów na murach po polsku „żydzi do gazu” i po niemiecku „Juden raus”. Jak to nazwać? Poetyckie *ready made* – rzeczy znalezione na śmietniku. „Recykling” – odzyskiwanie surowców wtórnych w stertach śmieci gromadzonych na wysypiskach – jest u Różewicza metonimią naszej cywilizacji: dotyczy nie tylko rzeczy, lecz także słów, dzieł sztuki współczesnej, muzyki.

filozof Heidegger  
pisząc o współczesnej zmechanizowanej  
produkcji rolnej  
mimo chodem wspominał

o produkcji zwłok  
w obozach koncentracyjnych  
i komorach gazowych

Powstaje analogia do kolażowych i happeningo- wych technik w malarstwie, jednakże tworzywem jest język, a ściślej – wielość jego odmian w obiegu spo- łecznym. Różewicz mówi wieloma głosami: para- frazuje, parodiuje, tworzy pastisze. Między użytymi elementami przez samo ich zestawienie, sąsiedztwo rodzą się napięcia semantyczne trudne do zwerbalizo- wania. Wielogłosowość eksponuje zagubienie, niepo- kój, niemożliwość zrozumienia, scalenia obrazu świa- ta – i znów jesteśmy przy początku „linii życia” poety. Niepokój jest sednem, istotą jego sztuki.

\* \* \*

Liczne podróże Różewicza niewiele mają wspól- nego ze współczesną turystyką masową. Nie podzi- wia krajobrazów, nie zachwyca się pychą i blichtrzem współczesnej architektury. Najwięcej czasu poświęca muzeum, galeriom malarstwa i rzeźby. Centrum zainte- resowań stanowi jednak człowiek ulicy, przechodzień, wyodrębniony z tłumu, bo naznaczony jakąś szczegól- ną cechą, zawsze anonimowy – „nikt”, cierpiący, cho- ry, jak w wierszu o Ezra Poundzie (*Jestem nikt z tomu zawsze fragment: recycling*). W *Et in Arcadia ego* jest fragment szczególnie znaczący: Kaplicę Sykstyńską zwiedza niewidomy, obrazy i rzeźby objaśnia mu żona:

a ja wielooki wielouchy  
otwarty na wszystkie strony  
łykałem głosy i barwy  
kobiety  
na grzędach  
znoszą jaja piękna  
od szumu  
głowa pękła

Podróżowanie jako metonimia życia stanowi jeden z najważniejszych motywów w twórczości Różewicza, jest ideologią, formułą poznawczą, ekspresją oso- bowości. Dotyczy to wędrówek po kraju utrwalonych w tomkach *Równina*, *Srebrny kłós*, *Poemat otwarty*. Od *Rozmowy z księciem* przeważają wielkie podróże – te przypominane z przeszłości (wiersz *O tej samej porze*) i nowe odnotowane w *Zielonej róży* (*Bocca della Verita*, *Grająca szafa na placu Pigalle*, *Grób Dantego w Rawennie*). Od *Głosu Anonima* poczynając osobną formę tworzą „podróżnicze” poematy; wśród nich *Et in Arcadia ego*; *Opowiadanie dydaktyczne* w tomie *Nic w płaszczu Prospera*; *Acheron w samo południe*, *Spadanie*, *Non-stop-shows*, i *Motyle* w tomie *Twarz trze- cja*; tytułowe *Regio* z kolejnego tomu; *zawsze fragment*, *recycling* i *Nożyk profesora* z następnych. W jednych tworzą kompozycyjną konstrukcję, w innych – istnieją jako pojedyncze motywy. „Opisanie świata” jest w nich równocześnie jego poznawaniem – nie w całości, lecz w dostępnych jednostce fragmentach<sup>20</sup>. Bo tylko tyle możemy, tylko to, czego doświadczyliśmy osobiście, co utrwaliło się czy tylko zaistniało na moment w naszej psy- chice, coś znaczy – przynajmniej na moment, na chwilę.

STANISŁAW BURKOT

<sup>20</sup> Szerzej: S. Burkot, *Tadeusza Różewicza opisanie świata*, Kraków 2004.



MARIAN STĘPIEŃ

# BIOGRAFIA CZESŁAWA MIŁOSZA

W roku Czesława Miłosza ukazało się wiele publikacji poświęconych jego życiu i twórczości. Wśród nich na pierwsze miejsce wysuwa się książka Andrzeja Franaszka *Miłosz. Biografia*.<sup>1</sup> Duża książka, licząca prawie tysiąc stron. Jest owocem wieloletniej pracy i wytrwałego docierania do różnorodnych źródeł zawierających informacje o życiu poety. Mocną stroną książki Franaszka jest skrupulatne dokumentowanie wprowadzonych faktów, zdarzeń, sytuacji poprzez odwoływanie się do różnorodnych materiałów źródłowych. Wykorzystał te, które zostały już opublikowane, nawet najdrobniejsze, rozproszone w mało znanych drukach. Sięgnął do źródeł znajdujących się w archiwach, w tym w Archiwum Czesława Miłosza, gdzie znalazł ważne i niezwykle interesujące, nie ogłoszone dotychczas drukiem utwory i zapiski autobiograficzne poety. Dotarł do zbiorów prywatnych. Nawiązał kontakt z osobami, które znały Miłosza i mogły pomóc w ustalaniu faktów i weryfikowaniu opinii o nim. Korzystał obficie z tych możliwości, jakie dawały bezpośrednie rozmowy z pisarzem – aż do ostatnich dni jego życia. I na koniec – co jest najważniejsze – w toku swej pracy osiągnął znakomitą orientację w bogatej twórczości pisarza. W poezji, esejach, rozmowach, wywiadach. Potraktował je – słusznie – jako obszerną autobiografię autora; i dzięki ich dobrej znajomości mógł się łatwo i trafnie, zawsze w odpowiednim miejscu posłużyć właściwym i dobrze dobranym cytatem. Nie tyle dla jego wartości estetycznych, ile dla udokumentowania swych stwierdzeń. Czyni to chętnie i często, co wychodzi książce na dobre.

To, co czytelnicy twórczości Czesława Miłosza zawsze odczuwali, stało się w świetle książki Franaszka jeszcze wyraźniejsze: całe jego dzieło – to prawdziwe życie, to poetycka, prozatorska, eseistyczna dokumentacja jego przeżytych w realnej rzeczywistości oraz intelektualnego obejmowania przez niego różnorodnych doświadczeń człowieka XX wieku. To zapisywanie życia przez wszystkie lata aż do późnej starości, do ostatnich dni, gdy przebywał w klinice przy ulicy Skawińskiej w Krakowie i – już sam pisać nie mógł – dyktował asystentce ostatnie słowa zawierające zapis umierania.

Andrzej Franaszek podjął się wielkiego i trudnego zadania: opisać długie, bogate życie wybitnego człowieka, jednego z największych (jeśli nie największego) twórców literatury polskiej XX wieku. Uchwycić najważniejsze (jeśli nie wszystkie) skomplikowane sytuacje pisarza uczestniczącego – czynnie lub biernie – w burzliwym życiu społecznym i politycznym minionego stulecia. Przedstawić, jak przeżycia, doświadczenia, przemyślenia kształtowały jego biografie i wpływały na rozwój dzieła. Jak one przelewały się na papier tworząc wielką literaturę. Książka Franaszka jest zarówno biografiami pisarza, jak i zarysem rozwoju jego twórczości.

Inaczej być nie mogło. Bo życie Miłosza było pisaniem. Pisanie było jego życiem. Cała twórczość jest jego wielką biografiami; rezultatem działania wspomnianego często przez poetę dajmoniona, który nakazuje ująć w słowa zdarzenia życia, doznawane doświadczenia, ruch myśli wędrującej po niezmiernych obszarach przestrzeni i czasu. Może, skoro całe pisarstwo Miłosza jest jedną wielką autobiografią, to spisujący jego życie ma zadanie ułatwione? Zapewne pod pewnym względem, w pewnym stopniu, tak.

Bo jest prawdą, że teksty Miłosza są bogatym materiałem autobiograficznym; także jego wiersze, które są poetyckim dokumentem zdarzeń, doświadczeń, ruchu myśli. Franaszek obficie inkrustuje swą książkę cytatami z wierszy – słusznie i trafnie to czyni. Tylko dziwię się trochę, że pominął wiersz *Dar*, do którego poeta przywiązywał dużą wagę, jako do tekstu – sam go tak skomentował – w którym „jest całe zło XX wieku, tylko nie powiedziane, jakby ukryte za liniami.”<sup>2</sup>

Najbogatszym źródłem informacji biograficznej o Miłoszu jest jego pisarstwo. On sam dostarcza najwięcej materiału autobiograficznego. Mimo że odstania się niechętnie (w starości stał się bardziej skory do uchylania przyłbicy), własnymi utworami kreuje w istocie swoją biografie. Każdy wiersz jest poetyckim dokumentem realnego zdarzenia, doświadczenia, wywołanej nim refleksji. A w pisanych po latach esejach (także wierszach) następuje często potwierdzanie ich autentyczności, prawdy w nich zawartej.

Wydawać by się więc mogło, że w takim razie, napisanie biografii Miłosza nie jest zadaniem zbyt trudnym. Pozostaje „tylko” dostrzec zasoby informacyjne tkwiące w jego twórczości, wydobyć je i wprowadzić do wielkiej narracji o życiu pisarza, którą jest właśnie książka Andrzeja Franaszka. I tak w znacznej mierze on postępuje, znakomicie opanowawszy ten materiał biograficzny i nabrawszy dużej swobody w poruszaniu się po jego wielkich obszarach.

W tym „ułatwieniu” zawiera się jednak również niebezpieczeństwo, którego Franaszkowi nie udało się zupełnie uniknąć. Polega ono na mimowolnym poddaniu się strumieniowi biograficznych informacji płynących z tekstów Miłosza i przez niego – wcześniej lub dopiero po wielu latach komentowanych i objaśnianych. A te późniejsze komentarze graniczą niekiedy z wyjaśniającym usprawiedliwianiem. Łatwo – można nawet tego nie zauważyć – zejść z pozycji obiektywnego, zewnętrznego obserwatora i opisywacza na poziom powolnego narzędzia w rękę pisarza. I wówczas – a tak się dzieje w pewnych partiach książki Franaszka – odnosi się wrażenie, że to Miłosz pisze swą syntetyczną biografie posługując się Franaszką, który przyjmuje jego punkt widzenia

<sup>1</sup> Andrzej Franaszek, *Miłosz. Biografia*. Kraków 2011, s. 960.

<sup>2</sup> Czesław Miłosz, *Antologia osobista. Wiersze poematy przekłady*. Kraków 1998, s. 60.

i niektórych spraw, kierując się empatią do pisarza, zbyt głęboko nie drąży.

We *Wstępie* Andrzej Franaszek zamieszcza zdanie: „Życie Czesława Miłosza jest kroniką minionego stulecia, którego boleśnie doświadczył na własnej skórze” (s. 9). Słowa te wymagają komentarza. Przypomniały mi one wizytę w gabinecie poety (nr 5405 w Dwinelle Hall, w którym mieści się Wydział Literatur i Języków Słowiańskich University of California). Było to w 1978 roku, co tu jest ważne dlatego, że świeże jeszcze było ukazanie się *Mojego wieku* Aleksandra Wata. Miłosz zdjął z półki to dzieło i pokazując je powiedział: „Oto prawdziwa biografia polskiego inteligenta XX wieku”. Przypomniało mi się to dlatego, że to tacy jak Wat minionie stulecie doświadczyli boleśnie „na własnej skórze”. I można dodać, że największe cierpienia spadły na niego za odmowę przyjęcia dokumentów radzieckiego obywatelstwa i wzywaniu Polaków przebywających przymusowo w Związku Radzieckim do podobnego postępowania.

Miłosz na szczęście nie doznał „na własnej skórze” bolesnych doświadczeń XX wieku. Ominęły go wywózki, łagry, więzienia, a nawet nie zaznał życia w trudnych warunkach powojennej Polski. Pieczęta XX wieku przeżywał w planie intelektualnym i swą twórczością dostarczył nam bogatą o nich wiedzę niezbędną do ich zrozumienia. Dał świadectwo „bezkompromisowej wnikliwości w ujawnianiu zagrożenia człowieka w świecie pełnym gwałtownych konfliktów”.<sup>3</sup> Dotykamy tu istotnych przyczyn owej trwałej niechęci, by nie powiedzieć: zawiści wobec Czesława Miłosza ze strony Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, który stalinowskich łagrów doświadczył „na własnej skórze”.

Franaszek opisuje dokładnie środowisko, w którym przebywał Miłosz w Wilnie. Różne orientacje polityczne wśród studenckiej młodzieży, życie literackie i towarzyskie. Ale – chyba ulegając dzisiejszej modzie na antylewicowość (w Polsce, bo nie w Europie) – stara się pomniejszyć znaczenie zainteresowań społecznych poety w latach trzydziestych pisząc: „Zapewne zagadnienia społeczne tak naprawdę były dla niego czymś drugorzędny” (141). Temu stwierdzeniu przeczy zarówno treść artykułu Miłosza *Bulion z gwoździ* opublikowany w „Żagarach” w 1931 roku jak i podjęcie inicjatywy (wspólnie ze Zbigniewem Folejewskim) opracowania i wydania *Antologii poezji społecznej* w 1933 roku. Miłosz był typowym reprezentantem pokolenia dojrzewającego w cieniu wielkiego kryzysu. Pokolenia przeżywającego wielkie rozczarowanie własnym państwem, bardzo wrażliwego na bolączki społeczne, co powodowało zbliżanie się do lewicy politycznej. O tym pokoleniu pisał wówczas rówieśnik Miłosza Kazimierz Wyka w artykule *Perspektywy młodości*.<sup>4</sup>

Franaszek przedstawia dokładnie pobyt Miłosza w Paryżu w latach trzydziestych. Opisuje kontakty poety z dziełami sztuki malarskiej, z ówczesnym środowiskiem intelektualnym i literackim Paryża, do którego poeta zostaje wprowadzony przez Oscara Miłosza, rozciągającego opiekę nad utalentowanym krewniakiem.

Za mało uwagi poświęca postawie i decyzjom Miłosza we wrześniu 1939 roku w Rumunii. Znajdujący się tam Polacy, uchodzący przed Niemcami i Rosjanami

kierowali się ku Zachodowi, w szczególności ku Francji, motywowani troską o zapewnienie ciągłości polskiej państwowości i chęcią udziału w działaniach zbrojnych i politycznych u boku sojuszników przeciwko Trzeciej Rzeszy. Był wśród nich również Jerzy Giedroyc, któremu później Miłosz tak dużo zawdzięczał. Miłosz nie brał pod uwagę swego udziału w obronie niepodległości Polski. Nie poddał się nastrojom i dążeniom zgromadzonej tam polskiej elity politycznej i kulturalnej. Skorzystał z kontaktu z ambasadą litewską w Bukareszcie, co zawdzięczał jeszcze z czasów paryskich Oscarowi Miłoszowi. Wystarał się o dokumenty litewskie, i na podstawie litewskiego paszportu, w warunkach trwającej wojny udał się do Wilna. W relacji o tym ważnym zdarzeniu Franaszek nie wychodzi poza informacje pochodzące od Miłosza i nie opisuje pełniej znajdującego się tam polskiego środowiska, chociaż w wielu innych przypadkach z dużą kompetencją i dokładnie zarysowuje kontekst, w jakim dochodzi do zdarzeń z biografii poety.

Jak to czyni na przykład przedstawiając szczególną sytuację poety podczas okupacji w Warszawie. Jego krytyczny stosunek do przygotowani do walki zbrojnej z Niemcami i do powstania jest powodem konfliktu między innymi z autorami „Sztuki i Narodu”. Niechętny wobec endecji, krytyczny w stosunku do polskiego nacjonalizmu Miłosz nie podzielał ówczesnych podglądów dominujących wśród Polaków, co opisał Jan Józef Szczepański w *Końcu legendy*.

O zaangażowaniu się Miłosza po drugiej wojnie światowej po stronie władzy i tworzącego przez nią porządku społecznego i politycznego, kiedy to prowadził w „Dzienniku Polskim” stały felieton o charakterze propagandowym pisze Franaszek bardzo oględnie. Nie próbuje zrekonstruować stosunków i klimatu tamtego czasu (jak zwykł to czynić w innych przypadkach), opiera się na autokomentarzu Miłosza pochodzącym z lat znacznie późniejszych, zawartym we wstępie do tomu *Zaraz po wojnie*; autokomentarzu, który jest próbą zbagatelizowania sprawy i usprawiedliwienia swojej ówczesnej aktywności.

Powściągliwie też pisze o jego służbie dyplomatycznej w Nowym Jorku i w Waszyngtonie w latach 1945-1950. Pod koniec tego okresu pojawiły się szyfrogramy Ministerstwa Spraw Zagranicznych (do nich Franaszek dociera), które zawierały niekorzystne opinie o Miłoszu prowadzące do wniosku o odwołanie go ze Stanów do Paryża, do Warszawy. Franaszek dokładnie opisuje okoliczność ogólną i z życia osobistego Miłosza, które temu towarzyszyły. Mniej natomiast mówi o latach wcześniejszych. Za Miłoszem powtarza uwagi o jego złym samopoczuciu w Nowym Jorku, o jego niechęci do Stanów Zjednoczonych, o krytycznym stosunku do tego państwa i jego społeczeństwa.

Ale wcześniej, w pierwszych latach swej służby dyplomatycznej, do której dostał się nie przypadkiem, jak to przedstawiał Melchiorowi Wańkiewiczowi, ale dzięki usilnym staraniom i przedwojennym powiązaniom z tymi, którzy po wojnie budowali władzę polityczną w Polsce, Miłosz uzyskiwał pochwały, pochlebne opinie i awanse. Tu przypominają się słowa z listu Wańkowicza do niego. Do tej korespondencji Franaszek sięga, ale istotne zawarte w niej pytania pomija milczeniem. Wańkowicz w odpowiedzi na słowa Miłosza, który swą karierę dyplomatyczną przedstawił jako w istocie przypadkową odpowiadał nie bez ironii wywołanej jego słowami: „Nie

<sup>3</sup> Słowa sekretarza Akademii Szwedzkiej Larsa Gyllenstena ogłaszającego, że laureatem Nagrody Nobla został Czesław Miłosz. (s. 683).

<sup>4</sup> „Verbum” 1935, nr 3.

sądzę poza tym, by »przypadkowość« mogła trzymać Pana przez cztery lata na stanowisku [...]. Coś Pan musiał zrobić przez te cztery lata na swoim nad wyraz żałości godnym, jeśli pełnionym bez przekonania stanowisku».<sup>5</sup>

Zaletą książki Franaszka jest nieunikanie spraw trudniejszych, niejednoznacznych, skomplikowanych, zwłaszcza tych, które dotyczą życia osobistego Miłosza (bo co do jego decyzji politycznych, jak można to było zauważyć, rzecz ma się trochę inaczej) i potraktowanie ich z właściwym umiarem, a równocześnie z szacunkiem dla prawdy, choćby była ona niewygodna dla pisarza.

Zatrzymuje uwagę na związku poety z Jadwigą Waszkiewiczówną. Porzucenie jej i skrzywdzenie stało się, jak pisze Franaszek, dla Miłosza traumą, którą niósł on do końca życia. Tu Franaszek zdobywa się na nieśmiały akcent krytyczny: „I wreszcie, co tu ukryć, w ówczesnym wcieleniu Miłosza było wiele z Narcyza” (s. 182). Nasuwa się tu uwaga, że nie tylko „w ówczesnym wcieleniu” i bardzo wiele było u Miłosza z Narcyza. Dużo słuszności, nie tylko w odniesieniu do owego romansu, ale i do całego życia pisarza zawiera się w słowach, które porzuciona niegdyś i pozostawiona w ciąży kochanka skierowała do Miłosza już po wielu latach, w latach osiemdziesiątych: „Przy tym wcale życia nie przeżyłeś, piszesz i wydajesz, a zostanie po Tobie moc piękności i mądrości” (s. 186).

Rozwinięcie przez Franaszka dziejów tego romansu rzuca dodatkowe światło na pełną agresji reakcję Sergiusza Piaseckiego na wieść o wystąpieniu Miłosza o azyl polityczny na Zachodzie. Piasecki poślubił skrzywdzoną przez Miłosza kobietę i w tym pewno tkwiło źródło szczególnie gniewnej emocji. Przy okazji otrzymujemy dodatkowy klucz do interpretacji powieści Sergiusza Piaseckiego *Człowiek przemieniony w wilka*.

Również dyskretnie, z właściwym umiarem, a przecież nie odchodząc od trudnej prawdy o życiu osobistym Miłosza przedstawił Franaszek jego związek z Jeanne Hersch. Stanisław Vincenz, do którego Giedroyc skierował Miłosza na „egzorcyzmy” w trudnym czasie depresji poety cierpiącego z powodu poczucia „wykorzenia”<sup>6</sup>, w związku z sytuacją żony poety i jego zachowaniem się w kłopotliwym trójkącie pisał o nim do Józefa Czapskiego, że postąpił „jak to czynią słabeusze i dupaki”.

Położenie żony poety pozostającej z małymi dziećmi w Stanach Zjednoczonych, gdy on przebywał we Francji, było bardzo trudne. Bardziej dramatyczne, niż by to wynikało z naświetlenia zawartego w tekstach Miłosza. Już po opublikowaniu książki Franaszka ukazał się wywiad z Antonim Miłoszem, synem pisarza, który ukazuje, jak rozłąka z ojcem i mężem była przeżywana przez drugą stronę. Wywiad ten jest ważnym uzupełnieniem biografii Miłosza w tym wątku jego życia.<sup>7</sup>

Trudny czas miał Miłosz w Stanach Zjednoczonych. Długo był zupełnie nieznanym jako poeta pozbawionym na lata odbiorców swych wierszy pisanych w czytelną próżnię. W kręgu poetów amerykańskich, którzy na cześć Zbigniewa Herberta swemu piśmiu poświęconemu poezji nadali tytuł „Mister Cogito”, znany był przede wszystkim (jeśli nie wyłącznie) jako tłumacz utworów

tego polskiego poety. Z dużą znajomością ówczesnego położenia Miłosza ukazuje Franaszek jak jego poezja torowała sobie drogę w Stanach Zjednoczonych. Aż do tego stopnia, o którym Miłosz pisał do Giedroycia w 1978 roku: „Wyskoczyć na międzynarodowego pisarza przez pisanie wierszy po polsku – to chyba najdziwniejsze, co w XX wieku może się zdarzyć, i nie bardzo mogę uwierzyć” (s.668).

Dobrze są przedstawione ostatnie dekady życia poety. Jego złożone relacje z przyjaciółmi – pisarzami, które Franaszek przedstawia wnikliwie i z właściwą wrażliwością. Z każdym z wymienionych układały się one inaczej i nieprosto. Nie były wolne od trudnych spraw i – niekiedy – konfliktów. Ale z każdym z nich z innych powodów. Z Jerzym Giedroyciem, który sprzyjał Miłoszowi w każdej potrzebie, wysoko cenił jego talent, ale nie wyzbył się krytycznego do niego dystansu. Z Jarosławem Iwaszkiewiczem, od przyjaźni w młodości, do „niepodania ręki” Miłoszowi przez Iwaszkiewicza, do wzięcia przez Miłosza w obronę jego twórczości i poświęcenia jego pamięci wiersza *Mistrz mego rzemiosła*. I ze Zbigniewem Herbertem – bardzo burzliwie przebiegająca przyjaźń. A harmonijnie – z Witoldem Gombrowiczem, Josifem Brodskim, Tomaszem Venclovą. I z Tadeuszem Różewiczem, którego debiut przed wielu laty witał serdecznie, a pod koniec życia prowadził z nim poetycko-filozoficzny dyskurs między innymi na temat fascynacji Swedenborgiem, do czego Różewicz odnosił się z przyjazną ironią.

Zawsze niezależny, osobny, nie włączający się do zbiorowych nastrojów nie mógł pogodzić się z Polską dzisiejszą. Znalazł w niej to, co budziło jego niechęć przed wojną i w czasie jej trwania – uleganie ideologii endeckiej. Zobaczył ją – po odzyskaniu niepodległości w 1990 roku – niezmienioną. Pisał do Giedroycia: „Polska staje się tym, czym w swojej esencji zawsze była, bo jest jednym wielkim organizmem narodowym, w którym Naród jest na ołtarzu, z Matką Boską jako bóstwem pomocniczym w służbie Narodu. Naprawdę nie nadają się do roli promotora polskiego nacjonalizmu” (670).

Ostatnia dekada życia poety to – jak zauważa Franaszek – „dobra pora w jego życiu, starość spełniona, znacząca kolejnymi nagrodami, honorami, odznaczeniami, przede wszystkim zaś – bardzo twórcza” (s.725)

Miłosz zwrócił się ku „drugiej przestrzeni”, ku Bogu, ku zagadkom metafizycznym, ale nie mógł się pogodzić z hegemonią Kościoła w Polsce, z jej rozwojem ku państwu wyznaniowemu.

Andrzej Franaszek podjął się wielkiego i trudnego zadania: przedstawić niezwykłą biografię najwybitniejszego twórcy literatury polskiej XX wieku, w którego dziełach znalazły odbicie wszystkie piekła tego stulecia. Sprostą temu zadaniu. Zebrał bardzo bogaty materiał i umiał go ułożyć w udane dzieło, które – mimo dużych rozmiarów – czyta się świetnie i z niesłabnącym zainteresowaniem.

Toteż pochwalić trzeba Fundację im. Kościelskich, że nie zwlekała z przyznaniem Andrzejowi Franaszkowi swej nagrody za jego duże dzieło. I zdążyła – w ostatniej chwili – to uczynić, przed ukończeniem przez autora czterdziestu lat życia, jak tego wymaga regulamin nagrody.

<sup>5</sup> Wańkiewicz – Miłosz, *Korespondencja 1952-1956*. „Zdanie” 1988, nr 7-8, s. 97.

<sup>6</sup> Dla Miłosza opuszczenie Polski było ciężkim przeżyciem. Pisał do Jerzego Andrzejewskiego: „Moja biografia. Przecie kluczem do niej jest ucieczka z Polski, dla mnie straszna, chyba najgłębiej sięgająca we wszystko moje” (s.231).

<sup>7</sup> „Gazeta Wyborcza” 30 VI 2011. „Duży Format”.



## AGNIESZKA LISAK

### Święta

Znów karp straci życie  
sośnie połamią ręce  
ktoś choinkę ukradnie z lasu  
wystraszy zająca wyrrywając świerka.

Kto wie może karp  
dożyłby starości  
gdyby nie święta i tradycja.  
Może wśród gałęzi świerku  
zakochałaby się jeszcze  
niejedna wiewiórka  
może choinka przez lata  
pozowała by razem z górami  
turystom do zdjęć  
– gdyby nie święta.

### Oto jestem

Oto jestem  
owoc miłości, przypadków lub gwałtów  
moich przodków

owoc żywota i krzyku  
nieznanych prababek  
których nie ocalił żaden kronikarz  
żaden malarz nie przyłapał na gorącym uczynku  
życia

dziś w spadku po nich  
mam stare ulice  
odrapane kościoły  
i filizanki w muzeach

jestem jak jabłko  
które tak daleko padło od jabłoni  
że już nigdy jej nie pozna.

### Zbigniewowi Herbertowi

Zostałeś sam Panie Cogito  
w obcym świecie  
gdzie nawet srebrniki  
bierze się za dobrą monetę  
a życie rozmienia na drobne  
sprawy  
po których nie pozostanie  
ani śladu.  
Gdzie lud wciąż pragnie chleba  
i przed telewizorem ogląda igrzyska.

No cóż takie czasy  
starożytność obrasta kurzem  
w magazynach i bibliotekach.

Twoich raportów z oblężonego miasta  
dziś już nikt nie czyta  
czasem tylko odwiedzi cię jakiś krytyk  
w pośpiechu wpadnie na wino  
rocznik 44 n.e.  
– krytyk co zachował jeszcze  
potęgę smaku.

\* \* \*

Oto leżymy obok siebie  
jak dwa upadłe anioły  
cali w piórach  
z rozdartej poduszki  
tak nagrzeszyliliśmy  
że nawet święty uciekł z obrazka  
a cienie przerażone  
po angielsku zniknęły o świcie  
bo znów wodziłeś mnie na pokuszenie  
swoim ciałem  
znów nocą odwazyliśmy się wtargnąć do raju  
by garściami rwać jabłka  
znów zgubiliśmy nasze listki figowe.

**Erotyk według Szekspira**

I oto wyśnił się  
 nasz „Sex nocy letniej”  
 przy świetle księżyca  
 leżymy obok siebie  
 – na wygniecionej trawie  
 linie papilarne naszej miłości  
 i owady obudzone w środku nocy  
 trzęsieniem ziemi  
 powalone łodygi traw  
 zasypane drogi do domu  
 połamane kwiaty  
 zbezczeszczone zielnik lata  
 bo co dla nas cudownym początkiem  
 dla owadów końcem świata.

**Rutyna**

Są kobiety  
 które się bierze jak gazetę  
 przed snem zwyczajnie  
 mnie papier ciała  
 w tej gazecie zmieniają się tylko daty  
 i kolory co siwieją coraz bardziej  
 więc odkłada się ją zlorzecząc  
 że znowu to samo.

\* \* \*

To jest mój profesor od historii  
 ma doktorat z „czasu przeszłego”  
 i habilitację z „nieobecnych”  
 jak stwórca wskrzesza umarłych  
 pokonuje cesarów  
 między założeniem okularów  
 a spojrzeniem na zegarek  
 wywołuje dla nas wielkie bitwy  
 w których gubimy się  
 po dziesięciu minutach  
 ma cały świat pod ręką  
 – w bibliotece  
 czas w jednym palcu  
 a nas w garści.

**Dla zwyczajnych I**

Odejdziemy  
 ze szkolnych ławek  
 ulic, kościołów  
 bez wzniosłych przemówień wierszy requiem  
 dla tak zwyczajnych jak my  
 jest tylko fotografia  
 i czyjaś łza  
 schowana do chusteczki

odejdziemy i nie zostanie ani śladu  
 po naszych końcach świata  
 zawałach miłosnych  
 z powrotem staną się proste drogi  
 co dla nas były kręte.

**Dla zwyczajnych II**

Nasze życie  
 bez braw fleszy i Oskarów

nasza miłość  
 bez złotych naszyjników  
 orkiestr  
 jachtów  
 ot po prostu  
 dwie łódeczki z kory  
 złączone na chwilę  
 dźwigające z trudem  
 po połowie świata.

**Chrabąszcz**

Chrabąszcz w czarnym fraku  
 przyszedł na odczyt mojej poezji  
 usiadł w rogu kartki  
 miał buty brudne od kwiatowego pyłku  
 – nie mogłam przestać o nim myśleć.  
 W końcu znudzony  
 przespacerował się po wierszu  
 rozpiął skrzydła fraka  
 i wyszedł.

# LUDWIGA WITTGENSTEINA

## DZIENNIKI SEKRETNE (3)

Do listopada 1914 r. Wittgenstein służył na kursującym po Wiśle stateczku „Goplana” jako operator reflektora. Po powrocie do Krakowa poznał przypadkowo kapitana Oskara Gürtha, który zorientował się, że prosty kanonier zna wyższą matematykę i z początkiem grudnia 1914 roku przydzielił go do swojego oddziału, rozlokowanego w jednej z fabryk. Tak opisywał ten okres w swoich dziennikach:

18. XI. 14

*Silne grzmoty od fortyfikacji. Podobno w najbliższych dniach znowu mamy wypłynąć. Nasz komendant odchodzi, a porucznik ma znowu wrócić na swoje miejsce. To mnie cieszy. Słysząc ogień karabinów maszynowych. Cały dzień silny huk dział od fortów. - - - Dość dużo pracowałem. Dobry nastrój. Noszę się z planem wystąpienia o rozkaz przeniesienia stąd, ale sam nie mogę z tym jeszcze dojść do ładu. W mojej pracy nastąpił zastój, ponieważ znowu potrzebuję istotnego pomysłu, aby ruszyć naprzód. - - -*

20. XI. 14

*Silna kanonada. - - - Trochę pracowałem. Dziś w nocy warta. Po południu u okulisty, bo podczas służby wartowniczej cierpię ze względu na moje kiepskie oczy. Dostanę okulary. Przyszłość jest ciągle jeszcze niepewna. Jutro może pomówię z naszym komendantem o tym, co będzie ze mną.*

21. XI. 14

*Nieustanna kanonada. Wielkie zimno. Prawie nieprzerwany huk od fortów. Trochę pracowałem. Jednak ciągle jeszcze nie mogę wypowiedzieć zbawiennego słowa. Krążę wokół tego całkiem blisko, ale jeszcze nie mogę tego uchwycić!! Ciągle zatroskany trochę o swoją przyszłość, bo całkiem nie potrafię sam z sobą dojść do ładu! - - -*

22. XI. 14

*Okrutne zimno. Po Wiśle pływa lód. Nieustanny grzmot dział. Żadnego dobrego pomysłu nie miałem, stąd mały postęp. Zbawcze słowo jeszcze nie wypowiedziane. Wczoraj miałem to już na końcu języka. Potem znowu mi uciekło. Ciągle zatroskany o własną przyszłość - - - Jestem w przeciętnym nastroju. Wkrótce pójde spać. - - -*

23. XI. 14

*Nieustanny grzmot. - - - - Właśnie słyszę, że nadszedł telegram: „Transport wodny wstrzymany”. Zatem wkrótce muszę się zdecydować, co będzie z nami.*

*- - - Mój dzień upływa teraz na czytaniu i trochę na pracy naturalnie siedzę przy tym u siebie w kabinie; co 4 – 5 dni służba wartownicza; od czasu do czasu obieranie ziemniaków, noszenie węgla i tym podobne. Poza służbą wartowniczą nie mam żadnej konkretnej pracy (reflektora od 1 i pół miesiąca nie używamy). Dlatego czuję się pośród ludzi jak nygus, a chociaż mam dla siebie tyle wolnego czasu, nie zaznaję spokoju, bo czuję, że powinienem pracować dla statku, ale przecież nie wiem jak. Najlepsza byłaby dla mnie regularna praca na statku, którą mógłbym wykonywać łatwo i pewnie. Bo praca, której nie można sprostać, to najgorsze. Postaram się mówić dziś z naszym komendantem o moim ewentualnym przeniesieniu.*

*To się już stało i wolno mi mieć nadzieję, że będę stąd przeniesiony. Trochę pracowałem, ale jeszcze ciągle bez sukcesu. Wieczorem w łaźni. - - -*

24. XI. 14

*Okrutny ziąb! Wista jest całkowicie pokryta krą. Wpływamy dziś do portu. Żeby już był daleko stąd. Tu ciągle niepokój i nikt nie wie, co ma robić. Podoficerowie stają się co raz bardziej ordynarni, jeden zaraża tym drugiego i zachęca do coraz większej bezczelności. Zdarzają się jednak wyjątki. Dziś w nocy służba wartownicza. Dużo pracowałem. Brakujący sąd mam na końcu języka. To dobrze. Ficker przysłał mi dzisiaj wiersze biednego Trackla, które uważam za genialne, nie rozumiejąc ich.<sup>1</sup> Zrobili mi dobrze. Bóg ze mną! - - -*

25. XI. 14

*Od wczoraj po południu stoimy w porcie. Ustępy na statku są zamknięte! Trzeba daleko gonić do na wpół otwartej latryny. Jest bardzo zimno. Tryb życia jest coraz bardziej nieznośny. Niedużo pracowałem. Tylko precz stąd!*

- - -

26. XI. 14

*Gdy czuje się utknięcie w jakimś problemie, nie wolno więcej rozmyślać nad tym, bo inaczej się przyczepi. Gdzie indziej trzeba rozpocząć myślenie, aby można się wygodnie w tym rozsiaść. Tylko nie naciskać! Trudne problemy muszą rozwiązać się same z siebie. Silny huk dział. Wszystko co robię, to piętrzę problemy jak chmury burzowe. I nie jestem w stanie zająć wobec nich niezachwianego stanowiska. Bardzo dużo pracowałem, ale bez możliwości znalezienia*

<sup>1</sup> 28 listopada Wittgenstein w podobnych słowach dziękował Fickero-  
wi.



jakiegokolwiek wyjaśnienia sytuacji. O czymkolwiek pomyślę, raczej wszędzie napotykam pytania, na które nie potrafię odpowiedzieć. Dziś wydawało mi się, że nadszedł kres mojej płodności. Jakby cały temat umknął gdzieś w dał Właściwie minęły 3-4 miesiące. I niestety, bez wielkiego rezultatu! Ale jeszcze zobaczmy! - - -

Podobno mamy zająć zimowe kwatery, a jeśli się tak stanie, to może będę musieć spać ze wszystkimi ludźmi; Niech Bóg bronii! - - - żebym tylko nie stracił przytomności umysłu! Bóg ze mną!

- - -! - - -!

28. XI. 14

Wczoraj bardzo dużo pracowałem. Od wczoraj w południe, do dziś w południe na wartowni z 7 ludźmi i na posterunku. Właśnie dziś czułem się szczególnie nieszczęśliwy. Wszelkimi środkami zabiegam o przeniesienie. Myślę, że w otoczeniu tych nieokrzesanych i ordynarnych ludzi, których żadne niebezpieczeństwo nie poskramia, MUSZĘ marnie zginąć, jeśli nie stanie się cud, który doda mi więcej sił i mądrości niż mam teraz. Tak, musiałby stać się cud, jeśli mam to przeżyć! Jestem pełen lęku o moją przyszłość. Mało pracowałem! Jakiś cud! Jakiś cud! - - -

29. XI. 14

Dość dużo pracowałem - - -!

30. XI. 14

Rano do Dowództwa Korpusu. Z naszym dowódcą rozmawiano o mnie. Jeśli mnie przeniosą, muszę z powrotem wrócić do kadry. W przypadku zajęcia kwater zimowych, zatroszczy się on o to, żebym dostał własny pokój. W najbliższym czasie reflektor ma być jednak używany znowu i dotąd powinienem tu zostać. - - - Teraz wieczorem, gdy wracam z miasta, zrobił się wielki hałas, bo jakiś statek ma stąd wypłynąć. Mowa o tym, że reflektor wraz z nim. To byłoby naprawdę nieprzyjemne. Tak mogą pokrzyżować w każdej chwili nasz plany, a ja muszę mieć jakieś inne oparcie, aby jednak móc żyć. - - - Niewiele pracowałem, ale nie bez impulsu. Znowu trochę zmysłowy. Tylko żyć własnym umysłem i wszystko zostawić Bogu! - - -

1. XII. 14

Więc już grudzień! A jeszcze ciągle nie ma mowy o pokoju. Dziś w nocy silny huk dział; słyszano gwizd pocisków. Wczoraj wieczór jakiś statek popłynął w dół Wisły, a każdego dnia inna załoga ma na nim służbę, np. jutro my! Co się ze mną stanie?! Z takimi kolegami i z takimi przełożonymi! - - - Przekazano mnie do Oddziału Sztabowego Artylerii. Pójdę tam pojutrze, po służbie. Bardzo mało pracowałem. Duch chroni mnie, cokolwiek się stanie.

2. XII. 14

Dziś w południe idziemy na wartę. Dzięki Bogu nasz komendant idzie z nami, przynajmniej jeden porządny człowiek tam będzie. Nocą straszliwy huk od fortów. A teraz, o 8 rano znowu się zaczyna. Dziś w nocy musieliśmy spać pod gołym niebem. Chyba dziś nie zabiorę się do roboty. Tylko nie zapomnieć o Bogu.

- - -

3. XII. 14

Nie pracowałem, lecz dużo przeżyłem. Jestem teraz zbyt zmęczony, żeby to zanotować.

4. XII. 14

Przedwczorajna warcie nie wydarzyło się nic szczególnego poza tym, że biegnąc upadłem na podłogę i jeszcze do dziś utykam. Ze wszystkich stron najgwałtowniejszy grzmot armat, ogień karabinowy, pożary etc. Wczoraj wieczór w dowództwie twierdzy w moich sprawach. Gdy kapitan<sup>2</sup> usłyszał, że studio- wałem matematykę powiedział, że powinienem iść do niego (do fabryki). Wydawał się bardzo miły. Zgodziłem się i zostałem dziś odkomenderowany. Mam wielkie nadzieje. Grzmot dział gdzieś blisko, bardzo blisko. Po południu w mieście. Mało pracowałem. Przez cały dzień byłem trochę zmęczony, bo również ostatniej nocy bardzo mało spałem. Wcześniej do łóżka! - - -

5. XII. 14

Jutro lub pojutrze odchodzę stąd. Nie postanowiono jeszcze, gdzie będę mieszkał. W żadnym wypadku nie chcę być zależny od takich spraw. Niewiele pracowałem; jednak nie utknąłem. Myślę dużo o drogim Davi- dzie. Niech go Bóg chronii! I mnie! - - -

8. XII. 14

Niewiele pracowałem. Nietzschego tom 8<sup>3</sup> kupiłem i czytam. Jestem silnie poruszony jego wrogością wobec chrześcijaństwa. Ale również w jego pismach zawarte jest trochę prawdy. Z pewnością chrześcijaństwo jest jedyną pewną drogą do szczęścia. Cóż jednak, gdy ktoś pogardził takim szczęściem? Czyż nie lepiej by było zginąć nieszczęśliwie w beznadziejnej walce ze światem zewnętrznym? Przecież takie życie to bezsens. Czemu nie wieść jednak bezsensownego życia? Czy to niegodne? Kto pogodzi się ze skrajnie solipsystycznym stanowiskiem? A co mam robić, żeby nie zatracił swego życia? Tego muszę być zawsze – zawsze – świadom. - - -

\* \* \*

Od 9 grudnia 1914 roku Wittgenstein odbywał służbę wojenną w Oddziale Samochodowo-Artyleryjskim Specjalnego Przeznaczenia w warsztatach garnizonowych, w którym remontowano samochody i działa, mieszczących się w pobliżu cmentarza Rakowickiego. 3. lutego objął nadzór nad kuźnią. W końcu lipca 1915 roku, po odbiciu Galicji Wschodniej przeniesiono go do Sokala nad Bugiem, na północny wschód od Lwowa, do warsztatów artyleryjskich. O losach Wittgensteina pomiędzy czerwcem 1915 a marcem 1916 wiemy niewiele. Mógł w tym czasie zapisać jeden lub dwa zeszyty dzienników, które się nie zachowały.

Wyrwę od czerwca do marca można w pewnym sensie zapełnić dzięki informacjom dra Maxa Bliera, który był z Wittgensteinem w Sokalu. „Rozmawialiśmy o zagadnieniach filozoficznych i metafizycznych, które

<sup>2</sup> Kpt. Oskar Gürth, który później protegował bardzo Wittgensteina i starał się o przyznanie mu stopnia wojskowego.

<sup>3</sup> Nietzsche Werke: Bd 8, Leipzig 1904 (Treść: 1: Der Fall Wagner, 2. Götterdämmerung, 3. Nietzsche contra Wagner, 4. Umwertung aller Werte, 1. Buch: Der Antichrist, 5.. Dichtungen)

czasami absorbowały nas tak dalece, że zapominaliśmy o miejscu i czasie”.<sup>4</sup>

Kapitan Gürth i porucznik Scholz byli bardzo życzliwie nastawieni do Wittgensteina. Gdy pojawiły się trudności pomiędzy nim a jego czeskimi kolegami, ponieważ nie odpowiadał im jego sposób bycia, Gürth usiłował uzyskać dla niego status „specjalisty zawodowego”, co odpowiadało w służbie stopniowi oficerskiemu. Po odrzuceniu wniosku o mianowanie Wittgensteina inżynierem *Landsturmu* (pospolitego ruszenia – JG), Gürth starał się w Ministerstwie Wojny o przyznanie mu tytułu „akcesisty”, tj. kandydata służby rządowej.

Do wniosku dołączono *Informację o ochotniku wojennym, kanonierze Ludwigu Wittgensteinie*, w której m.in. napisano: „W. po ukończeniu szkół wyższych w Charlottenburgu, Oxfordzie<sup>5</sup> i Cambridge, gdzie wobec obowiązujących tam zasad uprawniony był także do sprawowania docentury jako uczonek w dziedzinie matematyki i filozofii, żył w Norwegii. Natychmiast po wybuchu wojny pospieszył do Wiednia i polecił się – mimo dwukrotnego stwierdzenia w książeczce wojskowej zupełnej niezdolności do służby – wcielić jako prosty kanonier do wojska. Z zupełnej ideowych powodów zaniechał przystępującego mu prawa ubiegania się o stanowisko cywilne lub prawo do służby jednorocznej, jak również zapewnienia sobie jakichkolwiek przywilejów stosownych do jego pozycji materialnej i społecznej oraz środków pieniężnych, pozostających w jego dyspozycji. Wcielono go do Floty Wiślanej i – jak to się często zdarza słabowitym fizycznie – wystugiwano się nim prawie wyłącznie do czyszczenia ustępów i podobnych prac, które spełniał przez 3 miesiące, aż do odkomenderowania do Zakładów Naprawczych Artylerii Twierdzy Krakau. Tamże zwróciłem przypadkowo uwagę i przydzieliłem go początkowo jako nadzorcę. Gdy dowiedziałem się później, że jest inżynierem, użyłem go w tym charakterze w tut. Zakładzie. Ponieważ w swojej skromności nigdy nie wspomniał o swych kwalifikacjach, załoga uznała to za nieuzasadnione uprzywilejowanie [...] Gdy W. wdrożył się bardzo szybko w dziedzinę techniki artyleryjskiej, stał się tym samym dla mnie cenną podporą; przeszukałem wszystkie odnośne przepisy i odnośne rozkazy, ażeby w interesie Służby wystarać się o właściwe stanowisko dla W. Wydane w październiku 1914 roku rozkazy o inżynierach *Landsturmu*, pozwalały na interpretację korzystną dla Wittgensteina. Nawet urzędnik c.k. Ministerstwa Obrony Kraju, którego przy okazji przepytawałem o ten casus, podzielił mój pogląd, że W. powinien rzeczywiście być używany jako inżynier, mając uprawnienie do używania stosownego munduru. Gdy więc nadano jego pracy charakter oficerski, kwestia jego pozycji wobec załogi została uregulowana, a W. w następnych miesiącach pracował z najlepszym rezultatem w warsztatach jako oficer artylerii. W miesiącu lipcu został ciężko ranny podczas pełnienia służby wskutek wybuchu pocisku zakleszczonego w lufie. Po jego transferowaniu do mojego oddziału nadeszła odpowiedź odmowna na jego prośbę, dot. „mianowania na inżyniera *Landsturmu*” z uzasadnieniem, że to niemożliwe ze względu na Erl. Abt. 1 Nr.23546 Beiblät 43, (rozkaz wyd. 1 nr załącznik 43 –JG), bo jako wcielony ochotniczo należy do *Landwehry* (służby czynnej

– JG). Stałby się więc na powrót kanonierem, zaś jego pozycja w załodze nie do utrzymania; zgodnie z jego życzeniem prosi, aby mu wolno było udać się z najbliższym transportem na front.

Niniejszym jednak wiadomo mi, że nie ma planów formowania oddziału pociągu technicznego. Nie ma też zupełnie do dyspozycji innych inżynierów artylerii, także do robót kolejowych. Skoro więc w ciągu 10 miesięcy W. wyspecjalizował się nie tylko jako inżynier artylerii, lecz również w robotach kolejowych, co Jego Ekscelencja von Schleyer i p. G.M. von Kiss określili jako przełomowe, w interesie Służby byłoby stosowne, gdyby W. udzielono stopnia w randze akcesisty, i umożliwiono pozostanie na obecnym stanowisku”.

Do podania dołączono *Oświadczenie* Wittgensteina: „Ponieważ moja dokumentacja studiów znajduje się w Anglii, słowem honoru poświadczam, że studiowałem dwa lata na berlińskiej Technische Hochschule (Politechnice – JG), na Uniwersytecie w Manchesterze 3 lata, i na Uniwersytecie Cambridge 2 lata, a w Anglii uprawniony jestem do sprawowania docentury (*venia legendi*).

Sokal, 1. października 1915 roku, (-) Ludwig Wittgenstein”.<sup>6</sup>

W ministerstwie wojny wniosek został rozpatrzony 13 października. Mianowanie na inżyniera służby czynnej zostało odrzucone, ale w drodze wyjątku wyrażono zgodę na mianowanie Wittgensteina „akcesistą” Inspektora Technicznego Artylerii.<sup>7</sup> Z kolei jednak w orzeczeniu Inspektora Armii z 1. listopada 1915 roku stwierdzono: „Nie ma żadnych powodów do mianowania ochotnika służby czynnej, Ludwiga Wittgensteina akcesistą *Landsturmu*, ponieważ tym samym stworzono by precedens dla wszystkich osób z wyższym wykształceniem, które asenterowały się jako ochotnicy. Jeśli ze względów dyscyplinarnych w jego obecnej szarży niemożliwe jest powierzenie Wittgensteinowi komendy pododdziału, to należy go przenieść. Samowolne postępowanie kapitana Gürtha, zezwalające Wittgensteinowi na noszenie munduru inżyniera *Landsturmu*, nie może stać się punktem wyjścia do mianowania Wittgensteina gazystą (urzędnikiem z prawem do poborów – JG). Jednocześnie kpt. Gürtha należy pociągnąć do odpowiedzialności”.<sup>8</sup>

W końcu Gürth otrzymał od władz zwierzchnich naganę, a Wittgensteinowi odmówiono przywileju (bo prawo było przeciw niemu) mianowania „na akcesistę w rezerwie”. Było ironią losu, że Wittgenstein wówczas w Anglii nie tylko nie był docentem, ale nawet nie doktoryzował się. Nie chciał się zastosować do wytycznych, używać cytatów itd. – bo przyzwyczajono go nie tylko w szkole i na uczelni, że należy mu się specjalne traktowanie, jakiego nie przyznaje się pozostałym rówieśnikom. Dopiero od austriackich władz wojskowych musiał dowiedzieć się, że nie są one skłonne przyznać mu specjalnych uprawnień, towarzyszących mu przez całe życie, od urodzenia aż do śmierci.

\* \* \*

Dalsza służba Wittgensteina. Po odrzuceniu wniosku Gürtha przez Ministerstwo Wojny sytuacja Wittgensteina w oddziale stała się tak dalece nieznośna, że po-

<sup>4</sup> Brian mc Guinness: *Wittgensteins frühe Jahre*, Frankfurt 1988, str. 363

<sup>5</sup> Wittgenstein nigdy nie studiował w Oxfordzie.

<sup>6</sup> Wiedeń, *Kriegsarchiv sygn.*: (7A,1915,27-33, wyd. 7 nr 42965/1915 fol. 2-5)

<sup>7</sup> Wiedeń, *Kriegsarchiv, sygn.*: (7A,1915,27-33, wyd. 7 nr 42965/1915 fol. 16-19)

<sup>8</sup> ibidem;

zostawało mu jedynie poprosić o przeniesienie na front. Rzuci się również w oczy i to, że naraz ustała jego korespondencja z Fickerem i Russellem, i dopiero po wojnie rozpoczęła się na nowo. Niczego więcej o tym nie wiemy, bo trzeci zeszyt *Dzienników sekretnych* zaczyna się w marcu 1916 roku. 21. marca 1916 r. odkomenderowano Wittgensteina do 4. Baterii 5. Pułku Polowego Haubic, stacjonującego w Sanoku nad górnym Sanem.

Tymczasem 4 VI 1916. gen. Brusilow zaatakował austriacki front wschodni na Wołyniu i w Galicji; 300 000 żołnierzy c.k. armii wzięto do niewoli. We wrześniu i od października do grudnia doszło do kolejnych ataków rosyjskich, odpartych jednak przez Austriaków. Wittgenstein podczas pierwszej ofensywy Brusilowa był obserwatorem artyleryjskim. W dwóch wnioskach o odznaczenie filozofa Medalem za Dzielność II klasy porucznik Heinrich Bertl, komendant 4. baterii pisał: „Dzielne zachowanie się w obliczu wroga. Wymieniony był w ciągu trzydniowych walk od 4 do 6 VI b.r. zwiadowcą-obserwatorem na eksponowanych posterunkach w rejonie Sawokrinicznyj; narażony na silny ostrzał artylerii i piechoty podawał ważne meldunki niezbędne do kierowania ogniem artylerii”. Wittgenstein bowiem, nie zważając na ostrzał artyleryjski i moździerzowy, i wybuchające wokół pociski odkrył dwa wrogi stanowiska miotaczy min przyczyniając się do ich zniszczenia, o czym zeznali dwaj wzięci do niewoli żołnierze rosyjscy. Dowództwo zatwierdziło wniosek i 6 X 1916 r. Wittgenstein otrzymał Medal za Dzielność II Klasy, a 19 X Medal Brązowy. Wcześniej, 1 VI otrzymał awans na starszego kanoniera, a 1 IX został kapralem i odkomenderowano go do szkoły oficerskiej. Po 5 miesiącach walk na froncie Wittgenstein znalazł się Oficerskiej Szkole Artylerii w Ołomuńcu, gdzie poznał Paula Engelmana, z którym do jego śmierci pozostawał w serdecznej przyjaźni.

Po mianowaniu 1 XII 1916 r. chorążym rezerwy, na Boże Narodzenie Wittgenstein otrzymał urlop, który spędził u rodziny w Wiedniu. W tym czasie podarował państwu 1 milion koron na stworzenie moździerza kalibru 30 cm. Po ukończeniu szkoły oficerskiej powrócił do swojej baterii, która w tym czasie weszła w skład węgierskiej, tj. do 42. dywizji piechoty Honvedów (HID) operującej na Bukowinie, między Karpatami a Dniestrem. 28 I 1917 r. Wittgenstein otrzymał Wojskowy Krzyż Karola. We wniosku o odznaczenie napisano: „Za dzielne zachowanie w obliczu wroga. Chorąży rezerwy, Wittgenstein, zgłosił się na ochotnika 15 III tegoż roku jako zwiadowca patrolu pod Drwiniaczem pokonując najcięższe warunki atmosferyczne i dostarczył meldunków najwyższej wagi”. Brał udział w szeregu potyczek aż do zawieszenia broni, które 29 XI 1917 r. położyło kres walkom w Karpatach. W opinii służbowej przełożonych napisano: „Mocny, zamknięty charakter; do zastosowania jako znakomity oficer zwiadu, z ogromnym sercem, nieustraszony. Dowiódł tego we wszystkich bitwach. W innych służbach jako oficer artylerii mniej do zastosowania. Nadaje się na dowódcę zwiadu. Ze względu na szczególne właściwości jego charakteru i pewną nieuzasadnioną nieśmiałość jego działalność poza ramami zwiadu mało przydatna. Zachował się szczególnie błyskotliwie w walkach pod Zdzianami (za co otrzymał srebrny medal za Dzielność I Klasy – JG). Wywiera dobry wpływ na podkomendnych, który nabiera szczególnego znaczenia na polu walki”.

1 II 1918 r. Wittgensteina mianowano porucznikiem rezerwy. W marcu jego jednostkę przeniesiono do pierwotnie czeskiego regimentu artylerii górskiej. W okolicy Piave Austriacy przygotowywali nową ofensywę z udziałem wojsk przerzuconych z frontu wschodniego, która rozpoczęła się w czerwcu. 15 VI 1918 r. Wittgenstein jako zwiadowca baterii szturmowej wziął udział w pierwszym ataku. We wniosku z 23 VI o Złoty Medal za Dzielność napisano: „W walkach pod Asiago 15. VI. b.r. jako zwiadowca baterii szturmowej poszedł na czele pierwszej fali ataku. Prowadził skuteczny zwiad w warunkach nasilonego ognia maszynowego i artyleryjskiego, przy czym dwóch ludzi z jego patrolu zostało rannych. Pod nieustannym ogniem maszynowym zatroszczył się o odtransportowanie rannych i powrócił do działa szturmowego, znajdującego się w najcięższym ogniu artyleryjskim. Gdy dowódca z trzema ludźmi zostali zasypiani wybuchem granatu kaliber 28 cm, zajął jego miejsce i kierował osobiście akcją ratunkową. Gdy przekazano mu rozkaz o wycofaniu działa, pod ciągłym ogniem maszynowym wycofał je na pozycję wyjściową. Jego dzielne zachowanie, spokój i zimna krew oraz bohaterska odwaga, wzbudziły podziw załogi. Swoim postępowaniem dał wzorowy przykład żołnierskiej wierności obowiązkom i ich pełnienia”. W wyniku zastrzeżeń niejakiego pułkownika Danzera, „że – jak wyjaśniał – skuteczność tych działań wobec nieprzyjaciela była nieznaczna”, a Złoty Medal „o wiele za wysoki”, Wittgenstein otrzymał jedynie Medal Zasług Wojskowych na Wstędze z Mieczami wręczony mu 22 IX; Wittgenstein żartował potem, że dzielność mierzy się skutecznością.

5 VII 1918 r. Wittgenstein udał się na urlop do domu. Od lipca do końca września 1918 r. przebywał u swego wuja Paula w Hallein, gdzie dokończył pisanie *Tractatusa*, który w końcu sierpnia wysłał do wiedeńskiego wydawcy, Jahody. Dowiedział się wtedy także o katastrofie lotniczej swego przyjaciela Dawida Pinsenta.

W końcu września powrócił na front. 24 X 1918 r. alianci zaatakowali Austriaków pod Asiago. 38. Dywizja Piechoty Honvedów, do której należała bateria Wittgensteina, odparła atak i utrzymywała linię frontu aż do 30 X.

24.X. Włosi przekroczyli rzekę Piave i po zawieszeniu broni świętowali swe pozorne zwycięstwo w Vittorio Veneto. Brat Wittgensteina, Kurt po rozformowaniu swej jednostki odebrał sobie życie. Jednostka, do której należał Ludwig Wittgenstein, wycofała się do Trydentu i 3 XI 1918 r. dostała się niewoli włoskiej. Na tym skończyła się czynna służba wojskowa Wittgensteina, podczas której odznaczono go pięciokrotnie za waleczność. Wittgenstein bowiem, opierając się na właściwym mu rygorystycznym etycznym, traktował swoje obowiązki wojskowe z patetyczną powagą, a wspieranie swojej ojczyzny – nawet przeciwko Anglii! – było dla niego oczywiste tylko w ten jeden, możliwy do pomysłenia sposób.

Opracował i przetłumaczył **JAN GÜNTNER**

Tym odcinkiem zakończyliśmy druk fragmentów *Dzienników*, wg Ludwig Wittgenstein, *Geheime Tagebücher*, Turia&Kant Verlag, Vien. Odcinki pierwszy i drugi publikowaliśmy w numerach 3-4/2010 i 1-2/2011 „Zdania”.



JACEK WOJCIECHOWSKI

# AKTUALIA

## ROSYJSKIEJ PROZY

### W POLSCE (2)

Literatura nie jest wprawdzie bezpośrednim odbiciem życia, ale nie istnieje również w próżni. Nic zatem dziwnego, że zwłaszcza niektóre wydarzenia bieżące odciskają na niej swoje piętno.

#### CZECZEŃSKIE NIESZCZĘŚCIE

Władimir Makanin, *Asan*, przeł. Jerzy Redlich, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2009, s. 399.

Zachar Prilepin, *Patologie*, przeł. Małgorzata Buchali, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2010, s. 306.

Rosyjsko-czeczeńskie starcia zbrojne miały miejsce już sto osiemdziesiąt lat temu (pisał o nich Tołstoj) i wprawdzie potem konflikt był przytłumiony, ale tlił się podskórnie i kiedy podczas wielkiej wojny wojska niemieckie znalazły się niedaleko, a przypadki kolaboracji stawały się coraz liczniejsze, Stalin przesiedlił Czechenów do Kazachstanu oraz na Syberię. Wrócili potem sukcesywnie, ale nie wszyscy.

Po rozpadzie ZSRR i jednostronnej deklaracji niepodległości Czechenii, wybuchła pierwsza (1994 r.), a następnie druga (1999 r.) wojna. Ta, kontynuowana przez ekstremistycznych bojowników islamskich w formie ataków terrorystycznych, trwa właściwie nadal. Tymczasem większość cywilnych Rosjan wyjechała z Czechenii, a prawie wszyscy mieszkańcy opowiedzieli się w referendum za pozostaniem w składzie Federacji Rosyjskiej. W sumie, konflikt jest jednak wysoce skomplikowany i nie poddaje się ocenom prostym, poza jedną ogólną opinią: że jest to straszne nieszczęście dla wszystkich, którzy zostali weń wplątani, niezależnie od swojej woli i nieraz – daleko od głównego obszaru zdarzeń. I otóż są w Rosji powieści, które tak właśnie tę wojnę traktują, imponując ostrożnością sądów oraz wysoką jakością refleksji.

To jednak nie wszystkim odpowiada. Prozaik starszej generacji, **Władimir MAKANIN** (ur. 1937) – z wykształcenia matematyk oraz reżyser filmowy – w takim właśnie duchu napisał znakomitą powieść **ASAN**. I natychmiast, obok ocen entuzjastycznych, pojawiły się „spontaniczne” głosy sprzeciwu.

Najczęstszy zarzut polegał na tym, że Makanin bezpośrednio w Czechenii nie widział. Idąc tropem tej genialnej myśli, nie dałoby się wystawić w żadnym teatrze *Hamleta* bez uprzedniego wyjazdu reżysera do Helsinger.

Inna „krytyczna” opinia sugeruje, że Makanin nie radzi sobie z pisaniem, bo raz i drugi powtarza te same sceny. W istocie ktoś nie radzi sobie z czytaniem, bo ma tu miejsce intencjonalnie subiektywna narracja, chwilami zbliżona do strumienia świadomości i powtórkowe przebiecia muszą być. A poza tym są też oszczerstwa, że tekst został napisany pod publiczkę, ale zachodnią.

To „cienka” aluzja do faktu, że chociaż Makanin pisze już od 45 lat i dorobek prozatorski ma bogaty, jednak długo był ignorowany przez władze, więc tym samym przez krytykę literacką oraz przez opinie odbiorców. Jego refleksyjne, metaforyczne, lekko ironiczne opowieści, monotematycznie powiązane z egzystencją inteligencji, nie przystawały do kanonów prozy radzieckiej. Dopiero po 1980 roku nastąpiła eksplozja zainteresowania, pochwał, nagród i codziennością stały się przekłady oraz bardzo aprobatywne opinie zagraniczne. Które tym bardziej przystają to tej powieści.

To nie jest relacja z wojny, ale zmetaforyzowana impresja. W której wojna, jakkolwiek okrutna, pełna nieszczęść oraz rujnacji wszystkiego co ludzkie, jest przede wszystkim gigantycznym biznesem. Żądza pieniądza przewyższyła żądzę krwi.

Na tle wojny, niejaki major Żylin organizuje ponadbitewne targowisko, na którym każdy chce zarobić. Rosjanie, żeby potem pobudować sobie dache w spokojnych zakątkach Rosji. Czecheni, żeby kupić broń oraz najnowocześniejsze samochody. Przedmiotem handlu jest natomiast wszystko: paliwo, amunicja, broń, żywność, ale także jeńcy oraz kobiety. Trzeba tylko mieć czym płacić, najlepiej w dolarach, chociaż rublami też nikt nie gardzi, a czasem jeszcze inaczej. Przyjezdne matki wykupują synów z niewoli za seksualne usługi. W tych okolicznościach ważnym narzędziem walki oraz handlu są telefony komórkowe, używane przez wszystkich. Niekiedy również do namierzania ofiar: tak przecież zginął Dudajew.

Oraz bywają narzędziami denuncjacji, ponieważ dość chętnie – od czasu do czasu – sypie się swoich: kolegów, dowódców, sąsiadów i to po obu stronach wirtualnego frontu. Czecheni bowiem raz są federalni, a za chwilę separatystyczni, dzwonią więc według sytuacji, z kolei Rosjanie eliminują w ten sposób konkurentów w interesach. Nie istnieje żadna moralność.

Rozpiciaczone i źle dowodzone wojsko nie tworzy żadnego monolitu. Czeczeni też piją i zwalczają się wzajemnie. Demoralizacja postępuje i w końcu niszczy jedyne istniejące reguły, mianowicie biznesowe. Żylna zabija własny żołnierz i cały handel zamiera. Odtąd jest już tylko beładna, dzika mordownia, pozbawiona motywacji i celu. Lecz siłą inercji może trwać bez końca.

Z innego natomiast pokolenia wywodzi się **Zachar PRILEPIN** (ur. 1975), a właściwie Ewgenij Jawlinskij. Używa pseudonimu bo to promocyjny gadżet, a on sam w (dość specyficznej) autoreklamie jest bezkonkurencyjny. Z wykształcenia filolog, mieszka w Niżnym Nowgorodzie i pracuje w miejscowej redakcji filialnej gazety *Nowaja Gazeta*, w której (ale w centrali) funkcjonowała Anna Polittkowska. On sam jest człowiekiem mądrym, co było widać na spotkaniu w Polsce, ale dla celów marketingowych robi z siebie osiłka z krzepą. Rosjanie to lubią!

Ostrzyżony na zero, z nieodłącznym papierosem w zębach, rozповіда że był ochroniarzem (znaczy: potrafi dać w dziób). Należy do zdelegalizowanej, fałszywostowskiej partii Narodowo-Bolszewickiej (też dla reklamy), której przewodzą (przewodzili?) były szachowy mistrz świata, Gari Kasparow oraz inny bardzo dobry pisarz-chuligan, Eduard Limonow. Jednak majstersztykiem autopromocji jest legenda o udziale w wojnach czeczeńskich, gdzie chyba walczył rzeczywiście, ale sugeruje, że jako kapitan OMON-u. To absolutna lipa, bo wiek nie ten ani nie te kwalifikacje, jednak wszyscy to kupują i nikt o pisanie na temat Czeczenii do niego pretensji nie ma.

Jako prozaik ma doskonałą opinię w kraju oraz za granicą, szczególnie w Chinach, jak też w USA i w Anglii, mimo że na razie angielskojęzycznych przekładów nie było. Ale to rzeczywiście bardzo dobry pisarz, a powieść **PATOLOGIE** to tekst bezdyskusyjnie świetny.

To jest powieść literacka w pełnym znaczeniu tego słowa, tym niemniej realia czeczeńskiej wojny są tu drastyczne, wstrząsające – chwilami aż trudno czytać – i na pewno nie są wymyślone, bo nie poddają się wyobraźni. Oto oddział Specnazu instaluje się w dawnej czeczeńskiej szkole. Dookoła atakujący Czeczeni, trupy, śmierć daje o sobie znać co chwilę i nad wszystkim dominuje strach. Nienawiść miejscowych ujawnia się wszędzie, nawet w centrum miasta oraz na targu, każdy krok jest ryzykowny i napięcie nie kończy się nigdy. Ślad normalnej rzeczywistości zamazuje się całkowicie: jeżeli nawet istniała, to gdzieś w innym świecie, a niewyraźne wspomnienia mają zwykle męsko-damski kształt.

To jest obraz każdej wojny, nie tylko tej jednej. W istocie po prostu rzeźni, bo żadnej sztuki wojennej nie ma. Obowiązuje zasada: zabij oraz spróbuj przetrwać. Dlatego po obu stronach nie bierze się jeńców, rannym kula w łeb, ten górą, kto szybciej strzeli, a w przerwach pomiędzy zabijaniem wódka na chwilę koi nerwy.

Czycze mają jeden motyw: pozabijać Ruskich. A Ruscy też mają jeden spójny motyw – przeżyć, zarobić i wyjechać. Nie ma bogoojczyźnianego kitu, dla jednych i drugich trwa wojenny biznes, który trzeba obrócić na swoją korzyść. Zbieżność z refleksją Makanina jest więc oczywista.

W ogóle zaś Prilepin-Jawlinskij ma o ludzkiej naturze opinię szczególnie paskudną. W każdym człowieku – jego zdaniem – drzemią pokaźne pokłady zła. Wojna jest detonatorem: odkorkowuje słabe zabezpieczenia,

spuszcza z łańcucha wszystkie niegodziwości i otwiera przed nimi wolne pole. W następstwie zło rozlewa się po świecie, a nikt nie wie, w jaki sposób je powstrzymać. Lub jest jeszcze gorzej: wygląda na to, że nikt tego powstrzymania nie chce.

## PIELEWIN

Wiktor Pielewin: *Kryształowy świat*. Przeł. Ewa-Rojewska-Olejarczuk. Warszawa: Wydawnictwo A.A.B., 2008, s. 402

Jedno z kilku centralnych miejsc na literackiej mapie współczesnej Rosji zajmuje **Wiktor PILEWIN** (ur. 1962), pisarz tak bardzo osobny, że nie da się go zestawić z nikim, ani przypisać do żadnej kategorii. Uczył się w angielskiej szkole w Moskwie, studiował w Instytucie Energetycznym, a teraz – od lat – jest prozaikiem bardzo wziętym w Rosji, oraz wysoko cenionym za granicą. Ma mnóstwo przekładów w różnych krajach, nie wyłączając Polski, gdzie poza tym życzliwie prezentowała go „Polityka”.

Jest autorem o niebywalej wyobraźni i pomysłowości, ma też oryginalne poczucie humoru i chętnie obśmiewa lub przedrzeźnia wszystko, co się da. Ciekawe, że nawet w szerokim obiegu nikomu nie przeszkadza forma nie przystająca do tradycyjnie pojmowanej prozy. Szyk relacji jest poprzestawiany, zmiksowany, metafora goni metaforę, realizm jeżeli jest to czysto magiczny, lecz przeważa surrealizm, a i poetyki rodem z *science fiction* też znajdzie się sporo. Wszystko to jednak świetnie do siebie przystaje, a odbiera się bez zgrzytów, za sprawą wspaniałej narracyjności.

**KRYSTAŁOWY ŚWIAT** to zbiór opowiadań bardzo rozmaitych, dla których wspólna jest konwencja gry, a czasem przekomarzania się z czytelnikami. Prawie zawsze ma też miejsce konfiguracja oraz przenikanie się bardzo różnych światów – realnego, umarłego, lunatycznego, sennego. I co najciekawsze: wszystkie doskonale ze sobą współgrają.

Nieco różni się od pozostałych opowiadanie inauguracyjne, bardzo zresztą piękne i nastrojowe – tak zwykł pisać Iwan Bunin. Oto międzyrewolucyjny Piotrogród, tak jakby bezrządny, zasnuty mgłą, gdzie krążą jakieś konne patrole i pojawiają się dziwni przechodnie, a w każdym zakątku czyha niespodzianka. To jest impresja z wyczekiwania: wiadomo przecież, jaką niespodziankę niebawem wykręcą wszystkim bolszewicy.

Niespodzianek jest dużo. Na statku Darwin dusi małpy, żeby w ten sposób udowodnić wyższość człowieka w łańcuchu ewolucyjnym. Albo nagle okazuje się, że wszyscy sowieccy politycy to sobowtóry Stalina, który razem z Bериą ukrywa się w podziemnym mieście i rządzi. Oraz jest pomysł wyjątkowo złośliwy: stara szamanka ożywia pozabijanych obcych żołnierzy, a potem wraz z młodą opiekunką, swatają ich odpłatnie rosyjskim dziewczętom, żeby mogły wyjechać na Zachód. Jednak ten dochodowy interes psuje na chwilę omyłkowe ożywienie poległego oficera sowieckiego.

Już z tego widać, że wyobraźnię ma Pielewin niebywałą. Pracownicy miejskiej zajezdni nagle rozdwiają się świadomość między zgrzebną rzeczywistość sowiecką i mityczny Nepal. Dzieciak urodzony w łagrze funkcjonuje tam sprawnie do czasu, aż wydorosłe; wówczas straci wigor. A znowu ludzie wyjeżdżający na sobotnio-niedzielny piknik zamieniają się w wilkołaki i dopiero wtedy są naprawdę wolni: mogą żyć pełnią życia.

Autor dyskretnie podpowiada więc, że obok świata rzeczywistego istnieją też światy równoległe, mniej lub bardziej odmienne. Jednak nigdzie nie pisze, że lepsze. To już każdy musi sprawdzić sam.

#### DALEKO OD DOMU

Dina Rubina: *Na Górnej Masłowce*. Przeł. Margarita Bartosik. Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA S.A., Warszawa 2006, s. 172.

Dina Rubina: *Oto idzie Mesjasz!* Przeł. Margarita Bartosik. Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA S.A., Warszawa 2006, s. 391.

Dina Rubina: *Syndykat*. Przeł. Margarita Bartosik. Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA S.A., Warszawa 2008, s. 574.

Gajto Gazdanow: *Wieczór u Claire. Widmo Aleksandra Wolfa*. Przeł. Henryk Chłystowski. PIW, Warszawa 2009, s. 279.

Michał Szyszkin: *Nefrytowy różaniec*. Przeł. Ewa Rojewska-Olejarczuk. Świat Książki, Warszawa 2009, s. 655.

Dzieje rosyjskiej emigracji są takie same, jak dzieje Rosji: nieprzejrzyste, pogmatwane, dramatyczne. Początkowo wyłącznie lub głównie polityczna, nieraz wymuszana, opierała się przede wszystkim na exodusie inteligencji, w tym także pisarzy i to wybitnych. Dramat polegał na oderwaniu od ojczyzny oraz na przerwanu krajowego obiegu tekstów, a jedno i drugie razem to dla twórczości literackiej cios śmiertelny. Pisarstwo emigracyjne, znane na całym świecie, w Rosji było dostępne tylko z samizdatów, więc nielegalnie i dla nielicznych; oficjalnie dotarło do kraju stosunkowo niedawno. Tymczasem pozmieniało się prawie wszystko i to tak dalece, że niektórzy pisarze zaczęli wracać do Rosji na stałe, a inni dzielą swój czas na pobyt tam i tu.

Tak również postępują autorzy należący do emigracji najnowszej, których jednak jest znacznie mniej. Zmienił się także charakter tego pisarstwa, coraz bardziej stroniącego od polityki. Ale w ogólnym pejzażu rosyjskiej literatury to ciągle jest segment znaczący.

Natomiast najnowsza rosyjska diaspora wygenerowała się przede wszystkim z przyczyn zarobkowych, toteż częściej trafiają się tam inżynierowie, aniżeli humaniści. Z kolei dzieci, wnuki i prawnuki dawnych emigrantów wyraźniej asymilują się do środowisk miejscowych. Może zatem być i tak, że rosyjska zagraniczna twórczość literacka niebawem ulegnie ilościowej i jakościowej redukcji.

Bo też granice coraz mniej są granicami. Pomimo wizowych utrudnień, na niebywałą skalę rozwinęła się rosyjska turystyka zagraniczna odreagowując blisko stuletnią izolację. Rosjanie latają i jeżdżą gdzie się da. Wyraźnie mniej liczne są natomiast turystyczne przyjazdy do Rosji, co ma rozmaite reperkusje. Na przykład dla telefonii komórkowej, która w skali międzynarodowej opiera się zbalansowanych parytetach: dlatego zagraniczny roaming w Rosji jest wyjątkowo kosztowny.

Z czasem zapewne i to ulegnie zmianie i fakt, gdzie prozaik lub poeta mieszka, będzie miał trzeciorzędne znaczenie. Jednak na razie stygmat emigranta trochę jeszcze w literaturze znaczący.

W licznych rozjazdach jest **Dina RUBINA** (ur. 1953), już bowiem od dwudziestu lat mieszka na stałe w Jerozolimie, lecz do Rosji (i do USA) przyjeżdża często i odbywa spotkania autorskie, a prozatorski dorobek ma wyjątkowo obfity. Z łatwością pisanie koresponduje znakomity dar opowiadania, stąd duża popularność jej powieści, na ogół dość długich i (na mój gust) trochę przegadanych. Akcja jest tam zawsze rozpędzona i dają o sobie znać ciągoty do groteskowych przerysowań, są

też sprytnie wmontowane rozmaite pomysły formalne, jakich pełno w literaturze współczesnej. Wątkiem podskórnym jest rosyjsko-żydowski fenomen kulturowy, ale metaforyka kręci się wokół refleksji nad egzystencją oraz nad poszukiwaniem własnego miejsca w rzeczywistości.

W Polsce wydano ostatnio, w krótkich odstępach, trzy jej powieści. Ciekawe i lekturowo znakomite, ale przy takim spiętrzeniu widać, że Rubina powtarza się tu i ówdzie. Powieść **NA GÓRNEJ MASŁOWCE** jest od pozostałych odmienna i chyba najlepsza. Oto w malarsko-rzeźbiarskim zakątku Moskwy toczy się życie całkowicie inne aniżeli poza nim, dookoła – przebiega według własnego rytmu oraz w myśl szczególnych wartości. To jest rzeczywistość alternatywna: inny wymiar egzystencji. Ludzie są tu sobie wzajemnie potrzebni, razem napędzają codzienność, jakkolwiek w sposób specjalny, kochając się i nienawidząc równocześnie – raz pełni wzajemnego szacunku, ale innym razem zaplątani w karczemne kłótnie.

Nawiązanie do świata sztuki ma swoje konsekwencje. Otóż każda forma sztuki wymaga, żeby byli mistrzowie i czeladnicy, a kiedy mistrzów zabraknie, kończy się ten świat. Metaforycznie: cały świat.

W powieści blisko stuletnia rzeźbiarka skupia wokół siebie grono nieudaczników, z młodym opiekunem włącznie: wszyscy są we wzajemnych opiniach szczerzy do bólu, na pograniczu sadyzmu. Wygląda to wszystko na piekło, co jednak nikogo nie zraża – mało kto ucieka, a jeżeli nawet, to w końcu wraca. Ale kiedy rzeźbiarka umiera, cała ta szczególna rzeczywistość traci sens i znika.

Pełno tu niespełnionych talentów, ludzi zdziwaczych lub wykiwanych przez życie i przez własne nieudacznictwo. Dla nich sens codzienności generuje się z egzystencji wspólnej, niezależnie od pomyłek, błędów, porażek i wrednych okoliczności. Jeśli zatem obok nikogo nie ma, następuje koniec – tak jak na scenie, kiedy gaśnie światło.

Nieco groteskowy fresk powieściowy **OTO IDZIE MESJASZ!** ma wiele przekładów na różne języki. Ta świetnie skonstruowana powieść – mimo że pozornie lekko rozchwiana, z mnóstwem postaci – sygnalizuje brak życiowej stabilizacji, tymczasowość egzystencji. Kanwę określa rosyjsko-izraelska diaspora, rezydująca w niejasnych warunkach, w kraju w istocie frontowym, daremnie licząca na stabilizację, która nie nadchodzi, ponieważ nie może. Odwrotnie: otoczenie ze wszystkich stron to arabskie osiedla, co nie wróży niczego dobrego.

Tym oczekiwaniom Rubina, ze smętną ironią, dopisuje znamiona biblijne – tak bowiem oczekuje się na dzień, w którym nadejdzie Mesjasz. Ale nie nadejdzie. Zamiast niego pojawia się niezgułowata Arabka z nożem w ręku, do której strzela niezgułowaty żołnierz, lecz trafia nie w napastniczkę, ale w pechową ofiarę. Te nonsensowne choć dramatyczne okoliczności niczego, rzecz jasna, nie mogą zmienić.

Ludzie zatem będą nadal trwali w zagubieniu czekając na coś, czego nie ma i nie będzie, zawieszeni między piętnem dawnej ojczyzny, do której nie wrócą, a półrealnością nowej, której też nie potrafią zaakceptować do końca. Są więc niby w domu, ale jednocześnie daleko od domu, którego być może w ogóle nie ma.

Z kolei objętościowo największa z powieści, **SYNDYKAT**, przypomina trochę literacką układankę, centon, z przemieszanyimi wątkami fabularnymi oraz



zmiennym miejscem akcji – już to w Moskwie i gdzieś indziej w Rosji, już to w Jerozolimie i gdzieś indziej w Izraelu – obficie przy tym nafaszerowana prześmiewkami i mnóstwem dowcipów. Ów tytułowy syndykat to funkcjonująca w Moskwie patologicznie zbiurokratyzowana instytucja izraelska, powołana niby to do wspierania Żydów (wyjazdy, powroty, zakładanie firm), ale cele i priorytety zmieniają się nieustannie. Żadne zresztą nigdy nie zostaną osiągnięte, wszystko jest bowiem skazane niszczącym piętnem polityki. Jedyne efekty może być taki, że ten i ów zrobi dzięki syndykatomu prywatny, osobisty interes.

Rubina nie zostawiła suchej nitki na politykach, administratorach, ideologach oraz na rabinach – co zresztą zostało oprotestowane. W jej mniemaniu wszyscy oni żyją obok rzeczywistości, którą wprawdzie manipulują, ale tak naprawdę to nie potrafią jej regulować ani zmieniać.

A tymczasem życie prawdziwe staje się piekłem. Tylko w Izraelu? Wystawione na pastwę terroryzmu, generuje nieskończone pasmo nieszczęść: śmierć i zniszczenia następują każdego dnia. Kiedy zaś już o tym mowa, Rubina odtrąca na bok ironię oraz dowcipy. Jest bowiem absolutnie przekonana, że tego nie zmieni nic.

Taki los – powiedziałby ewentualnie **Gajto** (właśc. Georgij) **GAZDANOW** (1903-1971), emigrant z okresu wojny domowej, szeroko znany i wysoko ceniony w całej Europie Zachodniej, ale dla Rosji „odkrywany” ledwie od niedawna, pracował bowiem przez wiele lat w monachijskiej redakcji Radia *Swoboda*, co dla wielu Rosjan długo stanowiło odium. Z pochodzenia Osetyjczyk – bardzo szanowany przez osetyjską diasporę we Francji, chociaż pisał tylko po rosyjsku – jako nastolatek walczył w armii Wrangla, potem przedostał się do Turcji, a w końcu do Francji, gdzie studiował ekonomię i literaturoznawstwo, pracując w zakładach Renault, a później (długo) jako taksówkarz. Wśród licznych powieści, jest kilka detektywistycznych, ale jest to proza najwyższej klasy: misterna, delikatna, stylistycznie mistrzowska.

Obok sentymentu dla bezpowrotnie utraconej Rosji – ta dawna przestała wszak istnieć – oraz zaśmucenia beznadziejną egzystencją emigracyjną (stały symbol tymczasowości: pomieszkiwanie w hotelu), wspólna klamrę całej jego twórczości stanowi refleksja, że wszystkim rządzi fatum, los. Człowiek jest narzędziem przeznaczenia, które tworzy układankę zdarzeń, ale jest w tym też zaleta: wszystko ma swoje wyznaczone miejsce i nic nie wydarza się przedwcześnie.

W wydanym u nas tomie znalazły się dwie mikropowieści: **WIECZÓR U CLAIRE** (debiutancka, z 1929 r.) oraz **WIDMO ALEKSANDRA WOLFA** (z 1948 r.) – obie znakomite. W pierwszej Gazdanow styka ze sobą w Paryżu parę rosyjskich emigrantów po przejściach, kiedyś prawie sobie bliskich, ale burza zdarzeń poniosła ich w różne strony. Teraz akcydentalne spotkanie łączy ich znowu i reaktywuje uczucia: razem łatwiej żyć.

Opowieść druga, wpisana w schemat sensacyjnej noweli, „relacjonuje” poszukiwanie po latach ciężko ranionego kiedyś w walce przeciwnika. Z pozytywnym skutkiem i następnie dokonuje się – jak w śledztwie – drobiazgowe odtworzenie rzeczywistych zdarzeń ówczesnych oraz późniejszych.

W obu tych historiach los jest reżyserem: wyznacza rolę, określa pokrętny przebieg akcji i narzuca ograni-

czenia, których przełamać nie można. Z tym, że po latach wiadomo i to, że przełamywać nie warto: było, co musiało być. Takie odkrycie bywa okrutne, ale również usprawiedliwiające. Trzeba w życiu zrobić wszystko co można, jednak nic ponad to, na co akurat pozwoli los.

Z najnowszego pokolenia emigracyjnego wywodzi się anglista i germanista **Michaił SZYSZKIN** (ur. 1961). Podczas studiów ożenił się ze Szwajcarką i od 1995 roku mieszka w Zurychu, gdzie m.in. uczy rosyjskiego. Związków z Rosją nie zerwał, natomiast wyraźnie unika relacji z rosyjską diasporą.

Uprawia prozę postmodernistyczną, trudną w odbiorze, wzorowaną na nowej (kiedyś) powieści francuskiej, z pomieszаныmi planami wydarzeń i poszatwowaną akcją, mimo to czytelną dzięki wyjątkowo sprawnej, klarownej narracji. Lektura wymaga jednak spowolnienia tempa czytania oraz zintensyfikowanej refleksji, ale to nie przeszkadza w popularności w kraju oraz za granicą, a oceny tu i tam są wysokie. W Rosji jego powieści wydaje się nawet w 50.000 egzemplarzy: jak na obecne praktyki, to są nakłady ogromne.

**WŁOS WENERY** to najgłośniejsza powieść Szyszкина, rzeczywiście doskonała, ale obciążona zarzutem plagiatu. Wytknięto autorowi, że bezceremonialnie przejął część pamiętnika znanej niegdyś pisarki, Wiery Panowej, oraz fragmenty *Anabazy Ksenofonta*. Szyszkin odpowiedział bezczelnie, że w ten sposób nadał oryginalnym tekstom lepszy wymiar oraz nowe życie. Prowokacyjne oświadczenie miało charakter marketingowy, rzeczywiście efektywny, ale z etyką kłóciło się w sposób oczywisty.

Powieść jest impresyjną mozaiką rozmaitych pomysłów, spostrzeżeń, refleksji oraz sugestii. Zmienia się styl narracji, czasem relacyjny, niekiedy naśladowujący strumień świadomości, a i narrator wciela się na przemian w różne postaci. Czasami jest tam konwencja baśni, a bywa i poetyka snu. No i pomieszano się kilka wątków, tu i ówdzie rozbudowanych jeszcze szkatułkowo – w formie opowieści o opowieści.

Oto kilka fabuł. Rosyjski tłumacz pracuje w szwajcarskim biurze imigracyjnym, przepytując swoich rodaków, nielegalnie tu przebywających i wtedy pojawiają się drastyczne relacje z wydarzeń, urywki wspomnień, retrospektywne koszmary. Na to nakładają się: fikcyjny dziennik śpiewaczki oraz fragmenty powieści o pisaniu powieści, a są jeszcze listy pisane do nierozszyfrowanego Nabuchodonozora. Cała ta różnorodna mozaika pulsuje zaś nerwowym, nieprzyjaznym rytmem współczesności. Czemu Szyszkin przeciwstawia niezwykłą urodę włoskiej architektury i sztuki – jako intrygujący kontrast wartości.

\* \* \*

Jak zatem widać, nawet w okienku polskich przekładów współczesna proza rosyjska ma się lepiej niż dobrze i jest w świecie postrzegana z zainteresowaniem. Ten dobrostan dotyczy jednak tylko kreacji. Odbiór, poza głównymi miastami, redukuje się natomiast wyraźnie, między innymi za sprawą kiepskiego stanu tamtejszego księgarstwa i bibliotekarstwa. Ale to problem osobny.

#### JACEK WOJCIECHOWSKI

[Część pierwszą tego przeglądu opublikowaliśmy w poprzednim „Zdaniu” (nr 1-2/2011. Red.)

# ANDRZEJ URBAŃCZYK

## MARZYCIEL, REFORMATOR, DZIAŁACZ LEWICY

„Jesteśmy dziećmi dwóch największych epok: oświecenia i romantyzmu. Marks miał rację powtarzając za Goethem: drzewo życia jest bardziej zielone, niż jakakolwiek teoria”.

*Klub im. Ossowskich, 29, lutego, 1996*

Czasem musi się wypowiedzieć banal: jak ten czas nieubłaganie upływa. Trudno uwierzyć, 7 sierpnia upłynęło 10 lat od tragicznej śmierci Andrzeja Urbańczyka. Wtedy, w sierpniu 2001 roku, prezydent RP Aleksander Kwaśniewski powiedział nad jego trumną: „Żegnamy dzisiaj wspaniałego człowieka. Prawego, dobrego, otwartego dla ludzi; dla przyjaciół, ale także dla tych, którzy różnili się z nim opinią i zdaniem. Żegnamy Andrzeja Urbańczyka, którego za szybko i jakże niesprawiedliwie zabrały wody greckiego morza. Żegnamy wielkiego człowieka kultury, wspaniałego dziennikarza, publicystę, wybitnego parlamentarzystę, który pokazywał swoje ogromne możliwości, klasę, talent i odpowiedzialność nie tylko w polskim Sejmie, ale także jako przedstawiciel polskiego parlamentu do Zgromadzenia Parlamentarnej Rady Europy”.

Czas, także czas internetowy, bieży tak szybko... Opinia publiczna, a zwłaszcza sympatycy SLD są świadkami klęski wyborczej Sojuszu. Dziwią się, że ich przywódcy nie dostrzegli ruchu klubów krytyki politycznej w całym kraju, pogłębionych analiz społecznych Zygmunta Barmana, nie potrafili docenić tęczącej mozaiki organizacji społecznych i kobiecych bliskich lewicy społecznej. Zapomnieli, że działają w ruchu o blisko 150-letniej tradycji, w kraju, gdzie dla wielu dobrze wykształconych młodych ludzi pozostał tylko anglosaski zmywak?

Gdyby chociaż zajrzeli do książki *To, co moje* – o charyzmatycznym reformatorze lewicy Andrzeju Urbańczyku, opracowanej i zredagowanej przez jego przyjaciela Zbigniewa Bauera, nie staliby dziś tak bezradni wobec klęski wyborczej Sojuszu. Na nic zdały się pyszałkowate zaklęcia o pewnej dwucyfrowej pozycji „w naszych sondażach”. Upadek jest bolesny, choć wybrali się w podróż „do klasy robotniczej Śląska”, na tle wystawnego cateringu, ku przegranej. Wybrali wojnę na dwa fronty, prześcigając się w aroganckich epitetach ze stronnictwami dysponującymi bogatą paletą mediów, środków materialnych, a przede wszystkim trwałym poparciem społecznym, strategią i taktyką, której przeciwstawić umieli jedynie amatorszczyznę Facebooka. Zamiast poszerzać szeregi zwolenników, zrazali i pozbywali się ludzi, których arbitralnie uznali za niewygodnych. Roztrwonili kredyt społecznej ufności. Złowieszczo zabrzmiały słowa Aleksandra Kwaśniewskiego, że „to mogą być już ostatnie wybory SLD”.

„Człowiek może być użyteczny dla swojego kraju tylko wtedy, gdy jasno widzi” – mówi Piotr Czadajew. *Myszę, że minęły czasy ślepych miłości. Przyszliśmy po innych, by nie wpadać w ich błędy, w ich omyłki i zabobony*”. (W debacie panelowej PAN – styczeń 1994)

*Ludzie mają dobrą pamięć. Dobrze pamiętają swoje własne życie w sumie na nic zda się wstawianie im, że żyli w innym kraju niż ten, który jest i był ich Ojczyzną. Nie wróżę powodzenia próbom wtłoczenia pokoleniom, które odgruzowały kraj po prawdziwej tragedii przeświadczenia, że to, co zostawili po sobie, to zgliszczca*. (Na konwencji SdRP, 1994)

*To nie jest spór o wartości (chrześcijańskie- JG), lecz o kształt prawa (...) Państwo prawne – moim zdaniem – powinno respektować w całej rozciągłości, bez wyjątków, zasadę, która powiada, że normy moralne jednej grupy światopoglądowej nie mogą stać wyżej niż normy moralne innej grupy, a tym bardziej posiadać sankcji prawnej*. (Z wywiadu dla „Trybuny”, 1996)

*Napaść na uczestnika uroczystości z okazji święta 3 Maja dokonana w 1997 roku, po ponad dwóch latach jest przedmiotem oskarżenia i rozprawy sądowej. Oskarżeni nie negują swego udziału w słownych i czynnych atakach, nie przyznają się jednak do winy. Uważają, że mają prawo do samosądu, który ubierają w mit honorowego rozliczenia ze zdemonizowanym politykiem*. (Oświadczenie złożone w związku z wyrokiem przeciwko działaczom Ligi Republikańskiej, 1999)

*„Żyjemy w demokracji, wszyscy mają równe prawa, ale niektórym wolno o wiele mniej. Taki jest sens publikacji Ewy Milewicz w „Tygodniku Powszechnym” (...) Ci, którym wolno mniej, mają imiona i nazwiska, albo są anonimami zrzeszonymi w Sojuszu Lewicy Demokratycznej. (...) Środowiska, które lansują tezę o ograniczonych prawach niektórych obywateli, powinniśmy sobie zadać pytanie, – o co walczyły jako dawna opozycja? Czy o demokrację, czy o jej szczególną formę, gdzie można bez sądowych orzeczeń odmawiać komuś bycia sobą we własnym państwie? (...) Państwo nie jest salonem, w którym można przyjmować tego, kogo się zaprosi. Jest trudną przestrzenią współżycia bardzo różnorodnych ludzi o odmiennych poglądach*”. („Trybuna”, 16 lutego 2000)

*„Polskie państwo ma niewiarygodne, skompromitowane służby specjalne. Spalona na panewce prowokacja wymierzona w prezydenta RP [Aleksandra Kwaśniewskiego – JG] pokazała całą nędzę inkwizytorskiej mentalności środowisk przyklaskujących każdej najbrudniejszej inicjatywie. Tu jest potrzebny nie tylko lekarz. Także prokurator*. („Trybuna”, 11 sierpnia 2000)

Palimpsest zdarzeń codziennie nanosi i zaciera wiele zapisów. Działa też – o czym nie wolno zapomnieć – „polityka historyczna”, świadomie eliminująca wszelkie ślady o ludziach proveniencji lewicowej i ich czynach. Gdyby chciano pamiętać odważną myśl Andrzeja Urbańczyka, terror fizyczny wobec niego, idące w setki artykuły i polemiki, wystąpienia sejmowe, może sytuacja byłaby inna. Zwycięża niestety często postawa „oto jesteśmy my, początek prawdziwej lewicy, a po nas choćby potop”. Dlatego trzeba przypomnieć, choćby tylko hasłowo, garść przemysłów Urbańczyka–reformatora.

W ciągu 10 lat dorosło całe pokolenie rodaków, którzy nie mieli styczności Andrzejem Urbańczykiem, tym uroczym człowiekiem, pełnym humoru i mądrości, Kochającym życie, ludzi, posługującym się wykwinną polszczyzną w słowie i piśmie. Nie tylko dorosło pokolenie, które nie mogło go poznać, ale nie będzie wielką przesadą twierdzenie, że nawet o nim nie słyszeli, a przecież był to człowiek uosabiający to, co w życiu i człowieku najpiękniejsze: mądrość, życzliwość, szacunek dla drugiego człowieka bez przymilania się i kokieterii. Tak pamiętają Go wszyscy – także ci, z którymi toczył spory i polemiki. W dobie masowej rozrywki, popkultury, pogoni za pieniądzem, nieustannym poszukiwaniu „lepszego pracy” najszybciej umykają rzeczy istotne.

Kiedy syn Ziemi Śląskiej (Andrzej Urbańczyk pochodził z rodziny Ślązaków, urodził się w Lublińcu, a rodzina mieszka w Tarnowskich Górach; dziadek ze strony ojca pracował w kopalni w Knurowie jako cieśla, ojciec Andrzeja przez wiele lat był dyrektorem Oddziału ZUS w Tarnowskich Górach) stanął w progach Uniwersytetu Jagiellońskiego, żeby studiować filologię polską, jego losy trwale związały się z Domem Akademickim Żaczek i ze Zrzeszeniem Studentów Polskich.

Liczne grono polskiej inteligencji pamięta jeszcze czasopismo społeczno-kulturalne „Student” wydawane w Krakowie w latach 1967-1990 jako miesięcznik, później dwutygodnik. Skupiło ono w swoim najlepszym okresie młodych pisarzy tworzących tzw. Nową Falę poezji (m.in. Stanisław Barańczak, Ryszard Krynicki, Adam Zagajewski, Julian Kornhauser, Stanisław Stabro, Leszek Szaruga, Marianna Bocian). W piśmie tym można było czytać młodego Leszka Balcerowicza, Janusza Korwin-Mikke, Edwarda Chudzińskiego, Tadeusza Nyczka, Macieja Szumowskiego i wielu innych znanych dzisiaj publicystów i krytyków. Na łamach „Studenta” Andrzej Urbańczyk pisał sporo, w redakcji zawarł przyjaźnie „na całe życie” z Adamem Komorowskim, Janem Pieszczechowiczem, Włodzimierzem Rydzewskim, jego mentorem od filozofii, zwłaszcza rosyjskiej, Maciejem Szumowskim i Edwardem Chudzińskim.

Dla „Studenta” rysowali wtedy Jerzy Duda-Graczyk, Andrzej Czeczot, Andrzej Mleczo, Edward Lutczyn, Jan Sawka oraz Wojciech Wołyński (od 1983 w USA, profesor katedry ilustracji Massachusetts College of Art w Bostonie). Na łamach „Studenta” domagano się demokratycznych zmian, popierano nowoczesność w technice, gospodarce i przemyśle. Prezentowano życie studenckie, jego własną twórczość kulturalną i artystyczną. W „Studencie” Urbańczyk był w latach 1968-1972 kierownikiem działu krajowego. W drugiej połowie lat 70. część współpracowników „Studenta” podjęła działalność opozycyjną. Dla Andrzeja nadal pozostali dobrymi kolegami. Redaktorami naczelnymi pisma byli m.in. S.

*„Demokracja jest koncepcją ustrojową dla wszystkich i musi akceptować różnorodność postaw i poglądów. Jakikolwiek rozwiązywanie problemów i sprzeczności naturalnych w każdych wspólnotach, musi opierać się na poszanowaniu tej zasady; (...) w społeczeństwie głębokich podziałów, w państwie mało sprawnym i ograniczającym swoją rolę obywatel zadaje sobie pytanie: czy naprawdę jestem coś tutaj wart, czy ktoś mnie widzi z całą gamą moich lęków i nadziei? Gdy słyszy, (...) że za wszystko wystarczają partyjne parytety stanowisk dla swoich (...) – odwraca się, od demokracji”. („Trybuna”, 5 czerwca 2000)*

*„Zadaję sobie pytanie, co pozostaje człowiekowi, gdy wszystko, co ważne, decyduje się w nieuchwytnym kręgu zglobalizowanych interesów najsilniejszych grup i tak naprawdę daleko od niego? (...) Gdyby tak miało się dziać, to fundamentalizmy (religijne, etniczne i inne) ze swej natury agresywne i nieprzejednane, mogą postawić nas w stan zbliżony do tego, który znamy z kilku dziesiątków lat obecnego stulecia”. (Z wystąpienia w Kuźnicy 16 listopada 2000; za: „Res Humana”, nr 12/2000)*

*„W Polsce toczy się walka nie tylko polityczna, ale także walka intelektualna o wartości i z pozycji wartości. (...) Kultura nie jest wyłączona ze świata walki”. (Podczas seminarium „Kultura i przyszłość”, Warszawa, 23 kwietnia 1999)*

*„Tym co się najbardziej rzuca w oczy, jest dramatyczny spadek uczestnictwa w życiu kulturalnym. Można więc mówić o zanikaniu ludzkich potrzeb w tej dziedzinie. Przyczyną jest oczywiście bardzo zła sytuacja ekonomiczna. (...) Za ekonomią postępuje degradacja w świecie wartości. Ideologia wycisgu szczurów, rozpychania się lokciami i ciągłej walki o przetrwanie na rynku pracy znajduje się na antypodach etosu piękna, twórczości. Otwartości na świat, nonkonformizmu, który jest przecież podstawą życia kulturalnego”. (Z wywiadu dla „Nowego Tygodnika Kulturalnego”, 8-15 kwietnia 2001)*

*„Rzeczą prasy jest informować, nie zaś być stroną w grze o władzę”. (Na seminarium lewicy w Kielcach, maj 1996)*

*„Telewizja opłacana przez wszystkich obywateli nie może być ani telewizją politycznej walki, ani misjonarskich zapędów, a tym bardziej nie może być szpitalem leczącym kompleksy przegranych politycznie ugrupowań i opcji, oazą frustracji i agresji, żalu za nieistniejącą Arkadię. (...) Musi być wzorem demokratycznych zachowań. (...) To jest naprawdę sztuka, dostrzec polską rzeczywistość w całej złożoności, a nie według manichejskich schematów lub grupowych czy pokoleniowych mitów. (Z wystąpienia na plenarnym posiedzeniu Sejmu, 12 maja 1995)*

*„...widzę telewizję publiczną i telewizję w ogóle, ale publiczną szczególnie, w porządku kultury i twórczości, nawet bardziej niż polityki”. (Z wystąpienia w Sejmie, 19 czerwca 1997)*

*„Nie ma siły, która zatrzyma rozwój mediów elektronicznych. Nie ma szans, abyśmy mogli zahamować różnorodność mediów; (...) będą kierowane do różnych środowisk i będzie ich co raz więcej. (...) Nie ma na to żadnej metody. Także w dobie internetu. (Na posiedzeniu Sejmu, 29 czerwca 2000)*

*„...stanąć przy słabszych, zrobić wszystko tak, by jak najmniej było w ludziach lęku. Tego najgorszego: o dach,*



Maciejewski, J. Pieszczachowicz, W. Żurek, W. Janda, M. Siwiec i T. Skoczek. Przypomnienie tych kilku nazwisk nie wyczerpuje barwnej mozaiki ówczesnego środowiska studenckiego. Jeszcze przed ukończeniem studiów, w 1966 roku podjął dziennikarską współpracę z Polskim Radiem. Ukończył studia w 1970 roku na filologii polskiej. Rozpoczął pracę w „Echu Krakowa”, gdzie poznał swoją przyszłą żonę, Elżbietę Grzegorzczak; w młodym wieku ciężko zachorowała na chorobę nowotworową. Wspólnie walczyli z tym, co okazało się nieuchronne. Razem obchodzili jeszcze 25-lecie małżeństwa. Elżbieta zmarła kilka lat przed swym mężem.

Kontynuował studia poddyplomowe na ówczesnej Akademii Ekonomicznej w Krakowie w zakresie organizacji i zarządzania. Kierował studenckim klubem Nowy Zaczek, działał w Radzie Uczelnianej Zrzeszenia Studentów Polskich UJ.

W 1980 roku został redaktorem naczelnym Ośrodka Telewizji Polskiej w Krakowie; odwołano go z tej funkcji w stanie wojennym, w 1983 r. Podjął działalność w miesięczniku „Zdanie” najpierw jako zastępca redaktora naczelnego, a w latach 1989-1990 jako redaktor naczelnego. W 1990 przez kilka miesięcy pełnił funkcję redaktora naczelnego „Gazety Krakowskiej”. Na początku lat 90 znalazł się na bruku, pozbawiony pracy jako dziennikarz, założył firmę wydawniczą BUS s.c.

Od 1972 r. do rozwiązania był członkiem PZPR. Brał udział w organizacji Ruchu 8 Lipca. Był delegatem na IX i XI (ostatni) zjazd PZPR. W 1990 roku znalazł się wśród założycieli SdRP i Sojuszu Lewicy Demokratycznej, zasiadał we władzach krajowych obu tych partii. W lutym 2000 został redaktorem naczelnym „Trybuna”. Prowadził również zajęcia dydaktyczne ze studentami dziennikarstwa i filmoznawstwa na Uniwersytecie Jagiellońskim i w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie.

W latach 1993-2001 sprawując mandat poselski z listy SLD pracował w sejmowych komisjach Spraw Zagranicznych oraz Kultury i Środków Przekazu (Sejm II i III kadencji). Od 1996 pełnił funkcję rzecznika prasowego Klubu Parlamentarnego SLD. Był członkiem delegacji polskiej do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Był pomysłodawcą Krakowskiej Nocy Poetów w 1972. Współtworzył grupę inicjatorów odbudowy pomnika Grunwaldzkiego. Należał do Klubu Twórców i Działaczy Kultury Kuźnica, a po jego przekształceniu się w 1989 roku w Stowarzyszenie Kuźnica został jego wiceprzewodniczącym, a od 1993 r. prezesem. W tym samym roku wszedł w skład Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa.

Publikował także m.in. w „Życiu Literackim”, „Przekroju”, „Zeszytach Prasoznawczych”; był też twórcą filmów dokumentalnych *Powrót króla* (1976), *Kuchnia godziny dwunastej* (1977), *Niedaleko od ziemi* (1977). Twórca reportaży i audycji publicystycznych w Telewizji Polskiej, w latach 1984-1988 współautor cykli *Było, nie minęło* oraz *Myślenie ma kolosalną przyszłość*. Autor i współautor książek *Pomnik Grunwaldzki w Krakowie*, *Trzech na jednego*, *Cyrk Edison*, *Wyspiański w krainie filmu*.

Zginął tragicznie 7 sierpnia 2001 w trakcie urlopu Grecji, w wodach Morza Jońskiego, w pobliżu wyspy Korfu. Pochowany został w Krakowie.

10 sierpnia 2001 został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

**JAN GÜNTNER**

*leki i szanse dla dzieci. I do tego o własną godność i wolność”.* („Trybuna”, 2000)

*„Tak się w Polsce stało, że słowo „polityka”, ku radości samych polityków jest dziś synonimem czegoś brudnego, złego z samej natury. (...) Kto chce, niech się cieszy, ale potem niech się nie dziwi, że wielu zobaczy w nim blazna”.* (Podczas obrad plenarnych Sejmu, 23 lipca 1998)

*„...chcemy państwa sprawnego, demokratycznego i samorządnego, takiego państwa, w którym społeczeństwo ma prawo do wykształcenia, pracy, bezpieczeństwa i godności, państwa wolnego od światopoglądowych przymusów. (...) Niezbędna jest gotowość do szukania sojuszników i znajdowania mądrych kompromisów, na których może wygrać Polska, a wraz z nią jej obywatele”.* (Na przedwyborczej konwencji SdRP, 1997)

*„...obowiązkiem lewicy, poza rozpraszaniem lęków ludzkich, jest tworzenie takich struktur życia społecznego, gospodarczego, by przeciwdziałać jakiegokolwiek marginalizacji kulturalnej.* (Na seminarium „Kultura i przyszłość”, Warszawa, 23 kwietnia 1999)

*„...niebezpieczny jest mit polityki jako walki na śmierć i życie. Przeciwnika traktuje się jak wroga odmawiając mu etyki, moralności. (...) Nie mogę się zgodzić z poglądem, że legitymacja partyjna odbiera rozum. (...) Większość ludzi w Polsce wie, że wejście w gospodarkę rynkową jest nieuniknione. Ale ludzie mają tylko jedno życie i nie wszyscy będą beneficjentami tego procesu. (...) Chcemy państwa, które da człowiekowi szansę istnienia nie tylko politycznego, ponieważ może głosować, ale da słabym szansę kształcenia się, przyzwoitej opieki na starość.* (Z wywiadu, kwiecień 1996)

*„Gdybyśmy chcieli zawrócić rzekę przemian, nie byliśmy socjaldemokratami. Nie będziemy nimi również, jeśli poddamy się biegowi wydarzeń i nie będziemy reagować na wszystko co urąga sprawiedliwości społecznej i prawu”.* (Z wystąpienia na konferencję wojewódzką SdRP w Krakowie, 25 kwietnia, 1994)

*„Jest w nas wielka ogólnoludzka nadzieja, że w polskim państwie można żyć godnie, spokojnie, z podniesioną głową i nie być prze nikogo zdominowanym – ani ideologicznie, ani moralnie, ani pozycją finansową. Że w świecie nierówności będzie miejsce i dla tych, którzy nie dziedziczą, którzy nie grają na giełdzie, nie mają spadków, domów i fortun; że będzie nauka dla wszystkich bezpłatna, że będzie godziwa starość. (...) I nie ma w Polsce miejsca dla pytania: po co Polsce lewica? To tak jakby pytać, po co Polsce jest Polak. (...) Marzy mi się Polska, w której nie będzie epitetów, nie będzie wyzwisk, nie będzie bezrozumnych wrzasków. (...) Musimy sprostać ogromnym wyzwaniom modernizacji kraju, zasypania luki cywilizacyjnej To jest wielka praca. To nie krzykami dojdzie się do standardów europejskich. Nie wrzaskiem, nie odmawianiem prawa głosu innym.* (Z wystąpienia w trakcie manifestacji pierwszomajowej w Krakowie, 1966 r., na którym bojówka Ligi Republikańskiej pobiła do nieprzytomności Romanę Pawlikowską, nauczycielkę, matkę samotnie wychowującą dwoje dzieci).

**ANDRZEJ URBAŃCZYK**

Jeżeli nie zaznaczono inaczej, wypowiedzi Andrzeja Urbańczyka cytowane są za książką *To, co moje*, wybór tekstów i oprac. Zbigniew Bauer, Warszawa 2001.

RAFAŁ SKĄPSKI

# NA MARGINESIE RAPORTU PROJEKT DLA POLSKI – PERSPEKTYWA LEWICOWA

Kultura w raporcie *Projekt dla Polski*<sup>1</sup> zajmuje zaledwie niecałą stronę. Pocięszam się, że dlatego, iż sytuacja i problemy polskiej kultury to dla lewicy sprawa oczywista i bezdyskusyjna. Ale życie uczy, że najłatwiej, najprościej zapominamy o problemach oczywistych. Przekonuje o tym dokonana przeze mnie nie tak dawno analiza programów wyborczych lewicy z ostatnich 20 lat. Kultura zajmowała w nich zawsze miejsce ważne i nie były to sformułowania zdawkowe. Mam nadzieję, że działo się tak nie tylko dlatego, iż bywałem do opisania tych spraw zapraszany. W zasadzie wszystko co w tych programach umieszczono, jest nadal aktualne, w każdym programie diagnozowane są zagrożenia i wskazywane najbardziej palące zagadnienia. Tymi najczęściej powtarzającymi się, najmocniej akcentowanymi sprawami są:

– wykluczenia kulturowe zarówno grup społecznych ale i obszarów kraju, a więc kwestia dostępności do kultury, a zatem barier finansowych, komunikacyjnych i informacyjnych,

– edukacja kulturalna, wpajanie wiedzy o kulturze oraz wyzwalanie potrzeb uczestniczenia w kulturze, kształcenie zachowań i stylu życia, dokonywania wyborów w czasie wolnym. A więc edukacja całego społeczeństwa w systemie powszechnym, pozostawiając edukację artystyczną uzdolnionej młodzieży z boku, gdyż w tym obszarze stosunkowo dobrze jest od lat, niczego nie popsuto.

Na marginesie odnotować pragnę, iż najnowsze badania poziomu czytelnictwa w Polsce poza zatrważającym przekazem, iż zaledwie 44 procent Polaków deklaruje jeden w roku kontakt z jakąkolwiek książką, mają i przekaz drugi, równie przykry: przekroczona została oto bariera wstydu przyznania się do nieczytania, do braku potrzeb kulturalnych.

Wracając do analizy programów wyborczych, we wszystkich pojawia się właśnie sprawa książki, poziomu czytelnictwa, kondycji bibliotek, a także zawarte są deklaracje wspierania społecznego ruchu artystyczne-

go i działań regionalnych. Można więc śmiało powiedzieć, że lewica zawsze trafnie i właściwie diagnozowała aktualną sytuację kultury narodowej, wskazywała zagrożenia, określała najważniejsze problemy. Ale skoro kolejne programy się w tym względzie nie zmieniały, skoro powtarzane były i są nadal podobne cele, oznacza to, że mimo trafnych diagnoz, mimo dwukrotnego sukcesu wyborczego znacznie gorzej było z realizacją tych wydawałoby się coraz bardziej oczywistych celów. Bo zrealizowane, nie wchodziłyby przecież ponownie do kolejnych programów – to oczywiste.

Analizując exposé wygłaszane przez premierów w ostatnich 20 latach, a więc mowy, które winny być kontynuacją i rozwinięciem wyborczego programu – zauważyłem<sup>2</sup>, że najmniej o kulturze mówili premierzy lewicowi. Od całkowitego pominięcia tych zagadnień do trzech zdań maksymalnie. Dodam w tym miejscu, że programowy manifest premiera Tuska opublikowany w sobotnio-niedzielnej „Gazecie Wyborczej” (19-20 03 2011) nie zawiera słowa „kultura”. Notabene, spraw kultury również nie poruszali w swych exposé premierzy II Rzeczypospolitej.

Sprawy kultury pojawiają się jako wyraźne zadania w drugiej części publikacji – w komentarzach. Piszą na ten temat profesorowie Andrzej Mencwel, Andrzej Walicki, wspomina także o tym Andrzej Kurz.

Pojawia się w komentarzach również sprawa mediów. Z jednej strony jako możliwość upowszechniania kultury, pokonywania przeszkód w dostępie do niej, a z drugiej strony, chyba nawet wyraźniej, jako szansa na popularyzowanie i przekonywanie do lewicowej myśli, do lewicowych programów. Nie jestem odosobniony w głoszeniu wraz z pewną grupą osób zbliżonych też i projektów zmian w mediach publicznych. Twierdzą od ponad dziesięciu lat, że zanim politycy po raz kolejny podzielą strefy wpływów, zanim wesprą kandydatów do ciał zarządczych, powinni zagwarantować stałe, stabilne i jednoznacznie zaadresowane źródło finansowania

<sup>1</sup> *Projekt dla Polski – perspektywa lewicowa*, pod red. Janusza Reykowskiego, współpr. Krzysztof Janik i Lech Nikolski, Warszawa 2011.

<sup>2</sup> Pomocą w analizie było ciekawe opracowanie Adama Kruczkowskiego przygotowane na użytek uczestników Kongresu Twórców Kultury Polskiej zorganizowanego w 2009 roku w Toruniu jako swoista alternatywa wobec ministerialnego Kongresu krakowskiego.

tych mediów, źródło, z którego tylko one czerpać mogą fundusze. Jestem przeciwnikiem jednego funduszu nie tylko dla mediów ale i dla wszelkich innych instytucji publicznych, narodowych, samorządowych, a jednocześnie dla prywatnych czy społecznych. Powinny to być dwa oddzielone od siebie źródła i zasady finansowania.

Druga sprawa to status prawny mediów publicznych, którym zdjąć należy najszybciej jak to możliwe gorset ustawy *Kodeks spółek handlowych*. Realizacja tego pozwoliłaby na rezygnację, jeśli nie całkowitą, to bardzo znaczącą z emitowania reklam w mediach publicznych. Dopiero po zagwarantowaniu przewidywalnego poziomu finansowania i innej podstawy prawnej funkcjonowania można od kierownictw tych mediów oczekiwać, żądać i wymagać wypełniania misji kulturowych, edukacyjnych i informacyjnych.

Jeszcze jeden wniosek płynie z analizy tych niemal niezmiennych się programów wyborczych. To wniosek, iż brak jest jednoznacznej, konsekwentnej polityki kulturalnej państwa. Przy czym wyraźny akcent kładę na słowo „państwa”.

Są bowiem, o czym mówiłem, cząstkowe programy poszczególnych partii, nie tylko lewicowej, programy kolejnych rządów, a kolejni ministrowie kultury przeznaczają spore sumy na opracowywanie wieloletnich programów dalece wykraczających poza czas ich urzędowania, czas kadencji rządu, w którym zasiadają. Następuje zmiana ekipy, przychodzi nowy minister, który nie zajmując się w merytoryczną oceną pracy poprzednika kosztowny plon jego dokonań kieruje do kosza, a pracę zaczyna nowy zespół wizjonerów.

Proponuję, jakkolwiek by to zabrzmiało utopijnie, aby lewica spróbowała namówić inne ugrupowania parlamentarne do stworzenia narodowego, ponadpartijnego, wieloletniego programu rozwoju i wspierania kultury.

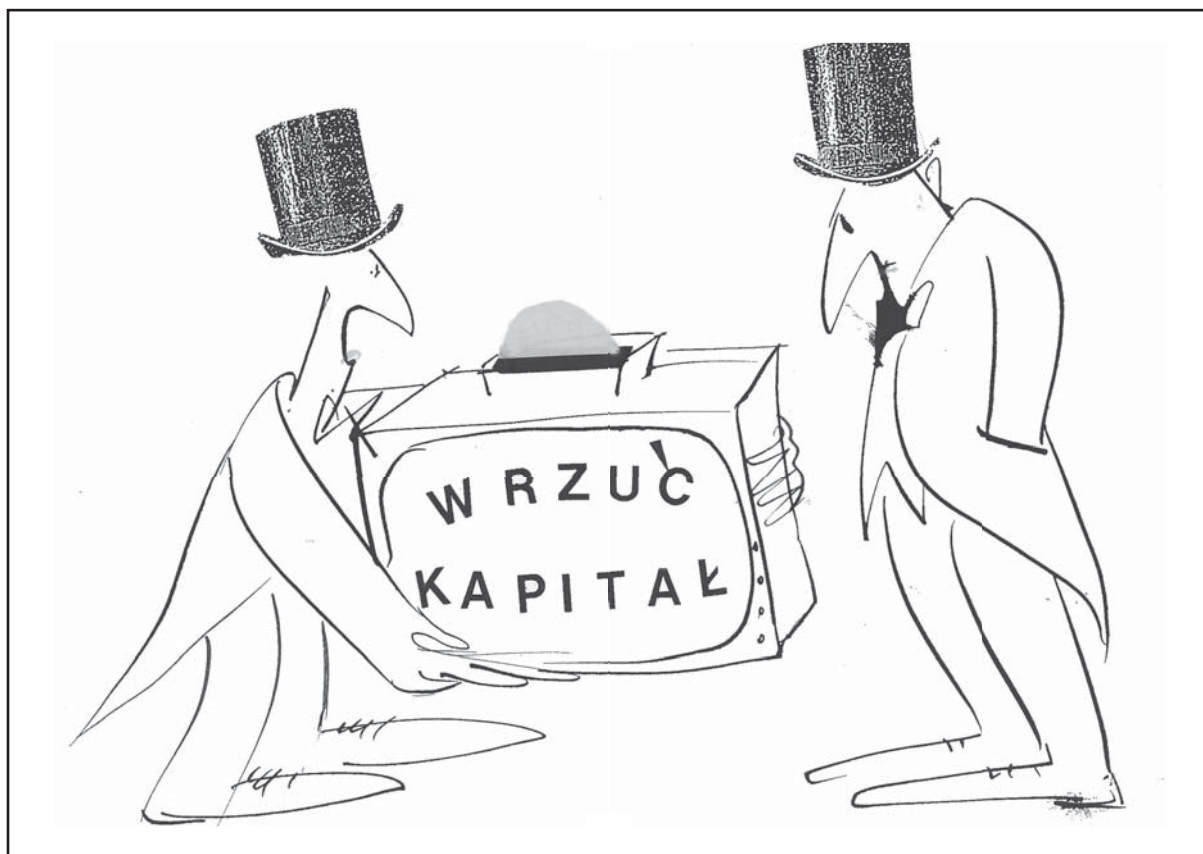
Lewica najczęściej i najkonsekwentniej dopomina się o przestrzeganie praw i wolności przynależnych twórcom. Słusznie, ale to jedno, a drugie równie ważne, to wolność odbiorcy, wolność konsumenta kultury. On także powinien mieć realne prawo wolnego wyboru, prawo „wstępnego kontaktu” ze wszystkimi prądami, nurtami twórczości, tak by swobodnie mógł wybrać te, które mu odpowiadają.

I wreszcie kwestia dla lewicy niebagatelna, wręcz powinność nam przynależna. Należy dbać o dzieło, o wszelkie przejawy twórczej myśli i działań, trzeba dbać o instytucje, które dzieła te upowszechniają, przybliżają do odbiorcy, włączają w społeczny obieg i odbiór. Ale w centrum naszej uwagi powinien przede wszystkim pozostawać człowiek, zarówno ten, który sztukę tworzy, jak i ten, który dba o jej zachowanie i recepcję, wreszcie ten, który z tą sztuką ma obcować. A każdy z nich winien otrzymać od swego państwa stosowną edukację tak, by stał się wrażliwym, by potrafił przeżywać, tworzyć i dbać o kulturę.

Takie są, zdaniem moim, zadania w kulturze z lewicowej perspektywy.

**RAFAŁ SKĄPSKI**

*Warszawa, kwiecień 2011 r.*



Rys. Małgorzata Tabaka



ANDRZEJ KURZ

# NASZA WCZESNA MŁODOŚĆ\*

**Napisane w związku z 80. rocznicą urodzin  
KRZYSZTOFA KOZŁOWSKIEGO**

Spotkałem się z Krzysztofem – Kociem zaraz po wojnie, w jednej klasie gimnazjum Nowodworskiego. Mieliśmy wtedy zaledwie po 13-14 lat. Formalnym wyróżnikiem naszej klasy był wybór francuskiego jako języka obcego (poza łaciną oczywiście). Już to wskazuje na inteligentkie pochodzenie większości uczniów. Ale silnej wspólnoty całej klasy chyba nie odczuwaliśmy. Wszyscy byliśmy dziećmi okaleczonymi psychicznie, mentalnie, a i fizycznie przez okrucieństwo wojny i okupacji.

Program naszych lekcji, nieliczne podręczniki, nasi nauczyciele, wreszcie atmosfera domowa, wszystko to nawiązywało do czasów przedwojennych i izolowało nas od nowej współczesności. Byliśmy za młodzi, żeby mieć własne poglądy polityczne czy wybory światopoglądowe – odbijaliśmy to, w czym wyrastaliśmy. Więc chyba wszyscy uznawaliśmy nową władzę za uzurpatorską, a żołnierzy radzieckich za niecywilizowanych dzikusów. Lecz przede wszystkim nienawidziliśmy Niemców. Różnić się politycznie i ideowo zaczęliśmy właściwie dopiero w liceum, gdzieś w latach 1948-1949. W naszej klasie nikt nie należał do młodzieżowej organizacji politycznej (w szkole działało koło OM TUR), kilkunastu z nas było harcerzami, kilku angażowało się w gimnazjalnym klubie sportowym, który należał w Krakowie do najlepszych.

Ale przede wszystkim łączyliśmy się w grupy przyjacielskie, dość hermetyczne. Moja paka była wyraźnie „przedwojenne” inteligencka. Tylko ja z niej byłem czynnym sportowcem, a także zapalonym harcerzem, zastępowym klasowego zastępu „Mew”.

Kocio był wyróżniającą się postacią grupy byłych ziemian, nazywanych przez nas bez cienia zawiści, ale z odrobiną ironii, „hrabiami”. Należał do niej także Marek Tarnowski, Jaś Mycielski, Andrzej Morstin i czas jakiś chodzący do naszej klasy, ale z nikim niezaprzyjaźniony, ponury i nieprzykładający się do nauki – Wielopolski. Nie pamiętam nawet jego imienia, choć siadywaliśmy w jednej ławce.

Z Krzysztofem łączyło mnie jednak indywidualnie zamiłowanie do lektur pozaobowiązkowych, zwłaszcza że miał on dostęp do wydawnictw emigracyjnych. Pamiętam, że pożyczył mi między innymi, ale na krótko, bo kolejka czytelnicza była duża, piękne,

ilustrowane wydanie *Monte Cassino* Melchiora Wańkowicza, a na długo, czyli do dziś (bo tylko ja w naszej klasie interesowałem się poezją) dwa przedwojenne tomiki wierszy Kazimierza Wierzyńskiego i wydany w Rzymie tomik Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego z wierszami do Maruty, których potem Natalia nigdy nie pozwalała publikować. Może nawet podejrzenie, że wydawcy mają kłopoty z pisarskimi żonami i wdowami stało się moim pierwszym wtajemniczeniem do zawodu, który – 25 lat później – wybrałem już na dożywocie

Było także coś, co chłopców z mojej paki bardzo silnie łączyło z Kozłowskim i Tarnowskim, i to na długie lata, chociaż rozstaliśmy się już w liceum. Moja bowiem paka poszła w Nowodworku do klasy matematyczno-fizycznej, a Krzysztof i Marek do humanistycznej. Ale niemal każdy wolny dzień, a zwłaszcza krótsze i dłuższe wakacje spędzaliśmy na górskich wódczęgach. Liderem naszym w tej dziedzinie był i do dzisiaj pozostał Wojtek Komusiński, choć poszedł do liceum poza Nowodworkiem, a potem na studia matematyczne.

Najatrakcyjniejsze z naszych górskich łazęg były wyprawy w Tatry. A kłopot największy sprawiał prawie wszystkim z nas zupełny brak pieniędzy, po prostu domowa bieda. Pamiętam, jak przerabialiśmy blankiety żniwek kolejowych, żeby służyły kilka razy, jak kombinowaliśmy każdy bochenek chleba i każdy kilogram cukru, jakim problemem były buty, żeby nadawały się do wędrowki i wspinaczki. Kiedyś ciotka Kocia, dr Anieła Kozłowska znana mojej rodzinie z pracy na bliskim nam Wydziale Rolnym UJ, właścicielka domu na Bystrym w Zakopanem, oddała nam strych do wakacyjnej dyspozycji. I pamiętam, że łączyliśmy stamtąd na górskie prawie zawsze deszczowe wyprawy, żywiąc się całymi dniami herbatą i chlebem posypywanym cukrem. Przeczytałem gdzieś niedawno, jak Andrzej Łapicki wspominał taki właśnie przysmak w okupowanej Warszawie. My byliśmy tak biedni także w powojennym Krakowie. Ale chyba wyrosliśmy na ludzi.

\* Wspomnienie opublikowane w książce *Obywateł KK czyli Krzysztofa Kozłowskiego zamyślenia nad Polską*, Kraków – Limanowa 2011.

# WIEDZA PANI K. I PANI G.

List tym razem napisany przez moją córkę Zuzannę i przekazany via Liceum Niepokalanek i I rok zarządzania kulturą UJ.

Ostatnio czuję się jakby „zgleźły i opendziały”, nic mi się nie chce, wydaje mi się, że wszystko już umiem, ostatnie wiadomości TV oglądałem jeszcze na swe 69. urodziny, czytać mogę już tylko po raz kolejny Le Carrego i Barbarę Tuchman, mam wrażenie, że wszystko co było do wypicia już wypitem (choć mój przyjaciel Lewin twierdzi, że została nam jeszcze butelka Pere Magloire), na wystawy: fotografii Wojtka Plewińskiego i *Hiszpańskich królewskich cudów* w Krakowie nie dojadę, bo nie chciało mi się stać w korku pod Nysą, którego nie rozładują przed EURO 2012, odmawiam mówienia w obcych językach i czasem tylko sklecę jakiś zlepek w *lingua franca* jak nie przymierzając garbaty mnich Salvatore, z lewactwa też mi nic nie zostało – czasem tylko wspomnę jak przez mgłę nasz we trzech nieudany zaciąg do Vietcongu.

Mógłbym tak ciągnąć przez dobrych kilka linijek. I jak zdałem sobie sprawę, że wnuków też przestałem wyczekiwać, to zrozumiałem, że i felietonu nie napiszę. Wyręczę się swą córką, która napisała słowo o Wójtowicach – najpierw w klasie maturalnej (1999), by następnie dostać niezłą ocenę na I roku (2000) swych studiów na UJ. Poniżej – to słowo:

## KRZYSZTOF KOMORNICKI

W Wójtowicach, malutkiej sudeckiej wiosce mieszkam od urodzenia i od zawsze starałam się odtworzyć jej historię i rozszyfrować wzajemne relacje między mieszkańcami. Pomógł mi w tym projekt Stowarzyszenia „Zdanie” oraz – przepraszam za wyrażenie – dwa źródła osobowe: pani Komaniecka i pani Gephardt – dwie jakże różne postaci, pierwsza nieduża, kiedyś musiała być bardzo ładna, mówiąca dziś biegle po polsku, tzw. autochtonka, druga niezwykle sympatyczna kobieta-żandarm, wielka, z kwadratowymi ramionami i z tubalnym głosem, mieszkająca pod Hanowerem.

Pani K. i pani G. – jak się okazało prawdziwe kopalnie wiedzy! Zarówno dotyczącej okresu przedwojennego jak i wojny, no i czasu pierwszych polskich osadników. Pani Komaniecka dołożyła nam gratis swą historię z okresu władzy ludowej. Chyba nigdy w życiu tak się nie otworzyła.

Pani Elżbieta Komaniecka z domu Brunner – to jej dyna autochtonka, która jako dziewiętnastoletnia dziewczyna zdecydowała się zostać w ówczesnym Voigtsdorf, ponieważ zakochała się w młodym polskim żołnierzu Franku. Zaś nieżyjąca już dziś pani Gephardt urodziła się w naszym domu w 1911 roku i kilkakrotnie ze swą rodziną złożyła nam wizytę. Pierwsza z nich udzieliła mi dwudziestostronicowego wywiadu, który miałam przygotować w ramach projektu Świadectwo ludzi gór, reali-

zowanego przez Stowarzyszenie „Zdanie” za pieniądze rządu szwajcarskiego i londyńskiego Panos Institute. Projekt ten polegał między innymi na odtworzeniu lokalnej historii czasów przedwojennych, lat wojny i zaraz po roku 1945 – poprzez wysłuchanie opowieści kilkudziesięciu starych ludzi, którzy spędzili w tej części Sudetów całe życie. Równie ważne były uzyskane od nich wiadomości o życiu codziennym i o tutejszym obyczaju. Każdego bohatera sportretował zaprzyjaźniony z rodzicami słynny Wojciech Plewiński. Fotografiami te odwiedziły Usti i Amberg, i do dziś wiszą w Wójtowicach w Stodole Europejskiej im. Santiago de Compostela. Istnieją także w wydaniu albumowym.

Opowieść pani Komanieckiej jest niezwykle ciekawa i miejscami tragiczna. Jednak z tej jej części, która dotyczy lat wojennych wynika, że wieś przez te pięć lat żyła normalnym, wiejskim, spokojnym życiem. Pory roku następowały jedna kolejno po drugiej, zupełnie jak w *Chłopach* Reymonta.

Mieszkańcy jak zwykle ciężko pracowali orząc, siejąc, susząc siano, zbierając plony, gromadząc drzewo na zimę, piekąc chleb, robiąc masło i kiszając kapustę. Z dalekiego wstrząsanego wojną świata nie docierał huk armat, a nad wioską nie latały bombowce. Tylko dwóch młodych mieszkańców wioski służyło w Wehrmachie i do dziś nie wiadomo, co się z nimi stało. Czasami zaglądał do Voigtsdorfu NSDAP-owiec z pobliskiej Haberschwelde (Bystrzyca Kłodzka), by sprawdzić czy wszyscy są „prawomyślni” i czy przypadkiem nikt nie ukrywa Żyda.

Po wojnie był tu tylko jeden członek PPR-u, przymuszał ludzi do wstępowania do spółdzielni produkcyjnej, zaś od 1956 roku nosił w Boże Ciało baldachim nad księdzem. Może dlatego Pani Komaniecka nie ma mu za złe przynależności do PPR-u, mimo że skolektywizować się nie dała.

Podobny obraz małej sudeckiej wioski wynurzał się z opowieści pani Gephardt, która w 1938 roku była już dwudziestoosmioletnią kobietą.

W Wójtowicach nie dochodziło do żadnych konfliktów na tle pochodzenia czy ideologii. Wsie te były etnicznie niemieckie, zamieszkałe przez ludzi zaabsorbowanych ciężkimi codziennymi obowiązkami, o których trudno było mówić wtedy, czy byli faszystami, czy antyfaszystami. Zupełnie inna sytuacja panowała w typowej czeskiej wiosce sudeckiej, która po połowie zamieszkała była przez Czechów i Niemców. I ta druga połowa serdecznie witała razem z Heinleinem wkraczającego Hitlera. A potem została ukarana dekretami Benesa.

Można dziś powiedzieć, że prawdziwa wojna dotarła do Wójtowic wraz z pojawieniem się zwycięzców – żołnierzy, a następnie polskich osadników ze wschodu. Mieszkańcy zrozumieli w tym momencie, że ich życie – to w dotychczasowym wydaniu skończyło się i przed nimi było nowe i różne nieznanne. Musieli opuścić swoje domostwa, zostawić prawie cały dobytek i udać się na wygnanie. Elżbieta Brunner wybrała mi-

łość do Franka nad miłość i przywiązanie do rodziców i niemieckiej tradycji rodzinnej. Wyszła za mąż za polskiego żołnierza nie mówiąc ani słowa po polsku i reprezentując naród pokonany. Za swój wybór zapłaciła i płaci do dziś wysoką cenę. Zapytana przez nas w wywiadzie, po ponad 50 latach, czy czegoś w życiu żałuje – rozpląkała się. W wojennym wspomnieniu pani Gephardt również dominuje praca na roli. Pamiętała, że jeszcze w 1944 roku ojciec jej zorał hektar ziemi swoimi wołami i zasiał zboże, jakby przygotowywał się do żniw. „W 45 roku nie starczyło nam wszystkim wyobraźni, by przewidzieć smutny koniec” – powiedziała.

Oglądamy dziś zdjęcia Wójtowic wykonane przez słynne Atelier Marx z początku poprzedniego wieku, z lat 30. i pierwszej połowy lat 40., wszędzie wyraźnie widać dbałość o krajobraz, o wygląd, o losy gospodarzki. Pola są przyzwoicie uprawione, miedze wytyczone, krzaki i brzozy rosną wzdłuż granicy poszczególnych gospodarstw. Dziś, gdy patrzymy na Wójtowice z tych samych miejsc, z których niegdyś zrobiono te zdjęcia została tylko – jak mówią miejscowi – „masakra” lub „kaszana”. Nie ma już prawie pół uprawnych, wiele domów zostało tylko na fotografii. Jedyna pięknie utrzymana łąka, dwie małe winnice i sad sudecki – to gospodarstwo „zdeklasowanych inteligentów” czyli Komornickich.

Obie panie zgodnie stwierdziły, że w latach wojennych jak zawsze obchodzono Boże Narodzenie i Wielkanoc, uroczysto uczestniczono w odpuście 22 lipca, dzieci sypały kwiaty w czasie procesji Bożego Ciała i jak zawsze odbywały się śluby i pogrzeby. Do dziś według sudeckich przepisów pieką świąteczne ciasta, przyrządzają słynne *Śląskie Niebo* czyli podwędzane schab, żeberka i boczek, wszystko duszone w różnych suszonych owocach, robią powidła ze śliwek „kartoflanek”. Nie potrafiły one jednak odpowiedzieć na pytanie, czy w kościele modlono się o zwycięstwo.

Warto dodać, że dzisiejsi potomkowie katolików Voigtsdorfu przyjeżdżają do Wójtowic z wycieczkami, w grupach, uczestnicząc we mszy świętej w miejscowym kościełku i czują się bardzo wzruszeni. Zachowują emocjonalne więzy z ziemią swych przodków nigdy tu nie mieszkając i wiedząc, że nigdy tu nie zamieszkają. Najstarsi z nich nie mogą nie złożyć wizyty pani Komanieckiej, z którą potrafią spędzać długie godziny wspominając stare czasy. Jak się okazuje, pierwsza niemiecka wycieczka odwiedziła swą dawną ojczyznę za jej namową. I przywiozła 4 ornaty, a także sporą sumkę w DM na pokrycie miedzianą blachą swego dawnego kościoła.

Z pokolenia pani Gephardt nikt już nie został wśród żywych. Potomkowie wpadają czasem do Wójtowic by rozejrzeć się po miejscowości, o której słyszeli od rodziców i dziadków. I dziękują naszym sąsiadom, że nie ścięli stojącej tu od zawsze majestatycznej lipy, zaś Komornickim są wdzięczni, że odnowili przydrożny krzyż z dawnym napisem „Gruss Got” szwabachą.

Gdyby nie nasze rozmowy, spotkania między pokoleniami, wizyty potomków naszych niemieckich poprzedników, historia o dawnych czasach powoli odeszłaby na zawsze w zapomnienie. A Sudety, gdzie się urodziłam byłyby ciągle – i „piastowskie” i „prastare”...

ZUZANNA KOMORNICKA

TOMASZ GOBAN-KLAS

# „ZBAWICIELE MEDIÓW”

## (TRAGIFARSA)

### Prolog

W 18 Brumaire`a Ludwika Napoleona Karol Marks pisał: „Hegel zauważył, że wszystkie wielkie historyczne wydarzenia i osoby pojawiają się, jakby to powiedzieć, dwukrotnie. Zapomniał dodać, że pierwszy raz jako tragedia, drugi raz jako farsa”. Do heglowsko-marksowskiego spostrzeżenia dodam od siebie, iż gdy wydarzenia i postacie pojawiają się jakby drugi raz, to jest w istocie tragifarsa.

### Odsłona pierwsza – tragedia

W dekadzie lat 1960. można wyróżnić wyraźną tendencję dyrygowania mediami przez Władysława Gomułkę i jego ekipę. Gomułka swe początkowo ogromne poparcie społeczne w 1956 roku zawdzięczał w dużej mierze dziennikarzom takich pism jak „Po prostu”, „Sztandar Młodych”, a nawet „Trybuna Ludu”. Niemal natychmiast po wyborach do Sejmu w styczniu 1957 r., które wykazały znaczne dla niego poparcie, Gomułka rozpoczął ofensywę przeciwko niezdyscyplinowanej prasie i wezwał do powrotu do tradycyjnej partyjnej polityki informacyjnej. Na jego polecenie zamknięto w październiku 1957 roku „Po prostu”, gdyż – jak mówił I sekretarz – „Nadszedł czas wyboru. Dziennikarze muszą wybrać: z partią, albo przeciwko partii. Koniec dyskusji”.

Inne spotkanie zakończyło się otwartym ostrzeżeniem: „Jeśli chcecie współpracować [z partią], to dobrze; jeśli nie – to też dobrze”. Uczestnicy zebrania doskonale wiedzieli, że wówczas odmowa współpracy z partią oznaczała definitywne pożegnanie się z pracą dziennikarską.

Gomułka gardził prasą, zawodem dziennikarskim w ogóle, a niektórymi dziennikarzami w szczególności. Nie wierzył także w znaczenie prasy. W najlepszym wypadku prasę po prostu ignorował. Podobnie jak Chruszczow, Gomułka chętnie publicznie wygłaszał ostre opinie na temat krytycznych wobec niego pisarzy i dziennikarzy, takich jak Wańkowicz, Jasienica i Słonimski. Do więzienia poszedł Szpotański, „człowiek o moralności alfonsa”. W marcu 1968 r. tow. Wiesław dał przyzwolenie na moczarską rozprawę z inteligencją, a więc



i prasą. Potyczkę z gęgaczami wygrał, ale przegrał wojnę. Z bożyszczą tłumy w Październiku 1956 roku, męża stanu w układzie z Willi Brantem 7 grudnia 1970 roku o uznaniu granicy polsko-niemieckiej, w końcu roku odrzucony za przez swą partię i polski naród za decyzje o użyciu broni palnej na Wybrzeżu.

### Odstona druga – tragifarsa

„Wszystko co stare, będzie kiedyś nowe”.  
Ronald Reagan

Gdy PiS był jeszcze Porozumieniem Centrum, jego sekretarz generalny żądał zdecydowanego działania ze strony rządu w celu kontroli telewizji i prasy: „Rząd musi mieć bezpośredni wpływ na media. ... Silna wola i żelazna ręka są niezbędne. Jest czas, aby zrobić porządek w radiu i telewizji, w agencjach prasowych i w prasie”. Wówczas nie zdążono.

W 2005 powstały takie możliwości, stąd pierwszym pospiesznym działaniem PiS było zlikwidowanie w ciągu 3 miesięcy „starej” Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji i powołanie nowej, własnej. Realizacja „nowego otwarcia” w Polskim Radiu oznacza, że „z radiem może się pożegnać nawet 400 z 1500 pracowników. Pracę może stracić nawet stu dziennikarzy” – pisała „Rzeczpospolita”.

Jako premier, prezes stwierdził, że media elektroniczne „wyrosły w Polsce z czegoś bardzo niedobrego, wywodzącego się z poprzedniego systemu”. Dodał, że gdyby to od niego zależało, to „każda telewizja powinna codziennie pokazywać informacje na temat swojego pochodzenia”. Tłumaczył, że polski obywatel powinien wiedzieć, co ogląda, aby wiedział, oglądając np. *Fakty TVN*, „dlaczego one wyglądają, jak wyglądają”.

Lider PiS wytoczył przeciwko mediom najcięższe armaty, w jego przekonaniu w Polsce nie ma wolnej prasy. „Dociera do mnie wiele sygnałów, że dziennikarze nie mogą swobodnie wyrażać swoich poglądów, ponieważ są ograniczani przez wydawców i redaktorów”. W jednym z wywiadów w 2007 roku premier Kaczyński wprost ujawnił swe nastawienie wobec dziennikarzy:

„Niezwyczajnie sceptycznie oceniam wolność indywidualną dziennikarzy pracujących w mediach. Trzeba będzie w tej dziedzinie coś zmienić. (...) Jeśli ktoś chce się utrzymać na topie, musi stosować intensywną autocenzurę.

– Nie lubi pan więc dziennikarzy?

– Jednych lubię, a innych mniej. Na mój dzisiejszy stosunek do dziennikarzy rzutują bardzo złe doświadczenia z mediami z lat 90. Wtedy zrobiono ze mnie nie tylko politycznego potwora, ale także złodzieja i zbrojeńca. Utrudniało mi to życie do tego stopnia, że zrezygnowałem z wychodzenia do kawiarni czy restauracji, bo to były po prostu przykre doświadczenia. Media nagminnie przekręcały moje słowa”.

Jarosław o wydawcach prasy mówił w radiowych *Sygnalach dnia* bardzo otwarcie: „W Polsce ogromna część prasy jest niemiecka, a to jest sytuacja, nad którą w ogóle warto się w skali UE zastanowić, czy to powinno tak być, czy nie, należy jednak postawić tamy tego rodzaju mechanizmom. Ja osobiście uważam, że należy”.

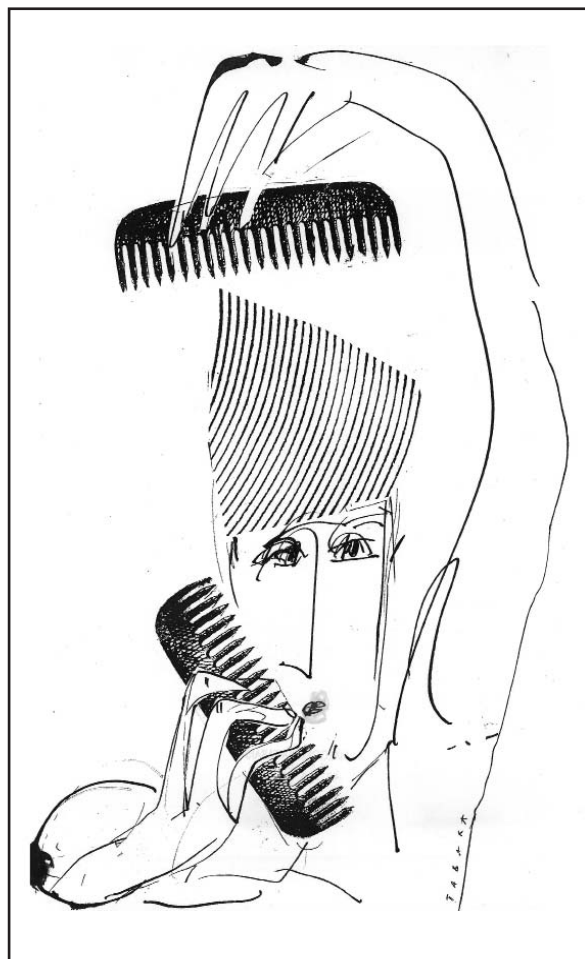
W 2008 roku oznajmił: „Media mają polityczny kolor i nie jest to kolor Prawa i Sprawiedliwości”. Według

byłego premiera obecna władza i media tworzą razem obraz rzeczywistości, który nie zawsze związany jest z faktami. „Społeczeństwo jest przed tymi faktami chronione”.

Tuż przed wyborami 2011 roku Jarosław „zbawiciel medialny” znalazł kamień filozoficzny: „Media publiczne powinny być potężne”, ale – jak dodał – „należy tu przywrócić porządek”. Ten gest wobec mediów publicznych przeszedł niezauważony. Dziennikarze publiczni nie pokochali Jarosława. Sam w jednym z wywiadów uskarżał się, iż porównuje się go do Gomułki. Czy dziennikarze mieli rację, że prezes jest autokratą?

W przekonaniu większości Polaków – tak. Ponad połowa (52 proc.) sądzi bowiem, że media obiektywnie relacjonują działania rządzącej partii. Z Jarosławem Kaczyńskim zgadza się ponad dwa razy mniej badanych (25 proc.). Wynik ten nie dziwi – to media, a nie politycy mają możliwości codziennego przekonywania, także o swej obiektywności i wiarygodności. Robią to profesjonalnie, więc skutecznie.

Przeto kto to z mediami wojuje, to od mediów – prędzej czy później – ginie. Przynajmniej w demokracji. Prezes chciał i chce kontrolować media, ale słabo kontroluje samego siebie A one już piszą dla niego *Mene, Tekel, Fares!*



Rys. Małgorzata Tabaka

więcej wątpliwe  
jestem

# ZNOWU KRAŻY WIDMO

Tym razem nie komunizmu, bo nieboszczyka nikt nie wskrzesi, nawet miłośnicy Josifa Wissarionowicza. A tacy się ostatnio objawili nad Wisłą, mają po dwadzieścia parę lat, nierzadko dobrze ustawionych i usytuowanych rodziców, ale to ich nie urządza, szukają więc na gwałt innych antenatów. Skoro jedni znaleźli ich w Falandze i ONR, to na biegunie przeciwnym krainą szczęśliwości okazał się stalinizm. Prof. Bauman, obwieszczając jakiś czas temu w „Zdaniu” *Reguiem dla komunizmu*, dawał do zrozumienia, żeby się jednakowoż z tego faktu zbytnio nie cieszyć. Nie dlatego, że za sprawą starych czy młodych stalinistów może dojść do restytucji panującego nam miłościwie i w wielu innych krajach w XX wieku ustroju, lecz z tego powodu, że na horyzoncie zbierają się czarne chmury i to w miejscach, które uchodziły dotąd za raj dla odmiany kapitalistyczny. Po pierwszej fali kryzysu, a w przededniu następnej już wiemy, że to nowe widmo nazywa się prekariat i ma niewiele wspólnego z dawnym proletariatem.

Tenże prof. Bauman do tej nowej, rodzącej się na naszych oczach klasy, niekoniecznie w rozumieniu marksowskim, zalicza miliony sfrustrowanej młodzieży, wykształconej ale niemającej pracy, a co gorsza – nawet widoków na nią. To także miliony kobiet, upośledzonych społecznie, zawodowo i w rodzinie, mających tego świadomość i coraz głośniejszemu manifestującemu swój sprzeciw. To naznaczeni jakimś występkiem, najczęściej jednorazowym, ludzie bez szans na pełnoprawny powrót do społeczeństwa, a jest ich coraz więcej. Najwięcej zaś jest – jak ich nazywa niedawny bohater „Trzech na jednego” – „migrantów” na całym świecie. Są mieszkańcami (*denizens*), ale różni ich od obywateli (*citizens*) znacznie węższy zakres praw wszelkiego rodzaju, jak bezpieczeństwo ekonomiczne i socjalne, pomoc i ochrona prawna, dostęp do kredytów, ubezpieczeń, a także do kultury, podnoszenia kwalifikacji itp. Setki milionów ludzi odczuwa osobiście skutki rosnących nierówności społecznych, wykluczenia i biedy. Wszystko to dzieje się nie w krajach biednego i wygłodniałego Południa, lecz w najbardziej rozwiniętych krajach Północy. A na to nie ma i nie będzie zgody.

\* \* \*

W coraz to nowych miejscach prekariat manifestuje swoje niezadowolenie. Kiedy wychodzi na ulice, przyciąga jak magnes wszelkiego rodzaju męty, ale także

zwykłych obywateli, którzy wyciągają rękę po cudzą własność. Wtedy mamy Londyn i święte oburzenie. Jednak to z niezgody na panujący porządek, pilnowany przez państwo i jego aparat represji, rodzi się na naszych oczach Ruch Oburzonych, którego symbolem jest koczowisko na Wall Street, właśnie skasowane pod osłoną nocy przez nowojorską policję. Czy to uwolni Amerykę od protestów? Raczej należy w to wątpić, bo już nazajutrz pod nowojorskimi bankami rozłożyła się ponownie reprezentacja owych 99 procent, które nie chcą dłużej tolerować takiej asymetrii. Wynika z niej bowiem, że ten jeden procent zgromadził w swoich rękach niewyobrażalny wręcz kapitał i czerpie z niego ogromne dochody.

Ruch Oburzonych nie jest zorganizowany, nie ma i nie chce mieć przywódców, skrzykuje się na manifestacje, a także na rozróby przez internet, nie stanowi wspólnoty, targają nim sprzeczne interesy, żywi się różnymi ideami, jest podatny na populizm i inne, nierzadko skrajne „izmy”. Kiedy manifestuje swoje oburzenie w mniej lub bardziej spektakularnych formach, wywołuje oburzenie tych, którym się udało: zdobyć pracę, zgromadzić choćby niewielki kapitał, osiągać zyski, czyli jakoś urządzić się w życiu z perspektywą na długie lata. Rzecz w tym, że kryzys nie jest gwarancją czegokolwiek i rychło się okaże, czy Ruch Oburzonych to tylko rewolucja w szklance wody, czy całkiem poważna sprawa, którą powinna przemyśleć przede wszystkim lewica.

\* \* \*

Czy na to możemy liczyć? Mało prawdopodobne, przynajmniej jeśli chodzi o SLD. Jakim bowiem potencjałem intelektualnym dysponuje ta partia, pokazali jej liderzy w ostatniej kadencji. Owszem, sztuczki marketingowe, z rozdawaniem jabłek przed wyborami włącznie, jako tako opanowali, ale z wiedzą i kompetencjami było znacznie gorzej. Toteż trudno się dziwić, że życzliwi ludzie zalecają im odrobienie zaległości w nauce, a dopiero potem powrót do pracy partyjnej. Tymczasem obserwujemy wyścigi przed wyborami, wycieczki w teren i udawanie, że nic się nie stało. Kto by sobie w takiej sytuacji zawracał głowę jakimś prekariatem i Ruchem Oburzonych. Oburzać się mają prawo przegrani liderzy na niezastudzoną ich zdaniem krytykę. I tego będą się trzymać do następnych, zapewne ostatnich wyborów.

SCEPTYK

## PODZIĘKOWANIE

*Pięknie dziękujemy naszym Przyjaciołom,  
Sympatykom i Sojusznikom, którzy  
przekazali 1 proc. od podatku za 2010 rok  
na wydawanie „ZDANIA”. Fundacji Kultury  
Polskiej równie pięknie dziękujemy  
za udostępnienie konta na ten cel.*

*Redakcja „ZDANIA”*

---

## ZDANIE

---

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

---

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski,  
Beata Kowalska, Paweł Kozłowski, Lech M. Nijakowski, Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji).

Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza

**Adres Redakcji: 31-052 Kraków, ul. Miodowa 41**

**www.kuznica.org.pl; e-mail: kuznica41@interia.pl**

Wydawca (na zlecenie Stowarzyszenia „Kuźnica”):

Marian Szulc, 30-441 Kraków, ul. Fałęcka 60

Skład komputerowy i łamanie: Joanna Byczyńska

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.

Nakład: 1000 egz.





**Zapraszam twórców ludowych, rzemieślników  
i kupców na XXXVI Międzynarodowe  
Targi Sztuki Ludowej do Krakowa,  
na Rynek Główny, w dniach 17-26.08.2012 r.**

Kontakt: ul. Słowiańska 3, 31-141 Kraków,  
tel/fax 12 422 19 29,  
e-mail: [tsl@cepelia.krakow.pl](mailto:tsl@cepelia.krakow.pl)  
[spisak@cepelia.krakow.pl](mailto:spisak@cepelia.krakow.pl)

Józef Spisak



**Fundacja**

**Cepelia®**

**Polska Sztuka i Rękodzieło**

[www.cepelia.krakow.pl](http://www.cepelia.krakow.pl), [www.facebook.com/cepelia.tsl](http://www.facebook.com/cepelia.tsl), [tsl@cepelia.krakow.pl](mailto:tsl@cepelia.krakow.pl), [spisak@cepelia.krakow.pl](mailto:spisak@cepelia.krakow.pl),  
[cepeliatsl@fric4.krakow.pl](mailto:cepeliatsl@fric4.krakow.pl)

